96

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XIII.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

WERNYHORA.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1868.

WERNYHORA

WIESZCZ UKRAIŃSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z ROKU 1768.

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE CZWARTE, PRZEJRZANE I POPRAWIONE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1868.

DNIA 10. SIERPNIA 1861. ROKU:

NA STATKU ROSSYJSKIM CHERSONEZ NAPRZECIW ŚWIĘTEJ-GÓRY.

(MONT. ATHOS.)

Lat trzydzieści z górą upłynęło od czasu jak opuściłem dom rodzinny i ziemię rodzinną. W puściźnie po Matce, po Dziadku moim po kądzieli — odziedziczyłem myśl o kozaczyźnie:

Rycerską hulaszczością Kozaków postawić na nogi Polskę.

Braterskością Polaków spolszczyć Kozaków. —

Myśl ta marzeń dziecinnych, z wiekiem rosła na święte przykazanie kozacze do wykonania.

— Kiedy w 1831. roku Kozacy moi Balczyńca, Siomak i Agutowski, wołali: My, nasze dzieci, z tobą Panie pójdziemy walczyć z wrogami Polski, bić się za Polskę.

— Kiedy Ksiądz Paweł Niemiotowski, Pop Błahoczestywy Balczyńca, wyszedł z krzyżem w ręce, z cerkiewnemi cechami nas błogosławić, i błogosławił.

— Kiedym dosiadł dziarskiego konia i ujrzał się na czele dzielnego hufcu moich Kozaków.

— Kiedym się złączył w Korowinieckich lasach z Karolem Różyckim, Stanisławem Duninem, Michałem Grudzińskim, Tadeuszem Przyborowskim, Janem Omiecińskim, Antonim Szaszkiewiczem, z Sewerynem i Adolfem Pilichowskimi, z Michałem i Wincentyn Budzyńskimi, z Antonim Trypolskim, z Florjanem Kulikowskim, z Ksawerym i Franciszkiem Morgulcami, z bracią Ostaszewskimi, z Antonim i Stanisławem Wyhowskimi, z Antonim Tapczewskim, Raczyńskim, Wilkowskim, Baranowskim, i inną Szlachtą z okolic Berdyczowa, na czele ich Kozaków.

Wyliczenie za długie, zwłaszcza że to nie byli Rycerze do Iliady Homera, ale hulaszcza Berdyczowska szlachta do rapsodu kozackiego Karola Różyckiego; ale tak miło wspominać swoich towarzyszy wojennych, że chciałbym wypisać wszystkich, Saków, Makarów, Hryćków, żeby napoić serce roskoszą dawnego wspomnienia. Imiona wszystkich a wszystkich tego świętego hufca, stoją mi w pamięci — jak gdybym ich w tej chwili widział — i ich twarze, i ich postawy, i ich konie.

Myślałem wówczas: dumka mego Dziada, Michała Głębockiego, Marszałka Owruckiego; modlitwa mojej Matki, sprawdzone!

Karol Różycki, to był mój Konaszewicz Sahajdaczny; w towarzyszach widziałem nowych Mazepów, Wyhowskich, Brzuchowieckich, Neczajów, Mohyłów, i całą dawną Starszyznę sławnej Kozaczyzny.

Hulaliśmy rycersko po tej ziemi, po której oni hulali. Biliśmy wroga Polski, jak oni niegdyś bili wroga Kozaczyzny. W pław przepływaliśmy rzeki — w skokach koni przesuwaliśmy góry. — Cudnów, Mołoczki, Tyszyca, Uchanie, będą długie lata brzmiały pieśnią w uszach ludu Ukrainy; bo one rozbudziły uśpioną pamięć o Konotopach, o Stawiszczach, o Białocerkwi. Lud ujrzał znowu swoich Mołodców. Konie zbierały kopytami, bieliły się od piany. Rycerze kozaccy zmartwychwstali w swoich wnukach; zaklinali się znowu dawnem zaklęciem: «Wróg nie miecze, dogonimy, pobijemy, na łój, na masło — po dawnemu, po naszemu!

Ale nie zmartwychwstał Król, któryby zaklęcie w czynie wykonane przyjął, osłonił koroną Piastów i Jagiellonów, i dla Polski zawłaszczył. Darmo wypatrywaliśmy Bolesławów, Stefana Batorego; nie dopatrzyliśmy nawet Jeremiego Wiszniowieckiego, Konstantego Ostrogskiego, i Romana Sanguszki.

Z wieszczem Padurą, wołaliśmy pieśnią: Książe Romanie przybywaj! przybywaj do nas! Spisą i szablą policzymy wraże pułki, jak niegdyś twój Prapradziad liczył pułki Tatarskie. Policzymy: czy to przy świetle księżyca, czy przy jasnem słońcu przybywaj! — Wołaliśmy ciągnąc z Uchań do Zamościa, z mnogim jassyrem, ze zdobyczą i ze sławą, jak przystało na pułk kozaczy — a tam nas przyjął kwaśną prozą Jenerał Chrzanowski. — Bóg świeć nad jego duszą. — Mąż w wojskowości wyuczony; ale ni z pierza ni z mięsa, ni z serca, ni z postawy,

na Wodza dla Szlachty polskiej, dla butnych Mołodców Ukrainy.

Nasz Rewucha pod Mogiłą — nasz Roman w jassyrze — łza żalu zakręciła się nam w oczach — smutek padł na serca i na nowo niepokój zawitał w dusze. Szliśmy — biliśmy się — biliśmy — ale już więcej dla imienia naszego sławy, jak dla polskiej sprawy. I nadzieję i wiarę w nas wyziębiono; zostały tylko: hulaszczość kozacka i strój kozaczy. Pod Pawłowską-Wolą, pod Iłżą, pod Chodczą, pod Lipskiem drżały pułki Rossyjskie przed Bielcami — ale nie drżała Moskwa przed Kozaczyzną — bo nie było Króla. Orzeł biały i Jeździec Litewskiej Pogoni, latały z pobojowiska na pobojowisko; darmo szukali cienia korony. Poszliśmy w cudze kraje, a Moskal i Niemiec zostali w Polsce, i panowali, jak dotąd panują.

Nudno mi, tęskno było na czużynie. Włożyłem do pochwy szablę praojców, a zacząłem znowu marzyć o mojej dumce — Kozaczyźnie; zacząłem pisać Powieści Kozackie i Wernyhorę.

Pisarze Kozaczyzny, wieszcze Słowa i Myśli, przemienili się jak kameleony; jak gdyby wstydzili się swoich wielkich a dawnych utworów. Stroili Kozaczyznę w katolicyzm, w demokrację, w systemata konserwacyjne; a dla popularności chcieliby się zaprzeć przeszłości; o teraźniejszości Kozaczyzny wstydzili się wspomnieć, żeby się nie narazić na pokuty Jezuity spowiednika — albo na śmiech tuzinkowego krytyka. Grzechem śmiertelnym, dla tych pofrancuzionych, poniemczonych pisarzy — polityczną zbrodnią — bylo myśleć o przyszłości kozaczej.

Taki stan rzeczy był dla mnie najsilniejszym bodźcem do wzięcia za pióro. Zacząłem pisać. — Naśmiewali się: J.B. Ostrowski i Rupelewski — ale drukowali i wydawali: Ks. Aleksander Jełowicki i Eustachy Januszkiewicz — i moje marzenie przeobrażało się w teorję, w system, którego ja byłem pisarzem i ja musiałem być wykonawcą; bo, nikt się nie znałazł ktoby się chciał podjąć tej pracy dla Kozaczyzny — dla Polski.

Rzuciłem w świat polski: Powieści Kozackie, Wernyhorę, Ukrainki, Hetmana Ukrainy i inne pisma tegoż samego ducha, dążące do tego samego celu; i po tym moim programacie udałem się na Wschód.

Kiedy wychodziło drugie Wydanie Wernyhory, byłem już w Turcji, pod opieką Monarchy, którego Przodkowie, którego Rząd, nie podpisał żadnej umowy uświęcającej rozbiór Polski.

Byłem między Kozakami Ukrainy, Zaporoża i Donu, których przodkowie, albo oni sami, przed wiekiem, przed mnogiemi laty, schronili się pod opiekę przemożnych Sułtanów, Cesarzów Ottomańskiego Państwa: — uczciwie, jak przystało na Kozaków, z bronią w ręku, jako wojsko dą służby swojego nowego Opiekuna i Pana. — Po raz drugi marzenie przybierało postać rzeczywistości; po raz drugi teorja przeobrażała się w czyn.

Zostałem Muzułmaniwem i poddanym Wielkiego Sułtana.

Dziś, kiedy ma wychodzić trzecie wydanie Wernyhory, jestem na czele dwóch pułków kozaczych, dziarskich i regularnych — i sotni nieregularnych Kubańskich i Starowierców Kozaków. Na Dobruczy przeszło dziesięć tysięcy kozackiego ludu kipi do boju na rozkaz Sułtana. Na statku parochodzie rossyjskim dowiedziałem się że między Kozakami Czarnomorcami, wiedącymi swój ród ze starych a sławnych Zaporożców, i między Kozakami linjowymi — tem zebraniem przestępców religijnych, politycznych, i zwyczajnych — których służba kozacza wybawiła od Nerczyńska, Sybiru, a przynajmniej ciężkiego więzienia — już wybuchła opozycja przeciwko rządowi. Wysłano deputację do Petersburga, i, zbrojno a gotowo, czekają czy to na układy — czy na rozbrat. Między Dońskimi Kozakami wielkie niezadowolnienie; a chłopi całej Ukrainy odmawiają dawać rekrutów do Rossyjskiego Carskiego wojska. — Taką nam wieść dano.

Jeźli tak jest, potężne to wstrząśnienie ośmiomiljonowej Kozaczyzny, mającej mnogie i dzielne wojsko, sprężystą organizację!

Miałażby to być wskazówka dążenia do Państwa marzonego przez Bohdana Chmielnickiego? Czyli do przepowiedni Wielkiego Napoleona: że Europa za wiek jeden będzie albo republikańską — z anarchją, nieładem, niesprawiedliweścią, i intrygą prawie wszystkich Republik Świata — albo Kozacką, ze swobodą i hulaszczością kozaczą, z rządem i porządkiem sprawiedliwym i sprzężystym; takim, jakiego mamy przykład na małą skalę na Donce. — Albo że tak nazwę, Kozączyzną mego Dziadka, wybawiającą i stawiącą na powrót między Wielkimi Polaków — między Państwami piewszego rzędu Polskę — i polszczącą się wszystkiem tem co jest dobrem w Polakach, oprócz Anarchji i Jezuityzmu? To ostatnie najpodobniejsze do prawdy; bo Małorusini, czyli Ukraińce, którzy mi to opowia-

dali, dodawali: — ale te wszystkie cząstki Kozaczyzny nie mają porozumienia się między sobą, nie mają kierunku. Pisma wasze, Szewczenka, Pieśni Maksymowicza i Padury, rozbudziły myśl wielką, wlały w serca chęć wielką. — Trzeba kierunku Polski, od Polaków — i obyczajem wszystkich Słowian, już widziano dążenie do tego kierunku, w udaniu się kilkunastu Obywateli z Kijowskiego, Wołyńskiego i Podolskiego, na Ukrainę za-dnieprzańską, do wydzierżawienia od Rządu dóbr, ze skassowanego posielenja wojskowego na tej Ukrainie kozaczej. Mówili: przez to zetkną się Polacy z Kozakami i z Kozaczyzną. Ale obok tej myśli bardzo logicznej, stanęły zaraz komiczne.

Jeden z tych Panów zapytał:

«Prawda też co mówią, że J. W. Hrabia Ksawery Branicki namyśla się lat kilka, czy ma, czy nie ma służyć sprawie polskiej i kozackiej? i że jakiś tam Doktor mu wzbrania brać udziału, żeby zdrowiu swemu nie uszkodził?» —

Odpowiedziałem: — Ależ on służy sprawie polskiej, tak, jak i wielu innych emigrantów.

«Ależ to taka służba: jeść, bawić się, spać, tracić pieniądze Bóg wie na co — to djabła warta! ja mówię o służbie czynnej, nie o biernej. Do tej ostatniej nie zbywa na posługaczach: — trzeba działać, a nie przypatrywać się; choćby z uszczerbkiem zdrowia. Niech to nie obraża Pana Doktora, niańczącego zdrowie J. W. Hrabiego, kiedy Polak.»

Nie odpowiedziałem; on, dalej mówił:

«Dobrze by zrobił, żeby nareszcie swojego Doktora nie posłuchał i przystąpił do czynnego działania. Wszak rządu rosyjskiego nie przebłaga; i to na nic by mu się nie zdało; bo gdyby nawet i wrócić do służby rosyjskiej, powiedzianoby, że on ciągle jej i na emigracji służył, udawał tylko Polaka — i byłoby nieładnie. W patrjotyzmie amfibje uczuć nie uchodzą, mimo cały fakultet medyczny. Mówią że J. W. Hrabia jest zacny człowiek — niechże będzie sobie — to i imieniowi swojemu pomoże i sprawie: — bo i zamożny, i żołnierz, i u chłopów i u drobnej szlachty w dobrem wzięciu.» —

Żeby skończyć tę gadaninę, powiedziałem: — Mam nadzieję, że i do tego przyjdzie; porozumie się ze spadkobiercą po Księciu Adamie Czartoryskim, z Naczelnikami demokracji, Katolicyzmu, i Towianizmu, i zaczną działać. — To bardzo ucieszyło Małorusinów.

Drugi z tych Panów, wyjął z pugilaresu dwa spore poszyty w języku polskim. — Rękopisma nosiły następne tytuły:

«Nowy systemat wojenny i polityczny: działanie massami bez kompromitowania indywiduów.»

«Najskuteczniejsze zyskiwanie opinji publicznej, tej wszechwładnej Pani świata, przez obiady internacjonalne, na które kraj przysyłać powinien składki, a będzie zbawiony.»

Znalazłem że to pomysł bardzo zręczny; bo nieomylnie pociągnie całą młodzież nie sposobiącą się, nie chcącą się sposobić do wojskowości; a chcącą i mogącą hohaterować w masach — bo to imaginacyjne. — Pociągnie takoż obywateli obawiających się rozpraw czynu, rozpraw na prawdę, a chcących uchodzić za patrjotów. Indywidua wywożą na Sybir, więżą w Kufsztejnie i po kazamatach lennika Brandeburga; śmiercią nawet karzą. — Massy te tylko gromią; które się pokazują na ulicach.

Drugi sposób jeszcze sprytniejszy do uzbierania i mienia pieniędzy; bo stosując się do prawidła Montekukulego, a które jeden z Marszałków Wielkiego Napoleona przybrał za swoje, i zapytany przez Wielkiego Wodza i Człowieka: ile, i czego potrzebuje do prowadzenia wojny na Iberyjskim Półwyspie? — powiedział: «Pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.» — Trzeba tylko taczek do wiezienia tych pieniędzy; a za nie się znajdą żołnierze, amunicja, broń, rozum nawet; jednem słowem, wszystko a wszystko: — cnota, poświęcenie się, waleczność, patrjotyzm nawet, jak przyjdą okoliczności, jak przyjdzie czas. Słyszałem już nawet o wynalazku taczek, zapewne do tego użytku.

Przyznaję z całą pokorą, że te teorje dążą do bogatych plonów, przy których bardzo maleje moja Kozaczyzna; bo uboga — jak Rycerstwo Ziem Ruskich, które Jan Sobieski prowadził na obronę Wiednia. Bogdaj by go był nigdy nie prowadził! obdarte, bez grosza w kieszeni, miało wzbogacić się po zwycięstwach. Jak Francuzi mówią, i to dobry sposób, jak i wiele innych; ja powiadam: lepszy od innych, bo pozwala mieć pieniądze w teraźniejszym bezpieniężnym czasie. Jeszcze jedna dogodność: składka na obiady internacjonalne nie kompromituje nikogo. Trzy dwory, z chwalebną, dziwną tolerancją, patrzą na nie, jak równie na składki na organizację mass — tego przedrzeźniania Donkiszotowych wiatraków: składka na jedną spisę kozacką zaprowadziłaby wprost do Nerczyńskich kopalni.

Rządy nie chcąc Polski wypuszczać z ojcowskiej opieki, raczej ojczymowskiej, czy macoszej, są łaskawymi, pobłażającymi, słodkimi jak cukier z miodem, ale gastronomów przejadających i przepijających zdrowie Polski. — Dla Doktorów wprowadzających diagnostykę, że bogaci ludzie nie powinni czynnie służyć Ojczyźnie, bo by nadwerężyli swoje bardzo drogie zdrowia. Ale nie takiemi są Rządy Trójcy ziemskiej dla nas hulaszczych a hołyszów Kozaków. Nie z powodu, nie w celu rozpaczy to mówię, ale ot tak sobie, aby się mówiło, zwyczajnie na statku, żeby odegnać ckliwą chorobę nudów, i nie dać myśli chwiać się i zataczać w takt chwianiu i zataczaniu parochodu. Z resztą rozpaczać czego nie mamy, bo mamy Boga, Sułtana, i nas samych z sobą: — mamy dobre imię, kozaczą sławę i polską sprawę. Już nie potrzebujemy marzyć tylko i pisać o Kozakach; gramy w Kozaków na jawie, i zbrojno i konno; duch stał się ciałem — świat kozaczy przed nami, wyciąga ręce do nas. Niechże to trzecie wydanie Wernyhory niesie się w ten nasz świat! bo jak będzie wola Sułtana naszego Pana, konie nasze zagrają w kopyta, a głosy nasze wykrzykną: — «Długie lata Sułtanowi, naszemu Panu. — Sława Bohu!»

Z tą myślą wysiadłem z rosyjskiego parochodu Chersonez — z taką żegnałem Małorusinów. — Oni mówili: Car Aleksander, Pan dobry, chce dać swobodę ludowi i uczcić każdego Narodowość, tak jak to robi wasz Monarcha. Ale Bojarowie i Niemcy stają na przeszkodzie, tak jak stali Janczarowie i Fanarioci na przeszkodzie Sułtanowi Mahmudowi. Odrzekłem: — to niech z nimi zrobi jak zrobił Sułtan Mahmud — między swoimi znajdzie Agę Paszę — a będzie błogosławiony — bo inaczej to nie trafi do duszy kozaczej. — Z taką myślą, z takiem przekonaniem wyprawiam w świat trzecie wydanie Wernyhory.

SALONIKA 12. SIERPNIA.

Wyjechałem z Saloniki, żydowskiego miasta, i tam napotkałem styczność z pamiątkami Polski. Nie sami Żydzi hiszpańscy osiedlili się w tem mieście, ale są i polscy. Część miasta, gdzie oni zamieszkali, zwaną jest do dziś dnia — Polaki. — Wszyscy oni z religji Mojżeszowej przeszli na religję Muzułmańską, żeby się wydobyć z pod arystokratycznego gniecenia Żydów hiszpańskich — demokrację wynieśli z Polski. Chociaż

w gościnnej Polsce przywykli byli do nałogowego nękania przez szlachtę polską — znosili, bo sowicie sobie wętowali zarobkiem, bunczuczne dokuczanie szlachty polskiej. I szlachta polska i Żydzi, tu jeszcze na Wschodzie z pewnym rodzajem przyjemności powtarzają przysłowie: «jak bieda to do żyda — jak po biedzie, to po żydzie» ale nie chcieli znosić arystokracji hiszpańskiej swoich współwyznawców Hydalgów; bo ci ich i nękali, zarobku nie dawali i jeszcze ich własne zabierali. Zostali Muzułmanami, i teraz tworzą klassę tuzinkowych Bejów i Agów, z ojca w syna, przez całe pokolenia. Od czasu przyjęcia Muzułmanizmu, służą w policji, przy cłach, przy kwarantanach, a teraz w Żandarmerji; i jak mogą wet za wet oddają hidalgom Izraela, zamieszkałym w Salonice. Jak nasza szlachta Owrucka, choć w opończy i postołach, jeszcze chce być górą. Duch naszej szlachty ich owionął, i już na wychodztwie, za granicą, jak nie znaleźli szlachty polskiej, nie chcieli zostać żydami szlachtą. Lubię ich za to — jak lubię dziarskich Izraelitów służących w Kozakach i w Dragonach od początku organizacji — jak lubię Izraelitów polskich, wykonywających patrjotyzm w czynie — a już jest nie tylko nadzieja, że oni spolszczeją, ale pewność: że przeszli na Polaków. W Wernyhorze tępili Kozacy żydostwo jak Jezuitów; ale tego by już teraz nie zrobili, bo się z nimi zbratali w Kozaczyźnie, w obozach, na polu bitwy, wśród znojów i bojów. Nie jeden by może Ataman powiedział, jak mówił świętej pamięci wielki Jan Wyhowski:

«Prodam Bar i Budu, a zahraju Wyzuwitam w dudu.»

Darowane Starostwa za pobicie wrogów na polu Konotopskiem, chciał sprzedać i sprzedał, żeby wytępić gorszych wrogów jeszcze.

Ale już żaden z Atamanów nie powie jak Żeleźniak i Gonta: «na pohybel Lachom i Żydom» — bo i Lachy i Żydzi już nietylko się modlą, ale bić się chcą i bić się będą za Polskę — wspólną matkę wszystkich, i Kozaków. Oj! nam na nic się nie zda modlić się i być bitymi — nam trzeba modlić się i bić, na gwałt. Tak mówił Wieszcz Wernyhora, a z nim Kozacy wołali: «Módlmy się i bijmy!» — i teraz wołają: Módlmy się, a bijmy!

Wyjechałem z Saloniki. Koń kozaczy podemną, jak świętej pamięci Neczaja, skarogniady — zwie się hulaj, i prawdziwy hulaj. — I ja się postarzałem, ale jak ujrzałem step, jak nasz Ukraiński — odmłodniałem i duszą i sercem. — Odnoga Salo-

nicka zdała mi się jak Liman Dniestrowy — Wardar rzeka, jak Tiaźmina nasza, albo Roś rodzima; i Orły, jak nasze, po niebiosach szybowały — i czarne Gawrony, jak nasze, krakały po mogiłach — i z mogiły na mogiłę wzrok skakał jak u nas — i hany, jak nasze karczmy ze stepu podróżnych wabiły. I szlak jak nasz, czarny; jak nasz kopny, tumanami pyłu w dziwne kształty malował obłoki.

Z Saloniki jechałem na Jenidże-Wardar, i tam znowu nowy pojaw: — cała ludność jasnowłosa, błękitnooka, a Muzułmanie. Wypytuję; odpowiadają: że to są potomkowie Dońskich Kozaków, którzy zaszli do Macedonji, jeszcze za panowania w Rosji Katarzyny pierwszej — po buncie Stenka Razina; przyjęli wiarę muzułmańską. Kozacy Kubańscy, osiedleni koło Bandermy i Mahatycza, w Anatolji, w siole Binewle, nad jeziorem Majnowskiem, nic o nich nie wiedzieli — ani Starowiercy i Lipowanie z Dobrudży. Oni zaś sami tak opowiadają tradycję swojego osiedlenia się

Przyszło ich pareset bezżennych i zaczęli ryby łowić w Salonieckiej odnodze i w rzece Wardar. Obozowali koło wsi Karoferi, gdzie, dziwnym kaprysem natury, kobiety były bardzo pięknej urody, mężczyźni zaś prawdziwe karły. Miały to być Oblubienice Bogów z błogich mitologicznych czasów, a karłowie byli im dani za dozorców. Ten Harem Olimpu był w bliskości jego podnóża, i po zejściu Bogów ze sceny tego świata, doczekał się przyjścia Kozaków, ze swojemi Odaliskami i Eunuchami. Odaliski wzięły Kozaków za Bogów Olimpu i prawie wszystkie uciekły pod Kurenie Kozackie. Wielki się zrobił rejwach między Grekami; zagniewał się Pan Saloniki: żal było się rozstać Kozakom z Odaliskami — żal było Odaliskom opuszczać Bogów przybylców; i jedni i drugie oświadczyły, że przyjmują Islamizm. Pan musiał ich przyjąć pod swoją opiekę, a firman ze Stambułu przeznaczył im Jenidże Wardar na siedzibę, i nadał im prawa i przywileje Muzułmanów. Dotąd cała ludność Jenidże-Wardar jest zwana Rusami, przechowuje krasiwą urodę i w niewiastach i w mężczyznach. Widać że Bogowie Olimpu, choć zdegradowani ze swych posad, ostatki władzy użyli ne ukaranie raczej nieszczęsnych jako niewiernych dozorców swojego haremu; bo dali im za żony takie maszkary karlice, jakimi oni sami byli; i ta rasa Ezopów do dziś dnia przechowuje się w całej szkaradzie. Dwa wyobrażenia — piękności i brzydoty ludzkiej

— żyją w sąsiedztwie; żyją w zgodzie, choć nie zapomnieli jeszcze o swojej przeszłości.

Zarzucić mi mogą, że to bynajmniej nie należy do Wernyhory — odpowiem: prawda! ale ją piszę prawie na koniu — zmieniam przedmioty na wtór okolic kraju, na wtór ruchowi konia — byle w nich było co zbliżającego do Kozaków; a tem samem żeby się mogło czy liczyć, czy się przyczepić do Kozaczyzny. A Wernyhora jest jej wieszczem, jej prorokiem.

Chciałbym w dzisiejszej Wodynie, w dawniejszej Edessie, Stolicy Filipa Macedońskiego, wynaleźć co kozaczego. Niektórzy utrzymują, że tu się urodził Aleksander Wielki. Chociaż mój najlepszy przyjaciel i najwytrwalszy z towarzyszy, świętej pamięci Ludwik Zwierkowski, znany w Stambule pod nazwiskiem Lenoir — w Serbji Czarny — w Czerkassji Kara-Ułak Bej, Książe czarnych Krakusów — w swojem Sławo-Filizmie dowodził: że rycerstwo Achillesa, tak dobrze jak pułki Macedońskie Filipa i Aleksandra, były ze szczepu Sławian, Mirimidonów — czyli donosicieli Miru, pokoju, przez wojnę; że Achilles było nazwanie Sławiańskie. Ach! ileż w domyślaniu się, łez z jego przyczyny było wylanych przez Matki i Kochanki poległych bohaterów z jego ręki! Przyjaciel jego Potrokl — paterz-okiem — więc Sławianin. — Aleksander także Sławianin, może Kozak — Aleksander — niemczyzna się domięszała; bo Persowie, wedle tych poszukiwaczy, byli Germańskiego szczepu; a że ich bił bohater Macedoński, więc mówili: ach! on inny, bije a nie rejteruje jak Ksenofont. Mógłbym jeszcze dodać za najważniejszy warunek, że Wernyhora urodził się we wsi Makiedonach, na Ukrainie. Musiała to być osada Macedońska Sławian, została na Ukrainie z czasu wypraw Aleksandra i jego Wodzów w Scytyjskie kraje; i kto wie, może Wernyhora mógł wieść ród od Macedończyków z Edessy — dzisiejszej Wodyny.

Takem już ciągnął, obyczajem Ludwika Zwierkowskiego, tę piękną Wodynę do mojej przedmowy — kiedy nagle zjawił się przedemną Hryhory, żołnierz dymisjonowany z drugiego Pułku Kozaków Sułtańskich, przedzielonego w czasie ostatniej wojny, do służby, a raczej na żołd angielski. Pułk, który był najszczytniejszym pomysłem długich kombinacji Organizatora-Firmanowego tego pułku. Pułk ten, przez swoje litery początkowe mógł oznaczać zarazem — i drugi pułk Kozaków Sułtańskich — i drugi pułk konnych strzelców. Ztąd w biuletynach owej roz-

sławionej Dywizji Anglo-Turecko-Polskiej, szumniejszych jak biuletyny Wielkiej Armji Wielkiego Napoleona z pod Piramid — czytano: Jenerał Storch, Komisarz Jej Królewskiej Mości Królowej Wielkiej Brytanji do dowodzenia Dywizją — odbywał przegląd drugiego pułku Kozaków Sułtańskich, i był bardzo zadowolnionym z precyzji w manewrach drugiego pułku konnych Strzelców. Jeden i tenże sam pułk mnożył rozmaitość broni w Dywizji. W Polsce się cieszono: — Mamy Kozaków, konnych Strzelców, Ułanów, celnych Strzelców, piechoty liniowej pułki, Artylerję, Saperów, Pionierów, Rakietników, i t. d. i t. d. Wołano: czekajmy, siedźmy cicho! Organizator z Komisarzem nas zbawią. A nie słuchajcie tych Kozaków stojących na czatach nad Prutem; ucierających się z Moskwą; wołających: łączcie się z nami, dajcie znak życia, pokażcie żeście Polacy, bo inaczej o was zapomną; wiedzcie o tem, że o zmarłych lub zamierających nikt nie zechce pamiętać. — Co mamy słuchać tej hołoty — to ani ponumerowane, ani ponazywane jak się należy; — bić się tylko chce i bić umie — a więcej nic. Organizator z Komisarzem nas zbawią. Numerują, nazywają pułki — już wzięli nowe mundury, i lecą — ale wstecz od nieprzyjaciela — z pod Szumli pod Warnę — ztamtąd do Adrjanopola, a w końcu do Minczuk-czekmedże, pod Stambuł. Gdzie odegrawszy melodramę buntu religijnego katolickiego przeciw Islamizmowi — ma się rozumieć: wybrawszy wprzód muzułmańskie pieniądze — wyżebrawszy przez Posła Królowej Wielkiej Brytanji dekoracje i stopnie, dla siebie i swoich — rozwiązali sławne pułki, sławnej Dywizji. Drogo! oj drogo, ona kosztowała i Turcję i Anglję! — Organizator, katolik ubłogosławiony przez kościół, tajemnie ją rozwiązał, żeby się nie sprawdziła przepowiednia Wernyhory — bo to wieszcz błahoczestywej wiary — i już Anglik wiązał się z Turcją i ze sprawą polską. Jezuici, za ten czyn wielki niesłychany, pewnie Organizatora ukanonizują, poświęcą. Ale Kozacy zostali zbrojni i na koniach, gotowi spełnić przepowiednię Ojca Wernyhory.

W Edessie, ani śladu, ani wieści o Macedońskich królach; nikt nie wie co to za jeden był: ów Filip, ów Aleksander. Jak pytać Arnautów, myślą: to byli Hajducy wielkich dróg, albo Serzierdury Baszybozuków. Jak mówić Bułgarom, odpowiadają: to pewnie byli Francuzi albo Włochy, bogaci, zakupujący nasiona jedwabników, kokony, do Marsylji albo do Liworno. Grecy

mniemają, że to byli Popi ze świętej Góry, Ihumeny Moskiewskiego Monasteru. Turcy są pewni, że to dzierżawcy ceł, dozorcy dziesięciny, zapewnie wspólnicy Dzella Abota, Aletyniego, lub Temandesów, najbogatszych kupców Saloniki. Każdy zgaduje wielkich ludzi ze swego pojęcia o wielkości.

W dzisiejszej Wodynie, młyny wodne gwarzą i hałas robią za ludzi — szumią, warzą, i od tych to młynów Edessa przechrzczoną została na Wodynę. Do koła po wzgórzach i gajach cudnego uroku, grają ogary, najsławniejsze w całej Rumelji — zapewnie potomkowie psiarni Filipa i Aleksandra. Ze wzgórza na wzgórze wije się szlak szeroki, piękny, jakiego nie masz w całej Turcji — dzieło Polaka — Podpułkownika Mahmud Beja Freunda, jednego z najzdolniejszych i najzasłużeńszych Oficerów cudzoziemców w służbie Sułtana.

Z Wodyny, czyli Edessy, zawsze szlakiem Mahmud-Beja Freunda, dojechaliśmy do Ostrowa, wioski nad jeziorem, do którego nie wpada żadna woda widoma, ale którego wody corocznie tak wzbierają, że zalały większą część tej siedziby, która przedtem, dość znacznem i sławnem w historji Bulgarskiej była miastem. W środku jeziora jeszcze sterczy Minaret Meczetu, i nad samą powierzchnią wody zgliszcza domów i hanów. Nikt z mieszkańców nie śmie nogą wstąpić w jezioro; powiadają, że djabli siedzą na dnie i porywają za nogi kąpiących się lub pływających łódką. Koń, ani bydlę żadne wchodzić nie chce w wodę, bo wszędzie rozwaliny mieszkań, mury i jamy. Nie umiano nawet łapać ryb, które są wyśmienite w tem jeziorze. Od roku, kilku Kozaków dymisjonowanych zaczęło się trudnić rybołówstwem. Wypędzili djabłów z jeziora, ale za to łapią ryby i zbierają duży grosz. Przyszli oni do mnie uskarżać się że woda zaczyna ustępować; że z jej ubywaniem będzie ubywać ryba; żebym na to zaradził — wydał rozkaz — i pytali, czy długo rzeba będzie czekać na wojnę z wrogami Sułtana, z wrogami Polski — bo jeźli nie długo — to może stanie wody do tego czasu, i ryb stanie — a potem pójdą. To mówił jeden — ale zakrzyczeli wszyscy: — Nie! chociażby wody było tyle jak w morzu, a ryb jak much w Berdyczowie w czasie Onufrejskiego jarmarku, to jeszcze wszystko rzucimy i pójdziemy bić wrogów naszego Monarchy, naszej starej Ojczyzny. Ci Kozacy pewnie nie będą pytali Doktora, żeby rzucić ryby a wziąść się do piki — nie będą czekali na jego pozwolenie: — to mi Kozacy!

Pożegnałem ich serdecznemi słowy. — Jak przyjdzie czas, powołam was. Oni odpowiedzieli: — Wołaj! a wołaj co prędzej! — niech przychodzi czas, bo nam już nudno — zachciewa się konia i spisy, i wykrzyknąć po naszemu — Sława Bohu!

Opuściłem Ostrów; jechaliśmy brzegiem jeziora, a Kozacy na łódkach wciąż nam towarzyszyli i grzmieli pieśnią kozaczą — raźno — ochoczo. Straciłem z oczów i łódkę z Kozakami i jezioro, a jeszcze w uszach brzmiało: «hej Kozacze! w imię Boga!» Z tem brzmieniem przyjechałem do Gomiczewy, a ztamtąd do Banicy.

Tu się schodzi z wielkim szlakiem szlak Tessalski z Selfidży. Przed laty, zaraz po wojnie, szły tędy pułki kozacze raźno, ochoczo, na służbę Sułtańską — ku Grecji — na pogranicze — na czaty. Tędy, we cztery lata potem, wracały smutne, nie swoje, bo choć sumienną służbą zarobili na dobre imię — na zaufanie swojego Pana, swojego Monarchy — potracili najdzielniejszych ze swej starszyzny, ze swych towarzyszy. Pomorek zabrał Majora Mehmed-Beja Luboradzkiego, zacnego serca Polaka, oficera wielkiej nadziei — Majora Jarosława hrabiego Römera; pułk, ze śmiercią tego oficera stracił wiele, ja straciłem przyjaciela, a Polska jednego ze swych najdostojniejszych Synów; Porucznika Juliusza Służalskiego, przyjaciela naszego Wielkiego Adama Mickiewicza i nieodstępnego towarzysza aż do śmierci wieszcza Polaka; Porucznika Brzezińskiego; Ałłaj Czausza Giorgi Christo, ozdobionego Medżydią za waleczność; i przeszło sześćdziesięciu najdzielniejszych Kozaków. Dragoni stracili Sztabslekarza Narkiewicza, niepospolitej zdolności i cnoty Polaka. Smutno przypominać, jak smutno wracały pułki z czatów granicznych. Święta pamięć tym zmarłym towarzyszom, czci chorągwi naszej, miłości ojczystej sprawy! Płaczmy za nimi i służmy jak oni służyli — ta żałoba będzie im najmilszą. — Oni poszli zdać sprawę naszym wielkim Praojcom, i już zasiedli przy nich, i patrzą na nas, i błogosławią nam, i modlą się do Boga za nas, za Polskę, za Kozaczyznę. I oni, i Praojcowie nasi rachują na nas. Cześć wam i sława! moi Kozacy, moi Dragoni, moi serdeczni towarzysze! — że po takich klęskach, po takich trudach i znojach, po latach tylu, stoicie przy tej samej kozaczej Chorągwi, z której wieje już, a powieje jeszcze silnej zbawienie Polski!

Z Banicy do Monastyru, dawnej Macedońskiej i Bulgarskiej

Bitoglji, szliśmi szlakiem, który przez dwa lata tratowały kopyta naszych kozaczych koni, stojąc garnizonem w Monastyrze. Pułki moje wyszły ztąd przed półtora miesiącem na Kosowe-Pole; ale zostało tu kilku oficerów Polaków, tak zwanych aczykami, czyli na reformie — a raczej: do użycia, bardzo chmurnych ze zmniejszenia na połowę żołdu i zupełnego odcięcia racji; niektórych zaś z postanowieniem ministra wojny, do zdawania egzaminów przez tych, którzy by chcieli być umieszczonymi w czynnej służbie. Rozumiem markotność tych oficerów, którzy z taką ochotą przybiegli służyć Sułtanowi przeciwko wspólnym wrogom; którzy z taką wytrwałością i gotowością służyli, służą, i chcą służyć; ale rozumiem także potrzebę i powinność rządu, wprowadzenia oszczędności i wygluzowania nadużyć z wojska. Postanowienie to dotknęło tylko trzydziestu Polaków, ale za to przeszło tysiąc krajowców. Przeciw tym ostatnim był cios wymierzony bardzo słusznie. Przez wzgląd na cudzoziemców, zmarły Sułtan przez kilka miesięcy wstrzymywał podpisanie tego postanowienia; teraz zostawiono cudzoziemcom możność wyjścia z tego położenia przez zdanie egzaminu. Rząd Ottomański szlachetny, nie opuszcza tych którzy mu służyli i służą. Sułtanów ród, najdawniejszy między Monarchami. Sułtanowie nie mają obyczaju Republik i liberalnych Królów: kiedy wojna skończona i cudzoziemcy niepotrzebni, dadzą żołd, świadectwo, paszport, jak sługom jurgieltowym i ruszaj w świat! — To w Turcji inaczej: kto za nią raz krew przelewał, albo chciał przelewać, tego nie opuszczą. Sułtanów serca szlachetne, a opieka szczodra i ojcowska.

Ale darmo perorować cierpiącym Aczykom, bo oni pewnie by tak odpowiedzieli, jak lud pobożny jakiegoś tam zakałka Polski, kanonikowi i kaznodziei swojemu, który zjadłszy dobre śniadanie, i w pewności zjedzenia dobrego obiadu, prawił o wstrzemięźliwości ciała i o zasłudze odmawiania sobie łakotek gastronomicznych: «Księże! dobrze ci prawić o morzeniu ciała, kiedyś zjadł indyka, a czeka ciebie pieczony prosiak i flasza węgrzyna.» — Nie gadałem tedy nic, tylko słuchałem narzekań i rozumowań.

Jeden z tych Panów, nie powiem nazwiska, był bardzo oburzonym, że między przedmiotami do egzaminów, była oznaczona Kastromacja; mówił: «Nie dziwneż to te Turki — kiedyśmy przybyli do Karsu, wymagali, aby oficerowie Sztabu byli pie-

karzami, muzykantami — a teraz chcą żebyśmy zdawali egzamen z Aptekarstwa.»

«Jeden z przytomnych zrobił uwagę, że w przedmiotach do egzaminu nie widzi bynajmniej Aptekarstwa.»

«A Kastromacja?»

«Wszak to sztuka obozowania.»

«Co mi Waćpan gadarz! młody jesteś, po łacinie nie umiesz, Alwara was nie uczono — tylko: parler français; — Castor, Castorus, Bóbr — a macja to essencja. Ja to wiem; nie jedną sotnię boćkowskich wyliczyli mi Księża Jezuici, by tego nauczyć.»

Wszyscy w śmiech — a Aczyk kontent z siebie, rozweselił się. —

«Teraz jaja chcą być mędrszemi od kur, ale nie tak to łatwo szczwanego lisa w pole wyprowadzić; i z łaciną, i z jeszcze innemi rzeczami was młodych w kozi róg bym zapędził.»

Zostawiliśmy zacnego Aczyka w zadowolnieniu. Dobra lub zła przygoda najczęściej w ludziach dowcip rozwija, i gdyby powieściarze chwytali te chwile, mieliby zawsze kilka dobrych wierszy do swoich powieści.

Mówiono mi w Stambule: Człowiek niespokojny, swarliwy, z całym światem polskim i nie polskim w wojnie — który już wszystkich znajomych i nieznajomych pooskarżał, podenuncjował; i który dochodził do konieczności oskarżania i denuncjowania siebie samego, dla braku żywiołów do swojej czynności — protestował z całą żółcią przed jednym z urzędników Ministerjum wojny:

«Jak to! dekretować mnie, że jestem nieczynnym? To kłamstwo! najbezczelniejsze kłamstwo! Czyż mnie Panowie co dnia, co godziny nie widzicie? Jestem czynnym, najczynniejszym; tego mi nikt z Panów zaprzeczyć nie może.»

Urzędnik się uśmiechnął. — «To prawda, że za nadto Pan jesteś czynnym; ale za taką czynność jak Pańska, albo z wojska wypędzają — albo wieszać powinni.» —

— «To dobrze; niech mną pogardzają, mniejsza o to — niech mię wypędzą z wojska — niech mnie powieszą nawet — ale niech nie mówią, że jestem między nieczynnymi, bo to bezczelne kłamstwo.»

Ktoś z boku zapytał: «A zdałbyś Pan egzamen? i z czego?»

Bez wahania się odpowiedział: «Z intrygi i denuncjacji.»

— «I to rządowe sprężyny, ale nie wojskowe tylko policyjne.»

I tu, w Monastyrze Kozacy ponieśli nie jedną stratę. Lucjan Wejkert, Warszawianin, młodzieniec pięknej urody, życie sobie odebrał. Przyczyną jego śmierci było jego uroda. W Walo i Laryssie, piękne Tessalki wzięły go za Adonisa, i tak ryczałtem darzyły go swą miłością, że on — nie Bóg — nie półbożek nawet — ale poprostu śmiertelnik, Warszawianin, musiał dać dymissję i wyjść z pułku. Wyjechał z Tessalji, uciekając, nie od febry ale od szczęśliwej miłości. Ale sława poprzedziła go do Konstantynowego grodu; Greczynki Perotki, jeszcze były zażartsze od Tessalek — ścigały dymissjonowanego Kozaka — rady nie było. Żeby uciec od Perotek, Kozak Warszawianin wszedł napowrót do pułku, i pojechał do Monastyru; bo słyszał ze Monastyrzanki, jak Paryżanki, ucywilizowane bursą i akcjami, nie kochają, tylko tych którzy mają pieniądze; a on nie miał, jak to mówią grosza przy duszy. Ale i tam znalazła się Triestanka, Niemka czy Słowianka zniemczona, już zaręczona za jakiegoś Szwaba, i to zakochała się na zabój w Kozaku-Warszawianinie. Brat dziewicy, konsul, czy kanclerz, czy Agent Austryacki, z całą nieużytecznością — z całym niesmakiem Niemca, i to Austrjaka — oponował się miłości dwóch kochanków. Postanowili sobie życie odebrać. On, po żołniersku, po polsku, pistoletem się zastrzelił. — Ona, po niemiecku, zażyła proszek na otrucie się, i — i wyzdrowiała! —

Odebrał sobie życie Wejkert dla miłości — odebrał sobie życie i drugi Polak: Ałaj-Czausz Sadkowski, sprytny, praworny. — Szkoda tych wyskoków. Lepiej być zabitym przez wroga Ojczyzny, jak zabić się samemu — to i zaszczytniej i użyteczniej, i po polsku.

Kiedy to piszę, Namiestnikiem (Kajmakanem) Naczelnego Wodza i Gubernatorem Sandzaku Monastyrskiego, jest Musezulek-Abdul-Kierym Pasza. Odebrał on edukację wojskową w Wiedniu. Jest to jeden z najuczeńszych ludzi w Państwie, a najuczeńszy wojskowy w tureckiem wojsku; lubiący dobrze jeść, i zamiłowany namiętnie w myśliwstwie. Urodzony w Czyopanie, Szandzaku Czermińskim, z rodu Pomaków. Pomacy pochodzą z Polski, z Województwa Podolskiego. W czasie nieszczęśliwego panowania Michała Korybuta Wiszniowieckiego, Turcy zabrali w niewolę z okolic Kamieńca Podolskiego, czterdzieści

tysięcy ludności obojej płci. — Z tych, jedna część osiedliła się w Bałkanach, i przyjęła Islamizm; i ich nazwano Pomakami, kładąc *m* w miejscu *l*. — Zachowali oni wiele słów z języka polskiego, wiele ze zwyczajów i z obyczajów; zalety, nałogi, i całą fizjonomię polską. Druga część osiadła na płaszczyznie, koło Filipopoli i w samem mieście; zachowała wyznanie wiary katolickiej, i zowie się Pawlikjanami, od dwóch Księży Polaków przybyłych z nimi: Pawlik i Jan. Obydwie te gałęzie szczepu polskiego najwięcej dają ochotników do Kozaków i do Dragonów. Oni dopełniają powinności, jakich zaniedbują Polacy z kraju; i to najlepszy dowód ich polskości — polskości serca. Po jednym miesiącu jużby ich nikt nie rozróżnił od Polaka urodzonego w najgłębszej części Polski: taka postawa, taki ruch, taki język — kostka w kostkę, mastka w mastkę Polacy — jak mówi dawne staropolskie przysłowie.

Aziż Pasza, syn Izeta Paszy, a wnuk Haki Paszy z Bomiaskiej rodziny Topoliczów, idącej po kądzieli od sławnego Sudrazama Bomiaka, Achmeta Sokolego, czyli Sokołowicza; i jego Sekretarz Porucznik Kędrzyński, wyszły z Kozaków dla słabości zdrowia — dość ważne uzbierali dowody do historji Pomaków, i Pawlikjanów, i z całą gorliwością zajmowali się poszukiwaniem tego pochodzenia.

Aziż Pasza jest potomkiem tego Wielkiego Sokołowicza, który nie szczędził majątku, życia i wziętości, w walce z Austrją. Ciągle powtarzał, rano i w wieczór, jak pacierz powszedni: «O! gdybym, Boże Wielki, mógł zniszczyć Wiedeń; tak, żeby kamień na kamieniu nie pozostał! Wyniósłbym z gruzów wysoką mogiłę, i na niej bym chciał umierać, dziękując Bogu, że mi pozwolił wybawić Sławian z Niemieckiej niewoli; bo póki ten Szwabski, przeklęty Wiedeń stoi, póty dla Sławian nie ma swoboby, ani bytu, ani sławy.»

Nie tak myślał, nie tak działał nasz Jan Sobieski; i dla tego Sławianie tureccy, w zdrowym sensie swoich pojęć, Achmeta Sokołowicza, muzułmanina, zowią Wielkim Mężem, Wielkim Sławianinem — i to mu się należy — a Jana trzeciego, Sobieskiego, opasłym Harcownikiem, tańcującym na sznurku u Maryni, francuzicy — i na to zasłużył. Przeszły mnogie wieki, do dziś dnia u Sławian, Wiedeń Austrjacki zowie się Becze — bo w nim Szwaby beczały jak barany, póki ich nie oswobodził miecz Sobieskiego od Sokołowego obucha. Niemiecką wdzię-

cznością odpłacili się Polakom; ale są jeszcze Sokołowicze, Topalicze, Bomiacy, i Sławianie jugowi. W Beczu jeszcze Niemcy po baraniemu zabeczą, ale już i Polacy pewnie nie przyjdą ratować.

Po wyjeździe z Monastyru, na drugi dzień ze wschodem słońca witaliśmy okiem górę Zamkową Królewicza Marka, i biały Prylep Królewicza Marka, sławny porażką zbuntowanych Arnautów, pod wodzą Mustafiego Paszy Skodry, przez Sadruzama Reszyda, Syna Gruzyjskiego Popa, którego Muzułmanie do dziś dnia zowią: Osłami z bohaterów Islamizmu. Była to porażka za panowania Sułtana Mahmuda — i jeszcze kości Arnautów bieleją na dawnych polach Królewicza Marka. Sławny to był rycecz ten Królewicz! pił on, i bił; jak Skinder Beg Albański zwany w świecie: Skinder Beg Kastriota — i jak w naszych czasach, nasz Skinder Pasza Iliński. Są trzej bohaterowie na jedno kopyto, ale nie jednych rozmiarów. Skinder Beg odbudował stracone Państwo; Królewicz Marko zachował Państwo Ojca; Skinder Pasza nic nie zbudował, nic nie zachował, ale tak sobie gracko junaczył na swoją rękę. Lud tutejszy nie wierzy żeby ci trzej junacy na prawdę pomarli. Utrzymują tu ludy Bulgarskie i Arnauckie, że Królewicz Marko na górze Babonie prylepskie wino spija; Skinder Beg w lasach kroi Albańskiej, arnaucką buzą się chłodzi; a Skinder Pasza od jednego do drugiego jeździ — salem wozi — wino i buzę spija, a przytem pociąga rakiję, którą wozi przy sobie, niby turbin perspektywa, żeby mu się świat żyjący nie zamglił.

Na Markowej górze jeszcze się nie zatarł wizerunek Królewicza; biała Bedowia klacz ulubiona, wojenna, jak żywa, ledwie nie wyskoczy z pod jeźdzca; a Marko całkiem w żelazo przepodziany, dumnem okiem patrzy na Bulgarskie pola i wzgórza, i zdaje się mówić: «Nie dam was!» W dłoni trzyma rękojeść szabli: «Wara!» Ale nie masz czaraka, sławnego rachowana, na którym woził juki z winem, widać że z obrazu się wyrwał, i poszedł za Panem nieboszczykiem na Babonę — żeby mu wina nie zabrakło. W zgliszczach zamku jeszcze ocalała izba, gdzie żona Królewicza, nadobna Markowa, przędła na płutno. Bulgary w wielkiem poszanowaniu mają to miejsce. Ale dziwna rzecz że starożytnicy europejscy, goniący za skamieniałemi żabami Egiptu, albo za oślemi uszami Mezopotamji, nigdy tu nie zawitali. A jednakże i rozwaliny zamku, i wizerunek Królewicza

Marka na jego klaczy, na skale kolorami wymalowany, wart zastanowienia się badaczów i artystów. Miałożby to być dla tego że to Sławiańskie? Czyż Sławianie gorsi są od Dardanów i od Niemców?

Na Babonie musiała być biesiada. Musiał hulać Królewicz Marko ze Skinderem Paszą, bo wiatr wył, grzmoty grzmiały, błyskało na niebie; potem deszcz jak z wiadra lunął. Po hulance spłakali się obydwa przy rozstaniu; tak to być musiało. I myśmy zmokli, jak to mówią, do nitki. Z tej biesiady pogrobowców i nam po brodzie ciekło, a w gębie nic nie było. Nie tak by nam się udało wywinąć, gdyby Skinder Pasza i Królewicz Marko, żyli prawdziwem a nie poetycznem życiem.

Piękny to kraj z tej Babony widać! Lasy, wzgórze, pola, a winnice jak okiem zajrzeć! I szlachcic Radomyski i Kujawiak mogliby tu osiąść; wina by nie brakło i to dobrego: na węgrzyna zakrawa, myszką trąci, a goryczki ma smak. Widać że Królewicz Marko, tłukąc bratanków Madziarów, nie zapomniał przywieźć latorośli winogradowych na szczepy, w zdobyczy wojennej. I w tym Królewiczu Marku to była kozacza dusza, choć nie kozaczy ród. Jak świat długi, jak świat szeroki, tłukł się po nim na białej Bedowej. Niemców i Madziarów bił — z juków siwego szaraka, dzielnego szłapaka, wino pił — kozakował. — Cześć jego imieniowi! Cześć mu, że przyjął pod swoje skrzydło Skinder Paszę! naszego Ignacego Ilińskiego, kiedy Polacy o nim zapomnieli i o jego dziecinie, biednej sierocie. A jednak, nie jeden tam w Poznaniu i we Lwowie, w Warszawie i w Kijowie, i w Berdyczowie — kiedy czytał gazety o Skinder Paszy, popił wina i wykrzykiwał: «tak nasi biją!» — A teraz, niech Królewicz Marko o Skinder Paszy pamięta — niech Sławianie jego dziecinę hodują — tak się to dzieje na tym polskim świecie! — Może dla tego płakali tak na Babonie.

Przyjechaliśmy do Kiupruli, dawnego Welesy, nad Wardarem rzeką. Bulgarowie zwą go: Mistrz Warder, ale nieszczęsny, bo ludzie w nim się topią, a łódki po nim pływać nie mogą. Wartki, kapryśny, jak krasawice Bulgarki, co z niego wodę biorą. Czy one od rzeki, czy rzeka od nich, nauczyły się wszystko ciągnąć do siebie? — nie ma rady — i woda taka ponętna w Wardarze — i krasawice takie ponętne nad Wardarem — że człowiek żelazo, na ten magnes lgnie na oślep. Nad Wardarem najpiękniejsze kobiety, i składne i ładne; i choć Bulgarki takie

szykowne jak nasze Laszki, można by i z Litwy na wyprawę jechać po nie. A śpiewak kozaczy, który w namiętności religijnej, kazał w Nazarecie i w Betlejem, dziewicom i chłopakom Izraela, wycinać tropaki i w prysiudy przysiadać — gdyby zobaczył Wardarskie Bulgarski, pewnie by je zaprosił w taniec kozaczy, i w tańcu jak winny wywijał; i nie powstydziłyby się przed czarnobrewemi. Z piękną urodą niewiast i oświata tu większa: wszędzie szkoły, wszędzie się uczą, żeby nie być osłami, i podobać się płci pięknej; i obyczaje nie dzikie — a wszystko to jest dziełem krasy i zalotności płci pięknej. Nie darmo to mówią ludzie prawdy, że piękność i zalotność kobiet, do wielkich rzeczy poprowadzić może. Z jakim zapałem w 1831. roku, Galicjanie biegli na narodową wojnę! — bo piękne a zalotne Galicjanki tak chciały. Wtenczas Laszki, Rusinki i Litewki nie mieliły się okiem i uśmiechem, tylko do tych, którzy biegli walczyć za Ojczyznę; a teraz, czy ich piękność znikła, czy przepłakały zalotność,. bo nic więcej z kraju nie słychać, tylko że się modlą, na klęczki padają, i dają się bić i niesławić Niemcom i Moskalom. Laszki, Litewki i Rusinki! zawołajcie na nas — myśmy się jeszcze nie wydoskonalili duchem na potulnych męczenników — mamy szable przy boku — pod sobą dzielne konie wschodu. Uśmiechnijcie się! zawabcie okiem i ustami, a skoczymy, modląc się do was, bić wroga Ojczyzny naszej — ktoby on nie był — czy Antychryst, czy sam Lucyper; byle obrazki waszych lic były przed nami, byle nasze ręce z szablami wyciągnąć do was. Zawołajcie, o piękne Rusałki naszej ziemi! a ufajcie waszą siłę — wyście wszechmocne — najwszechmocniejsze — po Bogu i jego Aniołach — boście jego Anioły na tym świecie! Kobiety, i jeszcze Polki, wszystko mogą jak tylko chcą. My Kozacy, grzesznicy, będziemy modlili się do was, i pełnili waszą wolę. Zaprobujcie!

Przytaczam tu wypadek zaszły w 1832, pokazujący co może krasa i wola kobiety. W Kiupruli żyły podówczas trzy siostry, bardzo urodziwe, wszystkie trzy dziewice. Mimo mnogich zalotników za mąż iść nie chciały; przebierały hołdownikami, jak zgniłkami, wedle naszego staropolskiego przysłowia. Bardzo się stroiły, i lubiły zabawę; i chociaż nie można było nic zarzucić ich postępowaniu, bardzo były szkalowane przez księży, przez rodziny zakochanych a niefortunnych, i przez samychże zalotników; a tych liczba była tak wielka, jak wielką była ilość

bezżennych w Welesy i okolicach. Zwano je zalotnicami, czyli kokietkami. Codzień szły po wodę z rana i w wieczór do Wardaru, bo to szranki dla zalotnych Bulgarek, jak dla naszych Pań sale balów, teatra, spacery, a nawet nabożeństwo po kościołach. Jak u nas uczą zalotności kibici w tańcu, w chodzeniu, w kłanianiu się, modleniu się, tak Bulgarek uczą matki, jak mają zgrabnie stawiać nogi w wodę, jak się schylać ze dzbankiem, zarzucać włosy składać suknie, całą naukę wyginań kibicią — tę choreografję zalotności. Otoż kiedy trzy dziewice szły po wodę, na ulicach i po nad Wardarem, taki był tłum ludzi i starych i młodych, że gdyby gwiazda ciekawa spadła z nieba, nie doleciałaby do ziemi, tylko by się zatrzymała na głowach ludzkich, i ztamtąd by się przypatrywała tym gwiazdom ziemskim, swoim siostrzycom.

Było to w owym czasie, kiedy Mustafa, Pasza Skodzali, potomek Skander Bega Kastrioti, podniósł hunt przeciwko Sułtanowi Mahmudowi. Arnauci Giezowie zajęli wioski i miasto Bulgarskie i w nich panowali przemocą i obelgą, jak wrogowie w Polsce do dziś dnia panują. Arslan Bej, najdzielniejszy z wojowników Mustafy Paszy, ulokował się w Welesy; jeździł na Bulgarach jak na koniach, żeby Arńauckich czaruków nie walać bulgarskiem błotem; lżył Bulgarów modlących się w cerkwiach, i dla zabawki swoich Sipahów, kazał ścinać i wieszać lud bogobojny. Po ulicach ćwiczono rózgami kobiety i dzieci; i tak było w Welesie, jak bywało później w Poznaniu, w Krakowie, we Lwowie, i w samejże Warszawie. Ta dzicz jednak, ze swoim wodzem, w zachwyceniu stawała przed trzema dziewicami; bo one jedne, z całego miasta, jak dawniej chodziły po wodę do Wardaru i z rana i w wieczór. Kokietowały wrogów tak dobrze jak i swoich — bo w naturze kobiety, szczególnie urodziwej, jest chętka podobania się wrogom nawet. Arslan Bej, choć nosił imię Lwa, był pokornym przed trzema dziewicami i nie śmiał ich siłą zawłaszczyć do swego haremu. Chciał sercem zyskać serca; ale nadaremno — i okiem wabiono, ale sercem odpychano. — Zniecierpliwiony uporem, jednego dnia siłą wszedł do domu trzech dziewic — i tego dnia nie widziano trzech dziewic przychodzących po wodę. Wardar był smutny, ponury, mętny, bez swoich Rusałek, a tłum Bulgarów pokrył brzegi Wardaru, i czekali — i patrzyli.

O samej północy, kiedy straże Arnautów ukołysane znojem,

trunkiem i spokojnością, posnęły — z domu wyszły trzy dziewice. Najstarsza niosła w ręku głowę odciętą Arslan Bega; a dwie młodsze, dwie inne głowy, dwóch braci Arslan Bega: — Kaplan Bega — i Adem Bega. Wszystkie trzy jak z dzbankami po wodę szły do Wardaru; Bulgarowie z radości wołać nie śmieją, patrzą, idą ich dziewice — takie zgrabne, takie zalotne jak dawniej; i oczyma i sercem putną na swoje dziewice i napatrzyć się nie mogą. Przeszły kładkę stanęły na skale nadbrzeżnej — obróciły się do tłumu, głosem smutnym ale urocznym zaśpiewały im — swoim Bulgarom: «Myśmy niegodne już ani waszych oczów, ani waszych serc — Wardar nam tylko został — Wardar, nasz Wardar — pomścijcie nas! pomścijcie was!» Złożyły na skałe głowy trzech Bogów Arnautskich, a same skoczyły w Wardar, zniknęły, potonęły. Nikt ich nie potrafił uratować — ale zemsta zawrzała w sercach Bulgarów: bezbronni, jednej nocy wyrżnęli cały pułk Arnautski Arslan Bega; ani jeden nie pozostał.

Kiedy przyszedł po Prylepskim zwycięztwie Mesmed Reszid, syn Popa Sadrozum i Seraskier Sułtana Mahmuda — taki sam rycerz w Izlamizmie, jakiemi byli Ewrenosy i Manałcylowie — zastał wszystko w porządku. Bulgarów Welesy przywilejami udarował; nakazał: aby skałę nadbrzeżną i kładkę szanowano jako pamiątkę miasta — i dotąd one zachowane jak relikwie świętych. I Bulgarki tam przychodzą wodę czerpać — czerpią, i śpiewają i rozprawiają o trzech dziewicach, o wycięciu wrogów Arnautów. Wardar od tego czasu jeszcze więcej ciągnie do siebie, a Arnauci zwą go wodą nieszczęścia. Może tak kiedyś będzie z naszą Wisłą — i z naszą Wilją — i z naszym Dnieprem.

W nocy wyjechaliśmy z Kiupruli, szeroką stępą szliśmy przez te wąwozy, któremi niegdyś chodzili dawni Rzymianie — do dawnej Skopji, dzisiejszego Uskiupu — by z tego szańca bronić się od napadu barbarzyńców Bosnji i Serbji.

Temi wąwozami później chodzili Serbowie Duszana, Stefana Niemanicza i Króla Wukaszyna ojca Królewica Marka, by zawładnąć Macedonją, Epirem i Tessalją. I tam władali Sławianie, wygnawszy Rzymian, ujarzmiwszy Greków. — Macedonje u Sławian szerzyli. Świetne to były Sławiańskie czasy! Stanęli męztwem, upadli niesfornością — zwyczajnie Sławianie. Po kolei zawładani zostali przez potomków Otmana i Orkana.

Te wąwozy sławne, krwią poznaczone, krwią wojen i roz-

bojów. Grecy, Rzymianie, Sławianie, Turcy, Arnauci, tu mięszali krew swoją, nie sojuszem — ale żelazem. Księżyc z za chmur patrzał na nas: co to za nowi pojawili się najezdnicy? co to za Kozacy wędrują w cieniach nocy po tych Rzymskich drogach?

W Uskiupie, tym Damaszku Arnauckim, imię kozacze — ale już nasze — dobrze jest znane. Chrześcianie mu błogosławią, i w Kozakach, tem chrześciańskiem wojsku Sułtana — mają najlepszą rękojmię; lepszą jak w traktacie Paryzkim i w opiece obcych Dworów, dotrzymania praw i przywilejów im nadanych przez trzech Sułtanów następnie. Arnauci, i mistrzowie swawoli, bezprawia i rozboju, drżą przed Kozakami. Przed parą miesiącami kozaczy Pułkownik Franciszek Kirkor, wszedł do wzburzonego miasta ze swoimi Kozakami. Mimo świst kul, huk strzałów, żaden Kozak szabli z pochwy nie wyciągnął; winni zostali pochwytani, porządek przywrócony. Tak to Sułtański Kozak dopełniał swojej powinności w Uskiupie: zbrojnych karcił, używając broni — kiedy jego imiennik Carski, nad Wisłą, siekł i kłuł lud bezbrojny, padający na kolana, i modlący się do Boga. — Jaki pan taki kram.

Z Uskiupu przeszliśmy wąwozy Kaczunnika nad Leponą rzeką, i sam Kaczunnik, zamieszkały przez Giezów Arnautów — istna Wandea Otomańska. Za panowania Muradów Arnauci tutejsi przyjęli Islamizm, by mogli prawnie rozbójniczyć na Kosowem polu. Teraz, ujęci w karby nowem prawem, wzdychają za dawnemi czasami, nucą pieśni i wyglądają na Pole Kosowe, na które i my wjechaliśmy.

Kosowe pole, przez długie wieki szranek junaków rozmaitych ludów: tam, jechał ojciec z synem ćwiczyć go do boju; matka, ośmnastolatniego syna tam wyprawiała, mówiąc łzą stłumionym głosem: «Idź synu na Kosowe, a wracaj mi zdrów i rycerzem.» Dziewica, kochankowi mówiła: «Jak wrócisz z Kosowego, oddam ci i serce i rękę, jak zostaniesz rycerzem.» — Żona żegnała męża: — «Wracaj mi z Kosowego, masz żonę, dzieci, ale wracaj jak rycerz, ze zdobyczą.» — Wsie całe i miasta żegnały: «Jadą nasi na Kosowe — Boże! daj im szczęście, zwycięstwo, i sławę.» — Witały: «Nasi wracają z Kosowego; Boże, bądź pochwalony! bo zwyciężyli — i cali — i okryci sławą.»

Kosowe pole była zbornią rzemieślników wojny; i stało się mogilnikiem Sławiańszczyzny. Po dwakroć razy Sławianie hojnie

krwią zleli Kosowe; i Sitnica była czerwoną jak purpura, Łap za-czerwienił swoje wody; brat z siostrą, dwie rzeki Kosowego, niosły w poselstwie matkom, żonom, siostrom, kochankom — krew — krew sławiańską; a one — osierocone niewiasty i dziewice — łzami odczerwieniały wody Łapu i Sitnicy, żeby dalszym Sławianom nie niosły tylko łzy z Kosowego. I Kosowe wzrosło w większą sławę w Sławiańszczyźnie, niżeli w Kozaczyźnie step Świętych Pańskich: tylko z tą różnicą: że na Kosowem runęła i wolność i swoboda sławiańska, Serbowie Lazara uchylili karku przed dziarskim plemieniem Otomana — na pustyni Świętych Pańskich, mołodce Daskowicza, Rożyńskich, Sahajdacznego i Brzuchowieckiego, odparli hordy Tatarskie Dżengishana i Tamarlana zastępy Muzułmańskie; zasłoniły Polskę od jassyru tatarskiego, Zachód od potęgi Wschodu. — Ale potem na tymże samym stepie Świętych Pańskich, runęli od Chrześciańskiej zdrady i przemocy. Muzułmańscy Sułtanowie, zostawili Sławianom i ich domy i ich pola — dozwolili umierać na ziemi praojców — składać kości w mogilnik Sławiański; Caryca Moskiewska ze Stepu Świętych przegnała Kozaków, jak psiarnię, na dzikie stepy Kubania, gonić Czerkiesa po górach i bezdrożach i nakładać głową na czużynie — daleko i bardzo daleko od Zaporoża — od mogił kozackich.

Na całej płaszczyźnie na Kosowem, zamieszkali Serbowie — wioski ich zamożne, urodzajne pola, sady strojne w barwiste owoce, i lud dorodny. Po górach mieszkają Bejowie Arnauccy, podobni do naszej szlachty Owruckiej — w czamarkach i zbrojno. Na Kosowem zostało tylko dwa pomniki: — turba pogrobowy pomnik Sułtana Murada, i turba Sandzaktara wojska Ottomańskiego. Miejsce tylko wskazują gdzie poległ Miłosz Obilicza, i jego dwóch towarzyszy broni. Cara Lazara ojca, i synów Jagowiczów ciała, pozwolili Muzułmanie pogrzebać w Prizrenie — w Mitrowach — a całe Kosowe pomnikiem ich waleczności, tak jak całe Kosowe pogrobowym całunem południowej Sławiańszczyzny — Carstwa Serbskiego Duszana i Niemaniczów.

W roku zeszłym, Anglik jeden uczony, i poszukiwacz starożytności, jak wszyscy Anglicy — przez splen i fantazję — dla oryginalności — zwiedzał Kosowe, i obok turby Sułtana Murada znalazł grób Rifuata Paszy, byłego prezesa dury-szary, tej nieszczęsnej Rady tamującej postęp i ulepszenia wojska — zmarłego w Prystynie w roku 1859, z febry Salonickiej. Anglik

pomierzył w głąb i w szerz pomnik Sułtana i grób Rifuata Paszy; i napisał w swoim pamiętniku: — «Obok turby Sułtana Murada. spoczywa ciało jego Wielkiego Wezyra i Namiestnika Rifuata Paszy, który, swoją radą, jako Rejs dury-szury, najwięcej się przyczynił do zwycięztwa na Kosowem polu.»

Szlak twardy, jak żelazny, i lśkniący od słońca, bieży w prawo do Bulgarskich ziem, na Nisę, na Sofię — prosto do Babinego Mostu na Wuczyhyn, skąd Serbowie przychodzili na Kosowe — a cała dolina wolnem pochyleniem kłoni się ku Łapowi.

Pod Struszowce, do czerwonego Stanu, wyjechała na moje spotkanie cała Starszyzna Kozacza i Dragonji — moi serdeczni towarzysze. Przyjaciel mój, Ukrainiec jak ja, mój Namiestnik, Franciszek Kirkor, Pułkownik Kozaczy, osiwiały w boju i w znoju i w miłości Ojczyzny; mąż dzielny i Polak dzielny, o którym śmiało powiedzieć można «rachuj na niego jak na Zawiszę Czarnego» — i też my tu na Wschodzie inaczej nie mówimy, tylko: «rachuj na niego jak na Kirkora.» I Rudolf Gutowski, nasz Sztabslekarsz, serdeczny Lach, zbratany z nami Kozakami i sercem i celem. I Murad Bej Lanckoroński, dowódca Dragonji — nie Królowej Jadwigi — ale kozaczej, ale tak polskiej, jak był ów sławny regiment Królowej Jadwigi, zbratany z Polakami w ostatnich polskich czasach, przez Wernyhorę. I moi Sotnicy, i moi Porucznicy, dziewięcio-letniej wytrwałości towarzysze. Oni ze mną, śmiało powiedzieć mogą: Prawie bez Kozaków, przy opiece Bożej, przy łasce Sułtańskiej, utrzymaliśmy Chorągiew kozaczą i raźny Hufiec kozaczy, w służbie Sułtana, do służby Turcji i Polski.

Wielkie to dzieło wasze! wiekie to dzieło nasze! Cześć naszej garstce kozaczej! w wytrwałości, twardej jak skała — w miłości Ojczyzny, gorącej jak słońce — w pochopności do czynu, szybkiej jak piorun.

Na błoniach nad Sitnicą, stały hufce kozacze i dragonji. Koń mój zarżał do braci koni, a serce moje skakało do mojego żołnierstwa, do moich towarzyszy. Wiatr igrał z czterma rękawami kozaczymi, muskał czerwone proporce i kraśne kołpaki. Puszyły się pióropusze dragońskich czapek, Amarant polski jaskrawiał pod słońce — a jeszcze bardziej iskrzały te polskie twarze Dragonów. Trębacze w trąbki grali, aż dusza panoszała; a w duszy — po zobaczeniu moich Kozaków, moich Dragonów

brzmiało — idź, idź, trzecie wydanie Wernyhory w świat kozaczy, w świat Polski!

Pod namiotami, w Obozie nad Łapem, koło Babinego Mostu, witałem Kozaków — witałem Dragonów — już nie jak Naczelnik swoje żołnierstwo, ale jak towarzysz swoich serdecznych towarzyszy. Kilka miesięcy jakeśmy się nie widzieli; wiele rzeczy przemknęło po tym obszarze czasu; wiele było do pogadania.

Zapłakaliśmy nad śmiercią Księcia Adama Czartoryskiego. To był nasz Naczelnik widomy — Król naszych serc polskich i kozaczych — a choć w ostatnich czasach, Jezuici mu w ucho nakładli przeciwko nam, przeciwko mnie — jak w przeszłym wieku, Janowi Kazimierzowi, przeciwko Wyhowskiemu i kozactwu — on jednak nas kochał, i nie mógł inaczej — bośmy go kochali szczerze i serdecznie. Szczęść Boże jego Rodowi! Niech służy Polsce z wiarą i z prawdą! Szczęść mu Boże! i oświecaj w szrankach służby polskiej!

Cieszyliśmy się wieściami doleciałemi z Kozaczyzny, i ze wstąpienia na Tron naszego Sułtana, naszego Pana Abdul-Aziż-Hana. Nasz Monarcha zakrawa na zwycięzcę Sułtana Mehmeda — na Muradów na Wielkiego Sulejmana: na Cesarza — z imienia i z czynu. Sława i potęga Jemu! myśmy jego żołnierstwo; czekamy na Jego wolę, na Jego rozkaz — jak przyjdzie czas.

Idź w świat kozaczy i w świat polski, mój Wernyhoro, po raz trzeci. Idź, z rękojmią imion, tych moich dzielnych towarzyszy, Kozaków i Dragonów.

To wydanie im poświęcam.

Na Kosowem polu, 1. Września 1861.

I.

— — — — — — — — — — — —

Brzęk czasz zagłusza wrzawę biesiadników;
Śmiech pusty w mowie, w sercu wściekłość wrzącą
Radzą i piją — a z pośród okrzyków
Myśl się wykrada krwi bratniej pragnąca...

Franciszek Grzymała.

Chersońskim szlakiem, szeroką stępą jechał Kozak; koń wnurzył głowę w ziemię, i chwytał nozdrzami wilgoć rosy; Kozak dumał, i często szorstką ręką przecierał oczy, nadedniem klejące się snem, i jakby piaskiem zasypane. Milczenie było szerokie, tentent kopyt słyszeć się nie dawał; ziemia pyłem jak puchem usłana, nie rozbijała echem powietrza; czasami tylko brzęknął pałasz o strzemię, czasami ręka mimowolnie klasnęła nahajką po tebinkach siodła, i koń głucho podzwaniał wędzidłem za każdem kiwnięciem głowy. W tem słońce rzuciło na świat jasne promienie, lekkie jak myśli dziecięcia, urocze jak spojrzenia młodej dziewicy; i pluskało je w kroplach bujnej rosy, zawieszonych na bujniejszych jeszcze burzanach; a kiedy promienie wzniosły się w górę, oświeciły zawiędłą twarz Kozaka, czepiały się po szpakowatym wąsie, po baraniej czapce, i kraśnym kołpaku, a jak nadobna i zalotna niewiasta w zwierciedle, z takim zalotem przezierały się w stalowej pochwie i rękojeści krzywej szabli. Strzepnął się koń i rzeźwiejszym chodem zaczął kroczyć; strzepnął się Kozak na siodle i rzeźwiejszym wzrokiem zaczął wodzić do koła.

W prawo ku wschodowi, gdzie się obłoki zdają przytykać ku ziemi, malowały się w dali wierzchołki stuletnich dębów; na tem ciemnem tle, plamki białawe rozmaitych kształtów, nieporządnie rzucone, ale zgromadzone w jedną kupę: to był Czehryn. W lewo po równinach ciągnących się ku czarnemu szlakowi hula oko, jak po stepie koń ukraiński bez wędzidła; nie ma tam kresu jego władzy i obłok nawet nie stanął na zawadzie przestrzeni; gdzieniegdzie tylko sterczą mogiły, zabytki sławy kozackiej, albo ślady szlaków tatarskich; drożyny jak wąż kręte snują się i przecinają po zielonych polach, a tuman ulatniającej się rosy, wiał nad żyznemi niwami zboża. Po nad brzegami Tiasłyka dwa szeregi kiciastych oczeretów, potrząsają

swe głowy, biją pokłony wschodzącemu słońcu; dzikie tabuny koni bez stróża hasają i krzyżują się po nieornym stepie, a stada siwych wołów spieszą na paszę i rykiem napełniają powietrze. Kiedy niekiedy doleci do ucha dzika nóta dzikiej dumki młodców, nucących pierwiastkową swobodę, wojenną sławę mieszkańców Zaporoża. Wszystko tu czarowne. O luba kraino! któżby cię widział a nie pokochał, a pokochawszy nie chciał żyć i umierać na tej błogiej ziemi!

Nie dojeżdżając do łysej mogiły, Kozak rzucił się w lewo, a skręciwszy kilka razy w zygzak po nad głębokim jarem, ujrzał w dolinie stare olchy i białe brzozy, co tak drobnym liściem drgały, jak gdyby gęste łzy roniły. Z pomiędzy nich wyziera biała chata i obszerne zabudowanie pokryte słomą; dalej wystawiały czoła stogi jeszcze zaprzeszło-rocznego zboża; tam Tiasłyk wpadał do Tiasminy, jak brat w objęcia czułej siostry. To był futor Hołowatego — tu kres drogi Kozaka.

Zatrzymał się przed wrotami, zsiadł z konia, przeciągnął się parę razy, podniósł ramiona ku niebu, ziewnął, otarł pył i rosę z czoła i włosów; zdjął siodło, uzdeczkę, potarł grzbiet koński suchym kłapciem siana, a świadomy miejsca, otworzył boczne wrota wiodące do pastownia, i puścił tam brata konia; koń parsknął, i uszedłszy kilka kroków, stanął, grzebał nogami, a potem zwalił się na ziemię! i ziemia stęknęła i on stęknął, a wytarzawszy się, świsnął między inne konie gryźć trawę, przeplataną koniczyną i pstrem kwieciem. Kozak rad że koń zdrów, zabierał się do otwierania wrót, kiedy wybiegł przeciw niemu silny parobek i począł go witać uprzejmie. Podróżny rzekł: «Jak się masz Iwanie? a jest Hołowaty?

— Jest ojcze Dudarze i gości niemało.

— Kto i zkąd?

— Błahoczynny z Czehryna i drugi Pop: musi to być Protopop, bo go bardzo poważają. Kilku ze starszyzny zaporozkiej, nierejestrowców siła i jakiś niby to Kozak, niby to graf z Petersburga.

— No Iwanie weź kulbakę, złóż pod szopą, ja pójdę zajrzeć w oczy tym kawkom co się zlatują na kozaczyznę, jakby to ona była już ścierwem.

Przewiesił kołpak, skręcił wąs do góry, poprawił szablę i żwawym ale poważnym krokiem zmierzał ku chacie. Na twarzy jego choć dobrze wiekiem przyradlonej, iskrzył się zapał, który co chwila jak proch wybuchnąć gotów; psy nie szczekały, ale obijając boki ogonami, kładąc uszy po sobie, z łaszczącym się wzrokiem, ciągły witać dawnego znajomego, a dzieci grzebiące w piasku, powyskakiwały i plaskały w dłonie wrzeszcząc:

— Dudar! Dudar! to to nam bajki będzie prawił!

Lubił Dudar dzieci, bo miał serce czułe, a choć bezżenny bo Zaporożec, dusza sie w nim rozrzewniała na widok niemowlęc-

twa, niewinności — ten wizerunek najswobodniejszej chwili życia ludzkiego; lgnął do nich i przywiązywał się jak się przywiązuje stary koń do małego źrebięcia; jednak teraz powitał je tylko okiem, z lekka odegnał skaczące psy koło niego i kroczył dalej do pasieczyska, bo mu pilno — a tam zajrzał starego Hołowatego.

Wszedł i nie zważał na oberemek spis opartych o strzechę stebnika, na kupę kulbak, na rozrzucone czapki i na ludzi przeciągających się we śnie pod szopą.

W rogu pasieczyska stał starzec; broda blado-żółtawa spadała na piersi, wąs biały zwieszony dwoma strzępami w dół, łączył się z brodą; płócienne szerokie szarawary, koszula ściągnięta sinią zaściežką, krótka świtka, krągła czapka z siwych baranów, wtłoczona na głowę, składały jego ubiór. Coś dumał, coś rozważał, i poglądał niby na gęste rzędy ulów; ale w tej chwili było to raczej z nałogu jak z chęci, bo nie wiedział jak obfitą korzyść niosły pszczoły, ani wnioskował który rój będzie mógł przezimować; wszystko to brzęczało w uszach, migało złocistemi skrzydełkami przed okiem, nie zatrzymując uwagi; inne tam myśli zagnieździły się w jego głowie. Jakby ze snu męczącego nasuwaniem czarnych mar, obudził się Hołowaty przyjściem Dudara. Dawna przyjaźń i otwartość jaka panowała między nimi, spędziły tę chmurę posępnych myśli ... może ją tylko stumiły na czas jakiś. Powitali się wzajem szczerem uściśnięciem: każdy złożył radośny pocałunek na ustach przyjaciela.

— Cóż tam u was słychać panie Hołowaty, może chrzciny u której z córek, bo są i popy; może wnukę wydajecie za raźnego nierejestrowca, a może?... może coś knujecie o czem my nie wiemy?

— Oj nie chrzciny to, nie wesele, kumie Dudarzu! Laccy pankowie się rozigrali, zawiązali konfederację w Barze, i do reszty chcą wleźć na karki naszym; ale Bóg się zmiłował i natchnął Carycę Moskwy, aby nam pomoc przysłała...

Na imię Moskwy wszystkie żyły wstrzęsły się w Dudarze, jak gdyby miała go napaść wielka choroba: ale wkrótce ostygł, bo gniew rozpalił, a rozwaga ochłodziła.

— Słuchaj Hołowaty, złe to przymierze z Carycą; ona jak wilk chce włożyć łapę na wóz, aby potem i nas zdusić i wóz opanować. Lach się wyszumi i przyjdzie do rozumu: jak trwoga to do Boga; naciśnie Moskwa, napłoszy Tatarzyn, zaraz z nami Lach się brata; połączymy się razem, wypędzimy wroga, a potem z sobą po bratersku się porachujemy.

— Oj wy tam za porochami nie wiecie co się tu dzieje. Lud Ukrainy we łzach i nędzy brodzi, wśród bujnych niw z głodu umiera; a swawola szlachty znęca się nad wstydem żon i córek nierejestrowców: ktokolwiek śmie wspomnieć o swobodzie, to konać musi w męczarniach pod chłostą nieludzkich gubernatorów i ekonomów.

— Toć prawda, ale na to jest lekarstwo; alboć to u nas nie ma mołodców, co wysuną na poskromienie tego nieładu? Nauczymy ich nietylko jak żyć u nas, ale jak mają się sprawować u siebie. Znajdą się w kureniach Pawluki, Nalewajki; ale niech nas Bóg broni od związków z Moskwą. Lach nagrzeszył, to niechaj i odpokutuje, ale wolę z nim jak z Carycą. Bezpieczniejszy ten pies co szczeka, jak ten co milczkiem chwyta — na tamtego nahajka, a tego i sam djabeł się nie ustrzeże.

— Wszystko to dobre co ty mówisz kumie, ale trzeba aby się krew lacka polała. Nie taka to Caryca zła, jak się wam zdaje; ona nam swobodę i grecką wiarę, a Lachy niewolę i nawrócenie na ich przeklętą łacinę obiecują.

— Hołowaty! patrz na wschód: widzisz jak kopuła blaszana cerkwi Sobotowskiej kąpie się w obłokach; jak świeci na tem niebie jakby jasna gwiazdka. Takby jaśniał nasz Chmielnicki na kozaczyznie, gdyby się był nie związał z Moskwą. Ciężko on odpokutował za swój grzech. Na śmiertelnem łożu wyrzekł te słowa: «Zawiniłem przed Bogiem i przed wami, oddając kozaczyznę w opiekę cara Aleksego: lepszym byłby sprzymierzeńcem Bisurmanin carogrodzki, albo Tatar perekopski, jak Moskwa. Wracajcie do Lachów i trzymajcie się z nimi.» I wyż to pod okiem miejsca gdzie się urodził i wzrósł pokutujący Ataman, będziecie robić haniebne układy, co zniszczą do szczętu naszą wolność?... Wierzcie mi, skarćmy Lachów, ale nie zrywajmy z nimi; dopótyśmy cali, dopóki razem; brat bratu wszystko przebaczy, ale jak obcego wprowadzimy między nasze swary, i dziegciem go potem nie wykurzymy; wolałbym ja słuchać dumkę grobową po moim bułanym, jak chytre słowa posłanników Carycy. O! one jak pieprzyca miodem posmarowana; pożałujecie kiedyś, ale może zapóźno, żeście ją w usta wzięli.

Przybycie trzeciej osoby przerwało rozmowę; był to Błahoczynny Czehryński, w czarnej rasie długiej za kostki; włos ciemny, gładko zamuskany nad środkiem czoła, dzieląc się na dwie równe części, spadał na plecy i tył ramion; na twarzy nosił wyraz Judasza, wtenczas kiedy zaprzedał Chrystusa, a chciał łudzić jeszcze Mistrza udaną gorliwością o wiarę i jego osobę. Hołowaty z całą pokorą powitał, całując go w rękę. — Dudar skłonił głowę nizko, ale z tak niecierpliwym ruchem, jak koń kiedy go ubodzie w podniebienie ostra szubienica munsztuka: wziął się w boki i przechylił na szablę, a po skrzywieniu wargi widać, że mu nie do smaku osoba ojca Bazylego.

— Niechaj Bóg zsyła błogosławieństwo — rzekł Błahoczynny Bazyli żegnając znakiem krzyża świętego — na wiernych synów przeczystej wiary. Jakiż to anioł sprowadził was Asawuło Serykowskiego kurenia w te progi, gdzie wybrani radzą o wybawieniu Izraela z niewoli Egipskiej? Czy Duch święty zesłał promień

opamiętania na waszego Atamana kurennego, czy zerwał występne związki z niewiarą lacką? Łono kościoła otwarte zawsze dla opłakanego syna; z radością przyjmiemy go do swego grona, rzucając w morze zapomnienia wszystkie grzechy.

Choć nie lubił Dudar popa, przez cześć dla wiary, wolnym i pełnym poszanowania głosem odpowiadał: «Ojcze duchowny! źle was oświecano o wszystkiem. Ataman naszego kurenia nigdy nie odłamywał się od przeczystej wiary; cerkiew prawowiernych liczyła i liczyć go będzie zawsze między najgorliwszych swoich synów; a że z Lachami jedno trzyma a nie lubi Moskwy, to dla tego, że umie rozróżnić szych od złota, zdradę od przyjaźni: i my i Lachy, jedną dumkę nucimy, tejże samej chcemy rzeczy ... wolności. Niechajno o nią i o wiarę rozpocznie się wojenny taniec, zobaczycie czy Serykowski kureń ostatni z pochew szabel dobędzie; ale wprzódy skały porohów na piasek pokruszycie, nim nas potraficie związać z Moskwą.

— Synu! hamuj twój zapał; niechaj wiara święta zwróci ciebie znowu na ścieszkę z której zboczyłeś w tej chwili. Czyż ucisk ludu Ukrainy, czy znieważone cerkwie, nie wołają o pomstę do Boga? My prawowierni wyznawcy wierzymy, że jeden jest Patryarcha Sofijski, jak jeden Twórca świata i wszech rzeczy; nie powinniśmyż się porwać do oręża, na wytępienie służalców Rzymskiego Antypapy i tych wychodców Palestyńskich, których przodkowie niemiłosiernie Zbawiciela ukrzyżowali? I toż to na Moskwę, na naszych jednowierców powstawać będzie ten, który czterdzieści lat strawił na posługach kozaczyzny, a trzydzieści piastuje Asawulstwo w kureniu, godzien wyższych godności! I pewniebyś ich dostąpił za swoje męztwo i zasługi, gdyby przez jakiś nadzwyczajny traf, Atamaństwo kurenne nie było wpadło w ręce młodzika, którego całą zaletą ciemny wąsik i porozumienie się z Lachami. Przeciw kureniowi nic nie powiadam; waleczny on i wierny cerkwi, ale grzeszy ślepem przywiązaniem ku dowódcy; przyjdzie on kiedyś do siebie i niewiernych z swego grona wyrzuci, a wtenczas silny łaską cerkwi i szczodrotą Carycy, może kto inny z dawnemi zasługami, obejmie szczytny stopień dowódcy, a wolno mu nawet będzie sięgnąć i po większe dostojeństwa.

Żywy rumieniec wystąpił na lice Dudara, oko błysnęło ogniem gniewu, a potem wzgarda z niego wyjrzała; ręka nawet już chwytała palcami rękojeść szabli, ale wnet ją zwrócił napowrót, i przygryzając wargi odrzekł: «Gdyby nie wasz stan, ojcze duchowny, gdyby nie wasza rasa, jużby inna była między nami rozmowa, jużby tam nie same tylko słowa burczały koło waszych uszów; porzućcie silić się na wymowę, nie trwońcie jej na darmo; znam się ja na lisich kluczkach. Pókiście prawili o Lachach to pół biedy, ale kiedyście mnie chcieli łechtać waszemi obiecankami, to aż politowanie i gniew

razem bierze. Sami powiadacie, żem służył czterdzieści lat Ojczyznie, i jażbym to nie umiał oddać należytej czci zasłudze? Nie ślepy traf, ale męztwo dało stopień Nekrasie. Oj gdyby on wyżej siedział, toby Caryca i Carzątko nie wpisywali się w księgę Zaporoża, a Kozak Pułtawski nie nosiłby czczego zwania Atamana całej Kozaczyzny! Naszego w Petersburgu nie zwanoby tylko Koszowym, i wy Dobrodzieju nie pałamarowalibiście tak swobodnie. Moskwa by uciekała za niżowe stepy, jak wilk kiedy trąba zadzwoni w kniei; a wybyście siedzieli po dziurach jak szczury gdy blizko czują kota.

Hołowaty kiwa głową i waży w myśli kto łepiej mówi, a boi się aby nie przyszło do żwawszych przymówek. Zna on wprawdzie moc nad sobą błahoczynnego, ale zna też i żartkość Dudara. Asawuła dawny przyjaciel; nie jedną kwartę się razem wychyliło; czworo dzieci on do chrztu trzymał; w młodości nieraz wałęsali się po Wołoszczyznie, nieraz razem szablami krzesali ognia po moskiewskich i tatarskich karkach. Ojciec Bazyli, człowiek święcony, namiestnik cerkwi Czehryńskiej; starość ku ziemi przychyla, przyjdzie śmierć, a błahoczynny może paszportu odmówić; a przykra to rzecz na tamten świat puszczać się na wołokitę: tak sobie tedy podumał.

— No ojcze! no kumie! podajcie sobie ręce, niechaj ludzie nie wiedzą że w domu Hołowatego dwaj jego najlepsi przyjaciele z ukosa na siebie patrzyli.

— Gniew mną nie miota — odpowiedział Bazyli — jeźlim się uniósł w mowie niechaj mi przebaczy Asawuła; było to przez gorliwość o wiarę, której jestem stróżem; o swobodę ludu, której i z moich uczuć i z mojego obowiązku bronić powinienem. Nie miałem na celu obrazić człowieka, dla którego mam szacunek głęboki; jak bracia razem teraz pójdźmy na wspólną naradę: tam nie unosząc się czczym zapałem, ani nierozważną nienawiścią, roztrząśniemy wszystko co będzie ku wspólnemu dobru.

Dudar ani słowa nie rzekł, ale szli razem ku chacie, jak dwa psy warczące nad kością; już zęby na siebie szczerzyły, już wznosiły karki siercią zjeżone, kiedy myśliwy podzwonił sworą, włożył im ją na szyję, i wiódł za sobą w tak pozornej zgodzie, jak gdyby nic między nimi nigdy nie było. Szedł spokojnie błahoczynny; tak mu nakazywała chęć doprowadzenia swych zamiarów do skutku. Szedł Dudar; przyjaźń chwilowo ścisnęła kagańcem i język i rękę.

Koło chaty dwie czeremchy wznosiły czoło kędzierzawe liściem, a splatając rosochate gałęzie, tworzyły niejako żyworodne pokrycie. Tam stały dwa długie stoły pod czystą bielizną; na nich, w ogromnych misach solone sudaki i czarnomorskie śledzie pływały w burej polewce; miód w plastrach i kołacze pszenne, bochenki razowego chleba, sól gródkami i pieprz na pół stłuczony. W glinianych dzbanach stał miód i krupnik, a w bakła-

szkach po rogach stołu wódka czysta jak łza; stosy drewnianych łyżek, cynownych widelców, nożów; rzędy szklanek i byczków kończyły zastawę skromnej biesiady. Był to piątek, a cerkiew prędzejby przebaczyła jeden z siedmu grzechów śmiertelnych, jak skalanie ust w dzień zakazany mięsnym pokarmem. W około stołów mnóstwo Kozaków. Jedni siedzieli na trawie, drudzy przechadzali się po dwóch i po trzech, i cicho rozmawiali, a szable po miękkiej murawie ponuro szczękały. Nie był to obraz Rembrandta, flamandzkiej rodziny, ucztującej w wiejskiem zaciszu, gdzie pędzel mistrza rozlał sędziwość na pobielone wiekiem starców głowy, a wesołość bez śladu niszczących namiętności po pyzatych twarzach młodzieży; tu dzikość latała po licach i we wzroku, jak jaskółki przed burzą, a pogoda i wesele tak daleko z ich rysów uleciały, jak szczęście od serca wygnańca z ziemi ojczystej.

Otwarły się drzwi chaty. Długo oczekiwany Protopop wszedł w sobolej czapce, obok niego młodzieniec jasnowłosy w kozaczym stroju, który tak do niego przystawał, jak kolczata obroża wilczarza do szyi utrefionego pudla. Przechodząc między dwa szeregi Kozaków rozstępujących się przed nimi z poszanowaniem, rzucał wzrok dworaka na obie strony, i chciał pozyskać umizgiem zalotnicy serca mężnych dzieci stepu. Za nimi postępował Dudar z błahoczynnym: ten z jakiegoś wyrachowania udawał najlepsze porozumienie z przybyłym Asawułą; Hołowaty kończył orszak. Skoro Protopop pobłogosławił i przeżegnał krzyżem świętym i biesiadników i biesiadę, Hołowaty pokłonił się nizko i wziął byczek nalany wódką.

— Za zdrowie Ojca Protopopa i w jego ręce.

Wychylił i nalał. Protopop wypił w ręce błahoczynnego; i tak dalej kolejką pito do siebie, nigdy jednak nie przeskakując starszeństwa wieku. Kiedy się stłumiły pierwsze chęci jadła i wychyliły się liczne szklanice miodu i krupniku, Protopop splunął, poczesał grzebieniem z palców kruczą brodę i przeżegnał się znakiem krzyża po kilka razy.

— Cześć Najwyższemu! cześć Patryarsze! cześć Carycy! błogosławieństwo na was bracia! przybyłem między was za wolą Synodu, a za rozkazem Katarzyny drugiej, szczęśliwie dziś panującej w Rosji. Dla tej możnej Imperatorowej posłuszeństwo i poszanowanie mieć powinniście tak wielkie, jak dla samej Cerkwi. Niedola wasza znalazła pomiłowanie u jej tronu; a do was teraz należy, aby krew lacka i żydowska spłynęła po nożach, święconych przez kapłanów przeczystej wiary. Idą mnogie maże naładowane tym drogim darem, który wam Caryca ofiaruje. Jak słowo Boże, roznieście je po chatach Ukrainy, od Dniepru aż do Bugu, niechaj się ręce wiernych broczą w jusze niewiary — a biorąc młodzieńca z nim przybyłego za rękę — oto jest Tamara Kozak zadnieprzański, wychowany na

dworze Petersburgskim, którego Caryca nakazuje wam przyjąć za Wątażkę tej wyprawy. Taka jest wola Cerkwi, taka wola Rosji.

Część biesiadników przekrzywiła brwiami, jak gdyby cierpkość chrzanu zaleciała aż do nosa, bo słowa, wola, rozkaz, Caryca, szczypią myśl wolnego syna stepu; drudzy wzrokiem pogardy i pośmiewiska pozierali na owego przysłanego Watażkę, któremu wedle ich rozumienia lepiejby przystało prząść kądziel, jak wieść na rzeź pułki kozacze; niektórzy zaś, między tymi był Szwaczko, opasły mieszczanin Kaniowa, zalawszy ślepie miodem i wódką, na wspomnienie o nożach święconych, nie słuchali reszty słów Protopopa, ale wrzeszczeli na całe gardło: «Rżnąć Żydów i Lachów!

Błahoczynny, lisiem okiem śledząc najmniejsze poruszenia Asawuły Serykowskiego kurenia, kiedy ujrzał, że krew mu się warzy pod skórą, jak woda przed zakipieniem, a będąc pewnym, że mowa jego niejednego może sparzyć, niejednego odstraszyć: aby uciszyć wrzawę która już poczęła szumieć, a razem posiąść głos przed drugimi, zaczął przemawiać wlekącemi się słowy tak iż jedno od drugiego zdawało się być odległem o werstwę i łączyć się tylko samem brzmieniem.

— Bracia! nie chciejmy wywracać na złą stronę, mowy wielebnego Protopopa. Zbyteczny zapał i gorliwość o wiarę, swobodę, i byt pomyślny Ukrainy, naniosły może na język jego wyrazy, które niemile zabrzmiały uszom waszym. Nie rozumiejcie aby przez wolę Carycy rozumiał on konieczność poddania się pod jej rozkazy, albo żeby Moskwa miała zamiar ujarzmienia nas. Nie — ma się to rozumieć, że ta wszewładna Pani, rządząca z taką mądrością i sprawiedliwością swoim narodem, ma niezachwianą wolę podać nam braterską rękę, do zrucenia gniotącego jarzma Lachów. Ma ona wolę abyśmy się sprzymierzyli z jednowiercami naszymi i razem ukrucili dumę rzymskiego fałszerza; razem wytępili plugastwo hebrajskie, które jak szarańcza objada naszych braci, ostatni grosz wydziera oszustwem, a na obchodach talmudowych spija krew chrześciańskich dzieci, wmięszawszy ją w przeklętą macę.» Tu wrzasnęła większa połowa biesiadników:

— Rżnąć Lachów i Żydów!

Szklanice napełnione wódką lały się w gardła jednym duszkiem. Błahoczynny mówił dalej.

— Powiadam wam, iż nikt nie powstaje na naszą wolność. Caryca mocno jest o tem przekonaną, iż tylko wolni i niepodlegli możemy się stać groźnym narodem. Ona chce abyśmy wytępili Lachów w naszej krainie, i stali się zaporą ich swawoli, a tem samem zabezpieczyli jej państwo od wciskania się doń nieładu jaki panuje w Polsce. Przez słowo rozkaz: nie myślcie aby go nam dawano. Jakimże prawem chcianoby go nam narzucić? jakieżby sposoby obrała do wykonania swego zamysłu? Nierozważnie byłoby tak mówić a jeszcze nieroz-

ważniej myśleć, aby to mogło kiedyś nastąpić. Rzecz całą wyjaśnię w kilku słowach: oto ten zacny potomek jednego z nami szczepu — i wskazał na Tamarę — wychowany na dworze Carycy, wysyłany przez nią w cudzoziemskie kraje, aby ćwiczył się w naukach wojennych, pielęgnowany jak własne dziecię, odebrał od swojej dobrodziejki rozkaz zgodny z swojemi chęciami: aby śpieszył między nas i wspólnie z nami walczył przeciw naszym wrogom. Do nas to należy ocenić jego zdolność i powierzyć mu dowództwo. Caryca nie rozkazuje, ale miłoby jej było widzieć swojego wychowańca użytecznym współbraciom: nie widzę przyczyny dla czegobyśmy tego zrobić nie mieli. Nierejestrowcy w niewoli lackiej nękani, zapomnieli nawet o sztuce wojennej; rejestrowcy po dalekich granicach Carycy służą; Zaparożce zaś jedni zatwardziali jak w grzechu śmiertelnym w przyjaźni z Lachami, drudzy niechętnie poglądają na związki nasze z Moskwą wybawicielką: woleliby psa Turczyna, albo Tatara zbójcę uznać za brata. Mało nawet jest obojętnych.

Uważając twarze rozpalone trunkiem wziął to za skutek uroku swej wymowy, co było dziełem wódki; spojrzał na Asawułę i uśmiechnął się uśmiechem fałszywego świadka, który swem świadectwem potępił cnotę a wyniósł zbrodnię. Dudar zrozumiał wyzwanie, namarszczył powieki, uderzył pięścią o stół, a szklanki i miski podskoczyły i zabrzęczały jak szyby okien domu, w który piorun uderzył.

— Milcz obmierzła gadzino! psie z wyprawnym językiem! Chcesz obróży, nadstaw swoją szyję; po co ciągnąć drugich. Mniejsza o Żydów, wyrżnijcie ich co do nogi, niechaj na nasienie żaden nie zostanie; nie wielka szkoda — ale Lachów?... Czy ciebie wiara, czy twój stan uczy abyś zbroił brata na brata? Chcesz zmącić wodę, a Carycy podać zręczność aby nas wszystkich siecią zagarnęła? A wy bracia przystąpicież do oboru sroki, aby przywodziła orłom do boju? Rozpoczniecież rzeź ze swoimi, aby potem nas obcy smagał?

Próżno mówił, próżno słowa pełne zgrozy i gniewu buchały jak wody na łotoki, kiedy wyprą zastawki; pijane Kozactwo bełkotało językami, zataczało się na boki, a nieposłuszne ręce błądziły nie mogąc znaleźć rękojeści szabli. Protopop porwał nóż i cisnął na Dudara, ale ten przeleciał mimo ucha i utkwił w ziemię. Tamara ukryty pod stołem ze strachu drżał jak listek osiki; Asawuła porwał nahajkę w rękę, pogroził na Protopopa.

— Słuchaj wielebny kapłanie, nie szablą ale tym kańczugiem należałoby ci wygarbować grzbiet, abyś miał się z czem przed Carycą pochwalić; ale co się przewlecze to nie uciecze, zobaczymy się — a potem obrócił się do Hołowatego. Stary jak słup drożny stał z wyciągniętą ręką, gotów albo powściągnąć zapęd dawnego przyjaciela, albo bronić go od napaści drugich. «Bądź zdrów kumie Hołowaty, wkrótce ci ja wykurzę te szczury

z twego młyna; zatrzymaj ich u siebie, a nim trzecia jutrznia zejdzie na niebie, wyprawię ja tu im biesiadę po swojemu.

Żywo wyniósł się z sadu na podwórze.

Protopop wrzasnął: — Zabić, zamordować Lacha! — a piana mu się toczyła z ust i spluwał często, bo wódka paliła go wewnątrz. Wielu porwało się z trawy, a kreśląc wężykiem ścieżki i w prawo i w lewo, jedni wpadli na płot, drudzy do wrót, ale nie mogli ich odemknąć, bo Hołowaty zakręcił je zawiertką łyczaną.

Przebudził się Szwaczka, odemknął na pół od pijaństwa przymarłe oczy, wklęsłe w głąb tłustej twarzy; wrzasnął:

— Na pohybel Lachom i Żydom! wódki i miodu!

Jak zgłodniała gromada żarłocznego ptastwa, ujrzawszy zdechłe bydlę, kracząc spada z chmur, tak biesiadnicy wpadli na reszty trunków krzycząc: «Wódki! miodu! na pohybel Lachom i Żydom.»

Hołowaty wyszedł, a kiedy ujrzał, że już daleko kopie polem bułany, że już ani konia postaci nie można rozróżnić, tylko wydaje się niby ptak jakiś jasnozłoty z ciemnym grzbietem, z wyniesioną szyją, i pławi się szybko po nad zielonem zbożem; wrócił się, i znowu z nieruchomą twarzą, z udanym spokojem przypatrywał się biesiadnikom, z których większa połowa snem przykuta do murawy, mocno chrapała. Błahoczynny wyciągnął Tamarę z pod stołu jedną ręką, a drugą zatrzymywał Protopopa, który na pół przechylony ku ziemi, tupał nogami, chwytał oburącz powietrze wołając: — A tuś mi wraży Lachu, bij, kół... —

Jeszcze coś jąkał i bełkotał: czy złorzeczył, czy błogosławił, niewiadomo, bo i ucho ludzkie nie mogło zachwycić dźwięku wyraźnego z tego skomlenia; zostawił go Bazyli leżącego pod czeremchą, a odprowadziwszy na bok Tamarę:

— Zacny młodzieńcze, rzecze mu, zawsze ciebie czczę tem mianem, bo opiekunka twoja jest opiekunką naszą; złą ci dano radę wysyłając na dowódcę tego ludu dzikiego i ciemnego. Nie słodkiem słówkiem, ani powabnym uśmiechem, ani trefionym włosem zaufanie jego pozyskać można. Chcąc nim przywodzić, trzeba być w boju śmielszym i okrutniejszym od nich, w biesiadzie rozpustniejszym jak oni, albo posiadać dar wymowy, który łechce namiętność, pochwyca i unosi zgodnie z wolą mówcy. Niebezpieczeństwo minęło, umiałem dać dosyć czasu trunkowi, aby zagłuszył rozsądek w tych twardych czaszkach, inaczej źleby było gdyby zakosztowali w mowie Asawuły. Prace nasze i usiłowania tak ciężkie, skarby Carycy rozrzucone hojną ręką, przemowy i podburzania kapłanów prawowiernej cerkwi w niweczby się obróciły. Jedno rozróżnienie się w radzie jeźli ją można nazwać tem imieniem, sprawiłoby opóźnienie, a kto wie coby pociągnęło za sobą; bo chociaż Koszowy Ataman obiecał zatrzymać tego przeklętego zapaleńca Nekrasę przez dziesięć dni w Siczy, jednak Bóg wie czy dotrzyma słowa. Mało można ra-

chować na Kałnyszewskiego: słaby to człowiek — dziś tej, jutro owej trzyma się strony; ale teraz wszystko się skończyło; niechaj i duch wyprze z konia, Asawuła nie może stanąć w Siczy jak za półtora dnia. Podług przypuszczeń nawet, Nekrasa z swoim Kureniem nie mógłby tu przyjść jak za dni cztery, a mam nadzieje, że przed tym czasem będziemy hulać po Humańszczyznie. Teraz o to idzie abyś został przywódcą wyprawy. Wyjaśnij czoło, odgoń od siebie trwogę, a wszystko dobrze pójdzie — inaczej nie ręczę.

Zaledwie kończył te słowa, zatętniały mnogie kopyta przed wrotami podwórza. Tamara chwycił za rasę Bazylego, a blady, z posowiałem okiem stał obok niego, jak winowajca na rusztowaniu przy spowiedniku, który chciałby się przykuć do księżowskiej szaty, aby nie tak prędko rozbratać się z żywotem.

Co się wewnątrz błahoczynnego działo, tego dojrzeć nie można było, ale zewnątrz żaden ruch nie zdradził stanu serca. Ocknęli się biesiadnicy roztwierając palcami oczy. Hołowaty wyszedł i wrócił prowadząc mnogą liczbę dorodnych mołodców; na ich czele szedł człowiek mający przeszło czterdzieści lat wzrostu miernego, krępy, wąs ciemno-rudy, ostry jak szczecina, jeżył się pod nosem, a w siwych oczasb igrała zajadłość tygrysa. Szwaczka go poznał i zawołał.

— Zdrów Żeleźniak, na pohybel Lachom i Żydom!

Żeleźniak zaburczał ponurym głosem upiora, zapowiadającego morową zarazę.

— Zdrowi bracia, na pohybel Lachom i Żydom!

Najdziksi nawet, najchciwsi mordów zadrżeli; przeczucie mignęło w ich duszach, że on będzie okrutniejszym od nich. Po czem ucałował rękę błahoczynnego który go pobłogosławił. Żeleźniak dostał z kieszeni kawał papieru.

— Oto list od Ojca Jeremjasza do was.

Bazyli odwrócił się od widzów i czytał list, a biesiadnicy kolejką witali Żeleźniaka. Po przeczytaniu błahoczynny dłonią czoło pogładził.

— Wszystko dobrze idzie; wojska zwycięzkie Carycy zajmują całą Polskę, a teraz liczne oddziały zbliżają się ku Ukrainie, aby przeciąć wszelką możność pułkom koronnym niesienia pomocy szlachcie, która musi zginąć pod naszymi nożami; ten skarb drogi lada godzina przybędzie. Trzeba abyśmy co rychlej wzięli się do obioru dowódcy; pośpiech koniecznym jest we wszystkich działaniach; jedna chwila stracona, często nie może być już powetowaną. Bracia uciśnieni czekają naszego przybycia, rzucają okiem po stepach, czy nie dojrzą swoich wybawicieli. Dosyć radziliśmy, teraz działać należy.

Jak trąby licznej muzyki, najstrojone na jedną nótę, jednym zadmą brzmieniem, tak wszyscy odezwali się.

— Żeleźniak naszym watażką! Żeleźniak niechaj nas wiedzie na Lachów!

Znana była nieukrócona nienawiść ku polskiej szlachcie Atamana kurennego Rogowskiego kurenia; blizkie jego stosunki z cerkwią, przywiązanie ku wierze greckiej, gotowość do bójki za lada najmniejszą zwadą, i przewaga jaką sobie zyskał siłą, ponurą dzikością, i prędkiem roztrzyganiem sporów nad mołodcami, trawiącymi dnie i noce po karczmach z byczkiem w ręku, przy odgłosie cymbałów i śpiewach bandurzystów.

— Kiedy taka wasza wola, ozwał się Bazyli, niechaj się podług niej staje. Synu! oto masz błogosławieństwo cerkwi, i przeżegnał krzyżem przyklękającego Atamana; niechaj wiara święta przed tobą odsłoni swoją pochodnię, niechaj przyświeca twoim krokom: nie oszczędzaj krwi tam gdzie idzie o ugruntowanie władzy Patryarchy; niechaj się zakurzą pożarem wzniosłe dwory dumnych panów, a na ich zwaliskach niechaj porośnie swoboda ludu Ukrainy. Nie przebaczajcie nawet niemowlęciu Laszkowi, bo to żmija; jak kiedyś wyrośnie to dosięgnie nas jadem swoim. Prawowierni pod takim wodzem, rozniećcie przeczystą wiarę, po krainie długo kalanej przeklętą łaciną.

W chmurnem obliczu Żeleźniaka można było czytać, iż wszystko dotrzyma co przyrzeka.

— Dobrze Ojcze błahoczynny, cerkiew i Caryca będą ze mnie rade: nie pożałuję krwi. A teraz bracia do koni, taj do roboty!

Jak psy wypuszczone z psiarni, tak wszyscy ruszyli pod szopy i na pastwiska, miotając przekleństwa to na Żydów, to na Lachów.

Wrzask, szczęk broni obudził Protopopa; a ujrzawszy błahoczynnego, Hołowatego i Tamarę samych tylko w sadzie, w pierwszej chwili zdało mu się, iż nocne mary niepokoiły go mocno we śnie, i odmawiał pacierze by je odegnać od siebie; ale kiedy myśl zaczęła przebijać grubą pomrokę ułudy, powstał, chłodził świeżem powietrzem ociężałą głowę, rozkurczał zdrętwiał członki, otarł zaślinione usta i oplwaną brodę.

— Ojcze błahoczynny, co to wszystko znaczy? gdzie biesiadnicy?... w co się obróciły nasze zamiary?

— Wielebny Protopopie, w czasie kiedy wasza świątobliwość snem krzepiła członki, strudzone na usługach cerkwi, odebrałem list od Archireja Jeremjasza donoszący: że pogłoska naszych, zamiarów rozeszła się po Siczy, że Zaporożce niechętni oskarżają Kałnyszewskiego o zdradę. Ani prośby, ani groźby nie są w stanie ich ukoić, a przemożny wpływ Nekrasy coraz bardziej się rozszerza; ani jeden kureń całkowicie nie trzyma z nami. Mołodce krzyczą aby lecieć w pomoc Lachom przeciw Moskwie; nas zowią przedajnemi duszami, odszczepieńcami wolności. Archirej radzi aby przyspieszyć wyprawę, i co prędzej zacząć dzieło odkupienia. Z tem uwiadonieniem przybył Żeleźniak Ataman Rogowskiego kurenia: znany dobrze nierejstrowcom, świadomy okolic, bo nieraz po nich wędrował; dziki, okrutny

i ciemny, zgoła taki, jakiego nam potrzeba. Jego okrzyknięto Watażką, a ja pobłogosławiłem; innego środka nie byłoby zakończyć wszystko stosownie do naszych przepisów. Przytem Tamara ani dość chęci, ani dość usposobienia nie ma, aby stanąć na czele ludzi narażonych na tysiąc niebezpieczeństw — i nachylił się do ucha Protopopa, tak aby Hołowaty nie słyszał głosu, z cicha dodał. — Raz ciągnąwszy ich w wojnę zrobimy co zechcemy; niechaj tylko Caryca dotrzyma co przyrzekła cerkwi i jej wiernym sługom, a nietylko Tamarę, ale nawet dziecko w kolebce, albo dziewicę od igły, zrobimy Atamanem Kozaczyzny.

Protopop choć nie bardzo zadowolniony skinął głową, na znak, że przystaje na wszystko.

— Cóż teraz będziemy robić?

— Jeżeli wasza Wielebność każe mi wyjawić zdanie, zapewne dla tego aby się przekonać czy jego młodszy brat w cerkwi zdolnym jest trafić w jego mądre przekonanie, z całą uległością poddaję się jego woli: zdaję i się iż należy aby z Tamarą śpieszył do Białej Cerkwi z doniesieniem Kreczetnikowowi co się stało. Wasza Wielebność udasz się do Monasteru Kijowskiego, aby przewodniczyć ztamtąd naszym działaniom i utrzymywać porozumienie się z Moskwą; ja zbrojnych Mołodców przeprowadzę aż do Humania, a skoro rzeź się dobrze rozprzestrzeni, wrócę roznosić święte słowo wiary, i budzić nowych dla niej obrońców.

Tamara odetchnął wolniej i składał w duszy dziękczynienia nieprzewidzianym wypadkom, które go z pola walk i mordów strącały do bezpiecznych obozów; a ztamtąd miał nadzieję, ujrzeć na nowo woskowane posadzki pałacu wielkiej Carycy. Tam on będzie mógł puszyć się rycerskiemi czyny, wyliczać trudy i znoje pieszczotliwym uszom lękliwych niewiast. Protopop rozśmiał się, bo Bazyli rozsnuł trudny kłębek dalszego postępowania. Hołowaty tylko smutnie zapuścił wzrok w ziemię i dumał.

Na podwórzu zgiełk i wrzawa. Przyszły wozy z święconemi nożami; z rozkazami Watażki w różnych kierunkach pędzą Kozacy. Żeleźniak czynność i pośpiech nakazuje. A nim księżyc w pełni ukazał twarz brzaskliwą, już pięć sotni Kozaków, mając pośrodku wozy z zabójczemi nożami, gęstym sznurem sunęły się w wązki bród Tiasłyka. Woda chłupotała pod kopytami końskiemi, i oczeret szumiał rozkładając się na obie strony. Już pod lekki wzgórek żwawo kroczyły poprychując raźne konie. Błahoczynny jechał we środku z krzyżem w ręku, jak na wojnę krzyżową; Watażka był na samym przodzie. Dzika radość w jego sercu: i ręka i myśl mordów pragnie, jak spragniony wody; za każdem stutknięciem wozów o bruzdy, szczęk nożów tak miłym dźwiękiem dzwonił dla duszy, jak beczenie baranów dla ucha zgłodniałego wilka.

Wszystko umilkło, i w futorze taka cichość jakby tam nigdy nic nie było; Hołowaty tylko stał na wzgórzu, oparty o brzozę,

dumał, i zatapiał niespokojny wzrok w ciemnym widnokręgu; łzy cisnęły się do oka starca, żałował że nie wsparł Dudara, odgadywał w części niecne zamiary, chciałby zaradzić złemu, ale już było zapóźno. Złożył ręce na krzyż, skorzył czoło, wzniósł myśl do Boga, i błagał szczerą modlitwą, aby Najwyższy odwrócił mord i pożogę od tej pięknej krainy, gdzie wolność i swoboda takim blaskiem zakwita jak kwiaty w raju. Bóg nie wysłuchał modłów w tej chwili, a szatan zachychotał i poostrzył szpony na swoje ofiary.

Wkrótce w błogich wioskach uderzą w żałobne dzwony; jęki pomordowanych matek i dzieci będą pruć powietrze; sami morderce skonają na palach i szubienicach, a oddając ostatni dech, będą sądzili, że giną jak męczennicy wolności; bo ludzie prości i cnotliwi nie tak łatwo zdzierają z oczu swych obsłonę chytrego podstępu; Caryca się rozraduje, i zawoła: jakżem można i wielka!... a czereda pochlebców poklaskiwać będzie jej słowom, i na tronie jej usiędzie uśmiech niepohamowanej dumy i zadowolnienie srogiego okrucieństwa: a na uroczych stepach Ukrainy szeroko się zapleni śmierć i spustoszenie.

II.

Wzmaga się coraz powstająca burza,
Skażone serca nienawiść osiada.

Ignacy Krasicki.

W niedzielę po świętym Makoweju w Korsuniu był jarmark. Rynek pokrył się tłumem ludu, taborem wozów, trzodą rozmaitego bydła i stadem domowego ptastwa. Wirem się kręci ruchomy obraz przed okiem ciekawego widza tu mołodyce siedzą na wozach, a w koło nich rój żydówek, jedna mierzy krupy, druga jaja odlicza, ta wianki cybuli rozkłada; tamta powiązane kurczęta dostaje z rzeszota; plugastwo żydowskie szarpie i krzyczy, i kolei nie czeka, mołodyce garną piątaki, i szamocą się i w głowę się drapią, a z rachunkiem ładu sobie dać nie mogą. Dalej dziewice w bogatych i jaskrawych strojach, pstrokolorowe jak pawie; jak pawie pyszne, parami przechadzają się między wozami. Tam dwóch poważnych gospodarzy na przybicie targu, przez świtę w dłonie się biją i suną do najbliższego szynku na zapicie mohoryczu. Tu czynszowy szlachcic wierzchem jedzie, pas poprawia, czapkę na bakier przekręca, nahajem pod brzuch śmiga szkapę, a szkapa wierzga zadem, ogonem wierci na wsze strony jak pijany djak kropidłem. Kawalerzysta narodowy w granatowej kurcie, amarantem obłożonej, podbitej lisami, w konfederatce na uchu, z cybuchem w ustach, stoi na przedsieniu karczmy i woła:

— Hej tu na gniadym!

Podle niego o kilka kroków szwab spekulant z harbajtlem na plecach, ufryzowany gdyby pudel, w szwabskim stroju, zaziera w zęby siwej kobyle.

— Mospan szlachcic! okrajki nie ma, kiel wylazi, nie dobry jest.

Panie Szwabie, na szlachectwo się zaklinam, że to ząb źrebięci! Samem ją w domu wychował; dalibóg że to mego chowu.

W alkierzu szynkowni pop z pałamarem przy kwarcie miodu coś z cicha radzą, pogłaskują brody, a w gościnnej izbie ekonom i leśniczy do popadji tną koperczaki; jak indyki się bundiuczą, policzki kwitną trunkiem, do ziemi przysiadują,

i tak się gęsto zalecają do Jejmości, że aż poły kubraków zamiatają pył po drodze. Panowie dziedzice i dzierżawce, w litych pasach, z karabelami przy boku, zarzucają na wyloty rękawy kontuszów, atłas żupanów pogłaskują i rozprawiają to o polityce, to o myśliwstwie. Kobiety w szerokich robronach, w czepcach na głowie, z okien wyzierają, chychoczą i trzepią językami jak sroczki; a młodzieży szlacheckiej ani śladu, wszystka wysunęła na Konfederację.

Przed oknami cygan z ogorzałą twarzą, targa łańcuchem niedźwiedzia.

— Potańcuj maruszka Jaśnie Wielmożnym Paniom, potańcuj!

Niedźwiedź wzniosłszy się na łapy ryczy i skacze, a cygan mu przegrywa kijem po grzbiecie; w około na pół nagie cyganki i cygańczuki w bębenki brzęczą, na drumlach skwirczą, gwiżdżą i jakieś dzikiego brzmienia piosnki nócą. Żydzi pomiędzy tłumem jak lisy sznurkują i lisiem okiem śledzą, kogo można okraść, kogo oszukać. Burłaki z rozchrestaną koszulą, z rozrzuconą świtką, wziąwszy się w pachy, tłustemi słowy zawodzą i roztrącają nogami ciżbę, a Kozacy dworscy pobierają daniny jarmarkowe, i jak młocki kule zboża cepami, tak oni kańczugiem okładają plecy posłusznych i nieposłusznych bez różnicy żadnej.

Po wszystkich drogach wiodących do miasta, wznoszą się szerokie ściany kurzu; po wszystkich drogach turkoczą wozy, tętnią konie, klaszczą w batogi; kabany kwiczą, barany beczą, ryczą krowy i woły. Na ziemi zgiełk i ruch jak w rozkopanem mrowisku; w powietrzu szmer i wrzawa, jak gadania, swary wiatrów, i śpiewy wody przed burzą morską.

O sto sążni od miasta pod samą górą, na drodze ze Steblowa była karczma Wygodą zwaną; tam każdy jarmarkowy musiał łyknąć czarkę, a przynajmniej fajkę zapalić; była to powinność tak konieczna, iż bez jej dopełnienia nie mógłby wjechać do miasteczka z otuchą radości, z spokojnem sumieniem; i teraz gromada ludzi napełniała szynkową izbę. Każdy krzyczy, wódki! albo miodu! a Żyd, Żydówka i najmyczka ledwie nastarczyć mogą, odnosząc próżne, a przynosząc napełnione kwarty. W kącie izby, koło okna, siedziało kilku starców: ci leniwo pili, ale pracowicie gadali.

— No, Wasylu, coś my czekamy naszego praźnika, jak Żydzi Messjasza?

— Nie turbuj się Matwieju, do czasu dzban wodę nosi, do czasu Laszki pałamarują; dziś dobrodziej po służbie Bożej śpiewał akafest na uproszenie łaski dla Carycy Katarzyny, a wszystkim gadał, z osobna i ludziom i niewiastom: że nadszedł czas porachunku z Lachami i Żydami.

— Moskale pozawczoraj, dodał inny, ustąpili z Bohusławszczyzny aż za Białą Cerkiew, a Panowie starszyna żegnając

gromady, mówili: dla was zostawiamy Mościpanów i Aj wej: pobawcie się z nimi. — — Ale oto Stiahajło, on nam coś powie.

Tu wszedł starzec olbrzymiego wzrostu: rude włosy i ruda broda, gdzieniegdzie podbielałe jak szerść wiewiórki pod zimę; oczy buro siwe, zacienione długiemi rzęsami, a twarz chrapowata od zmarszczków i piegów jak skóra wyprawna na groszek; na plecach miał ogromne dwie torby, w ręku kij, a za pasem na rzemyku długi nóż w nowych skórzanych pochwach.

— Zdrowi dobrzy ludzie.

A obejrzawszy się na wszystkie strony:

— Nie masz tu Lacha, pozdrawiam was praźnikiem.

Wszyscy powstali z miejsca.

— Co tam słychać, Ojcze Stiahajło?

— Dobrze słychać; ale duszkiem chłopcy powiążcie Żydów, i niechaj żywa dusza z karczmy nie wyjdzie, a ja wam powiem coś nowego.

Nie tak szparko chart skacze w oczy wilka, kiedy szczwacz krzyknie «huż! huż!» jak skoczyli chłopcy do roboty: polotem błyskawicy jedni wpadli na żydowstwo, a drudzy na dwór wyskoczyli i dokoła karczmy się przechadzali. Już Żyd, Żydówka i bachury powiązani w kij, tak iż głowa, ręce i nogi łączą się z sobą; boleśnie jęczą, i zachłystują się od łez; wtenczas Stiachajło rzucił torby na podłogę tak silnie, iż zawiązki się porwały, brzęknęły chrapawo i przeraźliwie: a długie noże posypały się po izbie. Zrozumieli chłopi co to ma znaczyć; już to nie od dziś popi i wysłannicy Carycy kładli im w ucho o rzezi Lachów, ale na widok zabójczych narzędzi żaden nie śmiał ich tknąć zrazu. W sercu każdego człowieka jest siła dobrego, choć go długie namowy podwiodą do zbrodni, jednak kiedy się jej obraz nago i niespodzianie przedstawi, wzdrygną się ludzie i odwrócą oczy, bo prawo natury silniejsze jak dzieło sztuki i podejścia: nieszczęściem ta chwila walki dobrego ze złem, trwa za krótko; pierwszy krok kosztuje, reszta pójdzie jak po maśle, tak mówi stare przysłowie, i prawdę mówi. Stiachajło zawoła:

— To wam na podarek Caryca przysyła; to wam w podarku cerkiew przezemnie daje; na moje oczy widziałem jak je Protopop przysłany od Carycy z błahoczynnym Bazylim święcili w monasterze Świętej Motry. Bierzcie bracia za noże! Bóg, Cerkiew i Caryca nam każą rżnąć Lachów i Żydów.

Nie trzeba było więcej słów; już ręce pieszczą żelaza, a gardła krzyczą: Rżnąć Lachów i Żydów! czas nie stoi, taj chodźmy! — Skoczyli do alkierza, i Żydzi wrzasnęli boleśnie, a noże pchane ręką oszołomionych zabójców, grzęzły w ciała. Nieszczęsne ofiary walczą ze skonem, aż sznury porozrywały, i prężyły się ciała drganiami, a krew gęsto broczyła ziemię, i każdy chłop długo maczał w nią swój nóż na za-

prawę — a potem wzniósłszy w górę ręce i noże, zawołali głośno: Chodźmy do miasta! —

— Wtenczas Stiahajło stanął we dzwiach, a roztworzywszy żylaste ręce, zaledwie mógł zaprzeć cisnący się tłum.

— Do nocy zaczekajmy; nie trzeba płoszyć przed czasem. Żaden Lach ani Żyd nie ujdzie. Już po wszystkich drogach czekają nasi na nich, zje djabła jeżeli nam wyskoczy z sideł, my tu pilnujmy. A tymczasem wy Matwieju, Wasylu i Jakowie ruszajcie z nożami; taj rozdawajcie naszym potajkiem, ale ostrożnie, żeby nie przyszło do bitwy przed czasem. Oto macie noże na tym wozie, znieście je tutaj.

Natychmiast znieśli kilka worów ukrytych pod zbożem, i wysypali święcone noże. W tem parobcy stojący na warcie, przyprowadzili Kozaka jadącego drogą do Korsunia. Jak wszedł zaraz powiedział:

— Wyście tu zaspali Panowie Bracia, a tam już nasi hulają w Łysiance, i w Medwedówce już obrobili i Laszków, i Żydów, ja sam zarżnął ze trzydziestu.

— A czyj ty Kozak?

— Pana Chiczewskiego Gubernatora z Łysianki.

— A gdzież Gubernator, czy djabli go wzięli pod twoim nożem?

— Miał ja na psią wiarę chrap, bo tu aż sino od bizunów: i tu wziął się za uda, ale szelma Laszek, drapnął do lasu z paniczem i Jejmość z panienkami wybrała się z Łysianki przed pohulanką. Oj! kiedyb ja ich złapał toby się trochę pohołubił, a potem puścił na mandrówkę na tamten świat. — Krzyczałyby panienki: Dubyna ratuj, a jabym ich poratował o tym — i pokazał nóż na którym jak rdza przyschły ślady krwi.

— A dokądże ty jechał Dubyna? zapytał Stiahajło.

— Za Chiczewskim tropił, taj dotropił do samego Steblowa, a ztamtąd jakby w wodę przepadł, gdzieś gracko zaskoczył.

— Nie frasuj się bracie, jednegoś Lacha stracił, natomiast stu znajdziesz, tylko nie żałuj ręki; a teraz posil się i spocznij przed pracą.

— Już to tam posiłku mi nie bardzo potrzeba; nie minął ja żadnej karczmy, ale co spocząć to się zda i mnie i koniowi. Do widzenia panowie bracia, jak będzie czas roboty to mnie obudzicie.

— Obudzimy! obudzimy! — odzywali się tłumnie wszyscy, a Dubyna wprowadził konia do stajni, zarzucił siana za drabinę, a sam pod żłobem przeciągnął się i chrapnął twardym snem.

Utrudzenie i wódka zastąpiły miejsce czystego sumienia. — Zbrodniarz po mordach, cnotliwy człowiek po dobrym uczynku, zaledwie padną do ziemi zaraz zasypiają. Oko badacza nie potrafiłoby znaleźć różnicy w tym pierwszym hołdzie oddanym cielesnej potrzebie; dopiero w ciągu snu, po wyrazie twarzy,

po ruchach ciała poznać można, czy cnota czy zbrodnia zagrała i gra w duszę spoczywającego człowieka.

W tym czasie parokonny wóz ku karczmie się toczył: szkapy pyrchają i sadzą szparkim kłusem, koła turkoczą, a kurzawa kłębiasta chwilę wirem zakręci w powietrzu, a potem posunie z wiatrem i rozwiedzie się burą chmurą po nad górą. Na drabiniastym wozie siedzi mołodyca, koło niej dwie dziewki, a sędziwy starzec konie biczem zacina. Parobcy stojący przed karczmą pozdejmowali czapki i żaden nie śmiał zatrzymać koni; już dobrze ubiegł wóz od karczmy, kiedy Stiahajło zawołał.

— Wraże syny, tak to spełniacie przykaz!

A oni mu odpowiedzieli tłumie: «To Wernyhora pojechał, a prędzejby my djabła odważyli się wstrzymać, jak tego co im wszystkim wataży.

— A kto siedział na wozie?

Jeden z parobków pokręcił głową:

— Trzy niewiasty, jedna stara, a dwie takie ładne jakich ja nie widział nigdy z rodu.

Drugi dodał: — Nie można było przypatrzyć się, bo stary bis tak groźnie spojrzał jakby chciał zjeść.

Stiahajło tymczasem gonił wzrokiem za wozem, a ujrzawszy, że zwrócił w prawo po za miasto, pokręcił głową i pomruknął pod nosem: to nie bez kozery — a potem dodał głośniej — który z was chwat, dotrze do futoru Wernyhory i dowie się co to za niewiasty, ten dostanie konia z kulbaką, albo pół kopy karbowańców moskiewskich. — Głuche było milczenie, a wszystkich oczy mówiły nie, choć języki ani raz się nie poruszyły.

— No Dmytro, ty pójdziesz! ty chwat jakich nie ma ani w naszem miasteczku, ani w okolicach.

Dmytro splunął: — Za żadne pieniądze, ani za królestwo niebieskie nie pójdę do Wernyhory. — A reszta parobków odezwała się: Nie pójdziemy.

Byłaby dłużej trwała gadanina o Wernyhorze, gdyby ją nie przerwało nadejście dwóch ludzi. Jeden był mężczyzna półwiekiem obarczony, ale jeszcze jędrnej twarzy i kruczego włosa, drugi dziewięcio-letni chłopczyk, siwo-oki, rumianych policzków; obadwa nieśli na plecach piętrzący się oberemek sit.

— A zkąd wy ludzie?

— Sitarze z Czarnobyla, rzekł stary kłaniając się, niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus, niechaj będzie cześć przeczystej wierze, a wam zdrowie panowie bracia.

— Teraz zkąd wy mandrujecie sitarze?

— Z jarmarku z Medwedówki, tam nasi hulali dwa dni i dwie nocy, a teraz oko nie ujrzy ani Lacha, ani Żyda w miasteczku, ani kościoła, ani karczmy, tylko trupy i gruzy.

Tu mały chłopczyk porwał za poły starego i rzekł z płaczem. — Tam hajdamaki naszych pomordowali.

Stiahajło natychmiast przyskoczył. — Naszych pomordowali hajdamaki, to to ty Laszek? —

Mały drżał tak, iż sita na ziemię zaczęły padać, lecz stary niezmięszany podniósł sita.

— Naszych pomordowali, dobrze mówi mój chłopczyk; Lachy przeklęte hajdamaki, nie mogąc po koniu to po hołoblach ucięli. Kiedy się zaczęła pohulanka w Medwedówce to oni zarąbali ośmiu bezbronnych sitarzy, wszystkich rodem z Czarnobyla; myśmy z synem zaledwie zdołali uciec z rąk Lachów, ale dał ja im za swoich.

— Przekonamy się o prawdzie; prowadźcie ich do stajni, mamy i my tam kogoś co był w Medwedówce.

Zaledwie stajnię otworzono i ujrzano konia, mały wrzasnął: — Tatku, to nasz polowik Myszka. —

Stary kiwnął głową: — Tak, tak, to nasz polowy towarzysz, z nimeśmy razem przyszli z Łysianki do Steblowa. —

Stiahajło budził śpiącego Kozaka, ale ten roztwierał oczy i znowu zamrużał, a choć coś mówił, nikt nie rozumiał. Stiahajło myśląc, że go dosłyszy, wołał głośno: — Bracie! znasz ty sitarzy idących z Łysianki. —

Kozak przecierając oczy bełkotał: — Znam sitarzy... W Łysiance pomordowali — i znów zasnął; a mały chłopczyk chwycił się za oczy.

— Tatku to Dubyna. —

Stiahajło pomyślał: — To prawda, że jego imię Dubyna, zostawmy go niechaj spoczywa: a wy dobrzy ludzie idźcie w swoją drogę, boście prawdę powiedzieli.

— Czy myślicie zanocować w Korsuniu, czy się puścicie w dalszą podróż?

— Mybyśmy chcieli Panie Watażko jeszcze przed wieczorem ruszyć ku Białej Cerkwi.

— No, to macie znak na przepustkę na was dwóch — wyjął i dał dwie kopijki z popiersiem Katarzyny II. bite roku 1768.

— Niech Bóg szczęśliwie prowadzi, może się gdzie jeszcze zobaczymy. My dobrym ludziom złego robić nie chcemy, tylko wybić się z niewoli lackiej i oczyścić kraj z Żydowstwa. Sitarze pokłonili się.

— Dzięki wam Watażko za waszę łaskę, bogdajby nadszedł czas w którymbyśmy mogli ci zawdzięczyć — i poszli ku miastu. Radość siły i szybkości ich krokom dodała, radość na ich oczach obsiadła, mały tulił się do boku ojca, jak młoda sarneczka tuli się do matki, umknąwszy rozjuszonych paszcz ogarnów.

W Korsuniu trwa jarmark, na rynku ruch, ciżba i pył; po szynkowniach pijatyka, swary i krzyki. W ratuszu u Berka Makiedońskiego w gościnnej izbie zebrało się wysokie Państwo, Szlachta herbowa od pradziadów. Pani Skarbnikowa Złotnicka, najstarsza wiekiem, najzaszczytniejsza godnością, zasiadła na

pierwszem miejscu, na środku szerokiej ławy, opartej wysoką poręczą o ścianę; obok niej po prawej i po lewej stronie siedzą; Pani Podstolina Wyszpolska, Pani Komornikowa Drożewska, Pani Gubernatorowa Suchodolska, a w samym końcu na pół przysiadła na ławie przez wielki respekt dla tak możnych Pań, Pani Ekonomowa Madejska. Koło okien na stołkach rozgościły się Panienki. Pan Skarbnik Złotnicki muskał zawiesisty wąs, i coś rozprawiał z Panem Komornikiem Drożewskim; Pan Gubernator Suchodolski, zwrotnym językiem wychwalał stada polskie przed Szwabem Szpilerem, który go nie rozumiał, ale słuchał z roztwartą gębą. Pan Ekonom Madejski nakładał fajkę dla Pana Podstolego, a Pan Zgierski, porucznik kawalerji narodowej i młody towarzysz dragonji regimentu Królowej Jadwigi, do panienek cholewki smalili. Pani Skarbnikowa chcąc zrobić rozmowę ogólną, a przytem zwyczajem staropolskim uczcić cudzoziemca, zapytała: Jakże się powiodło kupno Panu Szpilerowi?

Szwab się zbliżył: — Jaśnie Wielmożna Pani, kupil cztyry kobylki: sliczny jest, jeden koń ogier, dwoje silnych wolochów. —

Panienki dławiły się od śmiechu, ale wzrok Skarbnikowej powstrzymał wybuch wesołości, a porucznik Zgierski przystąpił i zapytał.

— Kupiłeś Pan siwą kobyłę od szlachcica w konfederatce?

— Pan Porucznik, ja konfederacki nie lubi jest, bo to gubi wasz kraj, i do ludzi w oczy skaka.

Pani Podstolina podchwyciła: — Pan Szpiler widzę poeta?

— Ja Szpiler Pani Dobrodziki, ale wolałby bić poeta jak Konfederacka. —

Tu zbliżył się Komornik Drożewski, ośmdziesięcioletni starzec; włos biały jakby mlekiem się pokrył, czoło choć zmarszczone ale pogodne, bo cnota nieskalanej duszy na niem się malowała.

— Tnę potnę, Mospanie Szpilerze, nie bluźń waszeć przeciw konfederacjom; tnę potnę, to jedyny ratunek naszego kraju w nieszczęściu. O gdyby mnie sił stało, tnę potnę, natychmiastbym pojechał na Podole przystąpić do Konfederacji Barskiej; tnę potnę, tam zbawienie Ojczyzny, a nie w innych szachrajstwach; tnę potnę. — Szpiler się zapalił.

— Pan Komornik i ja ni szachraj, ja wam nic nie zaczepiać; a wasz Konfederacki nic do rzeczy; on krzyczy wolność! a nie chce Kajzera słuchać. —

Przyskoczył Porucznik: — Szwabie plucho, stul usta, wara bluźnić Konfederacji, bo ci łeb zetnę.

— I ja mam szabli, poprobujem się pan Polak.

— Hola! hola! Mościpanowie, odezwał się Skarbnik, stając między nimi, a respekt dla płci pięknej?... nie tu miejsce swarom.

Porucznik pokręcił wąsa: — Przepraszam Panie Dobrodziejki za uniesienie się: ale obraza rzeczy ojczystych, obraza zacnego

obywatela, poruszy i rękę i język polskiego żołnierza. Panie Szpilerze, jeźli wola pomachamy sobie trochę pałaszami, krzyżową sztuką.

— Ja gotów na pałasz, a na krzyż to ni.

— Do jutra sprawa, zawołał Suchodolski, jutro uczciwie podług zwyczajnych obrzędów się rozprawić, jak przystoi na ludzi zacnych. —

Wszedł goniec sługa Szpilera, a szykując się przy drzwiach jak lalka wertepowa, albo jak pies kuglarza wyuczony stawać na warcie, zaszwargotał językiem i oddał list, a tylko można było zrozumieć słowa ... Kozak, Branicki. Prędko przeczytał Szwab, ale pilnie, a na twarzy jakieś pomięszanie. Odszwargotał gońcowi mocno dodając gleich. Goniec wyszedł, a Szpiler obrócił się do Suchodolskiego.

— To mały interes jest, ja potrzebował pięciu podwód i to w tego moment dla ludzi; ja zapłacę jest, ja musi wyjść ztąd co prędzej; taki ordonans mego przyjaciel, pan jenerał Kreczetników, mnie przysłał przez Kozak pan jenerał Branicki. Pan gubernator ja prosi podwód, ja zapłaci.

— Dobrze panie Szpilerze, będziesz pan je miał. Panie Madejski pójdź wacpan i nakaż aby Asawuła zajął pięć podwód konnych, i przyprowadził do pana. — Madejski wyszedł spełnić rozkaz, a porucznik zbliżywszy się do Szpilera rzekł zcicha: — A nasza sprawa? możemy w sieni na gorąco zaraz wszystko skończyć.

— Pan Porucznik, ja dziś nia ma czasu, mego obowiązki naprzód, jutro ja przybiegnie na moment i machniem pałaszem — i uśmiechnął się zdradliwie.

— Słowo, że przybędziesz panie Szpiler.

— Słowo, że się wybijemy jutro, chiba jeden z nas dziś żyć nie będzie.

— Jeźli tylko ten warunek to mam nadzieję, że się sprobujemy. —

W tej chwili cisnęła się do drzwi cyganka obszarpana; ludzie dworscy za barki ją odpychali, a ona wrzeszczała: — Jaśnie wielmożni panowie! Jaśnie wielmożne panie! pozwólcie mi powróżyć sobie. — Panienki zaczęły prosić pani Skarbnikowej, a na jej słowo wpuszczono cygankę. Stanęła we środku, czarne oczy świecą jak zarzewie węgla, śniada twarz połyskuje jak roztopiona żywica; wodzi wzrok do koła i czepia po każdego twarzy, potem wykrzywiała usta, łzą się zalała, poczęła dziwacznie skakać po izbie, i płaczliwym głosem wołać: — Śmierć — krew — mordy — pożar — biedni wy ludzie. — Rozczochrane włosy latały po nad jej głową, jak złowróżbe ptaki po nad trupem wisielca. Przestrach pociągnął się po licach i zajrzał w serca niewiast. Uczucie odrazy ogarnęło mężów. Suchodolski chcąc położyć koniec piekielnemu tańcowi, wziął za ramię Cygankę.

— To warjatka! idź precz moja kochana. —

Zaledwie dotknął jej ręką, ona padła na ziemię, i zaczęła trząść i rzucać się jakby w chorobie świętego Walentego. Nikt nie śmiał jej tknąć; ale po chwili wstała, poprawiła swoje łachmany: — Ja warjatka — ja warjatka — ja wam prawdę mówię, uciekajcie bo będzie licho. — A potem obracając się do Szpilera: — No to zacznę tobie Panku wróżyć, pokaż dłoń. — Szpiler wyciągnął rękę: masz, głupi jest.

Cyganka przypatrzyła się dłoni: — lis zdradza tych co go gonią, a ty tych co ci gościnność dali. Przeklęty twój język, przeklęte twoje serce, żyć będziesz na utrapienie świata. — Szpiler odezwał się: ty kłamiesz, ja człowiek honoru.

Cyganka obracając się do Towarzysza Dragonji, wzięła go za rękę: — Ty żyć będziesz długie lata, ty jesteś ptak zwyczajny, ale z ciebie zrodzi się orzeł; on pomści ucisk twej ojczyzny, wzleci wysoko sławą i czcią, aż tam, tam w niebiosa — i wzniosła rękę w górę, a potem spojrzawszy na rękę Porucznika, znowu wpadła w obłąkany taniec i krzyczała: śmierć — krew — mordy — pożar! biedni wy ludzie! — Jak bąk skałaka po izbie, a wpadłszy we drzwi wybiegła do sieni. Suchodolski kazał ludziom zaprowadzić ją do dworu, ale cygani porwali pomiędzy siebie. Madejski wszedł dając znać, że podwody gotowe, i Szpiler żegnał się:

— Cyganki warjat jest, pleci koszałki opałki, nie trzeba jemu wierzyć jest. Upada do nóp pani Dobrodzik. —

Porucznik mu zastąpił: — Panie Szpilerze, nie zapominaj coś przyrzekł.

— Szpiler nigdy rejteryren nie, co przyrzekł dotrzyma. Upada do nóg pan Dobrodziejów ... i wyszedł. —

Jakby jakiem zaklęciem, cyganka rzuciła swojem wróżeniem niepokój na całe zgromadzenie; oczy wszystkich czegoś szukały a same nie wiedziały czego, a na domiar trwożliwego przeczucia, pan Madejski coś z cicha gadał do gubernatora, i na obudwóch twarzach malował się niezwyczajny wyraz. Pani Skarbnikowa zapytała: — Panie gubernatorze niech pan wyraźnie powie co to ma znaczyć, wszak my jesteśmy polki, a polka nie drży przed niebezpieczeństwem; pod nieszczęściem nie upadnie.

— Pani Dobrodziejko, nie masz tu ani jednego ani drugiego, to zwyczajnie sprawy jarmarkowe. — I wysunął się z izby z Madejskim; ale okiem kiwnął na Skarbnika i na Zgierskiego, a ci obadwa pośpieszyli niby nieznacznie jeden po drugim: kobiety dobrze to zauważały. Właśnie w tymże czasie, draby dworscy zaczęli bójkę z chłopami przed ratuszem. Komornik rozgniewany wyszedł do przedsieni i gromił drabów:

— Tnę, potnę, zaraz mi to przestać, tnę potnę — i wzniósł laskę do góry.

Groźna postać starca powstrzymała zuchwalstwo drabów, a chłopek, nieszczęśliwa ofiara ich kańczugów, padł do nóg

Komornikowi. — Dziękuję ci jaśnie wielmożny panie, niechaj Bóg strzeże dni twoje, ci napastnicy bili mnie za to, że moja szkapa zakulała i nie mogła ciągnąć tych parplaków, teraz panie wstaw się do gubernatora, aby mnie podarował.

— Tnę potnę, wstań mój kochany, alboż to twoja wina, że koń zakulał, idź spokojny, ani ci włos z głowy nie spadnie. Tnę potnę. —

Chłop odchodząc szemrał: Kiedyb wszyscy Lachy byli tacy, toby i nam i im było dobrze. — Komornik aby dopełnić swego przyrzeczenia udał się do maleńkiej izdebki dokąd wszedł gubernator, skarbnik, porucznik i ekonom, a widząc żarliwie rozprawiających: Tnę potnę, Mościpanowie przepraszam, nie przeszkadzam — i chciał drzwi przymknąć, ale Suchodolski wybiegł za nim.

— Prosimy pana Komornika, pan nam dasz dobre rady.

— Tnę potnę, moja rada za stara, ale szczera, o co rzecz idzie?

— Chłopstwo z cicha się odgraża, o hajdamakach gada. Leśniczy mi doniósł, że po karczmach przed miastem i za rzeką gromadzą się kupami i nikogo nie wpuszczają ani wypuszczają do miasta i z miasta.

— Tnę potnę, tego można było spodziewać się Mościpanowie. Panowie gniotą biednych chłopków, a czyż to oni nie mają rąk do odparcia napaści? Tnę potnę, dopiero co, mości gubernatorze, waspana draby obili chłopka, za to że mu koń okulawiał: a czy to się godzi? Bądźmy sprawiedliwymi a oni nas kochać i szanować będą. Tnę potnę. —

Tu przerwał Skarbnik: — Cham chamem! choć go smaruj miodem to on śmierdzi dziegciem. Panie Komorniku, waszmość może powiesz aby Konfederację Barską ogłosić i powołać do niej chłopów.

— Tnę potnę, gdyby tylko chcieli przystąpić toby to była rzecz święta, wszakciż i oni Polacy jak my. Znieśmy daniny, uciążliwe pańszczyzny, siądźmy na koń, powołajmy chłopków w imię Ojczyzny, a tnę potnę, ani jeden z nich nie będzie myśleć o buntach, o hajdamakach. Nie róbmy tak jak robili nasi ojcowie, nie drzyjmy się z sobą, a razem uderzmy na wroga; tnę potnę, ja stary ale jeszcze siądę na szłapaka.

— To są sny mospanie Komorniku; chłop dopóty dobry, póki bizun nad sobą czuje. Moja rada posłać do pana Malczewskiego do Bohusławia, aby tu przysłał dragonję, albo co jeszcze bezpieczniej, udać się do jenerałów cesarzowej aby nam przysłali część wojska, a wtenczas winnych powykrywać i poobwieszać.

— Tnę potnę, zła rada; lepiej do domów się rozjechać, z chłopkami po ludzku pogadać, załagodzić a nie rozjątrzać. A waszeć co na to powiesz panie poruczniku, ażeby wzywać Moskali?

— Lepiej Moskali bić jak ich na pomoc wzywać. Ja trzymam z panem Komornikiem; ale gdyby nie można łagodnością z chłopami skończyć, to i sami ich uspokojemy bez obcej pomocy.

Wszedł szlachcic czyńszowy, i zdejmował czapkę prawą ręką, a lewą dotknął kolana pana gubernatora:

— Jaśnie wielmośny panie, chłopstwo powstało po drogach i nie przepuszcza nikogo, grozi kijami, a nawet nożami; chciano mnie związać.

Gubernator obrócił się do Madejskiego: — Każ Waszeć natychmiast Iwanowi wziąść dziesiętnych, rozpędzić ten motłoch.—

Ekonom wyszedł a kuchcik pana Skarbnika wpadł nagle obszarpany: — Jaśnie wielmożny panie, naszą brykę zatrzymali chłopi koło młynów, pozabijali i Grzegorza i Kasię, ja ledwie zdołałem uciec.

— Mospanie gubernatorze, rzekł Skarbnik, to zbytki; każ mi waćpan natychmiast ze trzydziestu chłopów powiesić.

— Panie Skarbniku, trzeba się przekonać o prawdzie. — Tu wszedł Madejski.

— Iwan nie chciał słuchać, krnąbnie odpowiedział: idź sam rozganiać kiedy chcesz.

— To każ mu Waspan wyrżnąć dwie kopy batów pod kłodą; dla przykładu trzeba było natychmiast to zrobić.

— Nie mogłem, bo wsiadł na konia i pojechał.

— A dziesiętnicy?

— Porozchodzili się wszyscy.

— No to widzę, że na mnie przyszła kolej porządek robić. — I zabierał się do wychodu, kiedy kryjomo jak gdyby nie chcieli być spostrzeżeni, weszli do izby dwaj chłopi: jeden mały, drugi słuszny; szlachta do szabel sięgała, a gubernator krzyknął: po co tu chamy? kiedy stary chłop odrzucił przyprawną brodę, a Suchodolski zawołał: Panie Chiczewski! cóż tu ciebie przyprowadziło w takim stroju! I uściskali się serdecznie dwaj znajomi, a szlachta ostąpiła do koła nowo przybyłego. Uszy ciekawie nadstawiały się do słuchu, a Chiczewski odetchnąwszy po uściskach:

— Mości panowie, ratujcie się, ratujmy się! Źle słychać, chłopstwo zbuntowało się, hajdamacy przyszli z Zaporoża. Katarzyna wspiera bunt. Koliszczyzna wre w Medwedówce, w Łysiance, w Czehrynie. Pan Breza zamordowany przez własną służbę, tam wszystko w pień wycięto; po wszystkich wioskach panów, po karczmach żydów pomordowano. Popi, wysłannicy Cesarzowej, używają władzy wiary, i trunku, i obietnic do poduszczania chłopstwa; ledwiem zdołał umknąć i przebrany tu się dostać; ale to kiedyś usłyszycie, a teraz myślcie o sobie, bo dziś chłopstwo myśli na was napaść; rozdają noże, i lada chwila przybędą hajdamacy z Łysianki; w Wygodzie już więcej do trzystu parobków się zgromadziło: pod waszym nosem się zbierają.

— Daj mi waćpan panie gubernatorze trzydziestu dworskich Kozaków, ozwał się porucznik, a ja z nimi uderzę na chłopstwo, rozbroję, rozpędzę.

— Zkąd ja ich wezmę, kiedy słyszałeś pan, że wszyscy odmówili posłuszeństwa i porozchodzili się; co tu robić moi panowie? ja nie wiem. — Wszyscy smutnie dumali. Skarbnik się odezwał:

— Wysłać natychmiast za wojskiem moskiewskiem. —

Chiczewski przerwał mu: — za moskiewskiem wojskiem, co pan mówisz? piękna rada! Katarzyna zrobiła rzeź, a jej niewolnicy mają nas bronić?

— Mospanie Chiczewski, Waćpanu widzę także ta Konfederacja Barska zakręciła głowę; to nasza zguba, że szlachta nie chce ani magnatów, ani koronowanych głów słuchać, a nawet szukać ich opieki.

— Tnę potnę, mospanie Skarbniku, moich czterech synów do Konfederacji pobieżało, i jabym to zrobił gdyby mi lata pozwoliły. Tam zbawienie Polski, tnę potnę; ale tu nie czas wadzić się, trzeba coś postanowić bo niebezpieczeństwo nad karkami wisi. Ja stary żołnierz, jeźli chcecie to słuchajcie mojej rady: niechaj pan Madejski co żywiej wszystką szlachtę zbiera, kobiety do zamku niechaj natychmiast się schronią: zatarosować bramy, nabić szmigownice, i mieć się obronnie. Pan porucznik na czele szlachty konnej może zrobić podjazd; nie trzeba rozjątrzać chłopstwa, ale opamiętać, zawołać starych gospodarzy, przedstawić im rzecz. Tnę potnę, albo się zgodzimy, albo kiedy nie można, to bronić się do ostatka jak przystoi na szlachcica polskiego. —

Choć Skarbnik nie bardzo smakował w mowie Komornika, wszyscy jednak prosili aby przyjął nad nimi dowództwo, na co on z chęcią przystał. Madejski poszedł szlachtę gromadzić, porucznik pobiegł do zamku broń wydobywać i przygotować konie, mówiąc: — Szwab szwabem, pies psem; ale niech no z chłopstwem się uporamy, nie ujdzie gagacik na sucho, obadwa uszy obetnę; zwyczajnię jak zdrajcy. —

Pan Podstoli ze Skarbnikiem zabrawszy niewiasty, prowadzili je do zamku; choć o wszystkiem nie wiedziały, ale trwoga w oczach mężczyzn, głuche przesuwania się chłopów pod oknami, tajemne narady w osobnej izbie, oddalenie się Porucznika, dość im mówiły, że coś złego się święci; a wróżba cyganki, strachem i smutkiem bezprzestannie napadała myśli. Nie śmiały wręcz pytać, a chciałyby wiedzieć; z daleka okrążały rozmową aby wybadać prawdę, ale i Skarbnik i Podstoli jakby zmownie odpowiadali: To nic, pan gubernator żąda abyśmy uraczyli jego dom naszą bytnością. — Darmo silili się zatrzeć niepokój, aby nie pokazać go chłopstwu. Pani Suchodolska nawet, pełniąc obowiązek gospodyni, ledwie kilka słówek przebąknęła: smutnych, jak słowa pociechy przy łożu chorej śmiertelnie; pomięszanych,

jak rozkazy lękliwej niewiasty w czasie pożaru jej domu. W izdebce został jeszcze gubernator, Komornik, Chiczewski z synem i młody towarzysz Dragonji. — Panowie bracia, rzekł Chiczewski, ja z wami zostanę, podzielę, i dobry i zły los; co mi po życiu kiedy nie wiem co się żoną i z córkami dzieje.

— Gdzieżeś ich zostawił? zapytał Suchodolski.

— Powierzyłem je w ręce naszego dobrego znajomego, w ręce Wernyhory,

— Dobre to ręce, szkoda że go nie masz od trzech tygodni w futorze, on by nam pomógł; ale opowiedz jakeś się wydostał z niebezpieczeństwa.

— Tnę potnę, w zamku waszeć nagadacie się, a teraz trzeba robić, chodźmy. —

Pojawił się Madejski i Suchodolskiemu szepnął:

— Wernyhora chce z panem mówić.

— Przyprowadź go Waćpan tutaj, wszak w ratuszu nie masz chłopstwa?

— Nie panie, tu się zbiera sama szlachta, a chłopstwo dotąd z cicha kupkami po rynku się włóczy, jakby o niczem nie wiedziało: a najwięcej wychodzi za miasto. —

Oddalił się Madejski, a przed nim wkrótce stanął człowiek ogromnego wzrostu, hardej postawy; ciemno-siwe oko jeszcze żarzy się ogniem młodości; na zawiędłej twarzy siwy wąs w górę się podkręca, głowa golona, tylko osełedec za ucho zapada, nogi sztywne, ręce żylaste. Wszystko świadczy, że to brat konia, syn stepu. Na nim biały żupan, z cienkiej skórki kontusz, matniaste szarawary; przy boku krzywa szabla, a w lewej ręce barania czapka. Nie kłaniał się; tylko wstrząsnął głową.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus: jak się macie panowie Lachy?

— Na wieki wieków, Amen — odrzekła szlachta — zdrowi Ojcze Wernyhoro.

— Tnę potnę, wszakci my nie od dziś się znamy, Mosanie Wernyhoro, powiedz nam, coś tu źle słychać?

— Oj źle, panie kolego, nie tak to było kiedy waszeć byłeś Namiestnikiem w husarzach, a ja Asawułą na Zaporożu. Nieraz ja wam mówiłem: Panowie Lachy i Panowie Mołodce, kochajmy się, bośmy dzieci jednej matki. Nie posłuchaliście i licho się zrobiło; co się stało to się odstać nie może. Nie o was mi tu chodzi, ale o naszą biedną matkę, o Polskę. To to żal! jej właśni synowie serce jej rozdzierają. Nie ma co tu długo myśleć, trzeba bić się; jak szlachta dawnych czasów walczyć, i ginąć jak szlachta dawnych czasów.

— Tnę potnę, kolego Wernyhoro, i w nas szlachecka krew płynie; potrafimy bić się i głową nałożyć, ale my chcielibyśmy zgody.

— Nie czas prosić o zgodę kiedy kto słabszy; trzeba pokazać

dobrą wolę do bitwy, a może Bóg zeszle pojednanie; ale strzeżcie się zdrady, brońcie się dobrze w zamku, a ocalicie wszystko. Ty bracie Chiczewski ruszaj co prędzej do Humania, aby nie dać przekabacić Gonty; to twój kum. W przedsieni masz dwa konie: jeden dla ciebie, drugi dla twego chłopca; nie żałuj szkap, bo jak za późno przyjedziesz, to twoja śmierć. Ty, mości towarzyszu, chodź ze mną, ja ciebie przeprowadzę na drogę do Powołoczy; ruszaj nią prosto, dopędź i zawróć dragonję Malczewskiego. Powiedz, niechaj nie słucha moskiewskich rozkazów co go wysłali z Bogusławia. A z wami, kolego husarzu i panie Suchodolski do widzenia się.

Tu Chiczewski zapytał:

— A żona, córki?

— Zdrowe i bezpieczne.

— Tnę potnę, kolego Wernyhoro, a z nami nie raczysz Waszeć dawniejszych czasów przypomnieć, machnąć szablą na buntowników.

— Oni moi bracia i wy moi bracia; oni teraz broją, wyście wprzódy broili. Moja ręka ani na was, ani na nich się nie podniesie. Niechajno przyjdzie Moskal albo Niemiec, to jeszcze pokażę, że moja szabla nie przyrdzewiała do pochwy. Bądźcie zdrowi, brońcie się dobrze a posiłek nadejdzie. —

Z cicha mówił z Komornikiem, potem rzekł głośno: Mości towarzyszu — a gdy towarzysz się ociągał, Komornik poklepał po ramieniu:

— Tnę potnę, idź waszeć i słuchaj kolegi, to poczciwy człowiek i rycerski mąż. —

Wernyhora z towarzyszem wyszli tyłem ratusza. Chiczewski przyczepiwszy brodę wsiadł na koń i wyjechali z miasta mięszając się między chłopów, by na nich nie bardzo patrzano, a Komornik z Gubernatorem ku zamkowi poszli.

O kilkuset kroków w bok miasta, po nad spochowistym brzegiem Rosi stał stary zamek. W czterech kątach czworogranu stały cztery baszty mchem ociągnięte, zielem porosłe; na ich zgrzybiałem cielsku rysowały się rozpadliny wieków, i szczerby dawnych bojów. We środku czworogranu było kilka budynków drewnianych. Na jednym wznosiły się wieżyczki spiczaste jak głowy cukru, drugiego dach był pobity tarcicami, trzeci zaś słomą pokryty; dalej stajnia i szopy oczeretem poszyte, oczeretem ostawione, a wszystko od starości w ziemię wklęsło i poprzekrzywiało się jak grzbiet starca od ciężaru wieku. Z trzech stron wznosił się wysoki wał, a przed nim przekop, głęboki, zjeżony tarniną; był i most zwodzony, i brama z dębowych dylów tak gęsto szamerowana sztabami żelaznemi, jak złotem huzarski dołman Węgra; z czwartej strony brzeg ścięty jak ściana, a u

spodu, przeźroczysta Roś, srebrnym połyskiem wody nęci oko, jednostajnym szmerem łechce ucho.

Zapomniał już stary zamek o bojach; po wieżach i basztach zagnieździły się puszczyki i sowy, a w podziemnych kryjówkach goszczą łasice i szczury; ale teraz choć jeszcze mrok szary nie zapadł, i słońce czerwono świeci, jakby krwią umalowało sobie oblicze, nowi przybysze latają po nad budynkami i kryją się po norach; bo dawni mieszkańce, ludzie wojny, zawitali na powrót do starego zamku, ciągną cztery harmatki do baszt, rychtują szmigownice. Pan Komornik rozprowadza i pokazuje każdemu stanowisko którego ma bronić. Pan porucznik zbroi oddział konnych. Pan Skarbnik i pan Podstoli przy kobietach na straży; ksiądz proboszcz śpiewa litanje, a kobiety wszystkie na klęczkach modły wznoszą do Najwyższego. Pan ekonom z panem gubernatorem wynoszą prochy, bronie; szlachta czyńszowa z żonami i dziećmi sunie do zamku, a chociaż opierał się Komornik aby żydowstwa nie puszczano, pan gubernator przez wzgląd żeby intrata miasta nie upadła, pozwolił schronienia co bogatszym, ubożsi kryli się po lochach i pod strychy; zgoła że było w zamku do pięciuset dusz, a ledwie można rachować sześciudziesięciu pieszych, a dwudziestu czterech konnicy gotowych do boju. W starym zamku zgiełk i wrzawa, popłoch i trwoga wzajem sobie podały ręce. Zdaje się jak gdyby chciano głośnym krzykiem, silnym ruchem upoić, oszołomić strach i smutek, mimowolnie zaglądający we wszystkich serca.

W mieście z rzadka przechadzają się chłopi, po za miastem gromadnie się kupią; cicho mówią, zwolna chodzą; w ich oczach ponura niecierpliwość, na ich twarzach żądza zbrodni, w ich sercach obłęd zakamieniały występku. Starzy po karczmach radzą, układają napad, rzekłbyś że przygotowują się głuchem milczeniem do głośnej rozprawy, do mordu; że powstrzymują język, hartują dłonie. W powietrzu duszno, parno i tęskno, jak przed nawałnicą, jak przed trzęsieniem ziemi.

III.

Zbyraj koniu kopitom
Chot' i pina poticze:
Ja zakławsia Korolom!
Szczo bis Moskal newticze! —

Pieśń jazdy Wołyńskiej.

Poniżej korsuńskich młynów; w miejscu gdzie Roś z łotok i upustów taszcząc wartką wodę, trzema ramionami zbiegała się w jedną taśmę, i wpadając na opoczyste koryto coraz szerzej i szerzej srebrną lawą lała się ku Korsuniowi, wznosił się na ostrowiu gaj olchowy. U góry rozkładały się ciemno zielone wierzchołki drzew, i za każdym powiewem wiatru, liściem się z sobą całowały; u dołu łoza i rokita wiły się płotem dziwnej łamaniny; zda się że ani ptak ani zwierz nie potrafi się wsunąć w gęstwinę, a oko ludzkie chcąc przejrzeć za tę kratę, łzą zajdzie, bolem się zmruży, i nic nie zobaczy. Od prawej strony tylko wązka ścieszka wężykiem się kręci przy samem wnijściu do gaju i niknie. Podróżny przechodząc prawym brzegiem, rzecze, to puszcza na ostrowiu! jednak tam na pierwszym klinie stoi chata z zabudowaniem gospodarskiem, a na drugim pasieka i halawa zasadzona ogrodowiną. Korsuńscy ludzie kiedy się zbliżą do olszyny, żegnają się krzyżem świętym i żadnego nie korci ciekawość aby tam wejść; przyczyna nie jest jednak w samym tylko strachu, ale przywiązują jakiś rodzaj czci do tego miejsca; tajemniczość pociąga ku niemu, tajemniczość wstrzymuje ciekawość i tajemniczość jeszcze leje w serce bojaźń ze czcią zmięszana. Było to mieszkanie Wernyhory.

Kto jest ten Wernyhora? Czy Kozak, czy Lach, niewiadomo: służył na Zaporożu, ale powiadają, że niegdyś walczył pod koronnemi znaki; lubi kozacką wolność, ale brata się ze szlachtą lacką; w cerkwi śpiewa: hospody pomiłuj, i pokłony bije. Od katolickiego kościoła nie ucieka i nie pluje na księdza prawiącego mszę po łacinie. Dwadzieścia lat jak w futorze zamieszkał; z okolicznymi pankami tak żyje, jakby sam był panem, herbowym szlachcicem; chłopów wspiera i hojnym datkiem i dobrą radą. Pieniędzy u niego zawsze huk, i na niczem nigdy nie zbywa; ale

żadnej nie trzyma czeladzi, oprócz starego parobka, który z nim przybył z Zaporoża; żyją z sobą jak bracia nie jak pan ze sługą. Całego dobytku nie masz jak cztery konie, i to wierzchowe, kilka chartów, i sto pni pasieki, a jednak kiedy kto zajdzie w gościnę do futoru, to jadła i napitku ma aż po uszy. A co tam złota, srebra, bogatej broni, bisiorów i jedwabnych materji! — Musi mieć z piekłem do czynienia, zaprzedał swoją duszę po śmierci, aby za życia bisami miotać; a co ważniejsza przyszłość nawet przepowiada, jak mówią chłopi. — Wernyhora w książkach czyta, i pisze listy jak ksiądz Rektor Bazyljanów; wschodniemi językami gada, jak pielgrzym jerozolimski; jeździ to do Carogrodu, to na Tatarszczyznę; wie co się dzieje w Petersburgskim dworze, nawet gada o Wiedniu i o królu pruskim. Od trzech miesięcy, jak się zawiązała Konfederacja Barska, to on ani na chwilę nie posiedział na miejscu; jeździ po domach, zachęca szlachtę aby przystępowała do niej, robi nadzieję zasiłków w pieniądzach i w ludziach, byle tylko Moskalów wyparować z Polski. Jenerał Kreczetników i pan jenerał Branicki obiecali tysiąc czerwonych złotych za jego głowę; musi to być ważna figura, musi to być albo czarnoksiężnik, albo polityk, albo brat Hana Krymskiego, albo ambasador Saskiej rodziny — tak mówi szlachta.

I teraz w futorze nie masz Wernyhory. Wyszedł do miasta: stary Makar się krząta, widać że tylko co zebrał ze stołu, i resztki jadła rzuca z talerzy chartom. W izbie były trzy niewiasty; jedna mołodyca i dwie dziewki; mołodyca choć nie pierwszej młodości ale jeszcze urodziwa, siedziała na stołku, ręce na piersiach krzyżem splotła, oczy w ziemię zanurzyła; smutek i niepokój powlekły się po jej twarzy i żegnały pogodę z czoła, jak ponury mrok wieczora zgania z ziemi jasność dnia wesołą. Starsza z dziewcząt ledwie siedmnastą wiosnę poczynała, a już wyraz twarzy zrzucił z siebie barwę dziecinnego wieku; w ciemnem oku ogień życia i młodości pała; po białem licu i bladym rumieńcu plączą się na pół objawiające się uczucia serca; pierś wznosiła się i spadała nie w takt mierzony oddechem, wzrokiem przez okno patrzała na olszynę, ale myślą dokąd? — Bóg to tylko święty i ona wiedziała. W błękitnem oku młodszej maluje się szczera swoboda, szczery uśmiech przewija się po krasnej twarzy: ona kręci się po izbie i ciekawie się przygląda wszystkim przyborom; wszystko ją dziwi, wszystko zastanawia; dębowy tapczan przykryty bogatym kobiercem, skóra końska z siercią, rozciągnięta w jednym kącie, a po nad nią makata czerwona błyszczy srebrnemi księżycami i na niej pozawieszane krzywe szable, pistolety, jatagany, długie rusznice, uzdeczki z surowca, nahajki misternie plecione, a od góry, ściany pokryte obrazami świętych; obrazy złociste i jaskrawych kolorów, a ramy srebrne. Świeczka żółtego wosku pali się przy obrazie przeczystej Dziewicy Marji, w około niej wianki z nieśmiertelników i flaszeczki

z wodą święconą. W alkierzu siodła kozackie, siecie pozawieszane na hakach; ogromne skrzynie i wysokie bednie, a na skrzyniach i bedniach, poklejone bohomazy konne, posmarowane po papierze; w kącie alkierza na półce kilkanaście ksiąg rozmaitej wielkości, oprawnych w białawo-żółty pargamin. Widząc że nikt nie zwraca baczenia ani na nią, ani na izbę, młoda dziewczynka chcąc milczenie przerwać zawołała:

— Mamo! mamo! widzisz, taka sama szabla jak u pana Nekrasy; może on tu jest? —

Matka nie dosłyszała albo też nie chciała jej nic odpowiedzieć, ale starsza dziewczyna odwróciła się, a żywy rumieniec sfarbował białe lice, i taka była piękna jak promień słońca wśród chmurnego nieba.

— Patrz Magdusiu czy nie taka sama szabla? głowa Turka w zawoju z jednej strony, a półksiężyc z drugiej.

— Może być Joasiu, ale ja tamtej nie przypominam sobie — i tu się jeszcze bardziej zarumieniła, zwyczajnie jak wstydem kłamstwa.

— Ty nie pamiętasz Magdusiu? ty zmyślasz, ja dobrze pamiętam jak tatko poszedł z panem Nekrasą oglądać konie; tyś wyjęła szablę z pochwy, machałaś nią jakby żołnierz, a potem pocałowałaś jak obrazek święty; a ja mówiłam, że to grzech całować Turczyna; wszak prawda mamo, że grzech? —

Mołodyca z niechcenia się uśmiechnęła: grzech moja droga — ale Magdusia opowiedziała siostrze.

— Moja Joasiu, co też to tobie się roi po głowie? tak pleciesz jakbyś była w gorączce.

— U mnie roi się po głowie; ale pani Chorążyna mówiła, że u ciebie roi się w sercu; ja plotę ale prawdę, a ty nie chcesz się do niej przyznać; jakby to źle było lubić pana Nekrasę? On taki ładny i grzeczny człowiek, ja jego lubię. Wszak prawda mamo, że trzeba prawdę mówić, lubić naszych przyjaciół?

— Trzeba prawdę mówić, tak Pan Bóg przykazał; trzeba nietylko lubić naszych przyjaciół, ale przebaczać nieprzyjaciołom; ale nie trzeba bez rozwagi pleść co się nawinie na język, bo to nie pięknie.

— Ja prawdę mówię mamo. —

Byłaby dalej świegotała, ale ujrzano Wernyhorę wchodzącego do chaty.

Jak tylko wszedł, powitał niewiasty, ale mołodyca nie dała mu ust otworzyć.

— Kumie Wernyhoro, a czy nie słyszałeś co o moim mężu, o moim synie?

— Mąż twój kumo i syn, zdrowi i cali, ruszyli do Humania i zajadą tam bezpiecznie; za to wam ręczę.

— A to i jedźmy za nim.

Joasia dodała: «Jedźmy panie Wernyhoro, ja lubię jeździć,

a jeszcze tak dalekiej podróży nigdy nie zrobiłam jak teraz; jak mamę kocham, choć niewygodnie na drabiniastym wozie, ale zawsze jednak lepiej jechać niżeli siedzieć na miejscu jak grzyb. Wszak prawda Magdusiu? —

Starsza siostra nic nie odpowiedziała, tylko oczy wytężyła na twarz Wernyhory, jak gdyby czekała z jego ust słowa, o które nie śmie się zapytać. Wernyhora skinął głową.

— Kumo Chiczewska jechać nie można, bo już wszystkie drogi hajdamacy pozajmowali; co się raz udało to się drugi nie uda. Nawet tu niebezpieczeństwo grozi. Chłopi nie śmieliby napaść na moje mieszkanie, ale mnie doszły wieści że Kreczetnikow wysłał oddział Moskali, przebranych po chłopsku, aby mnie schwytali, i pomogli hajdamakom do zdobycia zamku Korsuńskiego.

— Cóż my teraz nieszczęśliwe poczniemy!

Pani Chiczewska załamała dłonie.

— Nie bój się kumo, potrafimy się ocalić: jeszcze na nas nie przyszła zła godzina, i Kreczetników, i jego Caryca nie przeistoczą księgi przeznaczenia; tak się musi dziać na świecie jak tam napisano. Bądźcie dobrej myśli: ale jakże wam się podoba, moje krasne panie, uboga chatka waszego sługi?

— Bardzo piękna, odpowiedziała Joasia, ale niechajno Pan Wernyhora nam prawdę powie, gdzie schował Pana Nekrasę, bo ja wiem pewnie, że on tu jest; już ja to dopatrzyłam. Proszę się nie zapierać. Nie godzi się też drażnić z Magdusią, jakby ona była małem dzieckiem. —

Panna Magdalena płonęła w rakach i schyliła się do okna jakby tam czegoś chciała szukać. Wernyhora to dobrze uważał, i choć to nie była chwila wesołości, jednak na jego twarzy zadowolenie się objawiło.

Pani Chiczewska się odezwała: — Przestań trzepać językiem mały trzpiocie, czas by przestać być dzieckiem — i pogładziła ją po twarzy: ta całując rękę matki ciągłe świegotała.

— Widzisz mamo pana Wernyhorę; nic nie mówi, złapałam na uczynku, trzeba nam pokazać pana Nekrasę. Mnie się zdaje, że on by porąbał wszystkich hajdamaków i Moskali, on by nas obronił; wszak prawda Magdusiu? —

Starsza siostra twarz odwróciła — nie wiem — i spuściła oczy w ziemię. Wernyhora spojrzał na nią:

— I ja chciałbym aby tu teraz był Nekrasa, ale na nieszczęście nie wiem gdzie się obraca; niechaj panna Joanna mi go znajdzie, a ja dam piękny gościniec.

— A szabla pana Nekrasy co tu robi? — i porwała za szablę wiszącą na ścianie Rozśmiał się Wernyhora.

— To taki to Nekrasa schowany! Alboż to my nie możemy mieć z nim jednakowych szabel? — a potem obracając się do starszej panny — a ty moja córko chrzestna czegoś zadumana?

— Jakże a mam być wesoła, kiedy takie nieszczęście spadło na Polskę. Ojciec, matka, brat i my w niebezpieczeństwie!

Joasia swoje słów kilka wtrąciła: — I pana Nekrasy nie masz między nami... Magdusiu? po co całej prawdy nie powiedzieć; wszak prawda Mamo; prawda panie Wernyhoro, że nie dobrze nie mówić wszystkiego co się myśli?

— Nie zawsze powinno się mówić co się myśli, ale nie trzeba się smucić tak zbytecznie, i nieszczęście kiedyś przejdzie; wszystkiemu na tym świecie musi być koniec.

— Ale panie Wernyhoro czy pan Nekrasa przyjedzie? — zapytała Joasia — bo ja go bardzo lubię.

— Może i przyjedzie. —

Wszedł Makar i stanął przed nim: — Ojcze Wernyhoro przyszli Semem i Onyśko.

— Za pozwoleniem waszem kumo, i wy kraśne dzieweczki, oddalę się na chwilę. —

Wyszedł do sieni, a Joasia ciekawie przyłożyła ucho do klamki, ale nie dosłyszała tylko te słowa: — Semenie siadaj na kasztanka i co żywo jedź drogą ku Czerkasom — i potem coś cicho mówił, i znów zaczął głośniej: — Onyśko przyrządź czółno, tylko ostrożnie i bądź gotów. —

Wrócił nazad, kiedy pani Chiczewska mówiła do córki: — Joasiu, nie ładnie być tak ciekawą. — Wernyhora niby tego nie uważał: swoje gadał.

— Zmrokiem Makar zawiezie was do bezpiecznego miejsca, ale ja was nie opuszczę; choć zdala, będę czuwać nad wami. —

Udał się do alkierza, zamknął drzwi, zabawił czas jakiś, a kiedy się ztamtąd ukazał już był przyodziany w sirak, miał torby na plecach, a duży kij w ręku: — No bywajcie mi zdrowe kumo, moja córko i Panno Joanno, bądźcie spokojne. —

Kobiety go zatrzymywały, ale on im dał za odpowiedź te słowa:

— Tak być musi. —

Już na podwórzu dawał Makarowi cicho rozkazy, i wkrótce zniknął w olszynie. Już oko go nie widziało, a jeszcze matka i córki topiły wzrok w gęstwinie i szukały ścieszki. Smutne były; tą razą nawet Joasia się zadumała, bo tajemnica większym strachem nabawia jak jawne niebezpieczeństwo. Tu człowiek wszystko widzi przed okiem, a przez miłość siebie, zmniejsza obraz tego co mu grozi, i powiada: jakoś to się przebędzie; tam przez miłość siebie, niebezpieczeństwo powiększa myślą i powiada: musi tam być bardzo źle.

Noc ... Sklepienie niebios czarne, jakby sadzą okopcone, na niem tylko kilka ciekawych gwiazdek błyszczy. Zamek Korsuński i kościoły, miasto całe, potonęły w otchłani ciemności, tylko blade światełka po basztach migają, kilka słabych ognisk na wałach płonie. Wtem skrzypnęły wrzeciądze, otwarła się brama,

spadł most zwodzony, zatętniały kopyta końskie po dębowych dylach: to pan Porucznik z konnymi wyruszył na podjazd. Pan Komornik w białej konfederatce, z karabelą przy boku obchodził straże, stanął koło południowej baszty obok szlachcica stojącego przy ognisku.

— Tnę potnę, mosanie Siedlecki, miej zawsze ogień przy harmatach, by natychmiast huknąć, skoro się tylko hajdamacy pokażą. Tnę potnę, na wojnie szlachcic polski powinien jak żołnierz się sprawiać. — Dalej z jednym zażył tabaki, drugiemu przypomniał dawne czasy; tego pochwalił za pilność, tamtego napędził aby nie był gamoniem, i tak obszedł wszystkie straże. Na dziedzińcu spotkał Gubernatora. — Tnę potnę, mosanie Suchodolski, czy przecież uspokoił się pan Skarbnik ze swoim oficerem moskiewskim? To mi jakiś paniczyk nie do szabli, ale do spodnicy zrodzony.

— Pan Skarbnik żąda aby go natychmiast puścić wolno; powiada, że to adjutant cesarzowej Katarzyny, widział jego papiery; dodaje, że wielkiego rodu, że graf.

— Tnę potnę, co mi tam po jego grafowstwie, jego adjutanctwie, gdyby był i sam cesarz, jak tylko się dostał w niewolę, musi być jeńcem. To prawo wojny!

— Ależ panie Komorniku, my nie jesteśmy w wojnie z Moskwą?

— Tnę potnę, co Waszeć mówisz? Moskwa chłopstwo na nas podburza; Moskwa przeciw naszym braciom Konfederatom wojuje; Moskwa nasz kraj zabiera, a my nie w wojnie z Moskwą? Tnę potnę, to mi to gadania!

— Panie Komorniku, niechaj się pan nie gniewa; ja nie bronię Moskwy, jabym z nią walczyć gotów, ale żebyśmy tem przetrzymaniem nie pogorszyli sprawy?

— Tnę potnę, ja tu dowódca; ja za wszystko odpowiadam; pozwoliłem Waszeci choć przeciw mej woli żydowstwa tu naprowadzić, ale na to nie pozwolę aby z zamku oblężonego wypuścić wroga Moskala; a toby mi głowę ogolić. Tnę potnę, wprzód dyndać będzie adjutant na szubienicy, niżeli ujrzy wolność teraz; jak się zakończy rozprawa wojenna to puścić każę. —

Tak gadając weszli do wielkiej izby zamku; tam w mosiężnych świecznikach gorzały mnogie światła, po ścianach pozawieszane mnogie wizerunki dawnych bohaterów Polski; z oczu im groźno patrzy, a zda się, że ręce co chwile porwą za szable. W staroświeckich krzesłach siedzieli panowie, szlachta; jak wizerunki groźnie patrzali, i jak wizerunki mieli dłonie na rękojeściach szabel; obok Skarbnika siedział jakiś młodzik jasnowłosy, ufryzowany, upudrowany, w zielonym fraku z ponsowym naszytym złotem kołnierzem, w białych spodniach, w woskowanych butach, pendent od szpady przy boku, a na piersiach krzyżyki na kolorowych wstążkach. Wdzięcznie się uśmiechał do Skarbnika, i coś mu prawił piskliwym a przysa-

dnym głosem. Skoro wszedł Komornik, wszyscy powstali z miejsca, zwyczajne jak przed Komendantem, a Skarbnik się odezwał:

— Panie Komorniku, niechaj się Pan raczy zastanowić: zatrzymywać pana grafa Tamarę w zamku; on wiezie ważne rozkazy do jenerała Kreczetnikowa od cesarzowej pani; chłopstwo zbuntowane puściło go, szanując prawa gościnności, a myż mamy one poniewierać, zwłaszcza względem monarchini, która się opiekuje i naszym krajem? ... Pan graf przyrzeka natychmiast przysłać nam pomoc.

— Tnę potnę, z tego nic nie będzie; ja Moskwie nie wierzę, tłomaczenia z moich czynności nikomu nie zdaję, bo ja tu dowódca. Pan Porucznik przyprowadził jeńca, moją rzeczą aby go tu kazać dobrze strzedz. —

Moskiewski oficer ośmielony opieką Złotnickiego, podsunął się do Komornika, poprawiał włosy i kiwał się jak gdyby chciał się hojdać. — Panie Naczelniku, ja nie jeniec wojenny, mnie pańscy ludzie napadli jak rozbójnicy i zaprowadzili tutaj: ja mam ważne depesze. Pan na siebie srogą odpowiedzialność ściągasz; ja to wszystko przedstawię raportem. Pan wiesz że to Sybirem pachnie; już tam Polaczków jest nie mało.

— Tnę potnę, młokosie, to ty mnie straszyć będziesz? A mores! Każ go waszeć zaprowadzić do lochu, i dobrze tam zapakować, a wierną straż postawić. —

Junakierja odbiegła Tamarę, pobladł jak glina podeschła, oczy słupem stanęły i schował się za Skarbnika, a ten się nastawił.

— Panie Komorniku, proszę pana, na moją instancję.

— Tnę potnę, niechaj mi zabiorą zaraz tego zucha, taka moja wola; a Waćpanowie albo mnie złóżcie z dowództwa, albo słuchajcie. —

Nikt nie śmiał ani słowa powiedzieć, bo strach hajdamaków każdemu z za karku wyglądał.

Poprowadzono Moskala do lochu; on się nie opierał, tylko trząsł się i błagał okiem litości.

— Tnę potnę, to mi wojak; gdyby takich wielu, dość byłoby posłać kuchcika z rożnem aby ich powojować.

Tu wszedł szlachcic od straży:

— Panie Naczelniku, na wałach potrzebują Pana.

Komornik żywo ruszył, jakby dopiero szesnasty rok kończył. Kiedy przyszedł na brzeg spadzisty, szlachcic stojący na warcie wskazał ręką.

— Panie Naczelniku coś pluszcze po wodzie, jakby wiosła robiły.

Komornik nadstawił ucha. — Tnę potnę, pluszcze, daj mi waszeć rusznicę, a ja palnę w to miejsce. —

Już odwiódł kurek i wymierzył, kiedy trzy razy coś gwiznęło na rzece, a potem klasnęło w dłonie. Komornik spuścił rusznicę,

— tnę potnę, to nie wróg, to swój; ja znam ten znak, to nasz dawny husarski, poświeć no waszeć ogniskiem. — Szlachcic zbliżył ognisko i rozdmuchał ogień. Przy bladem połysku łuczywa tło rzeki zalśniło jak powierzchnia smoły ciekącej z majdańskiego pieca, a na niem jak plamka kołysze się czółenko ... i już pod samym brzegiem. Komornik krzyknął:

— Kto idzie? — a na czółnie odpowiedziano:

— Swój.

— Kto swój? daj hasło!

— Bar!

— Odezw!

— Konfederacja.

— Tnę potnę to od Wernyhory, albo on sam. Czego chcesz?

— Drabiny co prędzej!

— Podać drabinę.

Wkrótce przynieśli długą drabinę, i spuścili w dół, ale jakież było zdziwienie Komornika kiedy ujrzał Makara, a za nim trzy niewiasty; poznał panią Chiczewskę i jej córki. — Tnę potnę, a ślicznyż mi posiłek przysyła kolega Wernyhora? Piękne buziaki, ani słowa, ale gdyby to rzecz była z tym grafem Moskiewskim tobyśmy zwyciężyli, ale te hajdamaki znają się na piękności jak nierogacizna na pieprzu. —

Makar chciał coś mówić, ale Komornik machnął ręką:

— Tnę potnę, zaraz, tylko zaprowadzę te panie do zamku, bo to ja tu teraz gospodarz. —

Zaprowadziwszy do sypialnej izby pani Suchodolskiej, gdzie były zebrane niewiasty, sam wyszedł do Makara. Kobiety witały nowo-przybyłych, a jakby zapomniały o nieszczęściu, śmiały się z ich strojów i natychmiast zaczęły je przybierać w suknie i robrony pani gubernatorowej. U kobiet jedno nic głuszy głośny śmiech i marszczy smutkiem czoło rozswawolone; jedno nic spędza tęsknotę, odgania strach i weseli serce.

Jeszcze Komornik rozmawiał z Makarem, kiedy wystrzelono kilka razy na zachodnim wale.

— Ruszaj Makarze, tnę potnę — i biegł w miejsce alarmu. Makar jeszcze domawiał: — tylko nie wpuszczajcie nikogo — i spuścił się drabiną do czółna.

— Tnę potnę, co to jest?

— A tam za wałami wołano: Bar! Konfederacja!

— Tnę potnę, to nasi, puśćcie ich.

Skoczyło kilku do bramy, a Siedlecki rzekł: — A djabliż ich widzieli, lecą czwałem bezładnie i nic nie mówią choć na całe gardło krzyczeliśmy: kto idzie! Pierwszą razą pan porucznik porządnie przyjechał stępą z podjazdu kiedy przyprowadził Moskala. —

Otwarto bramę, i dobrze się przypatrywano, a kiedy zobaczyli, że to była szlachta konna, spuszczono most. Dziewięciu

tylko jeźdzców w czwał wskoczyło na dziedzinice krzycząc: zamykaj! zamykaj bramę! ćma hajdamaków za nami goni.

— Tnę potnę, stój! stoj! z koni! co wam jest ludzie? i kot nie goni za wami. —

Most zapadł i brama zatrzasła, a jeźdzce ledwie opamiętali się koło samego zamku, pozsiadawszy z koni. Ich twarze posępne i krwią zbroczone, ludzie zieją piersiami a konie bokami robią.

— Tnę potnę, gdzie pan Porucznik? co to znaczy? mówcie! —

Natenczas jeden się odezwał:

— Wszystko było cicho, dwa razy przecięliśmy rynek wzdłuż i w poprzek, a żywej duszy na drodze nie było. Pan Porucznik mówił: to z nami żarty robiono, jedźmy do Wygody: dwóch pojechało przodem, i dało znać, że tam jest chłopstwo. Pan Porucznik kazał iść naprzód, i dobyć pałasze. Zaledwieśmy się zbliżyli o dwadzieścia kroków, aż tu z przodu i z tyłu i z boków wypadło na nas chłopstwo wyjąc jak wilcy i krzycząc: rżnij! siecz! Kosami śmigali, nożami pchali: sądny dzień był. Hajdamaków było ze sto tysięcy; ja nie wiem jak my się wyrwali. —

Drugi dodał: — Pod Panem Porucznikiem koń się związał, hajdamaki poszarpali go na kawałki, ja sam widziałem. —

Trzeci mówił: — Boska opatrzność nas zachowała. —

Wszyscy wołali: — Panie Naczelniku, hajdamaki już krzyczeli na miasto! na miasto! —

Komornik smutnie zwiesił głowę: — Tnę potnę, to to młodzież! nie słuchać rady starszych? Mówiłem: zrobić podjazd, ale zdaleka, nie nacierać; u nich szabla wszystkiem, a doświadczenie za nic. — Podniósłszy głos: — Tnę potnę, Mościpanowie, w Bogu nadzieja, i w dobrej sprawie: wszystko dobrze pójdzie; ufajmy a zwyciężymy. Panie Madejski, każ Waćpan w dzwon uderzyć aby wszystko do broni stawało. —

Wkrótce dzwon sie ozwał, spiż zajęczała chrapliwie; grobowa harmonja brzmiała w powietrzu.

Na dziedzińcu brzęczy bronią zbierająca się szlachta, stanęła w około ogniska. Komornik wszedł we środek, pokręcił siwym wąsem i w te słowa przemówił do niej:

— Tnę potnę, Mościpanowie, baczcie na klejnot szlachecki! Nasi ojcowie ginęli a nie poddawali się, i my gińmy an nie poddajmy się. —

Odwrzasnęła szlachta: — Zginiemy a nie poddamy się! — A echo starego zamku ponuro odpowiedziało: — Nie poddamy się. — U Komornika dusza się rozradowała, a w serca szlachty wstąpiła otucha.

Koło Wygody, chłopstwo tłumami się tłoczy. Szmer, gwar i krzyki: do miasta! W karczmie na ławach zasiedli popi, pałamary, djaki i starce, a w środku izby trzynastu powiązanej szlachty; ich odzienia w kawałki poszarpane, a nagie ciało i twarze

krew broczy; ale ich oczy groźnie patrzą, w sercach męztwo nie zakrzepło strachem. Zbliżył się do nich pop Korsuński.

— Wraże Lachy! mówcie prawdę, bo będziemy was smalić jak wieprzów. Wielu was jest w zamku?

Porucznik podniósł głowę, odchrząknął krew:

— Psia wiaro popie, mówiłem ci że naś jest ośmset, a za godzinę przyjdzie brygada wojska koronnego; uciekajcie bo zginiecie jak muchy.

— Czortby porwał twoją duszę zapiekły Lachu, a coście zrobili z oficerem Carycy?

— Jeźli nie obwiesili, to obwieszą zdrajcę Moskala, i wam tak chamy będzie, jeźli się nie rozejdziecie.

— Szelma Lach! ognia! smalić! — Wszyscy wołali. Wtem na drodze zatętniały kopyta końskie, mnodzy jeźdzce przybyli przed karczmę i zsiadali z koni, a kiedy weszli, natychmiast wstał Stiahajło, i całował w rękę wchodzącego naprzód popa.

— Ojcze błahoczynny błogosław, wszystko tak zrobiono, jakeś kazał, ale Lachy zamknęli się w zamku. —

Ojciec Bazyli, przeżegnał lud znakiem krzyża świętego: — W Imię Ojca i Syna i Świętego Ducha, Amen. Niechaj was Bóg błogosławi ludzie wierni; przyszedł dzień odkupienia. Wolni jesteście! już nasi bracia ostrząsnęli się z panów. W imię przeczystej wiary idźcie ich przykładem. Bóg z nami i Caryca! —

A wszyscy wołali: do miasta! do miasta!

Bazyli zapytał Stiahajły co znaczą powiązani ludzie? Stahajło mu opowiedział zebranie się szlachty na jarmark, jak on wszystko rozporządził, ale szlachta się dowiedziała zapewnie od Wernyhory; jak Szwab przyjaciel Kreczetnikowa przestrzeżony przez Moskali wyjechał z miasta. O podjeździe Porucznika, złapaniu Tamary, drugim podjeździe, i pomyślnem zabraniu szlachty; przytem oddał jakiś list Bazylemu. Błahoczynny tak pilnie i uważnie słuchał, jak w konfesjonale Jezuita słucha spowiedzi, tylko pomrukiwał: — Wernyhora ... to to żeby nam go sprzątnąć? — I dalej list czytał, a w oczach jego błyszczała radość, twarz pół uśmiechem się przyoblekła: — Wszystko dobrze, Kreczetników obiecuje przysłać harmaty i piechotę z Kahorliku a obracając się do powiązanej szlachty: — Grzesznicy, uderzcie się w piersi! niechaj na was zstąpi promień przeczystej wiary, wyrzeknijcie się Antypapy Rzymskiego a możecie się stać naszymi braćmi. —

Porucznik nie dał mu mówić: — Precz popie! nie bluźń! Szlachcic polski nigdy nie był przechrztą. Chamy! wam żebrać naszego przebaczenia, a nie nam waszego braterstwa! —

Nikt nie śmiał się odezwać, bo wszyscy czekali na wyrok ojca Bazylego. Urokiem wiary umiał sobie przywłaszczyć zwierzchnictwo nad ciemnym ludem. Jego usta ciągle Boga chwaliły, a dusza i serce djabłowi służyły wiernie; lud słyszał Imię Boga.

i zdawało mu się, że słowo boże przemawia ustami chytrego kapłana.

— W Imię Boże przystępujmy do roboty. Bracia Stiachajło porozdzielaj lud pobożny na sotnie i ponadawaj mu przewodników, znanych z przywiązania swego do świętej wiary i do wolności. Aniołowie z rozkazu Najwyższego zażegli bezbożne miasta Sodomy i Gomory, i taka była wola Boża ażeby żaden mieszkaniec oprócz Lota z potępionych grodów nię wyszedł, i wy zażegnijcie Korsuń na chwałę Bożą; niechaj w nim wyginie co nie wyznaje z nami jednej wiary. Bogactwa jakie w mieście znajdziecie w imieniu cerkwi wam oddaję, pewny że zniesiecie co i dla niej z dobrowolnego działu. O świcie nadbiegnie z Bohusławia nasz Ojciec Ataman Żeleźniak, a z nim mołodce nieprzeliczeni jak źdźbła trawy na polu; bo Bóg ze wszech stron Ukrainy powołał mnogich obrońców świętej wiary, wolności ludu. O świcie z Kahorlika przybędą nasi z harmatami, bo Caryca, natchniona wolą Przedwiecznego, wspiera wasze zamiary; jeźli Lachy nie oddadzą zamku przed świtem, to go zdobędziemy. Wtenczas niechaj gniew Boży będzie srogi i nieprzebłagany, jakim był na grzeszne pokolenie w czasie potopu. — A obracając się do stojących wedle siebie, rzekł: — Wykopać trzynaście dołów, i tam zanurzyć zakamieniałych grzeszników po szyję, może strach śmierci oczy im otworzy- —

Porucznik coś odpowiedział, ale dosłyszeć słów jego nie można było, bo między ludem taka wrzawa, taki krzyk, jak między psami wypuszczonemi z psiarni przy odgłosie trąb myśliwskich i klaskaniu z harapów; jak do sforowania łapią psy za karki, tak trzeba było za barki brać rozhukane chłopstwo i stawiać do sotni.

Zapalili słomiany dach karczmy, a światłość szeroką łuną rozlała się w powietrzu. Szykują się sotnie, twarze chłopstwa pałają dzikim zapałem, ze wzdętych piersi głos mordu woła; po nad ich głowami błyszczą ostrza spis i brzęczą kosy.

Na wygonie przed palącą się karczmą, trzynaście głów po nad ziemią jak grzyby się wznoszą: policzki zsiniałe, oczy z głowy wyłażą, języki powywalane, a gęsta piana po brodzie się toczy; jak wycie psa, jak ryk wściekłej krowy, taki głos wychodził z ust. —

Poszły sotnie za sotniami, przeszedłszy przestwór światła, chwilę majaczeją w oku, potem nikną w ciemności, i tylko echo tłumnego stąpiania do uszu dolatuje. Błahoczynny i z nim kupa ludzi, jeszcze pozostała na miejscu; zbliżył się do nieszczęśliwej szlachty zakopanej w dołach.

— Bóg Święty i miłosierny przebacza największemu grzesznikowi, i my Apostołowie jego wiary gotowiśmy przebaczyć, byleby skrucha nastąpiła w waszych sercach. W Imię Boga wzywam was, przejdźcie na naszą przeczystą wiarę, iwskażcie nam

drogę do zamku, abyśmy i tamtych grzeszników mogli upamiętać, a wszystko wam będzie przebaczone. —

Głosem przerywanym charkotaniem wszystkie głowy się ozwały: — Szla-chcic — pol-ski — zmie-niać — wia-ry — a-ni zdra-dzać — swo-ich nie u-mie. —

Błahoczynny spuścił oczy, złożył dłonie na piersi: — Taka wola Boża, niech tak się stanie; na was, nie na mnie wasza śmierć spadnie. — A obracając się do kilku chłopów stojących z kosami: — Zetnijcie ten kąkol z urodzajnej niwy. — Kosy śmignęły ostrzami po szyjach, szyje zachrupotały, nagły a charkawy jęk wydobył się z piersi, głowy wyleciały w górę, spadły na dół i w drganiach śmierci zastygły na wygonie. Błahoczynny i czereda opętanców, jedni pieszo, drudzy konno, poszli ku miastu; karczma dogorywała, a ciemność jakby na uczczenie pogrzebem pomordowanej szlachty, na nowo widnokrąg wygonu, czarnym kirem przyoblekła.

W starym zamku co tylko żyje wszystko na nogach; wojenni ludzie z nadstawionem uchem, z wytężonem okiem po wałach i basztach. Starcy i dzieci kulki leją i klepią, wodę w kotłach warzą, smołę topią na przyjęcie hajdamaków. Niewiasty miód i starkę roznoszą między obrońców, przysposabiają jedzenie, opatrują rannych z nieszczęśliwego podjazdu, a ciągle modły wznoszą, i myśl korzą przed Twórcą świata i wszech rzeczy.

Żydzi w szopie boruchy odprawiają, mruczą, zachodzą się od modlitwy, i Tamara jak na Madejowem łożu, przeciąga się na słomie w lochu, klnie sławę, zaszczyty, atamaństwo i Carycę.

Dotąd wszystko było cicho i spokojnie, i już rozumiano, że hajdamactwo zaniechało zamiaru wpadnięcia na Korsuń. Jeden tylko Komornik ciągle powtarzał:

— Tnę potnę, baczność Mościpanowie, to nieprzylipki, dziś będzie napad. —

W tem rozgłos podobny do świstu burzy, zaczął dolatywać z po za miasta. Komornik zdjął czapkę, położył się na wale, przyłożył ucho do ziemi, słuchał, nareszcie powstał i zawołał:

— Tnę potnę, to oni! ta hajdamacy! niemała gromada, ale nie tracić serca, w Boga i w szablę ufać, a damy rady; damy tej hałastrze. Tnę potnę, pozapalać lonty, narychtować rusznice.—

Wrzawa coraz silniej w powietrzu huczała; już krzyki: kol, siecz, wyraźnie w uszach się odbijały, potem jęk, pisk, naprzemian się mięszały z wrzawą, nareszcie setnem płomieniem ogniki zaczęły buchać po mieście, wysunęły w górę, spadły na dół, chwilę słaniały się w powietrzu, wzmogły się, i w końcu jednem, wielkiem ogniskiem objęły całe miasto.

Płonie Korsuń tak jasno, że dzień biały, dzieło Boga, wstydziłby się ze swojem światłem przed pożarem, dziełem człowieka. Tak jasno, że szpilki możnaby zbierać. Jak na dłoni wszystko

widać; widać jak chłopstwo hula po mieście, jak spisami Żydów zagania w ogień; widać jak się smali Żydowstwo w ogniu, albo wyrzucane spisami w górę jak piłka, i jak piłka łapane na ostrza, w powietrzu kona. Trzeszczą belki, walą się ściany, snopy oderwane z dachów jak ogniste komety po niebie latają i niebiosa czerwono-złote, i Roś czerwono-złota, a w około futory, jak ogniste kuszcze na ognistem tle się malują.

Komornik jedną rękę za pas włożył, drugą, sparł się na szabli i spokojnie patrzy, zwyczajnie jak człowiek oswojony z wojenną sprawą; szlachta spojrzy na pożar i strachem zadrży; spojrzy na twarz Komornika, a męztwo i wiara w serca zagrają, a strach het daleko odpędzą.

Ku zamkowi sunie z miasta pijana mordem czereda; jak kra puszczającej rzeki, to posunie naprzód kawały lodów, to się zeprze, cofnie się, stanie, pasuje się, nabiera sił i runie naprzód, tak idzie chłopstwo, dziko krzyczy i grozi podniesionemi w górę kosami.

Komornik stanął koło harmaty, wycelował:

— Trzymaj lont i nie przykładaj póki nie powiem: pal!

Chłopstwo coraz się zbliża. —

— Tnę potnę, stój — jeszcze — pal!

Huknęła harmata a chłopstwo skręciło się jak kupa plewy od wiatru, kilkunastu trupem padło. Drugi raz posunęli się najprzód i drugi raz strzał harmatni ich powstrzymał, ale tą razą już się nie cofnęli, ale rozwinęli się szeroką ławą. Komornik kazał drugą harmatkę zatoczyć i grankulkami obie nabić, czterdziestu rusznicarzom stanąć rzędem wzdłuż wału, a przypuściwszy chłopstwo pod sam przekop, tak go gracko ogniem przywitał, że zostawiwszy siłę zabitych, pierzchnęło aż do miasta. Ten odwrót dodał serca szlachcie; zaczęli wołać:

— Niech żyje Pan Komornik! uderzmy na chamów!

— Tnę potnę, niech żyje Polska! odpierajmy napaść, ale nie napastujmy naszych braci. —

Chłopstwo zbierało się kupami pod miastem, ale nie odważało się iść najprzód. Pożar począł ustawać; już płomień jak zasłoną otoczył się kłębami dymu; na wschodzie zasrebrzała jutrznia, brzask jasny jakby z po za ziemi wysuwał się na sklepienie niebios.

W kaplicy zamkowej ksiądz pleban mszę odprawia, kobiety na kolanach, ku obrazowi ukrzyżowanego Odkupiciela kornie obróciły oczy, dłoniami złożone ręce w górę wzniosły: duszą i sercem do Boga o ratunek wołały. I starce i dzieci na klęczkach mszy słuchają, a ludzie wojny na wałach odmawiają pacierze i patrzą na wrogów szykujących się pod miaste

Kapłan skończył mszę, zaśpiewał donośnym głosem:

— Ciebie Boże chwalimy! —

A wszystkie piersi niesfornemi tony powtórzyły ten hymn chwały i dziękczynienia. Stare zamczysko brzmi pobożnem pieniem; pobożnem pieniem brzmi po powietrzu daleki rozgłos, i ludzie mordu między zamkiem a miastem stojący, skorzyli czoła ku ziemi, kilkakrotnie żegnają się krzyżem i modlą się do Twórcy. Jednej matki dzieci, jednego Boga chwalą, a obłuda i podstęp szalbierząc imieniem Boga, imieniem wolności, dłonie braci przeciw braciom uzbroiły, i w ich serca wlały napój nienawiści i zemsty. Cześć należna Bogu zawiesiła rozpoczętą walkę między ludźmi, ale zawiesiła tylko na chwilę bo i serca i ręce gotowe do nowego mordu.

Na drodze od młynów ukazał się goniec konny i prosto do zamku pędzi, wywiesił na spisę białą chustkę; goniec przygięty do kuli, a koń jego wyciągnięty jak struna. Siedlecki stojący na straży przy bramie zawołał: — Panie Naczelniku, to Doniec. — Komornik poskoczył w to miejsce.

— Tnę potnę, czego chce ta psia jucha? —

Doniec wyjął list z zanadrza.

— Panie Szlachcic, ja mam list od Majora do Pana Skarbnika Złotnickiego. —

— Tnę potnę, daj go tu.

— Ja mam przykaz oddać w ręce samemu Panu Skarbnikowi.

— Tnę potnę, poprosić Pana Skarbnika. —

Wkrótce przybył Złotnicki. Doniec włożył kamyk w list, wsadził go na koniec spisy a podjechawszy nad samę przepaść, wzniósł się na strzemiona, przegiął się na lewy bok, i z całej siły pchnął spisą w powietrze, list padł na spochowistość wału, i zastrzągł na zielu: a kiedy go podano Złotnickiemu, ten go rozpieczętował i czytał w głos przed Komornikiem.

— «Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju! Dowiedziałem się o swawoli chłopów i o nieszczęściu Panów Szlachty. Nasza matuszka przesławna Caryca Katarzyna, poleciła nam wspierać dobrze myślących, to jest tych którzy są wierni Panu Repninowi i królowi Stanisławowi. Jeżli oddacie zamek Korsuński w ręce naszych żołnierzy, wydacie wszystkich tych, których krewni lub przyjaciele są w tej buntowniczej Konfederacji Barskiej, wykryjecie gdzie się ukrywa zbrodniarz Wernyhora, przybędę natychmiast w pomoc i was ocalę. Czekam odpowiedzi i zostaję J. W. P. Dobrodzieja najniższym sługą. Major Marków.» —

— A cóż Panie Komorniku, nie na moje wyszło? trzeba było dawniej posłać po wojsko Cesarzowej; ona nasza opiekunka; nie byłoby tyle strachu cośmy mieli tej nocy.

— Tnę potnę, Waćpan strach miałeś nie my; moskiewskiej pomocy nie potrzebowałem i nie potrzebuję. To obwiesie! zdrajce! wolałbym się djabłu zapisać jak ich Cesarzowej! Tnę potnę, ja odpowiadam za całość zamku: niech jedzie precz goniec!—

— Ależ panie Komorniku, pan nas wszystkich gubisz przez swój upór! Rozsądniej przystać na warunki. —

— Tnę potnę, tu nie idzie o Waćpana skórę, ale o honor szlachty polskiej, o dobro ojczyzny; ja nie zrobię usterku w jednym, a nie pozwolę naruszyć drugiej. —

Obrócił się do Dońca:

— Jedź precz. —

Goniec zapytał:

— Jaka odpowiedź Majorowi? —

— Tnę potnę, że Polacy moskiewskiej pomocy nie potrzebują. —

Doniec koniem zwrócił, kropnął nahajką pod brzuch, i poczwałował zkąd przyjechał.

Złotnicki dotknięty tak małem cenieniem siebie i swoich rad, poszedł do zamku i począł Podstolemu, Gubernatorowi i i kobietom wygadywać na upor Komornika, i próbował czy nie zrobi sobie partji. Podstoli potakiwał mu nieśmiało, bo bał się Komornika, a nie chciał sobie narazić Złotnickiego, pana i z siebie, a co większa mającego związki krwi i polityczne z co przedniejszemi magnatami Polski. Gubernator zaś wręcz odpowiedział:

— Obraliśmy sobie za dowódcę Pana Komornika: dobrze spełnia swój obowiązek, trzeba go słuchać. —

Tu Pani Skarbnikowa wysforowała się z językiem.

— Pozwolić kurze grzędy, to jej się zechce wszędy! Otóż to obrać dowódcą szlachetkę; my z mitrami spokrewnieni, a tu jakiś Konfederata będzie nam rozkazywał? Co Złotnicki to nie Drożewski! —

Na tę mowę obruszyły się kobiety. Pani Suchodolska zawołała:

— Pani Skarbnikowa niech tak bardzo nie pomiata szlachtą: szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie! —

A Pani Drożewska dodała:

— I Drożewscy choć mitry nie mają w swoim rodzie, nie ustępują, a za ojczyznę się biją. —

Nawet Pani Podstolina rzekła:

— Cóż to na Konfederatów gadać? To dobrzy Polacy, my tam mamy i krewnych i przyjaciół. To źli Polacy co Moskalom służą.

A wszystkie prawie razem mówiły. Byłoby może do swarów przyszło, ale wszedł Komornik.

— Tnę potnę, Mosanie Złotnicki, widzę tu bunty, ja tu dowódca. Aresztowany wasze jesteś. —

— Ja, Skarbnik Nurski, Starosta Zakroczymski, Komandor Maltański, aresztowany? Co z tego to nic nie będzie. —

— Tnę potnę, ja każę. Panie Madejski aresztować go. —

Madejski zbliżył się po karabelę, ale Pani Skarbnikowa żywo skoczyła po Komornika.

- Taki afront robić memu mężowi, co Waćpanu jest? —
Komornik się kłaniał.

— Tnę potnę, Mościa Dobrodziejko, ja z kobietami nie mam nic do czynienia: ju tu nie Pana Skarbnika aresztuję, ale podwładnego za nieposłuszeństwo. Tnę potnę, oddaj Waszeć szablę, bo za krnąbrność sąd wojskowy każę złożyć i rozstrzelać.—

Skarbnikowa przystąpiła do męża:

— Oddaj kochanku szablę, wiele ten robi co musi; ale my tego nie zapomnimy Panu Komornikowi.

— Tnę potnę, nie zapominajcie, ale słuchajcie; tego mi tu potrzeba. —

Już słońce pół obręczem wylazło nad ziemię, a jeszcze chłopstwo nieruchomie stoi, kiedy nagle na grobli ukazała się kupka konnych, a za nią długi szerego pieszych ludzi; jak gąsiennica sunie się po grobli, głowa już na moście a ogona nie widać. Komornik wytrzeszczył oko.

— Tnę potnę, to wróg z rusznicami! —

Tu szyje rusznic zalśniły blaskiem, i migały w oczach jak wężyk błyskawicy; dalej ciągną dwie harmaty.

— Tnę potnę, to nie przylipki. —

A zwoławszy szlachtę tak rozporządził:

— Waszeć Mosanie Gorajski z jedną harmatką i piętnastu rusznicarzami postawisz czoło przeciw chłopstwu: ludzie niech się nie narażają na strzały a dobrze celują. Tnę potnę, Waszeć Mości Siedlecki z dziesięciu rusznicarzami bronić bramy i wspierać każdą stronę gdzie nieprzyjaciel mocniej naciera. Przeciw nowemu wrogowi zatoczyć trzy harmatki i trzydziestu pięciu rusznicarzy ze mną stanie. Pan Podstoli zabierze co czerstwiejszych starców i podrostki, niechaj ma oko na rzekę i przygotuje ukropy i smołę na wroga. Pan Gubernator niechaj każe wszystkie dachy słomiane pookrywać moczonemi radnami. Kobiety niechaj do piwnic się schronią, a poglądać pilnię na żydowstwo, aby nie było jakiej zdrady. Pan Madejski przy mnie będzie adjutantować: tnę potnę, tylko mężnie a roztropnie, a wszystko dobrze pojdzie. —

Piorunem wszystkie rozkazy wykonano, bo szlachcic polski ze krwi dzielny żołnierz, byleby go silna ręka wzięła w karby posłuszeństwa.

Długi szereg przeszedł groblę, i zaczął się formować w oddziały, a kupka konnych rozpierzchła się po polu i zdala w odstępach porozstawiała się jak dropie strażnicy w około pasącego się stada.

— Tnę potnę, to Moskale choć w sirakach; chłopstwo tych ceregielów wojennych nie umie; dobrze brać na cel a nie tchórzyć Mościpanowie. —

Oddziały coraz zbliżały się ku zamkowi; jak doszły na pięćset sążni w dwóch zakurzyło się miejscach, dwa gromy zahuczały, a

dwie kule wyjąc w powietrzu, padły na dziedziniec zamkowy, i ryjąc ziemię jak szalone skakały czas niejaki.

— Tnę potnę, to mi upominek przyjacielski dla Pana Złotnickiego! Pal teraz.

— Armaty zamkowe palnęły, wróg się zatrzymał na chwilę, odrzucił na tył trupy i postąpił naprzód. A wrzasnąwszy hura! hura! chłopstwo ruszyło z miejsca krzycząc: kol, siecz wroga! Huczą harmaty, palą rusznice nieprzerwanym taktem; gwiżdże ołów, jęczą ranni, stęka ziemia, wyje powietrze: w powietrzu dym i jaskrawe błyskawice strzałów, na ziemi pył i kurzawa: i nieba nie widać i ziemi nie widać. W tem zakrzyczano na dziedzińcu przeraźliwym głosem: ogień! ogień! i zaczął się wydobywać kłębiasty dym z szop zamkowych.

— Tnę potnę, Panie Madejski, stój tu waszeć chwilę a strzelać bez przestanku, ja zaraz przybiegnę. —

I skoczył gdzie się wszczął pożar.

Żydowstwo żałośliwie jęcząc wypadło z szop, a ujrzawszy Komornika.

— Jasny Panie Naczelniku, to Mordko zdradził, win za Moskiewskie grosze podpalił szopa, oto win jest. —

I szarpali Żyda, a ten nie wyrywał się ale rwał sobie pejsy.

— Tnę potnę, panie Suchodolski, gasić co prędzej pożar. —

Ludzie rozrywają dachy, a Żyd winowajca padł do nóg Komornika.

— Ja winien, ja winien! Mnie Pan Szpiler zapłacił żeby dostać się do zamku i zapalić go, kiedy Moskał strzeli: on mi dał dużo pieniędzy i jeszcze obiecał wiele. —

— Tnę potnę, psie! Weźcie go tam — skoczył na wał.

Kobiety powylatywały z piwnic, z rozpuszczonym włosem, piękne trwogą, piękne poświęceniem się, niosą ratunek rannym i cierpiącym. Moskale już przekop tarasują i ciągną drabiny do wałów, chłopstwo pod przekop się ciśnie, brama jęczy od kul, a z wałów słabo strzałami odpowiadają, bo braknie i ludzi i prochu i kul; szopy się palą. Złotnicki na dziedzińcu krzyczy:

— Układajmy się z wrogiem, puśćmy Moskali do zamku. —

Komornik na wałach woła:

— Tnę potnę, gińmy po szlachecku! smoły! ukropu! — A krew mu płynie po twarzy przestrzelonej kulką; kobiety drapią się na wały z ukropem i smołą, dzieci szarpią w kawałki ciało zdrajcy Mordka, starce za drągi chwytają, a wszyscy wołają:

— Gińmy jak na szlachcica polskiego przystoi. —

Nagle zaczęli krzyczeć w szeregach nieprzyjacielskich: «nazad! nazad! do frontu! do frontu!» i odsunęli się od przekopów; pożar trochę stłumiono, dym strzałów opadł, kurzawa rozwiała się po powietrzu i ujrzano niebo i ziemię. Z wałów gołem okiem wszystko widać: Moskale szykują się w czworobok, harmaty stawią przed czołem, a ich jeźdźce za groblę uciekli. Chłopstwo

odstąpiło ku miastu, a na szlaku Czerkaskim pokazał się liczny hufiec jazdy. Kraśne kołpaki powiewają na baranich czapkach, pływają na ramionach strzępiaste burki, jak ostrokój sterczą w powietrzu spisy błyszczącemi grotami.

— Tnę potnę, rzekł Komornik, czy nie nowy wróg? —

Ale w tem jakiś głosik niewieści ozwał się obok niego.

— Panie Komorniku, jak mamę kocham, to jakby Pana Nekrasy i koń i jego postać, wszak prawda Magdusiu?

A tamta zakraśniała:

— To on! —

Komornik obrócił się i spostrzegł koło siebie obiedwie panny Chiczewskie, trzymające garnki z roztopioną smołą; młodsza uśmiechała się, starsza jak w tęczę utopiła wzrok w hufiec, a na twarzy na przemiany to rumieniec tryska, to bladość się pociąga.

— Tnę potnę, to to Bóg dał mi adjutantów, gracko się sprawił kolega Wernyhora, po husarsku, jeźli nam pomoc zsyła. —

Hufiec się rozwija w pół księżyc, wyraźnie słychać broni szczęk i tentent koni; dowódca stanął przed szeregiem, poświstem wiatru wychwycił szablę z pochwy, machnął w lewo, w prawo: hukiem gromu krzyknął:

— Sława Bohu! za mną! —

Spisy migiem powaliły się na uszy końskie; konie w czwał kopnęły z miejsca, z pod kopyt bryzgi aż w niebo poleciały, ziemia zadrżała, powietrze zabrzmiało okrzykiem:

— Sławu Bohu! —

Harmaty huknęły, huknęła ręczna strzelba, i nagle huk ucichł. Kozacy złamali i wpadli w czworobok; walą się Moskale, kozackie konie jak ciasto, mieszą kopytami i trupy i żyjących, a głos dowódcy woła: bij, kól! siecz wroga! Chłopstwo pierzchnęło do miasta.

— Tnę potnę, otworzyć bramy, spuścić most, w pomoc naszym.

Rozwarły się podwoje, skrzypnął most i spadł ze stukiem, a szlachta wypadła dobijać resztki Moskalów; krew hojnie zlała ziemię, pięciuset Moskali w chłopskich świtach wala się po polu, a Kozacy i Szlachta dławią kolanami konających i pastwią się nad trupami. Pożar na nowo zajął się w zamku i przyświeca zwycięztwu. Nekrasa krwią zbryzgany, kurzem i potem okryty z ciemnego oka rzucał dumą radości, a skarogniady grzebał nogą, nozdrzami parskał, i ciskał wejrzenia pychy za takiego jeźdzca nosi. Komornik zawoła:

— Tnę potnę, niech żyją nasi bracia, nasi zbawce! —

Szlachta odwrzasnęła:

— Niech żyją nasi zbawce! nasi bracia Kozacy! —

Nekrasa i Kozacy wyrzucili czapki w górę:

— Niech żyje Polska! niech żyją Lachy! —

I szlachta i Kozacy razem zawołali:

— Niech żyje Polska! niech żyją Lachy i Kozacy!

Nekrasy oko spotkało się z okiem Panny Magdaleny: on ją powitał ogniem miłości, ona mu dziękczyniła rumieńcem dziewiczego wstydu, tajemnego uczucia. Pan Komornik kazał wypuścić moskiewskiego jeńca, Skarbnikowi oddać szablę, wytoczyć miody i wódkę z piwnic, wynieść jadło ze spiżarni i braterską ucztą obchodzić odniesione zwycięztwo.

— Tnę potnę, ja tu jeszcze dowódca, niech żyje Pan Nekrasa, nasz brat! Jedzmy, pijmy i bijmy! Niech żyje Polska!

Wszyscy wołali: — Jedzmy, pijmy i bijmy; niech żyje Polska!

IV.

Hulajcie chamy! legli panowie,
Wydrzyjcie serce, poszarpcie ciało!
Niech krew ciemięzców strugą się leje —
Pijcie krew paniąt! pijcie me zdrowie.
Hurra! ha hurra! do uczty śmiało.
Śmieje się piekło — i ja się śmieję! —
Ha, ha, ha!

Mefistofel, Poema L. Mierosławskiego.

Złotem kołem słońce świeci, srebrną wstęgą Roś płynie; blady błękit po niebiosach się pociąga, jasna zieloność po ziemi się ściele. Na niebie obłoki i chmurki wędrują, na ziemi przylaski, zboża, skały, wioski i futory leżą bezładnie rozrzucone. Ptak trzepiąc skrzydłem, w powietrze się wznosi, zwierz lekką nogą po niwie pomyka, trzody się pasą i pastuszki w dudki grają, i ryba się w wodzie pluszcze, i robak po ziemi pełza. Z białym dniem świat martwy zaweselał pstremi kolory, z białym dniem świat żyjący się przebudził i wszystko szle dobry dzień jasnemu słońcu, białemu dniowi.

Na lewym brzegu rzeki, na skale, siedzi starzec, na nim wytarta świta i torby żebracze na plecach, z wyrudziałych baranów czapka na głowie i duży kij w ręku; jego twarz objawia, że w myśli bogaty skarb przeszłości, a oczy tak się żarzą, jak gdyby chciały przepalić przyszłości zasłonę i przejrzeć wnętrze tajemnej prawdy. Spojrzy za siebie, tam wszystko pokojem oddycha i jego czoło trochę się rozjaśni; przerzuci wzrok przez rzekę i patrzy przed siebie, tam jakieś dymy snują się po przestrzeni; zachmurzy czoło, spuści ku ziemi i głęboko się zaduma: ocknie się, zwróci się w prawo i okiem pilnie bieży po drodze ciągnącej się po nad rzekę ku Bohusławiowi, aż tam na drodze zaczyna kurz powstawać. Starzec podniósł się i wlekąc nogi, szedł drogą ku kurzowi; już słyszy tentent stąpających koni, i z wiatrem dolatuje ponura nuta ukraińskiej dumki; coraz bliżej już i konie i jeźdzce wypływają z tumanu kurzu, co bezładnie rozpierzchnięci całą drogę zajęli; ujrzawszy starca, kilku poskoczyło naprzód, zakołowali, wstrzymując swe konie.

— A zkąd ty stary idziesz?

— Niechaj wam Bóg święty da zdrowie, ja idę sobie z Korsunia.

— A co tam słychać?

— Wszystko dobrze, moi Panowie.

— A wrażych Lachów czy już wyrżnęli?

— Ja o niczem nie wiem.

— A kiedy ty wyszedł z Korsunia?

— Wczoraj wieczorem, moi Panowie.

— Czy ty szlachcic, czy chłop?

— Chłop, moi Panowie, biedny kaleka, po jałmużnie sobie chodzę.

— Prowadźmy go do Atamana, coś mu źle z oczu patrzy.

— Ja pójdę, gdzie wy zechcecie, moi Panowie.

I wiedli go w pośród jeźdzców; na jednym z nich czarna świtka, na drugim półkożuch, na tym kurtka i szarawary kozacze, na tamtym chołosznie i siny kontusz; ten w koszuli tylko i w płóciennych szarawarach, tamten w kubraku i w spodniach w bóty wsuniętych; tu czarna czapka z jaskrawym kołpakiem, tam z siwych baranów z wierzchem sinym albo zielonym; na jednej głowie słomiany kapelusz, na drugiej z rudej pilści; jeden na siodle, drugi oklep jedzie; u jednych przez plecy przewieszone rusznice, u drugich za pasem pistolety, i jatagany i szable bez pochew i z pochwami, a wszyscy zbrojni w spisy i długie noże. Dalej szedł hufiec porządnie, w kozaczych burkach i w kozaczych czapkach; po przedzie na karym koniu jechał Watażka. Starzec podniósł głowę w górę, ale zetknąwszy się z siwem okiem Watażki i ujrzawszy rudy wąs i rude włosy, od strachu spuścił czoło w ziemię. Wszystkich twarze były pijane wódką, pijane mordem; Watażki tylko była trzeźwa od wódki, ale za to od mordu pijana. Świsnął aby się zatrzymali, i wszystko stanęło; świsnął drugi raz i wskazał ręką; wnet Kozacy za nim idący kopnęli się i porozstawiali się do koła na strażach; a potem skinąwszy na starca, odjechał na bok, i starzec za nim poszedł. — Stanęli obadwa. Kary niecierpliwił się i zaczął się kręcić; Watażka targnął cuglem, pociągnął nahajką przez łeb i kary jak wryty stanął.

— Stary, z kim ty trzymasz, z nami czy z Lachami?

— Niechaj Bóg tego wspomaga, kto dla nas dobrze myśli.

— Mów, coś widział, coś słyszał?

— Ja nic nie widział, nic nie słyszał.

— Mów stara gadzino — i tu podniósł nahajkę — mów, bo jakem Żeleźniak, to ci łeb przepłatam.

Starzec podniósł oczy i wypogodził czoło.

— To ty nasz ojcze Atamanie, teraz ja wszystko bez groźby powiem: ja wysłany od ojca błahoczynnego do was—i tu wyjął z torby kopijkę moskiewską z popiersiem Katarzyny i pokazał Żeleźniakowi; ten obrócił ją w ręku i oddał starcowi.

— No i jakże się udało ojcu Bazylemu?

— Wszystko było jak najlepiej; już Laszki jak w matni byli, zamknęli się w zamku, już mieliśmy na nich napaść, alić niewiedzieć zkąd nadciągnęła brygada koronnego wojska, a taka ich moc, że ojciec Bazyli co prędzej udał się do Smilańskich lasów, a mnie posłał do was, ojcze Atamanie, dając znać że wszystkie drogi zajęte wojskiem koronnem, i Moskale dla tego nie przybyli w pomoc.

— Chwat z ciebie stary, tęgoś się sprawił; a gdzie teraz ruszysz, czy z nami?

— Nie, ojcze Atamanie, mnie ojciec błahoczyny kazał iść do Kahorliku, do obozu moskiewskiego.

— Niech ciebie Bóg prowadzi, na! masz na drogę — i rzucił mu kilkanaście sztuk złota i srebra. Ścisnął konia i poskoczył nazad, świsnął i wszyscy na koń siedli, rozesłał kilku Kozaków naprzód, a potem wszyscy jeźdzce ruszyli się z miejsca, czoło zawróciło się nazad.

Długo długi szereg wił się po nad rzeką, nadszedł na grobelkę i przesunął się na prawy brzeg, ciągnął się polem; starzec liczył, liczył jeźdzców, sotni po sotniach znaczył zgięciem palców, ale i palców nie stało; jeźdzce skryli się za laskiem, zasłonili się wzgórzem, jeszcze raz ukazali się, nareszcie zniknęli w stepie; starzec potrząsł głową, wzniósł oczy w górę i rzekł: — Boże opamiętaj obłąkanych — i żywo wrócił drogą ku Korsuniowi.

Idzie biegiem rzeki, okiem ciągnie po szerokiem przestworzu, myśl zapuścił po głębokiej krainie dumania: na twarzy gorzki smutek, na czole harde postanowienie; nikt z ludzi na niego nie patrzy, przed nikim się też nie tai, a Bóg, co wszystko widzi i czyta w duszy człowieka, niechajże czyta i na twarzy.

Z nadbrzeżnego sitowia porwał się tabun cyranek i cyrkając wzbijał się w powietrze; starzec patrzał jak się wzniosły, wiankiem zaokrągliły pod obłokami, a potem kulką spuszczając się w dół przypadały na wodę, a woda zabełkotała i porysowała się w drobne kółka; wstrząsnął głową starzec: — Bądźcie spokojne, nie o was teraz ludzie myślą, ale o innej, o szlachetniejszej zwierzynie. — Dalej buhaj odezwał się w oczerecie: buu! buu! Starzec policzył: — Raz, dwa! nie drogie będzie żyto, ale wieleż to ludzi przed czasem nie doczeka się chleba Bożego! — A w tem ujrzał dwóch chłopów na koniach, biegących prawym brzegiem od Steblowa; ci zawołali nań:

— Stary! stary! a można tędy przejechać? —

Była tam grobelka z chrustu na pół zalana wodą; w kilku miejscach już nawet chrust nie sterczał.

4*

— Nie wiem, ja nie tutejszy, ja Bohusławski.

— No to dobrze, to czekaj na nas, bo jak nie, to dopędzimy, a będzie licho.

Starzec zatrzymał się.

Konie kręciły się nad brzegiem i nie chciały iść na grobelkę; to postawią nogę, to się w zad skręcą, a jeźdzce ciągle okładali nahąjką po bokach, nareszcie zmuszone wstąpiły, brodziły czas jakiś, potem wpadłszy nagle w przerwę, płynęły w szczupakach. Konie parskały, a chłopi wołali: uch! uch! znów brodziły, znowu płynęły, aż w końcu dostali się na brzeg; jeźdzce zsiedli z koni.

— No stary, co tam słychać w Bohusławiu?

— Tam nasi z Laszkami trochę pożartowali.

— A gdzie teraz ojciec Żeleźniak, nasz Ataman?

— Nie ma jak dwie godziny, jakem go zdybał, z wojskiem poszedł do Makiedan.

— No Dubyna, to ty go dopędzisz przed wieczorem jeszcze, to nie daleko.

— Teraz napijmy się ze starym: Na pohybel Lachom i Żydom! a na zdrowie nam chłopom! Mnie dalej jechać do Kahorlika z listem, a ja rad napić się: starzy ludzie mówią, że trzeba uczcić starość. — Odtroczył torbę i dobył sporą baryłkę.

Dubyna znów się przypatrywał, a potem odskoczył w bok i przeżegnał się:

— To Wernyhora!

Drugi chłop upuścił baryłkę i krzyżem się żegnał: Wernyhora! a stary spokojnie stał.

— Ja Mykita Panczuk z Bohusławia, nie Wernyhora, niechaj mnie Bóg broni, abym ja miał do czynienia z bisami, jak ten, o którym mówicie.

Dubyna nie wierzył i nie chciał się zbliżyć.

— Słuchaj Bajda, ja przysięgnę że to Wernyhora, czy to ja go raz widział u Chiczewskiego; ja mam dobre oko, ja wczoraj mówiłem że to skarogniady Nekrasy, nieraz ja tego hycla zgrzebłem czesał, a wy koniecznie dumaliście, że to nasi, pokazało się, czyja prawda górą.

Starzec wyjął kopijkę i jakąś kartę.

— Tą razą, mój Panku, mylisz się, oto od ojca Żeleźniaka, a oto karta z Ekonomji. —

I dawał w ręce Dubyny, ale ten coraz się oddalał. Bajda wziął kopijkę i obracał w palcach.

— To nasz znak, a co ten papier, to nie przy mnie pisany. Dubyna, on nasz, tobie z głowy nie wyszumiał Szyndrowiecki miód; klin klinem wybijać — napijmy się ze starym!

Dubyna potrząsał głową.

— Napić się ja zawsze gotów, ale dalibóg to Wernyhora.

— Ktokolwiek on jest, z nami trzyma: Pana Boga chwal, a nie zadzieraj się z djabłem. —

Odetknął baryłkę.

— W ręce twoje, Dubyna, za zdrowie starego. —

Tęgo pociągnął, bez miary i Dubyna pił, a stary wziąwszy baryłkę:

— Dziękuję wam moi Panowie, za wasze zdrowie, na pohybel Lachom i Żydom!

A ciągle pili, a Dubyna powtarzał do starego:

— Jaki ty podobny do Wernyhory, tylko tamten nie miał brody. —

I tu gładził starca po brodzie.

— Jakby was jedna matka porodziła. —

Bajda wyjął list:

— Chwała Bogu, że pismo do moskiewskiego jenerała nie zamokło. —

I położył je na ziemi.

Słońce grzało miłem ciepłem, wódka moroczyła po głowach, a starzec rozwlekle opowiadał rzeź Bohusławia i pochód Żeleźniaka. Z początku dwaj gońce pilnie zdawali się słuchać, potem ziewali, a w końcu sen mrużył oczy, czołami chylili się do ziemi, nagle się zżymali w górę, pasowali się czas jakiś ze snem, nareszcie ciała jakby ołowiem ciężone, opadły na trawę, i poczęli chrapać. Starzec jeszcze gadał, potem przestał; chwilę było milczenie, nie słychać tylko chrapanie śpiących i podzwanianie wędzidłami koni. Starzec zapewnił się, że śpią jak zabici, wziął list, podkocił świtę i końcem pół zatknął za pas, a jakby odmłodniał o połowę swojego wieku, żywo wskoczył na konia, drugiego porwał za cugle, a kijem popędzając, czwałem pędził po nad rzeką.

Pędzą szkapy jabby djabeł szponami darł im boki, żebracze torby na plecach starca jak szalone skaczą, siwą brodę pęd wiatru rozwiewa na obie strony, oko starca zahulało, twarz się rozjaśniła; czwał konia, świst wiatru przypomniał dawne czasy a myśl zaweselała przeszłością. Tak pędził półtory mili, potem puścił luźnego konia, a sam zwolniwszy chodu, dalej jechał. — Przed nim w prawo z pomiędzy zielonych sadów wyzierają słomiane dachy, bieleją ścianki mnogich domów: to Steblów. Starzec zsiadł z konia, szedł groblą, znowu się kijem podpierał, i znowu twarz się zachmurzyła i oko smutkiem zaszło: stanął, otworzył list i czytał — ręką machnął,

— Dotrzymał Nekrasa, anim wątpił. —

Potem gniewem czoło zmarszczył,

— Przeklęty popie, nie wszystko dotrzymasz co przyrzekasz.

Złożył list i schował, a sam szedł ku wiosce.

Wieś pustką trąci, z żadnego komina dym się nie wije, trzoda rozmaitego bydła bezładnie po zbożu brodzi, tłoczy i marnuje pracę ludzką, dar Boży; kołowrot wywalony: żaden pies nie zaszczekał, choć dziad środkiem drogi idzie, i wilk by przebiegł

wzdłuż i poprzek wioskę, i jeszczeby żaden nie zaszczekał, żadnego nie widać; gdzie był dwór, gdzie była ekonomja, tam kupa gruzów się wala i niepodopalane drzewa; gołębie tylko stadem nadlecą, spuszczą się nad dziedziniec, skręcą się i obsiędą sąsiednie dachy, bez gruchania milczkiem patrzą, gdzie się budynki podziały; po nad ziemię jaskółka się pławi i smutnie świegocze, wróbel napuszywszy pierze, skacze po gruzach i dziobie; dalej między cerkwią a karczmą, między domem Bożym a domem djablim, stoi szubienica, a na niej wisi Szlachcic, Żyd i pies, nad nią gromadami polatują wrony i kawki, a pod nią kupa dzieci w piasku grzebie; pomiędzy niemi psy się włóczą, kruki i sroki skaczą; patrząc na śmierć, tak się z sobą oswoiły jakby w jednej chacie wzrosły, razem się z sobą chowały. Ale kiedy się starzec zbliżał, i dzieci i ptaki patrzyły na niego ciekawie, potem porwały się z miejsca, kupką oddaliły się o paręset kroków, kupką się obróciły ku starcowi i stoją pozierając. Starzec pojrzał smutnie na szubienicę i postępował ku dzieciom, pokazując ręką, żeby się nie bały; jeden chłopczyk śmielszy, zrobił kilka kroków naprzód, a cały tłum za nim; on spojrzał w tył, a ujrzawszy gromadkę, jak koń, co go ostroga ubodzie, skoczył żywo naprzód, i wkrótce dzieci otoczyły starca; w tłumie ludzi dorosłych jak w tłumie dziatek, niechaj się tylko zjawi jeden śmielszy, wszyscy kopną za nim, a ów śmiałek widząc tłum za sobą, ostrogą miłości własnej sam siebie bodzie i pomyka chociażby do piekła; taka natura ludzka! Śmiałość ludzi prowadzi, miłość własna przywódcą robi. Mały chłopczyk bosy, w koszulce krajką podpasanej, zarzucił włosy w tył, zbliżył się do starca.

— Dziadku, a czego wy chcecie?

— A gdzie są ludzie z waszego sioła?

— Wszyscy poszli do Szynderówki wieszać Lachów i Żydów, ot tak jak tych psów. —

I pokazał palcem na szubienicę.

— A co wam zrobili Lachy albo Żydzi, moje dziatki?

— Co zrobili? Pan ekonom odganiał harapnikiem z sadu dworskiego, a arendarz nie pozwalał na wygonie stawów kopać; to psiawiary! Ani razu nie byli w Cerkwi, tak matka mówiła.

— Źle moje dzieci. Pan Bóg przykazał kochać bliźnich jak braci, pogniewa się, połaje grzmotem.

Tu dzieci zaczęły krzyczeć:

— To Lach, Lach, uciekajmy, bo w torby pozabiera i potopi.

I pierzchnęli na wszystkie strony. Darmo starzec i ręką i głosem wołał:

— Poczekajcie!

Już ani jednego nie widać: po rowach, po burzanach poprzypadali jak zające; żarłoczne ptastwo śmielsze pokazało się od ludzi, bo znowu poobsiadało i po drzewie i do koła szubienicy, grobowym głosem kracze na starca, jakby się chełpiło ze zwy-

ciętztwa i słało w jego ucho groźbę śmierci; szubienica skrzypi, a psy podjąwszy ogony, biegają skomląc jakby czegoś szukały, a same nie wiedziały czego.

Wyszedł starzec za wieś, idzie czystem polem, nie rzuci wzrokiem po za siebie, nie spojrzy w stronę, gorzko w myśli, ciężko na sercu, a łzawo w oku. Skowronek, dziecko wiosny, w podrygach wzlata słupem pod słońce i pieje na chwałę jasnemu niebu; konik polny świrka w trawie, kulik po nad błotami poświstuje, a w błotach żaby kwakają: wszystko żyje weselem, oprócz ludzi; oni żyją mordem, na teraz z pokojem się rozbratali, rzucili go w podarku innym tworom boskim.

Już dochodził do Szynderówki, kiedy usłyszał jakąś wrzawę, rzucił w bok okiem, ujrzał jak nad jeziorem tłum niewiast prał bieliznę, a ztamtąd dolatują głośne śmiechy, wściekłe krzyki. stukot praczów i głuche jęczenia. Zbliżył się starzec ku temu miejscu, i jakiż tam się widok przedstawia? — Po nad brzegiem, pokotem jak chusta rozesłane ciała ludzkie, różne wiekiem, różne płcią, różne wzrostem, i nogi i ręce powiązane sznurami, nagie jak ich matka na świat narodziła, a nad niemi rojem uwijają się mołodyce i dziewki, na ich głowach włosy rozczochrane, na ich piersiach koszule rozchrestane, w oczach żarzy się dzika wściekłość, z ust toczy się gęsta piana. Praczami miażdżą głowy nieszczęsnym ofiarom, nogami przytłamiają ciała. Jedna krzyczy: — oto tobie Panku moja dziewczyna! — Druga woła: — jak świnię sprzedałeś mego męża, giń teraz jak świnia! —Ta mści się za batogi nad ciałem ekonoma: tamta przypomina arędarzowi grabieże, a wszystkie tłumnie wrzeszczą: — Oto wam pańszczyzna, szarwarki, tłoki; my was za daremszczyznę pierzem. —

Krew się leje, szczodrą farbą jezioro zaczerwieniła, już żaden Lach ani Żyd nie jęczy, nogą nie podryga, a one jeszcze się pastwią, wyją, zgrzytają zębami i szarpią ciała; jak rozjuszeni wilcy, kiedy śród zimowej nocy dostaną w szpony ciało podróżnego; skaczą, chychoczą, piersiami robią jak czarownice nad zwłokami upiora przy świetle księżyca; i wilcy i czarownice drżą przed dniem białym, kryją się ze zbrodnią przed promieniem słońca, a ludzie, kiedy ich opęta szał wściekły, w obliczu światła upajają się trunkiem zbrodni.

Odwrócił oczy starzec, duszno mu w piersiach, słabo na sercu, o mało się nie zatoczył. Widział on boje, ale tam ludzie wojny ludzi wojny mordowali; widział on wycinania, palenia i rabunki miast, ale tam jeszcze ludzie wojny oszołomieni bojem, tępili broniących się i bezbronnych; widział niewiasty walczące na wałach, broniące progu domu, lecz ich męztwo było męztwem kury, broniącej młodych kurcząt: i psu i kotu w oczy się ciśnie, tam chodzi o jej płód; ale nie widział nigdy niewiasty rzucającej się na bezbronnego, z żarłocznością kruka wpadającego na zdychające bydlę. Postał chwilę, głos mu się zatknął w piersiach: a ujrzaw-

szy gromadę ludzi pode wsią, ku nim postąpił. Tam byli sami mężczyźni; i młodzi i starzy smutnie stali, ręce pozakładali na piersiach, pospuszczali czoła w ziemię, coś z głucha rozmawiali, a żaden nie spojrzał ku jezioru; a jeźli który podniósł głowę a wzrok jego tam się zbłąkał, twarz odrazą się skrzywiła, jakby zabolało serce.

Wszedł starzec między nich, a oni przestali rozprawiać i rozstąpili się, nie śmieli go pytać, ani witać nawet. Kiedy człowiek sam popełnia zbrodnię, natenczas sumienie głuche i nieme, ale kiedy patrzy jak drudzy popełniają, a on się poczuwa do winy, wówczas sumienie czujnie słucha, głośno przemawia do duszy. Starzec stanął między nimi.

— Ludzie! wy się Boga nie boicie, przed waszem okiem sprośne okrucieństwo, a wy na to patrzycie spokojnie jakby na praźnik: a wszak to nie nad bydlętami, ale nad podobnymi wam ludźmi się pastwią.

Wszyscy podnieśli oczy na strarca i cofnęli się w tył, wołając:

— Wernyhora! Wernyhora!

— Jam Wernyhora, a wy psubraty, piekła syny! Idźcie mi zaraz rozpędzić te wściekłe suki! —

Parobcy piorunem skoczyli ku jezioru, a starcy składali ręce jak do modłów:

— Ojcze Wernyhoro! my niewinni! Błahoczynny Czehryński to przykazał, on naczelnik cerkwi, a my prości ludzie. —

Wernyhora marszczył brwi.

— On was sprzedał Moskwie za grosze, jak Judasz Żydom Jezusa Chrystusa.—

Zaczęła się bójka po nad jeziorem: parobcy szarpią i odpędzają niewiasty; co odgonią od jednego trupa, to te do drugiego przypadną i pastwią się jak zbestwione charty, kiedy wpadną między stado baranów; darmo szczwacz harapem po pyskach okłada, rzucą jednego barana, a natychmiast drugiego dławią. Widząc parobcy że sobie rady dać nie mogą, jeden z nich zawołał:

— Wernyhora ot tam stoi; poczekajcie, on z wami poradzi.

Niewiasty spojrzały ku wieś, poodskakiwały nazad od trupów, postały chwilę, a potem zaczęły uciekać ku wsi.

— Wernyhora! czarownik! będzie licho. —

Rozźwierzęconego człowieka nie można upamiętać zwierzęcym sposobem; trzeba nagle i mocno zakołatać w duszę strachem albo podziwieniem, a pierwotne uczucia ockną się i wezmą górę nad chwilowym szałem. Tymczasem Wernyhora wyrzucał ludziom ich opamiętanie, a oni żałowali i językiem i sercem; potem głos jego był silniejszy, jakby wieszczym duchem natchnięty.

— Biedna Polsko! biedna Ukraino! twoje dzieci się żrą z sobą jak pies z kotem. Król Polski liże stopy moskiewskiej Carycy,

nie attamanuje Kozaczyznie Sahajdaczny, sioła i grody się zawalą, chłop zbrodnią hojnie natoczy krwi bratniej, krwi szlacheckiej, a sądy hojnie wskazywać będą na gardła zbrodnicze chłopstwo; i ci co wasze ręce zbroją, co się waszemi przyjaciołmi mienią, uderzą na was mieczem i zdradą. Przyjdzie czas, kiedy szlachcic i chłop poddadzą karki pod obce jarzma, nadstawią plecy na obce baty, a odludne stepy, dalekie krainy zaludnią się synami polskiej ziemi, a Polskę na szmaty rozżarzą obce ręce, i długie lata będzie łzami się skrapiać, krwią broczyć i na łożu śmierci ze śmiercią walczyć. — I smutnie głos opuścił: — Nareszcie skona. — Potrząsł głową, zadumał się, po chwili wzniósł głowę w niebo: — ale zmartwychwstanie. —

Ciemnosiwe oko takiem światłem połyskuje, jakiem niegdyś połyskiwało oko Proroka Dawida, kiedy wyrzucał zbrodnie Saulowi i przepowiadał jego koniec.

Ludzie kornie słuchali. Wernyhora przestał mówić, a oni jeszcze nadstawiają ucha jego słowom, otwierają serca skrusze, a oczy płaczą łzami żalu; w końcu jakby się wprzódy zmówili, razem z za pasów wyciągnęli święcone noże, a rzucając je het w pole, wrzasnęli tłumnie:

— Przeklęty! kto nas na Lachów pozbroił, przeklęty! kto na Polskę się naważył. Ojcze Wernyhoro! jak my teraz naprawimy złe?

— Kochając Lachów jak braci, a Polskę jak matkę.

— My wszyscy gotowiśmy głową nałożyć za Polskę, za naszych braci Lachów.

Chwila była milczenia; Wernyhora patrzał na nich.

— Dokąd pojechał błahoczynny?

— My nie wiemy dokąd; jak tylko przyszli z Korsunia, gdzie Lachy się obronili, zaraz błahoczynny pojechał drogą na Łysiankę, a Korsuńscy ludzie narobiwszy to, coście ojcze widzieli, rozjechali się po okolicznych siołach.

— Żywo chłopcy rozskoczyć się po sąsiedztwie, uprzedzić, obronić kogo można; każda dusza Lacka ocalona, jest zasługą przed Bogiem. Wy bracia — obrócił się do starych — pogrzebcie te ciała, tylko uczciwie jak się należy, a mnie dajcie jaką koniakę, abym mógł co rychlej zabiedz do Korsunia, bo ta co mam bardzo zmęczona.

Chłopcy już skoczyli do wsi, łapią konie, kulbaczą, siadają na nie; starzy jedni obmywają ciała, drudzy kopią doły na smętarzu dla Lachów, a na rozstajnej drodze dla Żydów. Dla Wernyhory przyprowadzili liczykopę nieboszczyka ekonoma. Wernyhora siadł na niego, pożegnał dobrych ludzi i pojechał sporym kłusem ku Korsuniowi.

W Korsuniu na zamczysku i w mieście nagie ściany i kominy

sterczą jak w szkielecie kości odarte ze skóry i ciała: młyny dogorywają. Dońce je zapalili by przyświecać swojej ucieczce. Po rynku walają się przepalone kości i szmaty trupów żydowskich, psy, świnie i kruki roznoszą je w pole; dym jeszcze się kurzy i po nad ziemią słania, zapach ogorzelizny rozlał się po powietrzu; po nad miastem stadami polatują wrony i kawki, to się rozpierzchną jak ciemne gwiazdy po pod obłokami, to się zbiją w czarną chmurę, a wiatr świszcze od ich skrzydeł, a powietrze jęczy od ich krakania. Na zamczysku szlacheckie niewiasty niosą ratunek rannym i składają na śmiertelnych łożach ciała szlachty poległej w boju. Ksiądz proboszcz i ksiądz wikary słuchają spowiedzi, i ofiarują ostatnie namaszczenie schodzącym z tego świata; organista kropi święconą wodą pomarłych, a na wszystkich twarzach smutek, w oczach łzy, z piersi się wydobywają głuche jęki. Po pod zamczyskiem z jednej strony czyńszowa szlachta grzebie trupy pobitych chłopów, a w ich sercach żal że bratnią krew przelelì. Z drugiej strony Zaporożce ściągają w wykopany dół moskiewskie ciała: nim je tam spuszczą, obedrą do koszuli; w ich oczach pała nienawiść ku wrogom, a ich usta łają w bisa, w ojca, w matkę i moskiewskie trupy, i moskiewskie imię. Niżej grobli pod samą olszyną, rozłożono ogromny ogień, koło niego ludzie się uwijają, obracają na stykach spore ćwiartki mięsa, w kotłach warzą krupy, a na patelniach słoninę skwarzą; dwie kufy wódki i kilka baryłek miodu stoi obok, trochę dalej zaporozkie konie gryzą trawę i wędzidłami podzwaniają: ich nogi bez pęt, a ich grzbiety przykryte siodłami; spisy oparte o drzewa błyszczą stalowemi groty, z pomiędzy zielonych liści.

Nekrasa i Komornik na wszystkie drogi powysyłali podjazdy: do każdego podjazdu dodany szlachcic, aby wojsko koronne nie wzięło za wrogów Zaporożców Serykowskiego kurenia. Sami przywódcy jeszcze nie wrócili z objazdu stanowisk straży; dobry wojak nie spocznie, nie posili się, nie otrze czoła z potu, nie dopełniwszy sprawy wojskowej, tak jak dobry Chrześcianin nie weźmie kawałka chleba w usta, nie zmówiwszy pacierza. Pan Suchodolski i Pan Madejski krzątają się i co kosztowniejsze sprzęty wywożą z zamku, a ich żony zatrudnione pakunkiem. Pani Skarbnikowa z siostrzenicą, Pani Podstolina z panienkami, i z córami Pani Chiczewska, poszły do chaty Wernyhory; a za niemi Pan Skarbnik, Pan Podstoli i graf Tamara; strach odstąpił jego serca, ale jeszcze niezupełnie, trwożliwem okiem rzucał do koła i językiem plątał po gębie; chociaż Pan Złotnicki zapewnił go najsolenniejszem słowem szlachcica że mu włos z głowy nie spadnie.

Żydzi becząc i targając pejsy szli do miasta, niby od boleści się zachodząc, a pośpiech w ich krokach, nadzieja na ich twarzy że może znajdą poukrywane pieniądze; w duszy klną i szlachtę i chłopów, i życzą im zaguby. Zaporożce patrzą na plugawy ród

i radziby z nimi pobawić się trochę, ale Nekrasa nie kazał, a bez jego woli i kroku nie zrobią; pozierają łakomym okiem, jak chart trzymany na smyczy patrzy na przemykającego się lisa pod oczeretem.

W chacie Wernyhory pustki, gołe ściany, okna i drzwi powybijane, stary Makar przyjmuje gości, z pod szopy wyniósł kobierce i rozesłał na murawie.

— Cóż tu się stało Makarze? — zapytała Chiczewska.

— Chwała Bogu nic się nie stało. Moskale chcieli po swojemu tu pogospodarować, ale ja uwinąłem się przed czasem, wszystkom pochował, nawet konie zaprowadziłem w olszynę; przyszli psiawiary i więcej narobili stuku, huku, jak złego. Ich nakaźny kazał szukać Wernyhory i skarbów, ale i sam się bał i jego ludzie bali się zrobić krok w gęstwinę. Koło zamku głośno strzelano, aż dusza się radowała; aż tu krzyknął Doniec stojący na ścieszce: Lachy biją naszych, uciekajmy! I na koń wsiedli i prędko się wynieśli. Po zaporozku nasi powitali się z Moskalami. —

Strach minął i już Joasia pustowała; odprowadziła siostrę na stronę.

— Jak mamę kocham Magdusiu, Pan Nekrasa nie po kawalersku się znalazł; pobił Moskali, ani słowa do ciebie nie powiedział: i pojechał z tym starym Komornikiem, jak gdyby to ważniejszą rzeczą była moskiewska głowa, niżeli powitanie ulubionej; żebym ja była na twojem miejscu, nauczyłabym go grzeczności.

— Moja ty Joasiu nie bądź-że ty dzieckiem, gdyby ktoś słyszał, myślałby że doprawdy ja kocham Pana Nekrasę, a ani ja, ani on, o tem nie myślimy.

— A jakże ty zmyślasz! — kiedy on się bił z Moskalami, to ty na przemiany czerwieniłaś jak malina, to bladłaś jak chusta; a kiedy zwyciężył, to z radości ledwie nie wyskoczyłaś ze skóry. Patrzałaś na niego tak ognistemi oczyma, jakbyś go chciała spalić; a na nas rzucałaś wzrokiem wielkiej Pani, wzrokiem, który zdawał się mówić: mój kochanek was ocalił. Jak mamę kocham, ja prawdę mówię, nawet panna Salomea siostrzenica Pani Skarbnikowej to zauważała i szepnęła coś do ucha pannie Podstolance.

— Joasiu, przestańmy o tem mówić; ale czy uważasz ty tego oficera moskiewskiego? Wszak to ten sam, co był na podwieczorku u Pana Brezy w Czehrynie, ale wtenczas po kozacku się nosił; on do ciebie się przysuwał, a to grzeczny człowiek, ładnie tańczy, i ładnie gada.

— Coż mi tam po nim kiedy tchórz i Moskal. Magdusiu, ty filutka, chcesz mowę odwrócić i kwitować się ze mną; gdybym ja się kochała, tobym się przyznała natychmiast, bo dalibóg że to nie dobrze zmyślać.

Tu zbliżyły się inne panny i zaczęła się rozmowa o wczoraj-

szej nocy, o strachu, o bohaterskich czynach; każda zaklinała się że kule przelatywały około jej uszów, że je widziała na swoje oczy; i wszystkie pustowały i chichotały, jakby obozowe życie było miejscem zabawy i uciech; jedna tylko Magdusia ciągle strzyże oczkiem po ścieżce, z roztargnieniem odpowiada, z roztargnieniem się śmieje.

Skarbnik wziąwszy za rękę Tamarę, przyprowadził go przed swoją żonę: — Prezentuję ci, moja kochanko, Pana grafa Tamarę — i mrugnął okiem, na znak że potrzebny człowiek.

Skarbnikowa dygnęła z powagą, ale aż do samej ziemi. Tamara ją pocałował w rękę, a potem witał Panią Chiczewskę jak dawniejszą znajomę, ale ta go zimno odwitała. Po ceremonialnych słowach, Tamara zbliżył się do panien i całował w rękę Panny Chiczewskie.

— Panny zapewne zapomniały, że miałem honor i szczęście być z Paniami na wieczorynce u Pana Brezy? —

Joasia się odwróciła, a Magdusia ukłoniła się obojętnie, ale grzecznie.

— Owszem my pamiętamy bardzo dobrze, żeśmy widziały Pana.

Tamara ręką poprawiał włosy, pociągnął chustkę na szyi i mrużył oczy.

— Jakeśmy się wtenczas bawili tak hucznie, tak szumnie jak w Wenecji — i tu zatrzymał się. — Oj co to za piękne Siniory w tym kraju, chyba Panie mogą z niemi iść w zawody o piękność. — Przymizdrzył się, rad z siebie, a Panny raka upiekły. — Bo to powiadam Paniom, co to za miasto ta Wenecja? Adrjatyk płynie, gondole się przesuwają, muzyka harmonijnie przegrywa. —

Byłby dalej opisywał piękne miasto i podróże po Włoszech, a panienki słuchałyby rozmowy z przyjemnością, bo pochlebstwo snadno trafia do ucha kobiety, a Tamara choć niezgrabnie, to umiał pochlebstwem zaprawiać swoje opowiadania; ale przyjście Komornika i Nekrasy przerwało rozmowę.

Nekrasa był to dwudziestokilkoletni młodzieniec; wzrost rosły, w pasie kibić wcięta, na śniadej twarzy nie masz rumieńca, ale za to hojnie się po niej rozlał wyraz namiętnych uczuć; ciemno-siwe oko błyszczy ogniem nieugiętej dumy: na wzniosłem czole odbiła swoje piętno; nos orli, ciemny włos na głowie, i na wardze wąsik ciemny; i w ruchach jego i w składzie, była swoboda wolnego syna stepu, zmięszana z nawykłością rozkazywania drugim. Nie był on ani pięknego, ani miłego lica, ale w jego twarzy, w jego postawie, było coś wyższego nad pospolitych ludzi; między tłumem zdawał się jak siry orzeł stepu między krogulcami i szulakami, a kto go raz widział, na wieczne czasy w swojej myśli odrysował jego obraz, a w sto lat by go sobie przypomniał: widziałem tego człowieka. Witał Panią Chiczewskę i

jej córki, a kiedy całował w rękę Pannę Magdalenę, mleczne lice dziewicy z krwią się zmięszało i pokraśniało jaskrawym rumieńcem, oko zapłonęło żywym ogniem i wstydem w dół się spuściło; i Kozaka policzki z lekka poczerwieniały. Panienki się uśmiechnęły, Tamara przygryzł usta i nadstawiał się i prostował, żeby sobie dódać odwagi; przyjście Nekrasy i Komornika wybiło mu z głowy Wenecję, a strach na nowo zaczął serce ściskać.

— Tnę potnę, gdyby nie Pan Nekrasa, jużbyśmy po tej ziemi nie chodzili; jemu winniśmy życie, a co więcej jeszcze, jemu winniśmy nauczkę daną tym huncwotom Moskalom; tnę potnę, to mi gracko. —

Kobiety jęły kłaniać się, a mężczyzni ściskać ręce Nekrasy na znak podziękowania.

— Moje Panie, moi Panowie — odpowie Nekrasa — nie ma za co; ja dopełniłem mojej powinności względem braci, względem Polski. Panu Komornikowi należy się podziękowanie, on ocalił honor szlachecki.

— Tnę potnę, honorowi szwankować nie dałbym, ale bez Waszeci, Panie Nekraso, nie obroniłbym zamku. Waszeć nasz zbawca, po husarskuś się spisał; w siedm dni z nad Podpalnej przybyć tutaj, wpaść na Moskali, rozbić, pomordować: tnę porнę, to mi zuch! Czy wielu was takich jest na Zaporożu? — jak są tacy, to Polska jeszcze nie zginęła.

— Panie Komorniku, wielu nas gotowych walczyć i ginąć za Matkę Polskę; może nadejdzie ten szczęśliwy czas, że Lachy i Kozacy podadzą sobie bratnie dłonie.

— Tnę potnę, nadejdzie, bo inaczej byłoby źle.

Skarbnik zbliżył się:

— Panie Nekraso, Król Jegomość i Rzeczpospolita będą umiały zawdzięczyć czyń Pański i jego walecznych braci, a Pan graf Tamara przyobiecał wytłómaczyć przed jenerałem Kreczetnikowem niefortunne zdarzenie, jakie spotkało Moskali, i wszystko dobrze pójdzie.

Zimno spojrzał mu w oczy Nekrasa:

— My obejdziemy się bez wdzięczności królewskiej; braterstwa Lachów potrzebujemy, a Moskalom wytłómaczymy się szablą. —

Skarbnik nie odrzekł ani słowa Nekrasie, ale obrócił się do Komornika:

— Panie Komorniku, my teraz z żoną i Panem grafem Tamarą odjedziemy do domu, proszę Waszmość Pana o przepustkę.

— Tnę potnę, Waszeć Panie Skarbniku, możesz jechać kędy wola, ale co ten Pan graf, to nie wiem; jak się Waćpanu zdaje, Panie Nekrasa?

— Panie Komorniku, Pan tu dowódca, masz prawo rozkazywać; ale jeźli sobie dobrze przypominam, mówiono mi że ten Pan

graf był na zebraniu chłopstwa pod Czehrynem, może nam odkryć ważne rzeczy. — Tamara pobladł i drżał.

— Panie Atamanie, Panie dowódco, na Boga, na honor się zaklinam, ja o niczem nie wiem; ja nigdzie nie byłem, to może mój imiennik Tamara z Pułtawy. — Wtem Komornik zamarszczył się:

— Tnę potnę, a depesze ważne, o których mi waszeć gadałeś? —

— Panie komendancie dobrodzieju, ja zmyśliłem, to były moje paszporta, proszę Pana — i oddał mu swoje papiery.

— Tnę potnę, daj mi Waszeć czysty pokój z swojemi bohomazami, dość mi na tem, żeś tchórz i łgarz; jedź-że sobie do licha z Panem Skarbnikiem, nam się na nic nie przydasz, a w obozie moskiewskim to twoje miejsce.

Nadszedł służący Skarbnika i dał znać że bryka gotowa. Skarbnikostwo i Panna Salomea żywo się żegnali, a Tamara aż do ziemi przypadał, dziękując komornikowi i Nekrasie; nie śmiał podnieść oczy na kobiety, a Nekrasa za całą odpowiedź pokłonom, rzucił okiem pogardy. Komornik kazał szlachcicowi od służby, aby przeprowadził Skarbnika przez stanowisko straży, a kiedy już odjechali:

— Tnę potnę, niech sobie jedzie to plugastwo — rzekł im na pożegnanie, a Nekrasa mu na to:

— Panie Komorniku, trzeba było zatrzymać tych ludzi; coś im obudwóm patrzy szubienica z oczu; szkoda, nie masz mego Asawuły, on by poznał tego Pana grafa.

— Tnę potnę, może i Waszeci prawda, Panie Nekrasa, ale słowo się rzekło: zresztą Pan Skarbnik głupi jak większa część naszych Panów, a co ten Moskalisko to tchórzem podszyty, nie wiele złego zrobi. —

Kiedy się to dzieje, wszedł szlachcic i dał znać że dragonja koronna nadciągnęła.

— Tnę potnę, to ich powitamy. —

Zabrzęczały ostrogi, zadzwoniły szable i wszedł: Pan Rotmistrz Duszyński, Panowie Namiestnicy: Zaleski i Grudziński, Towarzysze: Różycki, Niemirycz, Omieciński i Proskura; za nim przybyli trzej sotnicy Serykowskiego kurenia: Łukasz Czajkowski, Czarnozub i Konowalski. Dragonja witała i winszowała zwycięztwa Nekrasie; Sotnicy z Komornikiem rozprawiali, potem zaczęła się rozmowa ogólna, a w tej chwili Nekrasa miał czas zbliżyć się do Panien Chiczewskich.

Joasia natychmiast zaczęła opowiadać podróż na wozie z Wernyhorą i w końcu dodała:

— Jab mamę kocham, ja tak często myślałam o Panu Nekrasie; nawet tutaj w tej chacie mówiłam, że Pana zobaczymy; wszak prawda, Magdusiu?

— Panna Joanna widzę od ojca Wernyhory nauczyła się zga-

dywać; a panna Magdalena czy też pomyślała o mnie choć raz? —

Magdusia poczerwieniała.

— Ja myślałem o ojcu, o bracie. —

Joasia mrugnęła na znak, że i o nim często marzyła.

— Panie Nekraso, ja poznałam zaraz skarogniadego konia, a Magdusia Pana poznała; niechaj Pan zapyta Pana Komornika.—

Magdusia odwróciła się i niby ksztusząc się, zakryła twarz chustką. Nekrasa uśmiechał się radośnie, ale szanował nieśmiałość dziewicy, bo w oczach człowieka uczuć, ta lękliwość niewieścia jest nową ozdobą jej krasy, nową podnietą do miłości; oboje stali, usta milczały, a mówiły oczy: ona chce ukryć, że kocha, on wzrokiem chce okazać swą miłość. Joasia złośliwie się uśmiecha, a reszta ludzi zatopiła się we wrzawie rozmowy.

Wtem wszedł starzec kurzem okryty i potem oblany, wszyscy zwrócili się ku niemu i zawołali: Ojciec Wernyhora! — On powitał wszystkich, a kiedy ściskał na swem łonie Nekrasę, łza mu w oku błysnęła.

— Moje dziecko, mój synu! dziękuję ci, tyś pociecha mojego serca! —

Obadwa byli rozczuleni, i całe zgromadzenie poglądało z rozczuleniem na starca, ściskającego swego wychowańca.

Po chwili Wernyhora ku wszystkim się obrócił:

— Panowie bracia Lachy i Kozacy, źle się dzieje z naszą matką Polską, i wrogi i swoi na nią się naważyli; trzeba robić, a żywo, aby nie dać jej upaść; bo jak upadnie, to nie nasze ręce ją podniosą. Czytajcie to pismo.

I wyjął list od błahoczynnego do Jenerała Kreczetnikowa.

Pan Podstoli włożył okulary i chciał czytać.

— A to Mości Panowie po żydowsku pisano, jakieś krzywule do liter niepodobne, w alwarze ani jednej takiej nie widziałem.

Wernyhora wziął list.

— To po rusku, ja go przeczytam po polsku; słuchajcie!

Wasza Wysoka Prewoschodność! Wszystko jak najdokładniej ułożonem zostało, zgodnie z wolą Najjaśniejszej Cesarzowej Katarzyny drugiej, Pani i opiekunki naszej; od Dniepru aż do Rosi polała się krew szlachty polskiej, nigdzie nasi nie znaleźli oporu; w jednym Kaniowie była mała utarczka z żołnierstwem Pana Starosty Potockiego, ale i tam nasi przemogli. Żeleźniak pociągnął na Bohusław, a ja udałem się pod Korsuń; tu szlachta zamknęła się w zamku; widać że ani Pan Skarbnik Złotnicki, ani Pan Gubernator Suchodolski nie odebrali listów, albo co gorsza, zdradzili zaufanie Cesarzo-

wej Pani i Królika Warszawskiego, bo nawet zatrzymano jako jeńca Pana Grafa Tamarę. Posłałem natychmiast do Jego Wysoko-rodzeństwa Majora Markowa, a tymczasem probowaliśmy dobywać zamku, ale tam nie żartem strzelano. Rankiem przybył Major Marków, próbował dobrowolną umową do zamku wejść, aby nam wydać szlachtę, a kiedy nie mógł, żołnierze Cesarzowej Pani przebrani w świty z harmatami poczęli szturm. Wszystko było szczęśliwie, i Pan Szpiler dotrzymał co przyrzekł; wewnątrz zamku zagorzały szopy, już byłoby po Lachach; ale wtem przybył oddział Kozaków drogą Kaniowską, ocalił zamek, a żołnierzy Cesarzowej Pani w pień wytępił. Oddział ten składali Zaporożce, a ich Dowódca Nekrasa, Attaman Kurenny Serykowskiego Kurenia, ten przeklęty buntownik, odszczepieniec, o którym pisałem już do Waszej Wysokiej Prewoschodności. Należy się obawiać, aby wojska koronne powyciągane z Kijowskiego, z rozkazu Jaśnie Wielmożnego Jenerała Branickiego, wiernego sługi naszej Pani, nie sprzeciwiły się jego woli. O wyjściu Nekrasy doniosłem do Kijowa do Jenerała Galicyna. Wasza Wysoka Przewoschodność racz przedsięwziąć kroki potrzebne do osaczenia i pojmania Zaporożców na uczynku; to będzie pozór do zniszczenia Siczy i wygubienia tego łotrostwa. Dopóki oni będą w sile, dopóty będą marzyć o Polszcze, a Konfederacja Barska może do nich trafić, bo to stare przysłowie niesie, tonący chwyta za brzytew, i szlachta w nieszczęścin złoży pychę z serca a zastuka do Kozactwa i nie darmo; jeźli się sotnie Zaporozkie wymkną z Ukrainy, wyprze się Attaman Koszowy wszystkiego i będzie się miał na ostrożności, a i on niepewnej wiary; Lachy i Zaporożce nie przestaną Rossji psoty wyrządzać. Ja teraz puszczę się do Humania, może się nam uda przeciągnąć pułkownika Gontę na naszą stronę. Pewny nagrody Cesarzowej Pani i Cerkwi, służę im wiernie i gorliwie. Pełen najgłębszego uszanowania, polecam się łasce i pamięci Waszego Wysokiego Przewoschodzeństwa, najniższy i najposłuszniejszy sługa. Bazyli Filaket, Błahoczynny Czehryński.

W czasie czytania tego listu nadeszli Panowie Suchodolski i Madejski. Potrząsł głową Wernyhora.

— A co, panowie bracia, widzicie co się tu święci; o waszą

skórę idzie, o całość naszej Matki Polski. Panie Suchodolski, jaki list odebrałeś? gdzie się podział Pan Złotnicki?

Suchodolski głową przeczył.

— Dotąd żadnego listu nie odebrałem. —

Komornik zakręcił wąs.

— Tnę potnę, mówią że starego wróbla na samotrzask nie złapią, a ja stary; ten Skarbnik wywiódł mnie w pole, zakpił ze mnie. —

Wtem weszło dwóch Kozaków, wiodąc za sobą dwóch ludzi: stanęli przed Nekrasą.

— Ojcze Atamanie! oto posłaniec z Podola, a oto list jego, więcej nie ma papierów przy nim, dziesiętnik Sak go opatrzył. —

Oddał list w ręce Nekrasy; drugi Kozak to samo uczynił.

— A ten, Ojcze Atamanie, jedzie z Warszawy.

Nekrasa oddał oba listy Panu Komornikowi.

— Tnę potnę, Mościpanie Podstoli, przeczytaj Waćpan, bo moje oczy nie bardzo już dośledzą pisanych liter; sterały się na wojaczce. —

Podstoli przeczytał podpis: Jaśnie Wielmożnemu Panu Złotnickiemu, Skarbnikowi Nurskiemu, Staroście Zakroczymskiemu, Komandorowi Maltańskiemu.

— Tnę potnę, dosyć głupich tytułów, czytaj nam Panie Podstoli co w liście.

— Jaśnie Wielmożny Ojcze i Dobrodzieju! Spieszę co prędej uwiadomić JW. Ojca Dobr., abyś zniósł się z Jenerałem Kreczetnikowem i wypełnił jak najświęciej jego rady; jużby też czas, aby tę szlachtę nauczyć rozumu. Panowie Puławscy wzmagają Konfederację w Barze na zgubę kraju; z króla i magnatów drwią, przeciwko Cesarzowej się odgrażają, ciągle prawią o równości i wolności; szlachcie to się podoba; bieży kupić się do starego wyjadacza jurysty: nie tak to wojować jak za kratkami stawać! — Nauczmy my Konfederatów; niechaj ojciec jedzie do obozu Moskiewskiego, oświadczy i swoją i moją powolność do posług Cesarzowej. Kiedy Pan Branicki mógł zostać jenerałem gwardji, dla czegóżby i Pan Złotnicki nie mógłby posiąść przynajmniej mniejszej buławy? Zostaję z winnem uszanowaniem Jaśnie Wielmożnego Ojca Dobrodzieja przywiązanym synem i najniższym sługą. Złotnicki. Podkomendant twierdzy Kamieńca. —

— Tnę potnę, widzę rodem kurki czubate, jaki ojciec taki syn. A drugi co za list?

— Do Jegomości Pana Suchodolskiego, Gubernatora Korsuńskiego. —

— Tnę potnę, oddać go Panu Suchodolskiemu, my wierzymy jego cnocie.

Pan Gubernator kłaniał się.

— Bardzo dziękuję Panu Komornikowi Dobrodziejowi za jego zaufanie, ale proszę aby ten list był głośno przeczytanym.

Natenczas Podstoli odpieczętował.

— Mości Panie Suchodolski. Na zażądanie któregokolwiek z dowódców rosyjskiego wojska, Waszmość Zamek Korsuński oddasz jego straży i sam zostaniesz pod opieką łaskawej Cesarzowej. Szlachta Ziem Ruskich odznaczała się ciągle nieprzychylnością ku mnie i nienawiścią ku opiece moskiewskiej; jeźli jakie nieszczęście na nią spadnie, niechaj nie mnie, ale sobie je przypisze. Cesarzowa Pani i Pan Repnin przyrzekli mi jak najłagodniej się obejść; to pismo moje niechaj będzie wiadomem tylko Bogu, mnie i Waszmości. Polecam go opiece Bożej. S. A. K. P. W. X. L. —

— Tnę potnę — grzmiał w gniewie Komornik — ogłosić Króla zdrajcą, obrać nowego, przystąpić do Konfederacji Barskiej i mordować Moskwę. Tnę potnę, na gwałtowną chorobę gwałtowne lekarstwo.

Po twarzach mołodców i Dragonji łatwo poznać, że dzielą zdanie Pana Komornika, ale Wernyhora głos zabrał:

— Panowie Bracia, co nagle to po djable; porwiemy się jak lwy, a zginiemy jak muchy. Król niedołężny, a Moskwa zdradna i silna; na nią trzeba fortelów użyć; o to się postaramy. A teraz dragonja niechaj zabezpieczy szlachtę od napaści chłopstwa; potrafimy dać znać do Łabunia Regimentarzowi Stempowskiemu i oszukać zbrodnicze działania Branickiego; w tem moja rzecz. Nekrasy sotnie niechaj wracają co rychlej na Zaporoże.

Niemile Nekrasa spojrzał po tych słowach, ale nie śmiał ani przerywać mowy, ani opierać się woli ojca Wernyhory; a ten dalej mówił:

— Panie Komorniku, dawny mój kolego, z kobietami i panem Podstolim udacie się do Parchomówki, do Michała Głębockiego, Wojskiego Owruckiego; to mój dawny i dobry przyjaciel; da gościnny kawał chleba i obronę od wroga, tylko panie kolego, strzeż mi jak oka w głowie mojej chrzestnej córki. Przystępujmy do Konfederacji Barskiej, trzymajmy się zgodnie,

jeszcze potrafimy długo opierać się Moskwie, i jak Bóg pozwoli to zwyciężymy.

— Tnę potnę, Mosanie kolego! Waszeć dobrze mówisz, ale i ja chciałbym jeszcze w szabelki zabrzęczyć? jeszcze mi nie brak i na siłach i na chęci.

— My to widzimy; ale kobietom na obrońcę nie przystoi dawać tchórza; to nasz najdroższy skarb, najtęższego też trzeba nam wojaka.

— Tnę potnę, Mosanie kolego! Waszeci i na grzeczności nie braknie; niech i tak będzie. Teraz Waszeć Panie Madejski każ rozdać jadło i napitek; tnę potnę, ucztą chcę zakończyć moje dowództwo. —

Nekrasa z Wernyhorą coś na boku rozprawiali; w Nekrasy oku widać niechętne przystawanie, a na starca twarzy pociągnęła się oznaka twardej woli. Kobiety i mężczyzni rozmawiają, a Panna Magdalena niespokojna i śmieje się, i drży, i zapytuje i odpowiada: a sama nie wie dla czego? i na co? I wszyscy udali się ku rozłożonemu ogniowi poniżej grobli. Jedzą, piją, bratają się Kozacy z Lachami i krzyczą: — Niech żyje Polska! śmierć zdrajcom! śmierć wrogom! — i jadła nie stało, i beczki próżne, a jeszcze powietrze brzmi rozgłosem: Niech żyje Polska!

Przyszła chwila pożegnania; zaszły bryczki, wozy: wojaki Lackie i Kozacy żegnają kobiety i Panów Szlachtę, Komornik ściska Nekrasę, całuje Wernyhorę.

— Tnę potnę, góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze: daj Boże, abyśmy tak jak wczoraj, powitali się przy Moskiewskich trupach; tnę potnę, do zobaczenia się! —

Nekrasa całował w rękę panią Chiczewskę, a kiedy wsadzał do bryczki pannę Magdalenę, z cicha szepnął:

— Panna Magdalena będzie o mnie myślała choć czasami.

— Zawsze. —

Siadła, skrywając ręką twarz zarumienioną, niby to poprawiała włosy.

Joasia się śmiała: — Pan Nekrasa niech też do nas przyjedzie; jak mamę kocham, tak się to nie godzi. —

Wernyhora przerwał rozmowę: — Przyjedzie, ja to na siebie biorę. — I ruszyły bryczki, a koło nich liczny oddział dragonji.

Nekrasa smutny, zamyślony, każe mołodcom siadać na koń, a sam nie siada; wziął na stronę Łukasza Czajkowskiego, długo mu rozpowiadał coś z cicha z zachmurzonem czołem, potem dodał głośniej:

— U czystego źródła stanąć i tam niech stoi Kureń; jak przyjedzie Dudar, jemu być posłusznym do czasu mego przyjazdu; pojedziesz do Atamana Teterowskiego Kurenia, do brata Sawy, powiesz niechaj będzie gotów, on zrozumie, a przed Koszowym niechaj powie, że na Tureczczyznę pojechałem po konie.

O skarogniadym mieć staranie, dobrze karmić; teraz w pochód, bądź zdrów!

— Wszystko spełnię, odezwał się sotnik, bywaj zdrów i szczęśliwy, Ojcze Atamanie.

Nekrasa przyszedł przed sotnie:

— Bywajcie zdrowi, bracia mołodce; nadbiegnę ja wkrótce do was, a teraz słuchać Sotnika Czajkowskiego.

— Bywaj zdrów, Atamanie; przybywaj co prędzej, bo my bez ciebie jak dzieci bez ojca, i smutni i nic nie warci. —

I pociągnęli drogą Czerkaską; skarogniadego Kozak prowadził, a on się ociągał i ozierał w tył. Nekrasy oko jeszcze bardziej się zasmuciło. — W jednym dniu żegnał się z kochanką i z koniem!

Dragonja .podzieliwszy się na oddziały, poszła w pościgi za hajdamakami Nekrasa z Wernyhorą weszli do olszyny, a tam, gdzie przed chwilą było tyle ludzi, tyle wrzawy, teraz pustka i milczenie; i w powietrzu cisza, smutek, bo słońce już zapadło za lasy, a ziemia w pożegnaniu słała dobry wieczór białemu dniowi.

V.

> Wytrwaj, a staniesz potężna i cała!
> Wytrwaj, a staniesz, staniesz Ludu dzielny,
> Z młodzieńczą siłą i w szacie weselnej,
> W ziemicy ojców, od morza do morza.
>
> Pieśń Janusza.

Czarno na niebie; już dawno jak słońce spać poszło, księżyc zaleniwiał; gdzieś tam za krawędziami ziemi musi myć srebrną twarz, a gwiazdy jakby na złość pozamykały błyszczące oczy, i ziemia na noc przykryła grzbiet czarną sukienką. Nic nie widać, tylko gdzieniegdzie drobniutkie jak główki od szpilek, świecą robaczki świętojańskie, albo jak pałający ogień djamentu zabłyszczą i migocą światłem oczy przebiegającego wilka. Wysoko szumią wędrujące chmury; niżej wiatr poświstuje w powietrzu, a na ziemi, po jeziorach dzikie kaczki kwaczą, gęgają gęsi, skrzechoczą żaby; po rudach derkacze tyrkają, jak barany pobekują krzyki; po niwach wabi się spłoszona przepiórka, i rozpędzone kuropatwy gromadzą się czyrkając. W jarach wilcy wiją, czasami lis głucho szczeknie i nagle utnie; ze wszech stron dolatuje tentent koni, ze wszech stron echo niesie odgłosy nuconych dumek i krzyki hop! hop! Nie śpią ani na niebie, ani na ziemi; choć cienie nocy do spoczynku i świat martwy farbą śmierci usmoliły, świat żyjący na przekorę rusza się i czuwa, żeby pokazać że skonem jasności dziennej, że dniem i nocą żyje i czuwa dniem i nocą oko Boże, myśl Boża.

Polem z Korsunia do Sydorówki dwóch jeźdźców jedzie; nie widać ani ich twarzy, ani ich strojów, ani maści koni, lecz słychać stąpanie końskich kopyt; jeźdźce milczą, ale nie śpią, bo jeden często pomrukuje, a czasem wzdycha; drugi z niecierpliwości dłonią o udo klaszcze. Czas jakiś milczkiem jechali, nareszcie rozmowa się zaczęła.

— Ojcze, czemuż my jak posłańce z listami mamy się włóczyć, kiedy mogliśmy szablami po kozacku machać za naszą sprawę?

— Synu! szablą dziesięciu zarąbiesz i już rękę zmęczysz, głową tysiące pomordujesz a jeszcze myśli nie zmitrężysz; i przyjdzie czas i nie daleki, namachasz się ty do syta szablą.

Stara przypowiastka mówi: gdzie nie można przeskoszyć, tam trzeba przeleźć; jak wojować to wojować, byle miasta dostać.

— Taka twoja wola, ojcze, niech i tak będzie; ale gorzko to po lisiemu kluczyć, kiedy się nawykło latać jak sokoł — i tu klasnął jeszcze silniej dłonią, aż koń się spłoszył i skoczył wprzód.

— Kipiący jak ukrop; takim był kiedy go dzieckiem nosiłem na ręku; jabłko od jabłoni nie odkoci się daleko, wykapany ojciec! — Tu westchnął, a kiedy młodszy jeździec wstrzymał konia, on rzecze dalej: — Czy ty myślisz, że ja ciebie na lisa kieruję? — Czyż na to bym ciebie wyhodował i kochał jak własne dziecko, abym miał na taki zły koniec doprowadzić? Tyś zrodził się do szabli, z szablą umrzesz.

— Ojcze, powiedźcie mi co to wszystko znaczy: bo dla mnie to sęk? Jeden Lach za Polską, drugi za Moskwą trzyma. Bisurmanin wspiera chrześciaństwo, chrześcianin na chrześcianina powstaje. Mordują się bracia między sobą, a o wrogach nie myślą; czy kara Boża nadeszła, czy się zbliżył koniec świata? —

Stary westchnął:

— Koniec świata daleki, ale Bóg zesłał nieszczęście na Polskę, aby jej dzieci nawrócić na drogę prawdy, otworzyć im oczy. Niektórzy z możnych Panów nagrzeszyli, a szlachta i chłopi krwią pokutować muszą za ich grzechy. Polska wielka ziemia — Polacy dzielny naród, ale Polsce trzeba na króla i wodza, głowy i ramienia Batorego. Polakom jak oka w głowie należało strzedz ojcowskiej wiary, ojcowskich obyczajów. Nie dotrzymali świętego obowiązku. Laccy Panowie zmałpieli na podobieństwo djabeł wie jakich tam narodów. Przechrzty i pół-pankowie porośli z klamkowych dworzan, nakupili tytułów cudzoziemskich; wielu przez naśladownictwo poodszczepiało się od wiary przodków i cała ta splugawiona gałąź polskiego drzewa wypolszczała, zmoskalała i zżydziała. Na domiar nieszczęścia włożono koronę na głowę lichego mopsa, liży-stopę Carycy, dworskiego próżniaka, bez serca i wiary. Stanisław August został królem, dzięki widokom mitrowych Panów i złotu ościennych mocarstw. Dotąd wrogowie nie śmieli się targnąć na Polskę, choć miewała królów niedołężnych, ale nigdy jej berła nie dzierżały mizerne ręce: ale kiedy ta ostatnia plaga ją dotknęła, natychmiast Niemce i Moskale zaczęli koło niej myśleć, naważyli się zagubić Polskę: ich to sprawą nabechtani możni Panowie Laccy prosili o opiekę Carycy moskiewskiej; oni to wlali w ucho Katarzyny myśl ujarzmienia Polski, porozumieli się z sobą i zaprzysięgli zabić sławiańską wolność. Szlachta staroświeckich obyczajów, choć zapóźno, ale spostrzegła, co to się dzieje: zaczęła radzić i brać się do odparcia napaści. Król i Panowie żebrali pomocy moskiewskiej, a Caryca przysłała wojska do Polski, a jednego z swoich pieszczochów na króla do Warszawy. Panowie i Król płaszczyli

się i drżeli przed niewolnikiem moskiewskim, a szlachta po województwach knowała. Nieszczęściem złe wszędzie się męszało, a złoto moskiewskie i szachrajstwa psowały wszystko; tak spełzły w Konfederacji Radomskiej wysiłki cnotliwych Polaków; ale Konfederacja nie przestała być świętem imieniem dla Polaka, godłem zbawienia Ojczyzny. Puławski z trzema synami i Krasiński zawiązali Konfederację w Barze; na to hasło szlachta dobrej wiary, staropolskiej cnoty, biegnie się łączyć z bracią dźwigającymi Ojczyznę. Panowie się zlękli o majątki i urzędy, Król o koronę, Caryca o Polskę wydzierającą się z jej szpon. Zcudzoziemczeli Panowie, swoim wpływem chcą zatamować zwiększanie się Konfederacji. Król pożalił się przed Carycą na szlachtę województw ruskich, jako nieprzychylnę sobie i Moskwie. Caryca sypnęła złotem między popów, a ci bluźniąc świętej wierze, w jej imię uzbroili braci przeciw braciom. — I tu przestał mówić, a jego towarzysz długo nie śmiał przerywać milczeniu, ale po chwili zapytał:

— Ojcze! czemuż my nie bieżymy w pomoc braciom Lachom? Są u nas mołodce, których serca biją dla Polski, a ramiona gotowe toczyć krew moskiewską i niemiecką.

— Trochę cierpliwości, a wszystko to przyjdzie; pomówimy o tem w Zwinogródce, bo tam się wiele rzeczy nowych dowiemy.

— Powiedzcież mi ojcze, jacy to ludzie ci naczelnicy Konfederacji, czy gotowi mieczem poprzeć rzecz?

— Bez tego na nic by zeszła Konfederacja. Stary Puławski mąż doskonały do rady, poświęcony Ojczyznie, ale w potrzebie gotów dobyć korda. Krasiński pełen zapału. Potocki Stolnik koronny, Pan możny i z rodu zasłużonego Polsce, przytem zięć cnotliwego męża. Kazimierz Puławski, syn starego, chwat całą gębą. —

Tu dało się słyszeć kilka strzałów i zatętniały kopyta mnogich koni; stary przestał mówić, zwrócili konie w bok i stanęli przy drodze. Jeźdce i konie wytężyli oczy i uszy w stronę rozgłosu; baczeniem ciekawości przytamowali oddech w piersiach i znieruchomili poruszenia ciała. Oko darmo patrzy, nic nie widzi, ucho słyszy od strony Korsunia tłumny tentent koni, coraz się zbliża — a w końcu słychać i krzyki:

— Lachy! Lachy! uciekajmy!

Jeden tylko głos woła:

— Stójcie wraże syny: —

Ale i ten głos nie staje, tylko razem bieży z cwałującemi końmi.

Stary wstrzymał konia.

— Tylko ostrożnie, miej język za zębami i rękę przy sobie; do szabli się nie chwytaj, możemy się czegoś dowiedzieć. —

Uciekający tłum zaczął wstrzymywać konie tuż wpodle stojących jeźdzców, a jeden z nowo przybyłych ozwał się:

— Djabelskie Lachy! napędzili nas gdzie pieprz nie rośnie.

Drugi dodał:

— Wierz-że Lachowi. Szwaczka mówił że Pan Jenerał Branicki nasz; żaden żołnierz Polski na nas nie dobędzie szabli. —

Trzeci zawołał:

— Ale to nie Lachy, tylko Zaporożce.

A tamten odpowiedział:

— Nie, ja dobrze widział przy ogniu, to dragonja co stała na kwaterach w Bohusławszczyznie; a ile tam ich było, to ani policzyć.

W tem nadbiegł głos co krzyczał:

— Stój! —

Osadził konia.

— Chłopcy, skrzesać ognia w krzesiwka, drogi nie widać. —

Mnogie stale czerknęły po kamieniach, a złote iskry bryznęły po czarnem tle powietrza, i droga i burzany i dwaj jeźdzce mignęli im w oku i znikli tak szybko jak pobłysk błyskawicy. Na nowo krzyknęli:

— Lachy! Lachy! uciekajmy!

Konie zwrócili m stronę, ale starszy podróżny ku nim podjechał:

— My nie Lachy, my wasi bracia, nie uciekajcie!

Tu głos chrapawy i przygłuchy, jak gdyby z beczki wychodził, wrzasnął:

— Stójcie wraże syny, krzesać ognia, a wy tu jedźcie.

Znowu zaczęli krzesać ognia.

Dwaj podróżni widzą kupę konnych ludzi osypanych iskrami, a kiedy wjechali w koło, krzesanie ustało; nie mieli czasu nawet schwycić rysów twarzy Watażki.

— A zkąd wy jedziecie i dokąd? —

Stary spokojnie a żwawo językiem obracał.

— My jedziemy z Bohusławia od Atamana Żeleźniaka.

— A jakże tam się powiodło ojcu Atamanowi, czy wyrżnął psów Lachów?

— Dobrze, zwyczajnie po naszemu, ale wam ojcze Szwaczko jak powinszować? —

— To ty mnie znasz, djabli synu, coś i mnie głos twój znany?

— Ja was widział, Panie Szwaczko, niedawno w futorze Hołowatego, a jeszcze dawniej u błahoczynnego w Czehrynie.

— Może być, twarzy twojej nie widzę, ale co głos to dobrze znany; a dokądże wy jedziecie?

— Do Zwinogródki, Panie Szwaczko.

— No, to razem pojedziemy, bo ja mam interes do Olszańca.

Ruszyli drogą. Szwaczka ze starym zaczął gadać, pomaleńku zaufanie wlało się do serca, a język się rozwiązał.

— No, panie bracie Zaporożcu, djabli wiedzą komu teraz wierzyć; już to temu będzie z półtora miesiąca jak Pan Branicki

kazał mi przyjechać do siebie do Białej-Cerkwi, a tam uczciwie poczęstowawszy, tak mi mówił: — Słuchajno, mój kochany, jest wielkie dzieło do roboty, ty bracie nie podjąłbyś się tego? — Ja skłoniłem się. — Jaśnie Wielmożny Panie Jenerale, jeźli idzie o pieniądze, to przysięgam Bogu, nie mam, pasieka się nie zroiła. — Osieł jesteś, rzekł Pan Jenerał, ktoby tam od charłaka potrzebował pieniędzy; ja ci chcę dać, nie wziąść. Słuchajno, mówmy z sobą otwarcie: i tu zaczął opowiadać, że Panowie szlachta zawiązali się w Konfederację w Barze, aby zmusić chłopów do przyjęcia łacińskiej wiary i zaprowadzenia gorszej niewoli jak dotąd; że Król Jegomość chce, abyśmy się ze szlachtą porachowali, a w końcu dodał: tylko nie żałuj pracy, a przed rokiem, Panie Szwaczko, będziesz szlachcicem. —

Przestał na chwilę mówić, jakby rozrachunek z sobą robił czy nie za wiele popuścił cugla językowi; ale stary Zaporożec zrozumiał o co rzecz idzie.

— Jakże dalej, Panie Szwaczko, Pan Jenerał chciał was szlachcicem zrobić, wyście pewnie odrzucili to djabelskie miano?

— Ma się rozumieć, mój bracie, że nic na to nie odpowiedziałem, ale zapytałem jaka to ma być pogadanka ze szlachtą? Jenerał pokazał nóż i stryczek, i dodał: wojsko koronne nie dozwoli Konfederatom iść na obronę szlachcie, a wojsko Cesarzowej da wam pomoc; rozumierz teraz o co rzecz idzie? Ja skłoniłem się i rzekłem: rozumiem, to się da zrobić. Pan Branicki dał mi tysiąc czerwonych złotych: weź to na zadatek, tylko żywo się uwijać.

— Czegóż wy chcecie, Panie Szwaczko, Pan Branicki uczciwie się znalazł, wydał wam krew szlachecką i dał złota?

— Dotąd wszystko było dobrze, ale słuchajno dalej. Mniejsza że żołnierze Pana Starosty Potockiego chcieli bronić dobro pańskie, dali im nasi dobrego łupnia pod Kaniowem; chociaż to Pan Branicki obiecał zaradzić, aby żaden Lach nie dostał pomocy; ale teraz przysłał swego kozaka, abym co prędzej do Korsunia biegł; a ja tam pięknych gości zastał — dragonję Polską; ta nas tak przyjęła, że aż wódka wyszumiała z głowy: bo to wiecie bracie, że dobrze trunkiem zagrzać serce.

— Panie Szwaczko, to oczywista zdrada, i nas Ataman posłał do Korsunia, ale nie ma godziny jak staruszek jakiś przestrzegł nas, że pełno Lachów w mieście, i że tam naszych pobito. —

Szwaczka zbliżył konia, tak iż uda dwóch jeźdźców przycisnęły się do siebie.

— A jaki to był starzec, bracie Zaporożcu?

— Już to tam djabli go widzieli, wiem tylko że był piechotą i kijem stukał o ziemię.

— A w którą stronę poszedł?

— Prosto ku Korsuniowi.

— To musi być on!

— Kto on? —
— Wernyhora!
— A wyż nie znacie Wernyhory, Panie Szwaczko? wszak ludzie powiadają że włóczył się po całej Ukrainie; my go znamy w Zaporożu jak łysego konia — my starzy, bo już dawne czasy kiedy on się wypisał z rejestru.
— Ja go widział parę razy, alem wtenczas trochę był podpiły, ale moi chłopcy to go znają. O gdyby mi złapać!
— Na cóż wam on tak potrzebny, Panie Szwaczko, wszak on Kozak naszej wiary?
— Mniejsza o to jakiej tam wiary, czy poczciwy, czy łajdak, to mi wszystko jedno; ale jenerał Kreczetnikow obiecał złota za jego głowę; a za złoto człowiek wiele dostanie. —
W tem poczęły psy szczekać.
— Bogu chwała, wioska przed nami: staniemy tam, panie bracie; jeźli tam jest jaki szlachcic albo Żyd, to go spuścimy prędko na tamten świat, niechaj z panem djabłem pogada, a my napijemy się za jego pohibel, bo już też w gardle sucho.
— Nie ma tu nic do roboty, już tu nasi pohulali; w Sydorówce zatrzymaćbym się wam nie radził, Panie Szwzczko, bo mogą wpaść Lachy.
— Co ma wisieć, to nie utonie, trzeba napić się, a potem niech co chce z nami będzie.
— No to my was pożegnamy, Panie Szwaczko, bo nam pilno jechać do Zwinogródki.
— Co z tego to nic nie będzie, musicie z nami po czarce wychylić. —
Już do wsi dojeżdżali, kiedy chłopstwo zaczęło krzyczeć:
— Lachy za nami gonią!
Szwaczka zawołał:
— Z drogi w lewo!
Ale nim się umknęli, w kołowrocie odezwał się głos:
— Kto idzie? —
A nie słysząc odpowiedzi, wypalił z pistoletu; kłaki zapalone padły na kupę słomy, ta się zajęła płomieniem; na chwilę oświecił się ciasny kawałek widnokręgu i widać było, jak chłopi pierzchnęli w pole, a dragonja wypadła z kołowrotu i pognała za nimi. Drugi oddział koronnego wojska cwałował drogą od Korsunia, a usłyszawszy strzał, zaczął strzelać i krzyczeć:
— Hura! w imię Boga! rąb hajdamaków! —
Dwaj Zaporożce zostali na drodze, a kiedy ich oskoczyła dragonja, krzycząc:
— Łapaj, wiąż! — Ci nie bronili się.
— Stójcie, panowie bracia, my nie wasi wrogowie. —
Przyjechał towarzysz Niemirycz, a spojrzawszy w oczy.
— To nasi bracia, a co tamtych szelmów to i djabeł nie do-

goni; to plugastwo tylko po nocach się włóczy jak wilcy; dniem wyleźć się boi. —

Wjechali do wioski; Towarzysz koniem się zbliżył do dwóch Zaporożców:

— Ale też to szubrawstwo pod nasz obóz podeszło, jak byśmy dla nich ogień rozłożyli; miljon bomb, Pan Rotmistrz kazał wsiąść i na koń, rozbiegli się nasi na wszystkie strony, a ledwiem ich tutaj dogonił; miljon bomb, niechajno dzień zajaśnieje, damy my im hartu. —

Przyjechali przed karczmę, tam ognisko się pali na wygonie, a koło niego kupa chłopstwa i dragonja, ale w dobrej zgodzie; dragoni na koń siadali, a chłopi trzymali im konie; ale skoro oddział Towarzysza i dwaj Zaporożce przybyli, Namiestnik poskoczył ku nim i zaraz poznał młodego Zaporożca.

— Witam Pana Pułkownika, czy Pańscy ludzie tu przyjdą?

— Nie, Panie Namiestniku, ja sam przyjeżdżam tylko. —

Zaleski dowiedziawszy się o przyczynie strzału i pierzchnięciu chłopstwa, zbliżył się do starszego podróżnego, ścisnął go za rękę.

— Panie bracie, czy nie będzie wola z nami powieczerzać, mam kurkę i dobrej starki spory sztof, miłoby mi było go podzielić z Panem Pułkownikiem i z tobą Panie bracie.

— Dobrze, Panie Namiestniku, ale czas nie stoi, po żołniersku duchem się weźmy. —

Zsiedli z koni, Zaleski natychmiast kazał dać sztof. — W ręce Pan Pułkownika, a w gardło jego sługi. —

Zaporożec się napił wódki w ręce starego, a ten w ręce Towarzysza; a potem na powietrzu rozerwawszy kurkę, jedli mięso i ogryzali koście, a Namiestnik opowiadał: jak wyszedłszy z Korsunia przed wieczorem, nie zastał nikogo we dworze, ale chłopi ich przychylnie przyjęli, mówiąc, że oni sami przywieźli swego ekonoma z rodziną aż na drogę do Pawołoczy, i że się wcale nie myślą mięszać do rzezi; że tu stanął przenocować, a jutro miał zamiar puścić się ku Horodyszczom dla przecięcia drogi hajdamakom, którzy tamtędy mają ciągnąć z Moszny ku Smile.

Zaledwie skończył mówić, aż tu przybyli dragoni, prowadząc dwóch hajdamaków; jeden był w chłopskiej świcie, drugi w kozackim stroju, w jasno-zielonej kurcie podpasanej po czarnych szarawarach czerwonym kołpakiem. Namiestnik groźnie im spojrzał:

— Przeklęte psiawiary, zkąd wy jedziecie; dokąd i wielu was jest? —

Chłop nisko się kłaniał.

— Jaśnie Wielmożny Panie oficerze, my szli z Kaniowa do Korsunia, nas jest pięć sotni, naszym Watażką Szwaczka, a więcej ja nic nie wiem.

— Wziąść go i dobrze związać, a Pan Niemirycz odprowadzi go do Korsunia. —

Obrócił się do Kozaka:

— A ty co powiesz?

— Ja powiem Waszmości, że do mnie wara, ja Kozak Pana Jenerała Branickiego. Na! patrzaj — i dobył ze skórzanej torby papier.

Namiestnik czytał:

— Po cóż ty hyclu wlazłeś między hajdamaków?

— Bo mi się tak podobało; ale ty hycluj sobie podobnych, ale nie mnie; ja Kozak Pana Jenerała, a takiej tam szui jak Waszmość u nas pełno w sieniach stoi. —

Namiestnik zapalił się gniewem, przyskoczył i wyrżnął w pysk Kozaka tak aż mu czapka zleciała i głowa się przechyliła, urznął na odlew i wyprostował szyję: — Ty chamie przeklęty! ja szlachcic taki dobry jak twój Jenerał! Związać go i zaprowadzić do Korsunia! —

Dragoni szamotali Kozaka, a on ciągle wołał:

— Nauczy ciebie Pan Jenerał po kościele gwizdać, obaczysz przeklęty Lachu. —

Stary Zaporożec wziął na stronę Zaleskiego:

— Panie bracie, dobrze pilnujcie tego Kozaka, bo to dowód zdrady Branickiego; odesłać go do Pawołoczy, a z tamtąd do Łubunia do Pana Regimentarza; do Białej-Cerkwi broń Boże, a sami co żywo się krzątajcie. Zabezpieczcie szlachtę, bo lada dzień wyda nam rozkaz odwrotu, a przedewszystkiem uspokoiwszy tutaj chłopstwo, starajcie się ubiedz Humań; a teraz do widzenia się, Panie bracie. —

Młodszy Zaporożec także żegnał Namiestnika, Towarzysza i dragonów; obaj siedli na konie i ruszyli.

Znowu ciemno, nic nie widać, ale stary zna drogę, jak gdyby miał oczy kota, i konie musiały nieraz tędy chodzić, bo ani na krok nie zbaczają; śmiało stąpają i zwiększają kroku.

— Słuchaj synu, ktoby to powiedział, że się sprawdzi przeczucie nieszczęścia, którem miał dwa miesiące temu. Pamiętasz jakeśmy tędy jechali — ja mówiłem: coś mi duszno na sercu a oczy moje zdają się widzieć śmierć i spustoszenie na tej ziemi, gdzie się wszystko uśmiecha. Tyś się śmiał ze mnie?!

— Bo też mi było wesoło na sercu wówczas, a teraz — i tu westchnął z cicha.

— No, tobie widzę ciemne oko dziewczyny głęboko zagwoździło w myśli: żeby wiedzieli Zaporożce że ich najdzielniejszy młodziec biega za białem liczkiem jak ciele za krową, toby to był wstyd! —

— Alboż to Zaporożcowi nie godzi się oczyma patrzeć?

alboż to u nas serca kamienne? jabym się nie wstydził powiedzieć, że kocham dziewczynę tak jak mego skarogniadego. —

Tak gwarzyli: a myśli ich, raz upiwszy się trunkiem wspomnienia, wędrowały po pasmie ubiegłych czasów; to się ocknęły, a zatrzymawszy się na teraźniejszej chwili, zacierpły od goryczy; czasem też pchnięte ciekawością, wskoczyły w krainę marzeń i chciały splondrować tajemnicę przyszłości: a słowa tak brzmiały na nutę myśli, jak brzmią wdzięki stron teorbanu na muzyczną nutę śpiewki, a tok rozmowy tak się szykował na rozkaz myśli, jak się szykują machy szabli na rozkaz ręki. Niebo hojnie rosi, na wązkiej drożynie trawa przesiąkła wilgocią nie gnie się, ale łamie pod kopytem końskiem: kiedy zwierz w pobliżu przebiega, rozgłos skoków nie szeleszcze zielem, ale chrupocze, i głos polnego świerszcza nie dzwoni czystym dźwiękiem, tylko brzęczy na podobieństwo drumli.

Długo jeźdzce jechali pośród cieni nocnych, aż nareszcie ku wschodowi na czarne niebiosa wdrapała się srebrna gwiazda: jej twarz obudzona błyszczy weselem i parska swawolą, jak oczy młodej dziewczyny co nie zna miłości, nie ma kochanka, a zabiera się na tańce zawracać głowy chłopcom. Po pod gwiazdką obłoki zaczęły szarzeć coraz bardziej i świt przerzucił się po niebiosach od dołu, jak gdyby się wysuwała jasność z po za ziemi. Do koła zamajaczały przylaski, wzgórza, a równiny srebrzą się kroplami rosy. Obadwa podróżni przeżegnali się i zmówili pacierz, dziękcząc Bogu za przebytą noc, a prosząc o pomyślny dzień. Rozjaśniło się i na niebiosach. Przed jeźdzcami i w prawo i w lewo, w poprzek przecina pole wązka smuga, jaśniejszej zieloności od barwy pól, a jej środkiem jak wąż ślizga się wstęga wody: to Zgniły Kiślec. Za rzeczką pod dębowym lasem bieleją chaty i sterczą mnogie gruzy: to Łysianka. Stary pogładził wąs, kiwnął głową:

— Ludzie stawią, ludzie niszczą, a w opętaniu nie myślą o tem, że z ciężkim potem czoła niebawem przyjjdzie odrobić naniesione szkody.

Młody Zaporożec nic nie mówi, ale głęboko się zadumał: smutek w oku, i na twarzy smutek; puścił cugle koniowi, puścił wodze myśli. Przejechali mostek na rzece, wjechali do miasteczka. Na ulicach bydło się włóczy, rogami płoty wywala, grzebie ziemię i ryczy; na rynku świnie ryją pyskiem pomiędzy gruzami, a psy w kupki się gromadzą. Na widok jeźdzców psy, bydło i świnie w las uciekły, boją się twarzy ludzkiej; siedm dob zaledwie upłynęło od pohulanki hajdamaczej, a pierzchają. Już oczy bydląt odwykły od widoku człowieka; niszczą do reszty co ręka ludzka oszczędziła, a pierzchają przed ludźmi, jak gdyby wiedziały, że kiedy człowiek się rozbestwi, to dzikszy od najdrapieżniejszego zwierza. Podróżni zwrócili się ku dworowi; tam głucho i pusto. Gdzie był dom, piętrzy się kupa gruzów;

gdzte były szopy, stodoły, stajnie: leżą kawały ponadsmalanego drzewa, siła popiołu i węgli i kości, czy ludzkie, czy zwierzęce, niewiadomo: bo zczerniałe i poprzepalane na drobne kawałki.

— Ojcze! niechaj ciebie Bóg błogosławi, żeś wyprowadził z tego miejsca zniszczenia rodzinę Chiczewskich.

— A przedewszystkiem ciemno-brewą dziewczynę, wszak prawda, Panie Atamanie? —

W tem wybiegło kilka chartów z sadu i zaczęły łasić się i skakać na podróżnych. Ci zawołali: — Dolot! Birczy! Chwatka! — i witali jak dawnych znajomych, jak dobrych przyjaciół; bo kiedy nie masz przyjaciela, pies i koń i każdy twór żyjący, co do niego należał, wzbudza miłe uczucie w sercu i duszy; pamięć przyjaciela żyje we wszystkich rzeczach co go otaczały. Psy skomliły radośnie i skoczyły w sad i znowu wróciły, i na powrót biegły, poszczekiwały, piasek wyrzucały tylnemi nogami, a ich oczy tak patrzą, jakby żebrały u podróżnych: pójdźcie za nami.

— Coś tam być musi — podumał stary, a młody zawołał:

— Chodźmy. —

I żywo poskoczył, a widać że zna drogę, bo nie trawą, ale ścieszką za psami bieży.

Przybiegły charty w koniec sadu, gdzie był loch na warzywa, obrośnięty pokrzywą, ziemią zapłynięty, ale już od dawnych czasów nic weń nie składano; stanęły psy u wnijścia i poczęły grzebać i skomleć. Zaporożec patrzy, kilka kamieni leży przy wchodzie, a za nimi tarcice niby postawione wzdłuż niby drzwi; odwalił kamienie, pchnął tarcice i wszedł do lochu. Ciemno — dnia Bożego nie widać: postał trochę, wkrótce zaszarzało i ujrzał jak charty skakały za krawędź ziemi; poszedł tam i widzi dwie niewiasty: leżą jak bez duchu, ale przy jednej dziecko zakwiliło.

— Wstawajcie, ja nie wasz wróg. —

Jedna z niewiast się zerwała.

— Miłościwy Paneczku, nie róbcie mi nic złego, ja wszystko powiem. —

Zaporożec się zaśmiał, widząc przestrach na twarzy biednej kobiety; ona u nóg leży, a druga wstała i ciśnie dziecię do piersi.

— Horpyno, cóż to ty mnie nie poznała? —

Na ten głos powstała kobieta z ziemi.

— Cóż to i wy, Panie Nekrasa, z hajdamakami, a coście zrobili z moją Panną?

— Chodźcie, nie bójcie się niczego, nie masz tu hajdamaków.

I szedł przodem, a obie niewiasty, choć się wahały, szły za nim. Ale kiedy ujrzały starego przed wnijściem, wnet zaufanie całkiem opanowało serce Horpyny, ledwie nie podskoczyła w górę z radości:

— Ojcze Wernyhoro, i wy tutaj, o! co już teraz, to ani hajdamaków, ani samego djabła się nie boję.

— Cóż to za mołodyca z tobą?

— To moja siostra Hapka, ona mamczyła synka leśniczngo Piotrowskiego i schowała się tu ze mną.

— I jakże tu było, Horpyno? — zapytał Nekrasa.

— Oj było, mój złocisty Panie, było licho. Jak tylko Państwo wyjechali, Pan Ekonom i Pan Leśniczy kazali zaprzęgać konie i pakować, ale tu jakby się zmówili chłopi, wpadli na ekonomję i do dworu. Dubyna, nasz Kozak, przywodził wszystkim, zaraz kazał Ekonoma bić batogami na śmierć, a Leśniczego na wierzbie powiesić, mówią: kto czem wojuje, od tego ginie. Szlachtę i szlachcianki spędził w jedną szopę, a w drugą żydostwo; a w tem najechało hajdamaków, że ani ich policzyć, i Popów i Kozaków, jak Pan Nekrasa. Zaczęli pić, hulać i rabować; ja przez płot patrzyłam co się dzieje, a Hapka zaraz schowała się do lochu; ale kiedym zobaczyła jak rozporywali brzuchy szlachciankom i kładli w nie koty żywe, a żydówkom prosięta, uciekłam, a tak nam straszno było, że dwa dni i dwie nocy żadna z nas nie wyszła, tylko krzyk dolatywał do nas, a spalenizna i dym mało co nas nie podusiły.

— I jakżeście ztąd wyszły?

— Trzeciego dnia było cicho, pomalutku wyjrzeliśmy: nie masz nic; ja wzięłam na serce i poszłam ku dworowi, aż nie ma dworu, spalony — i zabudowania żadnego nie masz — tylko trzy charty pańskie przybiegły i tak żyjemy chlebem i słoniną; bo siostra przyniosła z sobą spory kawał sadła i cztery bochenki chleba.

— No, to już teraz wasza niedola się skończyła, poczciwe niewiasty; idźcie drogą do Sydorówki, oto macie dwie kopiejki; jeźli zdybacie hajdamaków, to pokażcie, a nie mówcie że szlacheckie dziecko niesiecie; jeżeli zdybiecie Dragonów, to powiedzcie starszemu, że Wernyhora prosi, aby was odesłał do Parchomówki.

— Panna Magdalena czy zdrowa? — to moje dziecko, ja ją wychodowałam; moja córka umarła, ale ja Magdusię tak kocham jak własną.

— Zdrowa twoja wychowanica — rzekł Wernyhora, a Nekrasa pilnie słuchał. Horpyna odezwała się znowu:

— Jakże ona często przed wyjazdem gadała o Panu Nekrasie, jak gdyby przeczuwała biedna dziewczyna, że Pana zobaczy!

Ale Wernyhora przerwał:

— No, zabierajcie się prędzej w drogę. —

Nekrasa dał kilka czerwonych złotych:

— To dobie zda się na drogę, moja kochano Horpyno.

— Niechaj ci Bóg tak dopomaga jak mojej Pannie.

— Pokłoń się Pani, moją córkę chrzestnę ucałuj i Pannie Joannie takoż pokłon oświadcz od starego; wkrótce ja tam przyjadę.

— I odemnie pokłoń się Horpyno Pani i Pannom — dodał rumieniąc się Nekrasa.

— Nie zapomnę; zaraz powiem pannie Magdalenie: widziałam pana Nekrasę, o pannie gadał ciągle.

Widząc że już Zaporożce na koń wsiedli, dodały obiedwie:

— Niechaj was Bóg szczęśliwie prowadzi! —

Oni na koniach odrzekli:

— Do zobaczenia! szczęśliwej drogi wam życzymy! —

Pojechali na szlak Zwinogrodecki, a kobiety poszły ku Sydorówce. Charty za jeźdźcami skoczyły, ale ci ich odegnali; pobiegły za kobietami, te pogładziły je ręką; wahały się czas jakiś, biegając to w tę, to w ową stronę; nareszcie pobiegły za Horpyną, bo lepsza ta ręka co głaszcze, niż ta co grozi.

Jadą lasem — słońce jasno świeci — lśnią się dębowe liście, rosa perłami spada z gałęzi brzozy, a różnemi kolory jak brylant pała na pióropuszach kwiatów. Małe ptaszęta świegocą; różne głosy, różna muzyka ich śpiewów, gwar i mięszanina jak przy budowli wieży Babelu. Czasami też zuzula zakuka i wilga zaśwista, przelatując z drzewa na drzewo, sójka zawrzeszczy, i żołna gwizdnie, dopatrzywszy pasieczysko. Woń z ziół i kwiatów z oparem rosy nad ziemię się wyniosła i rozpłynęła w powietrzu. Orzeźwiały myśli jeźdzców, orzeźwiały siły koniom. Minęli las, wyjechali na robocze pola; choć czas na par orać, nie widać na odłogu pługów; po zielonych zbożach samopas broczą trzody, na radlance niezawłóczona hreczka porostki popuszczała, a na miedzy leżą rzucone brony ze szlejami — dalej stoi wóz, a koło niego wory poprzewracane, powysypywane nasienie, zielem się zagłuszył len siany na Cara Konstantyna; na sianożęciach trawa wylęgła, a nikt nie myśli o kosowicy; po wioskach pusto i głucho; po futorach nie masz nikogo, psy tylko strzegą mieszkań ludzkich, a ludzie wyruszyli na Koliszczyznę.

— Widzisz synu, co to można zrobić z ludem w imię świętej wiary, w imię wolności? Nie porozsyłano po siołach pisanych wici, nie zbierano się na głośne sejmiki, ale milczkiem wszystko ukartowano, a kiedy przyszła chwila, od wioski do wioski rozeszli się ludzie i szepnęli w ucho ludziom:

Za wiarę waszych przodków, za waszą wolność, powstawajcie i mordujcie wrogów!

Wszyscy rzucili domy i gospodarstwo, bo lud prosty rozmyślać długo nie lubi: on słowo powie, a dziesięć razy uderzy ręką; zbrodniarze go na ten raz ułudzili, ale i poczciwi ludzie tym torem mogliby uzbierać plon dla dobrej sprawy.

— Czemuż Szlachta polska, Konfederaci Barscy, tym sposobem nie użyli ludu do obrony Polski?

— Od głowy ryba śmierdzi. Szlachta nie otrząsnęła się jeszcze

z przesądu, którym nasiąkła od zniemczałych panów; u niej dotąd chłop nie Polak; dla tego to jej własną bronią Moskwa wojuje, i długo wojować będzie. Ale po długich latach znajdą się ludzie, co chłopa i szlachcica zwiążą węzłem nierozerwanego pobratymstwa; poruszą do broni wszystkich synów polskiej ziemi. A wtenczas Polska będzie wielką i możną, jak jeszcze nigdy nie była. —

W oczach Wernyhory pała ogień wieszcza, twarz odmłodniała urokiem nadziei. Nekrasa bacznie słuchał, pilnie patrzał na starca, a jego duszą zapał wojny zaszamotał. Poprawił się na siodle, zapomniał o miłostkach, a radby co prędzej ujrzeć pożądaną chwilę, pomknąć konia i pokrzesać szablą za Polskę.

W tem ujrzeli przed sobą zdala, jak po nad lasem dym się wila, w jednem miejscu ciemniej się maluje, gęściej kłębi, ztamtąd się rozwija niby obłok szarawy, dzieli się na setne smużki, bieleje i niknie na błękitnem tle niebios.

— To pożar! Śpieszmy, może potrafimy uratować od śmierci jednych, a od zbrodni drugich braci. —

A nie czekając odpowiedzi, ścisnął konia Nekrasa i poczwałował z kopyta, a Wernyhora za nim także poskoczył.

Pędzą brzegiem Siniawki, wiatr świszcze; z pod kopyt ziemia bryzga, po drodze kołem kręci się tuman kurzu, a w oczach jezdzców tańczą wzgórza, skaczą lasy, susami sadzi rzeka, wartkim pędem płyną zielone niwy, niebo się wierci, ziemia się rozpęka, jak u pjianego w oku, jak u sennego w myśli. Już więcej jak ukraińską milę ucwałowali, konie potem się zlały, pianą sie zbieliły, jeszcze biegną, ale już często gęsto, nahajka karbuje im boki i cugiel zrywa głowę do góry. Już widać głębokie warstwy dymu, od dołu słania się słaby płomień, to podniesie się, to przygaśnie a iskry rojem zabłysną i znikną; już blizko, a ani krzyk, ani żadna wrzawa ztamtąd nie dolatuje; jeździce wstrzymali konie. Wernyhora popartrzył, westchnął.

— Już tam po bankiecie być musi, resztki dogorywają.

Stępą wjechali do Zwinogródki, dym dusi i w oczy szczypie, konie chrapią, ponadstawiały uszy, a nogami jak po dyłach stąpają; przez powłokę dymu ledwie przejrzeć można chaty i drzewa sadów. Miasteczko całe zgorzało, a resztki dogorywują; na rynku w pośród kupy popiołów, walają się spalone szmaty trupów ludzkich; jeździce przejechali wzdłuż i poprzek Zwinogródkę, a nigdzie nie masz żywego ducha.

— Już tu nikomu nie damy ratunku, a my nie mamy czasu do tracenia, rzekł smutnie Wernyhora. —

I zwrócił konia w boczną ulicę; wyjechali za kołowrot, i znów z biegiem Siniawki ciągnęli ku południowi.

O ćwierć mili za miastem, był czarny lasek; jesiony i jawory ściekłe jak konopie wystrzeliły czołami w niebiosa, kędzierzawe iwy i gęsta leszczyna, nieprzejrzanym częstokołem od pola ogro-

dziły krąglak; ku rzecce ciągnęła się łozina kuszczami rozmaitego kształtu; a pomiędzy nią oczeret i osoka; do koła lasku, głęboki przekop, tylko w jednem miejscu wązka drożynka wciskała się w gęstwinę; parokonny wóz ledwie mógł przejechać tamtędy: tam udali się podróżni. Ujechawszy paręset kroków, zobaczyli chatę pokrytą słomą i kilka szop, i stebnik, a wszystko ostawione płotem z oczeretu. Ptaki zaszczebiotały, pies zaszczekał, ale nikt nie wyszedł wrót otworzyć.

Zsiedli z koni, zarzucili cugle na kołki płotu.

Wernyhora zawołał:

— Moszku! —

I czarny kądel zaczął się łasić koło niego; weszli na dziedziniec, nie masz nikogo, chata otworem stoi, a na środku izby stół białym obrusem przykryty, na nim sztof z wódką i kieliszek, na talerzu masło, na drugim miód w plastrach, sól i pieprz w dwóch czerepkach, a na boku para nożów.

— Musiał gdzieś wyjść stary towarzysz, bo wszystko przygotował dla podróżnych? No synu, w twoje ręce! —

Nalał sobie kielich, i wypił.

Nekrasa wziął kielich:

— Mnie się ojcze, ani pić, ani jeść nie chce.

— Czy się chce, czy nie chce, to trzeba skosztować daru gospodarza; u nas starych Zaporożców nieszczęście za sobą niesie pogardę szczerej gościnności, szczęście zaś na ten dom spada gdzie podróżny zasili się zastawioną sobie przekąską. —

Napił się Nekrasa, zjedli po kawałku chleba, a potem obeszli do koła pasieczysko. Wernyhora szczelnie przeglądał wszystkie kątki, a nie znalazłszy śladu człowieka, odwrócił się ku południowi, i raz po raz trzy razy gwizdnął, trzy razy po czarnym lasku odbiło się echo gwizdnięcia, a potem umilkło. Słuchali pilnie Zaporożce, aż po niejakimś czasie trzy-razowe gwizdnięcie słyszeć się dało.

— Chodźmy! on nas czeka pod starym klonem. —

Szli wązką ścieszką, w prawo i w lewo w zygzak się kręcili po nad potokiem; po zwalonem drzewie przeszli na drugą stronę: tam była hulawka, a pośrodku stary klon z czerwonym liściem, a do koła łozina i oczeret. Gwizdnął raz drugi, jeszcze nie masz nic, gwizdnął raz trzeci, zaruszał się oczeret, zaszeleściła łoziną, i wyszedł staruszek choć niewielkiego wzrostu, ale barczysty, przysadkowaty: w jego ręku nasiekana pałka, a za pasem obosieczna siekiera.

— Jak się macie bracie Puxo, czegoż tam się dłubiecie jakbyście na tamten świat mieli wyjeżdżać? —

Uściskali się obadwa.

— Chwała Bogu żeście przyjechali ojcze Wernyhoro, bo już mię strach brał, aby wam się co złego nie stało.

— A czy przybyły nasze ptaszki? —

Puxa spojrzał z ukosa na Nekrasę, ale Wernyhora uspokoił go mówiąc, że to jest jego wychowaniec Nekrasa. Poczem Puxa dodał:

— Są ojcze Wernyhoro od wczoraj; to to ja miałem z nimi kłopotu. Od wieczora aż do samego rana chłopstwo po lesie łaziło, czy nie znajdzie przechowanych Lachów, i ja musiałem z nimi pić na pohybel Lachom i Żydom, i jakoś się udało przechować te migdaliki; bo to ani podobne do Kozaka, a szwargoczą jakimsiś nieznanym językiem: i djabeł by ich nie zrozumiał.

— No, zawołajno ich Puxo; my tu z nimi pogadamy. —

Puxa poszedł w łozinę, ale niebawem wrócił z dwoma młodymi ludźmi; jeden do trzydziestu lat doskakiwał, drugi zaledwie dwadzieścia przeliczył. Obadwa byli w płóciennych szarawarach, w ciemnych świtkach, i słomianych kapeluszach na głowach; choć chłopskie stroje, ale mina nie chłopska. U starszego na brunatnej twarzy, lśni się oko czarne i wąs czarny, a na głowie krucze włosy tak gęste, iż palce przez nich ciężko przepuścić; młodszy twarz miał bielszą, w miejscu wąsa mech porastał pod nosem, a czarniawe włosy wiły się w sploty, a choć udawał ciężki i leniwy chód, we wszystkich ruchach jego ciała odbijała się szykowność. Spojrzeli na Zaporożców, a starszy postrzegł Nekrasę.

— Jak się masz, Panie Atamanie, a cóż ty u djabła tu porabiasz?

— Ja zwyczajnie Kozak, po Ukrainie się włóczę; ale ciebie, Panie Kawalerze, jakie tu licho przyniosło?

— Jakem kawaler Tott, wprzódbym się śmierci spodziewał, jak tu w tem miejscu widzieć się z Panem Atamanem. — Obrócił się do Wernyhory: — Zapewne to być musi ów sławny Wernyhora?

— Tak, ja to jestem Wernyhora, ale nie sławny, tylko zwyczajny sobie człowiek.

— Bądź co bądź, oto kłócić się nie będziemy; skromność zaletą znakomitych ludzi, ale oto list. —

I wręczył mu go, a nie dając czasu odpieczętować, wziął za rękę swego towarzysza:

— Oto Hrabia Viomenil, człowiek zacnego rodu i dobrze widziany u nas.

Młodzieniec skłonił się i oddał takoż jakiś papier Wernyhorze.

— Czy sam Pan przyjechałeś? —

— Nie sam, ale z Panem Chorążym Dzwonkowskim, który tylko co ztąd odjechał. —

Tu Puxa coś szepnął do ucha Wernyhorze, a Wernyhora skinął głową.

— No idź stary, napaś nasze konie i przygotuj jeszcze jedne-

go, a pilnuj dobrze żeby kto nie nadszedł; my tu trochę pogadamy. —

Poszedł Puxa, Wernyhora czytał listy, a kawaler Tott przystąpił do Nekrasy.

— Nie tak to było w Bagczysaraju kiedyśmy ostatnią razą się widzieli; Kierym-Giraj jeszcze na Hańsiwie siedział, wszystko tam huczno było. Cóż tam teraz słychać Panie Kawalerze?

— Teraz smutno, ale jest nadzieja, że wkrótce będzie lepiej. —

Wernyhora skończył czytanie:

— No siadajmy moi panowie. —

I siedli pod klonem; a wziąwszy za rękę Kawalera:

— Seraskier Bałty pisze do mnie abym co prędzej ułatwił ci Panie Kawalerze, widzenie się z twoim współrodakiem, wysłannikiem jakiegoś waszego Księcia. Ja to nie z tych ludzi co psy karmią kiedy trzeba iść na polowanie, po pierwszym liście tak wszystko ułożyłem żebyście w naznaczone miejsce na dzień pewny się zjechali. Dobrze się udało. Powiedz-że mi teraz co tam się dzieje na Krymie i w Stambule? —

Tott poprawił włosy, zatarł ręce:

— Dobrze wszystko idzie: Sułtan Mustafa coraz więcej przeciw Moskalom się zniechęca. Wielkiego Wezyra kredyt upada, bo różnemi drogami poodkrywaliśmy przed Sułtanem jego porozumienia się z Moskwą i intrygi Obreskowa. Moldawandżi we wziętość wzrasta, a to człowiek czynny, chciwy sławy, a nadewszystko niecierpiący Moskali, jak djabeł wody święconej. Już rada Dywanu wysłała do Katarzyny domaganie się, aby wojska moskiewskie wyciągnęły z granic Polski. Pod Szumlą i Warną zbierają się dwa wielkie obozy tureckie; w Benderach jest dziesięć tysięcy wyborowych Jańczarów; na Budziaku Seraskier zgromadził trzydzieści tysięcy konnicy tatarskiej; przed miesiącem Kierym-Giraj wróci na Hańswo, a on kocha Polaków jak braci. Do tego macie teraz Pana Atamana Nekrasę; on wszystko zrobi z Kierym-Girajem co zechce: to jego przyjaciel, towarzysz broni. Klnę się na słowo kawalerskie, na słowo Francuza, że bądź co bądź, Polska musi zwyciężyć. Tak chce król Ludwik, tak chce Książe Szoazel i my tak chcemy. —

Uśmiechnął się Wernyhora:

— A inni co na to mówią?

Zaczerwieniał się Tott:

— Anglja jedna, to przeklęty naród kupiecki, temu służy kto mu potrzebniejszy, z kogo większe korzyści ciągnąć może.

— To coś oni jak Żydzi — przerwał Nekrasa — u nich pieniądz Bogiem, a interes sumieniem: mojem zdaniem w siebie wierzyć i w swoją szablę, a pobijemy Moskali. —

Wernyhora poglądał z radością na ten zapał Nekrasy.

— Zapewnie, że należy w siebie wierzyć, ale nie potrzeba

drugich odpychać. Żyd dobry na faktora; kiedyś przyjdzie czas, że i ten Anglik może się zdać. —

Zwrócił twarz do Viomenila:

— Opowiedziałeś pan wszystkie zlecenia Kawalerowi Tott?

— Opowiedziałem wszystko; mieliśmy dość czasu do nagadania się.

— Gdzieżeś zostawił Pana Puławskiego?

— Starego zostawiłem w Barze z Panem Marszałkiem Krasińskim; mnóstwo szlachty przystępuje do Konfederacji, a ksiądz Biskup Kamieniecki dobre nowiny donosi z zagranicy. Pan Stolnik Potocki zbiera wojsko nad Prutem, Franciszek Puławskie zajął Żwanice i Okopy; ale wojska moskiewskie i królewskie ciągną ku Barowi i nadzwyczajnie gniotą Konfederatów po drodze. Pan Chorąży Dzwonkowski mi zlecił, jeżlibym się wprzódy zobaczył z wami jak on, żebym wam przedstawił potrzebę najśpieszniejszego porozumienia się z pułkownikiem Gontą.

— Już to ja nad tem myślę; trudna to rzecz, ale trzeba popróbować. Nekraso, to twój dawny towarzysz, pojedź do niego, czy się nie uda zachować go na naszej stronie; obiecuj mu wszystko co zechcesz, tylko strzeż się aby ciebie nie oszukał, bo to sztuczka filutowata i bezczelna. —

Nekrasa zmarszczył czoło:

— Wolałbym ja z nim szablą rozmówić się, nie słowem; pozwól Ojcze, niechaj wrócę na Zaporoże, a ja wam tu przyprowadzę na Moskali raźnych mołodców; albo nie, to dajcie mi z parę sotni konnych ludzi, a ja wam prędko to hajdamactwo uspokoję.

— Mój synu, dla mnie to zrób, i bez szabli rozmów się z Gontą; uda się, to dobrze, nie uda się, to i opętanych braci i Moskali będziem wojować szablą.

— Pojadę, ale zaklinam was ojcze, abyście mnie ostatni raz używali do przehoworów, bo na Boga przysięgam, że język mi się plącze i kłamać nie umiem; szablą zaś gładko potrafię machać.

— Dobrze synu, przyrzekam ci to, zobaczymy się z sobą wkrótce. Przyjeżdżaj do Parchomówki, i tam na ciebie czekam. —

Nekrasa uśmiechnął się, jakby na znak, że nie trzeba go dwa razy na to zapraszać.

— Za trzy dni was zobaczę ojcze! pozdrówcie tam wszystkich odemnie.

— Dobrze mój Atamanie. Panie Hrabio, wy pojedziecie ze mną, a wy Panie Kawalerze znów ruszycie zkądeście przyjechali. Puxa was odprowadzi. Powiedźcie Seraskierowi, że wszystko się robi jak on życzy; a teraz dalej w drogę! —

Wstali i poszli ku chacie; tam jeszcze gwarzyli to o tem, to o owem, i jedli południenek przyprawiony przez Puxę. Francuzi krzywili nosy na zapach kapusty, i nie bardzo smakowali w bar-

szczu okraszonym słoniną; ale za to zajadali lemieszane pierogi ze śmietaną, i pili wódkę; tymczasem i konie popasły; pożegnali się, siedli na koń.

Nekrasa okołował lasek w lewo, i rżnął się ornem polem na drogę do Moszowa. Wernyhora z Viomenilem jechali na powrót drogą do Zwinogródki. Puxa z Tottem do nocy zostali w futorze. Kądel wyprowadził jeźdzców za lasek i wrócił; sroki na odjezdne zaszczebiotały i zamilkły; spłoszony ptak załopotał skrzydłem po gałęziach i gdzieś w gęstwi przypadł; i wszystko uspokoiło się w czarnym lasku. Wszystko żyje błogim pokojem, swobodną otuchą.

VI.

> — — — — — — — — — — —
> Mam nad Dnieprem zamek stary,
> Pięćmilowe w okół jary,
> Tabun koni niekiełznany
> Mnogich mogił dwa limany;
> Czym nie Pan!
>
> Michał Grabowski.

W Parohomowieckiem dworze brama roztworem stoi; jak z deszczem walą się goście za gośćmi. Na obszernym dziedzińcu pełno wózków, bryczek, kałamaszek, dryndul, a nawet dwie kolasy. Koło powozów na ziemi służba poobsiadała; młodsi prawią androny pokojówkom latającym jak pocztą z babińca do powozów, niby po pakunki, a w istocie aby umizgnąć się do chłopców; starsi załojonemi kartami w kiksa grają; przed stajnią furmani szory czyszczą, chędożą konie i nadkońce do batogów nawiązują. W stajni tak pełno gościnnych koni, że gospodarskie na tok wyprowadzone. W kuchni sieką zrazy, smażą kiełbasy, pieczenie na rożnach obracają; kuchmistrz w białej płóciennej kurcie, białym fartuchem przepasany, w białej szlafmycy na głowie, kosztuje sosy, donośnym głosem rozkazy daje i pięcio-paskową dyscypliną do ruchu napędza, a kuchciki i stróże żywo koło roboty się uwijają, aż pot na ich czoła wystąpił. Kredensowa służba z półmiskami lata, na tacach dzwoni szkłem i porcelaną, w koszach brzęczy srebrem.

Niespodziani goście zjechali się do Parchomówki; ale Michał Głębocki Wojski Owrucki, z prapradziadów Pan i rodem i majątkiem. W jego domie płynie hojny dostatek, nie braknie na niczem, chyba na ptaszem mleku. Oprócz czterech wsi na Ukrainie posiada mnogie włości i lasy w powiecie Żytomirskim i Owruckim; przy dworze pięciuset zbrojnych Kozaków trzyma i pieczętuje się herbem Doliwa, a przed kontraktami Dubieńskiemi, za sprzedane zboże i wyroby leśne, złoto kwartą, a srebro i miedź garncem mierzy. Uczciwie lubi zjeść i wypić, uczciwie po szlachecku gości w domu uraczyć.

Dom gontem pobity, z sutym gankiem o ośmiu murowanych

słupach, wewnątrz bogato przybrany; we wszystkich pokojach dębowe posadzki, na sufitach figlasy i gzymsy wyrabiane w sztukaterje rozmaitego kształtu. Na ścianach w jednych pokojach obicia ze szpalerów pstrokolorowych, w drugich makaty tureckie, i materje perskie; w bawialnych komnatach gęsto wiszą olejne portrety Królów Polskich, Hetmanów Korony i Litwy, Atamanów Kozaczyzny, Wojewodów Bracławskich, Kijowskich, Metropolitów, mężów i kobiet Głębockich rodziny i rodzin z nią związkami krwi połączonych. W sypialnej komnacie obrazy świętych, krucyfix, flaszki z wodą święconą, i kikanaście sztuk broni, a w kącie mnóstwo lasek i klepaczek; w jadalnej izbie znakomitsze bitwy pomalowane na płótnie, a w przedpokoju rozmaite rodzaje polowania. Wszędzie wiszą na łańcuchach złocone świeczniki, onizane różnofarbnemi szkiełkami; stoją sofy ponakrywane kobiercami pysznej barwy, krzesła dłutowane w esy i floresy, wyzłacane i obite złocistą materją, komody z cedrowego drzewa, stoliki z bukszpanu, kantorki hebanem, słoniową kością i złotem wykładane; na szafkach, na gzymsach od kominów i pieców, stoją japońskie porcelany, szkła czeskie, figurki ludzkie, zwierzęce, z soli, z papieru i kamienia, zamorskie konchy i ślimaki, wypychane ptaki, puhary złote i srebrne, nasadzone drogiemi kamieniami, a do tego po ścianach pełno metalowych i szklannych zwierciadeł.

Pan Wojski do pół wieku dobiegał, ale jeszcze jędrny, nie miał ani zmarszczki na twarzy, ani siwego włosa na podgolonej głowie; oko ciemne i ogniste, wąs zawiesisty, chłop duży, tęgo zbudowany. Z kusa po staropolsku się nosił, bez chustki; koszula spięta brylantową spinką, żupan z karmazynowego atłasu, kontusz granatowy na wyloty, a przy nim złote guzy turkusami natykane: pas lity, szarawary z karmazynowego aksamitu, żółte buty z kozłowej skóry, podkute srebrnemi podkówkami; przy boku karabela w jaszczur oprawna, rękojeść złota ozdobna w rubiny i szmaragdy.

Pani Wojska, Helena na imię, a Butowiczówna z domu, Atamańskiego rodu, rodzoniuteńka prawnuczka Atamana Brzuchowieckiego, sławnego na Siczy i po wszej ziemi gdzie zasłyszeć tylko o Zaporozkim koszu, ledwie dwadzieścia pięć lat kończyła; okazałej urody, gładkiego lica, oko piwne, włos czarny; choć łagodność na twarzy, ale w oku harda duma. Na niej suknia z zielonego atłasu, rozpięta na szerokich rogówkach, obłożna u dołu jak śnieg białemi falbanami, kryza z brabanckich koronek w zęby wycinana i takiż czepiec na głowie: na szyi dwa sznury pereł dużych jak wielko-groch, na piersiach przytrzymywała kryzę spinka z brylantem jednej sztuki, wielkości pieszej fasoli; trzewiki z zielonego atłasu z wązkim i zakrzywionym nosem, na wysokich korkach, i pończochy z białego jedwabiu.

Państwo Wojscy mieli dwóch synów. Michał już trzeci rok

kończył, Felicjan jeszcze na czworakach łaził, a teraz Pani Wojska przy nadziei. Powiadają ludzie, że za młodu, Pan Wojski wiele psot broił, nawet nieraz za pokątne miłostki miewał ciężkie przeprawy ze świętej pamięci nieboszczykiem swoim ojcem, ale jak się ożenił to i statek przyszedł; teraz żyje jak przystoi na chrześciańskiego męża, na polskiego szlachcica.

Przy Pani Wojskiej były dwie stare Panny na respekcie, a przy Jegomościu wisiało czterech dworskich wyjadaczy; jeden Koroniasz, jeden Rusin i dwóch Litwinów: ci jak najęci łgali, pochlebiali, i donosili plotki. Powinnością ich było pamiętać o gościach i bawić dzieci; za to każdy dostawał rocznie sto złotych, nowy ubiór, i karmił parę koni pańskim obrokiem. Oprócz tego była mnoga liczba oficjalistów, Biłowus i Pszenyczny dowódce Kozaków pańskich i Pan Stefan Głębocki, imiennik i przyjaciel Jegomości.

Goście jak pszczoły po ulu, porozłazili się po komnatach: jedni skończyli, drudzy zaczynali śniadanie. Pan Wojski szczerze od serca zapraszał aby pożywali dar Boży, a owoc pracy jego. Panowie tutumfatcy, czyli wszędo-wścibscy, dolewali w szklanki miodek, wiszniaczek i wino, a łgarstwem i dowcipem starali się w gościach śmiech wzbudzić, wprowadzić w wesoły humor. Pani Wojska przyjmuje kobiety, bez żadnej różnicy na dostojeństwa i majątki, jak przystoi na żonę szlachcica polskiego, dawnego rodu, na prawnukę Atamana Koszowego: więcej przez troskliwość, jak przez ciekawość wypytuje o szczegóły dobywania Zamku Korsuńskiego. Kobiety rade ze szranków jakie się otwarły ich gadatliwości, każda chciałaby bez wytchnięcia opowiedzieć całe zdarzenie; na przemiany przerywają sobie mowę, a jeźli nie mogą więcej, to przynajmniej dwa słówka dodają do opisania. Niebezpieczeństwo choć było wielkie, jeszcze urosło przepytlowane przez ich usta: żwawo się obracały języki, jak koła młyńskie, a słowa wylatywały tak gęsto i szybko, jak mąka z przetaka.

Pan Wojski rozmawiał z Komornikiem u framugi okna:

— Tnę potnę, Panie Wojski, ależ Pan Skarbnik tu Panu naprowadził Moskiewskiej czeredy? Wymknął się z Korsunia, moja wina; ale co ma wisieć to nie utonie. —

— Mosanie Komorniku, po tem wszystkiem co Waszmość mi mówiłeś, nie miło mi patrzeć na tego ptaszka; ale cóż robić, to w moim domie, a człowiek na nieszczęście niewolnikiem gościnności.

— Tnę potnę, patrzaj-no Mości Panie Wojski, jak się ten pokurcz moskiewsko-ukraiński do szlacheckich Panien przysiada; — wskazał na Tamarę, wdzięczącego się do Panien Chiczewskich — a ta psiarnia moskiewska, przy szlacheckim stole zrze gdyby świnie? — i rękę podniósł ku sali jadalnej, gdzie sześciu oficerów moskiewskich i dwóch Dońców, zasiadłszy około stołu,

rozmaite jadła pakowali na talerze, a na w pół przekrajane do gęby kładli, i żarli łakomie, aż sos po sukniach kapał, i kawały mięsa wyrywały się z widelców — tnę potnę, to już nie do wytrzymania, jabym to wszystko wyrżnął, wywieszał, a sam przystąpił do Konfederacji Barskiej.

— Mój Mopanku, dobrze by to tak było zrobić, ale na nieszczęście to w moim domu, a szubienicą i nożem Szlachcic Polski gości nie traktuje; co do waszej Konfederacji i ja kocham Ojczyznę, gotowym za nią walczyć, ale na nieszczęście tam sami hołysze i zapalona młodzież się gromadzi; ledwie kilku Panów przystąpiło i to może dla osobistych widoków, a ten Pan Puławski to adwokat, a ja przyznam się Waszmości, ludziom od kratek nie wierzę, bo jak kieską podzwonisz to łasi się jak pies, a kiedy kieska próżna, to zaraz innej służby szuka.

— Tnę potnę, mój Mości Panie, gdybym nie znał Pana Michała dziecięciem, wyrostkiem, myślałbym żeś zmoskalał, albo zkrólewczał: porzuć przesądy, nie wierz bajkom. Pan Puławski godny obywatel, a hołysze poczciwi ludzie; w naszej Polsce na nieszczęście wielcy Panowie złotrzyli się. Tnę potnę, i chłopków przyjmijmy do Konfederacji, wszakci i oni Polacy, a klejnot szlachecki na tem nie ucierpi jeźli podamy rękę nie herbowemu człowiekowi. —

Głębocki już miał odpowiedź na języku, kiedy się zbliżył Skarbnik Nurski, i przymilał się z cudną pokorą.

— Jaśnie Wielmożny Panie Wojski Dobrodzieju, w obecności Pańskiej miło mi wyznać wdzięczność jaką winniśmy Panu Komornikowi za ocalenie naszego życia i honoru szlacheckiego; całej też usilności dołożyłem, aby zatrzeć tę sprawę o pobitych Moskalach. Pan Graf Tamara wymógł to na Panu Pułkowniku Ozerowie, że poda raportem jakoby ci ludzie potopili się, kąpiąc się w Rosji. Idzie tylko o mały prezencik; lepiej tak skończyć bo w samej rzeczy major Markow przebrał żołnierzy po chłopsku, aby oszukać hajdamaków, a nam dać pomoc.

— Tnę potnę, to najbezczelniejsze łgarstwo, chyba Waćpan z swoim synalkiem temu uwierzysz, wyście się już zwąchali z Moskalami — odparł Komornik; oczy mu się iskrzyły, a biała czupryna aż do góry się podniosła.

Złotnicki po junacku posunął nogę najprzód.

— Mości Komorniku! szanuj Pan drugich, kiedy chcesz żeby ciebie szanowano. Cóż to ja gorszego od Waćpana?

— Tnę potnę, lepsi jak Waćpan wiszą na szubienicy: a to zkąd śmiałość stawiać mnie obok siebie: ja Polak i dobry Polak — i tu odwiódł rękę — a Waćpan tnę potnę — nie domówił, bo Głękocki uchwycił za rękę:

— Mości Komorniku, przez przyjaźń jaką masz dla mnie, szanuj mój dom, zaklinam ciebie.

— Tnę potnę, puszczaj mnie Panie Michale, ani słowa nie po-

wiem temu — zgryzł usta i odszedł; ale już kilka osób zgromadziło się koło okna, ściągnięci głośniejszą rozmową, i poruszeniami Komornika.

Skarbnik nie tracił miny: — Gdybym ja był także gorączką, jużby przyszło między nami do swarów i do bitwy; ale ja szanując i wiek i ostatnią zasługę Pana Komornika, wolałem to wszystko przenieść.

— Dobrześ Waszmość zrobił, bo też to zacne człowieczysko; bogdaj tacy i na kamieniu się rodzili. —

Skarbnik zbliżył się do ucha Głębockiego, głos ściszył: — a z tym Moskalem wartoby zakończyć tę sprawę.

Wojski zawołał: — Panie Stefanie! — i wnet suchy człowiek jak wędzonka stanął przed nim. Wziął go na stronę. — Weź waszeć sto czerwonych złotych i daj je Panu Skarbnikowi. —

Wszczęła się rozmowa ogólna o rozmaitych rzeczach, a tymczasem w sali jadalnej Moskale pili jak najęci.

— Iwan Iwanowiczu, jakże to teraz zrobić z Markowem, brat jego Adjutantem przy Kreczetnikowie.

— Słuchaj Matwiju Tymofiejowiczu, ja mu kazałem tylko wspierać hajdamaków, a on ze swojej głowy zamek chciał zdobyć; jak posłał tak niechaj śpi.

Kapitan Bek, rodem Niemiec, w rozmowę się wdał: — umarli z grobu nie wracają, a żywym jeść trzeba; Zaporożców djabli wiedzą gdzie szukać, a ze szlachty trzeba drzeć skórę póki się daje.

— To mi człowiek! my Moskale prostaki, im Niemcom nas rozumu uczyć. —

Na to wszedł Pan Złotnicki, wziął Ozerowa na stronę, i coś z nim długo mówił po cichu, a potem ściskał go za rękę, i Moskal wsadził swoją rękę do kieszeni.

— Matwiju Tymofiejewiczu, rzecze do Majora, napisać raport, że Kapitan Markow z oddziałem pięciuset ludzi i czterema oficerami, z bronią i mundurami, potopili się w Rosji; chorąży Jefremów z pułku Kozaków Karpowa to wszystko widział. — A potem zbliżył się do stołu gdzie moskale siedzieli i głowę między nich wetknął tak żeby żaden Polak nie dosłyszał: — Durna szlachta myśli, że Jenerał Kreczetników o niczem nie wie; nam się udało, będziemy mieli za co pić miedwiedia, i pończyk; ale tak to się dziać powinno, głupi daje, a mądry bierze. Major dodał: cóż my temu winni, że u nich nie masz Iwana w głowie? —

Drzwi się otworzyły i przybyli dwaj nowi goście; byli to oficerowie polscy, Adjutanci Pana Jenerała Branickiego, Rotmistrz Janikowski i Chorąży Zajączek. Po powitaniach Rotmistrz wziął na stronę gospodarza:

— Panie Wojski Dobrodzieju, przykro mi do domu pańskiego przyjeżdżać z obowiązku, wolałbym po dobrej woli Jaśnie Wiel-

możnym Państwu Dobrodziejstwu złożyć uszanowanie, ale cóż kiedy taka powinność żołnierza: robić jak wódz każe. Jaśnie Wielmożny Jenerał żąda aby Pan Komornik Drożewski niezwłocznie udał się do Białej Cerkwi. —

Komornik to usłyszał, żywo przykoczył, i nie dał domówić reszty.

— Tnę potnę, widzisz mi gacha! Co to ja ciura jeneralski, abym był na jego zawołanie? Ja, szlachcic Polski na zagrodzie, równy Wojewodzie. Mospanku do mnie wara!

— Panie Komorniku, ja mam rozkaz i spełnić go muszę, niechaj się Pan nie unosi, tylko jedzie.

— Tnę potnę, a to jakim sposobem Waszmość spełnisz swój rozkaz? czy gwałt na szlachcicu wykonasz?

— Gdyby i do tego przyszło, ja mam dwa cugi hułanów. —

A w tem Głębocki się ofuknął — Mospanie Rotmistrzu, szanuj Waćpan moj dom i swoją sukienkę; nie tylko tutaj u mnie, ale na każdem miejscu nie pozwolę targnąć się na przywilej szlachecki. Hej! zawołać mi Biłowusa — i jeden z przydwornych prędko wyskoczył. — Wasze masz hułanów, ja mam kozaków; poprobujemy się kto silniejszy, a choćby przyszło głową nałożyć, mienie moje w popiół obrócić, to nie dam zrobić krzywdy, gwałtu żadnemu szlachcicowi, czy to mój znajomy czy nie.

— Tnę potnę, niechże cię uściskam Panie Michale — i wpół objął Wojskiego — nie o moją tu skórę idzie, bo mniejsza o te stare kości, ale o szlachtę polską. Jeden tatarczuk zaprzedany Moskwie, ma się targać na nasze przywileje? Tnę potnę, a to tego jeszcze nie stało? —

Rotmistrz milczał, i oglądał się na Skarbnika, ale ten jak tylko zaczęła się żwawa rozmowa uciekł między kobiety, spozierał na Moskali; ci stali spokojnie, obojętnie, a pułkownik Ozerów mówił do swoich z cicha — niech się kpy biją, nam podszczuwać Lachów, ale nie rozbrajać, a jak się wyszepczą jedni i drudzy, to my ich wtenczas za łeb weźmiemy. —

Wszedł Biłowus, chłop sążnisty, w sinych szarawarach, w sinym kontuszu, białym pasem podpasany z szablą przy boku.

— Mospanku zawoła Głębocki, niech się moi Kozacy zaraz uzbroją, połowa na pieszo, połowa na koniach; posłać do Pszenycznego, niech z Łochwina, Tarhana i Michałówki przyprowadzi co tylko ma ludzi gotowych; gdyby hułan albo ktokolwiek bądź odważył się napastować albo grozić, natychmiast zakłuć! Słyszysz Mospanku?

— Wszystko będzie dobrze. Ojcze.

— Panie Wojski, ozwie się Zajączek, my bitwy nie przyszliśmy staczać; nam kazano, a Panowie wiecie, że w wojsku rozkaz starszego jest świętym.

— Mosanie, kurtka żołnierska nie powinnaby szlachcica polskiego przerabiać na hajduka; my waszeciów bić nie myślimy

ale odpierać napaść; jedźcie z Bogiem zkądeście przybyli, ani słowa nie powiemy; albo rozgośćcie się po przyjacielsku; ja was proszę, moi Panowie. —

Rotmistrz ochłonął z pierwszego zapału.

— Panie Wojski przepraszamy za mimowolnie naniesiony niepokój; zaproszenie gościnne przyjmujemy, zjemy obiadek, a potem ruszymy do Białej-Cerkwi: jakie zaś dalej będą skutki, to do nas wcale nie należy. Pan Jenerał wie, że przeciw wodzie płynąć nie można, nie polecił nam gwałtów robić: bo gdyby tak było, z bolem serca musielibyśmy szabel dobyć na rodaków; taka powinność żołnierza.

— Tnę potnę, Mosanie Rotmistrzu, co też waszeć pleciesz! Żołnierz obywatel wroga bije, na swego broni nie dostaje; żołnierz najemnik to co innego. Wszak waszeć Polak, nie Niemiec na jurgielcie? —

Rotmistrz chciał odpowiadać, ale Głębocki ręką go zatrzymał.

— Mości panowie zgoda! co będzie niech będzie, a chcąc w zgodzie żyć trzeba mało mówić, a wiele jeść i pić. Panie Stefanie, każ nakrywać do stołu, a my tymczasem chodźmy do kobiet. —

Wkrótce dano obiad: stoły ustawione w podkowę, na nich rozesłane holenderskie obrusy, alabastrowej białości; na tle matowem rzucone lsknięce kwiaty w rysunki rozmaitych kształtów. Srebrne wazy na wysokich podstawach, do koła obwiedzione wieńcem z dębowych liści misternej roboty, a u wierzchołka potężna żołędź do zdejmowania wieka. Srebrne serwisy piętrzyły się w mnogie ramiona, jedne nakształt drzew gałęzistych, drugie jak wieże z krużgankami i gzymsami, inne zaś jak esy dziwnego kształtu, poprzytykane do grubych słupów; jedne w mat wyrabiane, drugie wygładzane jak powierzchnia szkła; na wszystkich wisiały złote konchy z solą i pieprzem, a u spodu w koło powtykane butelki zielonej i szafirowej barwy, z nagłówkami srebrnemi; srebrne sztucce, łyżki, noże i chochle; porcelana saska z złocistemi brzegami, malowana w kwiaty, szkła czeskie rżnięte w kwadraty, na srebrach cyfry M. H. G. i herb Doliwa. Na stole pełno wina, miodu i wiszniaku; symetrycznie stoją poustawiane bakalje, auszpiki, konfitury, galarety, a pomiędzy niemi sterczą wieże z ciast i cukrów; dla większej ozdoby stołu panny respektowe, oberwanemi listkami z bławatków, amarantów, róży i innych kwiatów, posypały niby drożynki, niby litery po obrusie. Zupa i barszcz już rozdane, w talerzach parują, służba roznosi tace z wódkami. Parami przyszli biesiadnicy i obsiedli stoły; kobiety zajęły barkę podkowy, mężczyzni oba końce i we środek się wsunęli. Moskale gęby rozdziawiają patrząc na srebra, a tak jedzą i piją, że ledwie im brzuchy nie rozpękną. Szlachta dobrze

je, dobrze pije i gwarnie rozprawia. Zdrowia, wiwaty, szybko płyną jedne po drugich; węgrzyn dobry myszką trąci, jak oliwa się w kieliszek przelewa; pontak piędziesięcioletni, miód jak małmazja smakiem zestarzał: w końcu podano i cypryjskie wina. Grzegorz kuchmistrz Pana Wojskiego wypakował całą umiejętność na ten dzień; sztufadę gęsto nasadził słoniną, śliwkami poprzekładał i zawiesistym sosem podprawił; pasztet z jarząbków wątrobczanem siekaniem zagważdżony, po mistrzowsku opiekł ciastem; zające szpikowane, kuropatwy duszone z imbierem i masłem, indyk z podlewą i łosiowa pieczeń. Siedmiookowy szczupak na jednym blacie, karp do którego rodzenków, wina, bobków i majeranu nie pożałował; z jarzyn tylko kalafiory i szparagi, zaprawne winem z żółtkiem polał; a co do legumin, jajeczniki, mleczka, czekuladowe babki, ptiusiowe ciasta były jawnym dowodem doskonałości sztuki kucharskiej. Przy końcu stołu, wypito zdrowie Pana Grzegorza, a Moskale między sobą rozmawiali, czy ich matuszka Katarzyna tak jada, i czy nie warto byłoby ukraść Grzegorza do jej posług? —

Wszyscy byli pod dobrą datą kiedy wstali od stołu, ale na szczęście, każdy sądząc się być podpiłym, wstrzymywał się od swarek, a tak w najlepszej zgodzie pozasiadali po pokojach; mężczyzni często gęsto nowy wiwat węgrzynem spijali, kolejką z rąk do rąk. Kobiety w bawialnej komnacie zasiadły jedne do drużbarta, drugie do ćwika. Pan Graf Tamara przyczepił się do Panny Magdaleny Chiczewskiej, krok w krok za nią chodził, przy niej siadał: na jej szczęście hazardy brał, coraz to słodziuchne słówko w komplemencie powiedział, oczyma na nią strzelisto poglądał, w rękę całował, zgoła na czysto puścił się w zaloty. Panna Magdalena roztargniona, zimno jego słów słucha, obojętnie odpowiada, ale jednak nie odpycha gacha: tak przyzwoitość każe. Zresztą kobieta zawsze i wszędzie jest kobietą; jej ucho stoi otworem na pochlebstwa, jej serce łechce się pochlebstwem: gdyby i sam djabeł jej klepał, że grzeczna, że ładna, że rozumna, uwierzyłaby temu, użaliłaby się nad losem strąconego anioła, a nawet by złorzeczyła Bogu, choć wie, że to grzech śmiertelny: od matki Ewy kobiety w spuściznie wzięły ponętę ku pochlebstwu. Joasia ciągle siostrę kolanem trąca, i naprowadza rozmowę aby wspominać Nekrasę; Magdusia się rumieni i zamyśla, a potem sama sobie powiada: ona mi zazdrości, że ładny kawaler grzeczności mi prawi. Pani Chiczewska nawet niechętnem okiem na te zalecanki patrzy, często córkę woła, ale trudno ją trzymać przy sobie jak sznurkiem przywiązaną, albo wysłać z bawialnej komnaty: byłoby to przyznać się do nieznajomości życia na świecie. Pani Gubernatorowa chce pokazać, że zna świat wielki, że się bywało pomiędzy ludźmi. Tamara zaś nie zważa na krzywienie nosem i kwaśne miny; on tam bohater gdzie kule nie świszczą, gdzie szable nie brzęczą. Pani Skarbni-

kowa, choć ją mało djabli nie brali, że Pan Graf nie do jej Salusi się przysiada, ale widząc, że to robi przykrość Pani Chiczewskiej, przez wrodzoną złośliwość, i okiem i słowem zachęca Tamarę aby nie ustawał w zalotnym zapale; zapewnia mu nawet pomyślny skutek, mówiąc z cicha półgębkiem:

— Szlachcianeczka, to Bogu duszę winno, już się złapało w sidełka. Panie Grafie tak się nie godzi żartować, ja pewna jestem, że Pan o niej ani myślisz. —

Tamara przybierał zapał szczerości.

— Pani Dobrodziejko, ja ją tak kocham żebym i w piekło dla niej poszedł; ani w Wenecji, ani w całych Włoszech nie widziałem nic piękniejszego. —

Skarbnikowa poruszyła głową na znak, że nie wierzy.

— Mów to pan komu innemu nie mnie, ja wiem, że jakaś tam Gubernatorówna — to partja nie dla Pana Grafa. —

Tamara ruszył ramionami.

— Miłość na szlachectwo nie patrzy, serce szuka serca, tak mówią poeci włoscy. —

Wieczorem Adjutantowie Pana Hetmana odjechali, Moskiewska piechota odeszła, tylko została jedna rota i dwie sotnie Dońców pod rozkazami Grafa Tamary, który miał polecenie zająć Parchomówkę i czekać dalszych rozkazów Jenerała Kreczetnikowa. Pan Wojski krzywo na to patrzał, ale już to były owe czasy kiedy Moskale pałamarowali po Polsce, jak po swoim kraju, a szlachta choć radaby się ich pozbyć, musiała znosić tę biedę, bo król zmoskalał, wojsko ulegało władzy królewskiej. Pan Branicki zaprzedany duszą i ciałem Carycy; a szlachta w grosz zamożniejsza obawiała się przystąpić do Konfederacji Barskiej; możni Panowie i stronnicy Moskwy i Króla rzucali na nią oszczerstwem, że targa się na majątki, że frymarczy klejnotem szlacheckim, że złożona z samych hołyszów i zapamiętalców.

Graf Tamara okazywał wielką uległość szlachcie, zaskarbiał łaskę wszystkich, nawet próbował przejednać dla siebie względy Komornika, ale ten ani chciał na niego spojrzeć.

— Tnę potnę, przeklęte tchórzysko, prochu się boi; jabym go kazał obwiesić jak psa bałamuta, co pod trop goni; bo to na nic niezdolne. —

Szlachta gościła w Parchomówce; jedni mieli domy poniszczone przez hajdamaków, drudzy bali się wracać do swoich wiosek, bo to łotrowstwo do koła grasowało. Państwo Głęboccy radzi gościom, u nich nie masz przysłowia: że gość dobry do trzech dni, jak ryba świeża, czwartego już cuchnie; co tylko mają w domu radziby dzielić z przyjaciołmi, ze znajomymi, a nawet z pierwszym lepszym, który powita ich imieniem gościnności. Od odwiecznych czasów taką była szlachta polska; hojną ręką Bóg obdarzył ich dostatkiem, oni z serca, szczodrze dzielą się z bliźnim tem czem mają. Pan Wojski panoszy się, że

pod jego skrzydło uciekła się szlachta okoliczna; chłopi Pana Wojskiego o buncie nie myślą, bo Pan Wojski z gromadą po ludzku się obchodzi; choć połaje a czasem każe nawet ukarać, to sprawiedliwie, żałującego wysłucha, potrzebnym zapomogi nie odmawia. Żydów z karczmy powypędzał a propinację dworską ustanowił; raz na zawsze oczkowe, szarwarki i połowę danin darował; z popami żył w dobrem zachowaniu; choć Rzymski Katolik, co niedziela do cerkwi chodził, na żonę nie nalegał aby porzucała obrządek grecki, owszem przyrzekł, że córki pójdą za matką, a nawet swoim kosztem kazał pomalować Majestaty w cerkwiach swoich wiosek; ztąd i Kozacy jego byli wierni, gotowi skoczyć w ogień na rozkaz Pana, a nawet uderzyć na samego djabła.

Trzy dni upłynęło, nic nowego nie słychać w Parchomówce; jedzą, piją, w karty grają, robią przegląd koni i psiarni Pana Wojskiego, na tok do gospodarstwa i na spacery w pole chodzą. Pan Tamara zawsze świeżo i szykownie się stroi, w grzeczności się przesadza. Panna Magdalena zaczyna się oswajać, jednak zawsze myśli o Nekrasie. Zaporożec groźny i dumny na skarogniadym koniu, taki jakim był po bitwie pod Korsuniem, ciągle stoi w dzień przed jej okiem, w nocy o nim marzy. Nie umiał wprawdzie Nekrasa barwistych słówek językiem nizać, ale kobieta kocha śmiałość, kocha męztwo; ona czuje, że jej potrzeba opieki mocnego ramienia, hartownej duszy: a kiedy znajdzie takiego człowieka to nigdy o nim nie zapomni; trefniś może podobać się, zbałamucić, ale śmiały mąż tylko może wzbudzić prawdziwą miłość. Serce Magdusi miłością bije dla Nekrasy, widziała go w całym blasku jego męztwa.

Joasia smutna, zamyślona, nie trzepie językiem, nie skacze, tylko ciągle wyrzuca siostrze, że ta słucha ładnych słówek Moskala: — Magdusiu! Magdusiu! jak mamę kocham, to nie dobrze; tak się nie godzi, słuchać jednego, a myśleć o drugim. —

Trzeciego dnia wieczorem odebrano rozmaite wiadomości. Dragonja oczyściwszy z Hajdamaków i uspokoiwszy chłopstwo w okolicach Korsunia, Bohusławia i Kaniowa, zatrzymała się z rozkazu Pana Branickiego, pod pozorem, że większe siły koronnego wojska nadejdą, aby działać razem; a tymczasem chłopstwo łotrowało i wyuzdanie puszczało się na niesłychane bezprawia. Z Kijowa ciągle wyjeżdżali wysłannicy na rozszerzanie rzezi po Ukrainie. Sołtykow wysłał znaczny korpus wojska pod Jenerałem Kochowskim do Krzemieńczuka, aby miał pilne oko na obroty Zaporożców; pułkownik Żołtuchin z dziesięcią szwadronami karabinierów i dońcami Kutajnikowa w tymże samym celu posunął się aż za rzeczkę Omielnik.

Pan Branicki napisał list do Pana Wojskiego pełen afektów

braterskich, oświadczający, że wcale nie myślał sprowadzić gwałtem Pana Komornika, ale chciał się z nim widzieć dla pomówienia i dowiedzenia się o siłach i sposobie wojowania Hajdamaków; co zaś do oddziału moskiewskiego, co się stało to się odstać nie może: «Boleję nad tą przygodą» były słowa listu Branickiego, «polegli nasi sprzymierzeńce, postaramy się to zatrzeć; ale gdyby to i doszło wiadomości Cesarzowej, ta łaskawa Pani umie przebaczać, zwłaszcza, że to była omyłka.» Dalej donosił, że rusza z całem wojskiem przeciw Hajdamakom, prosi szlachtę aby spokojnie po domach siedziała, nie męszała się w żadne sprawy bojowe i oznajmuje, że brygadę ułanów wyprawił do Stawiszcz, i posłał rozkazy do Regimentarza Stempkowskiego aby ciągnął do niego z kawalerją narodową. Kończył zaś list: «Równa plaga a może jeszcze i gorsza od rzezi jest ta Konfederacja Barska. W Bogu nadzieja i w naszej szabli, że uporamy i jedno złe i drugie, a przy pomocy Cesarzowej Rossji wrócimy porządek i szczęście naszemu krajowi, skołatanemu domowemi zamieszki.» W przypisku było, że doszły go niemylne wieści, jakoby Wernyhora, ów sławny wieszcz, był początkiem rzezi i on ją rozszerzał i do niej podniecał chłopów.»

Komornik słuchał, poburkiwał, głową potrząsał, gniew w sobie połykał; nareszcie nie mógł wytrzymać.

— Tnę potnę, przemierzły obwieś; nie dość że najwidoczniej kraj zdradza, ale jeszcze szkaluje cnotliwych ludzi! Tnę potnę, ja przysięgnę na mękę Chrystusa, na czystość Matki Dziewicy, jak pragnę szczęścia Ojczyzny i moich dzieci, że poczciwszego człowieka, lepszego Polaka, nie masz nad Wernyhorę!

— Panie Komorniku, rzekł Wojski, my znamy nie od dziś Wernyhorę; ktobykolwiek wątpił o jego cnocie, albo o jego przywiązaniu do Polski: ja pierwszy gotówbym z nim w pałasze się skrzesać. Pana Branickiego znamy także. —

Złotnicki nie śmiał brać obrony, a Tamara nie był przytomny rozmowie; jego ani wykurzyć od kobiet; trzech zaś oficerów moskiewskich i dwóch Sotników dońskich w sali jadalnej zalewało ślepie wiszniakiem na wódkę nalanym. Natura wilka ciągnie do lasu, nie mogli nawyknąć do wina: ci ani słyszeć, ani rozumieć mogli o czem mówiono.

Kazał Pan Wojski posłańca przywołać; ten z początku nie chciał powiedzieć, ale kiedy wypił kilka haustów wódki, w głowie trochę zamroczyło, i język się rozhulał; wygadał się natenczas: że tylko kilka cugów hułanów poszło do Stawiszcz i to z rozkazem, aby tam stać a dalej nie ruszać; że dwa pułki ułanów poszło na Pohrebyszcze, a całemu wojsku koronnemu Jenerał naznaczył za miejsce zejścia się Winnicę; że wszystkie wojska moskiewskie ciągną także w tę stronę. A potem dodał, niby w rodzaju zwierzenia się samemu Głębokiemu, że Brygadjer Lubowicki, pazajutrzejszej nocy ma zrobić wyprawę do Parchomówki,

niewiadomo dla czego. Wojski dał mu kilka czerwonych złotych, i przyrzekł dochować tajemnicy.

Posłaniec odszedł, Komornik się zasierdził:

— Tnę potnę, Tatarczuk nie hajdamaków, ale Konfederatów naszych braci zamierza wojować; jaki pan taki kram. Król taki i jego Jenerał taki. —

Suchodolski jako Gubernator Starostwa królewskiego, chciał bronić swojego pryncypała — Panie Komorniku! Pan za skwapliwie o zdradę obwiniasz wszystkich. Król Jegomość najlepiej sprzyja Polakom, a pan Jenerał chce Podole zasłonić od hajdamaków, tymczasem z drugiej strony, Dragonji każe ich ścigać.

— Tnę potnę, Waćpan poczciwy człowiek Panie Suchodolski, ale porzuć bronić Króla, bo to nic potem, gorszy Judasza; co zaś do sztuki wojennej, Waszeć rozprawiasz jak o żelaznym wilku, ja na tem zęby zjadłem; tnę potnę mnie nie uczyć! —

W tem oznajmiono nowego posłańca: był to Kozak Głębockiego wracający od Regimentarza Stempkowskiego z odpowiedzią. Regimentarz pisał: że razem z posłańcem przybył z Łabunia do murowanej Machnówki, i tam kazał się wojsku ściągać; że wysłał rozkaz do brygadjera Jerlicza, stojącego w Chodorkowie, aby ściągnąwszy bataljony swojej brygady kawalerji narodowej, niezwłocznie ruszał z niemi na Ukrainę; zaręczał, że gdyby nawet Jenerał Branicki przeciwił się, on przyjdzie nieść ratunek szlachcie Województw Bracławskiego i Kijowskiego; przytem upraszał, aby Pan Wojski, jako obywatel znakomity, mający znaczenie w Województwie, wyjednał u współobywateli, by gromadzili Kozaków przydwornych, i razem z wojskiem koronnem, działali dla dobra Ojczyzny.

— Tnę potnę, to mi Polak! po liście widać, że kocha Ojczyznę, nie szalbierzy, jaśnie i po prostu się tłumaczy. —

Drugi kozak przybyły z Żorokowa dóbr poleskich Pana Wojskiego doniósł: że do Pawołoczy przyszli Kwatermistrze batalionu Majora Kordysza. Natenczas Wojski rozdobruchał się: «hej wina, i to tego tam z czarną pieczątką! —

Duchem przyniesiono na srebrnych tacach butelki omszone w kwadraty od starości. Nalał Wojski kielich — w twoje ręce Mości Komorniku! Wiwat! niech żyje Pan Regimentarz Stempkowski! —

Szlachta piła wiwaty po wiwatach, i tak się rozochociła, że Podstoli, zdjąwszy trzewik Pani Wojskiej, nalał go winem, i przemówił: — Na zielonym dębie, siedzą gołębie, skubią mech; kto nie kocha Panią Wojskę, bodaj zdech! — wychylił duszkiem, i wszyscy pili, i tak hulali, że aż późno po wieczerzy porozchodzili się spać.

Pan Wojski odprowadziwszy gości aż do ich pokojów, przyszedł do sypialnej komnaty, ukląkł przed krucifixem, zmówił pacierz, i żegnał wszystkie ściany i łóżko. Jegomość zrzuciła stroje,

ucałowała śpiące dzieci, w białym pudermanie przybrana, klęknęła przed obrazem swojej patronki, i gorąco się modliła; w drugim pokoju stała garderobiana Imości, i pokojowy kozak Jegomości, gotowi na zawołanie. Już Wojski zabierał się krzyknąć na nich, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł nagle Biłowus. Pani Wojska się zerwała, z początku się zlękła, zwyczajnie kobieta, ale natychmiast przybrała spokojną i odważną twarz; choć w owych czasach i najlepszy Pan nie mógł ślepo ufać chłopstwu, ale ona pomna była na to, że w niej płynie krew Atamańska, a Kozak nie śmiałby się targnąć na wnukę dzielnego męża swego rodu. Biłowus coś z cicha mówił Panu, Głębocki kiwnął głową.

— Zaraz idę — obrócił się do żony — bądź spokojna kochanko — pocałował ją w czoło. Wojska nic się nie zmięszała: — Ja spokojna Michale, ale nie baw się długo. —

Wziął czapkę, laskę i wyszedł z Biłowusem; przeszli pokoje, na dziedziniec wyszli, i za bramę.

Noc piękna, świeże powietrze, szum wina z głowy wywietrzał; sporo kroczyli przez ulice, do dworku Biłowusa. Przed dworem, w bramie, na ulicy, Kozacy na warcie chodzili, ale Biłowus świsnął, i ci dalej przedłużali wartę, nie dając baczenia na idących.

W obszernej izbie paliła się łojowa świeca, na ścianach wisiało kilka obrazów świętych i rynsztunki kozacze; na tapczanie jakiś chłop spał twardo, koło stołu siedział starzec w zaporozkim stroju: oparł się na łokciu, i wzrok po podłodze wodził, jakby kabałę ciągnął licząc liczbę desek. Kiedy wszedł Wojski z Biłowusem, on powstał z miejsca: na Głębockiego twarzy wzruszenie, oko łzą zaszło, oburącz rzucił się w objęcia starca.

— Bracie Ojcze, dawnoż to jak my się z sobą nie widzieli! cóż mi nowego przynosisz, dobre czy złe, mów bracie! —

Starzec go uścisnął. — Tyś się widzę nie zmienił Panie Michale, niecierpliwy, gorączka; a żona i dzieci w domu? Czas by było się podzięb.ć, ale to na bok; ja chciałbym widzieć Komornika i Panię Chiczewskę. Każ ich obudzić, a my z sobą tymczasem pogadamy. —

Wojski rzucił wzrok na Biłowusa — Mospanku, idź do Imości i powiedz, niechaj poprosi do siebie Panią Gubernatorowę z Łysianki: kazać tam także poprosić Pana Komornika, my tam zaraz przyjdziemy, tylko Wasze przykaż ludziom na wartach, ażeby żadnego krzyku nie robili, i dobrze pilnowali Moskałów, a jeżliby który przez ciekawość chciał podleźć, to zakłuć i w staw wrzucić. —

Biłowus wyszedł. Głębocki spojrzał na śpiącego chłopa: — A toż co za djabeł śpi? —

I chciał go zbudzić.

— Nie ruszaj go, to mój towarzysz, śpi jak zabity. —

Wojski przeszedł się po pokoju.

— Sześć lat jakeśmy się z sobą nie widzieli, a bywałeś w tych stronach; tak się nie godzi bracie, ja ciebie nieraz szukałem po Ukrainie.

— Panie Michale, kiedyś się włóczył zdala od rodzicielskiego domu, i byłeś w kłopotach, ja ci chętnie pomagałem, bo moje serce ciebie kochało; a wolę to piwo co się za młodu wyszumi, niż to co na starość chce brykać. Oddaliłeś się z Ukrainy, rzadziej i krócej się widywaliśmy; po ojcu, po żonie wziąłeś ogromny majątek; ja sobie rzekłem: to na moje nogi za wysokie progi, i teraz interes mnie do ciebie sprowadza.

— Panie Bracie, tak się nie godzi, ja dla ciebie chcę być zawsze Michałem. Mój dworek i moje serce, zawsze dla ciebie otwarte. Oj nie zapomnę ja tego, coś ty dla mnie zrobił, kiedy ta biedna Pietrusia cierpiała. —

I jak bóbr płakał. Starzec się rozrzewnił.

— Dwadzieścia pięć lat ubiegło, a ty jeszcze beczysz jak dziecko. Michale, nie masz nic do wyrzucenia swemu sumieniowi, nie uwiodłeś uczciwej dziewczyny; jak przystoi na szlachetnego człowieka, ślub z nią wziąłeś w kościele, w oczach Boga, przy świadkach; wolałeś z ojcem się pogniewać, jak uchybić danemu słowu. Nie twoja wina, że ją śmierć zabrała z tego świata, w kwiecie wieku, w kwiecie szczęścia: masz żonę, powinieneś zapomnieć młodzieńczej miłości.

— Ja żonę moją kocham, ale Pietrusi nie zapomnę, nie zrzucę z palca ślubnego pierścienia: od dwudziestu pięciu lat wrył się w ciało; nie zdejmuję z piersi obrazu matki Najświętszej, bo ona taki jeden, a ja drugi miałem. Gdybym był przynajmniej przed śmiercią mógł uściskać żonę, albo moje dziecko, i tego mi Bóg zabronił. Nie zapomnę tej chwili, kiedym przyjechał do Krasnego-Kąta. Stary Pan Jeremjasz wyszedł z zimną jak lód twarzą, powiedział: «miałem córkę jedynaczkę — umarła — miałeś dziecko — umarło — podziękuj dumie swego ojca, a teraz jedź sobie z Panem Bogiem; a kiedym prosił o jaką pamiątkę po żonie, po dziecku, groźnie odpowiedział: ani jednego łachmana z domu nie wyniesiesz do twojego ojca; mój ród kozaczy nie będzie się napraszał, aby miał nawet pośmiertną pamiątką wchodzić do szlacheckiego rodu.» Odwrócił się, i już nie chciał mnie więcej widzieć. Pewny jestem, że przy śmierci nawet mi nie przebaczył! Cóż ja temu winien, że mój ojciec więcej dumę szlachecką, jak szczęście syna ceni? — Dziecko moje umarło bez chrztu, tak mi Paroch mówił; ani śladu o niem na smętarzu, ani śladu w księgach kościelnych. Na mojem sumieniu ciąży zatracenie jego duszy.

— Michale, tyś temu nie winien, że twego dzieka nie ochrzczono. Bóg przyjmie go na swoje łono, zmaże grzech pierworodny; a Ojciec Jeremjasz wszystko ci przebaczył. Pięć lat jak umarł w Putywlu; ja byłem przy jego skonie; ostatnie jego słowa były:

«powiedz Michałowi Głębockiemu, niechaj przebaczy niesłuszny gniew, ja go kocham jak syna» — bądź tedy spokojnym. —

Głębocki rzucił mu się na szyję.

— Bracie! ty pokój w moje serce wlewasz! on mi przebaczył! — ona mię nie winiła nigdy — żeby Bóg mi dał córkę, zaraz ją nazwę Pietrusią, i jakże będę kochał to dziecko!

— No, teraz Panie Michale, przystąpmy do spraw ojczystych; musisz mi dać swoich Kozaków.

— Wszystko co zechcesz, siebie samego, ja ci nic nie odmówię; rozkazuj.

— Chodźmy do domu, Panie Michale, mój towarzysz niechaj śpi; przy odjezdnem ci go przedstawię.

W pokoju Pani Wojskiej już była Pani Chiczewska i Komornik. Zaledwie wszedł Wojski, przedstawił go swojej żonie:

— Żono, to mój najlepszy przyjaciel. —

Pani Chiczewska krzyknęła radośnie:

— Panie Wernyhoro, zkąd Pan tu przyjechałeś? —

A Komornik ściskał go.

— Tnę potnę, Mosanie Kolego, a przecież ciebie widzimy! —

Tu zaczęły się wypytywania: Pani Chiczewskiej o męża, Komornika o Nekrasę. Wernyhora ledwie radę sobie dał.

— Chiczewski od dawna musi być w Humaniu, a Nekrasa wczoraj tu powinien był przyjechać, a kiedy go nie masz, musi coś być złego; ale mam nadzieję, że się wywinie, bo to tęgi Kozak. Gdzie go powróć zewsząd wybrnie, jeźli nie rozplącze to przetnie szablą. —

Głęboki rzucił w rozmowę swoje słowo.

— Powiedzcie mi kto jest ten Nekrasa? tyle mi o nim już rzeczy nagadano, że z duszy radbym go poznał.

— Może go kiedy poznasz, tęga dusza, dzielne ramię.

— Tnę potnę, nie powstydziłby najdawniejszego herbu taki chłopiec; na Boga zaklinam się, że w Polsce Batorego dochrapałby się Hetmaństwa. —

Pani Chiczewska wzięła na stronę Wernyhorę i coś mu powiedziała, a widać, że nie rada, i on skrzywił nosem.

— To trzeba jechać, tam będzie bezpieczniej przy ojcu. —

Państwo Wojscy, posłyszawszy koniec rozmowy, oboje prosili Pani Gubernatorowej aby nie jechała; wymawiała się ona, ale Wernyhora krótko przerwał te zwady.

— Panie Michale, trzeba żeby Pani Chiczewska jechała do męża. —

Komornik i Wojski opowiedzieli o poruszeniach wojska i o innych okolicznościach. Wernyhora słuchał.

— Dasz mi trzysta Kozaków Panie Michale; ja ich sam po-

prowadzę z Panem Komornikem. Przypomnimy sobie dawne huzarskie czasy. —

Pan Wojski chciał także jechać, żona niespokojnie na niego patrzała, ale nic nie rzekła. Kto inny ją wyręczył.

— Panie Wojski, tnę potnę, trzeba zostać w domu, dla nas chleb przygotować, nasze żony i chudobki możną opieką zasłonić; nie każdy to szablą powinien machać. —

Głębocki nie chciał się nakłonić, Wernyhora ścisnął mu rękę:

— Trzeba żebyś został Panie Michale w domu, tego Ojczyzna wymaga; zobaczymy się wkrótce, a wtenczas może i tobie wypadnie wsiąść na koń, a co teraz, każ-no tam jaką przekąskę zanieść mojemu towarzyszowi, i my doń pójdziemy, a ty Pani Kumo, o świcie bądź gotową, bo jak najraniej wyruszymy. —

Głębocki się uspokoił, kazał pokojowemu Kozakowi zanieść szynek, ozorów, rozmaitych wędzonek i co najprzedniejszego wina, a kiedy przyszedł zawołany Biłowus:

— Mospanku! przed świtem bądź gotowym ze trzystu Kozakami; pójdziecie pod rozkazy brata Wernyhory i Pana Komornika. Pszenyczny z resztą przy mnie zostanie, ale pamiętaj Wasze nie powstydzić mego imienia.

— Bądź spokojny Ojcze, nie zawstydzimy ani Ojca Wernyhory, ani Pana Komornika: a gdybyśmy byli pod rozkazami Nekrasy, o którym tyle cudów szlachta Korsuńska prawi, jeszcze Kozacy Głębockiego nie daliby się mu wyprzedzić koniem w boju.

— Dobrze Mospanku, wybierz sobie parę koni z mojej stajni jakich zechcesz, a jak powrócisz z wyprawy, Pan Stefan ci wyliczy pięćdziesiąt czerwonych złotych i trzydzieści korcy zboża dla żony. —

Biłowus skłonił się.

— Dziękuję ci Ojcze. —

I odszedł.

Wkrótce Wernyhora i Komornik pożegnali Panią Wojskę i z Panem Wojskim udali się do dworku Biłowusa. Tam Wernyhora zapoznał z nimi Hrabiego Viomenila. Podjedli, podpili, nagadali się, trochę się przespali, a równo ze świtem ruszyli w pochód drogą do Humania.

Joasia śmiała się i pustowała. Magdusia choć niby rada z wyjazdu, ale często się zamyślała, i tą razą przyznawała się, że jest niespokojna o Nekrasę. Wernyhora pocieszał pogodną twarzą, ale w duszy często tęsknił za wychowańcem, za ukochanem dzieckiem.

Już dobrze w dzień obudził się Tamara, i ledwie nie płakał ze złości, dowiedziawszy się o wyjeździe Pani Chiczewskiej; chciał w pogoń z swoim oddziałem za nią się puścić, ale kiedy Głębocki

oświadczył wyraźnie, że nim wyjdzie na drogę, każe nań uderzyć swoim Kozakom, odpadła junakierja, i chociaż Pan Graf miał ważne zlecenia wypełniać w Parchomówce, nie z pyszna się zabrał z Moskalami i Dońcami, i wyruszył do Białej-Cerkwi. Pan Skarbnik wolniej odetchnął, pozbywszy się przytomności Komornika. Pani Wojska rada, bo widzi męża spokojniejszym; częściej z nią się pieści, a wszystko ją prosi żeby mu córkę powiła, i powiada, że ją nazwie Pietrusia; takie wotum zrobił dla uproszenia łaski świętego Piotra, aby swoją opieką wspierał Polskę.

Z odjazdem Moskali, wszystko wróciło w Parchomówce do dawnego porządku; jedzą, piją, gawędzą to o wyprawie na hajdamaków, to o Konfederacji, to o sprawach ojczystych. Czasem się kłopocą, często się też smucą, a najczęściej jak mogą tak się bawią, zwyczajnie jak na tym świecie.

VII.

> Zbójce w purpurach na tronach osiedli
> Zgraja służalców najemnych, gotowa
> Wszystkie ich chęci zbrodnicze wypełniać:
> Jak rozpuszczone z klatek dzikie zwierza,
> W niewinną ludzkość zatapiała szpony.
>
> Anioł mściciel — Sen, poema
> Michała Budzyńskiego.

Wieść o Koliszczyźnie, jak szalona, lata po wszystkich kątach ziem ruskich; zblizka straszna, a im dalej tym coraz groźniejszą postać przybiera; rośnie w ustach, rośnie w myślach. Szlachta nie upadła na duchu; bliższa po zamkach i miastach się gromadzi i tam zbrojnie na wroga czeka; dalsza albo sama na koń siada, albo przydworne poczty, w pomoc zagrożonym braciom wysyła. Od niepamiętnych czasów szlachcic polski nie umiał, nie silił się odwracać od siebie niebezpieczeństwa; ale kiedy ono przyszło nie strachał się, lecz prosto i śmiało w oczy mu skoczył. Ustawały sąsiedzkie spory, zastarzałe urazy rodzin, a nawet publiczne zwady, a jeden drugiemu bieżał w pomoc jak przystało na braci, na synów jednej ziemi. Wojewoda Kijowski, Pan przemożny całą gębą, nieprzekabacony na stronę Moskiewską, niechętny Królowi, nie był też w zmowie na gardła szlachty ruskiej. Zaledwie się dowiedział o rzezi, natychmiast z Tulczyna wysłał przydworny pułk Kozaków do Humania, z rozkazem aby ścigał, łapał i mordował Hajdamaków. Kozacy Potockich znani w Polsce z dzielnego męztwa, z wierności ku panom, a ich Pułkownik Gonta praworny człowiek, doświadczony żołnierz, służył na Zaporożu. Pięć lat jak pułkiem dowodzi, najczęściej przy boku pańskim, jednak Pańskie oko ni razu nie zachmurzyło się na niego; posiadał bezgraniczne zaufanie Wojewody, i ślepe posłuszeństwo u podwładnych Kozaków.

Podówczas w Humaniu, mieście Wojewody, gubernatorował Pan Młodanowicz; szlachta z okolic tam się zgromadziła, nawieziono podostatkiem żywności dla ludzi i koni, ponaprawiano stare wały, bramy armatami obsadzono, urządzono służbę obozową. W zamku i w klasztorze Księży Bazyljanów dzień i noc pod

bronią były dwa silne oddziały, straże bezprzestannie czuwają i na zwiady często wysyłają do postronnych wiosek, i tak obwarowawszy się postanowili czekać albo boju, albo zgody.

Po wioskach chłopstwo ponure, jak powietrze przed burzą, głośno po cerkwiach się włóczy, szląc modły na chwałę Bogu; z cicha po domach noże poostrza i zbrodniczą myślą czci djabła, a ciągle wygląda ku wschodowi, czy nie idą obrońce świętej wiary, dawce wolności. Pan Gubernator odebrał zawiadomienie i rozkaz od Pana Wojewody, żeby oddał straż Humania pułkownikowi Goncie, ale szlachta oparła się temu mówiąc: niechaj za miastem stoi, nie wpuszczajmy żadnego chłopa do miasta. Musiał przyzwolić na to Mładanowicz, bo ciężko aby jeden spełnił to, czego tysiąc nie chce; można pomyśleć, powiedzieć nawet: ja tak chcę, ale co zrobić, to nie, rozsądek każe przystać aby nie stracić do reszty powagi. Kiedy Mładanowicz mówił: że zna przychylność Gonty ku szlachcie, że jego kum, trzymał mu syna jedynaka do chrztu, ma dwóch synów w Humaniu; na to mu odpowiadano: — temci lepiej, mamy zakład jego wierności, niechaj uspokoi hajdamactwo a szlachta mu zawdzięczy.

Nie jest to nałogiem szlachty polskiej być ostrożną, ale tą razą djable się poparzyli ich bracia nad-dnieprzańscy w gorącej wodzie; oni postanowili na zimną dmuchać. Ta nieufność nie podoba się Goncie, ale Pan Wojewoda kazał szlachtę bronić, stanął więc w Sokołówce i zaczął wysyłać zwiady w rozmaite strony aby powziąść języka o hajdamakach.

Tysiąc Kozaków obozem rozłożyło się w Sokołówce, po podwórzach, po ulicach; po pod płotami stoją posiodłane konie, chrupoczą owies i gryzą świeżo skoszoną trawę; spisy w ziemię powtykane mizdrzą się ostrzami do słońca. W karczmie, w chałupach, pod szopami pełno Kozactwa; wszyscy przybrani w jedną barwę, czarne szarawary, sine kurtki, żółte pasy i na baranich czapkach jak kukuruza gotowana żółte kołpaki. Jedzą, piją, śpią i przechadzają się po wiosce; chłopi młócą owies, koszą trawę dla koni, niewiasty jeść warzą dla postojańców, dziewczęta w bliźniakach roznoszą strawę między warty i straże. Oddziały konne bezustannym ruchem jedne do wioski przyjeżdżają, drugie odjeżdżają z wioski. We dworze kwaterą stanął pan pułkownik; przed wrotami stoi Kozak na warcie, i przed dworem przechadza się Kozak z dobytą szablą, a pochwą po twardej ziemi pobrzękuje.

W wielkiej izbie, Gonta sam jeden sporym krokiem przechadza się od drzwi do okiem, czasem zatrzyma się i coś myśli, naciąga złotawy wąs, napuszcza powiekę na niebieskie oko: zmarszczy wysokie czoło i znów chodzi. Wzrost jego rosły, w plecach nie szeroki, a na twarzy wyraz sarmackiego męża; w duszy co się dzieje, niewiadamo, musi być w niej wielki niepokój, bo ciało w bezustannym ruchu nie chce ani na chwilę przysiąść; ręka targa

rękawy sinego kontusza, trze atłas żółtego żupana, poprawia pas lity i podciąga bez potrzeby czarne szarawary; nogą stuka o podłogę, podzwania podkówkami. Widać, że się zmęczył czy chodzeniem czy myślą, bo stanął, uderzył się ręką w czoło i sam do siebie mówił.

— Bóg wie co tu robić! od króla starostwa i szlachectwo obiecują byle dać łupnia szlachcie ruskiej, Kreczetnikow w imieniu Cesarzowej ofiaruje Atamaństwo Ukrainy za tęż samą posługę, a Pan Wojewoda każe bronić szlachty. — W ręku moim buńczuk, bogactwa, tytuły, ale ze szlachtą tyle lat się służyło? — Pan Wojewoda jak z synem ze mną się obchodził, na niczem mi nie brakło. —

Zamyślił się znowu, i znowu gadał — stanę na czele hajdamaków — przepadnie szlachta, ale w co się obróci wdzięczność, przyjaźń, zażyłość? Stanę ze strony szlachty, hajdamaków pobiję, ale przepadnie szlachectwo, starostwa, atamaństwo — djabla sprawa. — I chodził po izbie.

W tem przed wrotami zaczęli sią gromadzić Kozacy i piesi i konni, a między nimi jakiś obcy, w karmazynowem ciemno siniej barwy żupanie. Wszedł jeden z Sotników do izby, zdjął czapkę:

— Ojcze, jakiś Kozak z daleka przyjechał, i chce się z wami widzieć natychmiast; powiada, że ma pilne rzeczy do pomówienia.

— Niech przyjdzie! — Stanął w oknie, widzi jak przez dziedziniec kroczy raźny młodzieniec, zwinny ruchem, hardy twarzą; kontusz wpija się w kłęby, lsknią się białe rękawy żupana, a karmazynowy kołpak pływa nad baranią czapką; przypatruje się Gonta. — Znam go gdzieś. To on! wąsem porósł, ale zawsze dumny jak gdyby był Panem świata. —

Drzwi się otwarły i wszedł do izby przybyły Kozak. — Bracie Gonto, czy mnie nie poznajesz, prawda że dawne czasy jakeśmy się widzieli. —

Gonta ściskał go — dawne czasy, ale i w pieklebym poznał Nekrasę; cóż tu u nas porabiasz? czy Lachów przyjechałeś bronić, czy odszukiwać jakiej dziewczyny po Ukrainie?

— I jedno i drugie, ale słuchajno Gonto, spodziewam się, że ty z Lachami trzymasz?

— To to niby tak; oni mi nie wierzą, a ja ich z pułkiem od hajdamaków zasłaniam.

— Porzuć bracie te niby, a pomówmy z sobą otwarcie: jesteś za Polską czy przeciw niej? —

— Jakże ty chcesz żebym z tobą mówił? Polska mnie nic złego nie zrobiła, zacóż bym miał być przeciwko niej? Ja tobie lepiej wierzę, bo bez pytania wiem, że z Lachami trzymasz.

— No, ja się nie zmieniam jak sierć zajęcza na zimę: ale ty Gonto to i sam djabeł z ciebie prawdy nie wyciągnie.

— Porzućmy przegryzki, a przystąpmy do rzeczy; czego ty chcesz odemnie, mów otwarcie, ja ci otwarcie odpowiem.

— Ja chcę abyś ogłosił się jawnie, szczerze za Lachami, uspokoił chłopstwo, a bił Moskali; za to imieniem szlachty, przyrzekam ci otrzymać co zechcesz.

— Słuchajno Nekraso, ja ci otwarcie powiadam, że losy szlachty w mojem ręku; mam tysiąc Kozaków, co na kraj świata za mną pójdą, za tydzień mogę chłopstwo uspokoić i napędzić licha Moskalom; ale obietnice szlachty mię nie zwabią, wiesz przysłowie: obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Z resztą szlachta ostatkami goni; wkrótce w kułak przyjdzie jej trąbić; nie powiem żebym ja nie chciał nic dla siebie, ty możesz zrobić wszystko! ale przyrzecz, że albo zrobisz, albo dotrzymasz tajemnicy, ja wierzę twemu słowu.

— Masz moje słowo — i podał mu rękę Nekrasa.

— Ja za Lachami stanę, tylko przyrzeknij mi, że na wyborach styczniowych ze swoimi będziesz za mną, bo ja wracam między was na Zaporoże. —

Przyrzekam, nawet Kosowym Panem ciebie obierzemy, byleś za Lacką sprawę wojował.

— No, to skończyło się; masz moje słowo — uściskali się — zaraz wydam rozkazy, teraz może przekąsisz, napijemy się.

— Nie bracie Gonto, ja spocząćbym chciał, bo oddawna jak noce bezsenne trawię.

— No, kiedy tak, chodź tu do alkierza, rzuć się na moją pościel kozacką, a niedługo śpij, bo przed wieczorem pójdziemy w pochód, ty poprowadzisz połowę mojego pułku; prędko uporamy chłopstwo, a i z Moskalami damy sobie radę. —

Zaprowadził Nekrasę do alkierza, a ten zostawiwszy w izbie szablę i atagan, jak długi rzucił się na słomę, przykrył się burką, i zaraz zasnął.

Gonta wydał rozkaz aby wszystko było gotowe w pochód, i sam przeglądał czy broń i konie w dobrym porządku. Już zabierano się do kiełznania koni, kiedy zajechał do dworu wózek parokonny; konie dyszały rozpierając boki, poganiacz jak murzyn poczerniał od kurzu, a z wózka wyskoczył Pop w kitajowym chałacie, i prosto szedł do izby. Gonta opatrywał szablę, ujrzawszy Popa, mimowolnie zadrżał, nie tracąc jednak miny, przywitał:

— Jak się macie Ojcze Bazyli, cóż was tu przyprowadziło? żałuję, że muszę ztąd wychodzić.

— Synu, nie kwap się tak; ja przychodzę wzywać twego ramienia w imię cerkwi, w imię ludu ukraińskiego; przywożę ci dar Cesarzowej Rosji, naszej opiekunki — i tu mu dał pargamin. Gonta rozwinął i czytał. Błahoczynny dalej mówił: — ona nie jak Lachy, po służbie obiecuje płacić, najprzód obdziela swoje łaski, bo wierzy ludziom, których wzywa do swego boku. —

Gonta nic nie słucha, ale patrzy na papier; złożył, w oczach

widać ciężką walkę, radość pobłysła chwilę, potem czarny smutek zasunie po źrenicy. Choć Bazyli przed nim stoi, on mówił do siebie, jakby sam był w izbie — Atamaństwo całej Ukrainy, Baturyn z przyległościami na wieczne czasy dla mnie i mojej rodziny. Grafem mam zostać, i order Alexandra Newskiego!!

Pop wydobył z kieszeni pudełko i zabłysnął złotym krzyżem na czerwonej wstędze. — Synu! tem ciebie Cesarzowa darzy, bo od dziś dnia, ty jesteś jej pierwszym urzędnikiem, wodzem walecznego ludu, rządcą obszernego kraju. —

Gonta jak dziecko pobawił się krzyżem, a potem westchnąwszy, oddał go Błahoczynnemu z papierem. — Nie mogę, dałem słowo, Lachów nie odstąpię.

— Synu! i tyż przeciwko Cerkwi, przeciwko braciom powstajesz? dałeś słowo, komu? Panu Wojewodzie? Pan Wojewoda twego słowa nie potrzebuje, on Pan, dziedzic twój, tyś chłop, jego poddany; on każe, a ty słuchać musisz! —

Zaczerwienił się Gonta.

— Ja poddany? Nie. Pan Wojewoda mnie zrobił Pułkownikiem, dziś zechcę, a będę szlachcicem. —

Bazyli ciągle ze spuszczonemi oczyma w ziemię, w ręku trzymał order i pargamin; odsłaniał i zakrywał jakby się drażnił z okiem Pułkownika.

— Pan Wojewoda ciebie zrobił Pułkownikiem, a jutro każe obedrzeć szlify, obić skórę, i na pastucha do świń obrócić, albo i obwiesić. Tak synu, póki, nie wytępiemy obmierzłego plemienia szlachty Lackiej, póty lud Ukrainy w gorszej niewoli jęczeć będzie, niźli Izrael u Faraonów. Synu! po raz ostatni do ciebie przemawiam, przyjm wysoką godność, którą ci Cesarzowa ofiaruje; albo nie, to zniszczę jej łaskę. —

Gonta myśli, kłopocze się czas niejaki.

— Ojcze Błahoczynny nie mogę, dałem słowo; po skończonej wyprawie, udam się na Zaporoże, i tam będę służyć świętej wierze jak zechcecie.

— Na Zaporożu?—po cóż tam pojedziesz? — zmienić Pana na Pana, pozbyć się Wojewody, a dostać się pod Atamaństwo Nekrasy, tego młokosa, wcielonego Lacha? Wszystko tam już ukartowane. Nekrasa zasługuje się Lachom, z swoim Kureniem pobił naszych pod Korsuniem, Wernyhona zmylił drogę tego głupca Żeleźniaka na Smiłę, aby dać czas Lachom ubiedz naszych; sam zaś pojechał starać się u szlachty o Atamaństwo Ukrainy dla swojego wychowańca; ponaprawiałem ja to wszystko, pozgromadzałem naszych: dwa tysiące zostawiłem w Ropotusze; już teraz musieli minąć Psiarówkę, dochodzą do Gromów. Każ dać konia memu chłopcu, zaraz tu przyjdzie Watażka, wszystko to pójdzie pod twoje rozkazy, z imienia i czynu staniesz się Atamanem. —

Gonta wyszedł, wydał rozkazy Sotnikowi służby, aby dać konia chłopcu i przepuścić tych, którzy z nim przyjadą, byle nie

więcej nad dziesięciu. Pop po cichu rozmawiał z chłopcem, a potem obadwa wrócili do izby. Gonta był markotny.

— Ojcze, ale ja temu nie wierzę aby Nekrasa zdradzał. —

— Któż ci mówi o zdradzie? Myśleć o Atamaństwie, nie jest to zdradzać; nie od dziś to mu się roi w głowie. Wernyhora ciągle go tem kołysał, a Kierym Giraj swojemi pochwałami, swoją przyjaźnią do reszty zawrócił głowę zapaleńcowi. Porzućmy na bok moją przychylność ku tobie, dla dobra kozaczyzny cóż po Atamanie, który na wzór Konaszewicza Sahajdacznego chce wojować, aby tylko łby ucinać; grasować po cudzych krajach, aby łupów do domu naciągać; być wiernym Polsce jak Bogu, a w końcu przelaszyć Kozaków. Nam trzeba Chmielnickiego; dziś ludzie dalej myślą sięgają, i nam też tak trzeba robić. Ty jeden możesz godnie zastąpić miejsce świętej pamięci wielkiego Bohdana. —

Gonta słuchał, ale z roztargnieniem.

— Ojcze, Nekrasa obiecał mi Atamaństwo Koszowe, czyżby też i on nauczył się zdradzać?

— I on człowiek, ale gdzieżeś ty go widział? — zapytał ciekawie.

— Tu, w tem miejscu.

— Kiedy?

— Dziś. —

To on jest w Humaniu?

— Nie Ojcze, tutaj jest, w tym domu. —

Bazyli pobladł — on wszystko słyszał.

— Nie, on śpi jak zabity. —

Spokojność znowu wstąpiła na twarz Bazylego; wyjął na nowo pargamin i order:

— Synu, w imię wiary ci rozkazuję! w imię Kozaczyzny ciebie błagam, przyjm dowództwo na ludem Bożym. Kto wie czy jednego dnia nie zbudujesz tronu, nie zmienisz buńczuku na berło, wszak to ludzka rzecz, a teraz chwila po temu; prawdziwy twój współzawodnik, wróg ukryty, w twojej mocy. Bóg szczodrą ręką daje ci wielkość, potęgę, sławę; nie sprzeciwiaj się jego woli, a bądź jej posłusznym. —

Gonta przeszedł się parę razy po izbie, machnął ręką — niech tak będzie — z twarzy uciekło objawienie się wewnętrznej walki, a w oku błysnęło ponure postanowienie. — Ojcze, dla dobra ludu Ukrainy, przyjmuję łaskę Cesarzowej — i znowu się przeszedł — ale cóż teraz zrobimy z Nekrasą? —

Bazyli pokazał nóż.

— To najlepszy sposób pozbycia się wroga. Synu, Bóg użył słabego ramienia niewiasty Judyty, do ucięcia głowy Holofernesowi, Bóg dziś używa naszych ramion do wytępienia nieprzyjacioł przeczystej wiary i wolności. —

Pop mówił, Gonta się przechodził, kiedy przyjechali nowi

ludzie na podwórzec; był to Żeleźniak, a z nim kilku Zaporożców. Wszedł do izby dziki Watażka.

— Jak się macie ojcze Błahoczynny? — pocałował go w rękę.

Bazyli przeżegnał krzyżem świętym, odwrócił się ku Goncie:

— Synu, wy się nie znacie z Żeleźniakiem; syn to prawdziwy przeczystej Cerkwi; dobrze on jej służy, wart twego zaufania. Watażko, oto nasz Ataman, mianowany przez Cesarzowę Rosji, jemu winniśmy posłuszeństwo. —

Żelaźniaka głos był krótki i ponury.

— Będziem słuchać Ojca Atamana, niech tylko rżnie Lachów i Żydów.

— Bracie Żeleźniaku, my znaliśmy się kiedyś, ale to już dawne czasy; na nowo się teraz poznamy: będziesz mi pomocą, prawą ręką.

— Pamiętam żeśmy się widzieli Ojcze Atamanie; podobnoście byli Sotnikiem w Serykowskim Kureniu, razem z tym bisem Nekrasą; ja wam będę pomocą w boju, nie w radzie; bić umiem, radzić nie. —

Błahoczynny na słówko niechęci Żeleźniaka ku Nekrasie, uśmiechnął się radośnie. — Watażko, ty nas wywiedziesz z kłopotu; mamy wroga w naszej mocy, a nie wiemy co z nim robić.

— Lacha, to zamordować — żyda, to go zasmalić.

— Panie Atamanie, czy przyzwalasz na to? — odezwał się Błahoczynny. —

Gonta chodził po izbie, pobladł na chudej twarzy, załamywał dłonie, targał wąs.

— Niech się dzieje wola Boża, róbcie co chcecie — pokazał ręką na boczne drzwi w drugiej izbie — on tam leży, broń jego i moja stoją w kącie, w alkierzu nie masz ani okna, ani żadnego wyjścia na drugą stronę. —

Bazyli nie mógł spokojną twarzą ukryć radości, podskoczył w górę. — Czekajcie, ja pójdę, zobacze — jak lis skradający się do kurnika z cicha i na palcach poszedł do alkierza. Gonta z założonemi rękoma głęboko się zamyślał, Żeleźniak ujął w dłoń rękojeść atagana i był gotów. Wrócił Błahoczynny, niosąc oburącz oberemek broni, uśmiechał się.

— Śpi, ani się ruszył. Watażko, teraz twoje dzieło. W imię Cerkwi, odpuszczam ci wszystkie grzechy które popełniłeś i popełnisz. —

Żeleźniak wydobył żelazo: — Ja uderzę, ale powiedzcie Ojcze na kogo? —

— Na Nekrasę, naszego wroga. —

Ręka Żeleźniaka opadła, dziko spojrzał:

— Nie — nigdy. —

Bazyli chciał mu wyrwać jatagan: — Jeźli na rozkaz Cerkwi, na rozkaz Atamana, nie chcesz być posłusznym, to ja sługa Boży

spełnię co przynależy do człowieka wojny; ręka mi nie zadrży, bo mordować będę zakamieniałego stronnika Lachów. —

Żeleźniak wydobył żelazo i stanął we drzwiach: — Ja przysiągłem mordować Lachów i Żydów, ale nie kalać się krwią bezbronnego brata; ani ty Ojcze, ani nikt, nie targnie się na życie Nekrasy. — Świsnął, Zaporożcy wpadli do izby. — Hej Panowie Mołodce tu do mnie; stanąć przy tych drzwiach — i wskazał ręką na drzwi alkierza — podeprzeć, tam jest jeniec! śmierć wam jeźli mu włos z głowy spadnie. Gdyby i sam Patrjarcha Sofijski przyszedł — krzyżem się przeżegnał — to nie dać do niego wejść.

— Dobrze Ojcze Atamanie — odpowiedzieli Zaporożce — nie wpuścimy, ani wypuścimy, bądź spokojny.

Błahoczynny zagryzł wargi ze złości; Gonta rad z tego, bo nic nie mówił, a twarz trochę mu się wypogodziła. Zaporożce stanęli przy drzwiach, a Żeleźniak dziko poglądał na Bazylego.

— Ojcze Błahoczynny, ja gotów rżnąć Żydów i Lachów, ale nie podniosę ręki, ani dam podnieść drugiemu na człowieka, z którym razem chleb i sól jadłem. Atamanie Gonto, albo mnie każ rozsiekać, albo mi przyrzeknij, że Nekrasa przy życiu zostanie; inaczej ztąd nie ruszę. —

Błahoczynny znając upór Żeleźniaka, a przy tem bojąc się aby Gonta nie zachwiał się w swojem przyrzeczeniu, wypogodził czoło, oczami pokorę przybrał, a nawet po twarzy rozlał uśmiech zgody.

— Synu, zwadzać się nie macie o co; przez zbytnią gorliwość o świętą wiarę, o waszą wolność, nastawałem na życie Nekrasy, moja wina, i ciężka wina; to nasz brat opętany djabłem, trzeba go nawrócić, nie zatracić w grzechu. Zbawienny pomysł Żeleźniaka, aby pozostał jeńcem; potem wypuścimy go na wolność, jeźli zechce z nami trzymać; oddamy pod sąd Kureni, jeźli uprze się być przeciw nam.

— Ojcze Błahoczynny, Ojcze Atamanie, nie trwońmy czasu, a chodźmy na Humań. —

W tem na dziedzińcu wszczął się zgiełk: wprowadzono bryczkę ciągniętą czterema końmi, na niej siedział Oficer polski w ułańskim stroju, rzucał się, gniewał, a nawet groził Kozakom, a kiedy Gonta wyszedł na ganek, on wrzeszczał:

— Nauczę ja was chamy, ja Oficer Jego Królewskiej Mości, adjutant Pana Branickiego; a wy co? ciary Potockiego. — Gonta się zachmurzył.

— Złaź no Waspan Panie Oficerze, nie tak bardzo wrzeszcz. —

Wyszedł i Błahoczynny, a Oficer się uspokoił, i wyskoczył z bryczki. — No, prawdę mówią, że nie masz tego złego, co by nie wyszło na dobre; ja ciebie szukałem Księże Błahoczynny. —

Bazyli powitał go uprzejmie.

— Wejdźmy Panie Rotmistrzu do domu, tam pomówimy o wszystkiem. —

Weszli do chaty, Błahoczynny zamknął drzwi od izby, w której byli Zaporożce — teraz możemy mówić otwarcie, to jest nasz Ataman Gonta, to Watażka Żeleźniak, a to Pan Rotmistrz Janikowski, Adjutant Pana Branickiego, naszego przyjaciela. —

Wszyscy trzej nawzajem siebie powitali wojskowym pokłonem, a Janikowski tak zaczął:

— Doskonale wszystko idzie, dziesięć dni temu, jak Konfederaci w Berdyczowie poddali się Jenerałowi Kreczetnikowi, dziś Apraxyn z Podhoryczaninem Bar dobywać będą; Pan Branicki wysłał brygadę Ułanów w pomoc Moskalom, a sam z resztą gwardji pociągnął przez Winnicę, do Bracławia; do ciebie księże Błahoczynny wysłał mnie, abyście nie leniwo pracowali koło naszego dzieła; porozsyłajcie oddziały na wszystkie strony, wypleniajcie kąkol z naszego pola; co było lepszego, to się już wyniosło. Nam dano znać, że szlachta się zbiera w Podwysokiem, majątku Potockiego, i o niej nie zapominajcie, a teraz do widzenia się, bo mi spieszno jechać do Jenerała, jeszcze dziś muszę go dogonić.

— Panie Rotmistrzu — rzekł Błahoczynny — zapewnij Pana Jenerała, że wszystko spełnimy jak on żąda; mamy Atamana, teraz rzeczy żywo pójdą. —

Rotmistrz pożegnał i wyszedł, siadł na bryczkę i pojechał. Żeleźniak ponury był.

— Lach zdrajca, wart szubienicy. —

Gonta zczerwieniał, a Bazyli który ciągle trzymał wzrok na licu nowego Atamana, żywo przerwał:

— Ojcze Atamanie i ty waleczny Watażko, ruszajmy: dosyć siedzieć, w pochodzie pogadacie o sprawie wojennej. —

Żeleźniak jeszcze raz przykazał strzedz jeńca, i jego życia. Zaporożce głowami kiwnęli:

— Bądź spokojny Ojcze Żeleźniaku. —

W tem Nekrasa się przebudził, wołał na Gontę, tłukł pięściami i nogami we drzwi, klął w bisa i matkę przeklętego zdrajcę, i jak gadzina rzucał się ze złości po alkierzu. Zaporożce sobą jak murem drzwi podparli, i jak mur, głucho i niemo stali.

Przede dworem uszykował się pułk Kozaczy, wszyscy na koniach, chłop w chłopa silne jak dęby: kurtki sinieją, kołpaki żółcieją jak kwiecie na polach, za prawemi ramionami jak tyki sterczą spisy, a przy boku błyszczą krzywe szable. Błahoczynny zrzucił chałat; w czarnej rasie, z krzyżem w ręku przed środkiem szeregu stanął, twarz przyoblekł błagalnym wyrazem prośby, i oczy i krzyż wzniósł ku niebu a głosem udawał natchnienie.

— Synowie przeczystej wiary, ludzie wolności! długo jęczeli-

ście niewoli, w wiarę naszą poniżono; przyszedł czas zbawienia. Cesarzowa Rosji, nasza jedno-wiarka przybywa nam w pomoc. Synowie, słuchajcie! — i tu wydobył z zanadrza papier i czytał. «My Katarzyna druga, Cesarzowa Wszech Rossji, widząc jak w ciężkiej niewoli Szlachta Polska trzyma lud ruski, widząc jak taż sama szlachta nietylko że poniża wiarę greckiego wyznania przez swoich łacińskich księży, ale co gorsza, wspiera Żydów, nieprzyjaciół Chrześcian, morderców Chrystusa; nakazaliśmy wiernemu nam Maxymowi Żeleźniakowi, Pułkownikowi Zaporożców, wejść do Polski, mieczem wytępić szlachtę i Żydów, ogniem zniszczyć ich majątki; wojskom naszym nakazaliśmy dać pomoc i wsparcie prawowiernemu ludowi Ukrainy. Działo się w Petersburgu, naszej stolicy, dnia 15 maja 1768 r. KATARZYNA DRUGA, Cesarzowa Rossji. Poniżej podpisano PIOTR KAŁNYSZEWSKI, Ataman koszowy.»

Kozacy milczą na to, Błahoczynny to widzi i nie rad z tego wyjmuje drugi papier i czyta: — «My Katarzyna druga, Cesarzowa Wszech Rossji, oceniając zasługi i zdolności Pułkownika Gonty, mianujemy go Atamanem Ukrainy, i o tej naszej woli obwieszczamy lud Ukrainy, wyznający przeczystą wiarę Greckiej Cerkwi. — Działo się w Petersburgu dnia i Czerwca 1768. — KATARZYNA DRUGA, Cesarzowa Rossji — KRECZETNIKOW, Jenerał-lejnant wojsk rossyjskch.»

Nie czekali Kozacy końca czytania, ale wyrzucili czapkami w górę i tłumnie krzyknęli: — Niech żyje nasz Ojciec Ataman Gonta! —

Błahoczynny przypiął czaple pióro do czapki nowego Atamana. Żeleźniak dodał: — Na pohybel Lachom i Żydom! —

Kozacy zamilkli i patrzyli na Gontę; ten pobladł i drżącym głosem dodał:

— Na pohybel Lachom i Żydom! —

Wtenczas dopiero Kozacy odwrzasnęli: — Na pohybel Lachom i Żydom! —

Błahoczynny, Ataman i Watażka siedli na konie i wszyscy ruszyli porządkiem drogą ku Humaniowi; pięćdziesięciu tylko kozaków z Sotnikiem zostało na straży w Sokołówce, sto zaś koni wyszło do Podwysokiego. Żeleźniak w kłus ruszył przodem, aby spotkać swoje wojsko, które już zapewne podejść musiało pod sam Humań. Błahoczynny ani na krok Gonty nie odstępuje, jak djabeł grzeszną duszę w chwilę śmierci; boi się, aby czysta myśl, bojaźń Boża, resztka cnoty, nie zniweczyły jego pracy; ciągle klepie w ucho swojej ofierze o wielkiej potędze, o wielkiem imieniu, o sławie, o bogactwach.

Nowy Ataman uchem słodko słucha, ale sercem gorzko cierpi; co chwila każe stawać pułkowi i spoczywać, wysyła boczne straże na wszystkie strony, na najmniejszy szelest każe się szykować i brać się do broni; dniem lada krzaczki, lada stado

bydła, już Ataman zatrzymuje pułk i robi bezpotrzebne podjazdy; darmo Błahoczynny nagli, darmo Żeleźniak śle gońców po gońcach, donosząc że już w koło opasał Humań i ze swojemi harcuje pod samemi wałami miasta; że kilku szlachty, chcących się wymknąć, życiem przypłaciło swoją śmiałość. Pułkowi Kozacy dziwią się, zkąd ta zbyteczna przezorność, to lenistwo? Dawniej Gonta nie rozbierał jak trzeba iść na wroga, tylko szukał gdzie on jest; dwa razy nie trzeba mu było powtarzać: idź i bij; teraz słyszy z rzadka dolatujące echa strzałów harmatnich, wie że to w Humaniu, a kroku nie każe podwajać pułkowi; trzy mile tylko liczą z Sokołówki do miasta, a on półtory doby idzie: nareszcie zwrócił w bok z drogi, zaszedł do lasku Grekowa i tam się obozem rozłożył. Przyjechał Żeleźniak i doniósł że szlachta postanowiła się bronić uparcie, i że trzeba szturm przypuścić. Gonta kiwnął głową: — To się nie uda. — Błahoczynny radzi zdrady użyć, Gonta zżymał ramionami:

— Tego się nie podejmę. —

Błahoczynny zapowiada na dzień jutrzejszy spowiedź.

Zaledwie niebiosa zajaśniały, a promienie słońca, wyskoczywszy nad poziom ziemi w połyski jasnego światła, ukrasiły krople rosy, już kilkunastu Popów pod dębami słucha spowiedzi prawowiernego ludu. Gonta długo się spowiada, musi mieć niemało grzechów na sumieniu. Błahoczynny kładzie mu w ucho jeszcze dłuższe nauki jak jego spowiedź. Pod dębem ołtarz wzniesiono i Ojciec Bazyli mszę odprawiał, a potem proskurki i wino z kielicha rozdawał między lud Boży; w końcu przemówił, zachęcając w imię cerkwi, aby nie szczędzili krwi Lackiej i Żydowskiej. Tą razą Gonta pierwszy krzyknął:

— Na pohybel Lachom i Żydom! —

Głos jego był pewny i donośny i wszyscy wrzeszczeli, a las brzmiał krzykiem i echo polem ku miastu leciało, jak świst dalekiej burzy. Ataman długo na stronie z Błahoczynnym rozmawiał. Żeleźniakowi po cichu dawał rozporządzenia, potem napisał jakąś kartkę, przechodził się między szeregi, wybrał jednego z Kozaków, wziął na bok.

— Ruszaj i oddaj tę kartkę w ręce Pana Mładanowicza, a jak się spyta gdzie Gonta, powiedz że idzie drogą z Sokołówki do Humania, a niech ciebie Bóg strzeże wspomnieć o tem co widzisz.

— Dobrze, Ojcze Atamanie.

— A pomykaj prędko koniem jak gdybyś uchodził przed goniącem ciebie chłopstwem. —

Kozak siadł i pojechał; niebawem Gonta z całym pułkiem ruszył na drogę idącą do Humania.

Widać już miasto, stary zamek i wieże kościoła; do koła chłopstwo się snuje i pod wały się podsuwa; często z rusznic jak na wiatr pukają, a kiedy niekiedy strzał harmatni huknie. Gonta kazał — i kilka dziesiątków skoczyło w różne strony

i zaczęło się uganiać za chłopstwem uciekającem bezładnie do Grekowego lasku; pułk podstępował coraz bliżej; przed bramą stoi kupka szlachty, a przy harmacie puszkarz z zapalonym lontem. Ataman kazał stanąć, a sam tylko sto Kozaków wziąwszy z sobą, jechał prosto do miasta; z cicha naprzód wydał rozkazy wszystkim sotnikom.

Już byli o kilkadziesiąt kroków od bramy, kiedy puszkarz krzyknął:

— Panowie zdrada! — i lunt spuścił do panewki. Mładanowicz jeszcze żywiej przykrył proch połą od kontusza, i lont zatrzymał się na suknie; a Chiczewski chwycił za kołnierz i odtrącił puszkarza: — Pójdź precz gapiu! to nasi obrońce.

Puszkarz jeszcze raz się odezwał: — Panowie! zdrada! przysięgam na Boga! — ale już Gonta ściskał się z Mładanowiczem i Chiczewskim, a szlachta krzyczała:

— Niech żyje Pan Pułkownik! niech żyją Kozacy Potockiego, nasi obrońce! — i poprowadzili się na Zamek.

Drogą idąc, Gonta prosił Mładanowicza, aby wydano żywność jego ludziom i koniom. Pan Gubernator kazał otworzyć spichlerz i dozwolił Kozakom wchodzić do miasta po żywność, a potem wręczył list Goncie:

— Panie kumie czytaj. Pan Wojewoda łaskawy, nie pożał Boże takiemu Panu służyć.

Gonta odpieczętował list i czytał: że Pan Wojewoda zostawił mu do wyboru dwie wioski w kluczu Humańskim na dziedzictwo dla niego i jego potomstwa, przyjmował go do swojego herbu i obiecywał na pierwszym sejmie wyrobić szlachectwo, byle tylko uspokoił zbuntowane chłopstwo i obronił szlachtę. Zmiął list w ręku, zamyślał się i brządknął pod nosem: — Zapóźno. — Chiczewski podchwycił:

— Jak to zapóźno, Panie Kumie? —

Gonta wstrząsnął głową, jak człowiek, który resztki snu od siebie odgania.

— Zapóźno, Panowie Kumy, bo i bez tego przyszedłem was bronić. —

I tu zaczął pytać o swojego syna chrzestnego. Mładanowicz zapytał, czy nie zechce widzieć własnych dzieci.

— Będzie czas na wszystko. —

W zamku pełno niewiast i szlachty, stoły zastawione śniadaniem, we wszystkie serca wstąpiła otucha; bezpieczni, spokojni jak pod skrzydłem anioła zapraszają Kozaków, aby się z nimi zasilili. Jedzą i piją, ale w mieście jakiś zgiełk. Wszedł szlachcic i szepnął Mładanowiczowi na ucho. Gubernator wziął Pułkownika na stronę i coś z nim pogadał. Gonta wyszedł, ale zaraz wrócił.

— Bądźcie spokojni, moi Kozacy dla większego bezpieczeństwa zaciągają warty.

Widać że szlachcie to się nie podoba, bo za wąsy się bierze i kręci głowami. Nie jeden mówił z cicha Mładanowiczowi: — Wpuściłeś Waćpan wilka do obory. — Gubernator zapewnia, że wszystko jak najlepiej pójdzie; tymczasem Gonta z Chiczewskim wyszli na dziedziniec.

— Kumie, w tobie nasza nadzieja, pozawczoraj chciałem jechać do Sokołówki. —

Gonta trochę się zamyślił.

— Trzeba było pojechać, wszystkoby lepiej poszło.

— Nie mogłem; ty znasz Mładanowicza jaki ciemięga; odebrał listy od Wojewody i od godziny do godziny zwlekł mój wyjazd, mówiąc: ja to wszystko załatwię; w tem nadeszli hajdamaki i klampka zapadła; wysłaliśmy kilku gońców, wszystkich djabli wzięli. —

Gonta mlasnął gębą:

— Mładanowiczowi chciało się dwóch wiosek, jak sobie posłał, tak się wyśpi. —

A przybrawszy spokojną twarz:

— Bądźcie spokojni, niedługo będziecie cierpieć, wszystko to się prędko skończy. —

Chiczewski ścisnął go za rękę:

— Kumie, broń nas, a zobaczysz że szlachta polska umie być wdzięczną. —

Ledwie skończył, kiedy dały się słyszeć krzyki w mieście. Wyjrzał Chiczewski przez bramę, a ujrzawszy Zaporożców:

— Panie Pułkowniku, to nie twojej barwy Kozacy.

— Bo też to nie moi, to Nekrasy Kureń przybywa nam w pomoc; słyszyliście zapewne, co zrobił w Korsuniu.

— Słyszeliśmy, a gdzież Nekrasa?

— Lada chwila przybędzie, zostawiłem go w Sokołówce.

— O, kiedy tak, tośmy ocaleni. —

I poskoczył żywo do zamku, donieść pomyślną wiadomość, a w tem Zaporożce weszli na dziedziniec.

— Ojcze Atamanie pohulamy! ta już czas. —

Goncie ponuro brzmiała ta mowa:

— Poczekajcie trochę. —

Szlachta wyszła z Zamku, kobiety w oknach postawały, ale spokojność daleka od ich serca, bo dzikim wzrokiem patrzą Zaporożce i dzikszym głosem wołają:

— Ojcze Atamanie, pohulajmy! ta już czas. —

Mładanowicz strwożony, przybiegł do Gonty:

— Panie Pułkowniku, to zdrada!

— Bądź spokojny kumie, wszystko się skończy; każ przyprowadzić moje dzieci; będziecie mieli zakład bezpieczeństwa w waszem ręku.

Mładanowicz poszedł po dzieci. Kobiety płaczą, szlachta się w kupki gromadzi i dłonie trzyma na rękojeściach szabel; wtem wszedł Błahoczynny i Żeleźniak. Chiczewski się zaląkł.

— Zginęliśmy! zdrada! —

Gonta głośno odezwał się:

— Panowie szlachta, bądźcie spokojni. —

Bazyli spojrzał na niego groźnie, a hajdamacy zakrzyczeli:

— Hulajmy, już czas! —

Przyprowadzono dzieci Gonty: dwóch chłopczyków maleńkich, jeden cztery, drugi pięć lat liczył, biało-włose, rumianego lica, jak aniołki z raju; biegli do ojca, wyciągając rączęta i krzycząc: Tata! Tata!

Gonta pobładł, zatrząsł się, porwał za spisę od stojącego obok siebie Kozaka i pchnął: starszy chłopczyk wrzasnął i padł na ziemię. Ataman wyrwał spisę, pchnął drugi raz i młodszego syna w górę wyrzucił potem spisę cisnął o ziemię.

— Teraz hulajcie!

Jak djabli wrzasnęli hajdamaci: kol, siecz! Jak zjadli wilcy tak wściekle skoczyli między szlachtę. Błahoczynny wzniósł ręce do góry.

— Niech cię Bóg błogosławi, Atamanie! Laszka porodziła twe dzieci, lacka krew niechaj ginie na chwałę przeczystej wierze, na cześć wolności ludu! —

I w mieście i w zamku hulają hajdamacy, nożami kolą, szablami sieką; szlachta się broni i z bronią w ręku kona; szlochy niewiast, krzyk przestrachu, płacze dzieci, jęczenia umierających, dzikie wrzaski zabójców, brząkanie żelaza, odbijanie drzwi zapartych, mięszały się w jedną gwarną wrzawę, straszną dla ucha, rozdzierającą serce. Na rynku bezczelnie pastwią się nad niewiastami i z zabójstwem życia śmierć niosą wstydowi; w powietrzu rozrywają dzieci, księży przy ołtarzach mordują, młodzież szkolną żywcem pakują w studnię, przywalają kamieniami, krew broczy i ręce i twarze hajdamaków — ze skrwawionemi nożami latają jak jędze po piekle. Błahoczynny z krzyżem w ręku przebiega miasto.

— W imię Boga mordujcie Lachów i Żydów! Żadnemu nie przebaczać, zniszczyć nawet płód w zabitej matki łonie. —

Głos jego ponury, stłumiony, jak skomlenie wściekającego się psa, a czereda pijana mordem, nowych sił dobywa i nowej szkarady dodaje do zbrodni już i tak obmierzłej. Żeleźniak wytępia Żydów jak wrogów wiary Chrystusa, wytępia Lachów jako wrogów wolności ludu. Gonta ciągle na dziedzińcu zamkowym stoi, rękoma wziął się w boki, a wzrokiem obłąkania zataczał po trupach swoich dzieci; nie słyszy wrzawy, nie widzi co się w koło niego dzieje; rozpacz wewnątrz targa serce, a cierpienie twarz boleścią krzywi.

Tak stał, kiedy nadszedł jeden z jego Kozaków i przywiódł za rękę ośmioletniego chłopca, zachodzącego się od płaczu.

— Ojcze Atamanie, to twój syn chrzestny, ja go ocaliłem.

Gonta odwrócił się, spojrzał na syna Mładanowicza:

— I ja miałem dzieci. —

Uściskał chłopca, łzy mu popłynęły.

— Chwedku, strzeż go jak oka w głowie, ja ci nagrodzę. —

Jeszcze pocałował dziecko.

— Ty będziesz moim synem. —

Potem widząc że nadchodzą hajdamacy, rękawem otarł łzy i prędkim głosem mówił:

— Hulajcie! hulajcie! jeszcze przestawać nie czas! — Oni razem odpowiedzieli: — Dzięki tobie, Ojcze Atamanie, już żywych nie ma, ale kiedy pozwalasz, pohulamy na trupach. —

Zaczęli ciąć szablami, krajać nożami i znęcać się nad ciałami pomordowanych; jak piłki podrzucali głowy w górę i łapali na spisy, obrzynali uszy, nosy i na pamiątkę przyczepiali do kołpaków. Do nocy trwała krwawa pohulanka; zmrokiem Kozacy przybiegli z Podwysokiego i dali znać, że dwudziestu z nich zginęło od chłopów broniących szlachtę, że starzy, młodzi, dzieci, wszystko to się uzbroiło przeciw hajdamakom. Gonta dał rozkaz:

— Trzystu niechaj siada na konie, ja sam was poprowadzę, w pień wszystko wytnę, wieś z ziemią zrównam; Ojcze Błahoczynny tu na mnie zaczekacie. —

Bazyli był radosny!

— Takiego nam trzeba Atamana, rozkazuj! my ciebie słuchać będziemy.

Już na koń siadali Kozacy i Gonta, kiedy wpadło kilku jeźdźców, krzycząc:

— Lachy! Lachy!

— Gdzie Lachy?

— Już muszą być w Sokołówce, Ojcze Atamanie, co duchu na koniach pędziliśmy z wieścią.

— A co się stało z Nekrasą?

— My nic nie wiemy, nasi tam jeszcze zostali.

— Jacy? Lachy czy wojsko?

— Ojcze Atamanie, mówią że jest tam i wojsko i pełno Kozaków pańskich. W Wornówce rozbili Szwaczkę, pozabierali wszystkich; sam Watażka ledwo w dziesięć koni uciekł, bieży za nami, ale powiada, że Lachy wprost na Humań ciągną. —

Gonta kazał wychodzić z miasta i zbierać się za bramą na Ładyżyńskim szlaku; niebawem i Szwaczka nadjechał i opowiedział, że ze wszech stron Lachy ciągną i nie żartem wzięli się do Wojny:

— Wernyhora ten bis nawiedzony, wściekły pies, jak ćmy nagromadził Kozaków pańskich, a Pan Stempkowski w pomoc mu przysłał wojsko koronne.

Błahoczynny zawołał:

— Bóg czuwa nad nami, Pan Branicki zatrzyma wojsko Koronne jak zatrzymał dragonję, a Jenerałowie Cesarzowej naszej opiekunki rozpędzą to tałałajstwo Wernyhory, a kiedyś i ten stary djabeł przyjdzie na nasze ręce. —

Zeleźniak kiwnął głową:

— Ojcze Błahoczynny, ufajmy w siebie i w wiarę naszą, a wszystko dobrze pójdzie. —

Gonta krzyknął:

— Na koń, jakoś to będzie, byleśmy się do Bohu dostali.

Wyruszają hajdamacy z miasta; długo jeszcze chłopstwo gwarem burczało po ulicach, długo jeszcze tupotanie koni i wrzawa mowy ludzkiej rozgłosem dolatały z za miasta; nareszcie wszystko zamilkło. Ponura cichość w Humaniu jak w grobie; nie widać ani trupów, ani krwi rozlanej, bo noc oblekła czarnym całunem niebiosa, jakby na znak żałoby po tylu pomordowanych, a niepogrzebionych ofiarach; jakby na pokrycie wstydu, że niebo przyglądało się jasnem okiem słońca tylu zbrodniom, a zbrodniarzy nie strzaskało piorunem pomsty.

VIII.

Co miecz oszczędza, druzgoczą podkowy.
Grażyna Mickiewicza.

Już podówczas w Humaniu Hajdamacy dobrze się byli rozhukali, kiedy w Sokołówce Nekrasa złością zmożony, padłszy na łoże Gonty, leżał jak bez pamięci: głosem ani prosił, ani groził, bo się gardło przekrzyczało; pięściami nie tłukł, bo aż skórę do żywego ciała poodzierał, a drzewo twardsze od kości. Darmo przez wązkie okienko, będące nad drzwiami alkierza, Zaporożce spuścili i jadło i napitek; i jadło i butelka nietknięte leżą. Nudno i Zaporożcom półtrzeciej doby bezczynnie stać; już Szwaczka z kupą niedobitków przeleciał przez Sokołówkę, i Kozacy Potockiego pociągnęli ku Humaniowi, a oni z miejsca nie ruszają. Ojciec Żeleźniak kazał jeńca pilnować, a u Zaporożca stokroć lepiej życiem przypłacić, jak nie spełnić rozkazu Watażki.

Nad wieczorem na ulicy dał się słyszeć tentent kopyt końskich; Zaporożec stojący na straży we wrotach, żywo wbiegł do dworu i zawołał: — Lachy idą! Migiem zatarasowali drzwi w sieniach, pięciu z rusznicami w oknach postawało, szósty z dobytą szablą przy drzwiach od alkierza pozostał.

Ulicą ciągną jacyś Kozacy na dzielnych koniach, na nich sina barwa, białe pasy, a przy czapkach czerwone kołpaki: po przedzie na wronym koniu jechał starzec w zaporozkim stroju, czepkiej miny, sążnistej urody; przy nim z prawej strony na białym ogierze szlachcic w staropolskiej taratatce; z lewej zaś na kasztanowatej szkapie kozak w kontuszu. Zatrzymali się przed wrotami. Jeden z Kozaków zsiadł z konia i począł odmykać wrota, kiedy któryś z Zaporożców strzelił; Kozak ranny posłonił się i przykląkł do ziemi; wnet pięciudziesiąt jeźdzców zsiadło z koni i z dobytemi pałaszami, z siekierami, z rusznicami, skoczyli ku dworowi. Strzelali Zaporożce; kilku Kozaków trupem padło, ale drudzy i drzwi wywalili i przez okna do domu wpadli; tam zaczęto krwawą bójkę.

Na darmo stary Zaporożec wołał, by broniących się życiem darowali; już pięciu zarąbanych, a szóstego ledwie dyszącego

jeszcze po ziemi targano, kiedy starszyzna weszła do izby. Sędziwy Polak zawołał:

— Tnę potnę, wywalić te drzwi, tam pewnie jakiś djabeł musi być ukryty. —

Nekrasa usłyszał strzały, szczęk broni, poczuł zapach prochu, orzeźwił i na nogi się schwycił; boleśnie mu, że bez niego się biją. W tem runęły drzwi, i jakież nie było jego podziwienie, kiedy zobaczył przed sobą Wernyhorę i Pana Komornika; oburącz rzucili się w swoje ramiona i ściskali się od serca, jak gdyby chcieli się podusić, a słowa: ojcze! synu! tnę potnę! Panie Nekraso! Panie Komorniku! wychodziły z ich ust i przeplatały się uściskami.

Tymczasem oczyszczono izbę z trupów i krwi. Biłowus kazał opatrzyć rannych, pogrzebać zabitych i napaść konie. Nekrasa wszedłszy do pierwszej izby, a zastawszy w kącie swój pałasz, ujął go z taką radością, z jaką ujmuje kochanek rękę kochanki po długiem niewidzeniu, z jaką matka tuli do piersi odszukane dziecko, poczem opowiedział, co się z nim stało. Wernyhora smutnie potrząsł głową.

— Zapóźno przybędziemy do Humania, już tam musi być po wszystkiem.

— Ruszajmy zaraz! niech żywo konie popasają.

— Tnę potnę, ruszajmy a zwyciężymy. Pan Nekrasa z nami i Bóg z nami! —

Tu Wernyhora opowiedział o rozbiciu oddziału Szwaczki do szczętu i to, że brygada Jerlicza i dragonja więcej tysiąca hajdamaków odesłała do Kodni, gdzie ma się odbyć i sąd i kara na nich. Wziął Nekrasę na bok:

— Panie Atamanie, i czarnobrewa ztąd niedaleko.

— Jakto? Panna Magdalena nie w Parchomówce?

— O włos że tu nie przyjechała.

— Ojcze, powiedz mi, co to ma znaczyć?

— Chcieliśmy z kumą, aby mogły się dostać do starego, do Humania, ale że myślałem, żeście wy tam już zaczęli bójkę, radziłem, aby wprost z Woronówki, mijając Humań, pojechała do Kuny, gdzie brat Pana Chiczewskiego Gwardjanem Xięży Kapucynów.

— Czemuż tu nie przyjechały? tu wszelkie bezpieczeństwo.

— Nie bardzo się im chciało po Korsuńskim boju patrzeć jak się mordują ludzie, a tam jest bezpieczeństwo; dwie chorągwie bataljonu Kordysza pociągnęły w tamtą stronę, trzecia idzie za nami. Wreszcie mają ku obronie tego Francuza, co to wiesz; dałem im dobrego strażnika, spodziewam się — i tu złośliwie się uśmiechnął. Nekrasa poczerwieniał; zwrócił rozmowę ku wojennym rzeczom.

Niebawem nadciągnęła chorągiew kawalerji narodowej pod wodzą porucznika Michała Czajkowskiego, na białych koniach,

w kraprotowych kurtach, gęsto srebrnym galonem naszamerowanych, w kraprotowych rajtuzach; dwóch trębaczy marsza w trąbki potrąbywali, za nimi waliły cztery cugi rotami, przed każdym jechał Namiestnik. Towarzysze proporcami w powietrzu szeleszczą, szeregowi tylko w karabinki i w szable zbrojni; na głowach u towarzyszy amarantowe czapki z czarnym barankiem i kitą z kapłonich piór, u szeregowców kaszkiety z czarnej skóry z srebrnemi orłami, a wszyscy przybrani w amarantowe rajtuzy z białemi lampasami, w granatowe kurty z amarantowemi obszlagami. Pan Porucznik na siwo-jabłkowitym rumaku z boku maszeruje, na jego stroju pyszna sajeta, szlify i ładownica srebrem błyszczą, i na granatowym czapraku srebrne orły po końcach i srebrne rexyny na olstrach, a do koła czapraka amarantowa taśma.

Zaledwo Pan Porucznik i Panowie Namiestnicy weszli do dworu, Wernyhora zapoznał z nimi Nekrasę, a nie dając czasu gawędzie, aby się wzmogła, przy pierwszym poskoku ją schwycił.

— Panowie Bracia, dotąd wojowaliśmy z samym motłochem, a teraz przyjdzie spróbować się z porządniejszym wrogiem; dobrze mówią, że gdzie wiele nianiek, tam dziecko bez głowy albo bez ręki; i nam trzeba, abyśmy ład wprowadzili między siebie, obrali wodza; bo wierzcie mnie staremu, że w czasie wojny gdzie wielu radzi choćby najlepiej, to zawsze źle, a gdzie jeden dowodzi, choćby miernie, a reszta słucha, to jeszcze dobrze.

— Tnę potnę, Pan kolega dobrze mówi, ja szacuję i kocham Pana Porucznika, bo dzielny mąż i dobry Polak, a przytem syn mego przyjaciela, szkolnego kolegi, Pana Andrzeja Cześnika Wyszogrodzkiego; ale tą razą nie ubliżając jemu i narodowemu wojsku, proszę na dowódcę Pana Nekrasę. Tnę potnę, gdybym był Hetmanem polnym, jeszczebym poszedł pod jego rozkazy, bo dalibóg nie żartuje z wrogiem.

— Panie Komorniku, dziękuję za ufność, jaką Pan pokładasz we mnie, ale ja tu jestem gościem; za Polskę krew moją do ostatniej kropli wytoczę, bom taki dobry Polak jak ten co się urodził w Koronie; tą razą mnie dowództwo się nie należy, ja pójdę walczyć pod rozkazami Pana Porucznika, Pańskiemi albo ojca Wernyhory. —

— Porucznik pokręcił wąsa: — Panie Atamanie, kto tak wytrzepał porządnie skórę Moskalom, jak Pan pod Korsuniem, godzien aby porucznik kawalerji narodowej poszedł pod jego dowództwo; mnie nie idzie o starszeństwo, ale o pożytek Ojczyzny, i dla tego czekam rozkazów Pana Atamana.

Nekrasa skłonił się, ale odpowiedzieć mu nie dał Wernyhora:

— My z Panem Komornikiem biliśmy się kiedyś i dowodziliśmy, i terazbyśmy od biedy jeszcze potrafili, gdyby nie było was młodszych; ale na świecie wszystko swój czas mieć musi;

nam w radzie przewodzić, wam w boju; nie spierajcie się z sobą, bo czas drogi, niechaj jeden z was staje na czele.

Tu wszyscy zaczęli prosić Nekrasę, aby przyjął dowództwo.

— Kiedy tak chcecie, niech i tak będzie! Do broni, Panowie Lachy! na koń, kozacza młodzi! — I wsiadł na płowego bachmata. Dzielny to biegun, Wernyhora dostał go w darze od Maxud-Giraja; na nim przyjechał Nekrasa do Gonty, a Kozacy Potockiego, czy umyślnie, czy przez zapomnienie, zostawili go w stajni.

Nowy księżyc wylazł na niebiosa, różki do góry nastawił i błyszczy srebrną twarzą; do koła niego chmury wędrują, ścierają się z sobą i szumią w powietrzu; dziwne ich kształty: raz jak grody, jak lasy po sklepieniu się malują i pędzą w jedną stronę; drugi raz jak hufce dwóch przeciwników spieszą ku sobie, rwą się na drobne kawałki, lub kupią w jedno ciało; bezustanny ruch w ich wędrówce, ciągłe przeobrażanie się w ich obrazie. Wojsko idzie cicho, idzie niemo, kiedy niekiedy albo koń prychnie, albo człowiek odkaszlnie. Nekrasa wszystko porządnie urządził, wysłał przednią straż i boczne podjazdy, i sam na czele Kozaków Głębockiego maszeruje, przy nim Biłowus. Pan Porucznik środkowym oddziałem dowodzi, a koło niego jadą Komornik i Wernyhora; jeden z Namiestników tylną straż prowadzi. Urocza cisza nocy szeroko po świecie się rozlała, ucho nie ma się czem zabawić, a dusza tęsknem uczuciem się karmi. Konie dwoją kroku, podjazdy z postronnych wiosek i futorów powracają, a nigdzie nie powzięły języka o wrogach, nigdzie nie zastały żywej duszy. Nad samym dniem zbliżali się pod Humań. Nekrasa znów podjazdy rozesłał, wzdłuż i wszerz przebiegły czyste pole i żadnej wieści nie przywiosły. Już dnieć poczęło, kiedy wchodzili do miasta; brama otworem stoi, a z wiatrem dolatuje zapach ciepłej krwi; jeszcze nic nie widać, a już konie strzygą uszyma, chrapią i wstrzymują kroku. Nekrasa kazał zatrzymać się, a sam na czele trzydziestu Kozaków wjechał do miasta; trupy po ulicach i strugi krwi zakrzepłej; w domach drzwi powywalane, powybijane okna, a na drzwiach, na oknach, wiszą trupy albo szmaty ciał ludzkich. Rozbiegli się Kozacy szukać, czy nie ma gdzie choć jednego człowieka przy życiu. Nekrasa kazał karmić konie, a tymczasem jak można, grzebać ciała pomordowanych braci.

W tem przyprowadzono kilkunastu hajdamaków, którzy nieszczęśliwie dla siebie zaspali obchód towarzyszy; oczy im pozapuchały, a na twarzy i rękach jeszcze nie obłuszczyła się zaschła krew. Jeden z nich krzyczał, by go stawiono przed dowódcą; ujrzał Nekrasę:

— A co, czy mnie nie poznaliście zlaszony Atamanie, ani ty, Panie Wernyhoro, a ja was nie raz poznawał; gdyby mnie chciał

posłuchać Bajda, nie byłbyś ty chodził po tym świecie, i bis by ciebie nie obronił. — Ataman zatrząsł się od złości.

— A to ty, przeklęty Dubyno! co psia-wiaro zrobiłeś z Panem?

— Wszystko rozpowiem, tylko się nie srożcie na mnie; ja swoje zrobił, a teraz wasza rzecz mnie powiesić, ale wprzód posłuchajcie — tu zaczął opowiadać całą rzeź i tak skończył: — Dybał ja ciągle na Chiczewskiego i do tego dobrał sobie tęgich czterech chłopaków. Jak tylko ojciec Gonta zawołał: hulajcie! ja natychmiast z moimi skoczyłem ku dawnemu Pankowi, panicza zarżnął, żeby się nie męczył, bo to malec nikomu nic nie winien, a starcowi należało się przypomnieć bizuny. Długo się bronił jucha, ale koniec końcem daliśmy mu radę, zaciągnęliśmy w sad i tam dalej drzeć pasy, wet za wet za bizuny, darmo nic. Nie prosił pies o życie, ale o was prosił Atamanie; a skoro jeden mu odpowiedział, że was Gonta widział w Sokołówce, zaczął mnie błagać, abym mu dał papieru i czem pisać, dodając: potem zrobisz ze mną co zechcesz. Żal mi się go zrobiło, kazałem przynieść nie tylko co trzeba do pisania ze dworu, ale nawet laku i świeczkę zapaloną. Napisał dwa listy, przypieczętował sygnetem i rzekł: — Mój kochany, oddaj to komu, aby wręczył Imości, a drugi memu bratu; niechaj ci Bóg tak przebaczy jak ja przebaczam. — Mnie się smutno zrobiło, ale trzeba było spełnić, tylko trocheśmy go pomęczyli, a potem obwiesili na gruszy; oto macie listy: oddajcie, bo ja to podobno długo z żywemi widzieć się nie będę. —

Wernyhora zabrał listy i przeczytał podpis jeden do żony, drugi do księdza Jana Chiczewskiego, Gwardjana Kapucynów w Kunie. Zaraz napisał list od siebie i wysłał z niemi Kozaka, aby wręczył Gwardjanowi; jeźli nie zastanie Pani Chiczewskiej, aby uprzedzić o jej przyjeździe; gdyby zaś już przyjechała, aby ją przysposobił do smutnej wieści i pocieszał o ile mógł.

W tej chwili przyprowadzono dwóch małych studentów; ci jeszcze drżeli patrząc na Kozaków i kryli się za kawalerzystów. W czasie rzezi wleźli na wieżę kościelną i tam na poddaszu cały czas przesiedzieli. Oni opowiedzieli, że po wielkim hałasie w mieście nastąpiła nagła cisza, a szmer ciągle biegł w stronę Teplika. Porucznik zostawił czterech towarzyszy i dwunastu szeregowych w Humaniu, aby pilnowali jeńców; spędzili chłopstwo do grzebania ciał, a jak tylko przybędzie bataljon Małoklęckiego, aby mu zdali raport, a sami spieszyli do chorągwi. Nekrasa kazał siadać na koń i poszli przez miasto na drogę ku Teplikowi.

W pochód poszli szlakiem; za nimi burem pasmem pył ciągnie się z wiatrem ku Humaniowi, przed nimi ziemia stratowana od kopyt końskich, po polach kupami do wiosek wracają ludzie. Kiedy przybieży Kozak i zapyta: — Dobrzy ludzie, a któ-

rędy poszedł Gonta? — śmiało odpowiadają, pokazując ręką na drogę: — Ot tam na Teplik poszli nasi — dobrze mu życzą i okiem za nim przyjaźnie wiodą. Kiedy Kawalerzysta Narodowy przybieży koniem i zawoła: — Hej chamie, a którędy poszli Hajdamacy? — Chłop się zegnie do ziemi: — my nie wiemy nic paneczku, polem poszli — a w myśli życzą: bodajeś kark skręcił, przeklęty Lachu.

Słońce jasne promienie szczodrze na świat sieje, chmurki pozmykały, niebo wypogodziło się jak na dzień wesela; już dochodzili do Teplika, aż tam przed wrotami uwijają się jacyś Kozacy w czerwonej barwie. Nekrasa na zwiady Biłowusa wysłał, a sam kazał Kozakom Głębockiego rozskoczyć się w lewo i w prawo po za wioskę, na przypadek wroga. Kawalerji Narodowej stawić się po sześciu i iść naprzód. — Wrócił Biłowus.

— To nasi, Pan Łowczy Jełowicki z Łanowiec ze swymi i wielu szlachty; tylko co przybyli do Teplika, hajdamacy przed dwoma godzinami ztamtąd wyszli.

— Tnę potnę, Pan Michał Jełowicki — znam go, to potomek Hawryła na Pereasławiu, owego sławnego męża, co gdzieś tu w tych miejscach wyczesał skórę Tatarom za Zygmunta starego, szlachcic herbu Brama. — Tnę potnę, przodek był dzielny, ale i potomek nieułomek. —

Z wrót wyjechało kilkunastu jezdnych. Po przedzie na złotogniadym arabczyku, z gwiazdką na czole, z tylną lewą nogą białą, okracz pląsał Pan Łowczy. Na nim czerwony kontusz, biały żupan i złoty pas; guzy z drogich kamieni, karabela w złocistych pochwach, strzemiona srebrne, rząd husarski suto natykany szypułkami z korali i ozdobny w strzępiste fręzle; czaprak z amarantowego aksamitu haftowany srebrem w herby i cyfry pańskie, i reszta Panów na dziarskich koniach i bogato przybranych, ale widać że Pan Łowczy między nimi rej wodzi. Z tyłu za Panami jadą różnobarwni Kozacy. Łowczy ujrzał Komornika, poskoczył ku niemu:

— Jak się mi miewa Panisko, wieki jakeśmy się widzieli.

— Tnę potnę, to prawda, ale co teraz przy dobrym kęsie spotykamy się; tęgoś się spisał, Mospanie Łowczy, po staropolsku. —

Łowczy wąsa pokręcił: — Szlachcic polski choćby z krańca świata przybieży, kiedy idzie o Ojczyznę, o całość braci. —

Wszyscy obstąpili Porucznika, pytając co będą robić; ale kiedy im oświadczył, że Ataman Nekrasa mianowany przez nich dowódcą, widać że szlachcie to nie do smaku, bo pokrzywiła twarze. Porucznik zaczął rozpowiadać o bitwie pod Korsuniem i o przyjaznych stosunkach Atamana z Kierym-Girajem i jego teraźniejszym następcą Maxud-Girajem, i dodał: to wychowaniec Wernyhory.

Imię Wernyhory głośnem było podówczas w Województwach ruskich; znała go szlachta, że był wiernym przyjacielem Polski,

a zaciekłym wrogiem Moskali; wiedziała o czynnym udziale w Konfederacji Barskiej i o stosunkach, jakie ma z Mahometanami; byli nawet tacy, co wierzyli że stary wieszcz związany paktem albo z Bogiem, albo z djabłem: a to wszystko robiło mu ogromną wziętość u szlachty.

Nekrasa jakby umyślnie z Wernyhorą z tyłu pozostał i nie bardzo spieszył na powitanie nowo przybyłych. Komornik zapalenie przekonywał:

— Tnę potnę, Panowie bracia, Pan Nekrasa wojenny człowiek, jakich już od dawna w Polsce nie bywało.

Łowczy bawił się ze złotem swego stroju: — Moi Paniska, i Kozak taki dobry jak szlachcic: nie przyszliśmy się o dowództwo zwadzać, ale bić wroga; z chęcią idę pod rozkazy Pana Nekrasy.

Szlachta się udobruchała, tylko Mikołaj Jaroszyński, dziedzic Miastówki, trochę się burmusił; i do niego Łowczy podjechał:

— Panisko się sierdzi, że kiedyś tam pod Batowem jedynastu braci Jaroszyńskich od kozackiej szabli poległo. Co było a nie jest, tego nie pisać w rejestr. Zresztą, Waszeć teraz zrąb jedynastu hajdamaków, a co lepiej z połowę Moskali. Kwita byka za indyka, darmo nic. —

Wszyscy zaczęli śmiać się i poskoczyli ku Nekrasie, a otoczywszy go w koło, witali Atamana, witali Wernyhorę.

— Panie Atamanie, pod twoje dowództwo się oddajemy, mamy wiarę w twojem męztwie i w twojej miłości ku Polsce, a oto szlachta polska. — Pan Podczaszy Sobański ręką wskazywał: — Pan Stolnik Jaroszyński, Pan Kasztelanic Stępowski, Pan Starościc Kopczyński, Pan Skarbnikowicz Żarczyński, Pan Podkomorzy Grudziński. — Szlachta się kłaniała i Nekrasa się kłaniał.

— Panowie bracia szlachta, za waszą wolą przyjmuję dziś dowództwo; bogdajby taka zawsze bywała miłość między szlachtą a Kozakami, a pewniebyśmy nasienia moskiewskiego w Polsce nie zostawili. —

Wernyhora dodał: — I tak kiedyś będzie.

— Święte twoje słowa, Ojcze Wernyhoro — zawołała szlachta i ruszyli do Teplika. Tam siedmiuset raźnych Kozaków czekało na dzielnych koniach. Trzysta samego Jełowickiego, w czerwonych kurtkach, w żółtych pasach i białych kołpakach przy baranich czapkach. Nekrasa polecił: by Jełowicki ze swoimi szedł tuż za Głębockiego Kozakami, którzy trzymali przednią straż; Komornik objął dowództwo nad Kozakami różnej szlachty i szedł za Jełowickim; porucznik z kawalerją narodową, jako z wojskiem porządnem i wyrobionem, trzymał tylną straż. Wernyhora jechał przy Poruczniku; żadnego dowództwa nie chciał przyjąć, bo przysiągł że szabli nie dobędzie na braci; bolał nad opętaniem chłopów, pomagał radą do ich uskromienia, ale ręką nie chciał krwi toczyć.

Śladem hajdamaków aż do Ziatkowiec przyszli: tam dopiero

przez most przebrawszy się za Kiblicz, stracili trop kopyt końskich na Ładyszyńskim szlaku. Duchem Kozacy przedniej straży zwinęli się po bokach i dali znać, że po dębinie jakby wilcze ścieszki, w zygzaki trawa potłuczona; Nekrasa sam pobiegł w las, policzył ścieszki, zobaczył ich kierunek, wrócił, na stronę zebrał przywódców.

— Znam doskonale okolicę, bom nieraz tędy przebieżał; znam figle Żeleźniaka, po tatarsku naklucżył, ale jeszcze trop świeży; nie wymkną nam się teraz. Panie Poruczniku, weźmiesz Pan dwa cugi swojej chorągwi i dwustu Kozaków Pana Stempowskiego i Sobańskiego, pójdziesz w lewo na drogę do Sobolówki; skoro las miniesz, ruszać polem w prawo ku Bohowi; gdyby chłopstwo było na drodze, kazać szeregowcom na wiatr palić i jeńca brać; gdyby Kozacy Gonty albo Żeleźniaka stawili czoło, natrzeć i rozbić. Panie Łowczy, z twoimi Kozakami i cugiem kawalerji narodowej udasz się w prawo ku Futorom, a przeszedłszy wioskę, w lewo pociągniesz ku Bohowi; to samo zrobisz co poleciłem Panu Porucznikowi. Biłowus ze swoimi za mną pójdzie wprost ku Siedmiu Mogiłom. Pan Komornik z czterystu Kozakami i cugiem kawalerji narodowej będzie postępować tąż samą drogą w odstępie pięciuset kroków, rozeszle łańcuch jeźdźców w lewo i w prawo, aby ciągle się znosił i wiedział o ruchu dwóch skrzydeł, a tam wysyłał pomoc, gdzie jej potrzeba. Lasem iść cicho, a gdyby się wróg okazał, to strzelać i strzelbą przeć na pole, a tam dopiero nacierać, jak mówiłem, ciągle odcinając od Bohu; broniących się bić, a bezbronnych życiem darować. —

Migiem dowódce rozkazy wydali, migiem potworzyły się oddziały i ruszyły w dębinę. Tą razą Wernyhora przy Nekrasie jechał. —

Ataman wygląda jak król stepu, jak orzeł; hardość w oku, duma na czole; o rady nie pyta, rozkazy daje. Wernyhora okiem pociechy patrzy na wychowańca; dla niego by duszę poświęcił, ciało oddać gotów na jego skinienie. Ciągną lasem, a stare dęby wiodą swary z wiatrem, liściem ponuro szemrzą; nieznany ich język, ale powabny dla ucha, uroczy dla myśli, wierzchołkami ziemię od słońca zakryły; stuletnie olbrzymy naśmiewają się z promieni i powstrzymują ich jasność na ciemnych barkach. Wychodzą już jeźdzcy z lasu, bo droga zaczyna jaśnieć, nigdzie wroga nie nadybali, bo żaden strzał słyszeć się nie dał. Po prawej stronie ruda się ciągnie ku Sobolówce, po lewej widać Futory i trochę dalej krąglak lasu. Przed nimi siedem mogił się wznosi, średnia najwyższa, a boczne stopniami ku ziemi zniżały się wzrostem.

Nekrasa ręką skinął, wstrzymali się Kozacy; sam cwałem kopnął ku mogile, za zubocz się wdrapał tak, by się zakryć od pola, bystro popatrzył na wszystkie strony i wrócił; posłał do

Komornika, by co żywo następował i zatrzymał się chwilę przed mogiłami. Stanął przed Kozakami Głębockiego; bułany parskał i grzebał nogami, i Atamanowi nozdrze się roztworzyły, zaiskrzyły się oczy, poczuł wojnę.

— Za mną bracia tylko żwawo, a pobijemy. —

Ruszyli drogą pomiędzy mogiły. Ziemia tętni, wędzidła dzwonią i broń brzęczy, kurz się wzbija i wiatr burczy.

Wernyhora wdrapał się na najwyższą mogiłę, stanął i patrzy; czyste pole do Bohu pochyło ścieka; rzeka jak lawa srebrna sunie szerokiem korytem. Na przodzie za wodą okopy się wznoszą a za niemi Batów, pamiętny porażką Hetmana Kalinowskiego. Tu złej wiary Chmielnicki przelał krew Lacką, krew bratnią. Od Batowa trochę w prawo bieleje Hubnik domami bezładnie rozrzuconemi między wianki sadów, poniżej sterczą skały i majaczeją zarośle wysep Bohowych; dalej część Skibiniec maluje się nad rzeką, resztę las sosnowy zakrył; przed laskiem Pohórka kołem na zuboczy się rozłożyła, od niej otwarte pole aż do samej Sobolówki; w lewo Batowa Boh czystem i szerokiem korytem płynie i gnie się ku północnemu zachodowi; za rzeką zarysował się Ładyżyn z drewnianym kościołem, z białym dworem; przed Ładyżynem od północy Sob niesie swoje wody na pastwę ojcu Bohowi, a ztamtąd ku futorzańskiej dębinie, ku sadom futorzańskim, ani lasku, ani krzaczka, ani rudy, ani parowu; przemknąwszy za ten obręb, jeszcze widać mnogie sioła, wzgórki, lasy i wody; z najwyższej mogiły daleko wrokiem można hasać, a dalej jeszcze myślą pohulać.

Przed samym Hubnikiem nieprzeliczona mnogość hajdamaków; w prawo sinieją Kozacy Gonty, w lewo ciemnieją Żeleźniaka Zaporożce. Ale już za rzeką po okopach snują się ludzie. Nekrasa wybiegł za mogiłę, skinął ręką i pierwsza sotnia Kozaków Głębockiego rozpierzchła się w lewo i w prawo, a kreśląc zygzaki i esy, w kłus naprzód postępowała; Biłowus przed nią na kasztanie się wywija. Dwie sotnie w linję się rozwinęły i szły wolnym stepem za harcownikami; Nekrasa przed nimi jechał.

Niebo było czyste, słońce jasne; w tem nagle z przeciwnych sobie stron dwie chmurki nadbiegły, sparły się z sobą i kroplisty deszcz zaczął rosić, jakby łzy nieba nad niedolą ludzką. Gonta i Żeleźniak rozpuścili rój harcowników i sami jazdą naprzód idą, za nimi chłopstwo kupami bezładnie bieży, wyje i krzyczy jak trzoda wilków, jak czereda djabłów.

Pukają z rusznic; choć zwolna, ale cofają się harcownicy Nekrasy, i sam Ataman w miejscu się zatrzymał. Hajdamacy kłusem pod wzgórze biegą, spisy płotem ku ziemi się schyliły, a przywódce mieczów dobyli. Gonta ze swoimi naprzód sadzi.

Nekrasa spojrzał w prawo: widzi jak z Futorów długim sznurem wysuwają się czerwoni Kozacy Jełowickiego; spojrzał w lewo: kawalerja narodowa galopuje pole, proporce Towa-

rzyszy już minęły Pohorkę, a równają się ze Skarbnicką brzeziną; posłał Kozaka w tył do Komornika.

Hajdamacy się zatrzymali, a chłopstwo poczęło uciekać ku Bohowi. Nekrasa wydobył szablę.

— W dół spisy! Sława Bohu!

Z kopyta w cwał pomknął. Kozacy Głębockiego duszę wypierają z koni, łamią, wywracają szeregi Kozaków Potockiego. Porucznik z kawalerją narodową już w bok uderzył, towarzysze dziarsko kolą, szeregowce ze strzelby palą, pałaszami sieką. Zaporożce Żeleźniaka silny opór stawią czerwonym Kozakom, ale Pan Łowczy niczem się nie zraża, pierwszy skacze koniem między wrogów i krzyżową sztuką kiereszuje im łby i pyski. Dwa razy jak koguty szczepili się z Żeleźniakiem, i dwa razy nacisk walczących ich rozłączył. Watażka szuka Lacha, okiem zajrzał drogie kamienie i złoto. Łowczy szuka Watażkę, w nim znajduje męztwo godne swojego męztwa. W tem Komornik ze swoimi przypadł w pomoc; chwieją się Zaporożce, Żeleźniak i głosem i ręką do odporu zachęca; jak wściekły na Łowczego leci, śmignął szablą i po chrapie złoto-gniadego zaciął; spiął się rumak i wywinął na zadzie, a Pan Łowczy piorunem na odlew w samą mordę końcem ostrza trzepnął Watażkę; pochylił się Żeleźniak; przyskoczył Komornik i tak silnie ciął mieczem w kark, że aż z konia Watażka się zwalił; hajdamactwo pierzchnęło.

Pędzą w zawody kawalerzyści narodowi i szlacheccy Kozacy; kolą, sieką wroga, tratują końmi rannych i poległych; hajdamacy odlatują z koni jak plewa od czystego ziarna, padają na ziemię jak budiaki pod ostrzem kosy. Nekrasa za Gontą goni, tłum szablą rozpiera, a bułany pod nim w susach sadzi, pierwszy nad Boh przybiegł. Zdradny Gonta po silnem natarciu Głębockiego Kozaków zwątpił o bitwie i drapnął w nogi.

Do zmroku rzeź i gonitwy trwały, ze zmrokiem trębacze zbór w trąbki zagrali i nasyceni bojem wojownicy, zaczęli się zbierać do Hubnika.

Sotniami spędzają jeńców; zwycięzcy i oczyma i twarzą radość objawiają, zwyciężeni spuścili czoła w ziemię, czy to z żalu popełnionych zbrodni, czy ze strachu srogiej kary. Nekrasa kazał Biłowusowi w sto koni Boh przeprawić i pozbierać rozpierzchnięte hajdamactwo z tamtej strony. Szlachta i Panowie starsi z kawalerji narodowej do koła obstąpili Atamana, dziękują za przywództwo, oburącz ściskają, zwyczajnie po staropolsku, po szlachecku. Nekrasa choć smutny, że na braci oręża musiał dobyć, jednak w duszy czuje roskosz, że walczył za Matkę Polskę.

— Tnę potnę, ot tak jak teraz tu jesteśmy, powierzmy Panu Porucznikowi pogoń za tym obwiesiem Gontą, a sami uprośmy Pana Atamana i chodźmy pod Bar, na odsiecz naszym.

— Zgoda! zgoda! prosimy Pana Nekrasę.

— Dobrze, Panowie Bzacia. Kiedy taka wasza wola, o świcie tam wyruszymy; z takimi wojakami jak Panowie wykropimy tęgo skórę Moskalom.

Nadjechał Wernyhora i zaraz pytał: gdzie się podział Błahoczynny Bazyli; a hajdamacy mu odpowiedzieli, że jeszcze dobrze przed bitwą odebrawszy jakieś listy, pojechał co prędzej do Kijowa. Nie do smaku Wernyhorze ta wiadomość; zbliżył się do Komornika:

— Panie Bracie, gdybyśmy tego łotra złapali, tobyśmy zakończyli całą koliszczyznę.

— Tnę potnę, co ma wisieć, to nie utonie; teraz, Panie kolego, na Bar idziemy. —

Przez ten czas kupami przychodzili do Hubnika starcy, dzieci, niewiasty i mężczyzni; była to szlachta sioł okolicznych, przed rzezią się skryli na wyspy Bohowe i do jaskiń głębokich po nad brzegami rzeki, między Hubnikiem a Skibińcami; tam w trwodze i o głodzie przebyli cały tydzień, a teraz błogosławią wybawców. Wrócił Biłowus, przyprowadził kilku hajdamaków i doniósł, że chłopstwo porozbiegało się do domów, a Gonta nie więcej jak we dwieście koni co tchu uciekał manowcami do Mohylowskiego szlaku.

Kilkudziesięciu Zaporożców, wziętych w niewolę, nie nad swoją dolą się użalali, ale nad śmiercią Watażki; i Nekrasie smutno. Żeleźniak, dawny współ-Ataman Kurenny, choć dziki, ale mężny, choć wepchnięty w otchłań zbrodni przez popów, zawsze był szczerego serca. On mniemał wojować za wiarę, za wolność ludu; osobiste widoki nie miały miejsca w jego głowie. Ataman prosił Porucznika, aby z nadejściem dnia kazał jego ciało odszukać i pochować, jak przystoi na wojennego człowieka.

Rozniecono ogień i po przekąsce do spoczynku się zabierano, kiedy usłyszano w dali echo jakiejś muzyki; przybiegł Kozak straży i dał wiedzieć, że szlakiem Hajsyńskim idą mnogie chorągwie kawalerji narodowej; porucznik żywo wskoczył na koń i pobiegł na ich spotkanie. Wkrótce trąby i kotły zabrzmiały, wojennym marszem dźwięczało powietrze, grzmiący rozgłos daleko leciał. Namiestnicy na pieszo szykowali kawalerzystów. Nekrasa i Panowie szlachta na drogę przed wioskę wyszli. To Pan Brygadjer Jerlicz przymaszerował z siedmią chorągwiami kawalerji narodowej; skoro ujrzał idących przeciw sobie, zsiadł z konia, powitał Nekrasę i szlachtę i dziękował imieniem Ojczyzny za odniesione zwycięztwo. Oficerowie pozsiadali z koni i wszyscy szli do dworu, a muzyka za nimi hucznie brzmiała. Drogą szedł Brygadjer smutnie:

— Bar pozawczoraj wzięty przez Apraxyna, wiele ucierpieli nasi bracia szlachta.

— Więc idźmy na Moskali opojonych zwycięztwem — ozwie

się Nekrasa — wyrżnijmy w pień i nieśmy pomoc Konfederatom; wszak to dobrzy Polacy.

— Panie Atamanie, Król nie przystąpił do Konfederacji, a wojsko wierne Królowi.

— To mu się przeniewierzyć; wszak tu idzie aby wypędzić Moskali z Polski!

— Może jak się skończy Konfederacja, uspokoi się kraj, to i Królowi się rozwiążą ręce. —

Na to Wernyhora potrząsnął głową.

— Panie Brygadjerze, nieszczęście że Panowie wierzycie w dobre chęci królewskie; on gubi kraj, codzień mamy dowody; w Konfederacji nasze zbawienie; nie upadnie ona tak prędko, znajdą się ludzie co ją wesprą, a gdyby wojsko do niej przystąpiło, wkrótce byłaby Polska zakwitła.

— Panie Wernyhoro, znasz mię żem Polak, że kocham moją Ojczyznę; nieraz o tem z sobą mówiliśmy; ale ja wysokiego stopnia oficer, jakżebym mógł dawać przykład zgorszenia, odstępując Króla?

— Panie Brygadjerze, nieszczęście to że Polak przyjmuje na siebie jakieś tam obce obowiązki dla Polaka; według mego zdania najświętszą rzeczą byt i całość Ojczyzny, z resztą wszystko fraszki. —

Coraz nowo przychodzący przerywali rozmowę, a wszyscy byli smutni wieścią o wzięciu Baru i o złej przygodzie Konfederatów. Komornik zachodził się od gniewu, dowiedziawszy się od oficerów, że dwa regimenta piechoty koronnej przebrane w moskiewskie stroje, z rozkazu Pana Branickiego z Moskalami Baru dobywały, z Moskalami przelały krew bratnią.

— Tnę potnę, obwieś, parszywiec! tnę potnę, huncwot, tatarczuk, widzisz mi go! —

Major Kordysz go hamował:

— Panie Komorniku, ale może w tem nie było złej myśli Pana Jenerała; on uważa Konfederatów za nieprzyjaciół królewskich, za szkodliwych Ojczyznie; widzi Pan, że teraz pociągnął sam z całem wojskiem do Szarogrodu, a nam wydał rozkazy, aby jak najprędzej hajdamaków wytępiać i szlachcie spokojność wracać.

— Tnę potnę, i Waćpan to zowiesz dobrą chęcią Pana Branickiego ku Ojczyznie? Ja oświadczam w obec wszystkich, że Branicki zdrajca! Tnę potnę, kwasu nawarzył, na szlachtę zbójców sprowadził, a kiedy widzi, że szlachta do broni się wzięła, toć i on chce uspakajać hajdamaków. On to dobrze rozumie, że nie przelewki, kiedy szlachta polska na koń wsiądzie; dostałoby się jemu i jego królowi. Tnę potnę, przed trybunałem to dowiodę, że Branicki zdrajca, bez czci i wiary; i król Stanisław August nie lepszy, a kto mi zaprzeczy, gotowem się z nim popróbować. —

I schwycił ręką za rękojeść szabli. Oficerowie milczeli, a szlachta okazywała oburzenie swoje.

Brygadjer tymczasem rozkazy wydawał, dyktował raporta. Panowie oficerowie porozchodzili się urządzić służbę wojskową, rozkwaterować żołnierzy.

Wernyhora zebrał szlachtę do osobnej izby.

— Panowie bracia szlachta, nic my tu nie poradzimy, a możemy się doczekać, że Pan Branicki każe nas rozbroić, jak winowajców sądzić, albo wyda Moskalom jako Konfederatów. Pan Jerlicz dobry człowiek, ja go od dawna znam; ale ci wszyscy cymesi ze starszyzny wojskowej jak przed złotym cielcem przed służbą oficerską biją pokłony. U nich oficer winien Króla bronić, służyć mu wiernie, a o Ojczyźnie ani myślą. Młodsi radziby z nami się połączyć, ale boją się przestąpić praw wojskowych, pójść wbrew woli starszych; w nich płynie krew polska i serce bije dla Ojczyzny, ale długie czasy ubiegną, nim oni zaczną myśleć przez siebie i przez siebie działać. Przyjdzie kiedyś ta chwila; służba niewyssana z miłości ojczyzny i nieobrócona na jej pożytek, stera imię człowieka i cześć jego w nic obróci.

— Tnę potnę, ma prawdę kolega; człowiek bez wiary, bez Ojczyzny i psa nie wart. Co mi tam, że za honor bić się będzie; toć i niemiec jurgieltowy, jak mu wyrżniesz w pysk, to się pojedynkuje za honor.

— Mojem zdaniem, Panowie bracia, rozjedźcie się zbrojnie po domach i tam być w pogotowiu, przystępować do Konfederacji Barskiej; nie zginęła ona wzięciem Baru; zbierajcie się w małe oddziały, a jak możecie, tępcie niewolnicze wojsko Carycy; nie zrażajcie się żadną klęską, bo dla narodu, który u siebie prowadzi wojnę z obcym wrogiem, klęski nawet są szczeblami do zwycięztwa, byle tylko przy nich była wytrwałość i silne postanowienie wygładzić nieprzyjaciela. I w Moskwie zabraknie na ludziach, jak zaczniecie ich mordować. Ja wam przyrzekam śpieszną pomoc; znajdą się mnodzy przyjaciele, bo wierzajcie mię, że i obcy lepiej sprzyjają temu, który bije jak może, jak temu, który rachując na cudzą pomoc, spuściwszy uszy, w domu gnuśnie siedzi.

— Panie Wernyhoro, po co mamy się rozchodzić — ozwie się Łowczy — ot tak jak teraz jesteśmy odłączmy się od wojska koronnego i pod dowództwem Pana Nekrasy zaczniemy wojnę z Moskalami. —

Wszystka szlachta powtórzyła za nim:

— Dobrze mówi Pan Łowczy, prosimy Pana Nekrasę, aby nas prowadził na Moskali. —

Wernyhora potrząsł głową.

— Tak być nie może, Panowie bracia, całą sprawę moglibyśmy o szwank przyprawić; nie na jednym, ale na wszystkich punktach trzeba wydać wojnę Moskalom. Niech się szlachta ze

swoimi ludźmi uzbroi w każdej wiosce, niechaj otwartym bojem albo podejściem gubi Moskwicinów. Gdybyśmy tu zaczęli wojnę, obrócilibyśmy wszystkie siły na siebie, a naszą klęską rzucilibyśmy popłoch na braci, i źle by było.

— Tnę potnę, i ja chciałbym co prędzej zetrzeć się z psem Moskalem, ale Panowie Bracia, pójdźmy za radą Wernyhory, on prawi zawsze jak gdyby czytał w księdze przeznaczenia. —

Po wielu korowodach przystała szlachta, aby rozejść się po domach, ale widać w oczach, że wolałaby się bić; i Nekrasa niekontent z tego, bo się przekonał że szlachta polska i Kozacy szlacheccy tak się dobrze biją jak Zaporożce, a miło dowodzić człowiekowi walecznemu walecznymi ludźmi. Coś długo gadał w kącie izby z Wernyhorą; słów nie słychać, bo cicho mówili, ale na twarzy Atamana spostrzegać się dawał upór, a starzec coraz bardziej wolniał.

— Muszę się widzieć!

— Niechaj i tak będzie, zaraz pojedziemy, ale wprzódy muszę pogadać z Komornikiem. —

Wziąwszy na stronę Drożewskiego, rozmawiali z sobą; a tymczasem szlachta oświadczyła Jerliczowi, że myśli do domów się rozjechać, będąc pewną że wojsko narodowe przywróci spokojność krajowi. Brygadjer rad z tego postanowienia, szczerze oświadczył że go pochwala, i zaręczył iż mogą rachować na jego gorliwość i na męztwo żołnierzy, że spokój wygnany z Województw ruskich na nowo tam zawita. Wernyhora polecił Biłowusowi powrócić do Parchomówki i dał kartkę do Głębockiego; Nekrasa od serca pożegnał dziarskich Kozaków i ich przywódcę, i oni go z żalem żegnali, mówiąc:

— Daj Boże, abyśmy się znowu zobaczyli i tak zahulali, jak dzisiaj. —

Przy rozstaniu ze szlachtą, Łowczy uściskał Nekrasę.

— Spodziewam się że nie pierwszy i ostatni raz zrobiliśmy znajomość z Panem Atamanem.

— Ja pewny jestem że znajdziemy się wszędzie tam, gdzie trzeba będzie walczyć i umierać za Polskę. —

Pan Porucznik po bratersku także pożegnał się z Nekrasą.

— Atamanie, nie zapominaj o moim bracie Łukaszu; bogdajby on poszedł w twoje ślady. —

Pojechali Wernyhora z Nekrasą, a szlachcie smutno: jakby z rodzonymi braćmi się rozstali. Kozacy szlacheccy smutni, oni myśleli tęgo zahulać na bojaczce, a tu w samym pierwszym poskoku wódz ich Bóg wie gdzie odjeżdża.

Ze wschodem słońca szlachta z Kozakami dworskimi w swoją drogę pojechała. Jerlicz dwie chorągwie wyprawił w pościgi za Gontą, jednej jeńców kazał przeprowadzić do Kodni; z jedną chorągwią major Kordysz pozostał na leżach w Ładyżynie, dla pewności okolicznej szlachty. Po opatrzeniu rannych, po po-

grzebaniu ciał pobitych, sam Brygadjer z bataljonem Małoklęckiego pociągnął ku Szarogrodowi.

Przejdą mnogie lata, stoczą robaki kości poległych; na grobie Żeleźniaka nie jedno pokolenie budiaków przeminie, przemądry historyk może nie wspomni o Hubnickiej bitwie, ale lud wiejski zachowa ją w swej pamięci jako dowód moskiewskiej zdrady. Późni prawnukowie powtarzać sobie będą: tu bracia walczyli przeciw braciom. Caryca Moskwy świętokradzkiemi usty wołając w imię wiary, w imię wolności, uzbroiła bratnie dłonie na serca bratnie; tu w tem miejscu szlachta z Kozakami zgniotła, pokarała opętanych zbrodniarzy. Dla nas to, dla naszego potomstwa przestroga, aby Kozacy żyli w zgodzie ze szlachtą jak dzieci jednej Matki, a nie słuchali obcych podszeptów, co pracują, aby na cząstki porozcinać Naród Polski, jak już porozcinali jego ziemie. Może kiedyś nadejdzie ta chwila, że znowu na Hubnickich polach szlachta Lacka i młódź Kozacza społem zawiodą wojenny taniec z wrogami o byt Polski, o sławę Polski.

IX.

Radź się serca własnego, niczyjej powagi
Tu nie słuchaj, ni stryja gróźb, ni namów . . .
Pan Tadeusz. A. Mickiewicz.

Kuna liche miasteczko, ledwo kilka karczem żydowskich na rynku liczy, i to połowa niezajezdnych; po środku kłoda do mierzenia zboża w dni targowe, nie dranicą, ale słomą pokryta, studnia z krukiem i rynek zielem porośnięty; za rynkiem kościół drewniany i omurowany w czworogran klasztor Księży Kapucynów, dalej ślady zamczyska, ekonomja i zabudowania dworskie, a wszystko starością zczerniałe, wiekiem pogarbione i wklęsłe w ziemię. Po nad Sobem ścielą się sady, z pomiędzy nich wyzierają chaty chłopskie i dworki, a jedne i drugie świeże i chędogie; rzekłbyś, że miasto podzieliło się na dwie części: jedna jak prababka, pokrzywioną postacią i zmarszczkami lica, wzrok odpycha, a nęci ciekawość myśli, chcącej przenurtować po falach, które ona przeżyła; druga część, jak młodziuchna wnuka, wabi oko wiosenną krasą, ale dla myśli niema przeszłością, a do przyszłości tylko to ona może przemówić: albo przeżyję długie lata, zobaczę dziwnę rzeczy, lub umrę, mało albo nic nie widząc.

Weszło w przysłowie w całej okolicy, że w Kunie na targu można tabuńskim koniem cwałować i w szerz i w poprzek po rynku, ile się podoba, a jeszcze się nie trąci człowieka, takie tam pustki; teraz zaś na przekorę przysłowiu targu nie masz, a w całem miasteczku tak tłumno snują się ludzie, jak nad błotem komary po zachodzie słońca. Kroje ich sukień rozmaite, a na nich pstrokate kolory: to wojsko Carycy Moskiewskiej, na łeb leciało ku Barowi naprzeciw Konfederatom. Goniec przybieżał od Apraxyna, że Bar wzięty, że Branicki żołnierzem polskim zastąpił miejsce Moskali: i cała tłuszcza zatrzymała się w Kunie. Żołdactwo niewolnicze rżnie woły, dusi kury; po stodołach, po komorach grasuje, ostatni dobytek chłopom wydziera; znęca się nad ich żonami i córkami, a ciągle woła: My wasi przyjaciele, nasza matuszka Caryca was kocha.

Na ekonomji, po szlacheckich dworkach, po żydowskich karczmach, podobnież pałamarują moskiewscy oficerowie, tłuką

gospodarzy, grabią jak w nieprzyjacielskiem mieście szturmem zdobytem, a ciągle powtarzają: nasza przesławna Imperatorowa Katarzyna Polską się opiekuje, my wasi przyjaciele.

Przed klasztorem stoją zielone jaszczyki z pułkowemi kasami, a koło każdego szyldwach z dobytą bronią przechadza się mierzonym krokiem. I do klasztoru zakwaterowało się kilku starszych z oficerstwa, ale ci dosyć spokojnie bez brewerji się znachodzą. Prawda że Ksiądz Gwardjan karmi i poi; pewno całoroczna kwesta pójdzie na ugoszczenie Moskali, a dla większej przezorności, kazał Kapucynom po celach siedzieć, aby burym habitem nie drażnili syzmatyckiego ducha w gościach. Gwardjan Jan Chiczewski, choć wie o śmierci brata i synowca, i list jego przedśmiertny odebrał; choć widzi bratowę i synowicę we łzach tonące, zwyczajnie mnich, z obojętnem uczuciem, z sercem nie dla ludzi, chodzi, zaciera ręce, uśmiecha się, kontent z siebie; a kiedy braciszka przypadkiem zdybie, powie: — Księże Braciszku, nie w ciemię mnie bito, kiedy jest tu gospodarz — i poklepał się w czoło — to znajdą się sposoby; uchodzić można i samego djabła. — Potem zawołał na organistę: — A nie widziałeś tam Pani Gubernatorowej i Panien? — Organista schylił się z pokorą.

— Reverendissime Pater, modlą się w kościele. —

Gwardjan ofuknął: — Zawsze w kościele! dość tych modłów; wszystkiemu musi być koniec, a ja z tymi Moskalami rady sobie dać nie mogę — i poszedł do kościoła.

Tam przed wielkim ołtarzem klęczały trzy niewiasty w czarnych szatach; ręce złożone dłoniami do siebie, oczy w górę wzniesione ku obrazowi ukrzyżowanego Chrystusa; łza ścieka po licach, a usta bezustannie ruszają się modlitwą. Smutna była twarz rozpaczającej matki, smutne i piękne razem były oblicza córek; najpiękniejsza w ówczas niewiasta, kiedy przychodzi składać swój smutek na łonie Przedwiecznego i żebrać u stóp Jego myślą i słowem pociechy, ulgi swemu nieszczęściu. Gwardjan zatrzymał się czas jakiś: może mu serce zabolało, przeżegnał się krzyżem świętym, uderzył w piersi, ale w tem usłyszał brzęk broni koło kościoła, żywo zbliżył się do ołtarza:

— Pani Bratowo, dość tych szlochów, nie wypłaczesz łzami zmarłych; co śmierć zabierze, tego nie wraca; teraz trzeba myśleć o żywych. Obrona naszego klasztoru w Waćpani mocy, chcesz-że, aby Moskale tak z nim się obeszli, jak z Ekonomją i z dworkami szlacheckiemi?... Już tam wszystko poprzewracane do góry nogami. —

Kobiety wstały, a Pani Chiczewska patrzy mu w oczy: — Bracie, cóż ja wdowa z mojemi sierotami mogę ci pomódz?... Pozwól nam popłakać, pomodlić się, to nasza jedyna pociecha.

Jednak poszły za Gwardjanem do zakrystji.

— Na wszystko jest czas, w nocy płakać, a w dzień po co się

przydadzą te babskie zachody; trzeba z ludźmi żyć, a nie wszyscy to łzy lubią. Waćpani wiesz że ten adjutant jeneralski dla niej to robi, że się przecie po ludzku z nami obchodzą Moskale — obrócił się do Panien: — i Waćpanny otrzyjcie te łzy — pogłaskał Pannę Magdalenę po twarzy — Magdusiu bądź grzeczną, zasługa przed Bogiem ocali dom Boży. —

Joasia się odezwała: — Stryjaszku, jakże ty chcesz, żebyśmy się śmiały, kiedy nam na sercu gorzko; jak mamę kocham, lepiej pozwól, abyśmy poszły do naszego pokoju.

— Cnota nad cnotami, trzymać język za zębami — kiedy starsi mówią, to młodszym milczeć; naśladuj starszą siostrę — i tu łagodząc głos: — Pani Bratowo przebacz, że czasem unoszę się gniewem, to wszystko pochodzi z przywiązania do was, ja waszym opiekunem, ojcem: moim obowiązkiem was pocieszać.

— Bracie, ja ci wszystko przebaczę, tylko pozwól, abyśmy nie bawiły tych Moskali.

— O ten raz tylko proszę ciebie, Pani Bratowo; jutro ich ztąd licho zabierze, a w ten czas będziecie robiły, co wam się podoba. —

Weszli do refektarza, gdzie już było mnóstwo moskiewskich oficerów; ci kłaniali się ciężko jak niedźwiedzie i z głośnym cmokiem całowali w ręce kobiety; jeden tylko szykownie się pokłonił i z partesu w ręce całował: to był graf Tamara, adjutant Kreczetnikowa, mianowany Pułkownikiem, ozdobiony orderem Świętego Jerzego za waleczność okazaną w wyprawie Czehryńskiej, a co większa, dowódcą brygady, wysłanej w pomoc Apraxynowi.

Zasiedli do wieczerzy. Ksiądz Przeor czmut, z obu stron Pani Chiczewskiej posadzał jej dwie córki, a obok Panny Magdaleny Pana Grafa. Jeden z majorów zatarł ręce.

— Pan Gwardjan! a czemu wy nie kazaliście przyjśdź do stołu waszym Braciszkom?

— Panie Majorze, nakazałem post na trzy dni, aby uprosili łaskę Nieba dla Cesarzowej Pani, naszej opiekunki. —

Major pokręcił głową: — No to szkoda, bobyśmy się trochę po wieczerzy pobawili; wasi Kapucyni to istne niedźwiedzie bartniki. —

Oficerowie zaczęli się śmiać i poklaskiwać dowcipowi Majora, a Major uniesiony zapałem rozumu, przysunął się do Panny Joanny.

— Pannoczko, czego wy tak smutna, trzeba z nami się poweselić — i dwoma palcami z lekka uszczypnął ją za policzek. Panna Joanna zczerwieniła się i wstała od stołu.

— Panie Majorze, proszę Pana być grzeczniejszym. —.

Tamara spojrzał groźnie na dowcipnego Moskala, a ten ledwie w głos wyjąkał:

— Pannoczka przepraszam; ja myślałem że to polityka, mnie

tak uczyła Popadja w Stawiszczach; ja nie wiedział że Laszki takie dumne i jak tabuńskie klacze boją się ręki. —

Zaledwie kończył te słowa, Tamara huknął: — Won od stołu, na trzy dni aresztowany, głupiec!

Major wstał, pobladł, podrapał się w głowę, oddał szpadę i wyszedł z refektarza.

Gwardjan pochylił się: — Panie grafie, ale to za surowo, ja wnoszę prośbę, niechaj Pan przebaczy Majorowi.

— Księże Gwardjanie, nie mogę, z tymi osłami inaczej rady by sobie człowiek nie dał, bić a słuchać. —

Oficerowie szepnęli z cicha pomiędzy sobą: — Chwat Komendant.

Tamara przepraszał Pannę Joannę, która już siadła na swojem miejscu.

— Przepraszam Panią za tego gbura, mam nadzieję że i Moskale tak ugrzecznieją jak Włochy — a głos jego był jak pieszczotliwy śpiew, oczyma przewracał do Panny Magdaleny:

— Widziałem w Wenecji, w tym kraju boskim, jak kawalerowie życie poświęcali na jedno skinienie ulubionej damy; ale Pani taka smutna, aż mi się serce kraje. Razu jednego w Wenecji —

W tem drzwi się otworzyły i wszedł oficer od służby, stanął, wyprostował się, rękę przyłożył do kaszkietu i jak pacierz recytował:

— Do waszego wysoko-błogo-rodzeństwa z raportem przyszedł. Na kwaterach spokojnie, prowiant rozdany, dziesięciu wybitych pałkami odesłałem do lazaretu, dwóch umarło, wszystko pomyślnie — przystąpił bliżej — od Jego Siatelstwa Jenerała Kreczetnikowa z Iwangroda przywiózł Kozak. — Tamara wziął papier.

— Podać raportem, że konie pobili tych ludzi, ruszaj! —

Oficer odszedł.

— Przepraszam Panie — odpieczętował list i czytał, a po chwili rzucił go.

— Hajdamacy pobici pod Hubnikiem!

Kobiety wstrzymały łzy na wzmiankę o hajdamakach; Tamara zaś mówił do siedzącego obok niego Rotmistrza:

— Weźmiesz dwa szwadrony huzarów Woroneżskich, dwie sotnie Kozaków Własowa, jedną armatkę i z tem udasz się do Hubnika, tam pojmiesz albo żywych albo umarłych: Nekrasę Atamana Kurennego Zaporoża, i Wernyhorę; szlachtę po domach rozpędzić, gdyby nawet trzeba było użyć siły. —

Panna Magdalena spuściła oczy, słysząc imię Nekrasy wspomniane. Joasia ciekawie słuchała, jedna Pani Chiczewska na słowo się odważyła:

— Za cóż taki surowy wyrok na tych dwóch przyjaciół Polski?

— Nie wiadomo mi dla czego Jenerał Kreczetników ma podejrzenie, że ci ludzie kłócą spokojność kraju, a naszym obowiązkiem jest wytępić burzycieli w Polsce. Zresztą ten Nekrasa porzucił Zaporoże, staje na czele szlachty, mięsza się do rzeczy wcale do niego nie należących. — Gwardjan słuchał:

— Dobrze robi Pan Jenerał, bo też to ci niby przyjaciele najwięcej złego robią; znałem ja kiedyś tego Wernyhorę, rozumiałem że poczciwy człowiek, ale teraz zaczynam się przekonywać że on z Nekrasą mieli zmowy z hajdamakami. — Graf prędko podchwycił:

— Czy ma Ksiądz Gwardjan jakie dowody? —

Zmięszał się Ksiądz.

— Ja nie mam dowodów, ale tak sądzę; okoliczność, wypadki, mówią że to być może. —

Panna Joanna żywo się odezwała: — Ja zaręczam Stryjaszka że to wszystko fałsz. Ojciec Wernyhora i Pan Nekrasa najlepsi Polacy; nie tylko my, ale wielu ludzi życie im winno.

Ksiądz spojrzał surowo na synowicę, a Tamara przygryzł wargi:

— Szczęśliwy, kto ma takich obrońców! —

Wstali od stołu. Pani Gubernatorowa prosiła o pozwolenie odejścia do siebie, pożegnała mężczyzn, wyszła z córkami. Graf mówił z cicha z Gwardjanem:

— Coś nie ma nadziei, ażebym ja został synowcem Księdza Gwardjana?

— Panie Pułkowniku, nie od razu Kraków zbudowany, z czasem wszystko można przezwyciężyć.

— Księże Gwardjanie, moja wdzięczność będzie nieograniczona — potem zaczęli rozmawiać o rozmaitych rzeczach.

Na dole, na drugim dziedzińcu od ogrodu były dwa małe pokoiki; tam ksiądz Gwardjan obrał mieszkanie dla bratowej i synowic temczasowie, nim coś lepszego obmyśli. Od klasztoru był oddzielony murem ten mały domek, a od furty tylko u Gwardjana i księdza szafarza były klucze; ogród był okopany głębokim rowem, przed nim wznosił się wysoki ostrokół obłożony tarniną, tak iż sam djabeł tamtędy nie mógłby przeleźć. Ksiądz Gwardjan zakazał, aby ludzie Pani Chiczewskiej tam nie chodzili, pod pozorem że za nimi może się wśliznąć Moskal i nabawić strachem kobiety, a ksiądz szafarz, staruszek wierny Gwardjanowi. Juś dwadzieścia pięć lat jak na tym obowiązku strawił, a żaden z przełożonych słowa przeciwko jego uczciwości nie mógł powiedzieć, a co większa, braciszkowie mówili: ksiądz Anzelm sknera, kutwa, ale poczciwy, bogobojny człowiek; zgoła, że Pani Chiczewska z córkami była jak w więzieniu.

Wszedłszy do siebie Gubernatorowa Łysianki, wzięła list od męża:

«Kochana Salusiu, tracisz syna, męża, ale zostaje ci dwoje dzieci: żyj dla nich, ja was błogosławię i oddaję w opiekę bratu Janowi. Za życia nie zawsze byliśmy z sobą dobrze, ale śmierć to wszystko zatarła, mam nadzieję, że on was nie opuści; rozkazuję wam, słuchajcie go. Całuję po raz ostatni i ciebie i dzieci. Twój kochający mąż, Adam Chiczewski.»

Zlała go łzami i złożyła jak świętość jaką.

— Joasiu, nie trzeba narażać stryjaszka; każdy sądzi jak mu się zdaje: widzisz jak ojciec kazał go słuchać?

— Jak mamę kocham że ja nie myślałam gniewać stryjaszka, ale wstrzymać się nie mogę, abym nie zaprzeczyła, kiedy obmawiają ojca Wernyhorę i Pana Nekrasę. To źli ludzie!

— Joasiu moja, i źli i dobrzy ludzie często błądzą w swoich sądach; proszę ciebie aby to już był koniec tym sporom ze stryjem; widzisz jak Magdusia milczy, jak przystoi na dobrze wychowaną panienkę.

— Moja mamo, cóż ja temu winna że nie mogę utaić moich myśli; jak Matkę Najświętszą kocham, że się nie urodziłam na dworską Panię, u której co innego w sercu, a co innego w uściech; ja prosta szlachcianeczka, jak czuję tak mówię. —

Otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz Anzelm. — Niech będzie Bóg pochwalony, pokój temu domowi. — Głowa jego łysa jak kolano, broda jak śnieg biała, a twarz w szerokie zmarszczki porysowana. — Moje dziatki, jakże wam jest?

— Zawsze smutno, boleśnie.

— Słuchajcie mnie, ja wam coś powiem, tylko cyt o tem przed Gwardjanem, on by mnie ukamienował, gdyby się dowiedział.

— Nie powiemy nikomu, bądź spokojny, Księże Anzelmie.

— Oto dwóch ludzi chce się widzieć z wami.

— Jacyż to są ludzie?

— Jednego znam, dawny przyjaciel; dla niego nic bym nie odmówił, nawet kluczów do nieba, gdyby były w mojem ręku; drugiego pierwszy raz widziałem, ale oto karteczka.

Pani Chiczewska otworzyła karteczkę i przeczytała. «Kumo, koniecznie musimy się widzieć z sobą.» — To Wernyhora! —

— Cyt, nie tak głośno wymawiajcie to imię, bo tu i mury uszy mają, ledwiem uratował od niebezpieczeństwa tych poczciwych ludzi; stary ufny w dawną zażyłość z Gwardjanem, przyszedł z nim się widzieć, ale szczęściem mnie napotkał przed klasztorem; patrzę na żebraka, coś mi znana twarz, a jego towarzysz choć niby to się garbił, ale z oczów mu patrzyło, że nie po jałmużnie chodzi, ale jakby dybał na życie ludzkie; już i psy Moskale zaczęli się im przypatrywać, ja podszedłem: — Moi kochani, czego wy chcecie? — Stary odpowiedział: — Z Księdzem Gwardjanem chciałbym pomówić. — Po głosie poznałem, z kim mówię, a wtenczas zaprowadziwszy za kościół, opowie-

działem, co ich może tu spotkać. Stary chciał się z wami widzieć, ale nie bardzo naglił; młody żywo powiedział: koniecznie muszę się widzieć, gdyby mi przyszło połowę Moskali wyrżnąć, samemu zginąć, to swego dopnę. Jakiś to musi być dzielny człowiek, z oczu widać że nie cierpi Moskali. Przyrzekłem że się z wami obaczy; ukryłem ich teraz, a o północy tu przyprowadzę, tylko świeczka niechaj nie świeci bardzo jaśnie.

— Księże Anzelmie, ty dla nas się narażasz, jakże tu ich doprowadzisz?

— W tem to moja rzecz, bądźcie spokojne, dla starego gotówbym i do piekła podróż odprawić, a ten młody przylgnął mi do serca. Znałem ja kogoś jak dwie krople wody podobnego, ale już sobie nie przypominam; starość nie radość. —

Panna Magdalena zbliżyła się: — Księże Anzelmie, jakżeś ty dobry! — i dalej nic nie powiedziała, tylko spuściła czoło ku podłodze, a Joasia dodała:

— Prawda, Księże Anzelmie, że nie lubisz Moskali tak jak i my, że ganisz stryjaszkowi jego grzeczności dla tych łotrów?

— Moje dziecko, ja ganić jego postępowania nie mogę, on mój starszy, zresztą Ksiądz Jan nie lubi Moskali; on tylko im świeci baki, bo idzie o całość klasztoru, a ten Graf obiecuje mu wiele rzeczy. Ksiądz Jan zawsze był łakomy na dostojeństwa, od czasu jak go zapamiętam. Pan Adam to był dobry Polak!... Radbym żeby to plugastwo moskiewskie zaprzepadło na wieki; ale bądźcie zdrowe, moje dzieci, a nie trwóżcie się. Ksiądz Gwardjan z Moskalami miodek zapija, a ja im dodam dębniaka, aby zapoić to wszystko, tylko zawsze trzeba ostrożnie; gdyby się dowiedział, byłaby mi bieda. Do zobaczenia się, moje dziatki. —

Niecierpliwość weszła i w serca i w oczy trzech kobiet, matka ciągle się patrzy na zegarek. Magdusia w okienko wzrokiem strzela, a Joasia coś gada, ale nikt jej nie słucha; zaledwie mysz szerknie w spiżarni, albo niedoperz trąci liściem lipy zawieszającej gałęzie nad okno, już wszystkie się na nogi schwycą i patrzą i słuchają; coraz się zbliża godzina, czas się dłuższym zdaje, a niecierpliwość rośnie; bije pół do dwunastej, wszystkie czatują uchem, już okiem nic nie widać na dworze.

Okna w pokojach otwarte, do koła tylko liście szemrzą, żaby w dole skrzeczą, rozbija się w powietrzu echo kroków szyldwachów chodzących na warcie, ale w klasztorze cisza; widać że śpią Mnichy i Moskale. Wtem klucz z lekka pisnął w zamku furty, drzwi rypnęły z głucha i kradnącem się stąpaniem weszło trzech ludzi. Ksiądz Anzelm najprzód się ukazał.

— Chodźcie do ogrodu, bo z Gwardjana okien widać prosto w wasze okna; choć dobrze mu zadałem dębniaka, ale nie zaręczam, aby się nie ocknął, a zwyczajem jego zaraz biedz do okna. —

Wyszły kobiety do ogrodu, tam powitały Wernyhorę i Nekrasę jak rodzonych braci. Pani Gubernatorowa pyta Wernyhorę o ciało męża, syna; Joasia tysiąc pytań zadaje, Wernyhora odpowiada na te smutne pytania i wzajem pyta co zrobiły z Francuzem?

— Bogu chwała, przed samą Kuną zdybałyśmy jakiś wozek. Hrabia zakrzyczał: Pan Dzwonkowski! Pan Dzwonkowski!... Wysiadł z niego już poważny człowiek, powiedział nam że cała okolica Moskalami i koronnem wojskiem napełniona i zabrał z sobą Hrabiego.

Nekrasa zbliżył się do Magdusi, wziął ją za rękę, ona go lekko ścisnęła, na sercu im miło, roskosznie, krew żywiej krąży po żyłach obu kochanków, dusza do duszy lgnie, a twarze tak się zbliżyły do siebie, iż oddech z oddechem się mięszał, płomień młodzieńca palił lica dziewicy, rozmowa była przerywana.

— Ja jadę, i na długo.

— Ale Pan powrócisz?

— Może, ale czy będę miał po co powracać?

— Ja zawsze taż sama, nigdy się nie zmienię.

— Panna Magdalena mnie kocha? — zawołał z zapałem.

— Kocham. —

I głowa jej schyliła się ku głowie Nekrasy; ręką drżała, włosy się musnęły i usta z ustami się zetknęły, i po raz pierwszy się zbliżyły lekkim, słodkim, anielskim pocałunkiem, a opojeni roskoszą stali, nic nie mówiąc do siebie.

Matka i Wernyhora się zbliżyli, Ksiądz Anzelm stał na straży, Joasia koło niego.

— Synu, mówiłem twoje obawy kumie, mówiłem o dawnych układach z Panem Adamem; bądź spokojnym. Matka ci przyrzeka córkę, a choć to nie chwila wesela, pozwala abyście przysięgli sobie wzajemną miłość i wierność, jeżli się kochacie. —

Nekrasa całował rękę Pani Chiczewskiej, Magdusia padła jej do nóg. Gubernatorowa podniosła córkę, uściskała ją i Nekrasę, i Wernyhora uściskał oboje. Nekrasa zdjął srebrny pierścień z palca i włożył na palec oblubienicy, ona mu wzajem dała obrączkę złotą.

— Niechaj was Bóg błogosławi, bądźcie szczęśliwi! — rzekła matka i Wernyhora, a wtem nadszedł ksiądz Anzelm: — Światło w oknach Gwardjana!...

— Księże Anzelmie, pobłogosław zaręczyny — zawołał Wernyhora. — Pośpiech był w mowie księdza.

— W Imię Boga Najwyższego, i imię Matki Dziewicy Królowej Niebieskiej, Opiekunki polskiej Korony, błogosławię was, bądźcie sobie wiernymi aż do grobu, inaczej biada wam. —

Nadbiegła Joasia:

— Stryjaszek otworzył okno i bierze na siebie habit.

— Żywo uciekajcie furtką przez ogród — zawołał Anzelm —

oto masz klucze — i dobył klucz z zapasa — tam stoi szyldwach, to go zepchnąć, to Moskal. —

Nekrasa pocałował jeszcze raz Magdusią i w ucho szepnął: — Kochaj mnie — i wziął za odpowiedź:

— Nie zapominaj o mnie nigdy.

Już zniknęli z oczu kobietom, furtka odemknęła się i zatrzasła, głos jakiś krzyknął: — Kto idzie? — potem coś jęknęło i wszystko ucichło; kobiety wróciły do pokoju. Ksiądz Anzelm do furty dochodził, kiedy się ztamtąd wysunął Gwardjan z latarnią.

— Księże szafarzu, tak późno co tu robisz?

— Reverendissime Pater, niespokojny byłem o zdrowie Pani Gubernatorowej, przyszedłem się dowiedzieć. —

— Dobrześ zrobił; cóż tam z niemi się dzieje? płaczą, modlą się?

— Reverendissime Pater, nie śpią. —

Podszedł Gwardjan pod okno, zobaczył że wszystkie trzy klęczą, wrócił nazad: — Modlą się, daj im pokój, niechaj tylko w dzień głupstw nie robią. — I obadwaj wrócili do celi.

Nazajutrz dzień, wielki harmider w klasztorze. Znaleziono trupa moskiewskiego za ogrodem Kapucynów. Księdzu Gwardjanowi ani przez myśl przeszło, aby ktoś furtkę otworzył, oprócz niego i ojca Anzelma nikt o niej nie wiedział, a przed okiem Moskali tak dobrze ukryto tarniną, że chodząc do koła, ani domyśleć się o jej istnieniu żaden nie mógł. Pan Tamara srożył się czas jakiś, że miasto każe spalić, zrabować; ale kiedy przyszły kobiety, a Panna Magdalena nawet się uśmiechnęła, ułagodził się i kazał podać raportem: że żołnierz stojący na szyldwachu nagłą śmiercią umarł. Ksiądz Anzelm sam w sobie tylko powtarzał: Lubię takie zaręczyny przypieczętowane krwią moskiewską.

Kiedy Nekrasa na przemiany przechylał to kielich zwycięztwa, to kielich miłości, Gonta jak utrapieniec boży z garstką niedobitków manowcami uciekał ku Dniestrowi. Ciężkie wyrzuty ciągle mu kołacą do sumienia: zdradziłeś Pana, szlachtę, a nie umiałeś być wodzem ludu. Spojrzy na młodego Młdanowicza, którego stary kozak wiezie przed sobą na koniu, i zaraz mu przyjdą na pamięć własne dzieci pomordowane własną ręką; klnie przeklętego popa, co w zamian zbawienia przy spowiedzi wymógł na nim przyrzeczenie zbrodni, a łza gorzkiej boleści ciśnie się do ojcowskiego oka. Spojrzy na czaple pióro przy swojej czapce, złamane, zwieszone, tak jak oszukane nadzieje jego dumy. Darmo Szwaczka pociesza go słowy:

— Za Dniestr dostaniemy się, mamy dosyć złota, aby sobie

żyć uczciwie, spijać miodek i wódkę, a przyjdą lepsze czasy, znowu zaśpiewamy na pohybel Lachom i Żydom.

— Bóg to wie, czy się za Dniestr przebierzemy, wszędzie są wojska.

Z drugiej strony Stiahajło w ucho mu kładzie: — Wróćmy nad Roś, tam Ojciec Bazyli przybędzie, dostaniemy nowych ludzi. Ojcze Atamanie, nie trać nadziei, silny ten, kto chce walczyć w imię wiary, w imię ludu. —

Ale Ataman już losem znękany, krótko słowem utnie:

— Nie podobna. —

Nie śmie zatrzymać się w wiosce, i dniem nie śmie iść, o świcie staje w lasku, albo w jarze, o zachodzie w pochód rusza; jak złodzieje żywią się hajdamacy, choć wszędzie chłopi radziby z duszy ich przyjąć po bratersku, oni boją się zagościć; uciekają, a Lackie wojsko ślad w ślad za nimi goni. Uderzyli w stronę Szarogrodu, tam powiedziano im: ciągnie Branicki, obwieścił zagładę hajdamakom; skręcił się nazad ku Perewala lasowi, ale i tam wieść przybyła, że regiment Królowej Jadwigi nad Bohem się rozłożył; a tymczasem kawalerja narodowa nadchodzi, już tak blizko, że z wiatrem dolatuje granie trąbek, a kiedy wychodzą z dniówki, zajrzą czasami na górach migające proporce towarzyszy. Nie ma ratunku — musiał Gonta ciągnąć pod sam Szarogród.

— Ja pojadę do Pana Branickiego, ozwie się Szwaczka, choć Lach, może przypomni sobie dawne przehowory i przepuści za Dniestr.

— Jedź, przyrzecz wieczne milczenie, niechaj tylko nas puści.

— Ale przed Dniestrem zaczekasz na mnie, Ojcze Atamanie, bo ja wolałbym jeszcze z wami spijać i zjadać jak z Lachami.

— Zaczekam, słowo Atamańskie, do Gruszki przybywaj co prędzej.

— Choćby przyszło ćwierć dnia wódki nie kosztować, to przybiegnę. —

Hajdamacy pokluczyli w lewo, w prawo: przez chłopów nasłali mnóstwo wieści mylnych Lachom, a sami poszli na Szarogród. Dniem obchodzili w koło miasteczko, widzieli proporce ułańskie, okiem rozróżniali zielone kurtki i ponsowe obszlegi, ale nikt im nic nie mówił, czy ich nie widzą, czy też mają zakaz, aby nie widzieć; poszli dalej, znowu się skręcili, zaszli do Serbów, tam przed nimi się wynieśli Dońce i kilkudziesięciu jeźdźców z regimentu przedniej straży, którzy przyszli zapisywać kwaterę dla Branickiego i Podhoroczanina, Jenerałów dwóch przyjacielskich monarchów, dwaj wierni słudzy. Spieszą w parze gnębić Hajdamaków; ale tą razą Rotmistrz Janikowski, dowódzca tej przedniej straży, chociaż w sile, dowiedziawszy się o ciągnięciu Hajdamaków, kazał wyjść za wieś i stanąć zdala na polach. Gonta to widzi, otucha mu wstąpiła do serca, przeszedł

Serby i spokojnie pociągnął do Gruszki; tam pozwolił konie rozsiodłać, a gromada z cechem cerkiewnym wyszła na powitanie Atamana.

Choć w nieszczęściu, lud nie odbiega tego, w którym wyobraził sobie obrońcę swoich swobód, swojej wiary: bankietem chcą uraczyć przybyłych braci. Nadjechał Szwaczka, wziął Gontę na stronę.

— Panie Atamanie wypijmy, taj ruszajmy. Pan Branicki powiedział: uciekniecie za Dniestr, a ani pies za wami gonić nie będzie, tu ja i nasi przyjaciele Moskale was przepuścimy; ale gdyby wojska regimentarza Stempkowskiego was dognały, to i ja wtenczas będę mordował; szubienicą pachnie żeście kpy, trzeba było bić, a nie dać się zdusić, umykajcie co żywiej a milczcie. —

Gonta się zasmucił i kazał konie siodłać, ale gromada przyszła z prośbą.

— Ojcze Atamanie, godzinkę zostańcie z nami, gromada was prosi pośniadać z sobą; nie daleko do Dniestru, przed wieczorem jeszcze będziecie na tamtej stronie. —

Śniada Gonta ale niespokojny, i Szwaczka bezprzestannie, to w kielich, to na strony pogląda.

Jakiś popłoch w wiosce; Gonta skoczył od stołu:

— Co to jest? —

Zakrzyczeli hajdamacy:

— Uciekajmy Ojcze Gonto, z pod lasa od Czerniejowiec Lachy idą! —

Hajdamacy do koni się biorą, a tu znów krzyk:

— Uciekajmy Ojcze Gonto, brzegiem Murachwy Lachy jak szarańcza suną! —

Szwaczka do resztki miodek popija, a gromada woła — Ojcze Atamanie my ciebie przechowamy, ale już Gonta na koniu:

— Dziękuję wam Panowie Gromada, bywajcie zdrowi. Za mną chłopcy! —

Już Lachów pełno w wiosce, szable błyszczą, furkoczą proporce, trąbki grają: nacierają, a wrzask «hura! w imię Boga! bij! morduj!» jednem silnem brzmieniem odbił się w powietrzu, i zabrzęczał pieśnią śmierci w uszy hajdamakom.

Ze wszech stron uderzyli kawalerzyści narodowi, bronią się hajdamacy i giną. Gonta woła: — przebojem do Jarugi, za mną chłopcy! — i pomknął koniem na przód; szkapa uśliznęła w kałuży i padła na bok, hajdamacy wrzasnęli.

— Ataman zabity! — i poczęli pierzchać po dziedzińcach, po ogrodach; ale Lachy tuż im na karkach siedzą, rąbią, kolą. Gonta z pod konia się wydobywał, czapka mu zleciała; już powstawał, kiedy przyskoczył Horoszkiewicz namiestnik chorągwi Czajkowskiego i z konia capnął za czuprynę.

— A tuś mi szelmo, wraży synu! —

Nie bronił się ani prosił Gonta, stał jak osłupiały: szeregowi

wiążą mu ręce, nogi, chcieliby go na kawałki rozrąbać, ale Panowie Porucznicy Żółkiewski i Czajkowski już tam nadbiegli, i kazali jeńcowi nic złego nie robić. Ścigają hajdamaków; przestraszeni chłopi wydają wszystkie kryjówki gdzie się pochowali, i Pan Szwaczka jak nie pyszny wylazł z lochu opity miodem i wódką, nie krzyczy już: na pohybel Lachom i Żydom! ale uniżenie się kłania. Darmo Panowie Starszyzna Lacka pytają Gontę, on nic nie odpowiada, milczy i potrząsa głową; ale kiedy przyprowadzono małego Mładanowicza, łzy mu się puściły z oczu — Panowie bądźcie mu opiekunami, to szlacheckie dziecko! syn Mładanowicza! — zamilkł.

Malec nawykły kochać chrzestnego ojca, rzucił się mu na szyję i płakał, Gonta go pocałował.

— Weźcie go na miłość Boga, jego uścisk boleśniejszy sercu jak tortury ciała; weźcie go, zaklinam was! —

Szeregowce odprowadzili płaczącego malca; Gonta czas jakiś łzę ronił, a potem zatrętwiał i był niemy i głuchy jak głaz. Znoszą sznury do wiązania hajdamaków, spędzają podwody na ich przewózkę, a ci ludzie co przed chwilą żyli krwią i mordem, teraz nie klną, nie srożą się na Lachów miotających i pięścią i słowami obelgi: zapiekli się milczeniem, zwyczajnie jak ludzie co gotowi pomścić się gdyby się nadarzyła po temu chwila.

Nadbiegli jeźdzce regimentu przedniej straży i dońce Moskiewscy. Pan Rotmistrz Janikowski okazał obudwom Porucznikom rozkaz Pana Jenerała Branickiego, którym wyraźnie polecał wszystkim oficerom, nie wchodząc w ich stopnie, aby wydawali w ręce Rotmistrza Janikowskiego połapanych hajdamaków bez żadnej zwłoki; rozkaz był podpisany w Szarogrodzie przez Jenerała. Czajkowski który już znał sprawki Rotmistrza zimno go powitał.

— To weź Waćpan ich sobie — i wydał rozkazy aby hajdamacy byli wydani komendzie Rotmistrza Janikowskiego. —

Janikowski nie dając czasu wytchnąć swoim żołnierzom, natychmiast ruszył drogą do Serbów, gdzie spodziewał się już zastać Jenerała z wojskiem. Szeregowcy słyszeli jak przejeżdżając koło Gonty z uszczypliwym uśmiechem Rotmistrz mówił:

— Milcz a ocalisz się! — Obaj Porucznicy potrząsali głowami.

— Coś to tam się święci, znowu jakieś łotrostwo Pana Branickiego. —

Żółkiewski dodał — nieszczęście ta służba, inaczej nauczylibyśmy tych szubienników — i kazali w chorągwiach konie popaść i ludzi trochę podkarmić, a potem poszli do Serbów.

W Serbach część wojska polskiego obozem się rozłożyła, reszta jak powódź do wioski wali się Szarogrodzkim szlakiem; w piechocie brzmi i brzęczy janczarska muzyka, w jeździe trębacze rżną w trąby, pałkierze w srebrne kotły walą, sztandarowi

porozpuszczali na wiatr chorągwie, na których srebrne orły sutym haftem błyszczą a czarne laski gęsto żółtemi gwoździami nabijane. Nie jeden tam Król, nie jeden stan rycerski wbił ćwieczek swoją ręką; nad laską na gałce z czystego srebra biały orzeł siedzi; czerwone z białym proporce migocą pod promieniem słońca, i lsknią się jak maki na polu; mundury różnej barwy, konie różnej maści, złoto, srebro, stal, wszystko to bawi oko, a muzyka łechce ucho. Piesze regimenta wielkiej buławy, Czapskich, Ostrogskich, i strzelcy węgierscy we wsi się rozłożyli; ułani, kawalerja narodowa, regiment przedniej straży, Granoscy Kozacy po za wsią stanęli; artylerja z armatami i wozy wojskowe zajęły wygon. Moskali nie przyszło tylko cztery szwadrony karabinierów i pułk dońców, reszta w Szarogrodzie została i ci jak błędne owce na boku odosobnieni przystanęli. Choć Jenerał Branicki z moskiewskiemi Jenerałami za panie bracie, choć polscy żołnierze z jego rozkazu walczą czasami obok niewolników Carycy, jest niechęć między nimi; krzywo na siebie patrzą. Polak burczy i głośno grozi, Moskal z podełba okiem rzuca i wypatruje chwili kiedy będzie mógł potajem Lacha schwycić.

Nadjechały dwie kolasy. Pierwszą ciągnęło siedm koni tarantowatych, przybranych w czarne rzemienne szory, gęsto żółtym mosiądzem przetykane, naczółki mosiężne, a nad oczyma czworograniaste kapy mosiądzem obwiedzione; dwa konie przy dyszlu, trzy w lejcu, dwa na przodzie, na lewym foryś siedział, furman z kozła poganiał i palił z bicza, przodem kozak bieżał, a za kolasą stało dwóch rosłych hajduków. Druga kolasa waliła pięcią pstrokaczami, krakowskie chomonta błyszczały mosiężnemi konikami na kleszczach, brzęczały kółkami i dzwoneczkami; w miejscu płatów wisiały borsucze skóry; krakowiak w granatowej ferezji, czerwonem wykładanej, naszywanej sznureczkami, podpięty pasem skórzanym, z konia jednym lejcem gonił, biczem trzaskał z ręki i na odlew, krzyczał hou! hou! a czerwo na czapeczka z pawiem piórkiem jak szalona dyndała na głowie: do koła na koniach adjutanci, pieczeniarze i dwornia Pana Jenerała. Wszystko to się zawaliło do dworu. Z pierwszej kolasy wysiadł Pan Jenerał Branicki i Jenerał moskiewski Podhoroczanin, z drugiej niemiec Wejsman w służbie Pułkownikowskiej u Carycy i Pułkownik Baniewski przyboczny powiernik Branickiego.

Pan Branicki pięknej urody, zamożnego wzrostu, oko błękitne, lice białe, ale dusza czarna; przyjął raporta od dowódców brygad i regimentów.

— Gdzie jest Janikowski?

Byszewski Rotmistrz ułanów stanął przed nim — Panie Jenerale poszedł do Gruszki i już ztamtąd przysłał wiadomość, że dwie chorągwie kawalerji narodowej brygady Pana Jerlicza, osaczyły i zabrały co do nogi Hajdamaków.

— To dobrze! — obrócił się do Jenerałów moskiewskich — prosimy Panów do izby — a sam wziął na stronę Baniewskiego:
— Jedź Waćpan co tchu do Janikowskiego; jeźli Gonta żyje to mu język i prawą rękę zaraz urżnąć, a zwalić wszystko na zawziętość dońców, rozumiesz? Jeźli zginął to chwała Bogu.
— Rozumiem, niech Pan Jenerał będzie spokojny. —
Na pierwszego osiodłanego konia siadł i jak wiatr kopnął się ku Gruszce, a Branicki powrócił do Jenerałów Moskiewskich.
Jeszcze wówczas Branicki nie zaprzedał się na poddanego Carycy, służył jej w nadziei, że korona polska może i na jego pokurczej głowie spocząć może. Myślał sobie: kiedy Stanisław Poniatowski tchórz, niewieściuch, mógł osiągnąć berło Piastów, dlaczegóżbym ja, odważnego serca, silnej dłoni, nie mógł po nie posiągnąć? Przekona się też Caryca, że pokątny intrygant co się cienia swego lęka, nie potrafi tak dobrze wspierać jej zamiarów, jak człowiek, który jawnie jej wojska posiłkuje, Konfederatów gubi, pozwala tępić szlachtę krnąbrną, przed nikim i niczem kroku się nie cofa; przekona się, że do polityki tchórzowaty gach wcale niezdolny. —
Kiedy tak Branicki marzył o tronie polskim, nadszedł Podhoroczanin.
— Nasza matuszka Ekateryna będzie umiała zawdzięczyć się Panu Jenerałowi za pomoc nam daną w Barze; tęgo pańscy łupili tych Konfederatów. Niech Pan Jenerał spodziewa się z Petersburga orderów i rubli — dodał z westchnieniem.
Branicki zmarszczył się.
— I u nas w Polsce są ordery, a pieniędzy nie potrzebuję, mam dość dochodów z moich wiosek. —
Wejsman spostrzegł że na to zachmurzył się Branicki.
— Byleby z tymi Konfederatami skończyć, Pan Klemens Branicki musi złożyć wielką buławę, a wtenczas Panu Jenerałowi z prawa ona się należy, a przytem między nami mówiąc, Polsce trzeba Króla wojownika, inaczej utrzymać nie można szlachty w ryzach karności. —
Uśmiechnął się Branicki.
— Waćpana prawda Panie Pułkowniku. — W Polsce trzeba aby Król ciągle był na koniu z szablą w ręku. —
Przerwało rozmowę wejście Baniewskiego.
— Panie Jenerale, Rotmistrz Janikowski pojmał buntownika Gontę i tu go wiedzie. — Mrugnął na Jenerała że wszystko dobrze.
— Każ Waćpan aby go tu przyprowadzono; zaraz kazać ściągnąć indygację.
— Nie wiem czy to się uda Panie Jenerale; Dońce mimo rozkazu Pana Janikowskiego urżnęli mu język i prawą rękę i papiery przy nim będące podarli. —
Wejsman zbliżył się do Branickiego.

— Tęgo się udało, wyprowadzili nas z kłopotu. —
Podhoroczanin mniej się powstrzymywał, w głos mówił:
— Chwaty Dońce, każę dać po pięć kopiejek na wódkę każdemu. —
Naszło mnóstwo oficerów polskich różnego stopnia do izby, a niebawem ukazały się wozy z powiązanymi hajdamakami. Z ust Gonty jeszcze krew ciekła, prawa ręka szmatą obwinięta, oczy ponuro patrzały, a twarz blada jak dawniej bywała. Branicki odwrócił oczy.
— Niechaj zbrodniarza zaraz ćwiertują. —
Jerlicz podstąpił z poszanowaniem.
— Panie Jenerale! Rzeczpospolita i Król postanowili aby hajdamacy byli zwożeni do Kodni, a tam ma się odbywać sąd i kara na nich; ja mam rozkaz Pana Regimentarza Stempkowskiego abym ich tam dostawił, a to chorągwie mojej brygady tego hajdamaka pojmały.
Branicki podniósł czoło, wziął się w boki.
— To Waćpanu Mości Brygadjerze dadzą drugi rozkaz: tu nie Pan Stempkowski dowodzi, ale ja. —
Wszedł Major od służby i oddał list.
— Panie Jenerale, posłaniec Pana Wojewody Kijowskiego przybył z tym listem. —
Branicki odpieczętował, przeczytał.
— Panie Baniewski! Pan Wojewoda pisze do mnie abym w razie pojmania Gonty, kazał go dostawić w jego ręce jako poddanego z Tulczyna; odpisz Waćpan Panu Wojewodzie mojem imieniem, że to być nie może. Gonta jako zbrodzień stanu do mego rozporządzenia należy. Panie Janikowski, Waćpan każ natychmiast Gontę wsadzić na zydel żelazny rozpalony, drzeć pasy, ćwiertować, a członki ciała porozrzucać po okolicy, resztę hajdamaków wydać Panu Brygadjerowi Jerliczowi, niechaj ich prowadzi do Kodni, ale wprzód zrobię ich przegląd. —
Potem klasnął w dłonie. Na klaśnięcie wszedł Marszałek dworu.
— Niech nam co jeść i pić podadzą. —
Ręką skinął ku przytomnym.
— Komu wola, prosimy na przekąskę z nami.
— Przytomni po wojskowemu się skłonili, uderzywszy ostrogami, a ci co odebrali rozkazy wyszli je spełniać. —

W izbie jedzą i piją, a na dziedzińcu z każdego regimentu, każdej brygady, oddział pod bronią stanął; dobosze i trębacze ustawili się na boku, bębny i trąbki w czarne sukno obwinięte; hycel wcześnie sprowadzony z Mohilowa miał spełniać obowiązki kata; przybrano go w czerwone szarawary i w czerwoną katankę, ręce gołe po ramiona. Skoro wyszedł Pan Branicki na

ganek i z nim wszyscy przytomni, trębacze i dobosze urżnęli werbel powitania, i natychmiast winowajcę wprowadzono we środek koła sformowanego przez rozmaite oddziały żołnierzy. Gonta twarzą był smutny ale spokojny, na żołnierzy rzucił wzrokiem proszącym o przebaczenie, na Jenerała cisnął okiem pogardy. Branicki się zrumienił gniewem.

— Niech kończą te ceregiele. —

Baniewski skoczył i wydał rozkazy, a Woźny zaczął w głos czytać:

«Według Statutów i Konstytucji obowiązujących Królestwo Polskie i Wielkie Księztwo Litewskie. Jaśnie Wielmożny Franciszek Ksawery Branicki, Jenerał Gwardji Królewskich i kawaler wielu orderów, mając sobie dane prawo miecza w Województwach ruskich przez Jego Królewską Mość Stanisława Augusta szczęśliwie nam dziś panującego, i Stany Rzeczypospolitej. Uznawszy czynności pracowitego Gonty, poddanego Jaśnie Wielmożnego Potockiego, Kijowskiego Wojewody, za zdradę przeciw Rzeczypospolitej Polskiej, za najohydniejszą zbrodnię przeciw ludzkości, rozkazuje: aby pomieniony Gonta był posadzony na zydlu żelaznym, rozpalonym; po wydarciu dwunastu pasów, ma być żywcem ćwiertowany: członki jego ciała rozrzucone po wszystkich bezdrożach, głowa powieszona na wystawionej szubienicy we wsi Gruszce. Przy tem rzuca się przekleństwo, bezcześć i wygnanie na całą jego rodzinę i potomstwo.»

— W imię Króla i Korony polskiej, kacie przystępuj do wykonania wyroku. —

Przez ten czas na dwóch wysokich kamieniach złożono nakształt zydla kilka sztab rozpalonego żelaza. W ciąga czytania Gonta słuchał, ale ani okiem nie zmrużył, ani policzkami nie poczerwieniał; hycel przyskoczył, i z obudwu stron palnął Gontę w pysk, potem do naga odarł go z ubrania, związał mu ręce na piersiach, zawołał dwóch podrzędnych oprawców w załojonych kożuszkach; ci wsadzili winowajcę jak na konia na rozpalone sztaby i trzymali oburącz mocno: przekrzywił Gonta wargami, ale wnet się uspokoił i kiwnął głową na znak, że i sam dosiedzi. Główny oprawca dobył noża z tasaka, oberżnął skórę około szyi i odchylił, potem wyjął pręt żelazny, u końca opatrzony trzema zakrzywionemi pazurami, i zaczął drzeć pasy od szyi w dół, i z całej mocy odrywać skórę od ciała; za każdem darciem, muzyka gwałtownie w trąbki i bębny uderzyła, za każdym razem kat pręt z oddartym pasem wzniósł w górę na górę na znak, że udarł. Krew się lała, a Gonta ani pisnął; zacisnął zęby, oczy w słup obrócił; za jednastym pasem podniósł się zabełkotał, na Branickiego głową pokiwał, zębami zastukał, a oczy łypnęły aż białkami zaszły; za dwunastym pasem zemdlał i zwalił się z zydla pomimo, że go trzymano. Chcieli go trzeźwić oprawcy, ale Branicki machnął ręką:

— Niechaj kończą! —

Oprawce wzięli za szerokie noże i w stawach zaczęli odrębywać członki. Ból wrócił do życia Gontę, pasował się, bełkotał, oczy na łeb wyłaziły, a sznury popękały na rękach. Czy przez litość, czy przez strach aby bełkotaniem czego nie wygadał, Janikowski zawołał:

— Uciąć mu łeb! —

A hycel jednym machem przyciął szyję aż nóż w ziemię wlazł, głowa podskoczyła, zęby na wylot przegryzły wargi; duchem rozebrali ciało na członki, a muzyka cicho, ponuro, zagrała marsz pogrzebowy.

Jenerałowie i starsze oficerstwo wróciło do wina, chłopi i żołnierze mówili pomiędzy sobą: czemu przynajmniej księdza nie przywołano; jeźli nie mógł wyspowiadać, przynajmniej niechajby pokropił wodą święconą: kiedy się karze ciało, nie należy gubić duszy. Oprawce z trębaczami i z oddziałami jazdy porozwozili członki na rozdroża, a głowę zawieszono na wystawionej szubienicy w Gruszce.

We dworze hulano. Pan Branicki tak się udobruchał, że kazał napisać rozkaz aby Namiestnik Zaleski z regimentu Królowej Jadwigi był uwolniony z aresztu, tylko polecił dodać prywatnie jako radę: niechaj się nie wdaje z Kozakami mojemi, i nie zagląda w czyny starszych.

Nad wieczorem przyjechał jakiś obcy człowiek, w kubraku szlacheckim, ale z miny na Popa wyglądał; pokazał kartkę strażom, i natychmiast wpuszczono go do Jenerała. Branicki, skoro mu Baniewski powiedział kilka słów na ucho, wyszedł na przeciwną stronę do alkierza, gdzie wkrótce zjawił się i nowo-przybyły. Branicki pewny, że nikt ich nie podsłuchuje, głośno mówił:

— Widzisz księże, kiepskoś zrobił, chciało ci się w chamie wynaleźć bohaterskie przymioty; już to dawno wiadoma rzecz, że z błota nie zrobisz złota. —

Ksiądz spuszczał oczy w ziemię.

— Jaśnie Wielmożny Jenerale, dla tegoż to, że to było błoto, ja go wziąłem w moje ręce; z tym Żeleźniakiem nie można było nic zrobić, u niego tylko całą rzeczą bić się za wiarę, za wolność; właśnie te dwie rzeczy wcale nam nie potrzebne; wreszcie gdyby się udało, ten głupiec pierwszemu lepszemu oddałby Atamaństwo, a nam trzeba Atamana któryby Jasnemu Panu utorował drogę do tronu. —

Branicki się uśmiechnął.

— Ty masz rozum mój księże. —

I tu zaczął opowiadać cały koniec Gonty, w końcu dodał:

— Bądź pewnym, że jak mi się uda, to błahoczynny Bazyli będzie Metropolitą całej Rusi. Cóż mamy teraz robić?

— Nie tracić nadziei, jedna rzeź się nie udała, drugą zrobimy: natychmiast jadę do Kałnyszewskiego, choć to lichy człowiek, ale jego pomoc nam się przyda. Tylko ty Jaśnie Wielmożny Jenerale tych Konfederatów poduś, Moskalów durz żeś ich przyjaciel, a nadewszystko każ połapać i poobwieszać Wernyhorę i Atamana Kurennego Nekrasę; gdzieś oni wałęsają się w tych stronach. Oni to wszystkie nasze zamiary poniszczyli, i póki nie pozbędziemy się tych ptaszków, to nic nie zrobimy.

— Bądź spokojny mój księże, już i mnie oni siedzą w gardle, i moi i Moskale dostali rozkaz aby tych Paniczów zachwycić, a pewnie zrobię z nimi jak z Gontą. Chwała Bogu ma się prawo miecza; dam ja i szlachcie, wylezie im bokiem obrona Korsuńska, Hubnicka bitwa. Pan Regimentarz, Pan Głębocki, Pan Drożewski zapłacą mi to kiedyś. —

Bazyli był uradowany.

— Jak powitamy Pana Jenerała Najjaśniejszym Panem, to wszystko im przypomnimy; mam wiarę, że takiego nieładu między szlachtą nie będzie jaki jest dziś; a teraz niech Jasny Pan doniesie Cesarzowej, że Kierym-Giraj wraca na Hańśtwo Krymskie: trzeba prędko uwijać się z Konfederatami, bo potem w nim znajdą pomoc; ja ruszam w moją drogę, w imię Boga, w imię wolności, aby służyć sprawie Pańskiej.

— Księże Bazyli, mów do licha sprawie naszej; jak mi się powiedzie to i tobie będzie dobrze: a o Tatarach pogadam z Wejsmanem; to jeden człowiek, z resztą te Moskaliska głupie jak buty. —

Dostał długą kieskę, wysypał złoto.

— Weź księże pięćset czerwonych złotych na potrzeby: na ten raz przy sobie więcej nie mam, a kazać tu przynosić szkatułę, wznieciłoby podejrzenie. Jakby było pilno, zaciągnij dług na moją rzecz. —

Ksiądz z niechcenia niby zgarnął złoto do kieszeni, ale w oczach łapczywość przejrzała; kłaniał się nizko.

— Upadam do nóg Jaśnie Wielmożnego Pana.

— Bywaj zdrów księże, do zobaczenia. — Bazyli odszedł z myślą: okpiwajmy jak można, drzyjmy łyka póki się da.

Branicki wrócił do izby, a wziąwszy w kąt Wejsmana, zaczął z nim rozmawiać. Wejsman był to sprytny Niemiec, gotów temu służyć kto lepiej płaci. Podczas ich rozmowy, Podhoroczanin podpity wrzeszczał:

— Do lasu panowie Konfederaty! a pfe, w grubę pochowali się panowie Lachy; u nas Moskiewskich ludzi tego nie ma. —

Branickiemu to się nie podobało, zbliżył się i mrugnął na Baniewskiego, a ten bez namysłu dwa razy dłonią wykuł mordę Moskiewskiego Jenerała.

— Moskalu, znieważasz imię Polskie, teraz poprobuj się ze mną na co chcesz, choćby na armaty. —

Podhoroczanin wyprostował się — Pan Polak, ja to podam do Carycy raportem.

— To podawaj durniu! —

Branicki wszedł między nich.

— Dosyć tych nieprzyzwoitości. Panie Baniewski aresztowany Waćpan jesteś; jak to porywać się na starszego? jutro pod sąd pójdziesz. —

Baniewski oddał szablę, a Podhoroczanin ukłonił się — Dziękuję Panu Jenerałowi za sprawiedliwość. —

Wejsman zaczął godzić. — Panowie na co te zachody, to się wszystko po przyjaźni stało, takie rzeczy nie powinny się wynosić za obręb tej izby. —

Podhoroczanin macnął się po twarzy. — Nie rozbiła się szczęka. Pan Polak podaj rękę, bądźmy przyjaciołmi, Konfederatów bijmy! —

Baniewski się nie ruszał, Branicki za rękę go pociągnął.

— Podajże Waćpan rękę. Panie Janikowski, niech przyniosą wina. —

Uściskali się Baniewski z Podhoroczaninem, nalano wina w kielichy i pito na dobrą zgodę między Polską a Moskwą! na smierć i zagładę Konfederatom Barskim! Większa część oficerów Polskich powynosiła się z izby, pozostali prawie sami zausznicy Branickiego, ale Jenerał na to nic nie zważał: pijatyka i biesiada trwała aż do nocy.

Nazajutrz w dzień ze wschodem słońca, Jerlicz ze swoją brygadą wyruszył w pochód na powrót w Kijowskie Województwo. Fury stały pełne powiązanych hajdamaków. Branicki przechadzał się i przypatrywał się im w oczy, doszedł do wozu gdzie był Szwaczka.

— I wasze tu? Tego mi zostawić, mam ja z nim na pieńku. — Janikowski, weź go Waćpan pod dobrą straż — a zbliżywszy się z cicha brzdąknął — i wypuść tam do licha, tylko zgrabnie. —

Janikowski poprowadził Szwaczkę, mówiąc — wszystko będzie spełnionem panie Jenerale. —

Branicki pożegnał Jerlicza, i brygada kawalerji narodowej z hajdamakami pociągnęła szarogrodzkim szlakiem. Wkrótce i Branicki z całem wojskiem wyszedł do Bracławia, a do Serbów po dawnemu cichość i spokój powróciły.

Tegoż samego dnia nad wieczorem dwóch jeźdzców przez Czerniejowice jechało; słońce już się zabierało ku spoczynkowi, czerwono świeci nad ziemią i wiatr zapowiada; porykując, bydło powraca do sioła i kupami zatrzymuje się przy wrotach gospodarzy; dziatwa zagania pod szopy barany wlekące po ziemi tłuste ogony; parobcy wracają z kosowicy, niosąc na plecach lskniące się kłosy; siwe woły ciągną skrzypiące pługi z paru, a poga-

niacze batożkami trzaskają; kobiety jedne z wiadrami na koromysłach śpieszą polewać kapustę, drugie z dojnicami idą do obór doić krowy. Dwaj podróżni nie zatrzymując się, przejechali przez wioskę: u starego czoło się wyjaśniło, oko sokole bystro skacze po okolicy, a lice rozśmiechnęło się nieznaną radością: młody choć się głęboko zanurzył w bezdnię dumania, spostrzegł tę zmianę na twarzy starego.

— Ojcze, powiedz gdzie twa myśl zaleciała: musisz widzieć nawał pomyślności, twarz twoja śmieje się szczęściem, a oczy nadludzkim blaskiem błyszczą.

— Synu, przed tobą moja dusza nie ma tajemnicy, co ona wie to i ty możesz wiedzieć; zabłysła przed myślą gwiazda nadziei, tu w tej wiosce narodzi się mąż silnej woli, prawego serca, losy jego zwiążą się z losami Polski; nie herbem starożytnym, nie zbutwiałym pargaminem, ale szablą wysoko swoje imię wyniesie. W czynach wojennych bystrością wyrówna sokołowi, a męztwem orła przejdzie; prawość jego będzie jasna jak oblicze słońca; nic dla siebie, wszystko dla ojczyzny, to będzie jego godło; on swojem ramieniem wesprze odbudowującą się wielkość Polski. —

Tu konie przechodząc koło krzaku spłoszyły się jak kozy, zatupotały w miejscu. Młody jeździec ujrzał człowieka kryjącego się za krzakiem i zawołał:

— Słyszysz, wyłaź-no ztamtąd! —

Chłop opasły, krępy, tłustej twarzy, wklęsłych oczu, wyszedł na drogę i kłaniał się nizko.

— Ja ciebie nie raz widziałem — ozwie się stary.

— Może być mój Panie — odpowiedział pokornie — ale ja sobie nie przypominam. Co tego młodego Panicza pamiętam pod Hubnikiem jak dziś, na bułanym koniu siedział. —

— Ty Szwaczka z Kaniowa watażka hajdamaków. —

— Ja Szwaczka, ale nie hajdamaka, patrzaj Pan to przepustka Pana Jenerała; pokazał kartkę.

— Idź sobie z Bogiem, jak tylko skrucha ciebie wzięła, to żyj szczęśliwie i pomyślnie, my tobie po bratersku tego życzymy.

— Moi Panowie, ludzie mówią za kamień kamieniem, za chleb chlebem; wy dobrzy ludzie, nie chcecie mi złego i ja będę dla was taki, ja wiem kto wy jesteście: ty stary, Wernyhora — i zdjął czapkę z poszanowaniem — a ty Pan Ataman Nekrasa, coś nas tęgo przetrzepał. I wy i wasze konie dobrze opisane: za wami śledzą żołnierze i polscy i moskiewscy; nad Murachwą włóczą się podjazdy Pana Branickiego, w Gruszce wojsko na was czatuje. — I tu im opowiedział ścięcie Gonty i dodał — zajrzałem Błahoczynnego; znowu będą jakieś korowody, ale już nie chcę należeć do niczego, żeby nawet i starki i miodu hukiem dali; mam trochę grosza, kupię futor i spokojnie sobie siedzieć będę.

— Dziękujemy ci, niechaj ci Bóg szczęści.

— Bywajcie zdowi! moja rada, przejdźcie na tamtą stronę rzeczki, w Mohilowie Wejsmana konnica; bezpieczniej jednak koło niego przemknąć, jak tu się włóczyć; bo dobrze to mówią: kto się piorunu chce ustrzedz, niechaj ucieka od małej chmurki, bezpieczniejsza wielka, a daj Boże abyśmy kiedyś z sobą miodku pociągnęli. —

I poszedł ku Czerniejowcom, a Wernyhora z Nekrasą zjechali z drogi w prawo i spuścili się ku Czarnemu lasowi przytykającemu do rzeki.

X.

I nocą obaczył kraj miły rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony,
W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
Po kwiatów rodzimych zapachu...

Duma o W. Rzewuskim,
J. Słowacki.

Dziwne się rzeczy dzieją w biednej Polsce. W Warszawie wielu z magnatów na dwóch stołkach siedzi, żeby zyskać wziętość u szlachty; przez przybocznych pieczeniarzy i zauszników, jedni na drugich zwalają winę naprowadzenia Moskali na kraj; kryjomo wsuwają się do przedpokojów Repnina, chylą Lackie czoła przed niewolnikiem moskiewskim, na wyścigi żebrząc okruszyny łaski Carycy; na wyścigi znoszą posługi i poddaństwo Moskwie. Jawnie dmą się jak pęcherze, puszą się jak pawie, i kłamią ustami: «My chcemy dobra Ojczyzny.» Nie takiemi byli: Jan Tarnowski, Jan Zamojski, Karol Chodkiewicz, Jerzy Ossoliński, Lew Sapieha, Jeremiasz Wiszniowiecki, Potoccy i Radziwiłły; tłukli nieprzyjaciół polskiej ziemi, ze szlachtą za panie bracie żyli, i twardo bronili swobód Rzeczypospolitej; a jednak to magnaci całą gębą, i sercem i głową, i szkatułą i rodem. U teraźniejszych serce wyziębło dla ojczyzny i sławy, w głowie pusto, zcudzoziemczało, szkatuły uciskiem i krzywdą braci się ładują, a ród sterał się obcymi przybyszami. Król Stanisław przed Moskalami kłania się, popadł w nieufność u swoich, i jednych i drugich się boi, a nikomu nie wierzy; czyż trwożliwa dusza może komu zaufać?... Upudrowany trefniś, prawi madrygały francuzkie, niby to wspiera nauki: poeci podkurzają mu nos kadzidłem pochlebstwa; wzdraga się od konia i broni, bo koń na pole bitwy zanieść może, a broń śmiercią grozi. W miejscu królować, kamerdyneruje Panu Repninowi; zbrodnią i rozpustą każdy krok swego panowania znaczy: cnotliwych mężów wysyła zaludniać Sybirskie pustynie, a wojskom swojej Carycy nakazał palić, rabować, niszczyć polskie sioła i grody, a krwią polską zlewać polską ziemię. Zdrajcy potakują jego zbrodniom, a nawet pomoc niosą.

A szlachta, dusza polskiego rodu, zaklęła się zginąć a nie dać się, zawzięcie do upadłego boruka się z wrogiem. Zakrzewski w Zakroczymiu ogłosił Konfederację i pod nosem dzikiego Repnina i niedołęgi króla, jak może to dławi moskiewskich zbójów. Krakowianie na hasło Konfederacji rwą się do broni. Szyc i Moszyński konfederacko marszałkując, zbrojnie przebiegagają nadwiślańskie ziemie. Kossakowski ów dziarski mąż, co niedawnemi czasy na czele pięćdziesięciu szlachty, z gołemi szablami w Mitawie przebrnął w pośród zgapionej czeredy Moskalów, dostał się do zamku i zaniósł wsparcie i pociechę Karolowi Saskiemu, teraz stanął na czele pułku czarnego i woła na braci Litwinów i Białorusinów: hej łączcie się tu do Konfederacji! bieżmy nieść ratunek biednej matce ojczyźnie!

Za Niemnem, w puszczach starej Litwy, w białoruskich ziemiach, w dziedzinach niegdyś mieczowego zakonu, ostrzą szable, rychtują samopały, na koń siadają i kopią w pole przeciw Moskwie. Ogińscy, Radziwiłły i Sapiehowie życzliwie kłonią się ku Konfederacji: w nich jeszcze przechowała się krew dawnych magnatów. Wejsman, Nummer, Suwarów, Drewicz, Turing i reszta Suzdalskiej psiarni do Polski wniosła mord i pożogę w imieniu swojej Carycy, opiekunki Króla Polski. Tak było na Litwie i Koronie.

W Ruskich Ziemiach, Pan Branicki i Moskale dzielą się łupami powydzieranemi hajdamakom; sto tysięcy czerwonych złotych weszło do szkatuły jeneralskiej, a tym co ponieśli szkody zniszczeniem dóbr, i chronić się musieli w Mołdawskiej krainie, posłali rozkaz, aby do domu wracali, bo inaczej potracą majątki. Aby blichtrę puścić światu, Król polecił zebrać się Trybunałowi we Lwowie dla rozpoznania i wykrycia winnych w hajdamackiej sprawie; tymczasem Katarzyny żołdactwo i wojsko koronne całą siłą bije na Konfederatów; na pogardę zaprzysiężonego paktu, na sromotę dobrej wiary; po poddaniu się Berdyczowskiej twierdzy, Kazimierz Puławski jeńcem moskiewskiem zatrzymany, a ze zdobyciem Baru bogobojny karmelita Marek, i z nim przeszło tysiąc szlachty dźwiga kajdany Moskwicina. Konfederaci nie tracą na duchu, szkodują potraconych twierdz, ale mówią: nasze piersi twierdzą Polski; żalą się nad losem ojca Marka i jęczących braci, ale brzękną pałaszami i powiedzą: jest narzędzie pomsty! w Bogu nadzieja, bijmy się a oswobodzimy Ojczyznę!

Obce Państwa wówczas co robiły?... Prusak czyhał na zdobycz Polski; szeptał w ucho Carycy: zabierz tę ziemię, a daj też i mnie jaką część, będę z tobą. Dom Habsburgski nie płacze na nieszczęście Polski. Przykro słuchać i czytać Cesarzom, że Jan Sobieski z Polakami zbawił Wiedeń i Niemieckie Państwo; nie zapomniał Józef, że Leopold kłaniał się Królowi polskiemu; niech ginie Polska, a może zapomną ludzie czem oni, a czem my

byliśmy przed laty. Węgier szyje hafty do swego dołmanu, pije za zdrowie Kajzera, a zapomniał o bratanku Polaku. Czech i Morawianin na Szwabów się przerabiają, wkrótce zapomną, że ślepy Ziska, rudy Wallensztajn w boju nimi dowodzili. Koło Szweda kuso, o sobie myśleć musi. Anglikowi wszystko jedno, czy Polska żyje, czy ginie, byle tylko jego handel nie szwankował. Francuzi po bratersku, radą, pieniędzmi i ludźmi zasilają Polskę; radziby całem wojskiem sunąć ku jej obronie, ale Ren daleko, a Niemieckie knechty i rajtary drogę zagrodzić gotowi. Turczyn kocha Polaków, nienawidzi niedołęgę Króla, ale zmiękczały w serajach na łonie odalisk, boi się przerwać lubego spoczynku i po dawnemu wsiąść na koń, w broń zadzwonić. Multany i Wołosza choć małe, podwładne, sercem i duszą sprzyjają lackiej wolności, a Tatarzyn hardo i krzepko gotuje się na bój z Moskwą.

Kiedy tak się rzeczy miały w Polsce i po za Polską, co przedniejsi radcy Konfederacji Barskiej zjechali się do Dankowiec. Choć pod okiem wojsk Moskiewskich szlachta zbiera się, i radzi, i działa, bo idzie o całość, o byt Ojczyzny. Z Multańskiej krainy, z Czerwonej Rusi, z Bracławskiego, po jednym, po dwóch i po trzech naściągało się szlachty: zajęli dwór, cztery karczmy małego miasteczka, i wszystkie chałupy chłopskie. Niedobitki z Baru odbywają służbę straży, ale dla tego wszystkie konie posiodłane, i za pierwszem skinieniem wszyscy gotowi do wylotu.

We dworze, w wielkiej izbie siedziało i stało mnóstwo szlachty, ale wszyscy cicho chodzili, cicho rozmawiali, jak w przedsieni przybytku Bożego. W bocznym pokoju człowiek już nie młody przy stoliku siedział i pisał; to zakręci niecierpliwie piórem po papierze, to się uderzy dłonią w łysinę; przerzuci jakieś foljały na boku leżące i znowu pisze. — Przynoszą listy i kładą obok niego, on nic nie mówi tylko głową kiwnie i dalej swoje robi; to stary Puławski, niegdyś Mecenas Lubelski, dziś Regimentarz i głowa naczelna Konfederacji Barskiej. Przestał pisać, odpieczętowuje listy i jedne po drugich czyta; skończył, wstał, zatarł ręce i wyszedł z izby. Wszyscy powstali z miejsc z poszanowaniem i cichość była jak w kościele; powitawszy Panią Potockę Podczaszynę litewską, która nieodstępnie dzieliła losy męża, przemówił do zebranej szlachty.

— Mościpanowie Bracia! po złych dobre spotykają nas przygody. Ksiądz Biskup Krasiński pisze: że ma nadzieję skłonić dwór Saski do objawienia się jawnie za Konfederacją, a wtenczas mając Króla naszego wyboru, pójdziemy spychać z tronu pacholika narzuconego z Moskiewskiej ręki. Austrja obowiązuje się do jak najsolenniejszej neutralności, a Francja najlepsza i najszczersza przyjaciółka Polski, nie tylko że nam przysyła zasiłki, ale co więcej przyrzeka zobowiązać Portę do wydania wojny Moskwie. Pan Makowiecki Podczaszy Czerwonogrodzki, z tem

wysłany od Księdza Biskupa. Myśmy się zebrali aby aktem publicznym i prawnie sporządzonym na ziemi polskiej, wniesionym do akt Grodu Polskiego, w moc traktatu Oliwskiego zawartego między Polską, Francją a Prusami wezwać pomocy Jego Królewskiej Mości Ludwika piętnastego, szczęśliwie dziś panującego Francji; ogłosić w obec świata, że protestujemy przeciw bezprawnemu najściu Moskali na kraj, że wyklinamy Polaków co szukali, szukają i szukać będą opieki Moskwy, i że zaprzysięgliśmy aktem Konfederacji zawiązanej w Barze, ocalić całość, wolność i swobody Rzeczypospolitej Polskiej. Mości panowie! nie traćmy ducha, kiedy Arcy-Książe Maksymiljan pobity na głowę pod Byczyną, więziony w Krasnymstawie, później został potentatem, dla czegoż my po lichej porażce, nie mielibyśmy zwyciężyć wroga? — Zwiężymy, tylko ufajmy w Boga i w siebie, i co mamy nieśmy na ołtarz Ojczyzny! —

Szlachta wołała:

— Niech żyje Ojczyzna! niech żyje Pan Puławski! — a Pan Joachim Potocki, Podczaszy Wielkiego Księztwa Litewskiego zabrał głos.

— Panowie Bracia skonfederowani! nie powinniśmy szczędzić ani życia, ani worka dla Ojczyzny; wprzód byliśmy Polakami niż mężami, ojcami: bierzmy przykład z naszego czcigodnego Regimentarza. Synów, majątek, wszystko to poświęcił dla Polski.

— Mości Panie Podczaszy! Pan nie dałeś się uprzedzić nikomu; wpośród nas widzimy żonę Pańską, a o jego mieniu poświęconem wszyscy wiemy; ale tu nie idzie rzecz: wiele i co kto poświęcił — co kto ma, dać powiniem dla kraju, a teraz przeczytajmy manifest, czy podoba się Panom braciom.

— Niech żyją Państwo Potoccy! słuchajmy Manifestu! — zawołała szlachta, i stary Puławski przyzwawszy do siebie syna Antoniego, zwolna a wyraźnie kazał mu czytać.

Młodzieniec czytał; na twarzy szlachty widać zadowolenie, a kiedy skończył, jeden wrzask rozbił się po całym budynku. — Niech żyje Francja nasza wierna sprzymierzona! podpisujemy! — i zaczęli kolejno podpisywać. Przez ten czas stary Puławski stał obok jednego ze szlachty.

— Mościpanie Komorniku, coś go nie widać?

— Tnę potnę Mospanie, lada chwila przyjedzie, u niego słowo verbum szlacheckie, co przyrzecze to dotrzyma. —

Puławski obrócił się do młodego Francuza.

— Mościpanie Hrabio, na ręce Pańskie złożymy nasz Manifest, pewni, że dojdzie jego królewskiej Mości Ludwika. —

Viomenil się skłonił — Panowie możecie być pewni, że sercem i ramieniem wszędzie i zawsze gotowem służyć braci Polakom. —

W tej chwili jacyś dwaj jeźdzce wjechali na dziedziniec.

— Tnę potnę, otóż i oni! mówiłem, że lada chwila przybędą. —

Obadwa ze starym Puławskim wyszli i niebawem wrócili, prowadząc starego i młodego Zaporożca. Stary rozweselił lice na widok zebranej szlachty; serce mu mówi; ma Polska obrońcow, jeszcze nie zginęła; młody do koła patrzy hardo i przyjaźnie, chciałby natychmiast prowadzić szlachtę na wojenny taniec z Moskwą.

— Mości Panowie bracia, przedstawiam wam brata Wernyhorę, jednego z najlepszych Synów Polski: wiele mu Ojczyzna winna; i Pana Atamana Nekrasę — znacie jego czyny wojenne, jego posługi oddane krajowi. —

Wielu znało Wernyhorę osobiście, wszyscy z imienia i wieści; po bratersku przeto witali obydwóch Zaporożców. Wernyhora był rozczulony.

— Panowie bracia Lachy, więcej człowiek chce jak może, i to bieda; gdybym mógł moją siłą dokazać, jużby ani jednego Moskala nie było na polskiej ziemi. —

I Nekrasa się odezwał — Panowie Lachy, w szablę ufajny, a przetrzepiemy bisów Moskali; nic nie masz niepodobnego na świecie, kto chce to może. —

Komornik go uściskał. — Tnę potnę, chodźmy za Panem Nekrasą a zwyciężymy; już on dwa razy w moich oczach na zgniłe jabłko zmiażdżył Moskali. Tnę potnę, zmiażdży i trzeci i czwarty i wiele zechce, bo wojenny mąż co się nazywa. —

Tu przerwana była rozmowa przybyciem młodego człowieka, pięknej urody; wszyscy zawołali — Pan Kazimierz! Pan Kazimierz! — Stary Puławski ze łzami witał syna.

— Jakżeś mi się wydostał z moskiewskich szponów?

— Ja przyjechałem wam ofiarować zgodę i pokój z Moskwą.

Stary Puławski odskoczył. – Zgodę z Moskalami! przeklęty! —

Nie dał mu dokończyć Kazimierz.

— Ojcze, oni mnie z tem wysłali: ja podjąłem się, aby wymknąć się z ich niewoli, i na nowo z bronią w ręku spotkać się z niemi w polu; wszak się godzi nie dotrzymać słowa psu Moskalowi? — Uścisnął go Ojciec.

— Teraz poznaję mego Kazimierza, godzi się miecza, ognia, zdrady nawet użyć, byle tępić Moskali. —

Później stary Puławski zaprosiwszy Panów: Podczaszego Potockiego, Marszałka Krasińskiego, Wernyhorę, Sapiebę, Nekrasę i Komornika Drożewskiego, udał się z nimi do drugiej izby.

— Mościpanowie teraz się naradźmy jakie kroki przedsięwziąść? — Zamilkł i poglądał na Wernyhorę; ten nie dał się prosić o głos.

— Panowie bracia Lachy, trzeba silnie i prędko działać przeciw Moskwie, nie dać jej zagnieździć się w naszej ziemi; ja wam ofiaruję się pojechać do Jakubagi Seraskiera Bałty; dawny to mój znajomy, sprzyja on Polsce, ma nadzieje, że mu dobrze wynagrodzą usługi; ale cóż z-tego, że on za nami, kiedy Han

Maxud-Giraj nie pochopny do wojny. Dla nas trzeba, aby Kierym-Giraj osiadł na Hańštwie; do tego możemy zmusić Portę. Niechaj parę oddziałów Konfederatów idzie mimo Mohilów, rozdraźni Moskali, a potem szuka schronienia na Budziaku. Koniecznie niechaj wciągnie Moskwę za sobą w granice Tatarszczyzny. Wiecie o tem że prawo Alkoranu zakazuje Muzułmanom wkraczać w granice cudzego państwa, ale pozwala nieść wojnę kiedy się ich zaczepi; rad nie rad, Sułtan musi Kierym-Girajowi buńczuk zwrócić, wdać się w wojnę z Moskwą, a dla nas to dobre. —

Widać że do smaku przypadła ta rada bo słuchali pilnie, a Pan Potocki po nim tak rzecz prowadził.

— Dobrze radzi brat Wernyhora; ja powiodę oddział na tę wyprawę, musi się to mi udać; ale z drugiej strony należałoby prosić Pana Atamana Nekrasę aby mógł przemówić braci Zaporożców na naszą stronę.

— Panie Podczaszy wraz z Panem pójdę walczyć z Moskalami, a potem udam się na Zaporoże. — Puławski mu przerwał.

— Mościpanie Atamanie, nie wątpimy o twojem męztwie, ale wygrana dla nas szkodliwszą by była, jak pobicie w tym razie. Nam potrzeba wciągnąć Moskali za sobą na Budziak; zbawienniejszem dla Polski jest ruch na Zaporożu przeciw Moskwie, w tym czasie kiedy Tatary od siebie wystąpią. Imieniem Ojczyzny upraszam Pana Atamana abyś bezwłocznie tam się udał. —

Pomyślał trochę Nekrasa. — Dobrze, ale jeźli tylko czekać przyjdzie, to z moim Kureniem przyjdę wam w pomoc.

— Tnę potnę, ja pójdę z Panem Podczaszym, nie uciekać ale mordować tych juchów. —

Wernyhora do niego mówił — Panie kolego, powstrzymaj twój zapęd; widzieliśmy, że jeszcze po huzarsku umiesz się wywijać w boju, ale teraz trzeba abyś pojechał do Lwowa; a tam przed trybunałem wykrył czynności Branickiego, Króla i Moskwy. Jako świadek naoczny możesz najlepiej zedrzeć zasłonę z oczu Polaków, co jeszcze przy królewskiej stronie stoją; a jak się Połska wyprze narzuconego pana, obce państwa nie będą przy nim obstawały i wtenczas będzie nasze zwycięztwo.

Krasiński i Sapieha poparli to zdanie, a Komornik spojrzał na Puławskiego i przygryzł wargi.

— Tnę potnę, kiedy tak chcecie, będę mecenasował; nie moja te rzecz, ale dla dobra Ojczyzny trzeba abyśmy słuchali większości zdań. —

Na tem skończyła się narada. Natychmiast Komornik uściskawszy czule Zaporożców, siadł do bryczki z Viomenilem i pojechali do Proskirowa; ztamtąd Drożewski miał się udać niezwłocznie do Lwowa, a Hrabia Viomenil przebrawszy się do

granic niemieckich, przyrzekł jak najśpieszniej przesłać manifest do rąk Księcia Szoazela. Pan Potocki chciał żonę zostawić w Mołdawji, ale ta zacięcie trwała przy postanowieniu nieopuszczania męża; kazał tedy być w gotowości zbrojnym Konfederatom, i nad wieczorem wespół z Sapiehą mieli ruszyć ku Mohilowowi. Pan Kazimierz do Żwańca pojechał, a stary Puławski i Krasiński, przeprawiwszy się przez Dniepr i przeprowadziwszy Zaporożców do Soroki, sami tam pozostali. Wernyhora i Nekrasa dalej pociągnęli Multańskim krajem ku Budziakowi.

Dwa dni i dwie nocy jechali pięknym Multańskim krajem. Brzegiem Dniestru sporą stępą konie kroczą, rzeka w korycie wre i kipi pomiędzy skały, bąblami zbiega, białą pianą się mydli, i wartkim pędem pędzi ku morzu; w lewo za rzeką jak zajrzeć okiem ciągnie się bogate Pobereże; w prawo ku Prutowi, leżą sioła, grody, laski, wzgórza Multańskiej ziemi. Nekrasa sercem, myślą i wzrokiem do Polski patrzy, tęskni za spotkaniem się z wrogiem Moskalem; tęskni do uścisku lubej dziewicy. Wernyhora ciągle mu przerywa dumanie.

— Patrz na tył tego wzgórza, jak tam pod obłokami ciemnieją wierzchołki lasów, to Bukowina! kraj pamiętny klęską naszych Lachów i zdradą Wołószyna. Patrz, droga do Chocimia! przed laty świętej pamięci Konaszewicz Sahajdaczny na czele mołodców wsparł Lachów i zgniótł potęgę Turecką. Tu za Prutem, za wzgórzami, zamożna Soczawa; jeszcze w niej nie zapomniano męztwa kozaczego: jakby o wczorajszym wypadku mówią o Swiergowskim, co ze zwoimi podtrzymywał Iwonię na hospodarstwie. Sobieskiego hufce kopytami końskiemi orały tę ziemię. Siryk i Brzuchowiecki nieraz tu wypadali po Mołdawską zdobycz, i po krew Bisurmańską. —

Nekrasa nie słuchał bo mu nudno, markotno na duszy. Na łodzi przeprawili Dniestr w Tahinie i tu się z sobą żegnali.

— Ojcze zaklinam ciebie, zrób abym co prędzej mógł być w Polsce.

— Synu i ja bym tego chciał, ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi; bądź dobrej myśli, jedź i czekaj na mnie w Karabelnej: za trzy dni tam będę a obaczymy co mamy zrobić! —

Smutnie Nekrasa pojechał Czernickim szlakiem ku Zaporożu, a Wernyhora zwinął trochę w prawo ku Bałcie; nad wieczorem przebył Józefgród i most na Kodemie, a nikt go nie zapytał zkąd i dokąd jedzie. Nie zatrzymywał się w Bałcie przed żadnym domem, ale zwyczajnie świadomy drogi wprost ruszył do mieszkania Jakubagi.

Koło mieszkania Seraskiera taki napływ i odpływ ludu, jak w ulu kiedy pszczoły wyruszają na robotę: jedne lecą po pożytek, drugie z obłowem wracają, i wstecznym ruchem krzyżują

się przed okiem; zsiadł z konia, oddał go Tatarowi służby: przed domem był Jakubaga. Skoro ujrzał starego Zaporożca, poszedł na przeciw i powitał, przykładając prawą rękę do serca:

— Bądź pozdrowiony dobry przyjacielu, dom mój twoim domem, dobro moje twojem dobrem.

— Dziękuję wam Panie Seraskierze za szczerotę waszego serca, bodajbym mógł kiedyś was tak powitać w mojej chacie; ale teraz mam coś ważnego do pomówienia z wami. —

Jakubaga wprowadził gościa do szerokiej izby bez żadnych ozdób, tylko w koło obesłane skóry baranie, we środku gliniane naczynie ze słabym ogniem; klasnął Jakubaga, niewolnik przyniósł dwa długie cybuchy, dwie czary z kobylem mlekiem i dwa talerze z bakalją: podgiąwszy pod siebie nogi, zasiadł Jakubaga i Wernyhora, zapalili fajki; niewolnik wyszedł.

— Seraskierze Bałty, ja do was od Lachów przybywam w poselstwie: czas aby zaświstały strzały tatarskie moskiewskim uszom, abyście wespół z nami zawiedli taniec wojny przeciw tym złym psom. Konfederaci zbliżają się ku granicom Budziaku, będą szukać schronienia, możeby nieźle było się przygotować, aby zagrać w dudy tym niedźwiedziom skoro tu wkroczą. —

Tatar chytry, jak lis szczwany, nie chce jawnie okazać jakie mu zadowolenie przynosi to poselstwo, a jednak drobne oczki, wklęsłe głęboko w głowie, iskrzą się jak żar z pomiędzy popiołu, jak oczy wilka, kiedy ujrzy oborę i śledzi do niej wnijścia.

— Zacząć wojnę z Moskwą nie wielka sztuka, ale czy pomyśleliście nad tem, że my musimy stosować się do rozkazów wielkiego Samowładcy życia i śmierci, którego słowa u nas są tak święte, jak słowa wiary w ustach Derwisza wracającego z Mekki? U naszego Pana posłać stryczek na szyję wiernego sługi, jest to samo co wypić czarę kobylego mleka. Maxud-Giraj nie lubi wojny, nie masz Kierym-Giraja — i tu westchnął — a przytem i to trzeba mieć na uwadze, że jesteśmy hołdownikami Sułtana Sułtanów; głowa tam niepewna gdzie jedna wola Wezyra może ją strącić jak dziecko makówkę.

— Coś widzę wam Seraskierze na rozwagę się zebrało; nie bywało tak za dawnych czasów za Kierym-Giraja, a wiedzcie o tem, póki z Moskwą w wojnę nie wpłączemy Sułtana, póty Kierym-Giraj nie wylezie z wygnania, a złoto i srebro Moskalów co nam się należy prawem zdobyczy, pójdzie pleśnieć w szkatułach przedajnych zdrajców dywanu. —

Zadumał się Tatar, zaciągnął dymu. — Przyjacielu Wernyhoro, macie wymowę która wpada w serce jak gdybyście byli zwolennikiem Alego, jak gdybyście w Alkoranie szukali drogi do przekonania wiernego sługi Proroka. Mnie uśmiecha się wojna z Moskwą jak siódme niebo umierającemu Muzułmaninowi; niech krok wstąpią na Budziacką ziemię, a wojna być

musi. Ja reszty dopełnię, daje ci słowo, a wprzód Czatyrdach runie i z ziemią się zrówna, wprzód Dniepr wyschnie, niźli Jakubaga złamie obietnicę.

— Ja wam ufam Seraskierze, ale co prędzej wydajciesz rozkazy, bo tylko co nie widać jak tu nowi goście zawitają.

— Dobrze, ale ja teraz was się pytam, czy Zaporożce przeciw nam nie wezmą się do broni?

— Nie tylko, że się nie wezmą, ale jeszcze z wami się połączy część znaczna. — Klasnął w dłonie Seraskier, i wnet wszedł Tatar.

— Niech się tu zejdą Mirżowie i Agowie! —

Tatar wyszedł a Jakubaga z Wernyhorą gawędzili o sprawie polskiej, o powrocie Kierym-Giraja.

Niebawem zaczęli się schodzić Mirżowie i Agowie: każdy witał schyleniem głowy Seraskiera i gościa Zaporożca. Seraskier przykładał dłoń do lewego boku, a potem wskazywał ręką miejsca do siedzenia. Kołem obsiedli, niewolnicy każdemu podali długie cybuchy, kobyle mleko i bajkalje, i sami odeszli. Seraskier tak rzecze:

— Wierni synowie Proroka, przed którego sztandarem chylą barki mocarze i królowie świata, którego wiara tak szeroko rozciągnęła się po ziemi, jak promienie słońca! niebezpieczeństwo grozi Budziakowi. Moskwicin uganiając się za naszymi sprzymierzeńcami Polakami, wali się ku naszym granicom, jak szarańcza liczny, jak szakale żarłoczny; uzuchwalił się, bo my za długo spoczywamy, ale pozna żeśmy potomkami Batu-Kana; niech tylko krok zrobi na naszą ziemię, zginie, przepadnie, a jak Sułtan dozwoli, Carowie Moskwy jeszcze nam haracz płacić będą. —

Wszyscy Mirżowie i Agowie wołali. — W imię Boga, w imię Proroka wojny! wojna z Moskwą!

— Będziecie ją mieli, klnę się wam na Alkoran. A teraz Karty niech co tchu bieży do Seraskiera Jedzanu, aby zgromadzał hordy swego namiestnictwa. Biłaj Mirża i Achmet Jezyr, niech wasze konie i służba będą gotowe, skoro Moskal nogę postawi na budziackiej ziemi, pierwszy niech pędzi z wieścią wojny do Bakczyseraju, drugi do Baszy Oczakowa. Ty Osmanie-Ago natychmiast każ stanąć janiczarom; wy zaś wszyscy ściągajcie zbrojne hordy pod miasto; a teraz niechaj wam noc cichą i spokojną roskosz leje, a dzień bogdajby nowem polem sławy dla was rozświtał. —

Powstali Agowie i Mirżowie; każdy przyłożył rękę do czoła i do serca na znak pożegnania, i wyszli.

— Wyszedł i Seraskier przejrzeć straże i przekonać się czy wykonanemi są jego rozkazy, a Wernyhora udał się ku Kodemie. W powietrzu rozpłynęła się urocza cisza, luba dla duszy, pohoża dla ciała. Z wierzchołka meczetów Muezyni brzmią pieśnią

wieczoru, a głos ich tak żałośnie, tak jednostajnie jęczy, jak dalekie powykiwanie szakalów; psy się włóczą po ulicach, koty po dachach, zwyczajnie jak po jałmużnie piątkowej. Po jednemu, po dwóch, konno Tatary przebiegają wązkie ulice; czasami zbrojny janczar zabłyśnie stalą, brzęknie żelazem; w Józefgrodzie cicho, ani się śni nikomu o blizkim boju. Seraskier noc całą bezsennie przepędził: i skarby i żony za miasto kazał wywozić, czarnym rzezańcom dawał tajemne polecenia, a potem z Wernyhorą długo się naradzali. —

Z białym dniem wpadł Tatar z doniesieniem, że między Czernicą a Józefgrodem Lachy z Moskalami się ucierają. Seraskier zimno wydał rozkaz aby hordy za miastem na Jedzańskim szlaku się zbierały, a sześciu Jańczarów niech na moście od Józefgrodu stanie, reszta roty jańczarskiej uda się do obozu. Jakubaga wojenny człowiek, tyle lat był przy boku Kierym-Giraja; nie wiadomo jednak dla czego teraz, kiedy wróg się zbliża, a wódz spodziewa się natarcia, każe zbrojnym za miasto wychodzić, a miasto bez obrony zostawia.

Już Muezyn rannym Izanem zapiał, słońce złotemi potokami przez powietrze na ziemię zaczęło się zlewać, kiedy Seraskier z Wernyhorą wyjechali do mostu. Zaledwie tam stanęli, aż za Józefgrodem wzniósł się tuman kurzu, rusznice często gęsto pukały, a tentent czwałującego tabunu koni, głośnym rozgłosem zabrzmiał; niebawem ukazali się Lachy, Jańczarowie się rozstąpili, Lachy do Bałty wpadli. Dońce jak wryci zatrzymali się przed samym mostem, jańczarowie znowu szeregiem zamknęli przejście. Wernyhora wyjechał z Lachami za miasto, Jakubaga został i straż przybocznych Tatarów do niego przybiegła. Dońce się cofnęli, ale tej chwili zaczęły napełniać Józefgród kolumny jazdy moskiewskiej; oficer z trębaczem poskoczyli ku mostowi, oficer białą chustką wywijał, trębacz w trąbkę zagrał; Jakubaga skinął i dwóch jańczarów wycelowało, wypaliło: i oficer i trębacz jak dwa wory piasku z siodeł się pozsuwali, a konie wstecz się skręciły i uciekły.

W moskiewskich szeregach zabrzmiały trąby, zaburczało powietrze dzikiem hurra! błysnęły szable, ku Bałcie kopnęły konie z kopyta, a ziemia zahuczała. Jakubaga i Tatarowie wrzasnęli Ałłach! i po mieście się rozbiegli. Jakby czarodziejską mocą na wszystkich rogach miasto ogniem zapłonęło. Seraskier i orszak straży rąbią lud bezbronny napędzając ku obronie przeciw Moskalom a sami za miasto uciekają.

Wejsman z Twerskiemi dragonami wpadł do miasta; dziwi się, że lud bezbronny, pokaleczony, drogę mu zabiega, a domy pożarem gorą; mimo srogi zakaz dońce Karpowa do rabunku się rzucili; zgłupiały niemiec z miasta wyskoczył na pole i patrzy jak niezliczone hordy bezładnie ku Jedzanowi zmykają; po niemiecku w Boga i djabła zabluźnił, po moskiewsku załajał

w matkę i ojca, krzyknął na dragonów i puścił się w pogoń za Tatarami. Lecą Tatary, popłoch w plecy im dmucha; lecą Moskale, strach pałek chęć do boju w nich wznieca. Już dopierali do Jedzanu kiedy nagle z za wzgórza wysunęły się hordy i półksiężycem rozwijały się przed Moskalami. Wejsman krzyknął:

— Strój się. —

Dragoni zaczęli się szykować w szwadrony; kupa Tatarów sadzi wprost na Moskali, mieczów dobyli i wrzeszczą.

— Ałłach! Ałłach! —

Na ich czele młody Mirża żwawo koniem skacze. Wejsman kazał stać w miejscu dragonom, a skoro nieprzyjaciel się zbliżył na sto kroków, na komendę pal! huknęły karabiny; na ziemię padło kilku Tatarów, zwaliło się kilka koni, młody Mirża zakrzyczał boleśnie, przygiął się do siodła, schwycił za grzywę; zakreślił koń półkolem i cała kupka pierzchnęła lotem błyskawicy ku hordom. Dragoni nie poskoczyli naprzód, trupy bez odarcia zostawili, bo Wejsman widząc liczbę hord, kazał się cofać. Szli wolną stępą ku Bałcie a Tatary krok w krok za nimi postępowali.

Bałta do szczętu zgorzała a dońcy kupę jeńców i wozy z rabunkiem odprowadzili do Józefgrodu. Wejsman jeńców kazał wypuścić na wolność, łupy zabrać do swego obozu, i dwa listy napisać: jeden do Seraskiera Bałty, oświadczając, że pierwsza zaczepka była od janczarów, że jego żołnierze ani krwi przelewali, ani miasta palili, że wojska Cesarzowej nie miały ani mają na celu zrywać dobrej zgody jaka panuje między Portą a Moskwą; drugi po łacinie do Konfederatów, ofiarując w imieniu Katarzyny i Króla Stanisława przebaczenie i wolny powrót do majątków, byle tylko wyszli z Budziaku i broń złożyli; z temi listami pojechał Tatar z Bałty, nie długo bawił z powrotem i przywiózł dwa listy.

Wejsman otworzył jeden i w nim wyczytał te słowa: «Psie niewierny, zła duszo, Moskalu, miasto spaliłeś, zrabowałeś; Muzułmanów mieczem wytępiłeś. Mechmed Mirża Jedzanu zginął od Moskiewskiej kuli, i ty śmiesz o pokoju, o zgodzie gadać? Myśmy na wasz kraj nie nachodzili, nie zaczepiali waszych ludzi, ale kiedyście wojnę nam przynieśli, Padyszach naszej ziemi, w pył obróci waszą potęgę, strzaska i tron i berło twojej Carycy. Imieniem Boga, imieniem Proroka, za napaść pomści się waszą zagładą.»

Drugi list był od Konfederatów po łacinie, z odpowiedzią: aby swoje dary schował dla siebie i służalców Carycy, że Polak z bronią w ręku do ostatniej kropli krwi będzie bronił bytu swojej ojczyzny i swobód szlacheckich. Podpis był Joachima Potockiego Podczaszego Litewskiego. Wejsman schował listy, uśmiechnął się i pomyślał: zrobiłem co chciałem, wojna będzie;

dla mnie sława i pieniądze, słowa dotrzymałem Panu Branickiemu; te listy będę miał na tłómaczenie się moje.

Tymczasem Seraskier Bałty wysłał nowych gońców do Hana i do Sułtana, że Bałta zburzona, mieszkańcy wycięci, a Moskalów ledwie potrafiono wyprzeć z granic Budziaku. Tatary gościnnie raczą Konfederatów, ludziom zastawili do syta baraniny, ryżu i kobylego mleka, koniom nie szczędzą paszy i jęczmienia. Seraskier Jedzanu w swoim domu Państwa Potockich postawił, a Mirżowie i Agowie między siebie rozebrali Konfederatów. Jakubaga przyszedł do Wernyhory.

— Dotrzymałem słowa, wojna będzie.

— Kierym-Giraj wróci na Państwo. —

Chwilę pomilczał, i znowu się odezwał:

— Seraskierze, kto miasto spalił, kto tyle ludu natępił? —

Jakubaga bawił się szablą.

— Moi ludzie, za moim rozkazem.

— Seraskierze, tyle krwi niewinnej, tyle spustoszenia!

— Słuchajcie, jak kto twardo śpi, trzeba mocno uderzyć i wstrząsnąć aby go obudzić; tak się dzieje z naszym dywanem. Gdyby Moskale wpadli na ziemię Budziacką i zabili kilkunastu ludzi, Wielki Wezyr by rzekł: to przypadek nie wart wojny, a kto wie czyby mnie nie wtrącono do więzienia za gościnność daną Polakom; już ja tam siedziałem i gdyby nie Baron Tott, nie widzielibyście mnie między wami. Teraz lud Mahometański o pomstę by zawołał, gdyby rada dywanu wstrzymała się od wojny. Przyrzekłem Tottowi, przyrzekłem wam wojnę zrobić i dotrzymałem. —

Wernyhora kiwnął głową i nic nie rzekł, pomyślał tylko: bieda to, że człowiek co chce robić, nie zawsze powinien być poczciwym, nieskazitelnym; często należy mu stłumić głos serca, cnotę sumienia na ofiarę rzeczy której służy. —

W Jedzanie pogrzeb Mechmeta Mirży; żony w haremie płaczą, a Tatary po ulicach wołają: Zemsty! Zemsty!

Kiedy w Bałcie Moskale z Tatarami zasieli ziarno wojny, i już cieszyli się nadzieją przyszłego plonu, Nekrasa przeprawiwszy Boh i Świńską-Wodę, do Iwan-Grodu dojeżdżał. Już Zaporozkie powietrze go obwiało, oko patrzy na rodzinne stepy, ucho słyszy poświst wiatrów, szerkotanie budiaków, a jednak myśl smutna, tęskna o czarnobrewej Laszce marzy, miłością przesiąknęła dusza: czuje że bez dziewczyny żyć nie może jak bez chleba powszedniego; nie bój, nie zdobycze, na ten raz rej wodzą po głowie Atamańskiej; ciemne oczko, białe liczko panny Laszki zawładało i myślą i chęcią Nekrasy. Tak jechał brzegiem stepu Umarłych, aż tam nad jeziorem ciągną mnogie maże z solą, gęsim sznurem idzie wałka; woły czelne, siwe i rogate, maże na

dereniowych osiach górą wyładowane, skórami przykryte, rypią z cicha; czumaki w zatłuszczonych koszulach, w zatłuszczonych szarawarach, batogami pokłaskują, tytuń kurzą, a czasem zanucą dziką piosnkę. Za ostatnią mażą na sznurze uwiązana niewiasta ociąga się, a przy niej jedzie wataha wałki i ciągle jej plecy smaruje nahajką. Nekrasa się rozsierdził i pomknął konia ku mażom, przybiegł i zawołał groźnie:

— Hej czumcze! a za co to bijesz dziewczynę? —

Wataha odwrócił się, zmierzył okiem od głowy Atamana do kopyt płowego.

— A wam Panie swacie po co się mięszać w cudze sprawy? jedźcie swoją drogą; kiedy was nikt nie zaczepia. —

Uwiązana cyganka spojrzała na Nekrasę, oko jej zabłyszczało, smagła twarz się rozjaśniła zapałem.

— Siry orle stepu, i ty długo będziesz się ubijał z sępami i krukami, ale w końcu przeniesiesz swoje gniazdo daleko! het tam! ku południowi.

Czumak urżnął nahajem przez plecy cygankę.

— Milcz wściekła suko, bogdaj cię djabeł porwał z twojemi czarami. —

Nekrasa schwycił za kołnierz czumaka i jednym pociągiem z konia na ziemię zwalił, dobył szabli, machnął i przeciął sznur na którym była uwiązana cyganka. Czumacy z drągami się zbiegli. Nekrasa krzyknął na cygankę:

— Skacz na konia! —

A ta jak małpa wskoczyła na krzyż płowego.

Byłoby przyszło do bójki, ale jeden z czumaków popatrzył na Nekrasę.

— Chłopcy, to Ataman Serykowskiego Kurenia, najdzielniejszy mołodziec Zaporoża. —

Opuścili drągi i zaczęli krzyczeć:

— Żyj zdrów Ojcze Atamanie. —

Nekrasa wzajem ich powitał, a Wataha kłaniał się.

— Panie Atamanie nie gniewajcie się, ale ta zbiszona czarownica przepowiadała upadek dzieciom Zaporoża. Koło Pustelnicy, w puch rozrzuciliśmy cygańskie szatry, cyganów rozpędzili, a tę djablicę wzięli aby popróbować czy zatonie w jeziorze. —

Cyganka się zasmuciła.

— Co ma utonąć to nie będzie wisieć; człowiek prawdy nie lubi; Lachom w Korsuniu mówiłam: krew, krew; zaśmieli się, nie uwierzyli i krew popłynęła; a można zastawić groblę kiedy woda tylko co zaczyna nurtować, zagasić ogień przy poczęciu tlenia. I wam zapowiadam, choć wy orlęta, sokoły, kruki i sępy, was za łeb wezmą, z rodzinnej ziemi wyrzucą, rozproszą. —

Czumacy groźnie na nią spojrzeli.

— Ojcze Atamanie, pozwólcie nam pobawić się trochę z czarownicą, dowiemy się prawdy.

— Zostawcie mi ją; w Iwangrodzie z Archirejem Czorbą pogadamy czy czarownica, czy wysłana od Moskali aby między nas siała przepowiednie. Póki mamy szable i dłonie, nikt nas za łeb nie weźmie. —

Cyganka kiwnęła głową na znak niedowiarstwa, czumacy rozstąpili się i żegnali Nekrasę, a ten spokojnie pojechał ku Iwangrodowi.

Ataman dumał, a Cyganka ciągle prawiła:

— Serce nie miecz, nie leci tam gdzie ręka każe: samopas hula, póki serca nie znajdzie, a wtenczas amen wolności; rozumiesz ty mnie Atamanie?

— Nie rozumiem, mów jaśniej.

— Słuchaj. Był sobie orzeł na stepie, siry orzeł, bystrego lotu, silnej piersi; żył z orłami i z sokołami, dławił inne ptaki, a choć był młody, orły i sokoły go słuchały, a inne ptastwo przed nim drżało. Nie myślał orzeł tylko o bojach, latał nad morza, w kraj gór i stepów, bratał się z drapieżnemi ptaki; widział w klatkach samice rozmaitego rodzaju, a jednak żadna w oko mu nie wpadła; poleciał ku północy do braci orłów i sokołów, i tam zobaczył zuzulę, pokochał, i tęskny wraca do gniazda. Jak ci się podoba?

— Ładna, ale cóż się stało z orłem? —

Ty ciekawy Atamanie, ja nie wiem, ja kobieta jestem, a choć mówią ludzie: ciekawość kobiecą rzeczą, ja nie mam twojej kiedy Matka mówiła bajkę o orle, zasnęłam i nie dosłuchałam końca, ale ci powiem drugą powiastkę.

Tu Nekrasa nadstawił ucha, zwrócił twarz ku cygance, a ona tak prawiła:

— Na zielonej niwie opadły łanię wilcy, już zębami klamsały, drapały ziemię pazurami, kiedy nadleciał siry orzeł; załopotał skrzydłem po powietrzu, uderzył dziobem jednego wilka, rozpierzchnęła się czereda, a ocalona łania rzekła: orle, królu stepów, nie czyń mi nic złego; ja mam bieg chyży, bystre oko, przesadzę mury, przez gęstwie się przecisnę, dojrzę co mi potrzeba, potrafię ci zawdzięczyć; orle poszlij mię do swojej zuzuli, zaniosę twe słowa i przyniosę odpowiedź... —

I tu zamilkła.

— Wiedziałażeś łanio o mieszkaniu zuzuli? —

Cyganka kiwnęła głową.

— Łania przebiegłaby od brzegów Rosi po Ukraińskiej i Podolskiej ziemi i znalazłaby zuzulę.

— Cóż zrobił orzeł?

— Ja nie wiem. —

A po chwili milczenia dodała:

- Gdyby orzeł chciał, łania skoczyłaby w drogę. —

Nekrasa przeżegnał się krzyżem świętym i po cichu zaszeptał jakąś modlitwę, a cyganka rzekła do niego:

— Nie żegnaj się, ja nie djabeł, ani czarownica, ale moje uszy nadstawione na podsłuchy o orłach. A prawda, że wiem twoją powieść?

— Ktokolwiek bądź jesteś, kto mógł ci powiedzieć o mnie?

— Wiatr; ale zostawmy to na boku Panie orle; chcesz-że abym do zuzuli leciała?

— Chcę, ale ty jej nie znasz?

— Czy znam czy nie, to do mnie należy: a jak ci powiem jej imię?

— Mów.

— Magdalena! —

Nekrasa o mało z siodła nie skoczył, porwał cygankę. W pierwszej chwili chciał z konia zepchnąć jak djabła, ale imię kochanki rozbroiło ten popęd, i z djabłem rad o niej rozmawiać i djabłowi poleciłby zanieść w jej uszy słowa: ją kochać będzie po wiek wieków. Pomyślał w sobie: nie jeden człowiek za kupę złota zapisał piekłu duszę; nie jeden zawarł kontrakt z bisem aby mógł źle zrobić bliźnim, dlaczegóż bym ja odrzucał jego posługę, kiedy ani duszy nie zaprzedaję, ani gotuję ludziom złego? Już miał powierzyć miłośne poselstwo cygance, kiedy pod samym Iwangrodem jakiś wózek go wyminął; człowiek na nim siedzączy spojrzał na Nekrasę, szybko twarz odwrócił, nogą w plecy kopnął furmana, a wózek tak szparko się potoczył, że Nekrasa nic nie zajrzał tylko płócienny chałat podróżnego; z resztą co go tam obchodził cały świat, kiedy myśli o czarnobrewej Laszcze. —

Cyganka przerwała milczenie:

— Gadzina zajrzała orła, i chciałaby go zdławić, patrz! —

Tu wskazała ręką na wózek, który zamiast wjechać do Iwangroda, zwrócił wstecz w prawo ku Werpie.

— Orle, leć do swoich, nie gość po drodze, bo ci skrzydła podetną, albo życie odbiorą; łania ci przysięga dostać się do zuzuli, o tobie jej gadać i od niej odpowiedź przynieść. Znajdzie ona ciebie choćby i na krańcu świata; bądź zdrów orle. —

I lekko skoczyła na ziemię.

Nekrasa się obejrzał, widział jak wbiegła w konopie; wązkim wężykiem zachwiały się liściaste kity, po chwili znieruchomiły się w miejscu. Nekrasa podjechał, przegiął się na koniu, od dołu żadnej ścieszki, wzniósł się na strzemionach: do koła nic nie widać, tylko konopi łan spory; krzyknął hop! hop! nikt nie odpowiada; plunął z niecierpliwości, a kiedy się zwrócił na drogę i ujrzał krzyż z ukrzyżowanym odkupicielem, przeżegnał się parę razy, uderzył się w piersi, kiwnął głową.

— Wiem dla czego djabeł uciekł... —

I wjechał do Iwangrodu.

Ledwie stanął w siole, zaraz wprost zajechał do parafji. Ksiądz Anastazy Czorba przyjął go jak własnego syna; Popadja, córki i synowie cieszyli się przybyciem Nekrasy; dawny to znajomy, ukochany przyjaciel. Natychmiast zabrano się do przygotowania wieczerzy, a konia wzięto do stajni. Ksiądz Czorba człowiek nie dzisiejszy, stare rzeczy pamięta; był świadkiem krwawych utarczek Zaporoża z Moskwą, a choć dobry chrześcianin, świątobliwy kapłan, zawsze radził starszyznie: wiążmy się z bracią Lachami, a kiedy nie można, to stokroć lepiej szukać opieki Sułtana, Hana krymskiego, jak Carów moskiewskich. Ta rada z serca szła, bo ród Czorbów z Zaporoża swój początek wiedzie, a Ksiądz Anastazy zawsze gotów swe dobro poświęcić dla ojczyzny. Długi czas był kapłanem w Siczy, ale potem ożenił się i dostał parafię w Iwangrodzie; pięciu miał synów, dwóch wpisało się w rejestr Zaporoża do Irklujewskiego Kurenia, gdzie był Atamanem Kurennym Paweł Czorba, brat Księdza Anastazego, trzeci sekretarzem przy Archimandrycie w Radomyślu, a dwóch najmłodszych jeszcze w domu i trzy córki dziewice, żywe i pohoże jak woda w ruczaju, licem białe jak kwiat kaliny, rumieńcem kraśne jak na wpół dośpiała jagoda kamienica: gospodarne, ochędożne, dobrej nadziei i na żony i na matki.

W domu nie masz zbytku, ale dostatek we wszystkiem, a co większa ład i porządek w każdem miejscu; widać że oko i ręka gorspodarska nie próżnują. Stary Czorba żył w wielkiej przyjaźni z Wernyhorą, a małego Nekrasę uczył cerkiewnego pisma; Czorbicha nieraz pomyślała sobie: może kiedyś Ataman sprzykrzy burłacze życie, a jedna z córeczek może mu przypaść do smaku na żonę; choć wielkiego posagu nie będzie miała, ale za to dobre imię. Nekrasa w gronie przyjaciół rozweselał trochę; wieczerza smacznie się zjadła: tłuste były kurczaki pietruszką nadziewane, lemieszane pierogi ze świeżym serem po rozstopionej słoninie pływały, a śmietana jak w maju żółtawa.

Po wieczerzy stary Czorba i Nekrasa zasiedli przy garnku dobrze zwarzonego krupniku, pomaleńku szklaneczkami zapijali, i zaczęli gadu, o ojczystych rzeczach. Ksiądz Anastazy użalał się nad losem Polski, ze zgrozą słuchał o postępowaniu Błahoczynnego Bazylego.

To zawsze był łajdak, ale sprytny; w tym człowieku nie masz ani wiary, ani sumienia, ani serca, interes osobisty jego bożyszczem; za pieniądz przedałby ojca, matkę i siebie samego; łasi się i podli przed każdym kto mu potrzebny, a kiedy swego dopnie, to tak dmie nosem, że gdybyś mu wiatrak na przedniej wardze wystawił, mlił by bez przestanku.

Aż do późnej nocy gawędka trwała; już mieli się zabierać do spania, kiedy zaszczekąły psy na podwórzu, i wkrótce wszedł do izby niemłody człowiek: był to Starosta Cerkiewny z Iwangrodu. Pokłonił się, powitał Nekrasę.

— Siadaj Mykito, cóż tam nowego słychać?

Mykita podrapał się w głowę. — Dobrodzieju, nic dobrego. Po południu pojechałem do Werpy, a tam zabawiło się trochę z kumani, nad wieczorem przyszło dziesięciu konnych moskali zapisywać kwatery dla jakiegoś tam starszego, myśmy wszyscy zebrali się do karczmy i gadali co to dziś za czasy nastały: i Moskal i Lach i Tatar i kto zechce nas grabi. Nie daj Boże, ale mogą przyjść chwile, że i Żydzi będą u nas pałamarować, a Panowie Zaporożce spokojnie siedzą, nie dopominają się krzywdy bratniej; nie masz między nimi Sahajdacznego Brzuchowieckiego. Tak starzy ludzie mówili; w tem jakiś wózek przybiegł, człowiek na nim siedzący długo rozmawiał ze starszym moskalem, zdaje mi się żem zajrzał twarz Błahoczynnego Bazylego, potem pojechał w czwał do Kamennoj. Zmrokiem przyszła cyganka Chima. Dobrodziej pamięta tę młodą, co to ją tak długo kurowali; kręciła się po wiosce i wróżyła moskalom, potem na mnie mrugnęła, a kiedyśmy byli sami, rzekła: Mykito, u waszego Księdza jest gość, powiedźcie Dobrodziejowi niechaj co żywiej wyprawia go z domu, bo tam moskale nadjadą. Powiedźcie, niechaj orzeł leci do swoich, niechaj będzie spokojny; pokłońcie się wszystkim od Chimy, a nie bawcie. Ja siadłem na konia, a moskal zastąpił mi drogę ale trzasnąłem go między oczy, i świsnąłem dalej.

— Atamanie trzeba jechać. Mykito, powiedz niech co żywiej wyprowadzą konia Atamańskiego. —

— Mykita wyszedł a Nekrasa zapytał Czorbę. — Ojcze Anastazy powiedzcie mi kto jest ta Chima. —

Anastazy potrząsł głową.

— Młoda cyganka co się wszędzie wścibi, wróży, przepowiada, ale nikomu nic złego nie robi; przytem ma serce wdzięczne. Żona moja raz znalazłszy ja mocno słabą, wzięła do domu i wyleczyła; chcieliśmy aby z nami została, ale żadną miarą dokazać tego nie mogiliśmy; ciągle mówiła: co mnie po waszem życiu, u mnie dachem niebo, izbą świat cały, jak ptak żyję, ale jak ptak latam gdzie mi się podoba. Od czasu jakeśmy ją wyleczyli, ani na szpilkę nigdy nam nic nie przepadło, bo w naszej okolicy nie masz złodziejów tylko cygani. — Tu wszedł Mykita.

— Ojcze Atamanie koń już gotów, ale trzeba żywo bo w krajnej chałupie od Werpy psy jak na wilka szczekają. —

Anastazy uściskał Nekrasę. — Bądź zdrów synu, wkrótce się zobaczymy. —

Nekrasa pożegnał wszystkich, wyszedł, wsiadł na konia i pojechał stępą; psy szczekały ku Werpie, a Nekrasa tymczasem wyjeżdżał kołowrotem w przeciwną stronę, na step Umarłych. Za kołowrotem stanął, nadstawił ucha: od Werpiłowej tętnią mnogie kopyta, z głucha bronie szczękają, widać, że się rozdzielili na dwie strony, bo rozgłos z dwóch miejsc dolatuje. Nekrasa

zwrócił koniem z drogi i rżnie się stepem. Chwilę jeszcze słyszał tentent koni, chwilę szczekanie psów; w miarę jak się Ataman oddalał od Iwangroda, głuchła wrzawa, nareszcie zupełne umilkła.

O jakże to miło na Zaporozkim stepie!... piersi rozdymają się szeroko, daleko oddech powietrzem leci, spragnione usta łykają wiatr stepowy, a dusza poi się trunkiem wielkości; ucho na milę do koła najmniejszy szelest słyszy; przelatując z jeziora do jeziora dzikie gęsi skrzydłami po nad głową świszczą, i czasem pogęgują; w rozdole igrając młode wilczęta łoziną klekoczą, a stare po stepie jak płaczki żałośnie wyją; na wabca lis z głucha szczeknie, po stepie sumak skokami załopocze; gadzina i wąż szerkną szuwarem; gdzieś daleko zarży ogier stróż tabunu, albo na noclegowej paszy zaryczą czumacze woły.

Zeszedł księżyc i pełną twarzą na ziemię patrzy, gwiazdy ze wstydu pochowały twarze za siną zasłonę i tylko zalotniejsze z pomiędzy obłoków strzygą jaskrawemi oczkami na pana księżyca. Nekrasa patrzy, obraca okiem na wszystkie strony, step i step, a cień jeźdzca i konia zwalił się olbrzymią postacią na ziemię, i zwolna przesuwał się po trawie: duma zagrała w serce i myśl Atamana. Poprawił się na siodle, pokręcił wąsik i rzekł sam w sobie.

— Ja Król stepu, Pan nad Pany. —

Na czas zapomniał o miłości, o kochance, bo czyż mocarz wszechwładny może myśleć o drobiazgach?

Noc całą przejechał, dniem trzy rzeczki w bród przeprawił, liczne futory na boku zostawił, krótko konia popasał, sam kawałkiem razowego chleba przekąsił, źródlaną wodą popił i ruszył dalej. Drugiego dnia o południu, dopychał do niewidomej drogi. W dali już widać futory koło czystego źródła, na polu pasł się mnogi tabun dziarskich koni; bracia konie tabunowi zobaczywszy jeźdzca zarżały, wzniosły głowy w górę, roztwartemi nozdrzami wiatru zachwyciły, a zarzuciwszy na krzyże ogony, z kopyta pomknęły ku jeźdzcowi. Przodem skarogniady sadzi, Nekrasy serce nierównym pędem bije z radości, i woła: hulaj! hej tu do mnie! Skarogniady przybiegł, schwycił go wargami, w bok odskoczył, wierzgnął zadem i wisnął, zeszczulił uszy, oczy aż na łeb wysadził i zaczął do koła wybrykiwać; suche i żylaste nogi jak w tańcu podnosi, zadem okracz przysiada, a włosienną kitę na wiatr rozpuścił.

Wśród tabunu jechał Nekrasa. Przybiegło kilkunastu Zaporożców i zaczęli krzyczeć:

— Nasz Ojciec Ataman! —

Dwóch na łeb skoczyło do Czystego-źródła, i jakby czarodziejską władzą, z pod bud, z pod szop, z trawy, rojem wysypali się Zaporożce; wołają tłumnie:

— Niech żyje nasz Ojciec Ataman!

— Jak się macie bracia? —

A zaledwie zsiadł z konia, już go na ręce porwali i ściskają i rzucają w górę.

— Sława Bohu! niech żyje nasz Ataman! —

Każdy radby dotknąć choć sukni Atamańskiej. Pijani z radości Zaporożce Serykowskiego kurenia; Nekrasa aż omdlał z powitań, a kiedy trochę ustały, ściskał Dudara. Stary Assawuła łzą czułości zrosił źrenicę.

— Ojcze Atamanie, tak się nie godzi nas porzucać na długo; pszczoły bez matki nic nie warte, i my tak bez ciebie. Nałajał ja dobrze Sotnikom za to, że ciebie zostawili w Korsuniu; mówiłem: trzeba było przyczepić się do Atamana jak cielę do krowy i na krok nie odstąpić. —

Uśmiechnął się Nekrasa.

— Co ty chcesz stary przyjacielu, trzeba było abym ja bez was powędrował trochę; ale cóż tam słychać w Siczy, co robi Ataman Koszowy?

— Wczoraj wróciłem z Siczy. Pan Kałnyszewski po dawnemu zalewa ślepie od rana do wieczora, zgłupiał jak suseł; wiedzą tam o twojej sprawce pod Korsuniem. Z początku między starszyzną wielu się gniewało za ten krok samowolny, ale kiedy Żeleźniakowi przyszło na pohybel, powiedzieli: dobrze zrobił Nekrasa, a Kałnyszewski wyparł się, że miał zmowy z Moskwą że podpisywał rozkaz Żeleźniakowi. U nas teraz na Zaporożu, ten lepszy kto duższy, tego chwal kto pobił.

— A od Krymu co słychać?

— Już tam nie tajemnicą, że Kierym-Giraj wraca na Hańst wo; cieszą się Tatary jak psy, kiedy im w uszy zagra trąba myśliwska.

— Assawuło, wiecie gdzie teraz Ataman Sawa?

— Ataman Sawa z swoim Kureniem w Pustelnicy, gotów do boju jak parobek do tańca; czeka na ciebie.

— No dobrze, bracia, z zachodem słońca wyjdziemy w pochód; niechaj ludzie wezmą jadła na kilka dni, wiemy kiedy idziemy, ale nie wiemy kiedy i gdzie powrócimy; tylko niechaj wszystko będzie praworno; teraz niechaj bankietują. Rozdać wódki. —

Dudar aż podskoczył z radości.

— I na nas przyszedł czas! zahulamy! —

Dał rozkazy Sotnikom, i wrócił rozmawiać z Atamanem. Choć zaczęło się chmurzyć i deszcz pokrapia, Zaporożce żywo i ochoczo uwijają się koło przyborów; prędko jedzą, prędzej piją i biegną łapać i siodłać konie.

Nie z taką roskoszą pasibrzuch się zabiera do biesiady, nie z taką dziewczyna do tańca, z jaką Zaporożce do boju; bo częste kielichy pasibrzuchowi głowę odejmą i w bydle zamienią; dziewczyna w tańcu nieraz nogą zachromi, serduszko straci, a

a potem klnie tańce i nieszczęsną dolę. Zaporożec hula koniem na polu bitwy, a po boju słodko mówić o wojennych czynach; życie się straci, sława wojenna zostanie. Imię wojaka uczciwie, jak się należy, z ust do ust przejdzie do wiecznej pamięci; potomność o nim nie zapomni, a teraźniejsi ludzie jedni uczczą śmierć westchnieniem zazdrości, drudzy żalu łzą.

XI.

Wojny! krzyknęli. — Jakiej spytał — zawołali:
Wojny z Moskalem! bić się! Hajże na Moskali.
— — — — — — — — — — — —
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita?

Pan Tadeusz. Ks. VII. A. Mickiewicz.

Ciemno, wiatr ustał, od godziny deszcz rzęsisty jak z cebra leje. Czasami łyśnie błyskawica i nagle oświeci długi a wązki szereg spis sterczących w górę, czerwone kołpaki i rozpięte burki, lub zagra chwilowo przelotnem światłem po dzikich twarzach i zniknie. Grzmot w dali zahuczy, albo razem z łyskiem piorun utnie i znowu cicho, tylko konie klapią kopytami po rozlanych kałużach, a błoto bryzga; jeźdzce wznoszą ramiona i tulą się do kołnierzy, a deszcz jakby na złość najciaśniejszą wkrada się szczeliną i przecieka za koszule; konie często rzucają głowami, otrząsając wodę z omokłych czuprzyków. Sen odbiegł od Zaporożców, bo deszcz nieustannie płucząc lica i ściekając po wąsach, lepiej rzeźwi znużone członki jak tabaka; dumek nienucą, mołodcom nie w smak odwilżać gardziel deszczową wodą, zwłaszcza kiedy cali przemokli do nitki.

Nekrasa, jak tylko poczęła się ulewa, nakazał zbliżyć odstępy a sam pomknął skarogniadego i jechał obak Kozaka idącego po samym przodzie. Obadwa wytężyli oczy i śledzili drogi, a jak koty w ciemności nigdzie jej nie zmylili. Jak żeglarz biegiem planet, położeniem gwiazd, kieruje swój okręt, tak oni wzniesieniem się mogił, kopców, zakrętami sugłówek wijącemi się między lasem budiaków, albo polami okrytemi zbożem, wypłoczami lub zmianami powierzchni gruntu wiedli sotnie; tamtemu igła magnesowa, tym pamięć służyła za skazówkę. Kozakowi dość raz przelecieć stepem, aby wbił głęboko w myśl swoją jego obraz; utkwi w niej najmniejszy kuszczyk burzanu, najmniejszy wzgórek: kiedy bieży koniem to dusza jego wówczas cała w uchu, cała w oku.

Nekrasa znał dobrze okolicę, bo nie raz ją przehasał wzdłuż i poprzek, uganiając z mołodcami pierzchliwe sumaki po stepach,

albo wilając się za wilkami po burzanach. Kozak nie lubi gościć w domu; kiedy Kureń wejdzie na leże do Siczy; zaledwie parę dni odetchnie, przewiesi janczarkę przez plecy, siądzie na koń, świśnie na charty i dalej w pole; i tak się wałęsa od futoru do futoru, a coraz większa zbiera się gromadka. Nie masz zakątka któregoby nie deptały kopyta ich koni; nie znają co to sypane kopce i miedze graniczne; jak step długi i szeroki tak hulają po nim. Czasami na pograniczu w braku wilków zapolują na Moskali; nieraz zajmą tatarski tabun jak swoją własność, albo wybiorą haracz silniejszego od Białgorodzkich Turków; a kiedy niekiedy nawet z bracią Lachami się poswarzą.

Ataman nic nie mówił do jadącego obok siebie mołodca; nawet nie spojrzeli na siebie, a jednak konie zwracały się zawsze w tę samą stronę i szły w parze jakby cuglem związane. Nekrasa nareszcie przerwał milczenie.

— Hryćku, znasz dobrze drogę?

— Znam Watażko.

— Czyś często tu bywał?

— Już rok temu jakem tu szukał konia zabiegłego z naszego tabunu.

— To chwat z ciebie, tęgo pamiętasz.

— To nic trudnego; kiedyb tak nauczyć się czytać taj pisać, to inna rzecz. —

Od strony świtania jaśnieć poczęło, z początku łuk nieznacznie się zwiększał, potem powoli, powoli, coraz bardziej mrok nocny się ścierał, a w końcu niebo jakby od pędzla malarza pociągnęło się na sklepieniu w warstwy buro-sine i brunatno-błękitne, przeplatane gdzieniegdzie pręgami białawemi i ciemno-żółtemi. Ulewa ustała, tylko mały deszczyk rosi, a chmury jakby w zaciętej walce ścierały się i przesuwały jedne przez drugie. Na polach podżółciałe zboża wylęgły pokotem w jedną stronę, budiaki smutne ku ziemi pochyliły czoła, i jak wstydliwa dziewica skryły kraśny kwiat za kolczaste liście. Stada wron i gawronów pławiły się w powietrzu; raz wzbijały się słupem ku niebu, to zbierając skrzydła do góry i przestając niemi wiosłować pędem kamienia spadały ku ziemi, a nie dolatując do niej poruszyły piórami i rozwiły się w szerokie koło, i przelewając się w tumanach mraki, żałośnie krakały. Dalej z jednego do drugiego futoru, jakby linją wytkniętą pruł powietrze jastrząb, a sroki nad nim ulatując wsrzaskliwie świegotały; na mogiłach siedzą sire orły, i czasami dziko zakraczą.

Sotnie szły w porządku, konie koniom wstępowały w tropy, zdawałoby się że głowy następnych przykute do ogonów przodem idących. Już dawno minęły Święty Kościół i jechali po nad jarem gdzie się ciągnęło pasmo futorów, strojnych w olchowe wianki; w prawo niewielki las, gdzie z rzadka sterczą odwieczne dęby mchem porosłe od północy, wznoszą głowy w obłoki, a

rozramienionemi gałęziami powstrzymują grady i nawałnice; gdyby one miały język i mogły powiedzieć jakie wypadki przepłynęły w wiekach które one widziały? jacy wówczas byli ludzie na świecie? ileż by to z ich powieści wyobraźnia nazrywała kwiatów do ubarwienia poezji? — ileż by historja wygrzebała czynów zatopionych w bezdni niepamięci? Możeby i muzyka zbierając wielkie myśli, pierworodne uczucia, wysnuła harmonję płynącą z serca wprost do serca.

Minęli las i znowu wpadli na step nieorny, pokryty kępami i niewielkiemi kuszczami burzanu; na spochowistej płaszczyznie przerzucały się krągłe błota obrośnięte zieloną lepiechą i tatarskiem zielem. Tam dwie drogi się przecinały, a na środku stała figura ukrzyżowanego Chrystusa, wydłutowana z drzewa i pomalowana zielono; na jej wierzchu błyszczał szklanny kogut, obrócony piersiami ku wschodowi, z nadstawionym grzebieniem, rozdartym dziobem, jak gdyby chciał opiewać słowa wiary ku tej kolebce Chrześciaństwa i zwrócić ją tam na powrót zkąd rozniosła prawdę i cnotę na świat cały. Każdy Kozak przejeżdżając koło figury zdjął czapkę, potrzykroć razy zrobił znak krzyża świętego, i powitał Odkupiciela świata Syna Bożego poranną modlitwą, szczerą jak dziękczynienie małego dziecięcia za dar odebrany od rodziców, prostą, jak pierwsze wyznanie miłości młodej i niewinnej dziewicy.

Daleko już zostawili krzyż za sobą, rzucili drogę niewidomą i w prawo przecinali stepem, kierując się rozdołami i smugami budiaków. Zaporożce śpiewać zaczęli dumkę dobranemi głosy; pieśń opowiadała porządkiem: odjazd z Siczy Zaporozkiej, pożegnanie dziewic i mołodyc po futorach, gwar wojny, poświst spis, szczęk oręży, głosy hura ha, popłoch wroga, mordy, spustoszenia, grzebanie kości mołodców poległych na wyprawie i tęsknotę za rodzinną ziemią. A dźwięki z początku żałosne ale pieszczotliwe, tak iż serce łechtane roskoszą zaledwo się nie rozpływało w łonie, przeszły na chrapawy odgłos kowalskich młotów w kuźnicy, na dziki łomot drzew walących się burzą, a w końcu podobne do krakania kruka, do ponurego wycia wilka, rozlegały się po stepie.

Nekrasa z Dudarem rozmawiali to o tem to o owem, a kiedy Ataman zaczął opowiadać o swojej przygodzie u Księdza Czorby, Dudar mu rzecze.

— Dobrze to mówią ludzie, że gdzie djabeł nie może to tam poszle albo babę albo Popa, a ten Bazyli to gorszy od samego łysego bisa; żebym go ja dostał w ręce na pochoron kruki by mu stepowe zaśpiewały; ale ty Ojcze Atamanie jak cygan włóczyłeś się po świecie, a są mołodce co za tobą w ogień pójść gotowi: to nie dobrze. —

W tem ujrzeli jak koryto Karabelnej zakrzywiło w pół esa, a we środku wklęsłości sterczą słomiane dachy Pustelnicy. Nie-

bawem nadbiegło kilku Zaporożców Teterowskiego Kurenia i witali Serykowskich braci. Nekrasa zapytał: — Gdzie brat Sawa? — Mołodce się uśmiechnęli. — Ot tam w Dyndylowskim futorze, Pan Sawa z Panią Sawychą siedzą za stołem. — Nekrasa Kureniowi kazał paść konie, a sam z Dudarem puścili się ku futorowi.

W drodze stary Dudar pstryknął parę razy ustami. — Już to niech sobie co chcą mówią, a Pan Sawa dobrze robi; używa świata póki jest zdrowie, taj młodość. — Nekrasa dumał, a Asawuła zaczął gwizdać dumkę i tak pojechali do Dyndylowskiego futoru.

Skoro psy zaszczekały, Pan Sawa wyszedł przed chatę: wesoły, pohoży, rumiany, jasnego włosa, niebieskiego oka. —

— Jak się macie Panowie bracia? I ściskał nowo przybyłych — hej Pani Motro przygotować połudenek a po naszemu: świniny, lininy i wódki do syta. —

Czarnobrewa mołodyca żywo poszła krzątać się koło połudenka, a Sawa jeszcze ściskał Nekrasę, Dudara.

— No i cóż Panie Atamanie natłukłeś Moskali, przywiozłeś nam jaką dziewczynę? A ty stary, dawne to czasy jak my z sobą hulali? —

Dudar wziął się w boki.

— Panie Atamanie, co było to i będzie, jeszcze nas robak nie stoczył; zahulamy jak Bóg pozwoli. —

Bracie Sawo — rzecze Nekrasa — może prędzej zahulamy jak nam się zdawało: ojciec Wernyhora i szlachta Lacka w Bałcie, dziś mają być w Karabelnej, trzeba abyśmy tam co żywiej pojechali; ja mój Kureń zostawiłem w Pustelnicy, aby wszystko było w pogotowiu.

— To dobrze, ale co do drogi to baj bardzo. Ojciec Wernyhora i Panowie Lachy mogą tu przybyć, naradzimy się jak się przynależy. Hej Jaremo! —

I wybiegł silny parobek.

— Siadaj na szpaka i dmuchaj co żywo do Karabelnej, powiedzieć Sotnikowi Kaczorowskiemu jak tylko ojciec Wernyhora i z nim Panowie przybędą, żeby miał świeże konie dla nich, i niechaj prosi żeby tu prosto przyjechali; ty będziesz przewodnikiem. —

— Dobrze, ojcze Atamanie. —

I skoczył do stajni.

Nekrasa przystał na to, bo i jemu miło spocząć trochę po podróżach.

Zaledwo Zdrowaś Marja możnaby zmówić, tak szybko Jarema osiodłał szpaka, wyprowadził ze stajni, siadł na niego i dernął polem ku Karabelnej.

Tymczasem Pan Sawa pokazuje gościom konie wierzchowe, charty, jasne bronie, bogate przybory, i krasiwe dziewice. Pan

Sawa i wojak i hulaka skończony; choć zakon Zaporoża żony mieć nie pozwala, w Dyndylowskim futorze tyle dziewic, ile nie masz u żadnego Baszy w haremie, ani co do liczby. Choć przysłowie niesie, że u Kozaka koń taj kulbaka stanowią cały majątek, jednak u Pana Sawy koni i broni jak u Tatarskiego Hana; a złota, srebra i bisiorów jak u Magnata Polskiego. Sawa chętnie się dzieli z ludźmi darem bożym, rad kiedy kto przybędzie z kim by mógł pobałakać, pohulać sobie trochę, i teraz dwaj Atamanowie i Asawuła jedzą, piją, baraszkują z dziewicami, a czas leci gdyby sokoł skrzydlaty.

Sawa ciągle powtarza: dziś nasze, a jutro djabeł wie czyje będzie. Wieczorem kazał zawołać dwóch teorbanistów; weszli dwaj chłopcy, w czerwonych kurtkach, w czarnych matniastych szarawarach, ich kibić smukła i w pasie przecięta; czuprynami w tył zarzucili, wynieśli teorbany w górę, zatupotali trapaka, po wszystkich strunach brzdęknęli palcami, i plaszcząc hołubce, do siebie poskoczyli. Na przemian brzęczą teorbany, na przemian brzmi tłusta piosnka; to w prysiudy zawiodą, to okracz lezą do siebie jak żaby, albo hopki tną w górę, aż po grzbiecie piętami się śmigają. Sawa wesół plaszcze w ręce i woła: — Chwacko Hołub! chwacko Szelest! dalej jeszcze! — Kozaczęta skaczą jak djabły w ukropie, z nich pot cieknie a z podłogi drzazgi lecą. Nekrasa się uśmiecha, bo do kozackiego tańca, radością pryska kozacza dusza. Stary Dudar z piersi zadął gromką pieśnią, a Motra i dziewice jak szalone w podrygach noszą się po drugiej izbie.

W środku tańca wszczął się łomot za futorem; psy w pole ujadają: wybiegli wszyscy przed izbę, aż tam słuchać tentent koni, i tłumny gwar głosów ludzkich. Niezadługo czeredą zajechali jeźdźce: to ojciec Wernyhora, to Panowie Lachy i Mirżowie Tatarscy. Sawa zaprasza do izby i hojnie gości raczy, co kto lubi tem go darzy. Tatar ma kobyle mleko i baraninę, Lach kurkę pieczoną i stary miód, a Kozak świniny i wódki dostatkiem. U Pana Sawy na niczem nie zbywa, a jak w dziesięcioro Bożego przykania, wierzy w świętą prawdę, że kiepska tam narada gdzie głodno w żołądkach, a ckliwo po głowach; na czczo tylko do spowiedzi iść przystało, z resztą w każdym innym razie lepiej sobie podejść do syta, podpić do haustu. Jedzą, piją, bandurzą, już czas byłoby zabrać się do spoczynku, ale Wernyhora wszczyna rozmowę.

— Panowie Bracia, trzebaby coś postanowić, a to bałakamy jak Żydzi w szkole i sami siebie nie rozumiemy. —

Na to Pan Sapieha.

— Dobrze mówi Ojciec Wernyhora, obierzmy Marszałka i zawiążmy się w radę. —

A sześciu szlachty krzyknęło:

— Wiwat! obierzmy Marszałka! —

Jeden mówił:

— Ja proszę ojca Wernyhorę! —

Drugi zawołał:

— Ja głos mój daję za Panem Sapiehą! —

Trzeci wrzeszczał:

— W Zaporozkiej ziemi jesteśmy, najprzyzwoiciej powierzyć Marszałkostwo Panu Atamanowi Nekrasie. —

Czwarty na całe gardło zawodził:

— Gospodarz domu niechaj będzie naszym Marszałkiem! —

Jakubaga i Mirżowie milcząc, przypatrywali się sejmikowemu nieładowi. Nekrasa się niecierpliwił, Sawa dolewał trunku w szklanki, a Dudar pokręciwszy wąsa:

— Posłuchajcie Panowie Bracia szpakowatej głowy; mało mleka daje ta krowa co głośno ryczy, i my jak wiele będziemy krzyczeć to mało zrobimy; gdzie dużo zachodu tam mało przybytku. —

Nekrasa podchwycił:

— Co tu radzić, siadać na koń i wpaść na Moskali. —

Sawa gotów i na to:

— Ja każę konie kulbaczyć, i poszlę przodem do Kureni. —

I skoczył ku drzwiom.

Wernyhora zatrzymał jego zapęd.

— Nie tak gorąco synu, tu nie idzie o uszczwanie wilka; trzeba dobrze ukartować rzeczy, żeby się popróbować z Carycą Moskiewską. —

W tem Sapieha ozwie się do Sawy:

— Panie Bracie, musicie tu mieć wilków dostatkiem?

— Jest tego plugastwa tyle co Moskali: szczujemy, bijemy, a jeszcze wytępić ich nie można. —

Szlachta w kupkę się zebrała i jak na pytel puściła języki na rozprawę o polowaniu. Pan Jan Dłuski zawołany myśliwy zaczął opowiadać:

— Już temu będzie dwa lata, jakeśmy z Panem Kasztelanicem Pilchowskim polowali w Perewala lesie; jak dziś pamiętam, było to nazajutrz po świętym Michale; psiaki poczęły grać w borze, i wilczysko jak nazimek potężny, wysunął na pole; natychmiast puściliśmy charty ze smyczy; huż huż, i drała za nim szkapami. Jak na dłoni czystem polem wilczysko sadzi; ja krzyczę aż mi gardło boli: huż Chwatka, huż, huż Dolot, a te jak na złość nie biorą; aż nareszcie pstrokaty Doskocz Szambelanica w oczy mu zaskoczył, wilczysko łap w pół Doskocza, zarzucił na plecy i potaszczył się z chartem w burzany, i zginął nam z oczu. Na mękę Chrystusa Pana klnę się, że wam prawdę mówię. —

Drugi szlachcic Ignacy Strumiłło nie dał spocząć mowie.

— To nic dziwnego, ale ja wam powiem rzecz, której może nie uwierzycie. Razu jednego wilcy porwali mi małego gończaka; ze złości wieczorem poszedłem na zasadzkę, strzelbę nabiłem

luftkami, siedzę cicho, aż w tem przybiegli dwa wilcy: niuch, niuch koło padła, odskoczyli, obiegli w koło, nazad wrócili, odciągnęli padło i zaczęli zrzec; ja czekam nim obrócą się do mnie kitami, a wtenczas wymierzywszy w same oczko, jak gruchnę z garłacza, tak obadwa bez duchu zwalili się na ziemię. A kiedyśmy trup ciągnęli pod szopę, Mykita zawołał: Panie, coś się rusza w brzuchu u tego psiawiary; dalej płatać. No i zgadnijcie Panowie, co tam było? Mój gończak zdrowiuteńki! —

Wszyscy zawrzeszczeli: — Oto nam łże! prawdziwy myśliwiec! — I dalej zaczęli pleść dziwolągi, krzycząc: huż tu, huż go ha! hejże ha! na tu, tu! Na, na, na, na, paf! ho, ho, ho! ho! ho! upadł, upadł. Nie jeden jak pies dziawkał, nie jeden jak wilk skakał. Z początku niektórzy się gniewali, ale w końcu zaczęli się śmiać; koniec końcem rozmowa stała się powszechną, i każdy opowiadał swoje czyny myśliwskie: bez kolei, wszyscy razem; nikt nie chciał słuchać, bo język świerzbiał do mowy.

Po długiej chwili, Wernyhora znowu przerwał. — Panowie bracia! albo chodźmy spać, albo radźmy. —

Zaczęli tedy wołać — radźmy! radźmy! — i już się wszystko uspokoiło kiedy Sapięha zajrzawszy do drugiej izby, podszedł do Sawy.

— Panie Atamanie widzę tu przemycany towar. —

— Sawa się uśmiechnął. Nie zbywa tu na niczem. —

Szlachta dosłyszawszy jednem uchem rozmowy, zaczęła zazierać do drugiej izby, a tam dziewczęta chychotały i kryły się za piec. Sawa otworzył na rościerz drzwi i po imieniu zawołał na dziewczęta aby się pokazały. Tu zaczęły się śmiechy i żarty. Wernyhora skinął głową, ale na twarzy miał uśmiech.

— Mości panowie do jutra rada, bo dziś z tego nic nie będzie. —

Odszedł z Nekrasą i Jakubagą, reszta baraszkowała dobrze po północy; ledwie nad białym dniem pokładli się spać pod szopą na sianie, gdzie im Sawa kazał rozesłać tureckie kobierce.

O wschodzie słońca przyleciał goniec tatarski z Budziaku; a muszą być pilne rozkazy, bo zaledwie zeskoczył z siodła, bachmat zwalił się na ziemię i nogi odrzucił. Jakubaga czyta okiem po papierze nakreślonym w kulasy dziwnej łamaniny, a radość mu rozkwita po twarzy, a kiedy zaczęli się schodzić Lachy i Kozacy zawołał:

— Ałłah! Ałłah! Mahomet zlitował się nad nami! Kierym-Giraj nasz ojciec, słońce Krymu, miecz Islamizmu, po jutrze rzuca wygnanie i na Perekop wraca! Jemu znów czołem bić będą Krymskie i Nogajskie hordy; jego jak dawnego Pana powita Budziak. Pisze mi Baron Tott, nasz przyjaciel: iż trzeba aby Lachy wysłali co prędzej poselstwo do Koczun, a mnie poleca sam Han, abym udał się w poselstwie do Siczy i wyjednał przy-

rzeczenie u Atamana Koszowego żeby z nami wspólnie działał; a jeźli to nie podobna to przynajmniej niechaj Moskwie nie pomaga. —

Wernyhora się rozradował. — Nie ma nic złego, coby nie wyszło na dobre; gdybyśmy wczoraj radzili, musielibyśmy dziś zmienić postanowienie. Ja z wami Seraskierze pojadę; Pan Kałnyszewski dawny mój towarzysz, choć go teraz opętali, ale nie taki to nawidzony człowiek, aby z nim rady dać nie można. Przytem Nekrasa nie odmówi odprowadzić nas do Siczy, ma on licznych przyjaciół między Atamanami Kurennemi i Starszyzną Zaporozką; jak zacznie kluczyć Pan Koszowy to i my zaczniemy. Ty Panie Sawo z swoim Kureniem machaj wprost do Polski, łącz się z Konfederatami, a tak rad nierad Pan Kałnyszewski będzie musiał zerwać z Moskwą. —

— Dlaczegóżbym ja ojcze nie miał pójść do Polski, a Sawa z wami pojedzie do Siczy; i on ma przyjaciół tyle co i ja.

— Synu, gdybyś ty po raz drugi wkroczył do Polski, powiedzianoby, że jeden Nekrasa trzyma z Lachami, tak jak jeden Żeleźniak z Moskwą trzymał; ale kiedy Kureń po Kureniu pójdzie wspierać braci Lachów, i Moskwa na to się skrzywi, i kto wie czy sama nie zmusi Atamana do zerwania z nią. Zresztą potrzebny nam jesteś do perehoworów z Kierym-Girajem, a dla ojczyzny trzeba wszystko poświęcić. —

Uśmiechnął się stary, a wszyscy zaczęli wołać:

— Dobrze radzi ojciec Wernyhora! —

— Tak to lubię — rzekł Sawa — na każdego kolej: ty łupiłeś tych psiawiarów, daj też i mnie trochę tego dobrego zakosztować. —

Pan Sapieha oświadczył, iż wraca do Bałty, a ztamtąd ma być wysłane poselstwo do Krymu.

— Ot i po radzie — zawołał w końcu Dudar — mądrej głowie dość na słowie; wszystko się skończyło jak Pan Bóg przykazał; a teraz Panie gospodarzu pośniadamy i popijemy strzemienne. —

Wszyscy radzi. Nekrasa tylko wciąż markotny, coś na boku długo gadał z Wernyhorą, poczem i jego czoło się wypogodziło: jedli, pili, po śniadaniu, po pożegnaniu Panowie Lachy zwrócili drogą do Karabelnej. Nekrasa nakazał Dudarowi z czterema sotniami wrócić do Czystego-Źródła i rozpocząć zbiór zboża; jedna zaś sotnia przyszła do futoru i natychmiast Ataman, Seraskier i Ojciec Wernyhora w poczcie Mirżów i stu mołodców Serykowskiego Kurenia puścili się stepem ku pustyni Świętego Zacharjasza. Sawa uściskał, ucałował Motrę, pożegnał dziewice, czeladkę, siadł na wronego konia i pojechał do Pustelnicy; tam z jedną sotnią zostawił Asawułę Postempskiego aby chleb przysposobił na zimę, a sam z resztą Kurenia kopnął drogą do Łownickiego Orła.

Dziko, pusto na Zaporożu, gdzieniegdzie tylko koło futorów, albo po nad jeziorami mołodce zbierają zboża. Według ustawy której święcie ulega wolny syn stepu, co rok każdy Kureń odbiera w podziale część ziemi do użytku: tam gospodarzy, poluje, ryby łowi, i wypasa stada, po roku znowu wraca ziemia do ogólnej własności; ci co dzierżą futory, płacą czyńsze do wspólnego skarbu. Tam wolno mieć kobiety i gospodarstwo; co w Siczy to wara postaci niewieściej, dla jej stopy zakazanym ten raj wojennego ludu. Mołodziec w Siczy powinien być wolny i goły, w każdej chwili gotów do wojny; kiedy cymbalista zabrzęczy w kocioł, Pan Koszowy świśnie, to nie ma czasu żegnać się z żoną, z dziećmi, albo rozporządzać majątkiem i czeladką: trzeba duchem broń zebrać, skoczyć na koń i dalej w drogę. Na to Zaporożec przyrósł do broni i do konia aby Ukraińscy Kozacy i bracia Lachy bezpiecznie i spokojnie siedzieli pod zasłoną ich męztwa. Tak długo było, i dobrze się działo. Zaporożce odpierali Tatarów, Turkom na karki wsiadali, i Wołoszę trzymali na cuglach; tymczasem Lachy swobodnie ubijali się z Moskwą i Niemcami, albo spokojnie po domach siedzieli, jak to mówią ludzie, jak u Pana Boga za piecem, za sinemi wodami wielkiego Dniepru, za śmiałemi piersiami mołodców Zaporoża. Czas i okoliczności wszystko zmieniły; często gęsto Lachy z Zaporożcami na bakier byli z sobą, a chytra Moskwa korzystając ze swarów między braćmi, jednych dławi, drugim na teraz tumanem w oczy ciska, a nadal niebezpieczeństwem grozi.

Seraskier z Mirżami, Wernyhora, Nekrasa i z nimi mołodce Serykowscy jechali stepem; gdzie staną na popas albo na noc, Zaporożce różnych kureniów wszędzie ich po bratersku przyjmują i jadłem i napitkiem i sercem. Wyszedłszy z Pustyni Świętego Zacharjasza, przeprawili wielki Ingulec w Chmielnickiego załodze. Na ten miejscu zdradny Bohdan, kazał usypać wały, wystawić zamek obronny, niby na odpieranie Tatarów, niby na powstrzymywanie Lachów, a w rzeczy samej na łatwiejsze ujarzmienie wolności Zaporozkiej. Umarł niewiara Bohdan, zamek w rozwaliny się rozsypał, a wolność Zaporozka jeszcze nie zginęła. Kiedyś pomiotą ludzie pamięcią obłudnika Atamana, ślady twierdzy zapłyną ziemią, zielem i murawą się pokryją, a dumkę o wolności, marzyć i nucić będą najpóźniejsze wnuki Zaporozkiego plemienia. Od wielkiego Ingulca podróżni poszli wprost ku jeziorowi Świętego Konstantyna; wody jak kabłąkiem zdają się wznosić nad powierzchnią ziemi, a w około step niezgoniony okiem, zaledwie objęty myślą W dziejach Zaporozkich sławne to jezioro: nad jego brzegami Kość Horodeński, Ataman Zaporoża, pod rozbitemi namiotami przyjmował biesiadą Ojca Mazepę, Atamana całej Kozaczyzny; dnia tego Zaporożce wyparli się wszelkich związków z Moskwą, a z sercem i żelazem biegli do pobratymstwa z Lachami. Od patrona Horodeńskiego wzięło

imię jezioro i z niem pozostało, mołodce szanują wszystko co im Polskę i wolność przypomina. Ztamtąd na stary młyn, ruszyli do Pawlukowego grobu; na wysokiej mogile stoi krzyż dębowy, a w około porasta dziewanna, bujne jej łodygi i liście jak była bujną sława Atamańska Pawluka; dał się on dobrze we znaki Hetmanowi Żółkiewskiemu, a w końcu pobity między Moszniami a Kajmakami przez Koniecpolskiego, mimo że oddał się na słowo Polaków, ćwiertowany; jednak Kozacy wyjednali jego zwłoki, i w rodzinnym stepie mogiłą je przykryli. Wernyhora, Nekrasa i mołodce za jego duszę pacierze odmówili, na cześć jego pamięci zanucili dumkę pogrobową, i pojechali ku twierdzy Sawakuna; tam Ingulec mały w bród przeprawili, w tyle za nimi czysty step, a przed nimi jarugi, wąwozy i puszcze. Zbliżyli się do wąwozów zwanych Skok białego konia i tam na popas stanęli, a kiedy Jakubaga zapytał zkąd pochodzi to nazwanie: Wernyhora tak jął rozpowiadać.

Kiedy Ataman Wyhowski, mąż wielkiego imienia i cnoty, wrócił Kozaków na matczyne łono Polski, wówczas na Koszowaczyznie atamanował Samko duszą i ciałem zaprzedany białemu Carowi. Zaporożce za przykładem rejestrowych braci chcieli takoż z pomiędzy siebie wyrzucić co tylko Moskwą trąciło. Brzuchowiecki szlachcic dobrego rodu, był pod tę chwilę Atamanem Kurennym Blatnerowskiego Kurenia; był to człowiek dzikiego ducha, ponurej myśli; stronił od wesela i niewinnej zabawy, a biegł tam gdzie śmierć i bójka obiecywały bujny plon; więcej go się bano jak kochano. Mimo zwyczaj Zaporoża, że wrony koń albo ciemnej maści najlepszy do boju, bo nie zdradzi podjazdu w cieniach nocy, nie posłuży tak snadno za cel oku strzelca, Brzuchowiecki miał konia białego jak mleko i mawiał zawsze: kiedy na boje jadę, to drwię ze śmierci. Niechaj wie wróg gdzie mnie szukać; kiedy z boju wracam to mój koń od krwi nieprzyjacielskiej czerwony jak jagoda; niech znają moi jak mnie poznawać. Sicz pod ten czas była nad Kamionką na przeciw Kaim-Meczetu; starszyzna zgromadziła się na rynku do rady i złożyli z urzędu Atamana Koszowego. Samko przeczuł że będzie licho i cichaczem wymknął się nocą; mołodce nazajutrz dzień rozbiegli się za nim w pogoń. Brzuchowiecki na białym koniu od wschodu do zachodu słońca dziewięć rzek przeprawił w pław, i za Czarną Kamionką powyżej słonego jeziora dognał zmykającego Samkę. Ot ta głęboka przerwa co tu widzicie oddzielała jeźdźców od siebie; obudwóch konie były dzielne ale wymordowane: niecierpliwy Brzuchowiecki zaciął konia a ten silnym skokiem przesadził przerwę. Samko chciał się bronić, ale Brzuchwieki płatnął szablą, miecz mu wybił i łeb rozsadził na dwoje, mózg i krew obryzgały białego konia, i tak wrócił Pan Brzuchowiecki do Siczy, gdzie go okrzyknięto Atamanem Koszowym. Przeszły i przejdą mnogie lata nim się drugi taki

zjawi któryby tyle winnej i niewinnej krwi przelał, tylu ludzi życia pozbawił, tyle wiosek i miast napalił, napustoszył. Parów który mu służył niejako za wrota do Atamańskiej godności nazwano skokiem konia białego. Starzy ludzie mówią, że co noc o północnej porze, od południa pędzi jeździec na białym koniu, przesadzi parów i zniknie w jarudze; na białej sierci konia ani jednej plamki nie masz, na czapce jeźdzca pływa kraśny kołpak; kiedy koguty zapieją na świtanie, od północy wraca jeździec, ale koń pod nim czerwony jak mięso z rzeźni, a przy czapce czaple pióro. Za mnogie grzechy Atamana Bóg pokarał codzienną włóczęgą i bójką duszy; nie masz dla niego pokoju, póki późny potomek krwi jego, nie zmaże dobrem zła które on nabroił. —

Przestał mówić Wernyhora; konie i ludzie popasały i mołodce ciągle między sobą rozmawiali o Brzuchowieckim, o białym koniu. Po popasie okrążyli Słone Jezioro i wjechali na Trzy Doliny. Słońce ku zachodowi się niżyło, i jakby miotłami ognistemi, tak pękami złotych promieni zamiatało ziemię; lilijowe dzwonki, różowe z szafirowym medwedunki, pomarańczowe piwniaki, groszek ptasi pstrych kolorów, dzikie maki i koniczyna ścielą się pomiędzy zieloną trawą; trzy strugi czystej wody na trzy części dzielą dolinę, boska woń do koła ją obwiała. Wśród dzikich i bezludnych stepów, Trzy doliny tak się wydają, jak trzy jasne gwiazdy na ciemnem niebie, jak trzy krynice na piaszczystych puszczach; rój małych ptasząt tam na noc się zlatuje, a sire orły i bystre sokoły wieczorem ztamtąd ku Dnieprowi wiosłują skrzydłami. Tu zastali mołodców pasących jezdne konie Koszowego Atamana. Trzy doliny nie dostają się w podziale żadnemu Kureniowi, od czterech wieków na nich wypasają Atamańskie tabuny. Nekrasa powitał mołodców i ci go powitali.

— A jest Koszowy w Siczy?

— Jest Ojcze nie tylko Koszowy, ale dużo Kurennych. —

Jakubaga, Mirżowie i cała sotnia Serykowskiego Kurenia pozostała na nocleg; Wernyhora, Nekrasa i kilku mołodców ruszyło wprost ku Siczy.

Sicza była nad samym Dnieprem, obrócona czołem ku wielkiej rzeczce; po jej prawicy ujście Podpalnej, po lewicy Dubrowica zabrawszy wody czarnej i białej Kamionki łączy się z Siniawką i wpada do ojca Dniepra. Do koła przekopy, wały i wysokie ściany z dębowego ostrokołu; po narożnicach i załomach, baszty drewniane w zrąb stawiane, u góry osadzone armatami; z trzech stron trzy bramy z dębowych dylów na żelaznych wrzeciądzach, i trzy mosty zwodzone na łańcuchach. Obwód tego opasania tak rozległy, że chcąc objechać od ujścia Podpalnej do ujścia Dubrowicy, trzeba dzielnym koniem krzepko kłusować bez wytchnięcia dobrą godzinę. We środku wielki rynek, nad Dnieprem cerkiew na cześć Matki Bożej, obszerna ale dre-

wniana: obok niej dzwonnica, w której zawieszony dzwon z czystego srebra, ulany ze zdobyczy porobionych na Carogrodzie przez Atamana Szacha; z jednej strony stoi chata dla popa, z drugiej dworek Atamański, i kancelarja Zaporoża, gdzie mieszka Pan Pisarz, Cymbalista, i Buńczuczny co ma straż nad chorągwią i buńczukiem. Do koła ostrokołu trzydzieści ośm wielkich szop, dla trzydziestu ośmiu Kureni, koło każdej szopy obszerna zagroda dla koni, i w wianek postawionych pięćdziesiąt chałup dla ludzi; w każdym wianku jedna większa chata dla Atamana i starszyzny Kurennej. Na rynku wielka szopa na skład broni i zdobyczy różnego rodzaju; trochę opodal, sklepy z rybą, mięsiwem i szynki z rozmaitemi trunkami; po nad rzeką w wydrążonej skale, składy prochu i ołowiu, i magazyny ze zbożem, sianem i różnemi potrzebami; a taki tam dostatek wszystkiego, że przez dwa lata byłoby czem karmić, poić i odziewać czterdzieści tysięcy wojennego ludu i jego konie.

Przy bramach i po basztach stoją liczne warty, po wałach przechadzają się zbrojne straże; po Dnieprze w prawo i w lewo pomykają się mnogie czółna z mołodcami, i podjazdy konne krzyżują się około Siczy, jak gdyby wojna już była wydaną, i wróg znachodził się pod nosem. Od wieków taki zwyczaj na Siczy, czy wróg blizko, czy daleko, zawsze być pod bronią i na pogotowiu. Dobrze już noc nasunęła się na obłoki, kiedy Wernyhora z Nekrasą podjechali pod Siczę, z podjazdami się rozmówili, a kiedy zbliżyli się pod bramę, mołodziec stojący na straży zawcłał.

— Kto idzie?

— Swój.

— Kto swój?

— Ataman Serykowskiego Kurenia. —

Natychmiast rozdmuchano przygasłe ognisko koło bramy, a Kozacy straży przypatrywali się nowo przybyłym. Przy czerwonych płomieniach dziko malują się ich twarze. Gruby głos zawołał: — Spuścić most! — Skrzypnęły wrzeciądze, rozwarły się podwoje, zaskrzypiały bramy, z piskiem i z hukiem most spadł; jeszcze w drganiach brzęczały łańcuchy, kiedy jeźdzce wjechali w bramę.

Przysadkowaty chłop powitał Nekrasę.

— Jak się macie Atamanie?

— Dobrze bracie Czorbo, ale u was co tu słychać? —

Pokręcił głową Ataman Irklujewskiego Kurenia.

— U nas, pogadamy o tem — ale ujrzawszy Wernyhorę rzucił mu się na szyję — ojcze Wernyhoro! jakiż to dobry duch was między mołodców przyniósł? —

— Sokoł na starość przed śmiercią odwiedza rodzinne gniazdo i młode sokolęta.

— Wam ojcze nie myśleć o śmierci; jeszcze pożyjecie dobry

kęs czasu z nami. Teraz Panowie bracia u mnie przenocujecie: nie zabraknie na wygodzie ani wam ani waszym koniom. —

Wernyhora dodał ciszej, tak żeby nie wszyscy słyszeli — chciałbym dziś jeszcze widzieć Kałnyszewskiego. —

Czorba skinął głową.

— Niepodobna ojcze abyście to dziś zrobili. Pan Kałnyszewski po swojemu jak suseł zalał się wódką; mieliśmy tu gości, bogdaj takich nigdy nie bywało w Siczy: ale o tem pomówimy. —

Kiedy weszli do chaty Czorby, ten zawołał kilku mołodców i każdego z nich wysłał do sześciu Atamanów Kurennych, których Kurenie odbywały służbę w Siczy, i do Pisarza, mówiąc — kłaniaj się i proś niechaj tu przyjdzie. — Tymczasem mołodce Serykowscy zabrawszy trawę i owies, poprowadzili konie pod szopę swojego Kurenia, Czorba zaś opowiadał: że po zawczoraj przybyło kilku wysłanników z Moskwy i Błahoczynny Czehryński; ciągle byli na zmowach z Koszowym, z Pisarzem i z Atamanami Czepihą i Hołowatym Kanibalickiego i Kiślakowskiego Kureniów. Dziś na biesiadę wszystka starszyzna zawezwaną była, a pili do ciemnej nocy; poczem wysłannicy z Błahoczynnym odjechali do Kijowa. Koszowy hulał póki się z nóg nie zwalił.

Wernyhora zapytał — o czemże była narada?

— Już my tego to nie wiemy, ale pewno że tam nic nie było dobrego; gdzie Bazyli i Czepiha dobiorą się, tam pewno się zrodzi łotrostwo.

— Na cożeś ich tu kazał prosić?

— Wymacamy ich po żeberkach, co to oni tam uradzili o nas, a bez nas.

— Dobrze mówi Czorba; trzeba wiedzieć jak rzeczy stoją, aby na właściwą strunę zagrać z Panem Kałnyszewskim; ale powiedzcie dla czegóż między nimi był Kotlarzewski i Hołowaty, wszak to poczciwi ludzie? —

Splunął Czorba.

— Licho mi z takimi ludźmi, jeden gnuśny jak baba, a drugi głupi jak sadło; jak im zagrają to oni skaczą. —

Nadchodzili kolejką: Pan Pisarz Kotlarzewski, i Atamanowie Kureniów: Zawadowski Perejasławskiego, Neczaj Korsuńskiego, Apostoł Wafuryńskiego, Złotopolski Lewuchskiego, Hołowaty i Czepiha; wszyscy już czterdziestkę przeszli. Z poszanowaniem witali Wernyhorę a po bratersku ściskali Nekrasę; Czepiha tylko niżej się kłaniał, serdeczniej ściskał; znak to nieszczerości: człowiek zawsze łata powierzchownością niedostatek wewnętrznych uczuć.

Wernyhora zaczął opowiadać o wypadkach w Polsce, o przyszłej wojnie między Tatarami a Moskwą, o poselstwie Jakubagi, i tak kończył: — Panowie bracia, teraz czas; nasza Matka Polska woła: dzieci czemuście tak ospali, czyście zapomnieli dobro-

dziejstw jakie na was sypałam szczodrą ręką? Czyście się zaprzedali psu bratu Moskalowi? Nuże weźmy się do broni i wesprzyjmy braci Lachów, tak każe nasze dobro, tak każe uczciwość wojenna. —

Pięciu Atamanów Kurennych od serca potakiwało tej mowie, Hołowaty tylko kręcił głową.

— Djabeł że wie co tu się dzieje na naszem Zaporożu; wczoraj Koszowy przyrzekł pomoc Carycy Moskiewskiej, a dziś chcecie żebyśmy się z Lachami bratali. —

— Choć Czepiha mrużył brwiami i głową kręcił na Hołowatego aby nic nie gadał, ten dalej rzecz ciągnął: — Wczoraj Pan Kałnyszewski przyrzekł Nekrasę pokarać za jego wyprawę do Polski, a wy chcecie żeby dziś wszyscy Zaporożce poszli w jego ślady; już tu u nas tam poprzewracało się w głowach; mój brat sam wyprawiał Żeleźniaka na Koliszczyznę, a teraz tu przyjechał kawęczyć nad losem kilkunastu sotek wyrżniętych Lachów. —

Nekrasa podstąpił do Kotlarzewskiego:

— Panie Pisarzu, czy nie chcecie wy mnie do więzienia zapakować, albo Moskalom oddać? Pamiętajcie o tem że ja mam szablę. —

Kotlarzewski zachował powagę i obojętność.

— Bracie Atamanie, jeszcze się nic nie zrobiło. Pan Kałnyszewski przyrzekł połajać, a co się Carycy obiecało to można zmienić; u Hołowatego jak po śliwkach w głowie. —

A Czepiha głową potakiwał.

— Bez Koszowego nic nie postanowimy, do jutra sprawa; po co u licha mamy się zwadzać kiedy ani siadło ani padło; ja rad że widzę Nekrasę i was ojcze Wernyhora w dobrem zdrowiu. —

Na to Czorba:

— Takeś ty temu rad, jak kruk, kiedy mu pies wyrwie ścierwo z pod dzioba. —

Nic Czepiha nie odpowiedział, niby nie uważał, a nagadawszy się trochę, każdy zabrał się do spoczynku.

Nazajutrz dzień równo ze świtaniem jakiś człowiek wsunął się do chaty Atamańskiej. Ataman smaczno chrapał, kiedy poczuł trącanie, i słyszał głos:

— Ojcze Atamanie' ojcze Atamanie! nowe u nas rzeczy. —

Kałnyszewski przebudził się, łypnął oczyma pociągnął się, zakrzywił twarzą.

— Czepiha, czego ty u licha chcesz o tej porze?

— Ojcze Atamanie, nowe rzeczy u nas. —

Ataman splunął.

— Co za nowe rzeczy? czy Tatary pod Siczą? Niechaj Cymbalista w kocioł uderzy, a mnie niech wronego osiodłają. —

Zerwał się z posłania.

— Wołać Asawułę Ładyńskiego!

— Wroga nie masz, ale Wernyhora z Nekrasą przyjechali i oznajmują przybycie Seraskiera Bałty z Mirżami, w poselstwie od Kierym-Giraja, który znowu powrócił na Hańastwo Krymu. —

Kałnyszewski zamyślił się, przeszedł parę razy po izbie, twarz mu poczerwieniała, poprawił osełedec, musnął palcami po siwym wąsie.

— A błahoczynny Bazyli i Moskale czy już wyjechali?

— Przed wieczorem jeszcze pojechali, ale z obietnicą waszą ojcze Atamanie.

— Ale na piśmie nic nie mają, a Panowie Lachy nasi bracia; dobrze mówią: pismo grunt, słowo wiatr. Gdzież jest Wernyhora? To dawny towarzysz. No dam temu Nekrasie, bądź spokojny — niechaj Asawuła tu przyjdzie. —

U progu zdybał się Czepiha z Wernyhorą i Nekrasą, ci powitawszy go niemo, weszli do Atamańskiej izby. Kałnyszewski z Wernyhorą, jak przystoi na dawnych przyjaciół, serdecznie się uściskali. Nekrasa hardo stanął, jedną nogę naprzód posunął, a ręce splótł pod piersiami. Kałnyszewski uściskawszy Wernyhorę obrócił się do Nekrasy.

— A ty Panie Atamanie cożeś tam nabroił?

— W pomoc braci Lachom poszedłem, i Moskali na zgniłe jabłko zbiłem.

— To dobrze żeś wybił, ale bez pozwolenia, tak być nie powinno.

— Ojcze Atamanie, kto podpisał rozkazy Żeleźniakowi nieść wojnę Lachom, ten nie mógł pozwolić Nekrasie iść bronić Lachów —

Wernyhora mrugnął na swego wychowańca, Kałnyszewski się zachmurzył, ale zaraz wypogodził czoło.

— Bracie Wernyhoro, teraz jaja mądrzejsze jak stare kury. Panie Atamanie Serykowskiego Kurenia, potem się rozmówimy, a teraz zostaw nas samych. —

Nekrasa wyszedł nic nie rzekłszy, ale na twarzy widać, że to zrobił niechętnie.

Skoro we dwóch zostali, zaczęła się rozmowa.

— Lubię tego twego Nekrasę; u niego prawda nie jak w butelce na dnie, ale na języku; hardo się stawi starszemu, ale też za to gracko bije, pożal się Boże karać takiego chwata.

— Panie Kałnyszewski, powiedz, co się tobie zrobiło żeś wydał ten przeklęty rozkaz Zeleźniakowi? Nieraz z jednej kwarty wychylaliśmy miodek i wódkę, może i korzec soli zjedliśmy z sobą, a jednak nigdym nie słyszał żebyś się pokochał w Moskalach. —

Podrapał się w głowę Ataman.

— Gdzie tam u licha ja tych psiawiarów lubię! Dobrze to mówią: gdzie djabeł nie może, to wyszle kobietę albo Popa; ten Błahoczynny spoił mnie jak dzika i zyskał podpis. I teraz mówią, że mu jakieś rzeczy naprzyrzekałem na korzyść Moskali, ale zje djabła kiedy ja dotrzymam. Nie mówisz mi bracie nic o posłach Tatarskich? —

Wernyhora opowiedział powód poselstwa, zmiany zaszłe w Porcie, los Polski, i kończył:

— Mam nadzieję, że ci się oczy otworzyły i że zaprzesz się twojej powolności dla Moskwy.

— Ja duszą i sercem sprzyjam Lachom, ale ta głowa przeklęta! Jak w niej zaszołomi, to wtenczas człowiek gotów by z Antychrystem przeciw Panu Bogu trzymać. —

Odemknął drzwi.

— Hej! Panów Asawułę i Pisarza tu poprosić. —

Niebawem weszli Kotlarzewski i młody Asawuła Ładyński.

— Panie Asawuło, weź sto koni i jedź do Trzech Dolin naprzeciw Seraskierowi Bałty. Ataman Czorba niechaj go przyjmie przy bramie ze wszelką czcią; kłaniać się mu odemnie i powiedzieć, że go czekam z upragnieniem.

— Panie Pisarzu, cożeśmy wczoraj przyrzekli Ojcu Bazylemu i tym suczym synom Moskalom?

— Ojcze Atamanie, przyrzekłeś przymierze z Carycą; obiecałeś wysłać nowy Kureń na Ukrainę aby mordować szlachtę, Księży Łacińskich i Żydów. —

Ataman splunął.

— Przeklęta wódko! nieprzyjaciel narodu ludzkiego ciebie wymyślił, bogdajeś zaprzepadła na wieki. Panie Pisarzu odwołać wszystko: pijak Kałnyszewski przyrzekł, Ataman trzeźwy odwołuje. Ataman Koszowy, Naczelnik Zaporoża nie powinien nigdy być pijany. Wszak prawda bracie Wernyhoro: kto się do winy dobrowolnie przyznaje, ten w połowie grzeszy.

— Przyznanie się do winy jest wielką cnotą, ale nie na tem koniec: czynami trzeba poprawić dawne błędy. I Panowie Laccy co naprowadzili na kraj Moskali wstydzą się powiedzieć: winniśmy. Kiedyś przyjdzie ta błoga chwila kiedy i oni rzekną to słowo, a wtenczas znajdzie się poprawa, a za nią krok postępować będzie szczęście Ojczyzny; wielu ludzi raz zbłądziwszy przypadkiem, dalej brnie w otchłań niecnoty, choć prawość siedzi w sercu, ale fałszywy wstyd wstrzymuje iść za jej popędem. Wiecie o tem, że miłość własna jest te miecz obosieczny, często służy za bodziec do dobrego, ale też często staje się zatwardzeniem w złem. —

Przy początku mowy wszedł jakiś starzec i pilnie słuchał, a oko jego łzą się zrosiło; był to Hołowaty brat Atamana Kurennego, a gospodarz futoru w widłach między Tiasłykiem a Tia-

śminą. Wernyhora nie przerwał mowy po jego wejściu: z takim zapałem mówił jakby był natchniony duchem wieszczym. Stary Hołowaty bił się w piersi.

— Boże odpuść mi, mogłem zatrzymać wielką zbrodnię a nie zrobiłem, podałem rękę śmiertelnemu grzechowi. Kum Dudar mówił: Moskale psiawiary, Caryca was łudzi, a ja uszy pozatykałem. Boże wielki, odpuść mi! —

Tłukł się ciągle pięścią w pierś, a boleśna rozpacz rozlała się po jego twarzy.

Przykro patrzeć na starość dręczoną wyrzutami sumienia, przykro słyszeć głos pokutującego żalu, wychodzący z ust, którym prawem boskim i czcią ludzką przynależą słowa pokoju i cnoty; nikt nie śmiał mu objawić pociechy, bo wszystkich serca ściśnięte, a usta zatrętwiałe. Ataman w Hołowatym siebie widzi: Wernyhora czuje i boleje nad jego cierpieniem, a Kotlarzewskiemu myśli jak pijane tańcują po głowie, i nic z nich usnuć nie może; takim był całe życie, takim zstąpi do grobu. Piórkiem gładko umiał wodzić po papierze, ale co myślą to ani weź; jak mu rzekną: drapmy się do nieba, to mówi: dobrze; jak mu zaśpiewają: złaźmy do piekła, to odpowie: niechaj i tak będzie. W całem Zaporożu nazywano go cielęciem, co samo nie wie gdzie się obrócić.

Kiedy tak stali milcząc, zaturkotał wózek i wszedł do izby stary Pop.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, Amen. —

Odpowiedzili wszyscy, a Wernyhora z Kałnyszewskim obadwa zawołali:

— Ojcze Czorba, cóż to ciebie przyprowadziło?

— Moi synowie, moi bracia, i mnie na starość przyszło przejść na burłakę. Moskale na Iwangród naszli, a poduszczeni przez Bazylego Błahoczynnego Czehryńskiego jakobym przechowywał w moim domu Nekrasę i miał porozumiewania się z Lachami, dobytek mój zrabowali, chatę spalili; ledwiem z żoną i dziećmi potrafił uciec na Zaporoże. Dzieci i żonę zostawiłem u Czystego-Źródła, a sam tu między was przybyłem; dajcie przytułek i opiekę waszemu bratu.

— Będziesz ją miał Ojcze — odpowie Kałnyszewski — choćby przyszło do wojny nie tylko z Moskwą, ale nawet z samym djabłem. Panie Pisarzu, niechaj tu przyjdą Atamanowie i cała Starszyzna; prosić Nekrasę, —

Wernyhora uściskał Atamana.

— Panie Koszowy, jak ja ciebie lubię widzieć takim; bracie Pietrze, zostań na zawsze takim Ojcem Zaporoża!

— Widzisz bracie Wernyhoro, jak w głowie na czczo, to serce prostą drogę wskazuje; nie zarzekam się wódki, bom nie ja ją stworzył, ale na słowo Atamańskie przyrzekam

sobie nie przebierać miarki: zobaczycie czy umiem dotrzymywać. —

W tem zaczęła wchodzić Starszyzna, a kiedy pokazał się Nekrasa, Kałnyszewski go uściskał.

— Synu, zapomnijmy co było; może wkrótce prawnie, jak się należy, spotkamy się z Moskalami.

— Święte twoje słowa Ojcze Atamanie. —

Niebawem przyjechał Jakubaga z Mirżami w poczcie mołodców Żaporoża, mając koło siebie Atamana Kurennego Czorbę i Asawułę, obudwóch konno. Kałnyszewski wyszedł przed chatę, powitał Tatarów i zaprosił ich do izby. Tatarowie powitali mahometańskim zwyczajem, przykładajac rękę prawą do serca i do czoła, poczem weszli do izby, i zasiadłszy na rozesłanych kobiercach, a Panowie Zaporożce na ławach, pili rozdane im kobyle mleko. Jakubaga tak zaczął:

— Panie Koszowy! niechaj Bóg i Prorok tyle lat pomyślności daje tobie i każdemu z twoich mołodców, ile kropel mleka jest w tej czarze. Kierym-Giraj potomek wysokiego rodu, bohater niezrównanych czynów, łaską Sułtana wrócony na Hańetwo, przysyła mnie do ciebie w poselstwie; ofiaruje ci przymierze i pobratymstwo; podarunki dla ciebie Atamanie i dla walecznych mołodców przyjdą. Kierym-Giraja ręka hojna, a skarby dostatnie; zasiekami w Bakczysaraju leży srebro, złoto, stal i żelazo; na stepach jak gwiazdy niezliczone pasą się tabuny koni, część wszystkiego wam się dostanie. Nie chciałby Wielki Han z wami bronią się rozstrzygać, zwłaszcza że za waszą sprawę wyruszamy walczyć, bo idziemy w pomoc Polsce, waszej prawej Ojczyźnie.

— I my nie chcemy mieć wojny z Panem Tatarzynem, Dobrodziejem Krymu i Budziaku; lepiej żyć w zgodzie, po sąsiedzku; znajdziemy kogo bić. I wasz Han i my nie Żydzi, abyśmy się targowali co wiele czego ma dać; co da to weźniemy, ale i my mu damy naszą przyjaźń i na podarunek się zdobędziemy; ale trzeba ci wiedzieć Seraskierze, że w pokoju Starszyzna rozstrzyga o dziełach Zaporoża; w czasie wojny ja Pan Wszechwładny. —

A obracając się do Zaporożców:

— Panowie Bracia Starszyzna, powiedźcie kto chce przymierza z Hanem, a kto nie chce? —

Bez wahania i ani chwili się nie zatrzymując, wszystkie głosy się odezwały:

— Chcemy przymierza z Tatarami, chcemy wojny z Moskwą; choćby dziś chodźmy w pomoc braci Lachom. —

Ataman Hołowaty chciał się odezwać, ale Czepiha go powstrzymał.

Ataman kazał przynieść naczynie z wodą świeżą kryniczną, powstał w miejsca, i Seraskier toż zrobił; dobyli mieczów i zanurzyli w naczynie. Ataman pierwszy podniósł głos:

— Na mękę Chrystusa i czystość Matki dziewicy, przysięgam zachować święcie przymierze z Tatarami, nie dawać żadnego wsparcia Moskwie ani wpuszczać w granice Zaporoża wojsk Carycy; pozwalam wszystkim Zaporożcom przyjmować służbę w wojsku Hana, a kiedy Han poniesie wojnę przeciw Moskalom w Województwa koronne, przyrzekam posiłkować jego wyprawę, iść w pomoc naszej Matce Polsce! —

Seraskier z kolei tak mówił:

— W Imię Wielkiego Boga, prawdziwego Proroka, przysięgam, że Han Krymu, Budziaku i Stepów Nagajskich dochowa wieczne przymierze ludowi Zaporozkiemu; wprzód słońce grzać przestanie, księżyc i gwiazdy stracą srebrno-złoty połysk, nim mój Pan zmieni swoje słowo. Dwa narody sąsiedzkie jak bracia będą żyć z sobą i wspierać się wzajem, póki wody nie wyschną w morzach, póki ziemie w proch się nie rozsypią, a świat martwy i żyjący nie zniknie do szczętu. —

Wernyhora powstał.

— Klęty i przeklęty niech będzie ten kto przeniewierzy się swojemu słowu, kto skrzywi przysiędze! —

Ksiądz Czorba dodał:

— Bóg słyszał wasze słowa, Bóg będzie sędzią waszych czynów. —

Tu Seraskier rzecze:

— Panie Atamanie Koszowy, dostojeństwo mojego Pana i twoja uczciwość wymaga abyś wysłał Posła do Bakczysaraju. —

Ataman się obrócił do Starszyzny.

— Panowie Bracia, kogo wyszlemy na tę wysoką godność? —

Zawadowski wąs musnął:

— Atamana Nekrasę; on zna się z Hanem, taki poseł będzie miły Kierym-Girajowi. —

I wszyscy wymienili Nekrasę.

Darmo wypraszał się i spierał; jakiś magnes ciągnie go ku Polsce, a tu go szlą między Krymskie góry. Kałnyszewski koniec położył rozhoworom.

— Co się przewlecze nie uciecze, przybędziesz w czas abyś na czele swego walecznego Kurenia poharcował z Moskalami. Z tamtego świata ludzie nie wracają, ale co z za gór i lasów zawsze przybędą na czas jak jest wola po temu. —

Wernyhora na ucho Nekrasie szepnął:

— Bądź spokojny, jeźli w przeznaczeniu jest tam, u góry powiedzianem, że się połączycie, to i tak będzie; a jeźli nie, to żebyś Bóg wie co robił to nie pomoże nic; a teraz Ojczyzna każe, trzeba jechać. —

Przystał Nekrasa, bo inaczej zrobić nie mógł, ale w sercu klął Hana i Starszyznę i niepowabne na ten raz poselstwo, a szczerze zazdrościł bratu Sawie, który już musi gdzieś hulać po Podolskich polach.

Po zawartem przymierzu, po naradzie jak się to zwyczajnie dzieje i dziać powinno na tym świecie, zastawiono sutą biesiadę: i salamacha i sudaki, i baranina, i pilaf, miód, wódka, kobyle mleko, wszystko to na plac wystąpiło. Cały dzień i dobre pół nocy hulali; ale co dziwna Kałnyszewski pod dobrą datą, a nie-pijany i dotrzymuje słowo. Nekrasa ciągle na stronie rozmawia, naradza się z Wernyhorą, a Tatarowie często przez zapomnienie kozaczego trunku łykną i o Alkoranie na czas zapomną. Nazajutrz dzień każdy pojechał w swoją drogę, a w Siczy choć przymierze pokoju zawarte, wszystko wre wojną, ludzie ostrzą bronie, opatrują rynsztunki wojenne; przeczuciem boju wesoło rżą konie, sire orły kraczą, sire wilki wyją bo i im chce się zakosztować Moskiewskiego ścierwa.

XII.

O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom —
— — — — — — — — — — — — —
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko:
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
Płynąć będzie tajemnie —

Marja, A. Malczewski.

W Krymie i na Budziaku, po Nogajskich stepach i w dzikiej krainie wolnego Zaporoża, kipi i wre duch wojny: a w Polsce wojna na czysto wybuchła; nie skąpą ręką sieje śmierć i spustoszenie, a jednak jej nie brak na wyznawcach, ani na ofiarach. Kiedy Wernyhora z Nekrasą za Perekop na przehowory pojechali, wtenczas Kazimierz Puławski, Ataman Sawa, i liczni Marszałkowie Konfederaccy, jak długi, jak szeroki kraj polski, i ostrzem i strzelbą ucierają się po nim z niewolniczymi synami dzikiej Moskwy. Niekatolicki Zaporożec, brata się z raźnym Krakowiakiem, z zawziętym Mazurem i z dawien dawna znajomym Litwinem; kilku poczciwych Magnatów, (chociaż byli w istocie jedną z największych sprężyn naprowadzenia Moskwy na kraj, zrobiło porachunek w sumieniu i ciężko żałuje za nierozważne postępowanie, radziby je poprawić, ale jak? — Nie dla Magnatów krok śmiały; zostawić czasowi i okolicznościom, to to ich śpiewka ulubiona, od czasu kiedy rozświtawszy po głowach naucznym rozumem, zachwycili w ręce gabinetowe umowy, i intrygi dworskie, a całkowicie zrzekli się na rzecz drobnej szlachty: miecza i konia.

Król choć w nim tam płynie jakaś kropelka krwi Jagiellońskiej, krwi drogiej polskiemu rodowi, jak był tak jest najuniżeńszy i najwierniejszy poddany Carycy Moskiewskiej. Czas za leniwo płynie dla Lachów: oni by radzi co prędzej wyparować Moskali z swojej ziemi; czas za prędko bieży dla Moskali: oni by jak najdłużej chcieli gospodarzyć i rabować w Polsce.

W Kodni Pan Regimentarz Stempkowski sumiennie i święcie dopełniał surowej sprawiedliwości. Co dzień po indagacjach sąd wskazywał hajdamaków na szubienicę, na ścięcie i na pal;

a wyrok bezwłocznie był dopełniany. Za jarem naprzeciw dworu jak na drożdżach rosły mogiły, któremi przysypywano ciała przestępców; ludzie siół okolicznych jak zadżumione miejsce do koła objeżdżali Kodnię: a kiedy gniewem uniesiony jeden drugiego chciał przekląć, to powiadał: — bogdajby ciebie Święta Kodnia nie minęła. Stolnik Głębocki, brat Wojskiego Owruckiego podówczas dziedzic Kodni, w imię przyjaźni, wypraszał niekiedy u Pana Stempkowskiego darowanie winy niektórym hajdamakom; częściej zaś z lochów ciągnących się po pod domem, gdzie było tymczasowe więzienie winowajców, wypuszczał na wolność ukradkiem i osadzał przyległe słobody. Papiery z indagacjami, rzucające ważne światło na obmierzłą sprawę Koliszczyzny, odsyłano do Lwowa; ale tam inaczej się stało.

Trybunał Lwowski nie poszedł torem Pana Stempkowskiego, rozminął się z poczciwością i dbaniem o dobro ojczyzny; pomimo że dowody wykrywające sprawę były dostateczne i jasne jak światłość dzienna; pomimo że Pan Komornik Drożewski, z induktem wygotowanym przez najlepszych Mecenasów, gotował się u kratek wyłuszczyć całą rzecz i pociągnąć do odpowiedzialności zdrajców kraju, i poduszczycieli klęski, jakiej doznały województwa Ruskie; a dla większej wagi zdybawszy Pana Szpilera w Tarnopolu, przywiózł go z sobą prawie gwałtem do Lwowa na świadka. Trybunał zwlekał zebranie, ociągał się z sądem, a nakoniec na tajemny rozkaz Króla Stanisława Augusta, w nadziei osiągnięcia łaski Cesarzowej Katarzyny, popalono dowody i sprawa w łeb wzięła. Starano się zatrzeć ślady prawdy; darmo Pan Komornik wrzeszczał — tnę potnę — wyrzuty, groźby, i przekleństwa, wszystko to padało na wytarte czoła sędziów jak groch na ścianę: nie było po nich ani skutku, ani znaku. Rozsierdzony Komornik, wziął się do Szpilera, przypomniał Korsuńskie wyzwanie, uczciwie po polsku złajał, wyzwał na pojedynek, pokiereszował niemieckiego pluchę i pojechał do Konfederatów w Lubelskie. Szwab tęgo pałaszem naznaczony, powrócił do swoich i tak się zakończyła w trybunale Lwowskim sprawa o Koliszczyznie Humańskiej.

Pan Branicki oczyściwszy już województwa ruskie i z Hajdamaków i z Konfederatów, po zwycięztwach na laurach się wyciągał. Z kolei bale, biesiady i polowania wyprawiał przyjaciołom Moskalom, a szlachta już to z interesu, już to z chęci zabawy zjeżdżała się na zaprosiny.

Teraz spolowawszy wszystkie knieje w okolicach Kuny, na dzień trzydziesty września zaprosił okolicznych obywateli na obiad i bal.

Pani Chiczewska z córkami podówczas nie mieszkała już w klasztorze, ale we dworku, który dla niej umyślnie kazał wyporządzić ksiądz Gwardjan. Od czasu nieszczęsnego dnia rzezi humańskiej niema rozpacz i głęboki smutek toczyły serce matki.

Magdusia smutna, zadumana, bo dla niej chwila dziwnych zaręczyn jak krótko trwała, tak prędko przeminęła. Joasia, ten trzpiot wesołej duszy, teraz tylko wzdycha i gorzko płacze; czy po ojcu, czy po bracie, czy z żalu na swój los sierocy? nie wiadomo; to tylko pewna, że musiał ją los boleśnie dotknąć, kiedy na niej taka zmiana. Kiedy mówi z Magdusią, pilnie popatrzy na srebrny pierścień i rzeknie: Magdusiu, bądź mu wierną; dopóty tylko jest nadzieja szczęścia, póki nie złamiemy przysięgi serca. Dziwne uchu Magdusi te przestrogi młodszej siostry, ale nic nie mówi, bo się nie poczuwa do złego. Od czasu jak wyniosły się z klasztoru, oprócz stryja Gwardjana i Pana Pułkownika Tamary, nikogo nie widują; Pan Tamara grzeczny, zalotny, uprzedza wszystkie chęci, ale o miłości ani słowa nie gada. Pani Chiczewska powiada: to zacny człowiek choć Moskal, szczerą przyjaźń dla naszego rodu chowa. Magdusia tak sobie myśli: ale co Joasia, to bez żadnej ogródki mówi: — To zalotnik do serca Magdusi, ale Magdusia zaręczona, powinna mu wręcz odjąć wszelkie nadzieje; oświadczyć że nie może być dla niego. — Matka pokręci głową: — Moja droga, zbyteczną otwartością, najczęściej nieprzyjaciela sobie kupić można. —

Był to dwudziesty ósmy września, dzień świętego Wacława Męczennika. Wróciwszy ze mszy świętej, Pani i Panny Chiczewskie rozmawiały i pytały się wzajem co za przyczyna że tak wiele koronnych i moskiewskich żołnierzy w mieście, i że jakieś przygotowania robią w Ekonomji. W tem wszedł Ksiądz Gwardjan, a czego nigdy nie bywało uśmiechał się twarzą, pogładził pod brodę obiedwie synowice, i dał każdej po serku jabłkowym i po toruńskim pierniku.

— Zostawcie nas samych, mam do pomówienia z waszą matką. —

A kiedy Panny wyszły, zamknął drzwi, usiadł przy bratowej, która ze strachu drżała i ani słowa nie mogła przemówić; bo Ksiądz Gwardjan człowiek kamiennego serca, w nikim nie umiał wzbudzić miłości, ale za to każdego potrafił natchnąć bojaźnią. Nie zważając na wyraz twarzy Pani Chiczewskiej, zaczął mówić głosem cierpkim, który widać że w tej chwili chciał złagodzić.

— Pani Bratowa wiesz o tem, że jesteście bez żadnego funduszu; nieboszczyk brat nie zostawił kapitaliku, co zebrał to i przehulał za życia; co zaś było w ruchomościach to przepadło. Moje przychody na długo nie wystarczą, a co gorsza mogą się urwać za lada okolicznością; trzeba myśleć o sobie, o dzieciach. —

I tu się zatrzymał; strach ominął Panią Chiczewskę, z całą godnością tedy odpowiedziała:

— Bracie, ja ci ciężarem być nie chcę; od dawna żądałam opuścić Kunę, tyś sam mnie zatrzymał; teraz pozwól abym do

mojej rodziny się udała; mam kilka tysięcy złotych które mi poczciwa sługa ochroniła, a przy pomocy Bożej doczekam się lepszych czasów; wszak Bóg wdowy i sieroty nie opuszcza.

— Moja Mościa Pani, to wszystko dobrze z kazalnicy mówić, ale na świecie jak kto ma majątek to i Pan Bóg i ludzie mu dopomagają; a jak kto nie ma, to Bóg mu pewnie nie da. Waćpani trafia się honor i majątek. Pan Graf Tamara Pułkownik, dziedzic mnogich włości, żąda ręki starszej mojej synowicy; idzie tu o Waćpani przyzwolenie.

— Mego przyzwolenia mieć nie będzie; jeszcze za życia mego męża ręka Magdusi przyrzeczona Panu Atamanowi Nekrasie, a jej serce poszło za naszą wolą.

— Drwij Waćpani z serca dziewczyny, tego kocha kogo widzi; dobrze wychowana Panna temu oddaje swoją rękę i serce, komu starsi każą. Co zaś do woli nieboszczyka brata, czytaj Waćpani jego list przedśmiertny. —

I oddał jej w ręce papier.

Pani Gubernatorowa otworzyła go i czytała:

«Bracie Janie! za chwilę pożegnam to życie. Ginę z rąk sługi, któremu nieraz świadczyłem dobrodziejstwa; ale nie tak mi straszną śmierć, nie tak przykrą niewdzięczność, jak boleśnem zawiedzenie nadziei. Nekrasa ktorego obrałem za podporę mojej rodziny, w którym nawykłem widzieć najlepszego syna Polski, ma porozumienie z hajdamakami, i z nimi razem godzi na naszą zagładę; mam dostateczny dowód jego zdrady w słowie Gonty, w potwierdzeniu Dubyny. Zaklinam ciebie Bracie Janie mojem imieniem, twoją powagą opiekuna i stryja, oprzyj się związkom mojej córki z Nekrasą. Żona moja i córki będą ci posłuszne, a gdyby niemi nie były, przekleństwo moje niech ich ściga aż do grobu. Bracie, zapomnij dawne niesnaski, a bądź opiekunem mojej żonie i dzieciom; o to ciebie błaga twój brat Adam.»

Pani Chiczewska list opuściła na ziemię, ręce palcami splotła, a usta zaniemiały milczeniem. Ksiądz Gwardjan zwycięzkim wzrokiem rzucał na siostrę, zacierał dłonie.

— A co, widzisz Waćpani co to za ptaszek, ten Nekrasa? Będziesz że się jeszcze wahała z przyjęciem honoru, jaki się nadarza twej córce? —

Pani Chiczewska nic nie mówiła. Panienki czy przez ciekawość, czy przez troskliwość o matkę, stały ciągle na podsłuchach; niektóre słowa dolatywały do nich, ale tak niezrozumiale i bezładnie, iż żadnego znaczenia nie mogły z nich skleić; ale kiedy zauważały długie milczenie a potem donośniejszym głosem wymawiane słowa przez Księdza Gwardjana, mimo strach stryja, mimo bojaźń narażenia się na połajanie matki weszły obiedwie do pokoju. Ksiądz Jan nie zmarszczył się na to przekroczenie zakazu, ale szybko podjął list i oddał Magdusi.

— Czytaj Waćpanna. —

Matka pożałowała ją słowy:

— Biedne dziecko. —

Magdusia zbladła, oburącz trzyma papier a ręce trzęsą się jak w febrze, oczy się obłąkały, krew z ust uciekła, zadrżała i padła na podłogę. Matka i Joasia porwały ją i zaniosły na łóżko, a Gwardjan spojrzał zimno.

— Nie trwożcie się; te fochy niewieście przejdą, dać rumianku; ja tu przyszlę Księdza Anzelma, on się zna na lekach — i wyszedł. —

Jak lód zimna twarz Magdusi, a usta oddechu nie przepuszczają, zęby się ścięły; po długich odcieraniach octem i spirytusem, westchnęła; nadszedł Ksiądz Anzelm z flaszeczkami, przystąpił do chorej, wlał kilka kropel miętowego olejku, potarł skronie octem siedmiu złodziei. Magdusia spojrzała na przytomnych.

— On nic nie winien, oczernili go w oczach ojca — i zaczęła drżeć. Po chwili tego paroksyzmu, policzki jej poczerwieniały, oczy błyszczały jak brylanty, porywała się z łóżka.

— Nekraso! Nekraso! ja ci będę wierną! —

Całowała srebrny pierścień, potem ręką groziła. — Uciekaj oszczerco! serce ci wydrę z łona! — i zaczęła płakać rzewnie, nareszcie się zmogła i zasnęła.

Ksiądz Anzelm kazał aby spokojnie ją zostawić i chciał wychodzić, kiedy Pani Chiczewska pokazała mu list.

— Księże Anzelmie, jak ci się zdaje? —

Czytał Anzelm.

— Ja temu nie wierzę; ojciec Wernyhora poczciwy człowiek, jego nikt nie oszuka, a i ten młodzieniec ma na swojej twarzy piętno cnoty. — Pomyślał trochę, potrząsł głową — albo oszukano Pana Adama, albo list zfałszowany.

— O nie! to ręka mego męża! —

Joasia tymczasem przeczytawszy list, zapłoniła się rumieńcem. — Mamo, ja na Boga, na Matkę Najświętszą przysięgnę, że to nie prawda; ułudzono Tatka; umyślnie ten zbrodniarz Gonta nakłamał na Pana Nekrasę, aby pomścić się nad nim.

— Może to być, ale po takim liście jakże Magdusia może być żoną człowieka pasądzonego o zdradę przez jej Ojca; co by na to świat powiedział? —

Anzelm odrzekł z pokorą.

— Byle czyste było sumienie, nie trzeba zważać na gadania świata; świat dziś najcnotliwszego człowieka ołży imieniem zbrodniarza, jutro zbrodniarza posadzi na tronie cnoty; prawda zakryta przed oczyma ludzi, sam Bóg tylko jaśnie ją widzi. Ci ludzie co teraz obwiniają Nekrasę, za chwilę może innem przekonaniem się napoją; zostawić to trzeba czasowi, a ufać we wszechmocną łaskę Boga. —

Poszedł Ksiądz Anzelm. Pani Chiczewska, Joasia i niańka

Magdusi na przemian przy chorej siedziały; słabość się nie pogorszała, ale sen jakby letargiczny trwał przez noc aż do rana. Na ekonomji mnóstwo gości. Panowie Jenerałowie Branicki, Podhoroczanin, oficerowie polscy, moskiewscy, kilkunastu obywateli między któremi odznaczał się Pan Złotnicki swojem naszczekiwaniem na Konfederatów, i mnóstwo oficjalistów z postronnych wiosek; było też tam oprócz Gwardjana kilku księży łacińskich, i z dziesięciu popów. Pan Pułkownik Tamara, jako postojaniec Kuny, sprawiał urząd gospodarza, chociaż jadło, napitki i służba były Pana Branickiego. Tylko co przyjechali z polowania. Pan Branicki wchodził do pokoju, kiedy mu Tamara oddał list. Polski Jenerał preczytawszy, wziął pod rękę moskiewskiego Pułkownika, odprowadził go na stronę.

— Pan Pułkownik powinieneś być pewnym, że dokładam wszelkich starań aby Pana ożenić z Panną Chiczewską; choć to szlachcianeczka, a my byśmy coś lepszego mogli znaleźć w Polsce dla Pana; ale kiedy tak się zachciało niech i tak będzie; kaprys Pański to dziwna rzecz. Obiecałem temu Gwardjanowi i Prowincjalstwo i Kanonję, byle by nam skutecznie dopomógł. —

Tamara mu dziękował całując go w ramię, a Branicki dalej pytał — ale gdzież jest posłaniec co ten list przywiózł od Kreczetnikowa? Nasz przyjaciel poleca abym się z nim rozmówił.

— To Błahoczynny Bazyli, obawia się pokazać w obec tylu ludzi, chciałby sam na sam z Panem Jenerałem pomówić.

— Niech nie będzie gapiem, tu nie masz Konfederatów; zapędziliśmy ich daleko, a wkrótce zapędzimy tam gdzie pieprz nie rośnie, a szlachtę co tu jest łatwo uchodzić. Powiedz mu Pan niech tu wejdzie. —

Tamara wyszedł i niebawem wrócił z Błahoczynnym Czehryńskim. Pop jak liś ukradkiem krok stawiał i strzygł oczyma na wszystkie strony, aby wyczytać jakiem wrażeniem jego osoba działa na przytomnych. W tem Branicki postąpił naprzód:

— Panowie bracia szlachta, przedstawiam wam Błahoczynnego Czehryńskiego; jest to mój dawny znajomy, we względach u cesarzowej Pani, a nasz dobry przyjaciel: chociaż Panowie Konfederaci tysiąc obelg na niego miotali, ja was zaręczam, że to wszystko fałsz, i dla tego proszę o dobre zachowanie dla naszego gościa. —

Pan Złotnicki pierwszy skwapliwie powitał Popa, a za nim poszła w ślady cała czereda zauszników.

Po wieczerzy Pan Branicki zabrał się z Błahoczynnym do ostatniego pokoju i tam się dowiedział, że wszystkie układy z Atamanem Koszowym szły jak najlepiej póki Błahoczynny był w Siczy. Kałnyszewski przyrzekł wysłać po raz drugi na wyrżnięcie szlachty ruskiej, ale zaledwie pop Zaporoże opuścił, doniesiono mu, że Wernyhora i Nekrasa przybywszy z Se-

raskierem Bałty wszystko popsowali, i teraz nie ma co rachować na Atamana Koszowego.

— Wojna z Tatarami pewna — mówił dalej. — Zaporożce pójdą im w pomoc; myślałem że Nekrasa chcąc widzieć narzeczoną swoją Laszkę, do Polski ze swoim Kureniem wkroczy, tubyśmy łatwo mogli mu dać radę, ale tego starego Wernyhorę nie tak to łatwo oszukać. Wie on że bez Nekrasy z Zaporożcami wszystko możemy zrobić: tak nakręcił rzeczy, że Sawa ruszył posiłkować Konfederatom, a jego ulubiony wychowaniec pozostał, ażeby na Zaporozu rej wodzić. Jeszcze dotąd nie mogę odżałować, że ten przeklęty Żeleźniak nie dozwolił mi spełnić zamiaru w Sokołówce.

— To i temu bohaterowi Zaporoża zajechała miłość do serca?

— Bardzo; on ma przyrzeczoną rękę starszej córki nieboszczyka Chiczewskiego, Gubernatora Łysianki.

— Jak to, tej samej o którą tak się dobija Pan Pułkownik Tamara?

— Pan Graf miałżeby chcieć poślubić w małżeństwo córkę prostego szlachcica, Gubernatora jeszcze? To mi dziwna. Ta Panna Chiczewska, o której mówię, na imię Magdalena, przystojna dziewczyna, ma stryja Gwardjanem u Kapucynów.

—No, to ta sama; stryj jej jest tu i ona także. Słuchaj księże, nie mogliśmy orężem pokonać tego Nekrasę, ani innym sposobem się pozbyć, to przynajmniej utnijmy mu figla: ożeńmy Tamarę z narzeczoną: bohater będzie djable kontent. Ja ciebie tu poznam z Gwardjanem: naradźcie się i pracujcie. Kiedy nie mam co lepszego robić, to warto i temu poświęcić jedną chwilkę — i tu krzyknął otworzywszy drzwi: — Hej poprosić tu natychmiast księdza Gwardjana! —

Bazyli się uśmiechał; po twarzy i po oczach widać, że już układa jakieś sidła do osnucia biednej dziewczyny, choć nie wie jeszcze na jakim stopniu rzeczy stoją. Człowiek nawykły do szalbierstwa i pokątnej zbrodni, za lada wspomnieniem że trafia się gratka jego łotrostwu, żeby wypadek nie zastał go w niepogotowiu, natychmiast na wsze strony zaciąga siecie myśli, aby obmatać niemi ofiarę, a serce przymila się ku złemu.

Wszedł Gwardjan; Branicki od stóp do głowy go zmierzył.

— No i cóż, jakże tam interesa idą, czy prędko powitamy waszeci Prowincjałem?

— Jaśne Wielmożny Panie, jabym rad żeby wszystko jak najprędzej się skończyło, ale upór kobiecy ciężki do przełamania; wolałbym opętaną od djabła wyzwalać, jak zakochaną kobietę z rozsądkiem godzić. Rozchorowała się i ani weź. —

Pan Branicki wziął za rękę Bazylego.

— Słuchaj waszeć Mości Gwardjanie, przedstawiam ci mego przyjaciela Błahoczynnego Czehryńskiego, człowieka czmuta w każdej przygodzie; ręczę za to, że gdyby się i uparła to jeszcze on na to poradzi; zostawiam was, pogadajcie z sobą. Wiecie że wiele mi na tem zależy aby to małżeństwo przyszło do skutku; bo to i zadość by się uczyniło Kreczetnikowi, i figla by się wycięło temu Nekrasie skurczybykowi; nie żałujcie pracy, a ja nie pożałuję ani worka ani opieki. —

Wyszedł, a dwaj kapłani, dwóch nieprzyjaznych sobie podówczas wyznań, poczęli się naradzać. Dobrze to mówi przysłowie: interes ludzi wiąże, interes ludzi rozrywa.

Rankiem na święty Michał na ekonomji, po sutem śniadaniu: gdzie między potrawami czoło trzymał hultajski bigos i kiełbasy różnego rodzaju, dojeżdżacze w trąbki myśliwskie zagrali i w kupę zgromadzili posforowane gończaki; szczwacze zaświstali na charty i pobrali na smycze. Panowie wypiwszy strzemienne, siedli na konie, i wrzaskliwa zgraja ruszyła na polowanie.

Kiedy taki zgiełk i krzyk na ekonomji, w dworku Pani Chiczewskiej cichość i smutek; Panna Magdalena choć się ma niby trochę lepiej, zawsze jednak mocno osłabiona. Matka z Joasią choć mogły spocząć, jednak całą noc oka nie zmrużyły. Ksiądz Anzelm często nawiedzał; to dawał jej jakieś kordjały, to kazał maście przykładać. Pan Tamara po dziesięć razy na godzinę przybiegał dowiadywać się o zdrowie Panny Magdaleny, a za każdą razą wsuwał w rękę Horpyny pieniądz srebrny. Stara sługa myśli sobie: ten Moskal nie taki szykowny i szczery jak Pan Nekrasa, ale nie musi być zły człowiek, bo moją Pannę szczerze kocha, a o mnie nie zapomina.

Już było po dziewiątej, kiedy przyszedł Ksiądz Gwardjan. Nie pytając się o zdrowie synowicy, zawołał na Horpynę: — Poproś Imości, chciałbym zaraz z nią pomówić. —

Nie kazała na siebie długo czekać Pani Chiczewska, zaraz przyszła.

— Dobry dzień Imości, jakże się ma chora? — I nie czekając odpowiedzi, mówił dalej — przybył tu jakiś Pop Grecki, który ma tajemne zlecenie do niej, nikomu słowa nie chce mówić; czy chcesz kochana Bratowa aby tu przyszedł, czy też go wyprawić precz?

— Ja nie wiem co by mi mógł powiedzieć ten Pop, nie mam żadnej tajemnicy i dla tego proszę brata abyś był przytomny naszej rozmowie. —

Gwardjan wyszedł i wkrótce powrócił z Bazylim.

Błahoczynny pokornie się kłaniał, ale Pani Gubernatorowa

w tył odskoczyła i omało nie krzyknęła; natenczas Bazyli składając ręce na piersi odstąpił w tył.

— Pani Gubernatorowa widzę pod przesądem wieści rozsianych przez moich nieprzyjaciół; ja im przebaczam bo moja ręka nieskalana zbrodnią; moja dusza czysta od pomysłu złego. Ja o ile sił mi stało opamiętywałem rozbestwione chłopstwo, a niegodziwi ludzie ci, co sami byli powodem złego, oskarżyli mnie, że ja ich podburzam na wyrżnięcie szlachty, którą całe życie poważałem i poważam.

— Księże Błahoczynny, ja nie jestem sędzią wykroczeń Pańskich, Bóg najlepiej widzi czynności ludzkie; przyjdzie czas kiedy on je nagrodzi albo ukarze według zasługi; ale co Ksiądz Błahoczynny masz mi powierzyć, proszę mówić w obec brata mego męża; ja dla niego żadnej tajemnicy mieć nie chcę. —

Bazyli rzucił okiem do koła, jak gdyby zapytywał Pani Chiczewskiej, czy ma mówić w samej rzeczy, czy powinien milczeć, potem spuścił czoło ku ziemi:

— Pani Gubernatorowa tak każesz, ja wypełniam jej rozkazy; z boleścią jednak spełniam włożony na siebie obowiązek. Przed dwoma tygodniami byłem w Zaporozkiej Siczy; tam widziałem Pana Atamana Kurennego Nekrasę, wziął mnie na stronę i powiedział: Księże Bazyli jedziesz na Ukrainę Polską? — Tak jest odpowiedziałem. Na co on mi rzekł: uczyń mi łaskę, pojedź do Pani Gubernatorowej Czehryńskiej i powiedz, że niechaj nie myśli abym kiedy miał być jej zięciem: są powody o których tylko ja i mój spowiednik wiemy, dla czego nie mogę wstępować w śluby małżeńskie z córką Chiczewskiego. Przyrzekłem spełnić jego posłannictwo i spełniam; ciężka to powinność dla mnie oznajmywać Pani zerwanie związków, które tak miłemi byłyby dla niej i dla nieboszczyka Pana Adama, Boże świeć nad jego duszą.

— Księże błahoczynny, spełniłeś swoje posłannictwo; ja żadnej opowiedzi dawać nie potrzebuję; przepraszam że odchodzę do chorej córki — ukłoniła się i wyszła.

Bazyli zagryzł wargi ze złości. Gwardjan rzekł do niego — co się dziś nie udało to się jutro uda, nie traćmy nadziei — i obadwa wyszli.

Trzydziestego września w dzień świętego Hieronima, Pan Branicki i co przedniejsi goście poprzychodzili w odwiedziny do Chiczewskiej, a Pani Skarbnikowa Złotnicka ani na krok nie odstępywała nowej przyjaciołki. Wszystko to dla zaskarbienia łask dla męża u Pana Branickiego i Moskali. Mężczyźni pytali o zdrowie Panny Magdaleny, kobiety zaś tłumnie nachodziły pokój gdzie leżała chora. Pan Tamara dostał pozwolenie aby tam wszedł: zarumieniony, nie umiał trzech słów przeliczyć. Panna Magdalena ani gniewała się na jego przyjście, ani też nie

okazała żadnego znaku wzruszenia albo zmiany; była to cecha wielkiej obojętności, zły znak dla zakochanego. Pani Chiczewska choć kobieta rozsądna, ale zwyczajnie kobieta. Łechtały ją te grzeczności wielkich Panów i Pań; serdecznie się z onych panoszyła; dla pokazania zaś jak jej są miłemi, pomimo że była w grubej żałobie przyrzekła być na obiedzie, zostawując Joasię przy starszej siostrze.

Magdusia ma się lepiej; zwlekła się z łóżka, nadziała biały płócienny sarafanik, i białym czepkiem głowę przystroiła; na bladej twarzyczce przeziera wyraz cierpiącej duszy, błyszczące oko kąpie się w czystej łzie smutku. Siadła przy okienku i duma. Jakże jej pięknie było! czyje by oko na nią spojrzało, tego by serce dla jej serca współczuciem uderzyło. Wesoły wietrznik widząc szczerą dolegliwość młodej dziewicy, na chwilę odtrąciłby puste myśli, i z duszy użaliłby się nad jej losem; smutny, znalazłby ulgę: rzekłby sam w sobie: kiedy anioł cierpi,dla czegoż troska ma stronić odemnie śmiertelnika. Joasia siadła podle siostry i ku ziemi główkę pochyliła; już od godziny jak matka wyszła, a one do siebie ani słowa nie przemówiły. Poczciwa Horpyna, niańka Magdusina krząta się po pokoju; to stuknie krzesłem, to kaszlnie, to zrzuci na ziemię jakiś przybór, to gorzko westchnie. Widać że chciałaby przerwać milczenie: coś ma powiedzieć, ale nie śmie, nie przez strach panienek, ale przez poszanowanie ich smutku; nareszcie przerwała milczenie.

— Moja Panienko kochana, czego tak się smucić, nie będzie jeden to będzie drugi. —

Magdusia nic nie powiedziała, ale Joasia zapytała:

— Cóż ty to chcesz rozumieć przez to?

— Nibyż to Panienki nie wiedzą o czem ja chcę mówić? a juści nie o czem innem jak o Panu Nekrasie? — Ktoby to się spodziewał! taki ładny chłopiec, taki dobry!

— Cóż on zrobił?

— Nic dziwnego, zwyczajnie, to co wszyscy inni mężczyźni. Kochał się, a potem przestał. Dobrze mówi stara piosnka: póki koło niej póty ją kocham, jak przez próg przestępuję, to o niej myślę, jak za progiem to do innej serce ciągnie. —

Magdusia zaczęła pilniej słuchać, a Joasia dalej pytała:

— Zkądżeś ty dowiedziała się o tem wszystkiem?

— Maksymek służący Błahoczynnego Czehryńskiego, widział w Iwan-grodzie Pana Nekrasę; jak mi powiadał był na tym samym koniu co ja go widziałam w Łysiance; musi to tedy być prawda. On mówił, że Nekrasa ma się żenić z Czorbianką córką tamtejszego popa, i że prosił Błahoczynnego aby to oświadczył Pani Gubernatorowej. —

Magdusia wstała z miejsca — to nieprawda — i wyszła do drugiego pokoju.

Horpyna zżymnęła ramionami — zawsze nieprawda kiedy nie chcemy aby tak było.

— Moja Horpyna, ten Błahoczynny największy nieprzyjaciel Polaków i Nekrasy, zmówił się ze sługą aby go oczernić.

— Może to być, ale na co by mu to się przydało, on się nie ożeni z Panną Magdaleną; a z resztą, wszystko to wyjdzie jak oliwa na wierzch. —

Kiedy tak rozmawiały, nadeszła z obiadu Pani Chiczewska, a z nią Pan Tamara. Pan Pułkownik rzucił huczną muzykę, skoczne zabawy, miłość na wędkę zaciągnęła jego serce; tam on tylko rad i wesół, gdzie widzi ciemne oko Panny Magdaleny, gdzie słyszy pieszczony jej głos. Pani Chiczewska okadzana grzecznościami znakomitych osób, dmie się jak żaba w bajce; już nie myśli o związku swojej córki z Kozakiem bez znanego rodu, bez dawnego imienia. Hrabiowskie korony, Książęce mitry, a nawet i coś więcej po głowie jej się snuje. Z potrzeby nie z przekonania wierzy, że Nekrasa przeniewierca miłości, przeniewierca ojczyznie. Tak to jedna chwila, kilkanaście słówek przewiercają myślą kobiety. Pani Gubernatorowa Łysianki wstydzi się, że hajducy drzwiów nie otwierają, że herby i dostatek nie błyszczą w komnatach. Ciągle powtarza Tamarze: — My tu Pana Pułkownika przyjmujemy jak w podróży. — Choć Tamara kłaniał się i za każdem słowem mówił: — Tu bardzo dobrze, mnie nigdzie nie jest łepiej — ona swoje: — To to bieda, kiedy człowiek nie jest u siebie — i sili się na grzeczności, małpuje niezgrabnie matrony dawnych rodów. Nic dziwnego! W Polsce słowa wielkich Panów to trunek dendery dla szlachty; nie jeden dostatni Pan w swojej majętności, kiedy magnat byle jaki grzecznie go powita, uśmiechnie się, lub za rękę wezmie, niepodległy szlachcic zmienia się jakby czarodziejską mocą na klamkowego pochlebcę na dworskiego ciurę; wielkim Panom stopy liże, a przed równemi sobie drze nosa, a zawsze i wszędzie chciałby za coś większego uchodzić niż jest w samej rzeczy.

Biegą godziny, dnie, tygodnie: czas zawsze naprzód idzie, wstecz się nie cofa, i między ludźmi i na świecie zmiany za zmianami kołem toczyć się muszą; nic na jednem miejscu stać nie może, taka wola Boża, taki porządek rzeczy. Już trzy tygodnie jak Pan Branicki opuścił Kunę, nie stało jego kuchni i lochu i goście porozjeżdżali się; jak kury za ziarnem, tak oni pociągnęli za jadłem i napitkiem. Pan Tamara ciągle szturmuje do serca Panny Magdaleny; już wypakował na jaw cały rozum nabyty w podróżach Weneckich, zestrzępił język, a jeszcze niewiele postąpił. Panna Magdalena mimo nalegania Matki dotąd nie zrobiła żadnej nadziei moskiewskiemu gachowi; ale nadzieja

matka głupich, macocha mądrych, nie przestawała sie uśmiechać, zwłaszcza że piękna dziewica zaczęła pomaleńku tracić smutek. Już matka z Gwardjanem ułożyli aby Tamara oświadczył się Pannie, kiedy ni z tąd ni z owąd w mieście zjawiła się jakaś cyganka wróżka, przepowiadająca przeszłość i przyszłość. Obiedwie Panny Chiczewskie rade by widzieć wróżkę i usłyszeć z jej ust przepowiednię swojego losu, ale Ksiądz Gwardjan zakazał podobnego rodzaju zabawy: musiano tedy udać się do Horpyny. Usłużna piastunka sprowadziła cygankę do panieńskiego pokoju, tak iż ją nikt nie widział wchodzącej. Zasiadły obiedwie siostry. Horpyna na warcie przy drzwiach stanęła, a cyganka na dłonie patrzyła, rzucała na stół fasole, myślała, a potem rzekła Pannie Magdalenie:

— Piękna Panieneczko strzeż się! niebezpieczeństwo ci grozi; a potem, potem, długi smutek. —

I zamilkła, a obracając się do Joanny.

— Naczekasz się moje złoto nim szczęście dla ciebie się rozśmieje, ale jak się rozśmieje to szczerze i długo będzie się śmiało. Teraz rzućmy kabałę, a chodźmy do prawdy. Widziałam sirego orła, hula po stepach, ale w myśli i w sercu siedzi obraz pięknej łani. —

I zwracając oczy ku Magdusi.

— Przeszłam pola i lasy, w dzień nie spoczęłam, nie dospałam nocy, aby ci przynieść tę wieść, bo tak chciał, tak kazał siry orzeł.

— Nie rozumiem, kto siry orzeł? mów jaśniej.

— Raźny Ataman co na swojem serduszku wybił obraz twego liczka, to siry orzeł stepu.

— Gdzieżeś ty go widziała? —

Chima zaczęła opowiadać całe swoje wydarzenie z Nekrasą, i jak się uratował z Iwan-Grodu. Obiedwie siostry pilnie słuchały, i powtarzały każda z osobna:

— Ja wiedziałam że to wszystko kłamstwa: ten niegodziwy Bazyli. —

Cyganka kończyła:

— Teraz piękna łani powiedz, co mam zanieść siremu orłowi; ja sowa, nudzę się między ludźmi, i mnie trzeba stepów, tam tylko wolnie żyć i oddychać można. —

Magdusia się zarumieniła.

— Powiedz że go kocham, że mu wierną będę zawsze, a zawsze. —

W tem wbiegła Horpyna.

— Ksiądz Gwardjan i Pan Pułkownik idą do dworku, Imość zapewnie zawoła Panny. —

Magdusia zdjęła obraz świętej Magdaleny z szyi i dała cygance.

— Daj mu to. —

Chciały obiedwie siostry dawać pieniądze Chimie.

— Nie za pieniądze odbywam poselstwo: ja winnam życie siremu orłowi. —

I wyszła tylnemi drzwiami, właśnie w chwili, kiedy Pani Chiczewska wołała:

— Magdusiu! Joasiu! —

Ksiądz Gwardjan uprzedził bratowę, że Pan Tamara ma się oświadczyć; tak tedy ukartowano rzeczy, że Panna Magdalena znalazła się w drugim pokoju sam na sam z Moskiewskim Pułkownikiem; Joasię wysłano do jakiejś roboty, a Gwardjan z Gubernatorową rozmawiali w drugim pokoju, a raczej oczekiwali co za skutek będzie oświadczyn.

Pan Tamara zacząwszy od opisu adrjatyckiej fali, i gondoli weneckiej, skoczył ni w pięć ni w dziewięć do skreślania płomienistych uczuć swego serca, a zakończył prośbą o szczęście zostania małżonkiem Panny Magdaleny.

Magdusia słuchała z początku tego niemieckiego kazania, przy końcu poczęła się rumienić, nie uciekła jednak do drugiego pokoju, obyczajem wielu szlacheckich panienek, ale wysłuchła co do słówka.

— Żadnej nadziei Panu Pułkownikowi zostawiać nie mogę; serce moje nie jest wolnem; pomimo to że Pana szacuję, przyznaję się że nigdybym go kochać nie mogła. —

Odeszła do pokoju gdzie była matka ze stryjem.

Tamara stał w miejscu zgapiony; dobrze to mówi stara powiastka: kiedy młoda kobieta powie zakochanemu: — ja Pana szacuję — to wolałaby mu dać w policzek silny raz ręki, albo plunąć w oczy, lepiej by on to przyjął. Ksiądz Gwardjan zaraz poznał, że źle poszły oświadczyny, a jeszcze mocniej w tem się utwierdził, kiedy Magdusia pod pozorem bólu głowy wydaliła się do swojego pokoju. Tu zaczęły się narady. Ksiądz Gwardjan nalegał, aby Pani Chiczewska gwałtem zmusiła córkę do przyjęcia ręki Pułkownika, ale ona na to nie przystawała, mówiąc:

— Gwałtu nie użyję na moje dziecko, zostawmy to czasowi. —

Pan Tamara, jak pod urokiem zapomniał o Wenecji, o dworszczyznie, ani trzech zliczyć nie umie. Tak to jedna odpowiedź młodej dziewczyny narobiła rejwachu w trzech głowach zarazem.

Tegoż samego dnia przed samym obiadem Błahoczynny Czehryński przyjechał do Gwardjana, właśnie w chwili, kiedy ten układał pomysły do doprowadzenia małżeństwa do skutku. Ksiądz Jan przechadzał się szerokim krokiem po celi, a Tamara kurzył fajkę, kiedy Bazyli drzwi otworzył. Gwardjan go powitał rubasznie ale uprzejmie.

— Mój Księże nie mogłeś wybrać lepszego czasu. —

I tu nie dając wytchnąć Błahoczynnemu, opowiedzieli mu szczegóły odmowin. Bazyli uśmiechnął się.

— Pan Graf dostał harbuza od szlachcianeczki polskiej, tego nie spodziewałem się.

Ale natychmiast obracając się do Gwardjana, którego czoło zmarszczyło się na słowo szlachcianeczka:

— Księże przełożony, ja chcę pokazać Panu Grafowi, że szlachcianka polska to coś więcej warta jak moskiewskie bojarynie. W Petersburgu największa Pani miałaby za szczęście mieć mężem Pana Grafa Tamarę, u nas Polka bezposażna ale z dobrego rodu droży się z swoją ręką; i tak być powinno. —

Tu spojrzał po obudwóch, i dostrzegł uśmiech zadowolnienia na wardze Gwardjana, a rumieniec obrażonej miłości własnej na twarzy Tamary.

— No i cóż teraz poczniemy?

— Nie wiem — odpowiedział Gwardjan — możeby nie źle było żeby matka zmusiła córkę do stanięcia przed ołtarzem.

— To niepodobna — rzekł Tamara — wszak Ksiądz Gwardjan widziałeś jak temu była przeciwną Pani Chiczewska. —

Bazyli pomyślawszy nieco, spuścił oczy ku ziemi.

— Wszystkie te korowody z matką i córką na nic się nie przydadzą. Ksiądz Gwardjan życzy sobie aby jego synowica wyszła za Pana Tamarę, dość nam na tem. Po prostu niechaj Pan Graf dzisiejszej nocy, otoczywszy dworek huzarami, porwie gwałtem Pannę Magdalenę, a uwiozłszy mil kilka za Kunę, łatwo potrafimy ją zmusić do przyjęcia ślubu. Kobieta póty uparta póki czuje opiekę, ale jak jej nie ma, to potulna jak młoda koteczka. —

Tamarze to nie w smak.

— Porywać gwałtem kochankę, to nie po kawalersku, nie honorowie.

— To cieszyć się harbuzem, to i po kawalersku i honorowie, a w końcu obwiesić się z rozpaczy, albo uschnąć z miłości, kiedy Panna Magdalena poślubi kozaka Nekrasę. O! co ten djabeł to nie zna kawalerskich czasów! u niego nie ma innych praw tylko wola i szabla. —

Ksiądz Gwardjan rozważał długo nim otworzył usta.

— Cóżby na to świat wyrzekł? Pod mojem okiem porwana moja synowica? Posądzonoby mnie o zmowę, a to szkodziłoby mej sukience. —

Uśmiechnął się Bazyli.

— Gdyby matka i stryj zmusili szlachecką pannę, rzecz taka nie mogłaby się ukryć i świat sprawiedliwie by na to sarkał; ale że zakochany młodzieniec porywa swoją kochankę, nic dziwnego. Ludzie umieją przebaczać takowym przestępstwom, a nawet one pochwalać; każdy o tem wie że stryj nie jest powiernikiem wykradającego. I komużby przez głowę przeszło, że Gwar-

djan na czele piętnastu Kapucynów mógłby wojnę wydać pułkownikowi huzarów? Wreszcie gdyby dobrowolnie Panna Chiczewska wyszła za mąż za Pana Grafa, zapaleńcy polscy krzyknęliby, że rodzina zdrajców, bo się kojarzy z Moskalami. Tu zaś gwałt nastąpił, uczciwość pokryć go każe. Najwścieklejszy Konfederata nie powie: Chiczewscy się zmoskalili, ale będzie utyskiwał, przypadek tak musiał zrobić. Kiedy moje rady wam nie do smaku, to dajmy czysty pokój temu małżeństwu, albo róbcie jak chcecie. —

Za każdym argumentem Bazylego, Gwardjana lice się rozjaśniało, a kiedy skończył, zawołał:

— Doskonale rzecz pomyślana! Tak trzeba zrobić, i wilk będzie syty i koza cała! —

Tamara przystał na wykonanie pomysłu; strach aby Panna Magdalena nie dostała się Nekrasie, usunął skrupuły kawalerskiego honoru nabyte w podróżach włoskich.

— Dobrze ojcze Bazyli, Moskale jesteśmy, po moskiewsku róbmy: kiedy nie można inaczej, to ukraść albo po cichu, albo i jawnie. —

Zgodzono się na zdanie Bazylego.

Przy obiedzie stary miodek i wytrawny maślacz haustami łał się w gardła, a tak zaszumiało w głowach, że nie zważali na przytomność Księdza Anzelma, który dostarczał trunku i jadła dla trzech biesiadników obiadujących w celi Księdza Gwardjana. Raz tylko Bazyli mrugnął na Księdza Jana aby był ostrożniejszy w mowie, ale Gwardjan:

— Anzelm poczciwy człowiek, dawny mój przyjaciel, i on pragnie szczęścia mojego rodu i mojej pomyślności. —

Anzelm się schylił pokornie.

— Reverendissime Pater zna moją przychylność i wierność. —

I ustawiał butelki i talerze, a tak to pilnie robi, jakby rozmowa ani na włos go nie obchodziła.

Po obiedzie Gwardjan i jego dwaj goście jeszcze pili. Anzelm kilka razy się przechadzał z klasztoru do dworku z lekarstwami dla Panny Magdaleny, przez troskliwość aby się słabość nie wróciła. Pani Chiczewska cały dzień jak na szpilkach, co raz w okienko zagląda, a nie widać Pana Tamary. Myśli sobie: otóż to moje nadzieje znikły jak bańki mydlane; dąsa się na córki, dąsa się na sługi, a jaką robotę weźmie w rękę to jej idzie nie głaźnie. Panny Chiczewskie spokojniuteńko w drugim pokoju siedzą, a kiedy przyjdzie Ksiądz Anzelm to cichutko szepcą aby matki nie rozgniewać. Horpyna na przeciwnej stronie w alkierzu, zwija przędziwo na talki i sama do siebie gada:

— A to mnie złe licho nadało wpuścić tę Chimę do Panienek, bez niej inaczej by poszły rzeczy, a teraz przepadły darowizny Pana Pułkownika; a i z Nekrasy nic pewno nie będzie. Tu popa-

trzała na ulicę i zobaczyła jak z daleka cyganka szła ku dworkowi. W tem nitka się urwała — zjesz djabła że cię wpuszczę — wyszła, zaszczepnęła drzwi od sieni, a kiedy wracała, blat stołu pękł z trzaskiem, kawał gliny oberwał się z sufitu, złe znaki! spojrzała w okno. Chima chodzi do koła dworku i zagląda w okno — bogdaj cię nawiedziło przeklęte plemię! —

Cały dzień złowieszcze przygody spotykały Horpynę: idąc po ziele dla krowy zdybała popa na drodze, plunęła za siebie i rzuciła szpilkę aby odczepić się od nawroku: gdzie się obróci, wszędzie przed nią wrony i skaczą i latają, a na dobitek złego, nad wieczorem puszczyk pohuczał i pies zawył; już chciała Pani przyznać się że wpuściła cygankę, ale strach połajania przemógł i rzekła w końcu: — może to jakoś przejdzie.

Błahoczynny z Tamarą już późno wyszli od Gwardjana.

— Panie Grafie wszystkiego dopniesz: zechcesz mieć żonę, to was pożenię, zechcesz z niej zrobić nałożnicę to i tak będzie. Matce dać jakiś fundusz dożywociem, Kapucynowi z paręset dukatów, to zamilczą, a gdyby i krzyczeli to się przekrzyczą; teraz czas bezkarnie nękać psią szlachtę. Ja pojadę do Kiślaków i tam czekam na Pana Grafa; tylko śmiało a odważnie. —

Tamara nic nie mówił, ale serce mu dygotało silnym ruchem pod piersiami; miłość i zadrość walczą zarazem w jego myśli: miłość od złego wstrzymuje, a zazdrość pcha do niego.

Kiedy przyszli na ekonomję, Błahoczynny zręczną wymową umiał dokończyć swojego dzieła. Tamara kazał dieńszczykom zaprząść do kolasy, pułkowemu wachmistrzowi wybrać dwudziestu pięciu huzarów najlepszego statku, sobie dać ponczu i obadwa z Bazylim wypili po kilka szklanek; poczem Tamara rozpowiadał wachmistrzowi i huzarom jak się mają sprawować bez żadnych brewerji, tylko wziąść starszą Pannę Chiczewskę i wsadzić do kolasy. Za najmniejsze przestąpienie rozkazu przyrzekł po tysiąc pałek, a za praworną usługę obięcał każdemu po pięćdziesiąt kopiejek miednych. Pożegnał się z Bazylim a sam na czele huzarów poszedł ku dworkowi.

Ciemno było na dworze choć oko wybić; kury już na północ piały, w żadnej chałupie nie błyszczy światełko, psy tylko z rzadka poszczekują a huzary idą głucho za Pułkownikiem; powóz daleko z tyłu zwolna turkocze. Czarne niebo, cisza nocy, posępne myśli leją w duszę Tamary; trunek wyszumiał z głowy, ale miłość i zazdrość targają sercem, nie czas kroku cofać, co się zrobi gwałtem to się naprawi dobrą wolą; przyszli pod dworek. Wachmistrz dwunastu huzarów rozstawił do koła, a Pułkownik zapukał do drzwi: z początku pomału, a potem silniej; stróż wartujący w sieniach, zaczął wołać na Horpynę aby ognia rozdmuchała a wziąwszy pałkę w rękę, postąpił ku drzwiom.

— Kto tam?

— Ja, Pułkownik Tamara — odezwał się głos za drzwiami.

— Horpyno to Pan Pułkownik. —

Horpyna żegnając się krzyżem świętym, bijąc się w piersi i powtarzając wszystkich świętych, rozdmuchała ogień, zapaliła dwie świeczki, jednę postawiła na stole, a z drugą wyszła do sieni.

— Czego chce Pan Pułkownik o tej porze?

— Puść mię Horpyno, mam pilny interes do Pani Gubernatorowej, puść bo drzwi wysadzę.

— Niechaj Pan zaczeka trochę, ja zaraz zapytam Jejmości — i weszła do pokoju.

Pani Chiczewska już nie spała, a usłyszawszy, że to Pułkownik, choć mocno zdziwiona nawiedzinami nocnemi, kazała jednak świece zapalić, prosić Pana Pułkownika do sali, a sama żywo poczęła się ubierać nie budząc córek.

Zaledwie Horpyna drzwi otworzyła, wrzasnęła okropnie; huzary duchem skoczyli, porwali ją i stróża i zamknęli w piekarni. Pani Chiczewska w pudermanie, jedna noga bosa, druga w pończosze, włosy w nieładzie: ze świecą w ręku wyskoczyła do jadalnej sali, a zobaczywszy Pułkownika i czterech huzarów, groźnie krzyknęła:

— A toż co za gwałty w moim domu?

Tamara języka zapomniał w gębie, i stał jak student, kiedy w chwili zrobienia psoty stanie nad nim profesor z boćkowskim kańczugiem; huzary chcieli naprzód posunąć się, ale Tamara skinął ręką aby stali. Tu Pani Gubernatorowa.

— Cóż to Waćpan myślisz, napady na dom szlachecki? czy Waćpan zwarjowałeś? a to co za obyczaje? każ no Waćpan zaraz odejść tym żołdakom. —

Tamara krzyknął na żołnierzy—poszli won! A odwracając się do Pani Chiczewskiej pokornym głosem jąkał: —Pani Gubernatorowa daruje, ja chciałem pojąć w małżeństwo Pannę Magdalenę.

— A to mi śliczny gagacik? o tej porze małżeństwo? w taki sposób? z Panną dobrego rodu? O co tego, to się nie spodziewałam po Panu.

— Pani Gubernatorowo dobrodziejko, Ksiądz Gwardjan dobrodziej, Ksiądz Błahoczynny mówili: żeń się, to jeden sposób.

— Idź że Waćpan Panie Pułkowniku, prześpij się sobie, język ci się plącze w gębie, bez ładu prawisz — dodała łagodniej — idź Pan się prześpij; już to ja o tem nikomu nie powiem, przyrzekam Panu. —

Tamara kłaniał się, całował w rękę:

— Niechaj Pani Dobrodziejka przebaczy, ja kocham Pannę Magdalenę.

— Niechaj że Pan tu nie robi hałasu: biedne dziecko chore, mogłoby się przebudzić, przelęknąć, a Bóg wie jakby to jej zdrowiu mogło zaszkodzić. Panie Pułkowniku, ja Panu radzę nie upijać się, kiedy Pan masz takie awanturnicze przywary, a teraz niech Pan idzie spać. Horpyno! —

Pułkownik skoczył żywo do sieni aby odemknąć piekarnię, Pani Chiczewska zawołała. — Niech Pan tak żywo nie ucieka; ani ja, ani Horpyna Pana nie zjemy. A dalibóg że zwarjował? — Wkrótce weszła Horpyna uśmiechając się, bo jej Pułkownik wsunął w rękę kilka sztuk pieniędzy. Tamara jeszcze raz przeprosił Panią Gubernatorowę i oddał dobranoc.

— Co jemu się stało, czy z miłości, czy z pijaństwa zwarjował? I jedno i drugie musiało mu pomięszać w głowie, ale chwała Bogu, że się to tak skończyło. Idź teraz Horpyno do pokoju panieńskiego, tylko na palcach aby ich nie pobudzić. Magdusia musi być cierpiącą, bo długo z wieczora nie mogła zasnąć, słyszałam nawet jak przechadzała się po pokoju. —

Wróciła sługa — śpią Jejmość, kotary ani poruszone a żadna się ani odezwała, wszystko pozamykane. —

— No idź spać Horpyno, ją się sama rozbiorę. —

Obie niewiasty poszły spać. Pani rada ze zwycięztwa i z powrotu Pułkownika, sługa z pieniędzy i nadziei obłowu.

Nazajutrz dzień w Kunie tartas i harmider. Pani Chiczewska szlocha, płacze przed bratem męża, że jej córkę wykradziono. Gwardjan cieszy bratowę — znajdzie się ona, nie przepadnie. — Niby wysyła na wszystkie strony gońców, każe szukać Anzelma by go posłać na zwiady; ale przybiega braciszek zadyszany.

— Reverendissime pater, ojca Anzelma nie masz, ale suknie jego znaleziono za ogrodem poszarpane. — Zamyślał się Gwardjan i brządknął pod nosem:

— Szelma pop i ten Moskal, i mnie w pole wywiedli i starego zamordowali. —

Horpyna nie znalazłszy Panienki za kotarą, biega szukać cyganki, ale Chyma jak w wodę potonęła, ani śladu, ani wieści o niej. Tamara dowiedziawszy się o zniknęciu Panny Magdaleny, jak szalony lata, klnie się, przysięga przed Gubernatorową, przed Gwardjanem, że o niczem nie wie. Szle huzarów na wszystkie strony, sam pobiegł do Kiślaków, ale żadnego skutku nie masz z tego poszukiwania.

Ludzie mówią: psia wiara Moskal skradł Pannę, i jeszcze komedje udaje; drudzy dodają, i Panna na lepsza: bez krzyku i gwałtu dała się wykraść, musiała mieć swoje konszachty z Pułkownikiem, chciała je ukryć tylko przed matką, przed światem. Rozkaz wydany pułkowi aby co prędzej dążył ku Kijowowi, potwierdził mniemanie: że Magdusia wykradła się z Tamarą. Głos powszechny jak w bęben bije: i Panna i Moskal znali się z sobą.

W parę tygodni po nieszczęśliwym wypadku, Pan Komornik Drożewski przejeżdżał przez Kunę; z Lublina nad Dniestr prze-

mykał się kryjomo krajem zajętym przez Moskali i wojska koronne; a kiedy się dowiedział że Pani Chiczewska przebywa w tem miasteczku, natychmiast do niej poszedł, jako żony dawnego swego przyjaciela. Pani Gubernatorowa w smutku i zgryzocie; sromota pada na nią i na jej ród; dawni znajomi stronią od niej, a kiedy gdzie się pokaże, pokazują na nią palcami i mówią: jej córka za Moskala się wykradła. Joasia płacze po siostrze i przysięga, że ani słyszała jak się Magdusia z pokoju wysunęła. Ksiądz Gwardjan psy wiesza na Moskali, że go oszwabili, a ciągle utyskuje po ojcu Anzelmie — ani w piwnicy, ani w spiżarni żadnego ładu, dobrego obiadu człowiek nie zjadł od czasu śmierci tego poczciwca

Komornik jak mógł cieszył stroskaną rodzinę, a wysłuchawszy od nitki do nitki wszystkie zdarzenia:

— Tnę potnę, a to wam się w głowach poprzewracało? ufać temu tchórzowi moskiewskiemu, psiawiarze, a posądzać Nekrasę? Tnę potnę, przy śmierci Pana Adama z hłuzdu go zsunęli. Nekrasa nasz dzielny wódz siedział w więzieniu w Sokołówce u hajdamaków, a oni go za sprzymierzeńca sprzedawali. Ale Waszmość Księże Janie masz wiek i doświadczenie, a dać się tak grubo oszukać? — Tnę potnę, tego nie rozumiem, frycówkę ci skroili Moskale jak się należy. Już to co z wozu spadło, to przepadło. Mościa Pani Gubernatorowa, jedź co prędzej do Parchomówki do Pana Głębockiego, jemu się oddaj w opiekę; inaczej tnę potnę, to ci i drugą córkę ukradną Moskale. To złodzieje skurczypałki. —

Po rozmowie o rzeczach rodzinnych, domowych, wzięto się do rzeczy ojczystej. Ksiądz Gwardjan nagle stał się zażartym nieprzyjacielem Moskali; aż Komornika siwy wąs jeży się z radości.

— Tnę potnę, Księże Janie, jak kapłaństwo pójdzie w ślady wielebnego Księdza Karmelity Marka, to na gniłe jabłko zmiażdżemy Moskali. U nas lud bogobojny, pobożny, kapłani nad nim wiele mogą, ale nie dość słów, trzeba przykładu; my z mieczem, a wy z krzyżem.

— Jak trzeba to i krzyżem będziemy tłukli moskiewskie czaszki; gdybym ja złapał tylko Bazylego albo te grafiątko, darłbym pasy ze skóry bez miłosierdzia, ale cóż tam słychać Mości Komorniku w Wielko-Polsce?

— Tnę potnę, i w Wielko-Polsce i na Litwie jakoś dobrze idzie; pomaluśku dławią się Moskale. Starzy ludzie mówią: ziarko do ziarka a będzie miarka; nie od razu Kraków zbudowany; nie od razu też możemy pobić Moskali, ale z czasem to przyjdzie. Tnę potnę, coś powiem lepszego? W Warszawie wielka zmiana, co było poczciwszego to się odstrychnęło od Króla i wujaszkowie jego właśni zaczynają nim się brzydzić i z Moskwą się brać na bakier; a to dwa łepaki! choć licha narobili, gdyby

się nawrócili szczerze, mogliby być użyteczni krajowi. Tnę potnę, oni to chcieli Batorego rządy wprowadzić do Polski; to nie ma nic złego, ale trzeba było samemu zasiąść na tronie i ze swojemi robić, a nie brać w pomoc Moskali, i dudka na Króla wyforytować. Tak się nie godziło. Tnę potnę, ją się w gawędę wdaję, a tu czas nie stoi, ale bieży jak pocztą. Księże Janie zabierz bratowę i synowicę i jedź do Pana Głębockiego, a powiedz mu niechaj będzie gotów; ja jadę do Puławskiego a tam ziemię i niebo poruszymy aby wyratować ojczyznę z upadku. —

Nazajutrz równo ze dniem pełen dobrej nadziei Pan Komornik siadł na podwódkę i pojechał do Latyczewa. Gwardjan zdawszy rządy klasztoru bratu Franciszkowi, gniewem zawzięty na Moskali, zabrał smutną i zgryzioną bratowę i synowicę i do Parchomówki pojechał.

XIII.

— — — — — — — — grzmią trąby, rzeź grają —
Nowi rycerze gonią — dawni się zbiegają
Trzask, iskry — świst z połyskiem — huk, wrzask, jęki, rżenie
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

Marja. A. Malczewskiego.

W Bakczysaraju pustką stoi odwieczne mieszkanie Hanów Krymu i Budziaku. W Bałakławie, w bezludnym zamku Girajów rodziny, po obszernych dziedzińcach nie brzęczą rycerskie szable, nie tętnią końskie kopyta; ale za to w Koczun, nowej mieścinie, taka mnogość wojennego ludu, jak gór i wzgórków na Krymskiej przestrzeni, jak budiaków na Akiermańskich stepach, jak czerepachów na brzegach Czarnego morza. Koczun odrodziło się i wzrosło na rozkaz Kierym-Girajowej woli. Wielki Han zamiłował to miasto zwyczajnie jak własne dzieło: po powrocie z wygnania tam założył swoją siedzibę. Czerwone flagi, obwieściny wojny, powiewają na kopułach minaretów i na wieżach zamku; brzmią okrzyki wojny po wybrzeżach Czarnego i Azowskiego morza. Na Nogajskich stepach i w krainie Budziaku zbierają się zbrojnie hordy; w Akmeczecie i dawnej Kafiei, niewiasty tylko i niewolnicy kupczą na rynkach; bez pastucha brodzą barany po bogatych łąkach Salhiry; Czuput-Kale nie widzi myśliwca sadzącego dziarskim bachmatem w bezdenną przepaść. Kto nosi imię Tatara, kto może już dosiąść konia, machać szablą, łuk naciągać, z janczarki palić, pędzi do obozów: taki rozkaz, taka wola Kierym-Giraja. Anioł Azrael, jak czuła piastunka polatuje nad głowami wyznawców Islamizmu, leje im w dusze zapał, a serca męztwem hartuje; z gór od południa ku północy i zachodowi kupami orły lecą, szerokiemi skrzydłami łopoczą po powietrzu, silnemi piersiami kraczą pieśń śmierci; z jarug, z oczeretów, gęstych kniei, trzodami wysuwają wilcy i śpieszą ku Moskiewszczyznie i za Dniepr; zęby im łakomie klamczą, a gardła ponuro wyją. Orły i wilcy dawni mieszkańce Tatarszczyzny, znają się dobrze na ruchach Tatarów; wiedzą kiedy i gdzie gotuje się wyprawa: skoro ludzie wybierają się na wojnę i oni puszczają się na żer.

Przed nowym zamkiem Kierym-Giraja stoją mnogie straże z dobytemi szablami, i liczni gońce na koniach do posyłki gotowi. Ze skarbców wynoszą białą chorągiew Hana, ogoniaste buńczuki, hański kocioł z czystego srebra, błyszczące instrumenta, tabałszany, zbroje, broń i przybory końskie. W stajniach przypasują siodła, nawiązują uzdy, strzygą i czyszczą dzianety tureckie i arabskie, czerkieskie bieguny i bachmaty tatarskie. Na dziedzińcach ładują wozy, a między służbą taki ruch jak między rybołowcami po nad rybnem jeziorem, jak między mrówkami w rozkopanem mrowisku.

W haremach płacz i smutek: żony i odaliski radeby dłużej cieszyć się Wielkim Hanem. Zaledwie z Istambulskiego wygnania wrócił, już leci na wojnę; chciałby hucznym czynem wynagrodzić czas stracony na gnuśnej tęsknocie. Inni Hanowie ciągali za obozem poczet niewiast; u Kierym-Giraja w czasie bojowym serdecznemi towarzyszami szabla i koń. Roskoszne muzułmanki, chrześcianki nadobne, ronią łzy rzęsiste, jak strugi potoku żywej wody, jak perły wschodu: bo Ałłach to tylko wie i Mahomet, jak długo potrwa sieroctwo ich serca.

Narada w hańskim gmachu. W obszernej komnacie wysłanej perskimi kobiercami, obitej makatami ozdobnemi w hafty misternej roboty, gdzie przepych i bogactwo sypnęły ryczałtem swoje zasoby, na miękkich wezgłowiach, siedziało po turecku kilkanaście osób, rozmaitej twarzy i postaci, rozmaitego kształtu i barwy w ubiorach. W czerwonej szubie, suto podbitej gronostajami był Kierym-Giraj; rosłego wzrostu, śniadej twarzy; czarne oczy choć małe, ale błyszczą i latają jak błyskawice przed samą burzą; włosy, wąsy i broda gęsto zarosłe, a czarne jak sadza; choć czwarty dziesiątek przeliczył i wiele ucierpiał, jeszcze szronu na nich nie masz, czoło harde a ręka żylasta. Obok niego Wernyhora w skromnym kozackim stroju, ale widać że go Han wielce szacuje; posadził go po prawicy, a to u Muzułmanów znak wysokiej czci. Po lewicy Pan Porczyński wysłany do Hana przez Barskich Konfederatów, odziany w staroświeckie polskie szaty, kuso ale bogato, dumnie rzucał do koła poważnym wzrokiem; zdaje się że rozkazywać nie prosić przyjechał, tak jak przystoi na polskiego szlachcica. Dalej go obu stronach: kawaler Tott w maltańskim mundurze; w zielonym zawoju, czerwonej kurcie i sinich szarawarach, Aga Oczakowskich Jańczarów; Multańczyk Garach Spadar Wołoskiego Hospodara, w bekieszy szerokiej, szamerowanej węgiersko, na głowie wysoki barani iszłyk; Tuż jeden koło drugiego siedziało trzech młodzieńców: Kozak, Turek i Tatar. Ciemne oko Nekrasy pała żądzą sławy, a serce tęskni za kochanką; na ogorzałej twarzy Hassana podówczas Bimbaszy Spahów, prężą się żyły, znak dzikiego męztwa, a jego dusza gore nienawiścią ku moskiewskiej niewiarze; sułtan Gałga Dewlet-Giraj ciągle łypie drobnemi oczkami, i ciągle myślą

knuje wojenne wykręty. Wszystkich trzech łączyła ścisła przyjaźń i pobratymstwo na polu bitwy; los zdawał się potakiwać temu związkowi młodzieńców, wypisał im w księdze przeznaczeń: sławę i nieszczęście. Oprócz nich było jeszcze kilku Mirżów i Agów z rodziny Girajów, albo z rodzin jej pokrewnych; przed każdym z nich stały srebrne czary z kobylem mlekiem i talerze z bakalją, a w ustach mieli długie cybuchy; dym tytuniu i wonie arabskich kadzideł, omgliły siedzących dziwnym zapachem. Porzyński przerwał milczenie.

— Wielki Hanie, władco Krymu i Budziaku! przedstawiłem ci wczoraj, że Konfederacja Barska imieniem prawych synów Polski żąda u Porty i u ciebie, opieki i przymierza; teraz czekam twojej odpowiedzi. Czas nagli, Moskwa co raz bardziej u nas się rozgospodarza, a Król i możni Panowie, jak mogą to kabacą na swoją stronę szlachtę poczciwej albo słabej wiary. —

Kierym - Giraj nie namyślał się długo:

— Moja odpowiedź krótka i jasna. Sułtan Pan mój i ja, od dawna jesteśmy przyjaciołmi Polski z duszy i serca; radzibyśmy ją wyzwolić z pod przemocy moskiewskiej i zrobimy to, jeźli Ałłach i Machomet nam dozwolą. Zawiązanie Konfederacji Barskiej pochwalam; od powrotu mego na Hań以 jestem szczerym jej sprzymierzeńcem, i dla tego radzę wam, moi bracia, abyście Króla z tronu złożyli, spisali listę imienną możnych Panów zaprzedanych moskiewskiej Carycy i wszystkich wywieszali; bez tego, ani wy, ani mi, nic nie zrobimy. Chcąc żyzność roli wrócić trzeba perz wylenić.

— Bylebyśmy tylko dostali ich w ręce, żaden życia nie uniesie; zaleli oni nam dobrze gorącego sadła za skórę, trzeba aby za swoje dostali. Ale wielki Hanie, jakąż nadzieję przyniosę braciom Konfederatom o posiłkach tureckich i tatarskich?

— Powiedz, że nim się wasz stary rok skończy, wyruszę przeciw Moskwie z mojem wojskiem, licznem jak dęby Perewała lasu, walecznem jak lwy afrykańskie; gdzie tylko przechodzić będę, wszystko każę zniszczyć ogniem i mieczem; moi jezdzce kopytami końskiemi wytratują szeroki i daleki szlak: długo na nim trawa nie porośnie. Z pod Chocima nie wrócę jak ojciec zrobił, do Warszawy pójdę; dzisiejszego Króla, magnatów wyrodnych, i Moskali wytępię, albo rozpędzę het! za dalekie góry i morza. Wtenczas ustąpię z kraju; i póki Ałłach mi życia dozwoli, a panowania memu potomstwu i rodzinie, póty Tatarszczyzna z Polską żyć będą w braterskiej przyjaźni i zgodzie.

— Niechaj niebo ciebie wielki Hanie i twój ród długiemi laty i szeroką sławą obdarzy; ja śpieszę moim braciom zanieść wieść pomyślną. — I już wstawał do odejścia Porczyński, kiedy Han zatrzymał go temi słowy:

— Zostań bracie Polaku. Kierym-Giraj nic tajnego nie ma przed swoimi sprzymierzeńcami; bogdaj oni czytać mogli w mo-

jem sercu jak Ulema w alkoranie; chcę abyś zaniósł moim sprzymierzeńcom Konfederatom co tu zobaczysz i usłyszysz. — Porczyński przysiadł, a Kierym-Giraj obrócił się do Totta:

— Kawalerze, możesz natychmiast donieść swemu dworowi, że Sułtan Pan Muzułmanów oddał mi bezpośredni zarząd swego wojska, w moje ręce powierzył ster wojny; jutro wyruszam do Tombacharu, a nim księżyc pierwszym nowiem zaświeci na niebie, dwoma szlakami moje hordy wpadną na Moskali. Dodaj w liście do ministra twego, że co Kierym-Giraj przyrzekł na wygnaniu, to dotrzyma wróciwszy do władzy; u niego słowa na żart się nie puszczają. Ty kawalerze, spodziewam się, że nam towarzyszyć będziesz w wyprawie; są twierdze i obronne szańce u Moskali, a my i bracia Zaporożce nie znamy się na tych waszych sztukach, jak prochem ziemię wysadzić, jak armatami mury rozbić, albo kulą miasto zwalić.

— Przywiązanie moje do twej osoby, wielki Hanie, honor mego kraju, nakazują abym z wami dzielił niebezpieczeństwa, a serce moje gorąco tego żąda. Król Pan mój i cała Francja z tym się kojarzą, kto niesie ratunek Polsce. Polacy i Francuzi od dawien dawna wzajemnie zaprzysięgli sobie braterstwo. Konfederacja Barska może rachować na nasze posiłki. Hrabia Viomenil, który pojechał do Paryża zdać sprawę ministrowi Księciu Szoazelowi, pisze do mnie że minister wysyła oficerów i pieniądze do Polski; daję słowo moje, że niebawem wypędzimy Moskali na ich przeklęty Sybir; niech tam sobie łapią sobole.

— Panie Kawalerze — odezwał się Wernyhora — ja wierzę dobrym chęciom i szczerej przyjaźni twojego narodu; ale ty Mospanie Porczyński powiedz starszyznie konfederackiej odemnie, od starego przyjaciela, niechaj się ślepo nie spuszczają na obce siły, bo najczęściej ten głodny, kto na przyjacielski obiad rachuje, a swego zgotować zaniedba. Niech poruszą naród cały przeciw Moskwie: gromada wielki człowiek! Wierzcie mi, że i Bóg temu pomaga kto sam na siebie pracuje, a nie wygląda ciągle czy mu ręka cudza nie rzuci jakiś tam ochłap pomocy.

— Na Ałłacha przysięgam, dobrze radzi Ojciec Wernyhora — zawołał Kierym-Giraj — im kto mniej potrzebuje, tam więcej znajdzie przyjaciół — i zwracając całą mowę do Bojara Wołoskiego: — Spadarze Wołoszczyzny, zanieś swojemu Hospodarowi słowa pokoju: żaden Mirza z swoją hordą nieprzyjaźnie nie zakroczy w granice Multańskiej ziemi, ale trzeba żebyście dobrowolnie dali jaką przyjacielską daninę, zboża i bydła na żywność naszego wojska.

— Hospodarowie Wołoszy i Mołdawianów odebrali już stosowne rozkazy od Dywanu Wysokiej Porty. Wielki Hanie, możesz rozkazywać naszym krajom; ale i my mamy lud wojenny, radzibyśmy nieść ratunek Polsce, ona nas nieraz zasłaniała swojemi piersiami; czas też abyśmy się zawdzięczyli. —

Wernyhory oko zabłyszczało, twarz się rozjaśniła jakby na nią spadł odblask słonecznej korony: powstał z miejsca, a wyciągając rękę do góry, uroczym głosem zawołał:

— Daleki ten czas, ale przyjdzie kiedyś, że synowie i wnukowie naszych synów, podadzą sobie bratnie dłonie, a silni jednością, silni zapałem, na wieki wieków wyprą z swoich ziem i moskiewskie i niemieckie zajazdy! — Skończył, a słowa wieszcze gromko brzmiały w ustach słuchaczy, a postać wieszcza ostrym rylcem głęboko zarysowała się w pamięci każdego z przytomnych. Usiadł Wernyhora, milczenie jednak jeszcze długo trwało, nareszcie on sam się odezwał. — Wielki Hanie, jakaż twoja wola względem Zaporożców? czy Nekrasa ma z tobą się połączyć, czy osobno na Moskali uderzyć?

— Stary przyjacielu Wernyhoro, wiesz jak mi miłym twój wychowaniec; nie po raz pierwszy będzie on moim bratem bojowym; znam ja męztwo jego serca. Jemu chciałbym powierzyć dowództwo przedniej straży. Czy będzie wola twoja Panie Atamanie Kurenny?

— Iść naprzód i bić Moskali, jest to upragniony dar dla mnie. Kierym-Giraju, ty mnie nim darzysz, ja przyjmuję z serca; ale trzeba żebym się co żywiej udał na Zaporoże i powołał braci mołodców, bo by mi tego nie darowali, żem ich nie obwieścił o biesiadzie na którą nas zaprasza bohater Krymu i Budziaku.

— Jedź dzielny Atamanie, powiedz Koszowemu i Starszyznie Zaporoża że Kierym-Giraj z nimi jak brat z bracią chce żyć. Mołodców zaprasza do biesiady i zapewnia im wszystkie łupy jakie zdobędą na Moskalach. Ty Dewlecie-Giraju nasz następco na Hańswo, z hordami Krymu i Nogaju, wespół ze Spahami Hassana zapuścisz zagony w moskiewskie ziemie: niszczyć, palić i wyludniać, taki mój rozkaz. Niech Tatarszczyzna powie: że Sułtan-Gałga godzien Hana! pozna Moskiewska Caryca kto jej wrogiem! pozna Polska kto jej przyjacielem! —

Dewlet-Giraj i Hassan skłonili głowami na znak posłuszeństwa; nie trzeba było słów, dzikie oczy, groźne twarze, dość mówiły że gdzie idzie o rozkaz mordów i pożogi, spełnią go jak wierny Muzułmanin przepisy alkoramu, jak uczeń Chrystusa słowa Boga-Człowieka.

Jeszcze przed wieczorem wszyscy porozjeżdżali się w swoją drogę. Kopnął Nekrasa wprost ku Siczy; Pan Porczyński z Garachem powędrowali w Budziacką krainę, jeden na Podole, drugi do Wołoszej ziemi. Sułtan Gałga i Hassan z hordami za Perekop poszli. Aga janczarów do Istambułu Czarnem morzem popłynął. Han, Wernyhora i Kawaler Tott przez Dniepr, przez Dniestr, ku Benderom bitym szlakiem się puścili.

Już styczeń nowym rokiem świat Chrześciański powitał; mróz twardym czerepem skuł wierzch ziemi, a śnieg obielił

grubą płachtą i góry i jary i równiny; drzewa nagie jak kościotrupy stoją; badyle budiaków i kuszcze burzanów obmarznięte szronem gdzie niegdzie szarzeją; i mogiły białe i doliny białe i błękit niebios wypłowiał. Z rzadka jak przez dymny widnokrąg majaczeją sioła, a po śnieżnym stepie, rozmaitego gatunku zwierzęta rozmaitym kształtem ślady swoich tropów popisały. Na wzdymku zajęcza nora, po nad błotem wytajałe kubło wilka albo lisa; po pod łozami jak opudały napuszone dropie siedzą; a na uboczy żer kuropatwi czernieje. Rzeki i stawy lodem się pościnały, po jeziorach oparzeliska śniegiem zasypane, tylko kozacki Dniepr i Dniestr podolski, korytem wolne wody toczą, i śmieją się z lodów i drwią ze śniegów.

Poniżej Bender Perekopskie hordy i wojsko Ottomańskie dwa dni i dwie nocy na ośmiu promach Dniestr przeprawiło i weszło na Budziak. Ani buńczuczni Paszowie, ani Mirżowie mnogich Kazanów nie wiedzą gdzie i dotkąd idą: ale w każdego sercu hula ochota, bo Kierym-Giraj z nimi. Niechaj tylko Ałłach i on wiedzą o dalszych zamiarach a wszystko dobrze pójdzie. Han nic nie obwieszcza, wyda krótkie a surowe rozkazy, i dalej jedzie, rozmawiając to z Wernyhorą to z Kawalerem Tottem. Idą Budziakiem, na niczem nigdzie nie zbywa; Jakubaga przygotował po drodze żywności i opału podostatkiem; jak potoki i rzeki do wielkiej wody płyną, tak ze wszech stron nowe hordy do wojska przybywają. Kiedy Kierym-Giraj wchodził do Bałty: krągło sto tysięcy jazdy, dziesięć tysięcy Jańczarów i sto armat pod swojemi rozkazami liczył. Pan Podczaszy Potocki, Pan Sapieha i kilkunastu Konfederatów na dziarskich rumakach, w bogatych strojach wyjechało przeciw Hanowi: a kiedy zobaczyli jak daleko i szeroko czernieją pola i drogi, jak harcują bachmatami nieprzebrane tłumy Tatarów w kożuchach włosem wywróconych na wierzch; jak ogniste ogiery wrą i kipią pod krasnofarbnemi Spahami, jak stąpają ochoczo Albańczykowie w białych zawojach i jak groźnie suną roty Jańczarów; w serca Konfederatów wstąpiła otucha i w myśli wyrzekli: JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA. Pan Podczaszy pierwszy powitał Kierym-Giraja.

— Wielki Hanie, sprzymierzeńcze i opiekunie mojej ojczyzny! Bracia moi Konfederaci wysłali mnie abym przed tobą był tłumaczem ich uczuć i wdzięczności. Jak się oswobodzi Polska z obcej przemocy, z swojego skarbu wynagrodzi koszta wojny, a synowie polskiej ziemi w każdej chwili gotowi walczyć za twoją i twojego rodu sprawę.

— Nie dla pieniędzy ja Polski przyjaciel, odrzekł Kierym-Giraj; są i u mnie skarby na wasze posługi. Jak niedołęgę Krola, zdrajców i Moskali z Warszawy wypędzę, Polskę oswobodzę, natenczas niechaj umrę, a to będzie najpiękniejsza godzina mego życia. —

Słowa Hana dźwięczały na nótę prawdy, i prawda z oczów

mu patrzyła. Wjechali do spalonego miasta. Jakubaga umyślnie zostawił ślady zniszczenia. Zasierdził się Kierym-Giraj i jeszcze raz zaprzysiągł krwawą zemstę Moskwie. Nazajutrz Pan Podczaszy Potocki z kilku Konfederatami i z swoją żoną, pożegnawszy Hana, nagadawszy się z tureckim Mikmandarem, pojechał do Berszady, gdzie podówczas zbierali się barscy Konfederaci. Sapieha szwagier Pana Podczaszego został przy Hanie. Do Bałty przylecieli Laccy gońce z wieścią, że Apraxyn gromadzi ćmę moskiewskiego żołdactwa pod Barem; że Wejsman z jazdą rozłożył się po nad granicą Humańskiej Kozaczyzny. Kierym-Giraj polecił Jabubadze z Jedzańskiemi hordy strzedz ziem Budziaku, sam zaś z całem wojskiem wyruszył przez Olmar na Zaporozkie stepy.

Za Orłowem zabrakło żywności dla koni, jak i dla ludzi; styczniowe zimno łzy z oczów wyciska, a wąsy i brody mrozi na sosnowe kiście; pokurczyli się Turcy i Arnauci, w ręce chuchają a nogami ciągle tłuką o strzemiona; ich dżanety nozdrze po śniegu włóczą, a gładka sierść nastuburczyła się w górę. Tatarzy rzeźwi i ich bachmaty raźne, choć głód i zimno, jak charciaki w gonitwach uganiają się po stepie i po śniegu się wycierają. Żywej duszy nie zdybać na stepie. Kurenie na zimowlę pościągały się do Siczy, a czeladzie i gospodarstwa starszyzny, na odgłos tatarskiego pochodu, z nadgranicznych futorów powynosiły się ku Porohom. Wojsko Kierym-Giraja przeszło po lodzie Wielki Ingulec naprzeciw Pięknego miejsca; ale teraz to miejsce jak inne śniegiem zawiane i białe. Zaledwie rozłożyli się obozem i poczęli ściągać oczeret, chymyz i cokę dla koni, aż tu od Sokolego lasu, hurmą jacyś jeźdźce kopią stepem.

Śnieg szerokim tumanem bryżdże po powietrzu; jak w mgle majaczeją jeźdźce z końmi. Wernyhora zbliżył się do Hana.

— To Zaporożce pędzą końmi, ujrzeli nas i biegną ku nam, a po przyjaźni, bo nie rozwijają się w szyk bojowy. —

Jeden z jeźdźców naprzód się wysunął; ciemny koń susami sumaka sadzi, śniegiem przed siebie i za sobą miecie; kosmata burka, to w górę podlatuje to do ramion się przyciska. Nie hulaj tak przeklęta burko bo zmrozisz Kozaka! — Czerwony kołpak jak ognik polny, to buchnie, to niknie; dopadł Kozak obozu i w miejscu konia zatrzymał, aż śniegiem do żywej ziemi zapruł.

— Ałłach! Ałłach! — krzyknęli Tatarzy — to Ataman Nekrasa! —

Kierym-Giraj jak brata go powitał, a Wernyhora jak syna uściskał. Nekrasa otrzepał się ze śniegu.

— Panie Hanie, przyprowadziłem ci pięć tysięcy mołodców, drugie tyle pod Atamanem Czorbą poszło łączyć się z Sułtanem Gałgą. Pan Kałnyszewski się rozochocił, kiedy zechcesz, to i sam z resztą wysunie w pole.

— Dzięki ci młody Atamanie, ty mi jeden watujesz za sto tysięcy. —

Zaczęli przybywać i szykować się mołodce; czepkie miny, na twarzach rumieniec; nie noszą chustek na szyjach, a na piersiach koszule rozchrestane. Po nich poznać by nie można, że teraz styczeń, że mróz kawalerski iskrami w oczach świeci, pieprzycą po twarzy szczypie; konie kozacze grzebią nogami, zwyczajnie liczą sztuki złota jakie panom w zysku przyniosą, potrząsają łabędzie szyje, i wesoło parskają. Na ramionach mołodców lasem sterczą spisy, przy lewych bokach za pasem, na plecach jak brylanty błyszczą obmarznięte stale. Han uprzejmie pozdrowił Atamanów Kurennych, starszyznę i braci mołodców: mołodce duchem skoczyli, i z pobliskich futorów naciągnęli żywności dla ludzi i dla koni; dostatkiem zaweseliło się Kierym-Girajowe wojsko, i choć niewiernym, bisurmańskim językiem, słało błogosławieństwo Ałłacha i Mahometa na braci Zaporożców.

Nazajutrz ruszyli w dalszy pochód, a przyszedłszy do Martwych-Wód, Nekrasa na czele dwudziesto-pięcio-tysiącznego Tohabułu pociągnął w kraj zagarnięty przemocą moskiewską na prawych dziedzicach Polakach. Zaledwie doszedł do wioski Odziemką zwanej, po tatarsku zapuścił zagony: na cztery części podzielił się Tohabuł; jak ramiona krzyża, poszedł na wschód, na zachód, na północ i na południe; co ćwierć mili każdy oddział znowu się krzyżem rozbiegał, a o trzy mile wszystkie oddziały kreśląc łuki kierowały się ku północnemu zachodowi.

W Nowej-Serwji, moskiewskiej osadzie, palą sie wioski; po śnieżnem tle ziemi, czerwienieją szerokie łuny ognia, a kłębiasty dym wysoko smaruje się po obłokach; luźne konie Tatarów obładowane zdobyczami, konie, bydło i lud chrześciański razem z trzodami pędzą do niewoli. Zaporożce kolą, sieką moskiewskie żołdactwo; siła nawalili trupem, siła wojennych jeńców na postronkach za końmi prowadzą. Step tysiącem szlaków poznaczony; darmo by osiwiały myśliwiec silił się dotropić gdzie poszły ślady?— Łatwiej rozwikłać okiem żer dwójki i trójki zaskakującego zająca, jak mazaniny pochodowe tatarskiego Tohabułu. Gdzie spojrzeć w przód, w tył, w lewo, w prawo, wszędzie idą najprzód przecinać polem w poprzek tropy, ładu dojść nie można między szlakami, iść ślad w ślad za tropem, musi się wpaść w obłęd, i głowę stracić. Na tych kluczkach zjedli zęby wodzowie Tatarscy: niemi to durzą i zwyciężają narody, na ziemi których wojnę śmierci i spustoszenia przynoszą.

Nekrasa niezmordowany w wojennym tańcu, hula duszą, hula ręką; gdzie zasłyszy o moskiewskich żołnierzach, tam piorunem wpada, uderzy, złamie, wymorduje i rozproszy. Moskiewski Jenerał Kochowski umknął z Elizawetgranu, załogę i miasto na łup Zaporożcom zostawił. Po sześciu dniach pohulanki, To-

habuł zgromadził się w Krasnej-Hucie. Sto wiosek i miast spalonych; piętnaście tysięcy mężczyzn, niewiast i dzieci, a dwakroć sto sysięcy bydła różnego rodzaju zabrano w jasyr; dziesięć tysiecy moskiewskich żołnierzy zabitych na placu boju: oto były czyny Nekrasy dowódcy Tohabułu. I sam Han z wojskiem przybył do Krasnej-Huty, z radości ściskał i całował młodego wodza: pytał czego chce, czy bogactw, czy dostojeństw? czy kraju na dziedzictwo? czy berła udzielnego? Nekrasa krótko odpowiedział:

— Polski! —

Jeńców i zabory odesłano na Krym, a nad wieczorem Kierym-Giraj z armatami, rotami Jańczarów i czelną jazdą poszedł pod Sybilów. Nekrasa z Zaporożcami przednią straż trzymał.

Noc była cicha ale mroźna, śnieg chrupotał pod kopytami końskiemi, gwiazdy iskrzyły się na niebieskiem sklepieniu, księżyc poświecał srebrnym połyskiem. Dudar jechał obok Nekrasy.

— Atamanie, jakby na złość pochowali się psiawiary Moskale, nigdzie nie widać ani psa, ani kota; zkądże to u licha wziąść języka?

— Poczekaj trochę, jakoś to będzie; jak nikogo nie złapiemy, to i bez języka sprobujemy się z Moskalami. —

W tem rzucił oko w lewo, aż tam w lasku błysnęło jakieś światełko.

— Patrz Dudarze, czy spadająca gwiazda, czy oko wilka zaświeciło? —

Asawuła przechylił się na koniu i patrzy:

— Za wielkie oko na wilka, Atamanie, i nie gwiazda, bo w miejscu stoi; albo djabeł, albo czarownica gości w futorze, samowity człowiek by tu nie dosiedział; pocóżby u licha czekał aby mu postronek na szyję zarzucili?

— Weź Asawuło dwie sotnie mołodców i z niemi zaskocz z tamtej strony lasu, a ja wprost na światło pojadę; jeźli żołnierze moskiewscy, to w pień wyciąć, tylko jednego na język zostawić; jeźli ludzie sielscy, to po ludzku z nimi się obejść. —

Żywo Dudar na czele sotni brodzi śniegiem po za las, a Nekrasa z kilkudziesięciu mołodcami wprost na las się kieruje. Światełko bezustannie z okiem się drażni, to zabłyśnie, to się schowa, to na w pół zajaśnieje, to się całkiem skryje. W las jechali. Ataman kazał zatrzymać się, a sam z jednym mołodcem puścił się w głąb. Tuż na brzegu dopatrzyli chałupę i zabudowania gospodarskie: ani pies nie zaszczekał, ani kur nie zapiał, choć już północ była, a jednak w chacie świeci. Nekrasa wydobył szablę i cichaczem po pod okno podjechał, zajrzał; w grubie pali się silnym ogniem oczeret, a w kominie koło zaświeconego łuczywa stoi garnek; w grubie ciągle kociubą poprawia ogień stara niewiasta, a tak tem zajęta, że nie słyszy chrupotania śniegu pod oknami. Trochę dalej pod piecem na zydlu siedzi

młoda niewiasta, w świtę uwinięta i drzemie. Przypatruje się Ataman i oczom swoim nie wierzy.

— To ona! zkąd u licha? — patrzy — to ona!

Żywo skoczył z konia i we drzwi uderzył pięściami. Jakiś głos piskliwo-chrapliwy odezwał się:

— Czego wy chcecie? my biedne kobiety nic wam dać nie możemy.

— Otwórz matko, my wam nie zrobimy nic złego. —

Po słowach Atamana, widać że młoda dziewczyna przemówiła, bo głosem słodszym zawołała:

— Puszczaj go, to Ataman, on nas obroni.

I wnet drzwi się otworzyły i Nekrasa wszedł do izby.

Młoda dziewczyna rozbudzona, z radości krzyknęła:

— Czyś ty czarownik, siry orle, żeś tak zwąchał, że tu od twojej zuzuli jest posłaniec?

— Chimo, mów czy ją widziałaś?

— Czy ją widziałam? oto masz. —

I wyjęła z zanadrza jakąś rzecz owiniętą w szmatę.

Żywo rozwinął Ataman, a dostawszy obraz świętej Magdaleny, patronki swojej ulubionej, obraz dobrze mu znany, ucałował go; a kiedy przeczytał słowa: «będę ci wierną do grobu i za grobem», tak mu słodko, tak mu szczęśliwie, jakby do nieba jedną nogą wstąpił. Ściskał Chimę i sto pytań jedne po drugich zadawał. Chima opowiedziała, co się przy niej stało.

— Gdzież teraz jest?

— Nie wiem, ale przeczucie mi mówi że ztąd niedaleko. Siry orle, biedny ty, biedna ona; serca was łączą, ale losy ciągle na przeszkodzie stoją; strzeż się dobrych ludzi, bo oni ciebie od niej oddalić mogą. Więcej ciebie nauczyć mi nie wolno, i to co gadam, to bajka. —

Niespokojni mołodce przyskoczyli do chaty, i Dudar nadjechał. Ataman schował za pazuchę drogi obrazek, kazał dziesiętnikowi jednemu zostać na załodze, z przykazem, aby włos z głowy nie spadł obudwom niewiastom, sam siadł na skarogniadego.

— Bądźcie zdrowe. Chimo, dziękuję ci, rachuj na moją wdzięczność. —

Cyganka za jadącym wołała:

— Siry orle, szczęście i sława tobie! jabym ci niebo dała, gdyby moje! Tyś mój zbawca, mój dobrodziej. —

O świcie przyszli pod Sybilów. Nekrasa na czele sotni na przedmieście wskoczył. Moskali co do nogi wykłuto, domy zrabowano i spalono; ale w twierdzy zwiedziono mosty, zamknięto bramy, i jazda ze spisami musiała się zatrzymać. Nadszedł Kierym-Giraj; kawaler Tott obejrzał wały i przekopy, harmaty w baterje kazał ustawiać, Janczarom polecił drabiny i sznury przygotowywać i już miano szturm przypuszczać, kiedy przy-

leciał Czaus z Istambułu. Dniem i nocą gonił; obok niego Tatary z luźnemi końmi; ze trzydziestu koni zapędził, bo ważne są rozkazy sułtańskie. Han otworzył firman, przeczytał i natychmiast kazał do pochodu się zabierać i całe wojsko wyruszyło do Kamionki nad Tiasminą. W drodze Han rzekł do Nekrasy i Wernyhory:

— Sułtan Pan mój na Kijów iść każe, niechaj się dzieje jego wola. —

W Kamionce zastali kilku szlachty jadących z Berszady do Kierym-Giraja w poselstwie. Skoro Han przybył, natychmiast im dał posłuchanie. Najstarszy wiekiem pokręciwszy biały wąs, tak począł:

— Tnę potnę, Panie Hanie Tatarzynie, Dobrodzieju Krymu i Budziaku, imieniem braci Konfederatów zapraszam ciebie, naszego opiekuna, abyś nakazał swoim hordom zapuścić się w kraj Podolski; tnę potnę, tak się tam rozgospodarowali Moskale jak nierogacizna w ogrodzie: ani rady sobie dać nie można z tą nawiedzoną szarańczą.

— Panie Konfederacie, po kolei dojdziemy też i do Podola, ale cóżeście zrobili z królem, z Panami?

— Tnę potnę, ogłosiliśmy bezkrólewie, Stanisława Poniatowskiego uznaliśmy za gapia niedołężnego dźwigać berło, a jak się wykryją jego sprawki, to źle mu będzie. Nie chciałbym być na jego miejscu. Tnę potnę, z Magnatami zaprzedanymi Moskwie obchodzimy się jakeś nam Panie Hanie poradził przez Porczyńskiego: samem w Dankowcach swoją ręką pod szubienicę zaprowadził Bartłomieja Giżyckiego Kasztelana, z resztą hycel i stryczek z nim rozprawili się. Każdemu zdrajcy tak będzie, jak go złapiemy w nasze ręce.

— To dobrze, Panowie bracia, jedyny to sposób ocalenia kraju, wygubić robaki, co nas wewnątrz toczą. —

Wtem weszli Wernyhora, Nekrasa i Starszyzna wojskowa. Komornik z radości aż w górę skoczył.

— Tnę potnę, a i wy tu moi bracia?... Niechże Bóg będzie pochwalony.

— Jakże się powodzi naszym? — zapytał Wernyhora.

— Tnę potnę, nasi wszędzie górą, tłuką a tłuką; ale te Moskaliska jak smok zaczarowany, utnij głowę dziesięciu, to sto innych natychmiast porodzi się.

I opowiedział jak z Czerwonej Rusi pojechał w Lubelskie, a ztamtąd wrócił na Podole. Z kolei Nekrasa pytał o Panią i Panny Chiczewskie.

— Tnę potnę, to zwyczajnie, póty kocha póki widzi.

— Co to ma znaczyć, Panie Komorniku?

— Tnę potnę, lepiej że się tak stało, jak gdybyś miał być rogalem i cudze dzieci hodować.

Zbladł Nekrasa.

— Panie Komorniku, mów otwarcie.

— Tnę potnę, bez ogródki mówiąc, Panna Magdalena szmyrgnęła z Moskalem.

— To być nie może — zawołał Wernyhora.

— Tnę potnę, na honor szlachecki zaklinam się, widziałem matkę, stryja: wykradł ją z Kuny ten szlamazarnik tchórzysko Graf Tamara; ale tnę potnę, Waszeć Panie Atamanie nie smuć mi się: jest tego towaru po całym świecie, łatwiej o ładną dziewczynę, jak o dobrego konia. Zresztą że kochanka się sprzeniewierzyła, to każdemu z nas się trafiało. —

Byłby dalej gadał, nie wiedząc że każdem słowem jakby sztyletem dźgał w serce Nekrasy, ale wtem Han, rozmawiający w drugim końcu izby z Kawalerem Tottem, zbliżył się:

— Panie Atamanie, trzeba abyś pod Wasylków zapuścił zagony na moskiewskie wojsko; ale szanować wioski i mieszkańców polskiej ziemi.

Krótka i ucinkowa była odpowiedź Nekrasy:

— Dobrze. —

Mnogie hordy Tatarów i sotnie Zaporożców na konie siadają. Nekrasa na skarogniadym jak wicher przelatuje pomiędzy szeregi, dziko patrzy i groźnie woła: żywo na koń! Nikogo nie dziwi w atamanie ochota do boju, od dziecka był on takim, ale zkąd ta surowość? Ataman zawsze skorszym był do pogładzenia słowem jak do połajania: zkąd gniew na skarogniadego? Okłada go nahajką i cugle targa, choć rumak i tak ze skóry zaledwie nie wyskakuje, pieni się, a oczy mu krwią zachodzą: nigdy go dawniej Nekrasa nie trącał; chuchał nad nim jak nad dzieckiem, a pielęgnował jak brata; teraz nim wyszli, koń cały zbielał jak w mydlinach. Ataman z Hanem krótko mówił, Wernyhorze zaledwie parę słów odpowiedział, a Komornikowi tylko skinął głową; w pochodzie stronił od braci Atamanów Kurennych, z Dudarem nawet nie rad w parze jechał. Stary Asawuła w sobie powtarzał: zbisił się Ataman, licho go opętało. Nekrasa tylko rozkazy daje i doniesień słucha; zły, czemu konie jezdców jak orły nie latają, czemu za każdym krokiem nie masz moskiewskiej głowy do rąbania; jak dostaną żołnierzy Carycy w niewolę, bez miłosierdzia wszystkich w pień każe wycinać; jeźli mu powiedzą, że w jakiej wiosce Pop imię Katarzyny wspomniał, albo lud Moskala przechował, natychmiast zawoła: wioskę zrabować i spalić, a lud na jeńców zapędzić. Gdzie się trafi bój, tam walczy jak wściekły, on nie szczędzi swego życia, ale śmierć przed nim ucieka; po bojach choć zwycięzca, zły i markotny. Raz Dudar zauważył jak Ataman w nocy wyjął z za pazuchy obrazek blaszany, uśmiechnął się z przymusem i giął w palcach blachę, strząsnął ręką, coś wyrzekł z cicha i głęboko się zamyślił;

potem obracał obraz, całował go, wzdychał, a nawet łzy mu się puściły; ale kiedy usłyszał szmer jakiś na stanowisku, szybko schował obraz za pazuchę, potarł ręką po twarzy i zawołał:

— Asawuło, niech na koń siadają. —

W Terepiczu nad Tiasłykiem zebrał się Tohabuł. Nekrasa zasłyszawszy że książe Galiczyn z trzema brygadami Moskali jest w Wasylkowie, co tchu tam z sotniami i hordami poskoczył. Moskiewski jenerał nie dotrzymał placu, umknął, tylko tylną straż Moskali zachwycili Zaporożce i nie wielką liczbę mieszkańców, bo reszta jak mogła powynosiła się z miasta. Kiedy prowadzili jeńców, jakiś staruszek w szlacheckiej opończy przechodząc obok Nekrasy, zawołał:

— Atamanie Nekraso! —

Ataman ledwie spojrzał.

— Niech ich tam prowadzą do djabła, w Jasyrze będziesz poznawać ludzi. — Wkrótce przyjechał Dudar:

— Atamanie, jeden z jeńców chce z tobą mówić, to ten co go nasi złapali na drodze do Kijowa, kiedy gonił konno za Laszką i Księdzem zmykającymi przodem; tamtych nie mogli dopaść mołodce. — Nekrasa na to nie zważał.

— Mówiłem, niech go do djabła prowadzą, co mi tam po Laszkach i po Księżach. —

Tu Kierym-Giraj odebrał doniesienie od Seraskiera Jakubagi, że Moskale naciskają się na Budziacką granicę; natychmiast Han wyprawił niewolników i łupy do Krymu, a sam z całem wojskiem z pod Wasylkowa przez las Perewala zakołował ku Bałcie.

Sułtan Gałga pustoszył zadnieprzańskie ziemie, siedemdziesiąt tysięcy jeńców i wielki łup z nad Samary wysłał na Perekop, a Sehim-Giraj, brat Dewleta-Giraja, z Nogajskiemi hordy zapuściwszy zagony od Kubania na obie strony Donu, plenił naród kozaczy Moskwie hołdujący: bogatych zaborów nagrabił kupami i czterdzieści tysięcy chrześciańskiego ludu odesłał do Jasyru.

Pod Bałtą nie długo zatrzymał się Kierym-Giraj, trochę spoczął i zaraz ruszył przeciw Moskalom. Z Kanibalów poszedł na Hurdaczówkę; zaledwie się obozem rozłożyli, przednie straże przyprowadzili jakiegoś starca; choć go na sznurku Tatar trzymał, jednak on nie po tchórzowsku poglądał, czerwony jak burak solony, a opasły jak karmny wieprz. Komornik go poznał.

— Tnę potnę, a to ten hycel Szwaczka z Kaniowa, daj go katu; ja myślałem że Waszeć już od dawna gdzie dyndasz na szubienicy.

— U mnie rogata dusza, Panie Komorniku, nie tak to łatwo ją wykurzyć — a potem obróciwszy się — jak się macie, ojcze Wernyhoro i ty chwacki Atamanie, dobrze że was spotkałem; ja wam pokażę kubło wilcze, tylko niechaj wyjdą te bisurmany,

bo takie rzeczy nie przed wszystkimi się mówią. — Han kazał wyjść Mirżom, a Wernyhora rzekł:

— Mówże teraz, Panie Szwaczko.

— No, to nie ucieknie, ale dajcie mi teraz czarkę wódki, bo przysięgam na Boga, tak mi postronek zacisnął gardło, że słowa przeleźć nie mogą.

Dali mu flaszę z wódką, łyknął porządny haust i tak opowiadał: — Ja teraz z Lachami trzymam, bo poznałem że Moskale huncwoty, a Pan Branicki gałgan; otóż ztąd nie daleko w Babance stoi pułk Woronężkich huzarów, a nim dowodzi ten Graf Tamara, co to tam go chciano na Atamana narzucić — tu Nekrasy oczy się zaiskrzyły i słuchał pilnie, a Szwaczka kręcił głową — piękna lala na pułkownika huzarów, tchórz jakiego pod słońcem nie masz; jemu kazano iść bić się, a on zamknął się w wiosce; od głowy jak to mówią ryba śmierdzi, i pułk na nic przeszedł pod takim pułkownikiem. Jeźli wola wasza, to ich zdusimy jak kury w kurniku, ja was podprowadzę. Ztamtąd o milę stoi Wejsman z całą jazdą, ale co to, to cały djabeł, on nie zaśpi sprawy.

Nekrasa się odezwał żywo: — Hanie, poleć mi tę wyprawę; samych Zaporożców tylko wezmę.

Kierym-Giraj kiwnął głową.

— Jedź bracie, niechaj Ałłach tobą się opiekuje — a Komornik dodał:

— Tnę potnę, ja ufam Panu Nekrasie, jak dawniej ufano Czarnemu Zawiszy, a wiem Mospanku, że mołodce nie odstąpią Atamana, jak odstąpili Niemcy Polskiego rycerza; bo tnę potnę, co chwat Zaporożec, to nie plucha Niemiec. —

Jak skoro zmrok zapadł, Nekrasa wyszedł tylko na czele Serykowskiego Kurenia. Zawadowski, Iwaszeńko, Bech z trzema innemi Kureniami poszli szlakiem Humańskim, aby w przypadku potrzeby nieść pomoc Nekrasie. Mróz zelżał, niebo smutne zasunęło się grubemi chmurami: ani księżyca, ani gwiazd nie widać, a śnieg pruszy jak z za rękawa, i odzienie kozackie i szerść końska pobielały, a brwi i wąsy nastrzępiły się śniegiem. Nekrasa jedzie obok Szwaczki i tą razą ciągle z nim rozmawia:

— Słuchajno bracie Szwaczko, a z której strony i jak silne trzymają straże? —

— Ot tak Atamanie, nad Humańskim szlakiem w Wakuły futorze stoi pół zwodu, drugie tyle od południa w jarze na wilczej drodze, a koło karczmy Zadrypanki cały zwód. Dońscy Kozacy trzymają łańcuch aż do Wejsmana obozu.

— A w wiosce jak stoją rozłożeni?

— Pułkownik, oficerowie we dworze i na ekonomji, żołnierze po kłoniach z końmi; tylko sto koni w karczmie ciągle osiodłanych i żołnierze pod bronią; reszcie koni odpuszczają popręgi u siodeł, rozkiełznują na noc i żołnierze śpią; do-

piero nadedniem wszystko w porządku wychodzi na plac zboru.

— A gdzie plac zboru?

— Koło cerkwi, na wygonie, w zachodniej części wioski.

— A wiele tam jest dróg?

— Trzy; dwie od nas, a trzecia z przeciwnej strony.

Obrócił się Nekrasa, popatrzył, wiatr od zachodu wieje i śniegiem na wschód miecie. Na lewo czernieje futor Wakuły, w prawo majaczeje wioska, a na równi z sotniami w dali ogień błyska w Zadrypance. Zatrzymały się sotnie w małym jarku, a Nekrasa tak rozporządził:

— Łukaszu, rzecze do Sotnika Czajkowskiego — weźmiesz pół sotni, wrócisz się i pójdziesz wprost ze śniegiem na Wakułów futor; jak będziesz blizko, wtenczas Sława Bohu! uderzyć i zabrać placówkę, potem natychmiast skoczyć za wieś i mordować uciekających. Dziesiętnik Sak pójdzie z ośmiu ludźmi po za wieś przodem i zdejmie ze trzech Dońców z łańcucha straży, tylko cicho a prawornie. Konowalski z swoją sotnią zbierze placówki w wilczym jarze i Zadrypance, ale zawsze rozdzieliwszy sotnię na dwoje, iść ze śniegiem, a potem okrążyć wieś. Dudarze, ty z sotniami Wyhowskiego i Czarnozuba wpadniesz do wsi w kołowrot wilczej drogi, na miejscu zborni zostaniesz z sotnią Wyhowskiego; Czarnozub swoich mołodców rozpuści po wsi; ale zaraz wysłać straże na wieś. Sotnia Demiańca i pół sotni Czajkowskiego za mną pójdą. Demiańcze, ty rozpuścisz swoją sotnię po wsi. Mołodcom Czajkowskiego przy mnie być, bez krzyku wpaść i mordować; gdyby Moskale zaczęli strzelać, to krzyczeć Sława Bohu, ze wszech stron palić i rozpraszać po wsi moskiewskie konie; przy życiu żadnego wroga nie zostawić. Żeby się rozpoznawać między sobą, powtarzać hasło S a h a j d a c z n y, odzew C h o c i m. Jak posłyszycie potrójne gwizdnięcie, to się zbierać na wygonie, a ty Dudarze każesz zaraz kilkunastu ludziom rozwalić płoty, aby można było łatwo wycofać się w pole. Wy Dymytro i Olexo jedźcie obok Szwaczki, najmniejsza zdrada, w łeb mu wypalić. —

Na to Szwaczka: — Tak lubię, widać że wojskowy człowiek, nie żal się Boże takiemu służyć.

Podzielili się na oddziały i każdy poszedł w swoją stronę, a wszyscy zachodzą z wiatrem. Nekrasa przeszedł poniżej Zadrypanki, właśnie w chwili kiedy Konowalski bez krzyku zabierał obie placówki; z pięciu moskiewskich jeźdców jak błędne owce wpadło na oddział samego Atamana, tam ich szparko rozbratano z życiem, kłusem puścili się do wsi i bez hałasu wpadli; bo na szczęście psy przed zawieruchą w budy się pochowały, a straże piesze poprzytulały się pod płoty. Natychmiast Ataman uderzył na karczmę. Oficer moskiewski krzyknął: — Na koń dzieci! Ale nim zdołali nogi w strzemiona wsadzić, już spisy

Zaporożców broczyły się w ich krwi. Oficer krzyknął: strzelać! ale z tem słowem wyzionął duszę, bo mu Nekrasa łeb na dwoje przepłatał. Strzeliło kilku huzarów, i wnet świstem burzy, hukiem gromów, wrzaskiem czeredy djabłów, ze wszech stron zakrzyczeli Zaporożce: — Sława Bohu! bij, kól, siecz wroga! Zaczęli się szastać po błoniach i po chatach.

Jęczą Moskale, o życie błagają, niektórzy się bronią i pukają z karabinków; strzały jak wężyki błyskawic świecą, kule po nad głowami świszczą, huzarskie konie z siodłami po wsi latają, sadzą przez rowy, przez płoty skaczą. Ludzie sielscy w lochy się pochowali, psy pogiąwszy ogony, skomląc uciekały w pole, bydło przeraźliwie ryczy, a Zaporożce oburącz mordują. Krzyki wojny, jęki śmierci, wrzask popłochu, huk strzelb, broni szczęk, tentent koni, mięszały się w jedną wielką wrzawę; hucznym i dzikim, ale niewyraźnym rozgłosem rozbijały się po powietrzu.

Lecz gdzie jest Ataman?... Jak wilczyca wściekła skoczył do dworu, zemsta mu we krwi zagrała i dusza łyknęła trunku zemsty; nie tak by pragnął uścisków kochanki jak spotkania się z serdecznym wrogiem. Wleciał na dziedziniec i kulką skoczył z konia; krzyknął na mołodców: — Nuże do roboty — z dobytą szablą pomknął się naprzód. Darmo mu zastępują drogę huzary, na krzyż świstnął i dwóch nogi zadarło, reszta się rozskoczyła konać na spisach mołodców. Wpadł do izby i wnet pchnął w piersi jednego z oficerów, wyrwał zjuszoną szablę i drugiemu na odlew rękojeścią rozsadził skronie; z alkierza strzelono, flejtuch wpadł na burkę atamańską i zapaliły się kudły. Ataman zrzucił burkę, a mołodce wpadłszy, wymordowali wszystkich. Darmo szukają Pułkownika i we dworze i po lochach i w stajni, nigdzie go nie masz, aż jeden z Zaporożców dopatrzył ostrogę w kominie, sięgnął ręką, aż tam noga w bucie: pociągnął silnie, oberwał się i wyleciał na podłogę Graf Tamara. Blady przestrachem, plackiem padł do nóg Nekrasy:

— Królu! Panie! daruj życiem.

Atamana oczy oczy się zaiskrzyły, wzniósł szablę do góry:

— Nikczemniku, gdzie jest uwieziona kochanka?

— Atamanie! — boleśnie zawołał Tamara — na Boga się klnę, ona mną wzgardziła! ja nie wiem gdzie ona jest, na mnie wina nie cięży, daruj życiem! —

Nekrasa spuścił szablę i odtrącił nogą podłego tchórza, mołodce podnieśli go na spisach i już w nim ducha nie było, z samego strachu zamarł; jak żył tak skończył po tchórzowsku. Ataman wyszedł, wskoczył na skarogniadego, przebiegł wzdłuż i poprzek wioskę, zobaczył, że wszystko już zrobiono, gwizdnął trzy razy na zbieranie się, a jeńców kazał wykłuć.

— To jeden sposób wytępić psie plemię. —

Już i dzień zaczął szarzeć i straże dały znać że majaczeją kolumny jazdy moskiewskiej. Nekrasa kazał spędzić konie huzar-

kie, kilku mołdców puściło się w czwał na powrót i cały tabun za nimi popędził. Sam Ataman porządnie ze wszystkiemi sotniami do Humańskiego szlaku się cofał; w wiosce wolnym ogniem gore słoma na przemokłych dachach, śnieg krwią się zfarbował, a trupy leżą jedne na drugich, huczna uczta dla wilków i orłów.

Moskiewska jazda rozwijała się, kręciła, zachodziła w prawo i w lewo; to się rwała na kolumny, to się kupiła w jedną linję; ale kiedy zajrzała że nowe sotnie Zaporożców ciągną Humańską drogą, wstrzymała się, postała trochę, a potem się cofać poczęła. Nekrasa chciał ją gonić, ale przybiegł Tatar z prośbą i rozkazem od Kierym-Giraja, aby wracali co prędzej. Radzi, nie radzi, musieli się poddać rozkazowi; na wojnie ślepo trzeba słuchać starszego, a surowie posłuszeństwa przestrzegać u młodszych.

Kierym-Giraj markotny, nasępił czoło i myślał; przed nim leży pargamin nakreślony w zygzaki, to firman Sułtański. W tejże izbie siedzą: Wernyhora, Pan Sapieha, Kawaler Tott i Komornik. Chwila było milczenie, a po tej chwili Han podniósł czoło.

— Związane mam ręce; widzieliście com chciał, na Ałłacha się klnę, że przed roztajaniem śniegów ani jeden Moskal, ani jeden zdrajca nie pozostałby w Polsce; teraz Sułtan każe wracać, do wiosny czekać. Znowu złodzieje moskiewscy musieli podsunąć złota radcom Dywanu. Mustafa złudzony, każe mi abym w Koczun dał posłuchanie bratu Obreskowa, tego służalca Carycy, tego zaklętego nieprzyjaciela mojej rodziny. Ja muszę wracać do Krymu, bo by tam bezemnie posadzono nowego Hana, a nie chciałbym przelewać krwi we własnym kraju; ale bądźcie spokojni. Z poczęciem wiosny przyprowadzę w pomoc Polsce pięćkroć silniejsze wojsko jak dzisiaj; ani rozlane rzeki, ani wola Sułtańska natenczas mnie nie powściągnie: dotrzymam com przyrzekł, Polska będzie. Wy Panowie Konfederaci przez czas póki ja nadejdę, tęgo się trzymajcie.

— Tnę potnę, bądź spokojny, Panie Hanie; w kaszy zjeść się nie damy, a z naszej strony nie popuścimy ani Moskalom, ani Magnatom. Oj! gdyby to nie ten przesąd, że Polak od wieków nie porywał się na swego Króla!.. Tnę potnę, wartoby pentelkę zarzucić na szyję dzisiejszemu.

— Panie kolego, rzecze Wernyhora, nie szameruj tak wszystkich Magnatów; może i między nimi być coś dobrego. Książe Sapieha, Pan Joachim Potocki Magnaci, a jednak razem z nami bronią sprawy polskiej; mam nadzieję że kiedyś oni się opamiętają; nam potrzeba zgody i ładu; dla zgody trzeba, abyśmy jedni drugim cośkolwiek odstąpili, zmienili dawną zawziętość na ścisłe braterstwo. Żeby jakiś ład zrobić w Polsce, trzeba wyszu-

kać nowego Stefana, króla silnej woli, śmiałego serca a żelaznej ręki; wtenczas tylko będziemy narodem. Do czegóż to u licha doprowadzi, kiedy jedni wołać będziem obcych ludzi na nasz ratunek, drudzy z wrogami Moskalami będą się swatać, albo od Niemca wyglądać opieki: a tak teraz jest. Nie mamy głowy, nie mamy jedności; jesteśmy jak mówił świętej pamięci Ojciec Mazepa, pszczoły bez matki, okręt bez sternika. Ty Kierym-Giraju pomóż nam, ale i my sami sobie pomożemy.

— Tnę potnę, Waszeć masz prawdę, kolego Wernyhoro, i ja na tych Panów, co bronią kraju, nie powstaję; dla czegóżby u djabła nie mieli być między nimi dobrzy? Wszak ci oni Polacy jak my? zatem niechże tu idą do nas. Ale na nieszczęście, tnę potnę, te Panięta tak pochyrlały na gadaninach, że ani weź do korda. —

Wtem przyjechał Nekrasa i wszyscy wyszli go witać. Ataman choć zwycięzko natoczył moskiewskiej juchy i podkarmił serce zemstą, jednak tęskny, czegoś mu nie dostaje; darmo z oczów odgania obraz niewiernej kochanki, darmo z serca chciałby wygluzować miłość: niepodobna. Człowiek przekształcony w zepsutym świecie jak gąbka nasiąka uczuciami, i jak gąbka za pociśnięciem pozbywa się onych; na nowo zostaje czczem pruchnem; ale człowiek nieskalanych uczuć, niewynicowanego serca, jest jak skała: długo się opiera ciosom, lecz dostawszy szczerbę, zostaje z nią na długie wieki. Nekrasa kochał nie słówkiem i umizgiem tylko, ale oczyma, sercem i duszą; zemsta była mu potrzebą, jednak nie wróciła spokoju: bez miłości gorzko mu patrzyć na świat i ludzi, życie ma na zbyciu; ustawicznie chciałby boju a boju.

Nie w smak mu odwrót Kierym-Giraja. Han zaklął go na dawną przyjaźń, na szczęście i byt Polski, aby z nim jechał do Krymu.

— W moim Jasyrze jest sto pięćdziesiąt tysięcy chrześciańskiego ludu w niewoli; są między nimi męże, co przekazem starszych pamiętają dawną wolność kozaczą; w ich sercach jeszcze płynie krew Polska, w ich dłoniach mogą zabłyszczeć stale na zagładę Moskwy: dam im wolność, uzbroję i wsadzę na koń moim kosztem; takiemu wojsku ani Sułtan ani nawet Mahomet zakazu dać nie może. Ty będziesz jego wodzem i panem; ty stać się możesz zbawcą Polski. —

Choć serce atamańskie znękane tęsknotą, a myśl skołatana cierpieniem, słodko mu szemrze w uszy miano Zbawca Polski. — Han żądał, Wernyhora nalegał: przystał że pojedzie.

Wernyhora i Panowie Konfederaci puścili się do Berszady i na Czerwoną Ruś rozwozić niemiłą wieść na teraz, krzepić ducha i pokazać przyszłość zasobną w bogate nadzieje. Kurenie mołodców zabrawszy hojne łupy, dostawszy szczodry upominek w srebrze i złocie od Kierym-Giraja, powędrowały ku Zaporoz-

kim stepom. Smutni że rzucają wojnę, radzi że ten spoczynek chwilowym tylko będzie, bo sami w sobie mówią: z powrotem Nekrasy znowu zahulamy. Nekrasa i z nim stary Dudar nieodstępnie towarzyszyli Kierym-Girajowi.

W czasie pochodu w głowie młodego Atamana myśli plączą się po dziwnej mięszaninie; układa jak prowadzić będzie przyszłą wojnę; miarkuje że zimową porą lepiej napadać na nieprzyjaciela stojącego po wioskach, że łatwiej wszędzie przejść i nie tak często zdybuje się z armatami; ale też na wiosnę jest wszędzie żywność dla koni i ludzi; lud sielski powstać może, snadno się przechowa przed silniejszym wrogiem, aby zdławić słabszego. Tak żyje marzeniem sławy wojennej i przyszłą wielkością Polski. Nieprzerwanym łańcuchem roją się myśli o zjednoczeniu synów lackiej ziemi w jedno państwo, o nałożeniu kagańca na podboje moskiewskie i o wypędzeniu niemieckiego rodu z sławiańskich krain; ale za każdą myślą nasuwa się obraz Panny Magdaleny. Gorzka rana serca powstrzymuje polot dumy; wspomnienia zdradzonej miłości męczą i brudzą czystą roskosz marzeń.

W Bałcie Han hordy zostawił, Seraskierowi Jakubadze kazał robić przygotowania do nowej wojny, a sam w nielicznym poczcie z Atamanem i Asawułą Serykowskiego Kurenia i Kawalerem Tottem pojechał do Koczun.

Zamek hański życiem i ruchem ludzi zaweselał; niewiasty haremu zrzuciły żałobę z serca, bo się zjawił kochanek ich myśli, Pan samowładny ich wdzięków. Wielki Han zaledwie wstąpił na próg do zamku-spoczynku, a już wydał rozkazy przybierać się na nową wyprawę; dowiedział się że Wielki Wezyr zazdrośny sławie Hana i nie rad że Sułtan dał mu dowództwo nad wojskiem, podziękował Mustafie za służbę. Anglicy, przeklęci kupcy wełny, intrygą i złotem pracowali w radzie dywanu na korzyść moskiewskiej Carycy. Kierym-Giraj żeby zniszczyć szalbierstwa angielskie, kazał sprzedać Niemców i Holendrów, zabranych w Nowej-Serwji, i pieniądze między Istambulskich ulemów rozrzucił; dwieście urodziwych branek odesłał w podarunku Sułtanowi i celniejszym urzędnikom Porty, pewny że za złoto tłumacze wojnę wypowiedzą, a za kwiat dziewiczy Radcy Sułtańscy na wojnę przyzwolą. W Jasyrze zostali tylko Rusini na rozporządzenie Nekrasy, i Moskale na rozdanie Tatarskim Mirżom.

Niebawem przyjechał Obresków Moskal, posłannik Carycy do Koczun; zwyczajem wschodnim złożył bogate dary, ale Han odrzucił i dary i ofiarę moskiewskiej przyjaźni.

— Powiedz swojej Carycy, że Kierym-Giraj pogardza jej obietnicami i o jej przyjaźń nie stoi. Ma krocie wojowników, ma zamożne skarby; potrafi zalać moskiewską krainę i wrócić dawne czasy, kiedy carzyki Moskwy pieszo, z odkrytą głową wychodzili

naprzeciw Baskakom Hanów tatarskich i płacili haracz Krymowi; tak bywało i tak będzie. Kierym-Giraj to zrobi, co zrobił Baty. —

Obresków pokłonił się i nic nie powiedział, bo Moskal od kolebki nauczony płaszczyć się przed siłą; wtenczas tylko hardy, kiedy ma do czynienia ze słabszym; obelgę zniesie z pokorą, a zdradą się zemści. Tak podły robak wtenczas z jadem się ciska na szlachetnego zwierza, kiedy ten śpi albo się go nie spodziewa.

Han zelżył słowy Posła Carycy, ale Moskala ugościł; na biesiadzie obok siebie posadził i podarkiem na drogę udarował. Po biesiadzie Moskal żywo i nagle wyniósł się z Krymu, a Han zachorował. Z początku nie domagał, ale chłop silnej budowy ciała, jak mógł borukał się z chorobą; cierpi kurcz w żołądku, szum w głowie, nudności: krucze włosy ciągle lezą i gęsta czupryna przezadza się; zmogło się cierpienie i zwaliło na łoże Kierym-Giraja.

Derwisze w Alkoranie szukają ulgi dla Wielkiego Hana. Znachory z Perekopu okładają go skórami świeżo zarzezanych baranów i krwią baranią smarują. Francuzki lekarz opatrzył chorego, smutnie wzruszył ramionami.

— Otruty! nie ma ratunku — zawołał — już jad trucizny krąży po całem ciele. —

Jak dziecko w niemocy leży Kierym-Giraj, oczami łybnie, a język mu kołkiem stanął; twarz zsiniała, a żyły porozdymały się, ledwo nie pękną; to porwą go wymioty i jak wąż się wije, to złożony niemocą potem ocieka, a nic nie mówi. Nekrasa i Dewlet-Giraj stoją przy łożu i wzrokiem boleśnego współczucia na cierpiącego bohatera spozierają. Kawaler Tott niecierpliwie przechadza się po izbie, klnie Moskwę i w palce klaszcze. Domownicy jak powarzeni chodzą, a w Haremie szlochy i jęki. Kierym-Giraj wytężył oczy na stojących obok siebie, zabełkotał:

— Polska! . . . Tatarszczyzna! —

I ręce do serca cisnął, płakał i ustami całował powietrze, potem twarz mu się skrzywiła, podniósł się na łożu, coś ręką pokazywał Nekrasie i Dewlet-Girajowi, zatrzepotał rękoma, krzyknął:

— Moskwa! Zemsta! —

Padł, pociągnął się i skonał.

Piorunem smutna wieść śmierci rozleciała się po Zamku, po mieście. Smutek, jęki, szlochy i groźby zemsty zewsząd się rozlegały: jakby wszystkich serca jednem sercem były, jakby wszystkich oczy zrosiły się jedną wielką łzą: jakby wszystkie piersi zrosły się w jedną wielką pierś i wydały jeden wielki krzyk.

Jeszcze jednej doby nie stoją Kierym-Girajowe zwłoki, a już ciało zczerniało i popadało się na drobne rozpadliny; zaledwie kto dotknie brody albo czupryny Hańskiej, odejmie rękę pełną włosów, paznogcie poodpadały: istne ślady trucizny. Tak Mo-

skwa zwojowała swego wroga! . . . Trupa bohatera Krymu zaszyto w worek skórzany, sznurami obwiązano, włożono na wóz. Sześciu jeźdźców tatarskich stanęło po bokach wozu i tak pojechał Wielki Han do Bakczysaraju. Rodzina, przyjaciele, poddani, domownicy i słudzy zdala smutnie za wozem jechali. W Bakczysaraju złożono zwłoki w grobie Girajów rodziny. Niezliczone wojsko i lud niezliczony żegnał jękiem i płaczem swojego Pana. Tatarszczyzna na długie wieki żałobą się pokryła: z Kierym-Girajem pomarła jej wielkość i sława. Polska rzewną łzę uroniła; już nie żyje Kierym-Giraj, jej jedyny i szczery przyjaciel! —

XIV.

Hop; hop! cwałem koniu wrony!
JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Księżycu, skryj się w obłok, nie masz świecić komu.
Sam jeden bez kochanki ja wracam do domu.
LUDWIK KROPIŃSKI.

Tęsknoż to teraz na tym Krymie! Ze śmiercią Kierym-Giraja wszystko ku upadkowi się chyli; dzielne wojsko zebrane w Bakczysaraju, co miało zbawić Polskę, zdeptać Moskwę, zmarniało, podzieliło się na części, gotowe gonić na ostrze przeciw sobie. Jedni Mirżowie wołają na Hań每stwo Dewlet-Giraja, drudzy Sehin-Girajowi oddają hański bunczuk; trzeci stają w obronie praw do władztwa niedorosłych dzieci Maxud-Giraja. Wszędzie bezład i rozterki. Moskwa korzysta, rzuca złoto, sieje obiecanki między starszyzną tatarską; naważyła się na Perekopskie Państwo i jak kret pod niem nurtuje. Kawaler Tott pojechał do Istambułu popierać potwierdzenie Dewlet-Giraja na Hańtwo, a Nekrasa darmo prosi, darmo się gniewa; ani ludzi z Jasyru, ani broni, ani koni dostać nie może. Bezpaństwo, licha godzina na Krym przyszła.

Tak to bywa, kiedy są ludzie w narodzie, a nie masz człowieka; naród zmitrężeje się, zaprzepadnie i przeminie. Polska wielką i groźną była pod Batorym, po jego śmierci byli ludzie szabli, ludzie rozumu, ale nie było człowieka, któryby u steru stanął i nadał wszystkiemu kierunek; dzielni mężowie strwonili zasługi, a Ojczyznie korzyści nie przynieśli: i w Krymie jest siła dziarskich wojowników i doświadczonych dowódzców, ale nie masz Kierym-Giraja.

Piątkowego poranku na wierzchołkach minaretów ozwały się głosy Muezynów, i lud muzułmański tłumami walił się do przybytków Bożych; tam zapomniawszy o dziełach ziemskich, i myślą i słowem chwalił Ałłacha i Mahometa. W tym czasie Nekrasa

i Dudar wyszli na miasto, bez celu; na oślep kręcą się ścieszkami pomiędzy wzgórza i doliny. Ataman zły, że nie po jego myśli wszystko idzie; nie wyleczył się jeszcze z miłości, a za wojenną sławą tęskni, jak gończy za borem, jak chart za stepem, jak matka za pierworodnem dziecięciem. Asawuła nudzi się w bezczynności; ciężko dzień cały cackać się z końmi, albo obcierać broń; chciałby jednej chwili zabiedz na Zaporoże, zahulać ze spisą w dłoni po stepie za wilkami, zahulać z byczkiem w ręku z mołodcami Siczy, zahulać po futorach z czarnobrewemi mołodycami. Tego wszystkiego nie masz na Krymie! Góry, nie stepy; kobyle mleko, nie wódka; odaliskom wschodu daleko do Ukrainek. Smutno w myślach obudwóch Zaporożców, i do koła nich nie ma wesela! Wszędzie śniegi ledwie tajać zaczynają, drzewa nagie, a wody lodami ścięte. Milczkiem idą, żaden ani słowa nie przemówi; weszli w góry i stracili z oczu wieżę Bakczysarajskiego zamku i wierzchołki Minaretów.

Wiszą na zuboczach i ścielą się po dolinach mieszkania tatarskich Mirżów i obory na bydło różnego rodzaju; tabuny końskie samopas brodzą i z pod śniegu wygrzebują sobie strawę. Już uszli z pół mili, kiedy nagle się zatrzymali: głos ojczysty doleciał ich ucha: — Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny — wyraźnie brzmiały w powietrzu.

Idą na ten głos, a na sercu im się lżej zrobiło; i myślą poczęli się modlić do Twórcy Wszech rzeczy i do Niepokalanej Dziewicy Matki Zbawiciela ludzkiego rodu. Za oborą klęczy jakiś starzec, złożył ręce jak do pacierza i do Nieba woła pobożną pieśnią. Ataman i Asawuła przeżegnali się krzyżem świętym, przyklękli, odmawiali pacierz i w pierś się bili; dla nich sklepienie niebios cerkwią, a starzec kapłanem wiary. Kozak zawsze i na każdem miejscu gotów chwalić Boga szczerze i serdecznie; słowa przemądrzałego występku nie zepchnęły jego sumienia z drogi prawdy i cnoty, nie zabrudziły mu serca szalbierczem niedowiarstwem; pozostał i pozostanie na wieczne czasy wiernym Bogu, wiernym wierze przodków.

Skończył pieśń starzec i Zaporożce powstali: wzajem patrzą na siebie, a po chwili Dudar rzecze:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! z jakichże stron ojcze tu zawędrowałeś i co tu robisz! —

Starzec pochylił się z pokorą:

— Na wieki wieków amen. Kraina mego rodu daleka, wasi ludzie mnie zabrali, jam niewolnik Dewlet-Giraja — i jak w tęczę patrzał wzrokiem na Atamana — Atamanie Nekraso ja ciebie znam, tyś był głuchym na moje wołanie, a możeby moje słowa wówczas tobie pociechę przyniosły, a mnie od niewoli zbawiły.

— Ojcze, ja ciebie nie znam, po raz pierwszy ciebie widzę.

— Ja ciebie widziałem Atamanie, kiedyś się poił szczęściem na całe gardło; drugi raz, kiedyś leciał ludziom śmierć rozda-

wać i sam jej szukać, a rysy twojej twarzy tak mi głęboko utkwiły w pamięci, że poznałbym ciebie po wieku niewidzenia. Tyś mnie zapomniał, nic dziwnego! pierwszą razą była obok ciebie istota, na którą patrząc, i świata nie widziałeś; drugą razą ani rzuciłeś na mnie wzrokiem. —

Ataman ruszył ramionami, jakby chciał obudzić wspomnienia, Dudar potarł czoło.

— Ojcze, czy nie wyście to w Wasylkowie chcieli rozmawiać z Atamanem?

— Ja to ten sam; i ja to błogosławiłem zaręczynom Atamańskim w Kunie. —

Nekrasa jakby ukropem sparzony, porwał starca za ręce.

— To ty, ojcze Anzelmie, coś wymówił: biada temu, kto złamie przysięgę! — a ona złamała, niewierną mi była — i tu zaciął mu się głos w piersiach, a twarz pobladła. Starzec na to:

— Nie bluźń, Atamanie, ona ci wierną była zawsze.

— Jak to ona wierną! ona mnie kocha?! Zkądże ta wieść że uciekła z Moskalem?

— Siadaj tu obok mnie i słuchaj. —

Usiadł Ataman, usiadł Dudar. Ataman tak chciwie nadstawił ucho, że nie chciałby ani jednego słowa stracić: — Biedna dziewczyna widząc że matka nakłania, stryj nagli, aby przyjęła rękę Moskala, do mnie się udała po radę, po pociechę: ja radziłem cierpliwie znosić i zmiany rzeczy czekać; ale kiedy dowiedziałem się z pewnością, z ust samego Gwardjana przy obiedzie, że mają gwałtu użyć na Pannę Magdalenę, wtenczas przyszedłem i rzekłem: nie ma co czekać, trzeba co rychlej się wynosić. Niebodze żal było matkę, siostrę opuszczać, ale tak ciebie kocha, że i w piekło by poszła, żeby pozostać wierną miłości i przysiędze. Przystała na ucieczkę; z wieczora niby się spać położyła, a zaledwie siostra usnęła, ubrała się i przez sionki wyszła na ogród i tam na mnie czekała. Ja, żeby poszlaki po sobie nie dać, przed furtką ogrodu klasztornego, którędy po zaręczynach wyszliście, zostawiłem moje suknie. Byłem przytomny rozmowie Gwardjana z popem i z pułkownikiem moskiewskim; rzecz była naturalna, że podejrzenie padnie na Moskala, iż mnie zgładził z tego świata dla zakrycia tajemnicy. Przytem była wówczas w Kunie wędrująca cyganka, na którą Gwardjan kazał mieć oko, bojąc się, aby nie była posłannikiem między tobą a Panną Magdaleną. W nocy podjechałem pod ogród, ale słyszałem jakiś szmer koło dworku; zaledwiem klasnął znakiem umówionym, wybiegła przestraszona dziewczyna, powiedziała z cicha: już są Moskale, uciekajmy; zaciąłem konie i szczęśliwie udało się nam tej nocy ubiedz ośm mil ukraińskich. Miałem żonatego brata Księdzem Unitą w Wasylkowie, tameśmy się schronili. O tobie Atamanie żadnej wieści nie można było powziąść, a do matki strach było wracać, aby nie zmuszono do niemiłego małżeństwa. Chwile

schodziły nudnie, tęsknie, w oczekiwaniu i zgryzocie; nareszcie dowiedziałem się że Pani Chiczewska z córką przyjechały na mieszkanie do Parchomówki, do Pana Wojskiego Głębockiego. Od dawna ja znam Pana Wojskiego i tu głową zaruszał, wiedziałem że mnie wesprze; bez namyślenia się pojechałem. Nie tylko Pani Chiczewska, ale nawet Ksiądz Gwardjan tam się znajdował; opowiedziałem wszystko Panu Wojskiemu: a chociaż Ksiądz Jan gniewał się i fukał, jak mówią: kto na czyim wózku siedzi, tego piosnkę śpiewa; Pan Wojski za mną się oświadczył i wszyscy mi nie śmieli nic mówić. Na Pannę Magdalenę tylko były krzyki że zakałę zrobiła rodzinie, że świat nigdy temu nie uwierzy, jakoby uciekła przed przymusem małżeństwa, w chęci pozostania wierną oblubieńcowi. Złośliwi ludzie powiedzą: nawłóczywszy się z Moskalami, kiedy ją odpędzili, wraca w dom rodzicielski. Aż płacz mnie brał na niesprawiedliwość ludzką. Ksiądz Jan ciągle mówił: trzeba aby wstąpiła do Zakonu, to jedyny sposób nietamowania łosu młodszej siostry. Pani Wojska leżąca na śmiertelnej pościeli po porodzeniu córki, dowiedziawszy się o co rzecz idzie, błagała męża, aby oparł się wszelkiemu przymusowi. Pan Wojski człowiek ludzki i szczodry, zakończył wszystkie te spory, dając przytułek rodzinie Chiczewskich we wsi swojej Zarokowie, położonej w żytomierskim powiecie, i obiecał wyposażyć obiedwie Panny. Ksiądz Jan ze mną pojechał do Wasylkowa, ale w drodze bezustannie powtarzał: to nic nie pomoże, Magdalena musi być albo żoną Tamary, albo zakonnicą. Nie będę ci opowiadał płaczów i szlochów biednej dziewczyny, kiedy ją stryj groźnie strofował. Było to właśnie w chwili, kiedy Kierym-Giraja hordy wpadły nagle do Wasilkowa. Moskale pozabierali konie i wozy u mieszkańców, a tak było gorąco, że ledwie za mnogie pieniądze mogliśmy dostać trzy konie wierzchowe u Dońców. W drodze mój koń związał się i upadł; ludzie twoi mnie zabrali. Poznałem Zaporożców, a kiedy dowiedziałem się, że Nekrasa nimi dowodzi, prosiłem, aby mnie do ciebie prowadzono Tyś zagłuchł na moje wołanie! Gdybyś był posłuchał moich słów, dopędzilibyście uciekających i miałbyś małżonkę; sam Ksiądz Jan by was błogosławił, bo by musiał, a teraz Bóg wie co będzie. Gwardjan uparty jak muł, a mściwy, nikomu jeszcze najmniejszej rzeczy nie przebaczył; on chlebem nie rzuca za kamień, ale za kamień kamieniem; dziewczyna słaba, bez opieki, bez nadziei, może upaść: zrobią z niej albo moskiewkę, albo zakonnicę. —

Nekrasa słuchał, czerwienił się: to w oku radość zagorzała, to pierś wzdęła się westchnieniem. Cieszy się że dziewczyna go kocha, a boleje nad jej cierpieniem. Kiedy skończył Anzelm, żywo zawołał:

— Moskiewką nie będzie, bo Graf zdechł ze strachu; teraz choćby przyszło ze skarogniadego duch wyprzeć, muszę stanąć

na Ukrainie nim kochankę zmuszą do przyjęcia klasztornej sukni; ty ojcze Anzelmie jedź ze mną.

— Słuchaj Atamanie starość nie radość, mnie może już Bóg nie da zobaczyć rodzinnej ziemi; ty jedź szczęśliwy, bogdajeś potrafił uratować ofiarę przesądu i uporu drugich. Ja ciebie o jedną łaskę prosić będę: oto masz opieczętowane papiery — i tu wyjął z zanadrza owinięte papiery w chustkę, i oddał Nekrasie — wręcz je Wernyhorze, powiedz mu, że dochowałem święcie, com przyrzekł jego i memu przyjacielowi. Teraz w jego ręce składam, niechaj robi co zechce; tylko przysięgnij, że mu oddasz, bo na tem zależy spokój mego sumienia.

— Przysięgam, ale ojcze Anzelmie powiedz pod jakiem imieniem znają ciebie w Jasyrze.

— Pod imieniem Anzelma skotarza; ale niech ciebie mój los nie obchodzi, godzina mojej śmierci już blizka, zmów czasem pacierz za starca, który co dzień modli się do Boga o twoją pomyślność: a pamiętaj o Ojczyźnie i kochance.

— Ojcze Anzelmie błogosław mnie na drogę — i przykląkł. Dudar zgiął sobie kolana, a starzec obudwóch przeżegnał krzyżem świętym.

— Niech was Bóg błogosławi i szczęśliwie prowadzi. —

Zaporożce pożegnali Anzelma: on jak bóbr płacze, w ich oku łzy kręcą, ale czas drogi, śpiesznie wracali ku Bakczyserajowi. W drodze Nekrasa rzekł do Asawuły.

— Zostaniesz bracie Dudarze, jak potwierdzi Porta Dewlet-Giraja na Hańsstwo, urządzisz wojsko z jeńców; ja niebawem wrócę.

— Nie zostanę, na kraj świata z tobą pojadę; jak wrócimy, to razem. — Nekrasa się zagniewał.

— Asawuło, ja tak każę. — Dudar nie zaląkł się:

— Ojcze Atamanie zetnij łeb to nie pojadę, inaczej i sam djabeł mnie od ciebie nie odczepi. —

Milczał Ataman, spojrzał na twarz Dudara, wyczytał na niej twarde postanowienie, wspomniał na serdeczne przywiązanie Asawuły do siebie.

— To jedź w końcu — zawołał.

Wrócili do Bakczyseraju.

— Dudarze, żywo niech będą konie posiodłane — a sam poszedł do Dewlet-Giraja i wchodząc oznajmił swój odjazd.

Sułtan Gałga zdziwił się — a wojsko z Jasyru? — niebawem przywiozą mi służbę hańską z Istambułu, dotrzymam święcie co przyrzekł Kierym-Giraj; i ja Polskę kocham, a tyś mój przyjaciel od dzieciństwa. —

— Dewlecie, muszę jechać, ale jak Bóg da, wkrótcę wrócę, a wtenczas dotrzymasz przyrzeczenia. Teraz ciebie proszę udaruj wolnością twego niewolnika Anzelma skotarza, to mój dawny przyjaciel.

— Kiedy twój przyjaciel to i mój, na niczem mu zbywać nie będzie, zaraz poszlę po niego; ale ty nie jedź Nekraso.

— Pojadę, bądź zdrów Dewlecie — uściskał Sułtana Gałgę, posłyszał konie przed zamkiem, wybiegł z izby: a nim Dewlet-Giraj zdodał zdążyć za nim, już on wskoczył na siodło. Obadwa z Asawułą świsnęli na rumaki, jeszcze raz pokłonili się czapkami, i z kopyta pocwałowali przez miasto w pole. —

I skarogniady i bułany skaczą perekopskim szlakiem; orlemi piersiami na dwoje wiatr rozcinają; rozpaloną nozdrzą topią mróz, a kopytami zawieruchę śniegu za sobą miotą. Zatwardziało Nekrasy serce dla skarogniadego; biegą do dziewczyny bez pamięci, jak gdyby biegli po głowę moskiewskiego Cara. Skarogniady zrozumiał myśl Pana, nóg nie żałuje; wybiegli za Perekop na Nagajskie stepy, spoczną, popasą i dalej gonią i dniem i nocą. Dudar u Nagajców dwa konie zmienił, a skarogniady chwacko dotrzymuje. Rzeki po lodzie przeprawiali, a gdzie niestało szlaku, tam darli stepem na przełaj od rzykmety do prykmety. Minęli Kara-dzierży, Kabil Teliak w prawo zostawili, Kaplan-Kalarz w lewo im majaczał, w prost się wyrżnęli na Tatar-Gemszyd, a ztamtąd w pół doby przybiegli nad Nikityna przeprawę: brzegi Dniepru obmarznięte a środkiem koryta woda warzy się i burczy i coraz to obrywa kawały lodu. Nie stał nad brzegiem Nekrasa, ale w prost na lód jechał, w końcu lód się załamał, a skarogniady choć już siedem dni pracował, gładko płynął, drobną krę piersiami rozbijał, prędowi wody nie dał się unieść; raz drugi złamał lód na brzegu; za trzecim susem na twardy brzeg wyskoczył, parsknął obiedwiema nozdrzami, i jak wiun otrzepał się z wody. Nekrasa go poklepał po piersiach i pocałował w szyję. Dudar choć miał świeżego konia z Tatar-Giemszydu, jednak nie tak łatwo Dniepr przeprawił. Spoczęli trochę i ruszyli do Siczy.

Pan Kałnyszewski przyjął Nekrasę jak syna: zbiegli się Atamani Kurenni, starszyzna i bracia mołodce ucztą chcieli uczcić przybycie bohatera kozaczego i jego towarzysza; ale Nekrasa tylko trochę przekąsił, pożyczył dwa konie u Pana Koszowego a skarogniadego zostawił. Pożegnali ojca Kałnyszewskiego i braci Zaporożców, i nie tracąc czasu pomknęli dalej w drogę.

W pół trzeciej doby przelecieli Zaporozkie stepy. Śnieg już dobrze zaczął tajać, w południe tysiączne potoki sączyły się i burczały po polach, a rankiem błyszczały jak lawy szklanne. Jeźdźce jakby przyrośli do koni, tak ciężko na siodłach siedzą i w koniach ledwo duchu stało kiedy przybiegli do czystego źródła: tam Kureń Serykowski powitał radośnie swojego Atamana. Nękrasa dzień cały z mołodcami zabawił, a na drugi dzień kazał ze stajni wywieść dwa garbonose źrebce, wrone jak kruki, ogniste jak żmije, a lotne jak sokoły, dawnego polskiego rodu; i chuchano i karmiono ich w futorze Atamańskim. Nekrasa

lubił na wronych źrebcach uganiać wilki i sumaki po stepach Zaporoża; teraz na nich kładą pyszne kozacze siodła, tebinki malowane krasiwemi kolory i złotem, a rzemień po czerkiesku wyprawny. Ataman i Asawuła w nowych przyborach i nowych burkach, dosiedli źrebców, powiedzieli mołodcom — bądźcie zdrowi, do zobaczenia — i lotem strzały puścili się w pole ku północy; nie dosłyszeli nawet jak mołodce życzyli im szczęścia i dobrej drogi.

Lekko im siedzieć bo konie świeże i raźne. Cali czarni jak djabli, tylko kołpaki na czapkach jak ogniki świecą; wjechali na Ukrainę świadomemi manowcami, omijają moskiewskie stanowiska, gotowi jednak gdyby potrzeba, szablą sobie drogę przetorować. Ataman niecierpliwy, dojechał nareszcie do Korsunia, do futoru Wernyhory, tam Makar mu oznajmił, że starzec w Parchomówce, i że od dwóch dni jak był wrócił z dalekich stron; więc ani spocząć ani posilić się nie chciał, tylko prosto ruszył do Parchomówki z bratem Asawułą.

W Parchomówce żałoba. Pani Wojska życie dała córce a sama na tamten świat się przeniosła. Pan Wojski w czarne szaty przybrany, ponury, smutny; założywszy ręce, prawie całe dnie trawił nad kolebką maleńkiej Pietrusi: takie bowiem imię nadał nowonarodzonej córce. Tak jak dawniej było huczno, suto i dworno w Parchomowieckim dworze, tylko wesołości nie dostaje; czuć brak gospodyni domu. Tak to mówią ludzie, u wdowca i u bezżenego dom smutny i pustką trąci. Przyjdzie Pan Stefan o gospodarstwie gadać, albo respektowej Panny Wojskiej zapytywać o zmiany w domu; nawet Pani Komornikowa Drożewska bawiąca w Parchomówce nie rozrywa gospodarza. Pan Wojski z roztargnieniem słucha, i sam nie wie co odpowiada. Żarty i powiastki Panów tutumfackich już go nie bawią, a nawet nie nadstawia ucha opowiadaniom myśliwskim Białowusa i Pszenycznego. Na synków często fuka, ale kiedy mała dziecina zakwili w kolebce, piorunem tam leci, tuli niemowlę do piersi, huśta i niańczy, pośpiewując piosnkę uśpienia. Pamięć żony i dawne jakieś wspomnienia owładnęły uczuciem dumnego szlachcica; zda się że dla malutkiej córki jedynie żyje na tym ciernistym świecie.

W tem przyjechał Wernyhora i Pan Komornik Drożewski. Wojski przyjął ich otwarcie, po przyjacielsku, ale ze smutkiem w sercu i na twarzy; oni nie pytają go o nieszczęściu, on też nie śpieszy się im opowiadać; o rzeczach ojczystych gawędzą. Wernyhora z Cieszyna powrócił i przywiózł smutną wieść, że wkradła się niezgoda w obóz konfederacki. Pan Joachim Potocki zazdrości wziętości Pana Puławskiego; nie chce słuchać ani zdrowych rad tego poczciwego Polaka, ani też nic mu robić nie

dozwala. Pan Puławski wyszafował swoje pieniądze na posługi ojczyzny, a teraz ani weź za co się zaczepić, roboty się mitrężą a sprawa ojczysta w poniewierek idzie. Wernyhora podjął się pojechać w województwa Ruskie, aby tam uzbierać zasiłki i w pieniądzach i w ludziach.

Pan Komornik wraca z pod Krakowa i ztamtąd nie bardzo dobre nowiny. Suwarów gniecie Konfederatów. Chociaż Sawa, Kazimierz Puławski, Moszyński i inni Marszałkowie opierają się wrogom ze sławą swego imienia, ze czcią Polski, a Moskale rozbili wojsko Radziwiłła; na Litwie i Koronie bezprawia wyrabiają. Król jak malowane cielę; ani wrócić do cnoty i powinności, ani się ogłosić łotrem nie śmiela. Możni Panowie żałują popełnionych błędów, ale co po skrusze bez czynu, to samo co po obietnicy bez dotrzymania. Fracuzi, poczciwi przyjaciele, przysłali oficerów, inżynierów i Bóg wie jakich tam naucznych ludzi w sztuce wojennej. Polsce na żołnierzach nie brak, ale cóż kiedy nie ma człowieka któryby powiedział: «ja was poprowadzę, ja wami rządzę» bez tego nic nie będzie, najlepsze usiłowania spełzną na niczem. Pan Komornik dwóch synów stracił: starszy pod Zawichostem poległ od szabli, młodszemu kulka moskiewska odjęła życie pod Lanckoroną; dwóch drugich walczy w szeregach konfederackich. Ojciec rad że skończyli życie swoje po rycersku: oba w piersi ranni: sam swoich sił nie szczędzi na posługi Ojczyzny, jak może to się dźwiga, i teraz podjął się objechać całą Ukrainę, i do Konfederacji zachęcać.

Od dwóch dni jak przyjechali do Parchomówki. Wernyhora, czego nigdy nie bywało, strudził się podróżą i nie domagał. Głębocki przez jednego z zaufanych tutumfackich posłał parę tysięcy czerwonych złotych do karbonki konfederackiej, trzech zaś innych rozesłał z listami wierzytelnymi między szlachtę znajomszą z przywiązania do Ojczyzny, aby ją do ruchu przeciw Moskalom skłonić.

Tak tedy na prędce zrobiwszy co było można, jednego wieczora zasiedli wszyscy trzej przy kominku i gawędzili, a mali synkowie Głębockiego przewracali się po dywanie jak małe psiaki. Wojski popatrzył na nich.

— Smutna to rzecz Mopanku kiedy sobie pomyślę: dziś, jutro, człowiek zadrzeć nogi może, a te biedne sieroty zostaną bez opiekuna. Bóg wie jak się pokierować mogą. Smutno to Mospanku, a ta biedna Petrusia! —

I tu spojrzał na Wernyhorę.

— Inaczej by to było Panie Bracie, gdyby się Bóg był na mnie nie uwziął. —

Podparł czoło na ręku i zamyślił się.

— Tnę potnę, co waszeć Panie Michale myślisz o śmierci? przed Waćpanem jeszcze wszystko. Masz majątek, masz dzieci, dla nich żyj i dla kraju. Porzućmy gadać o tem. Tnę potnę, ko-

lego Wernyhoro co to znaczy, że nie mamy żadnej wieści o Atamanie Nekrasie? —

Wernyhora skinął głową.

— I ja nie wiem co się tam święci na tym Krymie; tak ztamtąd głucho jakby z Kierym-Girajem wszyscy pomarli. —

Głębocki ocknął się z zadumania:

— Przyznam się wam Mopanku, że tyleście mi nagadali o tym Nekrasie iż chciałbym go widzieć.

— Może go kiedyś zobaczymy Panie Wojski. —

W tem wszedł Pan Stefan.

— Jacyś dwaj Kozacy z Zaporoża przyjechali, i chcieliby się widzieć z ojcem Wernyhorą.

— Mopanku, prosić ich tutaj.

— Wyszedł Pan Stefan, i zaraz weszli dwaj Zaporożce.

— Tnę potnę, o wilku mowa a wilk tu. —

Wernyhora uściskał obudwóch Zaporożców.

— Panie Wojski, oto masz Atamana Nekrasę i Asawułę Dudara, mego wychowańca i mego przyjaciela, kochaj ich jak mnie. —

Głębocki uścisnął obudwóch serdecznie po polsku.

— Szczęśliwy jestem Mopanku, że poznaję walecznych ludzi, dobrych Polaków. Panie Stefanie, o koniach pamiętać, wieczerzę kazać dawać. —

Pan Stefan żywo się zawinął i wyszedł, a Komornik nuż dopiero do witania.

— Tnę potnę, mówcież nam co się tam dzieje na Krymie, bo przedewszystkiem sprawa ojczysta. —

Nekrasa kilkoma słowy chciał zamknąć całą rzecz, ale kiedy Komornik ciagle zapytywał, Dudar musiał opowiedzieć wszystkie rzeczy od deski do deski.

Nekrasa wziął Wernyhorę na stronę, mówił mu o celu swojej podróży, a na twarzy jego i we wzroku niecierpliwość kipi. Wernyhora spuściwszy głowę słuchał, a kiedy Ataman oddał mu papiery ojca Anzelma, otworzył je. Podziwienie i jakaś radość malowały się na jego twarzy: obrócił się do Głębockiego.

— Chociaż w zły czas, mam do ciebie prośbę Panie Michale; nie odmawiaj mi, bądź swatem memu wychowańcowi do Panny Chiczewskiej; już oni jak wiesz po zaręczynach, teraz trzeba rzecz dokończyć.

— Zły to swat Mopanku w żałobie, ale ja dla ciebie Panie Bracie i dla Pana Atamana nic nie mam do odmówienia; pojadę, ale trzeba się śpieszyć bo ten mnich wpakował już synowicę do klasztoru sióstr Miłosierdzia i koniecznie chce z niej zakonnicę zrobić. —

Nekrasa pobladł.

— Panie Wojski, jedźmy zaraz.

— Dobrze Mopanku, jutro pojedziemy. —

Zawołał Kozaka pokojowego.

— Powiedz Wasze Panu Stefanowi, niechaj każe rozstawić konie do Pawołoczy; a do Pana Cześnika Wyszogrodzkiego napisze mojem imieniem prosząc aby swoje konie powysyłał na przeprzążkę, aż do Leszczyna; u niego na obiedzie jutro będziemy. Wasze upakować tłómok dziś, bo wyjedziemy jutro do dnia, a niechaj sanki lekkie a niewywrotne narządzą. Rozumie wasze? —

Sami zostali, a dzieci spać zaprowadzono.

— Wszyscyśmy tu swoi i przyjaciele — rzecze Wernyhora — możemy mówić bez tajemnicy. Panie Michale, wszystko na świecie koleją się toczy, za nieszczęściem szczęście idzie; oto masz. —

Dał dwa papiery do rąk. Głębocki otworzył papiery i czytał, a twarz jeszcze smutniejszą barwę przybrała, jak wprzódy.

— Mopanku, to mój akt ślubny z Petronellą Skorupacką córką Jeremjasza, a to metryka mego syna Michała; na dwudziesty dziewiąty wrześma począłby dwudziesty siódmy rok gdyby żył. Mopanku, straciłem dwie żony i syna, gorzkie wspomnienie! Miłoby to mieć syna dorosłego, zdolnego do posług ojczyzny.

— Któż ci powiedział Panie Michale, że twój syn nie żyje? A gdybym ci go ja powrócił?

— Dałbym ci połowę mojego majątku, drugą Mopanku zostawiłbym dzieciom. Bracie Wernyhoro, nie godzi się tak długo mnie wytrzymywać.

— Masz twego syna. —

I wziął za rękę Nekrasę.

Głębocki rzucił mu się na szyję, do piersi cisnął i całował. Nekrasa rozczulony, i o kochance i o sławie zapomniał; łzy radości zawisły na rzęsach, a zbytek szczęścia zatamował głos w piersiach, tylko przerywanemi słowy odzywali się:

— Ojcze mój!

— Moje dziecko! Podobny do Pietrusi, jak dwie krople wody; a jam go nie poznał!

— O jak to słodko znaleźć ojca! —

Wszystkim na płacz się zbiera, widząc uściski ojca z synem.

— Tnę potnę, przestańcie, bo dalibóg się rozbeczę jak baba. —

A Dudar już na dobre płakał.

— No Atamanie, mówiłem, że nie ma lichej godziny na tym świecie; Bóg miesza złe z dobrem, i pokarze i zaweseli. —

Kiedy się trochę uspokoili, rzecze Wernyhora:

— Panie Michale, nie miej mi za złe żem tak długo ukrywał tajemnicę drogą twojemu sercu; twoja pierwsza żona umarła dajac życie twemu synowi; ojciec Jeremjasz zaklął mnie i Księdzą Anzelam abyśmy ani słowa tobie nie powiedzieli, że masz

syna. Jeremjasz był dumny swoim rodem tak jak i twój ojciec, ledwieby skłonił czoło przed Bogiem; obiecaliśmy, i trzeba było dotrzymać przyrzeczenia. Przy swojej śmierci stary mi powierzył wychowanie wnuczka; widzicie czylim dobrze spełnił włożony na mnie obowiązek? Chciałem ci później wszystko objawić; ale Nekrasa miał imię nabyte szablą, miał cześć i stopień wojskowy; tyś miał żonę a pasierb zawsze solą w oku, choćby dla najlepszej macochy; teraz oddaję ci syna Atamanem dobrze zasłużonym i Polsce i Kozaczyznie. Czy przebaczysz mi Panie Michale?

— Ja mam syna, a ty chcesz abym się gniewał? —

Uściskał Wernyhorę, a wziąwszy Atamana za rękę, pokazywał mu braciszków i siostrzyczkę w pieluszkach, i obrazy przodków, i ich bronie, a wszystko synowi opowiadał jakby się już wybierał na tamten świat, a jemu w puściznie pamięć przodków zostawiał.

Przy wieczerzy Komornik chciał wygnaną wesołość przywrócić.

— Tnę potnę, daj Boże abyśmy co prędzej kosmatą ręką powitali Pana Atamana. —

Głębockiemu na chwilę przypomniało się dawne imię, możny ród; pomyślał sobie: każdy magnat z chęcią oddałby córkę za jego syna; ale zaraz na pamięć przyszła jego własna młodość.

— Niech się żeni Mopanku i będzie szczęśliwy! po żałobie sprawimy wesele.

— Tnę potnę, a tymczasem wypijmy zdrowie Bohdanki Pana Atamana. —

Nalał kielich i wypił, a za nim kolejką wszyscy spełnili zdrowie, a w końcu Ataman podziękował.

Jedli, pili i wesoło gwarzyli; i dwornia bankietuje: zjawił się młody panicz, a do tego chwat i do konia i do szabli. Wojski sam opatrzył łoże dla syna i ledwie go nakłonił aby spoczął; sam długo się modlił i dziękował Bogu nim się spać położył; ale całą noc ani ojciec, ani syn okiem nie zmróżyli, i dusze i serca w szczęściu się kąpią; a myśli o szczęściu marzą.

Równo ze świtem zaszły kryte sanie, a do nich zaprzężona piątka lwiastych pstrokaczów, i goście i dwornia wszyscy na nogach. Pan Wojski z synem zabrali się do śniadania, a tymczasem Kozak Bazylek upakował tłumok i puzderko z wódkami. Na drogę Dudar miał ochotę jechać, ale pomyślał sobie:

— W dobrej opiece Ataman, spocznę trochę. —

Wernyhora błogosławił podróżnych na drogę, Komornik kilkakroć razy tnę potnę uciął, dworscy rojem na ganek wyprowadzili. Pan Wojski i Ataman nadzieli niedźwiedzie szuby, pożegnali wszystkich. Pan Stefan zawołał:

— Zajeżdżaj! —

A już sanie przed gankiem; i siedli do sani. Bazylek wilczurą nogi Panów obwinął, Wojski krzyknął:

— Ruszaj! —

Komornik dodał:

— Tnę potnę, szczęśliwej drogi, prędkiego powrotu! —

Furman rozpuścił lejce, i z bicza jak z pistoletu palnął do siebie i na odlew, a szkapy w galop wyskoczyły z dziedzińca. Przodem Kozak konno w kosmatej burce bieży, z tyłu za krośnami stoi dwóch hajduków w wilczurach wywróconych na wierzch futrem, a na koźle siedzi Filon kucharz; Pan Wojski ani rusz z domu swego bez kucharza. Kółka i dzwoneczki przy krakowskich chomontach brzęczą, mosiężne koniki błyszczą, a borsucze płaty jak szalone tłuką się po kliszach; jednym lejcem furman pędzi, śmiga szkapy, a sanie jak po szkle, jak po mydle lecą: ani światu bożemu się przypatrzyć, miga w oczach, a jak mąka z przetaka tak gęste bryzgi śniegu lecą w budę. Atamanowi duszno, sam za nic by nie dosiedział w tej trumnie, ale ojciec gawędzi, a tak czas jakoś przechodzi; raz tylko przeprzęgli konie i przed dwunastą stanęli w Pawołoczy.

Pan Andrzej Czajkowski, Cześnik Wyszogrodzki, z synami wyszedł przeciw gościom. Wojski predstawił im swego syna. Ataman zastał tam dawnego znajomego Michała Czajkowskiego, porucznika kawalerji narodowej. Żywo zasiedli do obiadu, a jak to zawsze u szlachty polskiej bywa, zaczęto rozmowę od spraw ojczystych. Na Króla mocno sarkano: porucznik oświadczył, że Pan Jenerał Branicki za swoje niecne czyny dostał dwa starostwa królewskie, i ma nadzieję osiągnąć wielką buławę koronną, a Pan Złotnicki Skarbnik Nurski mianowany Szambelanem dworu jego królewskiej mości Stanisławie Auguście. Wojski się nachmurzył.

— Jaki Pan taki kram, swój swego wszędzie szuka. Mospanku, tak się to dzieje i dziać będzie na tym świecie. —

Pan Tadeusz starszy syn Pana Cześnika, Archidjakon przy metropolicie Radomyślskim unickiego wyznania, doniósł: że Błahoczynny Bazyli, ten łotr sprawca nieszczęścia Ukrainy, został wyniesionym na godność Protopopa; dawny zaś Protopop który miał udział w Koliszczyznie posiadł miejsce Wikarego przy Biskupstwie Kijowskiem. Panowie Suchodolski i Madejski za to że przyzwolili na obronę zamku Koruńskiego, zostali oddaleni z miejsca, i teraz na bruku bez chleba siedzą. Jenerałowie Moskiewscy od A do Z podostawali ordery, datki w pieniądzach, ziemi i duszach.

— A obłąkane chłopstwo — zaptał Ataman — co życie swoje i majątki na grę postawiło?

— Wywieszano, wyćwiertowano, i na pal powbijano.

— Dobrą wzięło naukę Mospanku, niechaj się pozna na moskiewskiej zapłacie. Może Bóg da, że sparzywszy się tą

razą w ukropie, drugą razą i na zimną wodę będzie dmuchać. —

Po obiedzie, nie tracąc czasu, Wojski z synem w dalszą się puścili podróż.

Z Pawołoczy na Andruszówkę się skierowali, ztamtąd po łodzie przebyli Hujwę w Leszczynie, a kiedy noc zaskoczyła, dwóch Kozaków smolne kagańce zapaliło i przodem biegło, a tak jasno w około sanek jak przy świetle słońca. W Łowkowie Teterów przebyli, i dopiero nad samym dniem do Zorokowa zajechali.

Już się w dworze ruszano, i skoro ludzie zobaczyli kagańce Kozaków Pańskich i sanie, wszczął się rejwach:

— Pan przyjechał! Pan przyjechał! —

I pobieżano po Ekonoma i oficjalistów. Wojski wyłażąc z budy zapytał stróża:

— A Pani Chiczewska zdrowa?

— Od trzech dni z całą rodziną w Żytomierzu. —

Wojski przysiadł w sankach i zawołał do furmana:

— Ruszaj Waść żywo do Żytomierza, choćby djabli mieli szkapy pobrać. —

Pan każe, sługa musi; furman zaciął szkapy i kopnął się na Wyszpoł Żytomirskim szlakiem. Atamana jakiś niepokój opanował, i serce dygotało niejednostajnym ruchem. Wojski pacierz odmawiał i pomrukiwał:

— Ten skórczy byk Bernardyn gotów jakiego djabła zmalować. —

I znowu odmawiał: Zdrowaś Maja łaskiś pełna; a potem:

— No, dam ja temu mnichowi! —

I dalej pacierze klepał, i tak jasnym dniem zajechali do Żytomierza od Wilskiej zastawy.

W mieście ciżba, na targ sunie lud boży. Kozacy Wojskiego rozpędzają na strony, i wozy i pieszych; a chłopi czapki zdejmują, z pokorą nadstawiają plecy do nahajki; to Pan możny jedzie; tylko jakaś cyganka obszarpana zbliżyła się do sani, w budę zajrzała.

— Siry orle, twoja zuzula w klatce. —

Ataman porwał się:

— To ona! —

Wojski się rozśmiał.

— Co ci jest? to Cyganka nie Panna Magdalena! —

Krzyknął na furmana:

— Poganiaj! Mopanku, prawdę to mówią, że kiedy się człowiek kocha to do rzeczy plecie, na rozumie nie domaga! Bywało tak kiedyś i ze mną. —

Ataman szukał oczyma cyganki, ale już zaginęła w tłumie, jak niknie w uciekającym tabunie koń wybrany okiem; a w tem stanęli przed dworkiem Pana Wojskiego. Pierw-

sza osoba którą zdybali, była dawna niańka Panny Magdaleny.

— Gdzie Imość? Gdzie Ksiądz Gwardjan? —

Sługa pocałowała w rękę Wojskiego i Atamana.

— Ksiądz Gwardjan wczoraj wyjechał do Kuny, a Imość w kościele. —

Ataman patrzy w oczy Horpynie:

— A Panny? —

Niańka spuściła oczy .

— W kościele. —

Coś chciała dodać, ale zagryzła usta jakby się pomiarkowała i zamilkła.

Wojski jak wrzodowi chciałby synkowi we wszystkiem dogodzić.

— Chodźmy do kościoła, to i po chrześciańsku i po kawalersku; kto z Bogiem, to i Bóg z nim. —

Sługa coś chciała powiedzieć, kłopocze się, ale nie śmie.

— Panie zaraz przyjdą, może Panowie kawy się napiją?

— Dobrze Waść mówi, przygotuj kawę, ale my tymczasem pójdziemy. —

I nie dając jej wyrzec ani słowa, obadwa, z synem wyszli do kościoła.

Ataman u celu życzeń serca; nic złego nie doleciało jego ucha, a jednak niespokojny, markotny; rzecz dziwna, człowiek co na przeciw stu mieczom z zimną krwią bieży, co przed gradem kul nie zmruży okiem, ani postuka mocniej sercem w piersiach, w chwili spotkania się z ulubioną dziewicą jak dziecko i chce i nie chce, i cieszy się i smuci.

Weszli do kościoła, właśnie kiedy się zaczęła msza śpiewana; brzmią organy. Ksiądz łaciną na chwałę Bogu zawodzi, chór dziewic hymn święty przyśpiewuje, pobożni ludzie w książki do nabożeństwa wzrok utopili, modlą się i biją się w piersi: Boże przepuść nasze grzechy.

Pan Wojski wprost kroczy do ławki zielonym aksamitem wybitej, ławki uprzywilejowanej Głębockich rodziny, jako jednej z fundatorów i dobrodziejów katedralnego żytomierskiego kościoła. Ataman pożerał okiem sokoła, co w dali i zblizka wszystko rozezna, zajrzał Panią Chiczewskę i Pannę Joannę, kochanki w ławce obok nich nie widzi; rzucił wzrokiem ku wielkiemu ołtarzowi; tam w bieli po prawicy długim szeregiem klęczą siostry miłosierdzia, i wszystkie wlepiły wzrok w obraz ukrzyżowanego Chrystusa, jedna tylko miała czoło schylone w ziemię.

Wejście możnego Pana i starszego z Kozaczyzny, zrodziło lekki szmer w kościele; choć myśli słały modły ku Przedwiecznemu i Jego świętym, ciekawe oczy zwróciły się na kościół. Młoda zakonnica blada, wynędzniała, jak po trzywrotnej febrze,

podniosła na ludzi na wpół zamarłe oko, spotkała się niem z twarzą Atamana, głucho i boleśnie krzyknęła, i osunęła się na posadzkę, lekko jak pióropusz kwiatu wiatrem strącony, a oczy się zamknęły i życie zda się przygasło — smutnie, jak ostatni płomyk dogorywającej lampy. Siostry zakonnice zaniosły ją do zakrystji i Panna Joanna pobiegła tam ratować siostrę.

Co robił Ataman? — On poznał swoją kochankę w młodej zakonnicy, oparł się plecami o filar, oczy w słup postawił, zacisnął zęby, sprzężyły się żyły na śniadej twarzy, splótł ręce i pod pierś przytulił. Czy serce mu pękło w łonie, czy dusza wyparła się z ciała, bo stał nieporuszony jak filar.— Pani Chiczewska zobaczywszy Pana Wojskiego i Atamana i omdlałą córkę, sama nie wie co robić. Obróciła się do Głębockiego.

— Panie Wojski, zmiłuj się Pan, moja córka zakonnicą, a to Pan Nekrasa. —

Groźnie Wojski spojrzał.

— To mój syn! —

Odwrócił się, i wziął silnie syna za rękę.

Ataman nie opierał się, ale jak nieżywy zwalił się na ojca. Dwóch hajduków Wojskiego wzięło go pod ramiona i tak go prawie wyniesiono ze świątyni Bożej. Wojski szedł za nimi, a w jego oczach i ruchach przebija troskliwość rodzica.

W kościele bez przerwania msza się prawi, chór śpiewa, brzmią organy; tylko ludzie pobożni ciekawie poglądają na siebie, chcieliby wyczytać jedni drugim z twarzy co to jest? co to wszystko ma się znaczyć?

We dworku Ataman leży bez pamięci, ale żyje; nic nie mówi, na nic nie odpowiada. Lekarze i ceruliki krzątają się koło niego; ten warzy rumianek, tamten synopizma mięsza; jeden pulsu szuka, drugi do głowy lód przykłada. Ataman pozwala z sobą robić co chcą, ale nic w usta nie przyjmuje.

Wojski wzruszony nad synem stoi.

— Moje serce napij się! Oj, gdybym ja złapał tego mnicha, dałbym hartu bestji — mój drogi to ci dobrze zrobi. Jak mnie kochasz, narobili kwasu. —

A rękę syna ciśnie do serca, i całuje go w czoło; łza nawet kapie z oczów starca.

Kiedy weszła Pani Chiczewska, Wojski surowo fuknął:

— Po co było robić te zwody, przymuszać własne dziecko do zakonu, na całe życie na nieszczęście go wskazywać? — Tak ani matka, ani chrześcianka nie robi. Mopanka, Pan Bóg za to skarze i ludzie będą złe wyrzucać w oczy.

— Panie Wojski, Bóg mi świadkiem jam nic nie winna; od dwóch dni jak Magdusia przyjęła śluby zakonne, ja dnie i noce płaczę; widzę niedolę mego dziecka; wszystko to cięży na duszy Księdza Gwardjana. —

W tem wpadła Panna Joanna.

— Magdusia ma się lepiej; siostra lekarka oświadczyła, że nie ma niebezpieczeństwa; jak tylko się ocknęła, wymawiała kilkakrotnie imię Pana Nekrasy. —

Ataman obrócił się twarzą i słuchał.

— Napisała kilka słów i prosiła abym oddała kartkę Panu Nekrasie. —

Ataman powstał z łoża.

— Panno Joanno proszę mi ją dać. —

Joasia zakraśniała, mimo znaki matki i Wojskiego oddała kartkę. Ataman czytał i zaczął jak bóbr płakać.

— Ojcze! ona mnie kocha! nieszczęśliwa! Wyjeżdżajmy ztąd zaraz. Ona tak chce, patrz! —

I dał ojcu karkę.

Wojski wyczytał na karteczce wyrazy:

«Ja ciebie kocham i kochać będę na wieki; twoją być nie mogę; miej litość nademną, nad moim losem. Wyjeżdżaj ztąd, zaklinam ciebie na Boga, na naszą miłość! Jam oblubienica Boga, dla ziemskich rzeczy uczucia moje powinny umrzeć, a ja nie mogę przestać kochać ciebie. Wyjeżdżaj i zapomnij twojej Magdaleny!»

Wojski kazał konie zaprzęgać, syna ściskał i ciągle powtarzał:

— Biedne dzieci! Bóg was stworzył jedno dla drugiego, a djabeł z mnichem was rozdzielili na wieki. —

Co nie zdziałała sztuka lekarza ciała, to zdziałało jedno wstrząśnienie uczucia duszy. Ataman smutny, ale przyszedł do siebie, nawet prosił Panny Joanny aby powiedziała siostrze, że ją nigdy nie zapomni, ale że posłuszny jej woli, wyjeżdża.

Całą drogę do Parchomówki, Ataman ciągle dumał, wzdychał, a Wojski jak mógł tak go cieszył, prawiąc synowi o przyszłych zamiarach, o przyszłem szczęściu; choć tego ucho głuche na słowo ojcowskie, serce tylko wdzięczne za czułość rodzicielską.

Zaledwie zajechali do Parchomówki, Komornik z Dudarem wyszli na na ich powitanie. Z oczu im patrzyło niewesoło.

— Tnę potnę, źle się u nas dzieje, ojciec Wernyhora zasłabł. —

A Głębocki smutnie wszystkich witając:

— Mopanku, nieszczęścia w parze chodzą, i myśmy z grochowym wiankiem przyjechali.

— Tnę potnę, Mości Wojski, wiemy o tem; ten pasibrzuch mnich przyjechał tu się pochwalić, że zamknął synowicę w klasztorze; ale kiedy się dowiedział, że Pan Ataman to twój syn Panie Michale, tak się żywo zabrał ztąd z manatkami i rewerendą, jakby djabeł za nim gonił.

— Ojcze Atamanie! miłość ci skrewiła, ale sława wojenna dotrzyma ci sprawy. Zostań się z nami, a znajdą się białe liczka i brwi czarne. —

Ataman uściskał Dudara.

— Na wieki z wami zostanę, nigdy się nie rozłączę z wami, ale prowadźcie nas do ojca Wernyhory. —

W uczuciach jak w pijatyce, klin klinem wybijać, nowa zgryzota morzy na czas dawną, pocisk dzisiaj zadany sercu, bliźni wczorajszą ranę. Ataman niespokojny o piastuna, o drugiego ojca, na chwilę przepomniał bolesną dolę wiecznego rozstania się z kochanką.

Wszyscy weszli do izby gdzie leżał Wernyhora. Starzec podniósł się na łożu; ani śladu choroby na jego twarzy, czoło pogodne, oko jasne, tylko w ruchach ciała coś ociężałego; z wysiłkiem ręką się podpierał, z wysiłkiem nogę dźwignął, mówił jednak czysto-brzmiącym choć powolnym głosem:

— Dobrze żeście przyjechali; pożegnam was, już ostatnia godzina się zbliża; dziewięćdziesiąt lat z górą przeżyłem, czas abym poszedł zdać rachunek przed Bogiem z moich czynów. Nie żałuję życia, ale żałuję że umieram w chwili, kiedy mógłbym się na coś przydać naszej Matce Polsce. —

Wszyscy smutnie słuchali, aż Komornik się odezwie:

— Panie kolego co tam o śmierci myśleć, jeszcze ona daleko od Waścinej czupryny; mówmy o tem jakby bić Moskali. —

Wernyhora skinął głową.

— Bijcie i za mnie i za siebie, już im moja ręka złego nic nie zrobi. — Oczy zwrócił na Atamana: — Synu! ciebie dotknął los, ale nie upadaj pod jego ciosami: cierpienie jest udziałem człowieka na tej ziemi, w niebie nagroda: twoja przyszłość piękna. Służ Ojczyźnie, a kiedyś z ciebie i z twoich powstaną mściciele Polski. Czyń co możesz, tak każe powinność człowieka; ja prosty chłop z Makiedan, jak mogłem służyłem Polsce, a jeźli możność nie odpowiedziała chęci, przynajmniej widzicie, że i chłop tak może kochać swój kraj jak i szlachcic. Ze szlachtą, z Panami, z Bisurmanami we związki powchodziłem, bo kto chce, dopnie. Owocu mojej pracy nie skosztowałem, wy może będziecie szczęśliwszymi odemnie. Panie Wojski, każ pogrzebać moje ciało w Korsuniu, gdzie teraz stoi moja chata. Chudobę moją oddać Makarowi jeźli jej Moskale nie zabrali. Bądźcie zdrowi bracia, pamiętajcie o starym Wernyhorze. — Sparł się na poduszkę, przymknął oczy; po chwili się podniósł, tą razą oczy mu pałały ogniem brylantu. Nad jego głową wystrzeliła jasność podobna do korony błogosławionych nieba; jak przed zjawiskiem cudu, skorzyli czoła, złożyli ręce przyjaciele Wernyhory, a on zawołał:

— Polsko Ojczyzna moja! biedna twoja dola na teraz. Hojnie

się przeleje krew synów twoich, wysokie mogiły wzniosą się z ich kości: spustoszenie, rozpacz i bujny smutek pociągną się po twej ziemi. Trzy postronne sępy, trzy razy ciebie rozszarpią, i upadniesz. Na niczem spełzną usiłowania polskich synów; król twój dzisiejszy, jak zaczął tak skończy, płaszcząc się na dworze moskiewskiej carycy. Ojczyzno! długo jęczeć będziesz pod jarzmem obcych: część twoich dzieci wywiozą w niewolę na bezludne obszary, druga pójdzie w dalekie kraje żebrać pomocy krwią i słowem dla nieszczęśliwej Matki. Po długich latach zjawi się olbrzym zachodu i nadzieja zabłyśnie dla Polski. Polacy na polskiej ziemi walczyć będą ze swymi wrogami, ale ta nadzieja zajaśnieje i zniknie jak spadająca gwiazda z nieba. Jednak ci co ją rozszarpali, powiedzą: jest Orzeł biały, jest Królestwo Polskie, i ludzie słabi łudzić się tem będą, a nawet błogosławić mordercom Ojczyzny; ale zły car, chciwy przelewu krwi swoich poddanych, zasiądzie na tronie Jagiellonów i pokaże, że blichtr nie jest prawdą. Naród Polski powstanie we wszystkich częściach polskiej ziemi, ale zabraknie mu na ładzie, zgodzie i człowieku; jak dawniej, tak i tą razą upadnie. Polacy jedni jak orły po spustoszeniu gniazda polecą na wędrówkę daleką, drudzy na wygnaniach i w niewolach smutne dni liczyć będą. Polska nasiąkła krwią swoich dzieci, użyźniona ich trupami, długo znosić będzie ciężar ciemiężców, ale nareszcie nadejdzie czas, kiedy Anglik sypnie złotem, Francuz wesprze, Muzułmanin konie napoi w Horyniu. Polacy liczni jak drzewa litewskich borów, jak ziarnka piasku brzegów Wisły, jak burzany stepu, powstaną i walczyć będą z wrogami. Pierwsze zwycięztwo odniosą w jarze Hańczarychy, drugie koło mogił Piata i Perepiatychy, trzecie przy siedmiu mogiłach, czwarte i ostatnie między Rzeszczowem a Jańczą. Dniepr całkiem krwią się zfarbuje, potaszczy o porohy roztrącać trupy wrogów, a od Czarnego morza do Baltyckiego, od Karpatów po Nizowe stepy, nie będzie ani Niemca ani Moskala na polskiej ziemi: I Polska będzie wielka, potężna po wieki wieków! —

Skończył, opadł na łoże, i skonał.

Wszyscy czterej stoją jak oczarowani; słowa wieszcze brzmią im w uszach, wyraz twarzy wieszcza tkwi w pamięci, a dusze rozognioną myślą plączą się po krainie wieszczej.

Po trzech dniach pochowano zwłoki Wernyhory poniżej Korsuńskich młynów. Szwaczka, upamiętany Polak, osiadł z Makarem w futorze przy grobie wieszcza. Ataman pomimo prośby, zaklinania ojca, uściskał go, braciszków swoich i siostrzyczkę, pożegnał Komornika, Parchomowiecką dwornię i z Dudarem ruszył na Zaporoże.

Smutny jechał Ataman, serce obumarło dla miłości, a dusza dla ojczyzny i sławy wojennej tylko żyje.

W Parchomówce został tylko Wojski żałośny. — Miałem syna, miałem przyjaciela; syn porzucił, przyjaciela Bóg zabrał. Niech też i mnie Mospanku przyjmie do swojej chwały. —

— Tnę potnę, co też Waćpan bluźnisz Panie Michale? Żyjmy dla ojczyzny i służmy ojczyźnie! —

I echo starego domu po wszystkich sufitach zagrzmiało rozgłosem: SŁUŻMY OJCZYZNIE!

PRZYPISY.

Stronnica 1. *wiersz* 1. *Chersońskim szlakiem*. Szlak prowadzący z Zaporoża do Kijowa nazywano Chersońskim, od dawnego miasta Chersonu, czyli Korsonu na półwyspie Krymu niegdyś kwitnącego handlem. Szlak ten przychodził z Krymu przez stepy Nogajskie do Dniepru, naprzeciw przeprawy Nikityna i ztamtąd szedł dalej; dla tego kładę tę notę, aby czytelnik nie mniemał, że ten szlak brał imię od dzisiejszego Chersonu, założonego przez Katarzynę drugą.

Str. 1. *w.* 30. *Czehryn*, miasto powiatowe gubernji kijowskiej nad rzeczką Tiasminą o 30 mil od Kijowa, pamiętne nieszczęśliwą kłótnią Podstarosty Czapłińskiego z Bohdanem Chmielnickim. Tu syn Chmielnickiego Jerzy, wspierany przez szlachtę polską, pobity został od Doroszenki. Miasto to należało dawniej do rodziny Koniecpolskich, później dostało się w posiadanie Atamanów Kozaczyzny. Roku 1658 umową Hadziacką przez Króla i Stany Rzeczypospolitej Polskiej nadane zostało cnotliwemu Atamanowi Wyhowskiemu; dziś należy do Rządu i jest to jedno z miejsc Ukrainy, naznaczone piętnem historycznem.

Str. 1. *w.* 30, 31. *Czarny szlak*, wychodził od Dniepru między ujściami rzeczek Sokorówka i Nosakówka; biegł przez stepy Zaporoża, przez województwo kijowskie, podolskie i wołyńskie na Czerwoną Ruś do Lwowa. Imię *czarnego* nadanem mu było od zagonów tatarskich które tamtędy zapuszczały się do polskiej ziemi. Ziemia, którą się ciągnie ten szlak, po większej części jest czarną, a konie tatarskie stratowawszy trawę, znaczyły pasmo czarne; ztąd początek nazwania. Do dziś dnia szlak czarny nie przestał nosić swojego imienia.

Str. 1. *w.* 37. *Tiasłyk*, rzeczka w gubernji kijowskiej równie jak i Tiasmina; obiedwie te rzeczki łączą się z sobą w widła poniżej Czehryna i wpadają do Dniepru.

Str. 1. *w.* 6. *Zaporoże*. Kraj położony poniżej Porohów Dnieprowych nazywał się Zaporożem; graniczył on z ziemiami Kozaków Słobodzkich i Humańskich, z województwem bracławskiem, z Budziakiem, a od Nogajskich stepów i Ukrainy Zadnieprzańskiej oddzielał go Dniepr. Na tej żyznej a pustej ziemi mieszkali Kozacy Zaporożcy, podzieleni na Kurenie — (*zobacz przypisy do* Powieści Kozackich).

Str. 2. *w.* 47. Mówiłem już w przypiskach do *Powieści Kozackich* o zakonie bezżeństwa Zaporożców.

Str. 3. *w.* 30. *Konfederacja Barska*. W nieszczęśliwych wypadkach Polska ratowała się Konfederacjami, które były powołaniem szlachty do obrony ojczyzny. Kiedy Stanisław August Poniatowski, król niedołężny, i niejako agent moskiewski na tronie polskim, zaczął chylić ojczyznę do upadku,

Krasiński Biskup Kamieniecki, powziął myśl zawiązania Konfederacji; był to człowiek znany ze swego patrjotyzmu, ale nie miał dość śmiałości, aby przywieść do skutku myśl powziętą. Puławski, który był jego powiernikiem, zabrawszy swoich trzech synów i synowca, udał się na Podole i tam w Barze 29 lutego 1768 roku zawiązał akt Konfederacji. Pierwszych podpisujących było tylko ośmiu szlachty, ale natychmiast szlachta polska, kochająca ojczyznę i jej swobody, zaczęła się zbierać pod ten sztandar narodowy; wkrótce rozszerzyła się Konfederacja po wszystkich częściach polskiej ziemi. Ludzie którzy nosili w sercu uczucia polskie, nie sprzedali się za złoto Moskalom, albo nie zatwardzieli w intrygach, biegli walczyć z Moskalami, przybierając szczytne imię Konfederata. Mało jest rodzin szlachty polskiej, któreby nie liczyły swoich przodków w Konfederacji Barskiej; jest to jeden z najpiękniejszych perjodów historji polskiej, a rozbieranie działań Konfederacji Barskiej odkryje imiona źle i dobrze zasłużone ojczyznie, wystawi prawdziwą przyczynę naszego upadku i służyć może za wielką naukę na przyszłość. Po cudzoziemcach Rulierze i Ferrandzie, ojczystego historyka nie miała Konfederacja Barska.

Str. 3. *w.* 46. *Gubernator.* Rządca jeneralny czyli kluczowy w dobrach narodowych, królewskich, a nawet obywatelskich, nazywał się Gnbernatorem.

Str. 4 *w.* 4 *Pawluk*, Ataman Kozaków (roku 1635), był człowiek dzielny; widząc nadużycia szlachty polskiej, zbiera Kozaków, odbiera fortecę Kudak i bieży na Ukrainę, aby przynieść ulgę ludowi ruskiemu. Pod Moszniami i Kaimakami pobity przez Hetmana Koniecpolskiego, oddaje się dobrowolnie na laskę Rzeczypospolitej Polskiej; pomimo że mu Hetman obiecał życie i wolność, kazał go sądzić i ćwiertować.

Str. 4. *w.* 4. *Nalewajko*, Ataman Kozaków, roku 1594 podnosi broń przeciwko Polsce, bierze Mohylów, Słuck i niszczy znaczną część kraju. Pod Białą Cerkwią zbity przez Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, sam się oddał z pułkowodcami kozackimi Łobodą i Mazepą. Mimo przyrzeczenia, że im życie będzie darowane, ściętymi zostali w Warszawie, i od nich to pozostało imię Naliwek, części miasta Warszawy. *Bantysz Kamiński* w swojej historji Mało ruskiej powiada: iż wszyscy trzej spalonymi zostali w beczce miedzianej umyślnie na to sporządzonej. — Pisarz moskiewski przesadza okrucieństwo; postępowanie to z Kozakami było nagannem. Nasi przodkowie za ten błąd ciężko odpłacili; dziś wspólne jarzmo ich gniecie, a gdyby przyszło do jego podniesienia, rzecz pewna że dzieci jednej matki zapomną krwawej przeszłości i nie będą myśleć o rozdzieleniu się. — Przytoczyłem Pawluka i Nalewajkę, gdyż to byli ludzie co powstali w celu wrócenia swobód ludowi, nie chcieli zaś łączyć się z Moskwą jak chytry Chmielnicki.

Str. 4. *w.* 11. Największym powodem wojen Kozaków z Polską była obawa, aby ich nie nawracano na obrządek katolicki. Łacińskie odprawianie mszy i łacińskie śpiewy nie mogły przystać do ucha ukraińskiego chłopa.

St. 4. *w.* 14. *Sobotów*, wioska niegdyś dziedziczna Chmielnickich; w niej się urodził Bohdan.

Str. 4. *w.* 18. Słowa wyrzeczone przez Chmielnickiego: jest to wyznanie winy i żal, że się popełniło. *Historyczne.*

Str. 5. *w.* 42. *Basa*, suknia długa, którą noszą Popi obrządku greckiego.

Str. 6. *w.* 3. *Nekrasa*, Ataman Kurenny (pułkowodca Kurenia pułku Serykowskiego), był człowiek wielkiej odwagi, zapamiętale przywiązany do Polski, a nienawidzący Moskwy. Wszystkie wypadki, które zamieszczam w tej powieści, są wyjęte z ostatnich czasów historji Zaporozkich Kozaków. Imiona własne Kureń, Kurenny, i t. d, stopnie Zaporożców, opisałem w przy-

pisach do Powieści Kozackich, które wysłałem jako przedmowę objaśniającą Polaków z Kozaczyzną; nie powtarzam zatem tych objaśnień, nie chcąc nudzić czytelnika.

Str. 6. *w.* 3. Katarzyna druga i Paweł, podówczas Wielki Książe Rossji, dla przyciągnięcia do siebie Zaporożców, zapisali się w rejestr Zaporoża. Wybieg ten jednak na nic nie posłużył.

Str. 6. *w.* 4. *Kozak pułtawski Razumowski*, rodem z Pułtawy, obrany Atamanem Zadnieprzańskiej Kozaczyzny. Katarzyna mu odjęła ten urząd w czynie, a zostawiła tylko imię.

Str. 6. *w.* 17. *Bazyli*, Błahoczynny Czehryński, był jednym z najsilniejszych poduszczycieli do rzezi Humańskiej. Historja tej rzezi nie była przez nikogo wydrukowaną ze szczegółami. Będąc w Międzyrzeczu Koreckim w szkołach księży Pijarów, zastałem tam księdza Młądanowicza, syna Gubernatora Humańskiego, a syna chrzestnego Gonty. Starzec ten napisał ogromne foliały o tej nieszczęśliwej epoce; był on świadkiem naocznym, a resztę słyszał od starych ludzi. Czytałem ten rękopism po kilkakroć razy z wielką ciekawością, a wypadki i imiona własne utkwiły mocno w mojej pamięci, tak jakbym je wczoraj czytał. Czcigodny Pułkownik Piotr Ludomir Łagowski, ten mąż wielkich zasług, który prawie od kolebki z orężem w ręku służył sprawie ojczystej, a przenosząc się z jednego końca Polski na drugi, po wszystkich ziemiach tego kraju, z opowiadań ustnych i z przechowań piśmiennych, zbierał wiadomości o wypadkach zaszłych w ojczyznie i zapisał one do swoich pamiętników, otworzył mi te drogie zbiory i udzielał mi do nich objaśnień i rad. Ludwik Nabielak pozwolił mi także przejrzeć zasoby uzbierane do Historji Konfederacji Barskiej; i tym sposobem na tle historycznem i bez żadnego krzywienia wypadków, które przypadły w Polsce, osnowałem moją powieść. Od razu powiadam, z jakiego źródła czerpałem potrzebne materjały, aby ustawnie nie powtarzać, zkąd brałem imiona własne i wypadki.

Teraz wyszło na świat kilka rzeczy o rzezi Humańskiej, jakoto: rękopism pani Krepsowej, wydrukowany w Orędowniku, piśmie perjodycznem Poznańskiem, wielkiej wartości, i inne, które mogą posłużyć do epizodu tej rzezi, ale nie do pojęcia ogólnego tego nieszczęśliwego wypadku.

Str. 7. *w.* 27. *Byczek*, kieliszek bez podstawki, albo mała szklaneczka do picia wódki.

Str. 7. *w.* 46. Graf Tamara wysłany przez Cesarzową Katarzynę do Włoch na nauki, a później z poleceniami dyplomatycznemi, był Kozakiem z Pułtawskiej gubernji. Katarzyna chciała, aby go obrano koszowym Atamanem Zaporoża, ale się to nie udało. *Historyczne.*

Str. 8. *w.* 9. *Szwaczka*, mieszczanin z Kaniowa, tak cudnie opisany w Ukraińskim poemacie Seweryna Goszczyńskiego *Zamek kaniowski*, był niezmyśloną, ale istotną osobą. Wieść ludu niesie, że po rzezi Humańskiej ocaliwszy się, pokutował na futorze koło Humania i szczerze żałował, że przeciw szlachcie poduszczał chłopów; ciągle wyrzekał, że do tego go skłonił Pan Branicki.

Str. 9. *w.* 11. *Nierejestrowcy.* Pod tem zwaniem oznaczam chłopów Ukrainy po prawym brzegu Dniepru, należących jeszcze do Polski. Rejestrowcy mieszkali po lewym brzegu tej wielkiej rzeki; zapisywali się w rejestr i obowiązani byli służyć wojskowo Rossji. Z tych Kozaków Katarzyna kazała potworzyć pułki huzarów, aby strojem zatrzeć narodowość, wybić z pamięci przeszłą wolność.

Str. 11. *w.* 1. *Piotr Kałnyszewski*, szlachcic Polski, w roku 1768 był ko-

szowym Atamanem, mężny w boju, ale słabego serca. Popi i Rossja to z nim robili co tylko chcieli. — *Historyczne.*

Str. 11. *w.* 22. *Żeleźniak Maxym*, Ataman Kurenny Rogowskiego Kurenia, był wysłany przez Cesarzowę Rossyjską i Atamana Kałnyszewskiego do wspierania chłopskiego buntu. Katarzyna w swoich notach dyplomatycznych, których kopje znajdują się w ministerjum spraw zagranicznych Francji, nazywa go: *Mon Colonel de bas Zaporogues* — mój Pułkownik dolnych Zaporożców. — Podług powieści ludu i pamiętników X. Mładanowicza był to człowiek śmiały, dziki, ale szczery; on walczył w dobrej wierze, sądząc że walczy za wolność ludu Ukraińskiego.

Str. 11. *w.* 31. *Święcone noże.* O tem wie cała Ukraina, że Cesarzowa Rossji w podarunku chłopstwu posłała noże, które kazała święcić Popom obrządku grecko-rossyjskiego; te noże święcono w dzień świętego Makoweja w Monasterze świętej Motry, położonym w lasach o milę od Czehryna. Rozwożono je po wioskach i rozdawano chłopstwu. Przy spowiedzi nakazywali popi wyrzynać Lachów i Żydów; wielu z tych Popów było przekupionych złotem moskiewskim, drudzy zaś obłąkani fanatyzmem religijnym, a rozjątrzeni przeciw szlachcie, pamięcią dawnych prześladowań Ukrainy.

Str. 13. *w.* 18. *Biała-Cerkiew*, miasto na Ukrainie nad Rosią, pamiętne pobiciem Nalewajki przez Żółkiewskiego, traktatem między Chmielnickim Bohdanem, Atamanem Kozaczyzny, a Mikołajem Potockim, Hetmanem Koronnym. Dziś to miasto należy do Panów *Branickich.*

Str. 13. *w.* 18. *Kreczetników*, jenerał rossyjski, podówczas dowodzący siłami moskiewskiemi w województwach ruskich. Tenże sam Kreczetników później przeznaczonym został przez Katarzynę do utworzenia gubernji z zabranego kraju.

Str. 13. *w.* 22. *Humań*, miasto powiatowe w Gubernji Kijowskiej, ze śladami dawnych wałów i mocnego zamku, pamiętne napadem Turków, a jeszcze bardziej rzezią Humańską. Niegdyś należało do Koniecpolskich, ale od dawnych czasów posiada je rodzina Potockich. Koło Humania jest ogród zwany Zofjówka, sławny pieniem Trembeckiego i swoją pięknością znany w całym świecie; przez konfiskatę dostał się cesarzowej, żonie Mikołaja, i zwie się Aleksandrja. W Humaniu jest szkoła Księży Bazyljanów, ktora szczyci się wydaniem: Józefa Bohdana Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego i Michała Grabowskiego; przytem najdzielniejsza młodź tam brała swoje nauki: rzec można, że Bazyljanie tem byli dla Ukrainy, czem Pijarowie dla Wołynia.

Str. 15. *w.* 1. *Korsuń*, miasto w Gubernji Kijowskiej ze szczątkami zamku obronnego, leży nad Rosią; tu Chmielnicki poraził Polaków pod Hetmanami Potockim i Kalinowskim. Opisanie Korsunia robiłem jako człowiek, który tam nieraz bywał, a opisanie wypadku z Pamiętnika Księdza Mładanowicza i opowiadań starych ludzi. Starostwo Korsuńskie należało do Korony.

Str. 15. *w.* 14. *Mohorycz.* Po sprzedaniu jakiejkolwiek rzeczy, szlachta i chłopi ruscy idą do karczmy zapijać sprzedaż, i to zowią *mohoryczem;* nie spełniwszy tego obrządku, i sprzedaż i kupno nieszczęśliwie by poszły; taki jest przesąd, szanują go jednak dzisiejsi mieszkanie jako zabytek przodków.

Str. 15. *w.* 22. *Harbajtel*, kosa spleciona z włosów na tyle głowy, jak nosili dawni Niemcy.

Str. 15. *w.* 31. *ciąć koperczaki* czyli umizgać się — (*gorące do mnie stroił koperczaki* (umizgi) patrz *Linde* str. 1078).

Str. 16. *w.* 1. *Kubrak*, strój powszedni szlachty niemajętnej.

Str. 16. *w.* 17. *Burłaka*, chłop bezżenny niezagospodarowany, który włóczy się od wioski do wioski i służy u gospodarzy.

Str. 16. *w*. 29. *Wygoda*, *Zadrypanka*, i t. d., imiona dawane karczmom w województwach ruskich.

Str. 16. *m*. 34. *Najmyczka*, służąca za pieniądze u Żydów.

Str. 16. *w*. 42. *Akafest*, śpiewana modlitwa w obrządku greckim. Można ją śpiewać o każdej porze dnia. — Pop pobiera zwyczajnie za nią złoty na świeczki.

Str. 18. *w*. 16. *Łysianka*, miasteczko w Kijowskiem, pamiętne rzezią; należało dawniej do XX. Jabłonowskich, po zaborze dostało się Engelhartowi, ojcu Pani Branickiej i Łopuchinowej.

Str. 18. *w*. 16. *Medwedówka*, miasteczko nie daleko Czehryna; tam się poczęła rzeź w roku 1768.

Str. 18. *w*. 19. *Chiczewski*, jest imię istotne Gubernatora Łysianki; wypadki o nim są prawdziwe.

Str. 18. *w*. 31. *Steblów*, wioska nad Rosią na pół drogi między Bohusławem a Korsuniem.

St. 19. *w*. 12. *Wernyhora*, imię tego starca jest sławne po całej Ukrainie, Był on rodem z Makiedan, wioski należącej dziś do rodziny Hołowińskich; za młodu udał się na Zaporoże. Mówią że był wysłanym z Putywla dla podburzenia chłopów przeciw Panom, ale przybywszy na Ukrainę, tak pokochał szlachtę, że do niej przylgnął ciałem i duszą. Zamieszkał w futorze poniżej Młynów Korsuńskich, bywał u wszystkich Panów; w szczególnej przyjaźni żył z Michałem Głębockim, Wojskim Owruckim. Jeździł na Zaporoże, aby Zaporożców pociągnąć do wspierania Konfederacji Barskiej, miał porozumieć się z Tatarami. W czasie rzezi Humańskiej opamiętywał chłopstwo. Moskale chcieli go złapać, obiecywali nagrodę, ktoby go im przyprowadził. Umarł w Parchomówce, wiosce na Ukrainie, gdzie się później narodził Seweryn Krzyżanowski, pułkownik gwardji strzelców konnych. Śmierć jego przypadła w roku 1769 czy 1770, a przepowiednie jego do dziś dnia istnieją pomiędzy ludem i pomiędzy szlachtą. We wszystkich wypadkach, w jakich stawiam Wernyhorę, starałem się nie odbiegać od prawdy podania.

Str. 19. *w*. 39. *Czarnobyl*, miasteczko na Polesiu Kijowskiem, słynie wyrabianiem sit i staremi winami francuzkiemi.

Str. 19. *w*. 47. *Hajdamaka*, tak nazywano na Ukrainie zbuntowane chłopstwo.

Str. 20. *w*. 33. *Kopijka*, pieniądz miedziany moskiewski, służyła za znak w czasie rzezi Humańskiej — służyła także w roku 1831 na Litwie do komunikacji tajemnych z Królestwem Polskiem.

Str 20. *w*. 46. *Złotnicki*, Skarbnik, którego tu umieściłem, jest ojcem zdrajcy Złotnickiego, Komendanta Kamieńca, posiadacza Radomyślskiego Klucza w Kijowskiem Polesiu.

Str. 21. *w*. 4. *Suchodolski*, jest imię istotne Gubernatora Korsunia w czasie rzezi roku 1763.

Str. 21. *w*. 8. Zapamiętam dzieckiem Komornika Drożewskiego w Klityszczach około Żytomierza; nieraz opowiadał o swoich wypadkach konfederackich i w czasie rzezi Humańskiej; miał przysłowie *tnę potnę*, i umarł mając sto lat z górą w roku 1814 czy 1815.

Str. 24. *w*. 40. *Malczewski*, brygadjer, dowodził podówczas regimentem Królowej Jadwigi i dragonją Mławską — stał w Bohusławiu, mieście Województwa kijowskiego, położonem nad Rosią.

Str. 25. *w*. 38. *Koliszczyzna*, tak chłopi zowią rzeź Humańską od słow *kłuc*, *kolaty*, *koli*.

Str. 25. *w.* 37. Nic pewniejszego, że Katarzyna II. była powodem rzezi; jej chwalcy nawet nie bronią jej od tego zarzutu. Noty zaś dyplomatyczne, historycy ówczesni i ludzie żyjący wyraźnie to potwierdzają.

Str. 25. *w.* 39. *Pan Breza* zamordowanym został z całą rodziną w Czehrynie. Mamka uniosła tylko maleńkiego synka i przechowała go pod mostem.

Str. 28. *w.* 7. *Pawołocz*, miasteczko na Ukrainie.

Str. 28. *w.* 33. *Roś*, rzeka jedna z największych na Ukrainie, wpada do Dniepru poniżej Kaniowa, naprzeciw Słobody.

Str. 30. *w.* 21. Opisałem mieszkanie Wernyhory tak, jakiemi są mieszkania starych Zaporożców osiadłych po futorach Ukrainy. — *Bednie* są skrzynie okrągłe podobne do półbeczków, używane na schowanie rozmaitych sprzętów.

Str. 34. *w.* 19. *Czerkasy*, miasto powiatowe w Kijowskiem nad Dnieprem, niegdyś stolica Kozaków, pamiętne obroną Atamana Ostafiego Daszkowicza za czasów Zygmunta Starego.

Str. 38. *w.* 44. *Pałamar*, posługacz cerkiewny, zapala świece, rozporządza chorągwiami, i t. d., to jest gospodarzy wszystkiem co należy do obrzędów cerkiewnych.

Str. 39. *w.* 36. *Kahorlik*, miasteczko w Kijowskiem, niedaleko Białej-Cerkwi.

Str. 40. *w.* 3. Sposób mówienia porównaniami z historji starego testamentu, jest bardzo używanym przez Popów obrządku greckiego.

Str. 40. *w.* 21. Zakopywanie szlachy i ścinanie głów kosami jest historycznem.

Str. 47. *w* 22, *Sława Bohu*, był krzyk wojenny dawnych Zaporożców. Karol Różycki, naczelnik powstania Żytomierskiego, a później dowódca Jazdy Wołyńskiej, wprowadził ten krzyk do swojego oddziału Jest on daleko właściwszym od moskiewskiego *hurra!* Właściwie mówiąc, nie mogą go używać tylko ludzie walczący za Ojczyznę, za wolność, za wiarę, bo ci tylko mogą prawnie wołać o opiekę do Boga w czasie boju. Ten krzyk pobożny ma wielkie podobieństwo do śpiewanej piosnki *Boga-rodzica*, co dowodzi że Zaporożce nie byli czem innem tylko Polakami i przechowali u siebie piękny zwyczaj swoich przodków.

Str. 50. *w.* 16. *Chołosznie*, szarawary chłopskie na Ukrainie.

Str. 51. *w.* 5. O Smilańskich lasach i o Smile mówiłem w przypisach do powieści kozackiej *Wyprawa na Carogród.*

Str. 51. *w.* 36. Odzywanie się buhaja czyli jak w Wielkiej Polsce zowią go *bąkiem*, uważają chłopi za wróżbę jak drogie będzie żyto. Na wiosnę wszyscy gospodarze wychodzą słuchać tego krzyku.

Str. 54. *w.* 10. Dzieci chłopskie lubią kopać na wygonie przedkarczemnym niby stawy i stawiać niby młyny. Arendarze zabraniają psuć trawy i ztąd powód wielki w dzieciach do niecierpienia Żydów.

Str. 55. *w.* 12. *Szynderówka*, wioska niedaleko Steblowa. Okrucieństwo kobiet chłopskich jest opisane autentycznie. Pułkownik Łagowski był na miejscu, gdzie się stał ten czyn rozbestwionej zemsty; chłopi starsi opowiadali mu je z najobszerniejszemi szczegółami.

Str. 61. *w.* 21. *Podpalna*, rzeczka na Zaporożu, wpadająca do Dniepru; przy samem jej ujściu stała ostatnia Sicza czyli Secza Zaporożców, zniszczona przez Moskali w roku 1775.

Str. 63. *w.* 34. *Wasza Przewoschodność, wasze prewoschoditielstwo Moskiewskie* — tym sposobem dawniej oznaczano stopnie cywilne i wojskowe u Moskali; dopiero za panowania Mikołaja zaczęło nazywać w wojsku Panie Pułkowniku, Panie Rotmistrzu, i t. d., w cywilnej służbie pozostały Wasze prewoschodytelstwa, wasze wysokorodija, wasze błahorodija, i t. d., i t. d.

Str. 46. *w.* 36. *Gonta*, pułkownik Kozaków Szczęsnego Potockiego, człowiek złej wiary, chytry i ambitny. Całą rzecz o nim opowiadam podług pamiętników Ks. Młądanowicza, objaśnień Pułkownika Piotra Ludomira Łagowskiego i podań, o których słyszałem od ludzi pamiętających jeszcze rzeź Humańską, albo wkrótce po niej zamieszkałych w Humańszczyznie.

Str. 65. *w.* 28. *Puławscy*. Józef Puławski, ojciec, był adwokatem, utrzymywał interesa książąt Czartoryskich i wielu możnych Panów polskich; przytem miał swój majątek tak w Koronie jak i w ziemiach Ruskich; był powiernikiem Księdza Biskupa Kamienieckiego i w jego imieniu porozumiewał się z patrjotami Polskimi. Zawiązał Konfederację Barską i został mianowany regimentarzem sił konfederackich. Pierwsze wojsko Konfederacji składało się z jego Kozaków dworskich: przyprowadził z sobą trzech synów i synowca; jak najcnotliwiej i jak najumiejętniej spełnił swoją powinność względem kraju. Panowie możniejsi bali się przewagi cnotliwego męża, zaczęli intrygować, a znalazłszy powolność w Krasińskim i Joachimie Potockim do popierania ich zamiarów, oskarżyli Józefa Puławskiego o zdradę, pojmali go siłą i oddali Turkom, gdzie skończył życie w Stambule. Z więzienia pisał do synów, aby służyli krajowi i nie zważali na prześladowanie jakiego on doznaje. Jego synowie: Kazimierz, znany z męstwa i znajomości sztuki wojennej; był to odblask Stefana Czarnieckiego na polskiej ziemi: jak ten Szwedów, tak on Moskali mordował gdzie dopadł. Po upadku Konfederacji udał się do Ameryki, gdzie walcząc za wolność północnej części tego Narodu, zginął pod Savannah; grób jego dotąd istnieje. Antoni także walczył za kraj i zginął na Litwie. Franciszek wzięty w niewolę przez Moskali pod Berdyczowem w wycieczce, później wypuszczony na wolność, przystąpił do Konfederacji Targowickiej; został on skazą imieniowi swojego rodu, tak dobrze zasłużonemu Ojczyznie; ale syn jego Kazimierz zmazał czyn ojca poświęceniami się wielolicznemi i długiem cierpieniem w moskiewskiem więzieniu.

Str. 66. *w.* 9. List Króla Stanisława Augusta do Pana Suchodolskiego jest autentyczny; znajduje się on co do słowa wypisany w pamiętnikach Ks. Młądanowicz. Jest o nim wzmianka w rękopiśmie bezimiennego ucznia Humańskiego, opisującego rzeź. Uczeń ten opowiada, że podczas całej rzezi przesiedział pod kopułą kościoła Ks. Bazyljanów; o liście tym i o tem że Król Stanisław nie był obcym rzezi Humańskiej, wiedziała cała szlachta Województw ruskich; nazywano tam powszechnie niedołężnego Króla szpiegiem, agentem moskiewskim. O ile to rozumienie było prawdziwem, wykrycie należy do historyków; ja poszedłem za zdaniem powszechnie ugruntowanem: wszędzie napotykałem winy Króla Stanisława, które mojem zdaniem nie mogą się zmazać żarliwemi pochwałami Pana Orchowskiego.

Str. 66. *w.* 32. *Łabuń*, miasteczko w Wołyńskiem.

Str. 66. *w.* 32. *Stempkowski*, Regimentarz podówczas dowodzący wojskiem Koronnem w Województwach Ruskich: władza jego była wielką. Stempkowski był człowiekiem poczciwym i dobrym patrjotą.

Str. 66. *w.* 39. *Michał Głębocki*, Owrucki, był jednym z możniejszej szlachty na Rusi. Zagorzały Polak, wielki zawadijaka; rodzina Głębockich 1831 r. rej wodziła między szlachtą Owruckiego, Żytomierskiego i Radomyślskiego powiatu.

Str, 71. *w.* 4. W Konfederacji Radomskiej byli poczciwi ludzie i dobrzy Polacy, ale ręce sobie mieli związane przemocą moskiewską i chytremi wybiegami Króla Pruskiego.

Str. 71. *w.* 6. *Krasiński*, brat biskupa Kamienieckiego, jeden z pierw-

zyoh przystąpił do Konfederacji Barskiej i obrany został marszałkiem tejże Konfederacji.

Str. 71. *w.* 22. *Zwinogródka.* miasteczko w Kijowskiem, nad rzeczką Siniawką, spalonem i zrabowanem było w czasie rzezi Humańskiej.

Str. 71. *w.* 27. *Joachim Potocki.* Stolnik Koronny, ożeniony z Księżniczk Sapieżanką, siostrzenicą Klemensa Branickiego, Hetmana Koronnego, przystąpił do Konfederacji Barskiej i dzielnie wojował z Moskalami. Żona nie odstępowała go przez cały czas; nieszczęściem wkradła się niezgoda między nim a starym Puławskim.

Str. 72. *w.* 43. *Olszaniec*, wioska nie daleko od Zwinogródki.

Str. 73. *w.* 32. Utarczka pod Kaniowem opisana jest w bujnym poemacie Seweryna Goszczyńskiego. Nie sądzę, aby był mieszkaniec na polskiej ziemi któryby nie czytał i nie podziwiał tego płodu fantastycznej imaginacji.

Str. 75. *w.* 33. *Horodyszcze*, wieś w okolicach Korsunia.

Str. 75. *w.* 34. *Moszna*, wieś niedaleko Kajmaków, pamiętna pobiciem Pawluka przez Hetmana Koniecpolskiego.

Str. 77. *w.* 29. *Zgniły Kiślec*, rzeczka w Kijowskiem, wpadająca do Dniepru.

Str. 79. *w.* 14. Rozporywanie brzuchów kobietom i kładnięcie w one kotów i prosiąt jest autentycznem.

Str. 80. *w.* 18. *Żuzula*, kukułka. Chłopi ukraińscy czarodziejską władzę przyznają temu ptakowi. Umarła kochanka przeobraża się w postać zuzuli i przylatuje kukać w ucho kochanka, aby mu przypomnieć dawną miłość; kto pierwszy raz usłyszy na wiosnę kukanie zuzuli, a ma pieniądze przy sobie, będzie je miał cały rok, a kiedy nieszczęściem ich nie ma przy sobie, to cały rok będzie gołym, i t. d.

Str. 80. *w.* 28. Zwyczajnie dobrzy gospodarze na Ukrainie sieją len na Cara Konstantyna 21. maja greckiego kalendarza.

Str. 82. *w.* 13. Taka gościnność jest zachowywana do dziś dnia po futorach, gdzie mieszkają rodziny dawnych Zaporożców.

Str. 83. *w.* 28. *Kawaler Tott*, wysłannik dworu Francuzkiego w Krymie, był razem inżynierem. Pamiętniki jego o wyprawie Kierym-Giraja do nowej Serwji, są bardzo szacowne dla historji polskiej, bo w nich są opisane ówczesne stosunki nasze z Turcją i Krymem. Ludwik Nabielak ma je u siebie tłómaczone na język polski.

Str. 83. *w.* 38. *Hrabia Viomenil*, jeden z Francuzów przybyły z Diumurierem.

Str. 84. *w.* 20. *Mustafa IV.* panujący w Porcie, był przyjacielem Polski, ale człowiek ociężały.

Str. 84. *w.* 23. *Obreskow*, poseł rossyjski przy Porcie.

Str. 84. *w.* 23. *Mołdawandzi*, Pasza, który później został wielkim Wezyrem, odważny żołnierz, bystry polityk, nieprzyjaciel Moskwy.

Str. 84. *w.* 29. *Seraskier*, Namiestnik, rządca prowincji; podówczas Budziakiem zawiadował Tatar Jakubaga, Sekretarz Kierym-Giraja, człowiek bardzo obrotny i przychylny Polakom.

Str. 84. *w.* 31. Kierym-Giraj czyli Krym-Giraj, Han Krymu i Budziaku, wielki przyjaciel Polaków, a nienawidzący Moskali, był raz złożonym z Hań, stwa, ale za wdaniem się dworu Francuzkiego znowu nań przywróconym został. Miał zamiar oswobodzić Polskę, ale nagłą śmiercią umarł w Koczun r. 1769 (jak powiadają: otruty przez Moskali, a jak Moskale utrzymują, umarł

z żółtej febry). Tatarzy nazywają go Kierym-Giraj, i ja przyjąłem to nazwisko w miejscu Krym-Giraj, jakie mu dają historycy polscy i francuscy.

Str. 84. *w.* 36. Książe Choiseul (Szoazel), minister Ludwika XV., Króla Francji.

Str. 85. *w.* 7. *Bar*, miasto na Podolu, nad rzeczką Rowem, pamiętne na wieczne czasy zawiązaniem się Konfederacji.

Str. 85. *w.* 7. *Krasiński*, Biskup Kamieniecki, początkujący pomysł Konfederacji, jeździł po obcych dworach, aby dla niej szukać pomocy.

Str. 85. *w.* 12. *Żwaniec i Okopy* obronne zamki nad Dniestrem na Podolu: tam Puławscy dzielnie walczyli z Moskalami.

Str. 86. *w.* 5. *Moszów*, miasteczko w Kijowskiem.

Str. 88. *w.* 1. Powszechnie takie były przybory dawnych domów bogatej szlachty. Klepaczki musiały się także znajdować, bo nasi ojcowie żeby nie próżnować, lubili tłuc muchy.

Str. 88. *w.* 35. *Brzuchowiecki*, Ataman Koszowy Zaporoża w czasie kłótni między Doroszeńkiem a Jerzym Chmielnickim, bił zarówno Moskali, Polaków, Turków i Tatarów. Złupił Krym i Wołoszą krainę, ani jednej bitwy nie przegrał; był to szlachcic polski.

Str. 91. *w.* 38. *Niedźwiedź*, rodzaj trunku, który piją Moskale; do dwóch łyżeczek kawy czarnej i łyżeczki śmietanki dodają poł kwarty zagrzanej wódki i wiele cukru; nazwisko wziął od tego że tem mógłby i niedźwiedź upić się.

Str. 91. *w.* 40. *Nie ma Iwana w głowie*, znaczy u Moskali: nie ma rozumu w głowie, a to dla tego, że car Iwan III. miał być bardzo człowiekiem rozumnym.

Str. 91. *w.* 42. *Janikowski*, adjutant, powiernik Branickiego, sławny awanturnik i pojedynkarz.

Str. 91. *w.* 43. Książe Zajączek, Namiestnik Królestwa Polskiego, zaczął swoją służbę wojskową od adjutanctwa przy Branickim.

Str. 96. *w.* 6. *Oczkowe*, chłop oddawał dziesiąty pień swej pasieki panu; *szarwarki*, robocizna do nóg i grobel, nielicząca się w pańszczyznę.

Str. 96. *w.* 11. *Majestat*, malowidła zdobiące wielki ołtarz w cerkwi.

Str. 96. *w.* 43. *Omielnik*, rzeczka wpadająca do Dniepru na Ukrainie.

Str. 98. *w.* 19. *Machnówka murowana*, miasto powiatowe w Kijowskiem. *Chodorków*, miasteczko w Żytomirskiem.

Str. 98. *w.* 20. Kawalerja narodowa dzieliła się na brygady; każda brygada miała trzy bataljony, każdy bataljon cztery chorągwie, każda chorągiew cztery cugi. Brygadjer dowodził brygadą, major batajlonem, porucznik chorągwią, namiestnik cugiem; w innej jeździe były pułki, szwadrony i cugi; dowodzili niemi Pułkownicy, a szwadronami Rotmistrze.

Str. 104. *w.* 12. Wojewoda Kijowski, Szczęsny Potocki, podówczas jeszcze dobry Polak.

Str. 104. *w.* 15. *Tulczyn*, miasto w Podolskiem, należące do Potockiego.

Str. 104. *w.* 25. *Mładanowicz*, Gubernator Humania, ojciec Księdza Pijara Mładanowicza

Str. 105. *w.* 24. *Sokołówka*, miasteczko trzy mile od Humania.

Str. 105. *w.* 32. *Kołpak*, jest to worek wystający z czapki kozackiej i spadający na bok.

Str. 106. *w.* 6. Obietnice Cesarzowej Katarzyny, czy Pana Branickiego, czynione Goncie w imieniu Króla, są rzeczą autentyczną wyrażoną w Pamiętnikach Mładanowicza.

Str. 108. *w.* 42. *Ropatucha, Psiarówka, Gromy;* wioski obok Humania.

Str. 112. *w.* 10. W Berdyczowie Kazimierz Puławski kapitulował z Mo-

skalami i mimo warunków został zatrzymany więźniem, i dopiero wtenczas go wypuszczono z niewoli, kiedy się podjął nieść warunki zgody Konfederatom.

Str. 112. *w.* 11. *Podhoroczanin i Apraxyn,* Jenerałowie moskiewscy dobywający Baru. Ruchy wojska Branickiego są opisane autentycznie. *Winnica* i *Bracław*, miasta na Podolu.

Str. 113. *w.* 4. Ten reskrypt Katarzyny II. jest wypisanym z Archiwów Ministerjum Spraw Zagranicznych Francji.

Str. 113. *w.* 37. *Podwysokie,* miasteczko Potockiego; szlachta tam się schroniła; chłopi tamtejsi obronili ją od Hajdamaków, za co Wojewoda Potocki udarował ich wolnością.

Str. 115. *w.* 7. Wejście Gonty do Humania, list Wojewody, przystąpienie do rzezi, zakłócie dwóch własnych synów dla tego iż byli zrodzonemi z Laszki katoliczki, wyrżnięcie szlachty, zarzucanie studni studentami i wszystkie okrucieństwa, są jak najautentyczniej opisane. Często zmniejszałem szkaradę obrazu, bo serce bolało na wspomnienie jakiemi zbrodniami Polska chyliła się do upadku.

W opisie Buntu Kozaków na Ukrainie w r. 1768 wydanym w rękopiśmie Lippomana i dwóch bezimiennych, przez E. Raczyńskiego, czytamy następne szczegóły o rzezi Humańskiej:

Str. 41. «Rozpacz kazała się bronić w obwarowanem dosyć przeciwko hultajstwu miejscu do ostateczności, mając przytem i działa, przy których w bramach stała nadworna piechota. Szafrański zaś zebrawszy wszystkie strzelby, uzbroił w nie Żydów i tem uzbrojeniem i całą obroną czynnie rozporządzał; gdy się albowiem zbliżali buntownicy do bram i chłopów prowadzili z siekierami do podrąbywania palisady, razili onych żołnierze z harmat kartaczami, a Żydzi przez palisadę wystrzałami z strzelb, i do odwrotu przymuszali. Żydzi czynnie i gorliwie przyczyniali się do obrony i wszystkie rozporządzenia Szafrańskiego wypełniali. W czasie tych napadań ksiądz Kostecki z farnym proboszczem chodzili z procesją przez 28 godzin z Panem Bogiem, i chociaż kule buntowników padały z wystrzałów od uroczyska Turka wśród ludu, jednak nie szkodziły nikomu; poczytywali to nieszczęśliwi za wróżbę pewnej siebie obrony. W mieście nie było wody; zamiast onej pito wino wołoskie, miody i wiszniaki; zbyteczne użycie odejmowało niektórym spokojność i przytomność; wreszcie po trzydziestogodzinnej takiej wytrwałości dał wiedzieć Młdanowiczowi Szafrański, iż żadnego do harmat nie ma naboju. Gonta zaś szedł z pułkiem ku bramie od Grekowa; radził więc, iżby on wyszedł przeciw niemu do bramy, i gdy on (Szafrański) lont zapalony zechce przykładać do harmaty dla wystrzału, iżby go od tego wstrzymywał; co się i stało, znać jednak, iż Gonta o niedostatku już amunicji wiedział, gdy taki obrót żadnego na nim nie zrobił wrażenia; owszem oburzył na Młdanowicza i mówić z nim nie chciał; ten zaś odstąpiwszy się cokolwiek i obróciwszy się do swoich, rzekł: nie masz nadziei, potrzeba się polecić Bogu i ginąć. Wtenczas nastąpiła rozpacz i okropne lamenta. Sam Młdanowicz z swoją familją i ile tylko mogło się zmieścić osób, wtłoczyło się do kościoła farnego i kaplicy XX. Bazyljanow, iżby w tych poświęconych Bogu przybytkach położyć swe życie.

«Gonta i Żeleźniak z swemi rozbójniczemi tłumami opanowali bramy i zaraz zaczęła się wszędzie okropna rzeź i morderstwa. Buntownicy atakowali miasto od godziny siódmej z wieczora przez noc całą, strzelając z ręcznej broni i pędząc ludzi do podrąbywania i podkopywania palów; lecz będąc rażeni kartaczami, zostawiwszy wielu zabitych trupów, odstąpili. Gonta widząc taki opór, uwiązał chustkę białą u dzidy, jeździł z nią na znak pokoju, a drugą posłał Młodanowiczowi z oświadczeniem wielce łagodnem i pomyślnem, byle go wpuścił do miasta, przekładając nieodbite przyczyny, jakie w Lisiance Kuczewskiemu przekładane były; o czem Młodanowicz nie mając wieści o losie Lisianki, nie był wiadomy; w przeciwnym zaś razie groził mu okropną zemstą. Młodanowicz pomimo oporu silnego kapitana Lenarda i Chorążego nadwornej milicji Markowskiego, chcących strzelać z harmat i ręcznej broni, kazał otworzyć bramy i na wyniesionym stole mieszczanom pierwszym wystawić za przyjęcie Gonty chleb i sól. Lenardowi zaś zaraz po tej sprzeczce udało się wymknąć z miasta.

«Tłum więc rozbójników wpadłszy w miasto, obstawił zaraz strażami kościół, kaplicę bazyljańską i żydowską szkołę, gdyż Żydzi także do niej wtłoczyli się. Jeden zbójca wszedłszy w kościele na ambonę, łżył zgromadzone tam osoby, znieważał obrzędy. Zaczynają się więc srogie mordy. Ksiądz Wadowski komendarz przy ołtarzu spisą zakłuty został; jednych obnażono, drugich siekierami rozcinano, trzecich rozstrzelano; innym nożami, dzidami, drągami śmierć zadano; wywłóczono za włosy sędziwych starców, oraz delikatne damy publicznie gwałcono, zabijano, rozdzierano niemowlęta. Toż się działo w kaplicy XX. Bazyljanów. Księża: Herakli Kostecki, rektor Jan Lewicki, wice-rektor Eliasz Magierowicz, Epifani Lachocki, Libory Oczaski missjonarze i Majewski Bazyljanin, dnia 19. czerwca, odprawiając wprzód dni dwa nabożeństwo, śmierć męczeńską ponieśli. Księdza Kosteckiego wprzód postrzelonego, a zbierającego rozrzucone przez zbójców hostje i oneż pożywającego, spisami zakłuto i w rynsztok wrzucono; a zaś innych księży wyżej wymienionych bito, żądając iżby wyznali, gdzie są schronione klasztorne sprzęty i obywatelskie depozyta. A gdy tych po wyznaniu w lochach zakopanych już nie zastali, bo je inni hultaje zabrać pospieszyli, wplótłszy w kije, bijąc po głowie, twarzy, plecach i brzuchu kańczugami i ratyszczami od pik, kijami, koląc zwolna spisami, z urąganiem nago około ratusza prowadzonych, niepodobnych do życia, za wstawieniem się niektórych mieszczan pod straż ścisłą do domu Ihnata Bohatego oddali, a za nastaniem jednego z współczników około cerkwi ś. Mikołaja pokłuto i ciała ich tam na ulicy zostawiono. W żydowskiej bożnicy Żydów do trzech tysięcy wymordowano i we wszystkich miejscach miasta Humania tyrańsko zabijano; dzieci brano na spisy, podrzucano w górę i na dachy, jeżli spadały żywe, dobijano; ciężarne matki męczono, płód z nich pruto i okropnie zabijano. Widzieć było można tarzających się od ran we krwi, pozbawionych rąk, nóg, lub innych ciała części, proszących o dobicie siebie. Wielu przybiegłe ze wsi poblizkich pospólstwo rozrąbywało siekierami i zabijało drągami. Wyszukiwano schronionych w lochach, jamach, chwastach, w różnych kryjówkach i zakrętach: tych w jedno miejsce prowadzono i zabijano; nawet kobiety za przykładem mężczyzn rozsrożały, ożogami, nożami, rudlami, sierpami rżnęły i zabijały, zachęcając do tej rozjadłości dzieci swoje. Trupy do naga obdzierano i niepogrzebane zostawiono, i tak w krótkim przeciągu czasu więcej jak ośmnaście tysięcy ludzi tyrańską śmiercią zginęło. Kościół i kaplicę i całe miasto ze wszystkiego złupiono, depozyta i wszystkie rzeczy do Gonty znoszono. Zbójcy w suknie zdarte

z trupów ubrani, na ołtarzach siadali i na nogach chodaki poprawiali, lub z nich zrzucali.»

Str. 121. *w.* 27. *Kodnia*, miasteczko w Żytomierskiem nad rzeczką Kodeńką, o dwie mile ukraińskie od Berdyczewa, należało dawniej do rodziny Głębockich. Tam zwożono hajdamaków, trzymano w lochach będących pode dworem; sądzono pod prezesostwem Regimentarza Stempkowskiego i wykonywano na nich wyrok śmierci, już to przez wieszanie, już przez ścinanie i przez najsroższe tortury. Stolnik Głębocki, podówczas dziedzic Kodni, wielu wyprosił od śmierci u Regimentarza Stempkowskiego, swego przyjaciela, wielu też powypuszczano z więzienia za pomocą dworskich Stolnika; lochy gdzie więziono hajdamakow, do dziś dnia istnieją; na miejscu gdzie ich karano śmiercią, dzisiaj stoi ratusz, a obok niego kopią saletrę. W wioskach okolicznych, jakoto: Sołotwinie, Halczyńcu, Siomakach, Agatówce, Tatarzynówce i innych, do dziś dnia są rodziny, ktore wiodą swój początek od hajdamakow, a przysłowie; «bogdaj ciebie święta Kodnia nie minęła», jest w ustach chłopstwa i szlachty tutejszej strony.

Str. 121. *w.* 35. *Woronówka* i *Kuna*, misteczka w Kijowskiem.

Str. 122. *w.* 2. *Kraprot*, sukno czerwone, które trębacze kawalerji narodowej używali: jest to francuzkie *garance.*

Str. 122. *w.* 13. *Rexyny*, tak zwano cyfry królewskie, haftowane na czaprakach, przykrywające olstra. Opisałem strój kawalerji narodowej według opowiadania dawnych polskich żołnierzy.

Str. 123. *w.* 6. *Maxud-Giraj* po złożeniu Kierym-Giraja nastąpił na haństwo; po wróceniu Kierym-Giraja poszedł na wygnanie; był człowiekiem żadnym.

Str. 124. *w.* 33. Wypadek o przechowaniu się dwóch studentów na wieży kościelnej jest prawdziwy; żałuję że mi wyszły z pamięci ich imiona.

Str. 124. *w.* 38. *Teplik*, miasteczko o 4 mile od Humania.

Str. 125. *w.* 18. *Hawryło z Perejasławia*, patrz Herbarz Okolskiego.

Str. 126. *w.* 47. i d. *Ziatkowce* wioska, *Ładyżyn* miasteczko, *Sobolówka* wioska, *Futory* takoż, *Boh* rzeka, *Hubnik*, *Skibińce*, *Pohurka* wioski, *Batów*, miasteczko pamiętne klęską Kalinowskiego, *Sob* rzeka; wszystko w dawniejszem Województwie Bracławskiem, a dzisiaj Podolskiej gubernji.

Str. 128. *w.* 28. Harcowanie dawne było podobnem do dzisiejszego flankierowania jazdy, tylko robiło się nie tak symetrycznie.

Str. 130. *w.* 14. Na wyspach Bohowych poniżej Hubnika skryła się szlachta przed rzezią humańską. — *Historyczne.*

Str. 130. *w.* 43. *Apraxyn*, jenerał moskiewski, zdobył Bar. Pan Branicki dwom regimentom pieszym kazał przywdziać mundury moskiewskie; i tak ci biedni Polacy szli przelewać krew polską, wypełniając ślepo rozkaz wojskowy. Ksiądz Marek Karmelita, sławny swojem przywiązaniem do ojczyzny, dostał się tam w niewolę, ale Moskale mocno go szanowali jako człowieka wykonywającego cuda. — *Historyczne.*

Str. 136. *w.* 4. *Jaszczyk*, tak zowią Moskale kryty furgon przeznaczony na wożenie kassy.

Str. 137. *w.* 28. *Czmut*, wyraz ukraiński używany na oznaczenie człowieka prawornego, bywalca.

Str. 114. *w.* 16. *Szarogrod* miasteczko, *Gruszka*, *Serby* wioski niedaleko Mohilowa. Ucięcie języka i ręki Goncie, rozkaz Pana Branickiego, oraz śmierć Gonty opisałem podług Pamiętnika księdza Mładanowicza. W Pamiętniku Pani Krepsowej, drukowanym w Orędowniku, pojmanie Gonty jest odmiennie

opisanem. — Każdy Pamiętnik o rzezi Humańskiej inaczej o tym wypadku mówi — dla tego i w drugiem wydaniu poszedłem za pamięcią Księdza Młdanowicza, który według nas na największą wiarę zasługuje.

Str. 145. *w.* 24. *Czerniejowice*, wielka wieś w Mohilowskiem. Pojmanie Gonty odbyło się w ten sposób, jakem opowiedział; znałem namiestnika Horoszkiewicza, który go pierwszy za łeb porwał.

Str. 146. *w.* 47. Dawniej w jeździe przy muzyce używano kotłów. W drzewa, na których były sztandary, każdy Król wbijał swoją ręką ćwieczek żółty, równie jak i stany rycerskie, kiedy się zgromadzały; po tych ćwieczkach poznawano dawność chorągwi. Nazwiska regimentów i mundury opisałem jak najdokładniej.

Str. 152. *w.* 46. Przygoda niefortunna Jenerała Podhoroczanina jest prawdziwą; stała się przy bilarze w domu Pana Branickiego. Rodzina Baniewskich jest jedną z lepszych w Ukrainie. Nie służyła Moskwie, ale obyczajem prawie całej szlachty polskiej — pułkownik Baniewski przywiązał się do Branickiego i z nim raczej przehulał swe życie, niźli służył jego polityce. Później ta rodzina dała krajowi dzielnych oficerów i dobrych Polaków.

Str. 156. *w.* 5. *Repnin*, poseł Katarzyny II. w Warszawie, rządził w niej jak pan samowładny. Król Stanisław August był jego najuniżeńszym poddanym, a wielu panów polskich korzyło przed nim czoła. Pochodził z rodziny tatarskiej.

Str. 159. *w.* 11. *Arcy-Książe Maxymiljan*, pretendent do Korony polskiej, odrzucon przez większość szlachty na sejmie elekcyjnym, na czele Niemców zaniósł wojnę Polsce; pobity na głowę pod Byczyną 25. stycznia 1588 roku przez hetmana Jana Zamojskiego, wzięty został w niewolę i osadzony w zamku Krasnostawskim. Stary Puławski miał za ulubione przysłowie ten wypadek. Powtarzał go bardzo często dla pokazania, że i w najgorszym razie nie trzeba tracić nadziei.

Str. 159. *w.* 28. Manifest Konfederatów do króla Francji Ludwika XV. sporządzonym był w Dankowcach, lichem miasteczku nad Dniestrem; manifest ten oparty był na traktacie Oliwskim, zawartym roku 1860 między Polską, Francją i Prusami,

Str. 161. *w.* 47. We Lwowie zebrał się trybunał dla rozpoznania sprawy hajdamackiej; oskarżenia szlachty Ruskiej, papiery służące do wykrycia osób mających udział w tej sprawie, odesłanemi były do Lwowa. Stanisław August Poniatowski i Moskwa, widząc że ich czynności wyjdą na jaw, złotemi obietnicami przekupili Archiwistę Trybunału: ten spalił papiery i cała sprawa w łeb wzięła. *Historyczne.* Swiadczą o tem dokumenta przechowane w archiwach ministerjum spraw zagranicznych Francji.

Str. 162 *w.* 5. i d. *Sapieha*, szwagier Joachima Potockiego, Konfederat, towarzyszył wyprawie Kierym-Giraja, *patrz*: Pamiętnik barona Totta, *Saraka*, *Soczawa*, miasta w Mołdawji. *Pobereża*, kraj po lewej stronie Dniestru koło Mohilowa ciągnie się do Jahorlika. *Prut*, rzeka w Mołdawji. *Takin*, miasteczko nad Dniestrem. *Czernika*, miasteczko w Bracławskiem. *Karabelna*, wielka wieś na pograniczu dawnego Budziaku i Zaporoża; *Karabelna*, rzeczka na Zaporożu. Napady Siryka, Brzuchowieckiego na Multany, pomoc Swiergowskiego, niesiona Hospodarowi Iwoni, męstwo Konaszewicza pod Chocimem, *patrz :* Historja Mało-Ruska Bantysza Kamińskiego.

Str. 162. *w.* 39. *Kodema* rzeczka, niegdyś granica Polski z Tatarami. *Józefgrod*, miasteczko na lewej stronie Kodemy, przedzielone mostem od Bałty. — Cały napad Wejsmana na Baltę, podpalenie jej przez Seraskiera i Sera-

skiera Bałty, śmierć Mirzy Jedzana. są wyjęte z Pamiętników barona Totta. — *Jedzan*, namiestnictwo zachodnie Budziaku.

Str. 167. *w.* 36. i d. *Świńska woda*, rzeczka w Bracławskiem. — *Iwangród*, miasteczko na pograniczu Zaporoża i Kozaczyzny Słobodzkiej. — *Step umarłych*, uroczysko na Zaporożu. — *Wałka*, zbiór wozów.

Str. 168. *w.* 35. *Pustelnica*, uroczysko na Zaporożu.

Str. 170. *w.* 32. *Werpa*, wioska w Kozaczyznie Słobodzkiej, równie jak *Werpilawa*.

Str. 171. *w.* 20. *Kamienica*, jagoda czerwona.

Str. 173. *w.* 29. *Niewidoma droga* przecinała Zaporoże równolegle od Dniepru; nazywała się niewidomą z przyczyny porośnięcia zielem. *Czyste* źródło, uroczysko Zaporoża. *Hulaj*, nazwisko konia Nekrasy.

Str. 179. *w.* 2. *Sawa*, Zaporożec; poszedł wspierać Konfederatów Barskich: czyny jego waleczności opisane w historji Rulliera i w dziele o wojnach Suwarowa. Ranny, w Krakowskich przechowywał się lasach. Moskale za pomocą cyrulika, co go leczył, doszli jego schronienia; w ich niewoli trapiony niegodnem obchodzeniem się, umarł z ran i cierpień.

Str. 180. *w.* 27. *Homon*, wyraz ukraiński, oznaczający wrzawę biegącą z daleka.

Str. 186. *w.* 36. Opisanie Siczy i zwyczajnego w niej porządku jest wzięte z dzieła *Staryna Zaporozka*.

Str. 210. *w*, 45. Wszystkie przygody, jakie się trafiły tego dnia Horpynie, na całej Ukrainie są uważane za złą wróżbę.

Str. 211. *w*, 25. *Dieńszczyk*, tak zowią oficerowie moskiewscy swoich służących.

Str. 216. *w.* 4. *Koczun* albo *Kauczany*, miasto zabudowane przez Kierym-Giraja; o innych miejscach w Krymie dałem noty w przypisach do *Powieści Kozackich*.

Str. 216. *w.* 20. *Azrael*, anioł śmierci u Mahometanów.

Str. 217. *w.* 41. *Iszłyk*, wysoka czapka barania noszona przez Bojarów Wołoskich. *Spadar*, hetman Wołoszy.

Str. 217. *w.* 45. *Bimbasza*, major turecki.

Str. 217. *w.* 46. *Sułtan Gałga*, następca tronu — losy tych trzech młodzieńców były smutne. *Hassan* odważny, dostąpiwszy szczytu dostojeństw, zginął śmiercią walecznych pod Czesną. *Dewlet-Giraj*, zrzucony przez Moskali z Hańswa, ubijał się ciągle z nimi. *Nekrasa* po zburzeniu Siczy przeniósł się nad Dunaj z Zaporożcami, nie chcąc uledz jarzmu moskiewskiemu.

Str. 218. *w.* 17. Przewohory z Kierym-Girajem i cała jego wyprawa na nową Serwię są opisane na fundamencie Pamiętników barona Totta.

Str. 221. *w.* 18. *Opudała*, wyraz ukraiński oznaczający nieforemnie okutanego człowieka, albo ptaka z nastrzępionem piórem.

Str. 222. *w.* 25. *Mikmandar*, tak zowią Turcy wysłannika drugiego rzędu.

Str. 222. *w.* 36. Przypowiastka ukraińska: *burka zmroziła Kozaka*, dla tego że nie przylega do ciała.

Str. 223. *w.* 23. *Tohabul*, oddział tatarski wychodzący na wyprawę od głównego wojska.

Str. 226. *w.* 27. *Bartłomiej Giżycki*, Kasztelan, przychylny Moskwie, powieszony przez Konfederatów w Dankowcach. Śmierć Giżyckiego jak postępowanie Branickiego i Złotnickiego, nie powinny przynosić żadnego szwanku dobrej czci ich rodzinie. Giżyccy dobrze potem i nieraz służyli Polsce. Mówią że jeden z wnuków Branickiego ma zamiary służyć sprawie polskiej. Daj Boże! nie traćmy nadziei że i w Złotnickich rodzie to samo zobaczymy. Rada

Kierym-Giraja wieszania zdrajców agnatów i słowa jego o Polsce są wyjęte z Pamiętników barona Totta.

Str. 235. *w.* 22. Otrucie i śmierć Kierym-Giraja są osnute na wierzytelności pamiętników barona Totta.

Str. 242. *w.* 17. *Prykmeta*, przyznaka w polach, któremi się kierują Ukraińce bez drogi. *Kara-dzierży*, *Kabil-Teliak*, i t. d., miasta na stepach Nogajskich.

Str. 253. *w.* 47. Przepowiednia Wernyhory znajomą jest na całej Ukrainie, o ile możności starałem się oddać wiernie, o ile mi pamięć moja i pamięć współtułaczów pozwoliła. Są oprócz tej przepowiedni i inne Wernyhory o Korsuniu, o zjeździe w tem mieście Katarzyny II., Józefa II. i Stanisława Augusta. Jar *Hanczarycha* jest pod starym Konstantynowem na Wołyniu. Mogiły *Piata i Perepiatycha* koło Pawołoczy, na Ukrainie. *Siedm mogił*, koło Hubnika na Podolu. *Rzeszczów*, miasteczko nad brzegiem Dniepra na Ukrainie. *Jańcza*, las czarny, ćwierć mili od Rzeszczowa.

DRUKIEM F A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

2